

PHILIP SHELBY

MAGIA MARTEN



Shelby Philip

Magia marzeń

Kiedy Rose Jefferson wychodzi za wymarzonego mężczyznę jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Związek ten kończy się jednak zdradą i odtąd żadna miłość nie będzie już ważna. Ta gorzka lekcja sprawia, że Rose poświęca się wyłącznie pracy i wkrótce staje się "żelazną damą" finansowego imperium.

Syn Rose, Steven Talbot, ma dwie namiętności: obsesyjną miłość do pieniędzy oraz nieodpartą potrzebę zadawania cierpienia tym, którzy go kochają.

Córka Rose, Casandra, pozbawiona przez chciwość i ambicje Stevena praw do wielkiego majątku matki, gotowa jest poświęcić wszystko, aby spełniło się długo pielęgnowane marzenie o zemście.

Hawaje, 1959

Zaciskała spocone dłonie na kierownicy. W ciemnej, hawajskiej nocy mokre plamy na fotelach i tablicy rozdzielczej wydawały się czarne. Cassandra McQueen wiedziała jednak, że to niemożliwe. Krew ma przecież kolor czerwony.

Długie jasne włosy opadły jej na oczy, kiedy samochód wpadł w ostry zakręt. Słychać było pisk opon na zastygłej lawie. Dziewczyna dodała gazu. Znajdowała się na krawędzi urwiska, które ciągnęło się wzdłuż wybrzeża Oahu. W ostatniej chwili opony odzyskały przyczepność i samochód wjechał z powrotem na asfalt.

Cassandra zastanawiała się, jak długo już jedzie. Pięć minut? Dziesięć? Całą wieczność? Dom, z którego uciekała, stał z dala od innych zabudowań, i to nawet według standardów Platinum Mile na wyspie Oahu, gdzie posiadłości mierzono w setkach akrów. Właściciele chwalili się, że w sezonie polowań jeden sąsiad nie słyszy strzałów drugiego. Jednakże ludzie, którzy próbowali zabić Stevena Talbota, mieszkającego w Cobbler's Point, w odległym zakątku półwyspu, nie użyli pistoletu.

Gdyby to zrobili — pomyślała Cassandra — już bym nie żyła.

Dziewczyna zadrzała na samą myśl o niedoszłym zabójcy. Wokół niej ryczał Pacyfik. Woda wzbijała się wysoko w powietrze i osiadała na krzakach i gałęziach, wystających jak szkielety ze ściany urwiska.

Muszą zwolnić. Jeśli jezdnią będzie mokra...

Cassandra nie mogła zmusić się do tego, by zdjąć nogę z pedału gazu. Przyglądała się odległym wzgórzom, wypatrując jakiegoś domu lub latarni morskiej, miejsca, z którego mogłaby zadzwonić po pomoc. Niczego takiego nie dostrzegła, za to jej wsteczne lustro rozjarzyło się nagle białym światłem.

Na pewno mnie zobaczył! Wie, że nie mogłam pojechać inną trasą. Cały czas mnie śledził, czekał...

Wówczas Cassandra zrozumiała przyczynę. Wjechała właśnie na prosty odcinek drogi.

Prowadziła mały angielski wóz sportowy, którego silnik pracował już na najwyższych obrotach. Zbliżający się do niej samochód był o wiele lepszy.

Podjedzie i spróbuje zepchnąć mnie z drogi... prosto w przepaść.

Odległość pomiędzy samochodami szybko się zmniejszała. Cassandra przejechała na środek szosy. Dopóki tamten ktoś jej nie dogoni, wciąż ma szansę.

Prześladowca wiedział jednak, co ma robić. Podjechał tak blisko, że Cassandra nie miała wyboru: musiała ustąpić. Kiedy zjechała na swój pas, dostrzegła kierowcę — nieruchomą postać w czapce. Oślepiło ją odbicie światła w bocznym lusterku. Nagle rozległo się wycie syreny, przepelniając ją uczuciem ulgi.

— Policja. Proszę zjechać na pobocze! Powtarzam: Proszę zjechać na pobocze! Cassandra zjechała na bok; silnik zakrztusił się, kiedy zbyt szybko puściła sprzęgło. Z drżeniem pochyliła głowę. Policja! Albo jechała ze zbyt dużą prędkością, albo to tylko rutynowa kontrola. To zresztą nie miało znaczenia. Była bezpieczna. Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Ledwo trzymała się na nogach.

— Proszę pana...

— Niech się pani nie rusza!

Cassandra zasłoniła oczy przed światłem latarki.

— Jezu Chryste!

— Nie rozumiem, o co chodzi?

— Niech pani trzyma ręce tak, żebym mógł je widzieć!

Ton jego głosu był ostry. Cassandra spojrzała na swoją sukienkę całą we krwi.

— W Cobbler's Point zdarzył się wypadek. Chciałam sprowadzić pomoc...

— Była pani w Point?

— Tak! Telefon nie działał. Steven... dostał nożem, krwawił... pojechałam po pomoc.

— Pani uciekała!

— Nie...

— Proszę o dokumenty. Niech pani je wyjmie bardzo powoli i ostrożnie. Cassandra nie wiedziała, czemu wcześniej nie zauważyła pistoletu. Był taki ogromny w ręce młodego policjanta.

— Nazywam się Cassandra McQueen—mówiąc to, starała się wydobyć prawo jazdy ze schowka w samochodzie.

Policjant obejrzał je dokładnie.

— No tak. Wszyscy na Hawajach o pani słyszeli. Nie układało się wam z panem Talbotem. A teraz proszę mi powiedzieć, co się stało.

Słowa policjanta przerwał sygnał radiotelefonu.

— Niech pani podejdzie do samochodu i położy ręce na dachu.

— Nie rozumiem...

— Natychmiast, panno McQueen!

Nie odrywając od niej oczu, policjant sięgnął przez otwarte okno i podniósł słuchawkę.

— Baza, tu dziesiątka.

— Patrol dziesięć — potwierdził kobiecy głos. — W Cobbler's Point istnieje możliwość kodu sześć. Jadą tam nasi ludzie i karetka. Możesz się przyłączyć?

Młody policjant spojrział na Cassandrę. Kod sześć oznaczał zabójstwo.

— Ktoś musiał go znaleźć! — wyszeptała Cassandra.

— Nie ruszaj się! — powiedział nerwowo policjant, a potem poprosił, żeby połączono go z dyżurnym oficerem.

— Dziesiątka? Tu detektyw Kaneohe.

Cassandra słuchała, jak policjant opisuje dziwną sytuację, w której się znalazł.

— Nie, nic jej nie jest — powiedział, patrząc na Cassandrę. — Wszędzie pełno krwi, ale nie jest ranna.

Zamilkł, słuchając informacji przekazywanych mu przez detektywa.

— O co tu chodzi? — zapytała Cassandra, kiedy w końcu odłożył słuchawkę. Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, miała już ręce wykręcone do tyłu. Zimna, stalowa obręcz zamknęła się na jednej dłoni, a potem na drugiej.

— Co pan w y p r a w i a ?

— Panno McQueen, jest pani aresztowana za usiłowanie zabójstwa.

Nicholas Lockwood przechadzał się w świetle silnych lamp, napędzanych przenośnym generatorem. Był wysokim, szczupłym mężczyzną z owłosioną klatką piersiową i spokojnymi, zielonymi oczami marynarza. Stał nad basenem, na tylnym tarasie Cobbler's Point. Po przeciwnej stronie lekarz wraz z dwoma pielęgniarkami robili wszystko, by utrzymać przy życiu Stevena Talbota. Strumyczki krwi spływały do przejrzystej, błękitnej wody.

— Czy tak to wyglądało, kiedy go pan znalazł? — zapytał Nicholas.

Jego rozmówcą był dobrze zbudowany policjant w mokrej od potu koszulce i plecionym kapeluszu z liści palmowych.

— Właśnie tak — detektyw Kaneohe pokręcił głową. — Czeka ich niezła robota, kiedy będą wyciągać z niego te wszystkie noże.

— To nie noże — wymruczał Nicholas.

Szable, które przeszły pierś Stevena Talbota, miały zakrzywione ostrza i ozdobne rękojeści. Nie powstydziliby się ich żadne muzeum. Na świecie istniało może sześć lub siedem tak wspaniałych eksponatów.

— Co masz na myśli?

— Po prostu to, że ktoś wybrał bardzo kosztowny sposób zamordowania Talbota. Kaneohe przyglądał się uważnie Lockwoodowi.

— Domyślasz się czegoś?

Kaneohe wiedział, że do niedawna Nicholas Lockwood odpowiadał za bezpieczeństwo „Global Enterprises”, światowego imperium finansowego Stevena Talbota.

Nicholas patrzył, jak dwaj pielęgniarze kładą rannego mężczyznę na nosze. W oddali słychać było charakterystyczny warkot helikoptera.

— Pan Talbot tak jak każdy wielki potentat miał swoich wrogów. Na pewno mój następca ci pomoże.

— Słusznie — przytaknął łagodnie Kaneohe. — Zacząłeś pracować dla Cassandry McQueen. Skąd więc się tu wziąłeś?

— Panna McQueen przyjechała na Hawaje, żeby porozmawiać z panem Talbotem o interesach—odrzekł Nicholas.—Sądziłem, że tu przyjdzie. Najwyraźniej tak się nie stało. Kaneohe uśmiechnął się; biel jego zębów kontrastowała z cerą o barwie orzecha.

— Och, ależ ona tu była! Przechwycił ją patrol, jak pędziła po Platinum Mile cała zakrwawiona. Wymamrotała, że ktoś próbował zabić Stevena Talbota.

Kaneohe był zadowolony z efektu, jaki wywarły jego słowa.

— Nic jej się nie stało? — zapytał Nicholas.

— Czuje się dobrze. Zabraliśmy ją do komisariatu. Nicholas nie wierzył własnym uszom.

— Sądzicie, że ona to zrobiła? — zapytał, wskazując Stevena Talbota, którego wieziono w kierunku frontowego trawnika.

— Czytam gazety, Lockwood — powiedział ostro Kaneohe. — Istniało wiele paskudnych nieporozumień pomiędzy nią a panem Talbotem. Panna McQueen przyznaje, że była tu dziś wieczorem. Na początek mamy więc motyw i okazję.

— Nie macie niczego! Kaneohe wzruszył ramionami.

— Zdejmiemy odciski palców, a jeśli Talbot przetrzyma, zidentyfikuje napastnika. Nicholas myślał gorączkowo. Jeśli Steven przeżyje, oskarży Cassandrę o próbę morderstwa. Nieważne, że jej ręka nigdy nie dotknęła tych szabli. Steven Talbot zrobi wszystko, żeby Cassandra poniosła najwyższą karę. Nie chodziło tylko o to, że zamierzała zdemaskować go jako szaleńca. Dwadzieścia pięć lat temu Steven Talbot próbował ją zamordować — i to mu się nie udało.

A teraz policja ma Cassandrę i nikogo więcej nie będzie szukać.

Jednakże Nicholas musi coś zrobić, bo niedoszły zabójca wciąż jest na wolności. Już kiedyś niewiele brakowało, żeby utracił Cassandrę. Nie mógł sobie wyobrazić, co by się stało z jego życiem, gdyby teraz ją zawiódł.

— Masz szczęście, kochanie. Pan Talbot jeszcze się trzyma. Może mimo wszystko wywiniesz się katu.

Cassandra zadrżała, czując chłodny powiew z klimatyzatora.

— Moje ubrania...

— Zapomnij o nich, kochanie — odpowiedziała policjantka. — Ta krew nigdy się nie spierze.

Damy ci coś miłego, w czym będziesz się mogła pokazać sędziemu. Chociaż to oczywiście nie ma znaczenia.

Ale ja nic nie zrobiłam!

Cassandra powtarzała to ciągle, od momentu, w którym znalazła się w komisariacie w Honolulu.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Policjantka kazała jej usiąść i zaczęła wypełniać formularze.

Następnie pobrano jej odciski palców i zrobiono zdjęcia.

— Mam prawo zadzwonić — powiedziała Cassandra.

— Oczywiście. Później.

Policjantka zaprowadziła ją do łazienki, kazała jej się rozebrać i wziąć prysznic. Cassandra skuliła się pod lodowatym strumieniem i zaczęła zmywać z siebie zaschniętą krew. Potem wytarła się i włożyła szary więzienny strój.

— Teraz możesz zadzwonić — oświadczyła policjantka, wręczając jej monetę.

— Dobrze to wykorzystaj.

Cassandra zaczerpnęła głębokiego oddechu, wrzuciła monetę i wykręciła numer hotelu, w którym mieszkała wraz z Nicholasem Lockwoodem. *Proszę... proszę, bądź tam!*

Odebrała recepcjonistka, która następnie połączyła ją z odpowiednim pokojem. Telefon dzwonił i dzwonił, a Cassandra powoli traciła nadzieję.

Znów zgłosiła się recepcjonistka. Cassandra poprosiła ją o zawiadomienie Nicholasa, że przebywa w komisariacie w Honolulu i potrzebuje jego pomocy. Jeszcze długo po przerwaniu połączenia stała, przyciskając słuchawkę do ucha.

— Chodźmy—powiedziała policjantka, wyjmując słuchawkę z dłoni Cassandry. Na dole otworzyła drzwi do izolatek i wepchnęła dziewczynę do pierwszej celi.

— Uwierz mi, kochanie, lepiej będzie, jeśli nie zamkniemy cię razem z innymi

— wyjaśniła. — Zaraz przyniosę ci jakieś ciepłe okrycie. Spróbuj odpocząć. Kiedy wrócą detektywi, będą chcieli z tobą porozmawiać.

Cassandra nie miała pojęcia, jak długo czekała na policjantkę z kocem. Owinęła się nim i położyła się na pryczy plecami do ściany.

Steven żyje, a jego niedoszły zabójca jest na wolności... gdzieś tam. Czy jest tam również Nicholas? Czy go tropi?

Zaczęła płakać, jak gdyby dopiero teraz dotarł do niej w pełni sens wydarzeń, które rozegrały się tego wieczora.

Steven powinien umrzeć — pomyślała Cassandra. — Tylu ludzi przez niego cierpiało, tyle marzeń zamieniło się w zgliszcza.

Ale nigdy nie odbierze mi moich marzeń!

Była jednak zbyt wyczerpana, by podjąć dalszą walkę. Powieki opadały jej ze zmęczenia. Miała wrażenie, że mknie w dal przez złote pola i lśniące wzgórza, na których wznosi się błyszczący pałac. Przed nim stała młoda kobieta, a właściwie dziewczyna, mająca jakieś osiemnaście lat, ubrana na biało jak panna młoda. Cassandra uśmiechnęła się. To była Rose. To mogła być tylko Rose, pierwsza z nich, ta, która stworzyła zasady rządzące ich życiem.

Czesc pierwsza

1

Rose Jefferson zawsze marzyła, że weźmie ślub w sali balowej Dunescragu, posiadłości jej dziadka na Long Island w Nowym Jorku. W 1907 roku przyszedł wreszcie piękny czerwcowy dzień, w którym to marzenie miało się urzeczywistnić.

Rose stała na trzecim piętrze przy poręczy balkonu, który otaczał salę balową. Ten widok zawsze zapierał jej dech w piersi. Dziadek Rose, Jehosophat Jefferson, sprowadził wspaniałą różowy marmur z Carrery, z którego zrobiono posadzkę i kolumny. Ściany były białe, wykładane lakierowanym hebanem. Z sufitu zwisały trzy piękne żyrandole — dzieło weneckich rzemieślników. Niżej, na galerii, muzycy stroili instrumenty. Służba upewniała się, że bukiety różowych róż znajdują się na swoim miejscu, a na błękitnym dywanie przed ołtarzem nie ma ani jednej plamki.

— M'amselle! M'amselle! Jak pani może tak uciekać? Do ślubu została tylko godzina, a pani jeszcze nie jest gotowa!

Matylda Lebrun, francuska krawcowa z paryskiego salonu „Doucet”, ruszyła ku Rose, trzymając kilka szpilek.

— Matyldo, żadnej przymiarki! — ostrzegła Rose. — Zaraz pękne!

Była to prawda. Pod piękną, koronkowo-jedwabną kreacją, do której miał być przypięty jeszcze długi tren, Rose miała gorset, halkę i wierzchnią spódnicę. Matylda Lebrun osądziła, że dziewczyna wygląda cudownie.

Pracując w „Doucet”, krawcowa miała okazję ubierać wiele panien młodych, jednakże nawet najpiękniejsze z nich nie mogły równać się z tą osiemnastoletnią Amerykanką. Długie ciemne włosy Rose Jefferson były wysoko upięte; przytrzymywała je wspaniała, perłowa spinka. Letnie słońce zaróżowiło dziewczynie policzki i nadało blask ogromnym szarym oczom z czarnymi brwiami i długimi rzęsami.

Oczy diabła w twarzy anioła—pomyślała krawcowa. Właśnie oczy przesądzały o niezwykłym uroku Rose Jefferson. W zależności od nastroju dziewczyny błyszczały wesołością albo rzucały gniewne, ostre spojrzenia. Potrafiły patrzeć także

czule albo wyrażać determinację i upór. Zawsze jednak było w nich widać przenikliwą inteligencję.

Matylda Lebrun współczuła narzeczonemu. Bez względu na doświadczenie będzie miał z tą dziewczyną sporo kłopotu.

Rose czekała cierpliwie, aż krawcowa zrobi ostatnie poprawki, i myślała

o przyszłym mężu. Poznała Simona Talbota pięć lat temu. Miała wówczas trzynaście lat, a on trzydzieści, od razu jednak wiedziała, że pewnego dnia go poślubi. W oczach Rose Simon był fascynującym mężczyzną, twórcą potężnego imperium kolejowego, które przeobraziło amerykański przemysł. Był również doświadczony i uroczy; potrafił się zachowywać z czarującą galanterią, jaką odznaczeni się mężczyźni z Południa. Jedyną przeszkodą na drodze ku wspólnej przyszłości była, jak sądziła Rose, żona Simona.

Rose znienawidziła piękną Nicole Talbot od pierwszego wejrzenia. Zdaniem Rose, Nicole miała wszystko, czego jej samej brakowało: spokój i pewność siebie. Była także elegancka, co podkreślało wszystkie pozostałe zalety. Simon i Jehosophat Jefferson prowadzili wspólne interesy, dlatego Talbotowie zawsze przychodzili do Dunesragu na dwa duże przyjęcia, wydawane w każde Świąto Dziękczynienia

1 Dzień Pamięci. Rose wykorzystała tę sposobność i uważnie obserwowała Nicole. Pewnego razu Nicole zauważyła, że Rose ją naśladuje i wybuchnęła śmiechem.

— Och, Rose, nie musisz tego robić! Myślę, że jesteś wspaniała. Simon też tak uważa!

Rose była wściekła i upokorzona. Życzyła Nicole wszystkiego najgorszego. Nie spała po nocach i obmyślała skomplikowane plany, jak ukraść jej Simona. Kiedy Nicole Talbot zmarła w czasie epidemii grypy w 1904 roku, Rose była zdruzgotana. Czowała się odpowiedzialna za śmierć Nicole i sądziła, że w ten czy inny sposób będzie musiała za to zapłacić. Jej pokuta rozpoczęła się, kiedy Simon Talbot przestał przychodzić do Dunesragu.

Przez dwa lata Rose nie wiedziała, co się stało z Simonem — i co ją czeka. Zalecali się do niej młodzi mężczyźni z najlepszych nowojorskich rodzin, ale nie zwracała na nich uwagi. Była pewna, że pewnego dnia interesy sprowadzą Simona z powrotem do Dunesragu. Kiedy w końcu to nastąpiło, chwyciła okazję oburącz. Simon Talbot przekonał się, że chuderlawa dziewczynka zamieniła się w młodą, piękną damę.

Rose często zastanawiała się, czy Simon zauważył, że powoli go uwodziła. Zawsze umiała znaleźć sposób, by zostać z nim sam na sam czy to w Dunesragu, czy na Manhattanie. Wykorzystała każdą sztuczkę, którą wypraktykowała na nieszczęsnych młodzieńcach. Przez następne kilka lat, kiedy wizyty Simona stawały się coraz częstsze, Rose sądziła, że jest w niej zakochany. Jednakże gdy tylko uznawała bitwę za wygraną, Simon wskazywał na przepaść, której nie była w stanie przekroczyć: był od niej starszy o siedemnaście lat.

Rose nie chciała się poddać. Ta uparta dziewczyna miała cierpliwość świętej. Czytała książki i oglądała sztuki, które podobały się Simonowi, uczyła się jego

ulubionych gier, a nawet starała się zrozumieć prowadzone przez niego interesy. Krok po kroku Rose budowała most nad rozdzielającą ich przepaścią. Kochała Simona z gwałtownością, która czasem ją przerażała. Starła się go zrozumieć, dotrzeć do jego serca i wypełnić miłością, przed którą nie ma ucieczki. Przewyciężyła opory Simona, a jej pocałunki okazały się silniejsze od wszystkich argumentów: że jest dla niej za stary, że ich zainteresowania są zbyt odmienne, że nie będzie w stanie spełnić jej oczekiwań. Nic nie mogło przeciwstawić się determinacji Rose.

— Chodźmy, m'amselle—powiedziała Matylda Lebrun.—Trzeba przymocować tren. Musimy się pośpieszyć!

Rose poszła posłusznie za krawcową w kierunku bawialni. Po drodze zauważyła pokojówki, które niosły prezenty ślubne przysłane w ciągu ostatniego tygodnia przez trzystu gości. Byli wśród nich senatorowie, kongresmani, dwóch sędziów Sądu Najwyższego i gubernator Nowego Jorku.

Przybywali nie tylko po to, żeby wziąć udział w uroczystości, ale również po to, by złożyć uszanowanie Jehosophatowi Jeffersonowi. Rose nie wątpiła, że podarunki będą wspaniałe, ale była również pewna, że żaden z nich nie dorówna prezentowi, który ofiaruje jej dziadek.

Rodzice Rose nie żyli. Dorastała w domu, który przypominał królestwo: starzejący się patriarcha, Jehosophat Jefferson, rządził zbudowanym przez siebie imperium. W dzień uczyła się greckiego i łaciny, matematyki i literatury. Wieczorami, kiedy inne dzieci słuchały bajek, dziadek opowiadał Rose o „Global Enterprises”, spółce wysyłkowej, którą założył w 1850 roku, mając trzy wagony i dwanaście koni, a która była teraz jednym z gigantów przemysłu transportowego.

Później, kiedy inne dziewczęta martwiły się o piegi i krosty i marnowały całe dni na marzenia o chłopcach, Rose Jefferson chodziła razem z dziadkiem do biura na Wall Street. Uwielbiała siadywać w sobotnie popołudnia na jego skórzanym fotelu, przeglądać księgi rachunkowe, broszury i ulotki. Już w pierwszej chwili Rose doszła do wniosku, że czuje się tu jak u siebie.

Historia firmy „Global” fascynowała Rose. Pierwowzorem agencji wysyłkowych byli starożytni perscy kurierzy opisywani przez Herodota, którzy potrafili pokonać wszelkie przeszkody, byle tylko wypełnić swoją misję. Cieszyli się poparciem samego króla, gdyż doręczali listy od władców. Przewozili jednak również przyprawy i ryby, jedwabie i stroje, perfumy i olejki.

We wczesnych latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku Jehosophat Jefferson dostrzegł podobieństwo pomiędzy Ameryką a imperium rzymskim. Podobnie jak imperium Stany Zjednoczone były rozległym, w większości dzikim krajem, którego granica szybko przesuwała się na zachód. Przez cały rok Jehosophat Jefferson prowadził rozeznanie, aby potwierdzić coś, co podejrzewał od samego początku: na wschodzie i południu istniało duże zapotrzebowanie na usługi wysyłkowe.

W 1856 roku dylizansowa linia Manhattan—Rochester odniosła błyskawiczny sukces. Wkrótce podobne magistrale sięgały aż do jeziora Erie i portów handlowych nad Wielkimi Jeziorami. Przez następne kilka lat firma „Global Express” wcielała

w życie głoszone przez siebie zasady: WYDAJNOŚĆ, ODPOWIEDZIALNOŚĆ, UPRZEJMOŚĆ. Jej reputacja tak wzrosła, że w czasie wojny domowej była jedyną firmą wysyłkową, zapewniającą dostarczanie przesyłek dla obu walczących stron.

Po kapitulacji pod Appomattox przedsiębiorstwo zaczęło się rozwijać w innym kierunku.

Wysłanie listu z Nowego Jorku do Rochesteru kosztowało dwadzieścia pięć centów — ogromna suma dla wielu ludzi. Jehosophat Jefferson sądził, że jego usługi mogą stać się tańsze i lepsze. Postanowił, że „Global” będzie przewoził pocztę i wydawał swoje własne znaczki pocztowe. Artysta J. C. Wyatt sporządził projekt błękitnego znaczka za sześć centów, na którym widniał profil matki Rose.

Zanim upłynął rok, firma „Global” przewoziła już tysiące worków z korespondencją. W końcu interweniował rząd, któremu groziła utrata monopolu, i zagroził firmie surowymi konsekwencjami. Jefferson postanowił walczyć, a drobna część zysków spółki wystarczyła na pokrycie kosztów sądowych. „Global” cieszył się ogromnym poparciem ludności, dlatego rząd musiał ustąpić i wprowadził ustawową cenę trzech centów od znaczka. Jehosophat Jefferson wycofał się z godnością z pocztowego interesu, zabierając ze sobą tysiące drobnych przedsiębiorców i inwestorów, którzy w następnych latach pozostali jego lojalnymi klientami. Pod koniec dziewiętnastego wieku parowce firmy „Global” przemierzały Wielkie Jeziora i wodne arterie komunikacyjne, takie jak rzeka Hudson, Ohio i Missisipi. Biznesmeni z zachodniego wybrzeża liczyli na słynny „Global Overland Express”, kiedy chcieli wysłać towary z serca amerykańskiego kontynentu nad wybrzeże Pacyfiku. Dla ochrony pasażerów i ładunku, zwłaszcza sztabek złota, kompania zorganizowała własną ochronę — w jej skład wchodziłi uzbrojeni w winchestery ludzie o groźnych minach, ubrani w płaszcze i kapelusze Stetsona.

Rose wcześniej się jednak dowiedziała, że za sukces trzeba niekiedy płacić wysoką cenę. Kiedy miała dziewięć lat, jej rodzice wraz z babką zginęli na statku firmy „Global”, który zatonął w czasie burzy na Jeziorze Górnym. Jehosophat Jefferson nigdy nie wybaczył sobie tej tragedii.

Rose, stojąc przy grobie rodziców, przyrzekła sobie, że wynagrodzi dziadkowi tę stratę i okaże się jego godną spadkobierczynią. Od tamtej pory robiła wszystko, żeby przygotować się do tej roli. Teraz nadszedł wreszcie oczekiwany dzień.

Kiedy Rose spojrzała w lustro, nie zobaczyła zdenerwowanej panny młodej, lecz pewną siebie kobietę, gotową do tego, by zająć miejsce u boku dziadka w biurze na Lower Broadway.

— Jestem gotowa — oświadczyła spokojnie Rose.

Wiedziała, że madame Lebrun nie ma pojęcia, co chciała przez to powiedzieć.

Salon znajdował się we wschodnim skrzydle Dunescragu, z dala od głównych pokoi gościnnych, mimo to dochodziły do niego głosy rozmawiających gości. Siedemdziesięcioletniemu Jehosophatowi Jeffersonowi wydawało się, że ma wokół siebie duchy swoich bliskich. Ciekaw był, co sądzą o tym wszystkim.

Jehosophat Jefferson kochał ten pokój, urządzone przez zmarłą żonę Emmę. Drewniane ściany obite były adamaszkiem i wykładane złotem oraz hebanem. Światło wpadało do pokoju przez ogromne okno, wychodzące na Atlantyk. Kiedyś wśród tych mebli bawiły się dzieci. Na otomanie siadywała Emma, pochylając się z łagodnym uśmiechem nad robótką. Syn Jeffersona z chłopca zamienił się w młodego mężczyznę i przyprowadził do domu narzeczoną, która wkrótce urodziła dziecko. A Emma, słodka Emma, otoczona wnukami...

Stary patriarcha rodu ledwie powstrzymywał łzy. Wszyscy odeszli—pochłonęły ich lodowate wody Jeziora Górnego. Nigdy jednak o nich nie zapomniał i teraz zadawał sobie pytanie: Czy zgodziliby się z podjętą przeze mnie decyzją?

Na całym świecie nie było istoty, którą Jehosophat Jefferson kochałby bardziej od swojej wnuczki Rose. Po utracie rodziny przyrzekł sobie, że nic, nawet firma „Global”, nie stanie między nimi.

Przez te wszystkie lata dotrzymywał obietnicy. Teraz był jednak w rozterce.

Jefferson zawsze wierzył, że jego wnuk, Franklin, jedyny męski potomek, osiem lat młodszy od Rose, stanie kiedyś na czele przedsiębiorstwa. Dziewczynkę należało raczej przygotować do roli żony, matki i gospodyni, zajmującej się domem i biorącej udział w imprezach dobroczynnych.

Nawet w obecnej postępowej epoce trudno było wyobrazić sobie kobietę zarządzającą nowoczesną, bardzo rozbudowaną firmą.

Rose wyłamała się jednak z tego schematu. Ktoś z zewnątrz mógłby ją uznać za piękną, młodą, wykształconą kobietę, która stanie się w przyszłości idealną żoną dla odpowiedniego mężczyzny. Były to jednak tylko pozory. Dziewczynka zawsze chętnie odwiedzała biura „Globalu”. W wieku dziesięciu lat Rose była już tam stałym gościem, rozpieszczanym przez sekretarki i tolerowanym przez współpracowników Jehosophata.

Przywiązanie Rose do firmy bawiło dziadka, który był pewien, że wnuczka z czasem się znudzi i znajdzie sobie inne rozrywki. Czekala go jednak spora niespodzianka. W wieku szesnastu lat Rose doskonale znała historię firmy. Ku zdziwieniu dziadka, pojmowała także zasady jej codziennego funkcjonowania, skomplikowane procedury, plany i taryfy. Interesowały ją fakty i cyfry, które wywoływały ziewanie nawet najbardziej pracowitych księgowych.

Nie mogła mi dać tego jaśniej do zrozumienia.

Rose nigdy nie powiedziała głośno, że chciałaby pracować w „Globalu”, świadczyła jednak o tym jej postawa i zaangażowanie. Dopiero w dniu osiemnastych urodzin, w czasie, w którym inne dziewczęta myślą o swoim towarzyskim debiucie, oświadczyła, że pragnie podjąć pełnoetatową pracę w przedsiębiorstwie dziadka.

— Muszę się jeszcze tyle nauczyć—dodała.—Chciałabym, dziadku, żebyś był ze mnie dumny. Dla Jehosophata Jeffersona był to prawdziwy szok. Determinacja i duma Rose nie pozostawiały żadnych wątpliwości: dziewczyna chciała zostać pełnoprawnym partnerem, tą osobą z rodziny Jeffersonów, która pewnego dnia stanie na czele firmy.

Oto posag, którego się spodziewa — rzekł Jehosophat Jefferson do duchów

swoich bliskich. — Jak mam jej wytłumaczyć", że nie może dostać jedynej rzeczy, której naprawdę pragnie?

Niespodziewane stukanie do drzwi przestraszyło patriarchę rodu.

— Proszę wybaczyć, sir — powiedział służący. — Panna Rose jest gotowa. Czeką na dole. Jehosophat Jefferson wstał powoli. Zatrzymał się na chwilę, mając nadzieję, że w ostatniej sekundzie duchy podsuną mu rozwiązanie. Wtórowała mu jednak tylko cisza.

Simon Talbot wracał ze śniadania wydanego po szaleństwach ubiegłej nocy przez nowojorskich przyjaciół. Udało mu się dotrzeć do Dunesragu i nie spotkać żadnego z licznych krewnych. Simon był z tego zadowolony. Od kiedy ogłosił swoje zaręczyny z Rose, musiał znosić wszystko, od pretensji porzuconych panien, wypowiedanych ze łzami w oczach, do poważnych ostrzeżeń przed poślubieniem dziewczyny z Północy.

Simon, przechodząc przez największy z dziesięciu pokoiów gościnnych, zauważył z zadowoleniem, że Albany, jego murzyński służący, przygotował już wszystko do wyjazdu na miesiąc miodowy. Simon zrzucił koszulę ze śladami szminki, pachnącą tanimi perfumami, i sprawdził temperaturę wody w wannie. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał masywne ramiona i nogi, ale pasowało to do jego sylwetki. W wieku trzydziestu pięciu lat w kręconych kasztanowych włosach Simona pojawiła się pierwsza siwizna. Nawet zanurzając się w cieplej kąpieli, Simon nie potrafił całkowicie się odprężyć. Zamknął oczy, ale jego niespokojna dusza nie drzemała.

Simon Talbot stał na czele ogromnej rodziny — całej gromady braci, siostr, kuzynów, ciotek i wujów, członków arystokracji Południa, którymi rządziła kiedyś żelazna ręka ojca. Po jego śmierci Simon przejął chylące się ku upadkowi przedsiębiorstwo bawełniano-tytoniowe. Cała rodzina zachowywała się tak, jak gdyby Południe nigdy nie poniosło klęski w wojnie domowej. Nie chciała się pogodzić z nastaniem nowej epoki przemysłowej, która przyniosła ze sobą ostrą konkurencję i walkę do upadłego. Zdaniem Simona, ta krótkowzroczność zamieniła członków rodziny w żywe relikty minionych czasów. On sam nie zamierzał dzielić ich losu.

Wyjazd Simona na Północ wzbudził gniew i rozczarowanie rodziny. W ciągu dziesięciu lat zbudował sieć kolejową samym sercu jankeskiego terytorium. Rodzina patrzyła na te osiągnięcia raczej z pobłażliwością niż z dumą, ale przebaczyła Simonowi jego grzechy, kiedy, jak prawdziwy syn Południa, pojął za żonę piękną kobietę z Georgii.

Małżeństwo niczego nie zmieniło. Pracując jak opętany, Simon potroił swoje dochody w ciągu kilku pierwszych lat nowego stulecia. Nowy Jork stał się bazą dla tysięcy lokomotyw oraz samochodów pasażerskich i osobowych firmy „Talbot Railroads”, które docierały aż do Vermont i na Florydę.

Przez kilka lat po ślubie Simon był bardzo szczęśliwy. Nicole okazała się wzorową żoną. Dobrze wiedziała, czego się od niej oczekuje i wspaniale prowadziła

dom. Nigdy nie pytała męża o interesy i nie prosiła o wyjaśnienia, gdy nie wracał na noc do domu. W zamian za to oddanie Simon podarował Nicole ogromny nowy dom przy Piątej Alei i nie kontrolował jej wydatków. Taka umowa bardzo mu odpowiadała.

Nicole kochała męża, ale jednej rzeczy nie potrafiła mu podarować: dziedzica. Kiedy lekarz oświadczył Simonowi, że jego żona jest bezpłodna, poczuł się tak, jak gdyby szczęście go opuściło. Wkrótce potem Nicole umarła na gripę. Znajomi szeptali, że powaliła ją nie tyle choroba, co smutek i wstyd. Simon nie wiedział, czy to prawda. Uważał, że jako mąż-dobrze wypełniał swoje obowiązki.

Simon Talbot zmył twarz mokrą gąbką i wytarł się do sucha. Golenie pozostawił zręcznym dłoniom Albany'ego. Przez kilka ostatnich lat radził sobie doskonale bez żony. Odkrył, że stan wdowieństwa stanowi atrakcyjną przynętę nawet dla najprzywocniejszych kobiet. Liczne związki miłosne nie przyniosły mu jednak tego, czego pragnął, i na co, jak sądził, zasługuje.

Przekonał się, że nowojorska socjeta jest równie wyniosła i zamknięta jak klany Południa. Nie pomogła mu błyskotliwa kariera. Miał wspaniały dom, brał udział w imprezach dobroczynnych, a mimo to cały czas czuł się outsiderem. Wiedział, że nic się pod tym względem nie zmieni, dopóki nie wdrze się do zaczarowanego kręgu czterystu rodzin rządzących Nowym Jorkiem.

Potrzebował żony należącej do tego świata. Dzięki niej zostanie w końcu zaakceptowany.

Szybko odkrył, że prawie wszystkie dziewczęta w odpowiednim wieku już się z kimś zaręczyły. Było wprawdzie kilka wdów, ale unikał ich tak samo jak starych panien. Nigdy nie zadowalał się resztkami po kimś. Potem rozejrzał się dokładniej i dostrzegł Rose Jefferson.

Wiedział, że Rose kochała się w nim jako mała dziewczynka. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. Rose zamieniła się w oszałamiającą, ognistą piękność. Im częściej ją widywał, tym większe robiła na nim wrażenie. Czuł mrowienie w całym ciele, kiedy muskała jego dłoń koniuszkami palców. Dostrzegwał w jej oczach namiętność, która zapierała mu dech w piersiach.

Mimo to postępował ostrożnie i starał się Rose nie narzucać. Nie chciał ryzykować, gdyż interesy, które prowadził z Jehosophatem Jeffersonem, były zbyt ważne. Zaczął jednak udawać samotnego, przygniecionego troskami wdowca, spodziewając się, że Rose wkrótce się nim znudzi. Tak się jednak nie stało; zamiast tego poprosiła, żeby poszedł z nią na jeden z uroczystych balów.

Śmiałość Rose wzbudziła w Simonie Talbocie szaleńcze pożądanie. Każdy wieczór wydawał mu się nieciekawym bez jej gardłowego śmiechu i odważnych, wyzywających spojrzeń. Był jednak przekonany, że jeśli przyjmie zaproszenie Rose, rozgniewa Jehosophata Jeffersona. Wówczas nie miałby już czego szukać w Nowym Jorku.

— Rose mi mówiła, że nadal nie zna twojej odpowiedzi — rzekł Jehosophat Jefferson, spacerując z Simonem nad morzem koło Dunescragu.

— Sir?

— W sprawie balu. Simon przełknął ślinę.

— Nie jestem pewien, jak pan by się na to zapatrywał, sir. Jehosophat Jefferson chrząknął.

— Widzę, co Rose do ciebie czuje — odparł po krótkiej przerwie. — To uparta dziewczyna, ale zna się na ludziach. — Jefferson zamilkł i stanął naprzeciw Simona.

— A co t y do niej czujesz?

Simon wiedział, że za chwilę udzieli najważniejszej odpowiedzi w swoim życiu. Spojrzał Jehosophatowi Jeffersonowi prosto w oczy.

— Kocham ją, sir.

Starszy pan pokiwał głową i spojrzał na ocean.

— Lubię cię, Simonie. Lubiłem Nicole i podziwiałem sposób, w jaki ją traktowałeś. Po mojej śmierci Rose będzie potrzebowała kogoś takiego jak ty. Jest wiele spraw, na które jeszcze nie jest przygotowana. Będziesz musiał ją uczyć, pomagać jej. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Simon myślał gorączkowo. Wiedział, że w posagu Rose wniesie między innymi akcje „Globalu”.

Był również pewny, że Jehosophat Jefferson nie pozwoli przyszłemu mężowi wnuczki na kontrolowanie przedsiębiorstwa. Franklin, młodszy brat Rose, zostanie najprawdopodobniej głównym spadkobiercą rodzinnej fortuny.

Simon starał się zachować spokój i ostrożnie dobierał słowa.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc Rose — odparł. — Będę honorował wszystkie pańskie ustalenia.

Jhosophat Jefferson długo mu się przyglądał.

— Wierzę, że dotrzymasz słowa — rzekł w końcu, wyciągając zapieczętowaną kopertę. — Oto posag przeznaczony dla was obojga. Oczywiście, będziesz musiał podpisać wcześniej rozmaite dokumenty. Dalej, otwórz!

Simon patrzył na kontrakt, przyznający firmie „Talbot Railroads” wyłączne prawo do przewożenia ładunków „Globalu”. Oszłomiła go wspaniałość tego gestu. Jehosophat Jefferson dał mu właśnie środki, dzięki którym będzie w stanie konkurować z takimi gigantami, jak „Vanderbilt's Pennsylvania Railroad” i „Morgan's TransAmerica Lines”. Zajmie wreszcie miejsce w panteonie wielkich amerykańskich przemysłowców. Będzie miał żonę, która zapewni mu powszechny szacunek i podaruje coś, czego nie była w stanie dać Nicole: dziedzica.

— Chcę, Simonie, żebyś się nią opiekował — dodał Jehosophat Jefferson.

— Jeśli nie zdążę nauczyć jej wszystkiego, ty będziesz musiał to zrobić. Ona ma „Global” we krwi. Pewnego dnia stanie na czele firmy. Jestem tego absolutnie pewien.

— Będzie tak, jak pan sobie życzy, sir — odpowiedział poważnie Simon.

— Dobrze. Wracajmy do domu. Mamy wiele do omówienia.

Dziesięć dni później, w czasie balu, Simon Talbot oświadczył się Rose Jefferson i został przyjęty. Radość na twarzy dziewczyny i jej namiętne pocałunki przekonały Simona, że Rose nie zdaje sobie sprawy, iż jego myśli podążają zupełnie innym torem.

Albany przyniósł swojemu panu szary garnitur. Simon Talbot włożył go, przymocował perłową spinkę do krawata i przejrzał się w lustrze. Spojrzał na zegarek.

— Chyba już czas. Albany wyciągnął rękę.

— Gratuluję panu i życzę szczęścia.

Simon wyszedł z pokoju. Zatrzymał się na szczycie schodów i popatrzył w dół. Wszyscy goście siedzieli. Duchowny już czekał. Z galerii dochodziły ciche dźwięki muzyki. Simon patrzył na tę scenę niczym upojony władzą pan feudalny. Zastanawiał się, czy Jehosophat Jefferson powiedział Rose o zawartej z nim umowie. Pomyślał, że osiemnastoletnia dziewczyna mogłaby mieć do czynienia z tak złożonym organizacyjnie przedsiębiorstwem jak „Global”, wydawał się Simonowi śmieszny. Nie potrzebował upartej młodej żony, która mówiłaby mu, jak ma prowadzić interesy. Opracował już plan podporządkowania „Globalu” firmie „Talbot Railroads”.

Wszystko będzie dobrze — powiedział sobie Simon. Wziął głęboki oddech i zaczął schodzić po schodach ku swojemu zwycięstwu.

2.

Czy ty, Rose Alice Jefferson, bierzesz sobie tego mężczyznę za małżonka i ślubujesz mu miłość, szacunek i posłuszeństwo...

Rose przestała słuchać słów duchownego. Sztywna suknia ślubna była taka niewygodna. Ta kreacja ważyła chyba tonę. Ledwo doszła do ołtarza, lak swędziała ją skóra na plecach.

Czy kocham Simona? Oczywiście! Czy go szanuję? No cóż... tak. Czy będę mu posłuszna?

Rose spojrzała na Simona i powiedziała pokornie — Tak.

Poczuła szarpnięcie. To Simon wsuwał jej obrączkę na palec.

Odwróciła się ostrożnie i oparła na ramieniu Simona. Wyszli przez wspaniałe, podwójne drzwi, prosto na starannie przystrzyżony trawnik, który rozciągał się aż do samego morza. Rose słyszała głośny śmiech i oklaski. Rzuciła przez ramię bukiet w kierunku gromadki druhen, nie dbając o to, której z nich udało się go złapać.

Jestem już kobietą i nie interesują mnie takie dziecinne zabawy. Teraz zaczyna się dla mnie prawdziwe życie.

Rose zaczęła się zastanawiać, co powinna powiedzieć, kiedy dziadek uzna ją publicznie za swoją dziedziczkę.

Fotografowie robili zdjęcia młodej parze, rodzinie i gościom. Sala balowa wyglądała jak w bajce: na stole widać było lodowe desery w kształcie nimf i kupidynów oraz tort weselny z dwunastu warstw. Kolejka gości składających życzenia była tak długa, że Rose miała wrażenie, iż za chwilę odpadnie jej ręka. Mięśnie twarzy zeszywniały jej od nieustannego uśmiechu; bolało ją gardło od wygłaszania podziękowań. Była bardzo głodna, ale mimo to zaledwie spróbowała posiłków i tylko umoczyła usta w szampanie, który na tym przyjęciu lał się strumieniami. Cieszyła się wspaniałością chwili, ale czekała z niecierpliwością, aż dziadek zacznie mówić o posagu. Simon kupił jej w prezencie ślubnym ogromny dom

na Piątej Alei, w którym od tej pory mieli zamieszkać. Rose upatrzyła sobie raczej skromniejszą rezydencję na Park Avenue, z której blisko było do biur „Globalu” na Lower Broadway. Była pewna, że z czasem Simon da się przekonać do tego pomysłu.

Po toastach podzielono tort i uprzątnięto stoły. Orkiestra czekała w gotowości. Simon stanął przed górą prezentów i podziękował gościom za ich hojność i zyczliwość. W tym samym czasie Rose marszczyła brwi ze zdenerwowania, patrząc na dziadka.

Na co on czeka?

Zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, orkiestra zaczęła grać. Rose zatańczyła obowiązkowego pierwszego walca z Simonem, a zaraz potem wpadła w objęcia dziadka.

— Nie sądzisz chyba, że o tobie zapomniałem? — dokuczał jej.

— Oczywiście, że nie, dziadku — odpowiedziała ze słodyczą w głosie Rose.

— Mam to w tej kieszeni — zapewnił ją Jehosophat Jefferson.

Kątem oka Rose dostrzegła grubą białą kopertę wystającą z kieszeni marynarki.

— Cześć, siostrzyczko. Zatańczysz ze mną?

Rose spojrzała w dół na swojego dziesięcioletniego brata, Franklina. Dostrzegła umytą buzię, złote włosy i figlarne spojrzenie.

— No, no, co za galant! — skomentowała. Wyciągnęła ręce do braciszka, tak aby mógł ją objąć, i zawirowali po posadzce ku zachwytowi widzów.

Rose spojrzała czule na Franklina. Zawsze troszczyła się o niego, starała się pełnić jednocześnie rolę matki, opiekunki i koleżanki. Kiedy podrosła, często marzyła, że pewnego dnia będzie pracować razem z nim. Była starsza, dlatego oczywiście pierwsza podejmie obowiązki związane z firmą. Później nauczy Franklina wszystkiego, co powinien wiedzieć o spółce. Razem będą kontynuować dzieło dziadka. Połączą ich wspólny los.

Rose wciąż marzyła, kiedy nagle zderzyła się z czymś twardym jak dąb.

— Czy moglibyśmy... To znaczy...

Rose wybuchnęła śmiechem. Monk McQueen radził sobie ze słowami równie nieporadnie jak z dziewczętami.

— Chodź — powiedziała, przejmując inicjatywę.

Jak na swoje szesnaście lat Monk McQueen był wyjątkowo duży. Przypominał niezgrabnego niedźwiedzia z rozczochranymi, ciemnymi włosami i oczami, w których błyszczała ciekawość.

Rose знаła Monka od niepamiętnych czasów. Dziadek uważał, że nikt w całym kraju nie pisuje tak dobrych sprawozdań finansowych jak jego ojciec, Alistair McQueen. Rodzina McQueenów była zamożna, ale nie bogata. Wpływy z ich inwestycji były zaledwie częścią dochodów takich ludzi jak Jeffersonowie czy Talbotowie.

— Jak długo będziesz w Europie? — zapytał Monk, trzymając Rose tak, jak gdyby była porcelanową figurką.

— To nasz miodowy miesiąc, głuptasie — dokuczała mu Rose. — Chcemy tam przebywać tak długo, jak się da.

Monk starał się zachować spokój, ale Rose zauważyła jego przygnębienie. Przytuliła się do niego.

Dobrze wiedziała, że Monk McQueen od wielu lat kochał się w niej. Była wprawdzie dwa lata starsza, ale wzrost Mońka i jego poważne usposobienie zacierały tę różnicę. Jeszcze jako dziecko Monk wyznał jej miłość. Z ciekawości Rose pozwoliła mu pocałować się w usta. Było to zabawne, a jednocześnie dziwnie przyjemne.

Powodowany dziecięcym uczuciem Monk zarzucał Rose prezentami: dawał jej cukierki, karty i małe bransoletki, kupione z zaoszczędzonego kieszonkowego. Na początku Rose była zadowolona; pochlebiały jej te uczucia. Polubiła nawet dziwne imię chłopca¹.

W tym wieku dziewczęta dojrzewają szybciej niż chłopcy i Rose nie była wyjątkiem. Kiedy wróciła latem do Dunescragu na swoje trzynaste urodziny, doszła do wniosku, że Monk raczej ją irytuje, niż bawi. Zaczęła go unikać, wolała spędzać czas ze starszymi kolegami. Kiedy zakochała się w Simonie Talbocie, Monk stał się jedynie wspomnieniem, które można było skwitować pełnym zakłopotania chichotem.

— Co zamierzasz robić, Monk? — spytała Rose, licząc, ile taktów pozostało do końca tańca.

— Och, chyba pójdę do Yale — odpowiedział niepewnie.

— To świetnie.

— Ty oczywiście zamieszkaż w Nowym Jorku.

— Oczywiście.

— Wspaniale. Yale jest niedaleko — rozpromienił się Monk.

— Na pewno oboje będziemy bardzo zajęci — odrzekła Rose, nie chcąc mu robić żadnych złudzeń. Kiedy muzyka umilkła, rozejrzała się po sali.—Monk, czy to nie okropne?! — wykrzyknęła.

Wskazała ruchem głowy dziewczęta patrzące zazdrośnie na tancerzy i zerkające ku chłopcom po drugiej stronie pokoju, którzy nie mieli odwagi poprosić ich do tańca.

— Widzę Poppy i Melissę... Och, jest tam również Konstancja. Bądź tak miły i zatańcz z nimi.

Zanim Monk zdążył zaprotestować, Rose poprowadziła go ku młodym damom, które natychmiast zaczęły się rumienić.

— Byłeś wspaniałym przyjacielem — wyszeptła Rose. — Simon i ja chcielibyśmy, żebyś nas odwiedził zaraz po naszym powrocie.

Rose zauważyła, że dziadek daje jej znaki, zostawiła więc Mońka, nawet na niego nie spojrzawszy.

Przejdzie mu—pomyślała, starając się przekonać samą siebie, że Monk McQueen niczym się nie różni od innych młodych ludzi, którym złamała serca w ostatnich latach.

Puls Rose był przyspieszony, kiedy wchodziła do gabinetu dziadka. Jehosophat Jefferson objął ją.

— Nigdy nie widziałem piękniejszej panny młodej.

Monk, czyli „mnich” (przyp. tłum.)

— Wszystko było cudowne, dziadku. Dziękuję!

Jehosophat Jefferson zaprowadził wnuczkę na sofę przy oknie wychodzącym na ogród. Podał jej kopertę, którą wyjął z kieszeni marynarki.

— Chciałbym, żebyś to przeczytała.

Rose była zaintrygowana powściągliwością dziadka. Kiedy zaczęła czytać, nie wierzyła własnym oczom.

— Dalej — powiedział łagodnie. — Dokończ.

— Nie rozumiem — odparła oszołomiona Rose. — Tak ciężko pracowałam...

— Chciałem, żebyś była zabezpieczona — powiedział Jehosophat Jefferson. — Gdyby coś mi się stało...

— Sądzisz, że nie mogę kierować „Globalem”!

Rose natychmiast pożałowała swojego wybuchu. Był małostkowy i dziecinny.

— Wiesz dużo o firmie — mówił Jehosophat Jefferson. — To jednak nie zastąpi doświadczenia.

Gdyby mnie zabrakło, zdobędziesz doświadczenie dzięki Simonowi. Obiecał, że nauczy cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć o zarządzaniu przedsiębiorstwem. Kiedy skończysz dwadzieścia sześć lat, Simon przekaze ci pięćdziesiąt jeden procent akcji „Globalu” i staniesz się głównym udziałowcem. Resztę dostanie Franklin, kiedy dorośnie. Mam nadzieję, że we dwojkę będziecie kontynuować moją pracę.

Jehosophat Jefferson spojrzał błagalnie na wnuczkę.

— To tylko środek ostrożności, Rose. Simon nie ma w firmie nic do powiedzenia. Rose zdążyła się już uspokoić.

— Tak więc wszystko pozostaje bez zmian — oświadczyła powoli.

— Wasze majątki będą osobne — odrzekł Jehosophat Jefferson. — W umowie istnieje warunek, który nazywam „zatrutą pigułką”.

— Cóż to takiego? — roześmiała się Rose.

— Simon jest byстрыm biznesmenem, a „Talbot Railroads” to solidna firma. Jeśli jednak Simonowi przydarzy się jakaś katastrofa, to napisano tam czarno na białym, że zasoby „Globalu”, czyli twoje dziedzictwo, nigdy nie zostaną wykorzystane dla ratowania „Talbot Railroads”.

Rozumiesz, co mówię?

Rose objęła go; jej oczy błyszczały.

— Rozumiem, dziadku. Przepraszam. Zachowałam się jak idiotka. Oboje wiemy, że nic ci się nie stanie.

Niech Bóg mi wybaczy — pomyślał Jehosophat Jefferson, trzymając wnuczkę w ramionach. — Wszystko będzie dobrze. Na pewno!

Jehosophat Jefferson musiał w to wierzyć. Starał się dać Rose do zrozumienia, że umowę zawartą z Simonem Talbotem podyktowała zwykła ostrożność finansowa. Dzięki temu Rose uwierzyła, że nic się nie zmieniło. A jednak wszystko się zmieniło. Sprawiała to mała złośliwa narośl na jego kościach, która zabije go przed upływem roku.

Jehosophat Jefferson zaakceptował to, co nieuniknione, pogodził się z samym sobą, a potem spojrzał w przyszłość. Nie pozna wprawdzie losów swojego imperium, ale przynajmniej może się postarać, by wnuczka kontynuowała dzieło jego życia. Te wszystkie słodkie kłamstwa były przeznaczone wyłącznie dla jednej osoby: Rose.

3.

W apartamencie na statku U.S.S. „Constitution” wszędzie dostrzegało się polerowany mahoń, brązy i witraże. W salonie, sypialni i buduarze stały bukiety letnich kwiatów. W srebrnym naczyniu chłodził się szampan — prezent od kapitana.

— Tu jest wspaniale! — wykrzyknęła Rose, tańcząc po apartamencie i obejmując Simona.

Rose przypilnowała pokojówek, które zajmowały się rozpakowywaniem bagażu, a potem poszła na kolację przy kapitańskim stole w śmiałej, czer-wono-pomarańczowej sukni wieczorowej. Wróciwszy do siebie, wzięła gorącą kąpiel. Siedziała naga w buduarze przed zwierciadłem i myślała: Co mam teraz robić?

W domu, w którym dorastała, nie było kobiet i nie miała z kim porozmawiać

o seksie. Dziadek nigdy nie poruszał tego tematu, a ciotki rumieniły się, kiedy zapytała, co robią te konie na wybiegu. Porównywała mężczyzn lub chłopców ze swoim dziadkiem, ale nigdy nie rozumiała, dlaczego zawsze czegoś jej w nich brakowało. Idealnym typem mężczyzny było według niej połączenie Heathelifa z *Wichrowych wzgórz* i księcia Andrzeja z *Wojny i pokoju*. Zdaniem Rose, taki właśnie był Simon. Teraz jednak, kiedy go już zdobyła, nie chciała go rozczarować.

Może powinnam wypić dzisiaj dużo wina — pomyślała. — Simon zatańczy ze mną, weźmie mnie na ręce, a potem, zanim się zorientuję, co się dzieje... — Rose drgnęła, kiedy drzwi buduaru nagle się otworzyły.

— Tu jesteś...

Zamarła. Simon stał przed nią nagi, z zarumienioną twarzą, a jego oddech pachniał szampanem.

Rose nie mogła oderwać oczu od włosów na jego piersi

1 sztywnego członka, który prawie dotykał jej ust.

— Weź go! — rozkazał ochryple.

— Simonie!

Chwycił ją za głowę i pociągnął do przodu, aż w końcu poczuła jego męskość w ustach.

— Polubisz to, Rose — jęknął Simon. — Nauczę cię wszystkiego!

Rose usiłowała cofnąć głowę, ale Simon był silniejszy. Ocierał się o jej twarz, jakby chciał ją zadusić. Z oczu Rose popłynęły łzy. W końcu, kiedy miała już zwymiotować, zrobiła jedyną rzecz, która jej przyszła do głowy: zacisnęła mocno zęby.

Simon krzyknął i cofnął się. Zaciągnął ją do sypialni i rzucił na łóżko. Rozchylił jej nogi, a jego chciwe palce o ostrych paznokciach sprawiały dziewczynie ból. Potem Simon położył się na Rose i starał się w nią wejść. W końcu mu się to udało.

Pokój zawirował. Rose wiedziała, że krzyczy, ale dźwięk do niej nie docierał. Drapała Simona po plecach, a jej zęby zanurzyły się tak głęboko w jego ramieniu, że w ustach poczuła krew. Nic go jednak nie mogło powstrzymać. Simon przypominał olbrzymiego bezrozumnego robota, który drążył dziewczynę bezlitośnie, aż miała wrażenie, że za chwilę rozerwie ją na kawałki. Potem poczuła, jak do jej wnętrza wlewa się coś ciepłego. Simon krzyknął spazmatycznie, podrzucając biodrami, aż wreszcie stoczył się z niej, ciężko dysząc.

Rose powoli odsuwała się od niego. Atlasowa pościel była mokra od jej krwi. Ten ból! Rose nigdy nie przeżyła czegoś tak strasznego. Powoli zwinęła się w kłębek, przyciskając do ust zwiniętą w pięść dłoń. Kiedy Simon w końcu jej dotknął, Rose zadrżała.

— Pierwszy raz jest zawsze trudny dla kobiety—powiedział ochryple, gładząc ją po ramieniu. — Ale podobało ci się to, prawda Rose? Jesteś taka piękna, że nie mogę się doczekać następnego razu. Wszystkiego cię nauczę. Nauczysz się to lubić, Rose. Za każdym razem będzie coraz lepiej, zobaczysz.

Rose jęknęła, gdy Simon klepnął ją w pośladek i zniknął w łazience. Dopiero kiedy usłyszała zamykające się drzwi i szum wody, odważyła się otworzyć oczy.

W tym momencie Rose miała ochotę zabić Simona. Wszystko, co mówił, było kłamstwem. Miłość nie powinna tak boleć. Powinna być delikatnym, łagodnym połączeniem dusz i ciał.

Może to moja wina. Gdybym wiedziała, co mam robić, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Przypomniała sobie wszystko od początku. Czy Simon robił to samo z Nicole? Ona mu na to pozwalała? Jak mogło to sprawiać jej przyjemność?

Przestań! Teraz jesteś kobietą! Możesz sprawić, że będzie to piękne. Musisz spróbować!

Jednakże z Simonem nigdy nie stało się to piękne. Przez następny tydzień Rose nienawidziła cudownych zachodów słońca nad oceanem. Zwiastowały one nieopisany ból, po którym czuła się przerażona i zawstydzona. Codziennie modliła się, żeby pokojówki powiedziały komukolwiek o poplamionych prześcieradłach. Każdego ranka po śniadaniu widziała jednak pościelone łóżko, przygotowane na nowe tortury. Podróż, na którą tak się cieszyła, zamieniła się w koszmar.

Lato 1907 roku było wspaniałym sezonem na kontynencie. Europa cieszyła się bogactwem i pokojem. W każdym kraju panowała atmosfera karnawału, która łatwo udzielała się przybyszom. Kiedy tylko „Constitution” zawinął do Southampton, Rose zaczęła szukać wymówki, żeby wrócić do domu. Sporządziła kilka telegramów do dziadka, ale wszystkie podarła. Rumieniła się ze wstydu, odczytując napisane przez siebie słowa. Było w nich tyle cierpienia, że nawet jej wydawały się niewiarygodne. Przeżywała rozterkę. Dziadek cenił Simona i ufał mu. Czy w tej sytuacji jej uwierzy?

Ucieknę — pomyślała z nienawiścią Rose. — Wrócę i przekonam go, że Simon jest potworem! Nigdy nie miała takiej szansy. W porcie czekali na nich przyjaciele Simona. Rose znalazła się wśród arystokratek, które już zorganizowały jej towarzyski debiut w Wielkiej Brytanii.

Stopniowo przestała bać się nocy. Simon przebywał do późna z przyjaciółmi. Często znajdowała go chrapiącego na sofie. Szybko zauważyła, że jego popęd seksualny zmniejszał się, kiedy był pijany, zadbała więc o to, by zaopatrywano ich apartament w najlepsze wina i likiery.

Rose nie mogła jednak nic zrobić, by skrócić miesiąc miodowy. Simon zaplanował trzymiesięczną podróż po Europie, a jego znajomi chętnie gościli ich na każdym postoju. Kupił wspaniałego, srebrzystego rolls-royce'a, a także dwa inne samochody, które wiozły bagaż i służbę. Po dwóch tygodniach spędzonych w Londynie zwiedzili prowincję, podróżując przez Oxford, Winchester i Canterbury, gdzie znajdują się najpiękniejsze angielskie katedry. Rose czuła się już względnie bezpieczna. W Londynie kupiła spory zapas proszków nasennych. Kiedy Simon planował zostać w domu na noc, wsypywała do jego drinków porcję, która uspiłaby konia.

Przeplłynawszy przez kanał La Manche, pojechali do Paryża na wielką Wystawę Europejską. Później podróżowali przez zamglone doliny wspaniałych winnic, gdzie przyjmowali ich księżta i księżne, których nazwiska związane są z najwspanialszymi gatunkami win na świecie. Na początku października Rose i Simon ruszyli przez Alpy ku rzece Ren, a potem do Berlina.

W każdym miejscu Rose robiła na gospodarzach wrażenie idealnego gościa. Mówiła niewiele i słuchała uważnie. Znała tylko angielski, a mimo to starała się poznawać historię kraju i rodziny, u której w danym momencie przebywali. Wielkie damy były nią oczarowane. Brały ją chętnie pod swoje opiekuńcze skrzydła i zgadzały się pomiędzy sobą, że należy jej wybaczyć amerykańskie pochodzenie.

Rose dużo się przy tym uczyła. Mieszkając wśród Europejczyków, zrozumiała, dlaczego bogaci Amerykanie naśladowali ich maniery i obyczaje. Nic nie miała przeciwko europejskiej etykietce. Zastanawiała się jednak, czy Amerykanie kiedykolwiek zauważyli, co kryje się pod tą fasadą. Jej zdaniem, kontynentalna kultura była bardzo krucha. Ci ludzie nie widzieli zmian, dokonujących się pod ich bokiem. Rose wszędzie dostrzegała nieodwracalny upadek. Była przekonana, że zawalenie się tej wspaniałej budowli jest tylko kwestią czasu.

Rose liczyła dni do końca podróży. Obserwowała uważnie Simona. W towarzystwie jej mąż był czarującym, dowcipnym i pełnym wdzięku mężczyzną, stale przyciągającym spojrzenia innych pań. Kiedy przebywali sam na sam, stawał się milczący i obojętny lub natarczywy i zachłanny. Jeśli Rose nie zdążyła podać mu przyrządzonego przez siebie drinka, znajdowała inne sposoby. Udawała, że coś ją boli lub że ma zawroty głowy, i leżała nieruchomo w jego objęciach. Ten brak reakcji doprowadzał go do szału. Jeśli to go nie odstraszało, Rose kaleczyła się brzytwą w udo. Kiedy Simon wkładał rękę pomiędzy jej nogi i odkrywał krew, odwracał się z niesmakiem, skarżąc się na jej nieustanne okresy.

Po przybyciu do Londynu Rose zaczęła przygotowywać się na powrót do domu, pamiętając brutalne sceny z morskiej podróży do Europy. Na szczęście Simon zaczął spędzać noce w saloniku, gdzie mężczyźni aż do świtu grali w brydża i pokera. Rose miała się jednak na baczności. Kiedy „Constitution” płynął w kierunku Nowego Jorku, Rose doszła do wniosku, że musi jakoś naprawić tę straszną pomyłkę, którą popełniła, poślubiając Simona. Trudno jej było się z tym pogodzić, wiedziała jednak, że nie ma wyboru i musi porozmawiać z dziadkiem. Jehosophat Jefferson wiązał wprawdzie wielkie nadzieje z małżeństwem Rose, ale przecież jej wysłucha i pomoże znaleźć rozwiązanie.

W trakcie ostatniego obiadu na morzu koło Simona pojawił się steward i wręczył mu zapieczętowaną kopertę. Rose ledwo to zauważyła. Słuchała wówczas kapitana, który opowiadał zabawne, choć trochę pieprzne anegdoty. Kiedy kapitan skończył, Simon wystraszył Rose, bo przeprosił wszystkich i skinął na nią, żeby za nim poszła.

— Simonie, co się stało?

Bez słowa Simon poprowadził Rose do wolnego stolika w pustej sali. W milczeniu wręczył jej telegram od Mary Kirkpatrick, która od trzydziestu lat była sekretarką dziadka.

PAN JEFFERSON ZMARŁ DWA DNI TEMU. TELEGRAFOWAŁAM JUŻ, ŻEBY WAS O TYM POWIADOMIĆ. PROSZĘ O SZYBKIE POTWIERDZENIE ODBIORU.

— Jak mogłeś! — wściekała się Rose. — Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bo nic nie mogłaś zrobić — odrzekł Simon, starając się nadać za Rose, która na wpół przeszła, na wpół przebiegła przez kontrolę celną. — Nie chciałem, żeby było to dla ciebie jeszcze cięższe...

Rose odwróciła się do niego.

— Nie traktuj mnie protekcyjnie, Simonie! Nie waż się nigdy tego robić!

— Zadbalem o „Global” — zapewnił Simon. — Wszystko jest tam w najlepszym porządku...

— To kolejna sprawa — ucięła Rose. — Nie chcę, żebyś zajmował się „Globalem”, dopóki nie będę dokładnie wiedziała, co się dzieje.

Urzędnik biura imigracyjnego rozpoznał jej nazwisko i grzecznie zsalutował.

— Słyszałem o panu Jeffersonie, pani Talbot. Bardzo mi przykro. Może pani przejść. Dopilnuję, żeby nie było kłopotów z pani bagażem.

Rose miała łzy w oczach.

— Dziękuję. To bardzo miłe z pana strony. Mąż zajmie się rzeczami. Muszę jechać do domu. Zanim Simon mógł ją powstrzymać, pobiegła ku czarnemu powozowi zaprzęzonemu w czwórkę koni.

Rose siedziała w fotelu dziadka. W pokoju wciąż unosił się zapach palonego przez niego tytoniu; na ścianach wisiały jego ulubione obrazy marynistyczne, a także medale, odznaczenia i listy gratulacyjne od prezydentów i mężów stanu. Widok biura przywołał wspomnienia, które jednak nie raniły, lecz przynosiły pociechę.

Może to dlatego, że byłam tu tak szczęśliwa...

— To wszystko, co mogę ci powiedzieć, Rose... to znaczy pani Talbot—mówiła Mary Kirkpatrick. — Zapewniam panią, że umarł w spokoju. Wiem, bo byłam przy nim aż do końca.

— Nie nazywaj mnie panią Talbot, Mary — powiedziała łagodnie Rose. — Zawsze mówiłaś do mnie Rose albo Rosie.

Mary Kirkpatrick, mnąc w dłoni chusteczkę, zdobyła się na uśmiech. Jej rodzice byli Handczykami, którzy uciekli do Ameryki w czasie głodu ziemniaczanego w 1848 roku. Mary była pierwszą i jedyną osobistą sekretarką Jehosophata Jeffersona. Miała pięćdziesiąt lat, ale jej twarz zachowała wspaniałą białą cerę i błyszczące niebieskie oczy odziedziczone po przodkach.

Wysoko upięte, bujne włosy znaczyła siwizna.

Mary sądziła, że nikt nie zna Rose tak dobrze jak ona. Widziała, jak dorastała, besztowała ją za złe zachowanie, przynosiła jej mleko i ciastka, kiedy pracowała w biurze u boku dziadka, pilnie wypisując ołówkiem cyfry na papierze. Mary wiedziała, że gdyby dobry Bóg pozwolił jej mieć dzieci, byłyby one równie śliczne i mądre jak jej ukochana Rose.

— Czy widziałaś Franklina, Mary? — zapytała Rose. — Jak on się czuje?

— To dzielny młody mężczyzna — odparła Mary Kirkpatrick. — Pani Mulcahey codziennie do mnie dzwoni i twierdzi, że Franklin trzyma się dobrze.

— Muszę iść do Dunescragu — szepnęła Rose. — Jest tak wiele do zrobienia... Spojrzała na kartkę papieru leżącą na zielonym skórzanym blacie biurka dziadka.

Mary Kirkpatrick zanotowała na niej, czego Rose będzie potrzebować i ułożyła wszystkie dokumenty po drugiej stronie biurka. Była tam karta wypisu ze szpitala im. Roosevelta, zgodnie z którą przyczyną śmierci dziadka był zaawansowany rak kości. Załączony do niej list od lekarza zapewniał Rose, że Jehosophat Jefferson zażywał morfinę i prawie nie cierpiał.

W kolejnej teczce znajdował się testament Jehosophata Jeffersona wraz z listem od adwokata. Prawnik pisał, że pomimo jego rad założyciel „Global Enterprises” nie

pozwoili poinformować Rose o swojej chorobie. Jeszcze przed ślubem wnuczki Jehosophat Jefferson wiedział, że najprawdopodobniej nie dożyje świąt Bożego Narodzenia.

W ostatniej teczce były dokumenty związane z pogrzebem. Mary zaplanowała całą uroczystość bardzo dokładnie: gdzie i kiedy odbędzie się pochówek, kto będzie niósł trumnę, jakie fragmenty Pisma Świętego należy przeczytać nad grobem.

— Pomyślałaś o wszystkim, Mary—powiedziała Rose. — Dziękuję. Wiem, że bardzo go kochałaś.

Mary Kirkpatrick zaczęła płakać. Rose podeszła do niej i mocno ją objęła.

— Jesteś mi potrzebna, Mary — wyszeptła Rose. — Musimy kontynuować jego dzieło.

Pomożesz mi, prawda?

Mary Kirkpatrick skinęła głową. Modliła się, żeby Rose ją o to poprosiła. Nie miała przecież dokąd iść.

Pięć dni później, chłodnego, jesiennego dnia Rose Talbotpochowała przedostatniego ze swoich krewnych. Stała z dala od pozostałych żałobników — przyjaciół i współpracowników Jehosophat Jeffersona i przedstawicieli rządu. W swoim czarnym stroju wyglądała jak samotne drzewo na urwisku. Obejmowała ramieniem Franklina.

Spuszczano trumnę, a kobziarz w szkockiej spódniczce zaczął grać żałobną pieśń. Rose przyjmowała kondolencje.

— Dobrze się czujesz, siostrzyczko? — zapytał Franklin. Miał przekrwione oczy, a silny wiatr zaróżowił mu policzki.

Rose uśmiechnęła się.

— A ty?

— Chyba tak — zawahał się Franklin. Znowu przerwał, a potem zapytał: — Co teraz zrobimy?

— Dokładnie to, czego chciałby dziadek.

Rose dotrzymała słowa. Pomogła Franklinowi i jego wychowawcom przenieść się z Dunescragu na Piątą Aleję, do domu, który kupił Simon. Potem wróciła na Long Island i dopilnowała zamknięcia wielkiej posiadłości. Zabrano meble, stare dywany i obrazy. Skatalogowano i zapakowano antyki, srebra i ozdoby. Trzeba było napisać referencje odchodzącej służbie, a także zatroszczyć się o tych, którzy mieli w dalszym ciągu utrzymywać porządek w posiadłości dziadka. Pomimo sugestii Simona, Rose nie zgodziła się wystawić domu na sprzedaż. Należał tylko do niej. Pewnego dnia wróci do Dunescragu i przywróci mu dawną świetność.

Zanim Rose zajęła się rodzinnymi sprawami, zostawiła instrukcje dla Mary Kirkpatrick. Kiedy przyjechała do biura „Globalu” na Lower Broadway, przekonała »ię z zadowoleniem, że sekretarka dobrze się spisała. Mary przygotowała dla Rose biuro Jehosophat Jeffersona, pokazała, gdzie mieści się jej własne stanowisko pracy i przedstawiła niedawno zatrudnione stenografistki i maszynistki. Rose obejrzała

i zaaprobowała nowy papier firmowy z nagłówkiem zaprojektowanym przez Mary, sprawdziła najświeższe dane i zanotowała datę następnego posiedzenia rady nadzorczej.

— Chciałabym spotkać się ze wszystkimi wyższymi urzędnikami firmy — powiedziała do Mary.

— Proszę cię również, żebyś zadzwoniła do biura pana Talbota. Zapytaj, czy mógłby przyjechać po mnie w drodze do domu.

Kiedy Simon zjawił się w biurze Rose, sceptycznie ustosunkował się do wszystkich zmian.

— Widzę, że zdążyłaś się już wprowadzić—powiedział. — Mogę zapytać po co?

— Obiecałeś dziadkowi, że nauczysz mnie wszystkiego, co muszę wiedzieć o „Globalu” — odparła spokojnie Rose. — Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa.

— Dotrzymam. Zastanawiałem się nawet, czy nie urządzić w tym budynku biura firmy „Talbot Railroads”. Dzięki temu zawsze byłbym na miejscu, w razie gdybyś mnie potrzebowała.

— Dobrze, ale będziesz musiał płacić odpowiedni czynsz.

— Czy chcesz wprowadzić jeszcze jakieś zmiany?

Lekceważący ton męża sprawił jej przykrość. Rose miała ochotę powiedzieć o dwóch osobnych sypialniach, które przygotowała w Talbot House. Pomyślała jednak, że lepiej będzie, jeśli sam się o tym dowie.

— Chciałabym spotkać się jak najszybciej z moimi pracownikami. — Nagle pochyliła głowę i oparła się o biurko. Własne słowa dudniły jej w uszach. Złapała się za brzuch. — Simonie...

Zanim zdążył do niej podbiec, Rose poczuła, że spada w jakąś tajemniczą próżnię. Nie słyszała niczego poza własnym krzykiem.

Rose odzyskała przytomność w żółtej sali w szpitalu im. Roosevelta. Było tam tyle kwiatów, że ledwo zauważyła stojącego przy niej młodego lekarza.

— Co... co się stało?

Lekarz pocieszająco poklepał ją po dłoni.

— Zemdlała pani, to wszystko. Pan Talbot czeka na zewnątrz.

— Zemdlałam? — spytała ze złością Rose. — Rano czułam się świetnie.

Za nic nie chciała przyznać, że nawet teraz słyszy w głowie huk tysiąca młotów i ledwo panuje nad mdłościami. Lekarz zachichotał.

— Nie jestem zdziwiony. Panią spotyka to jednak po raz pierwszy i nie wie pani jeszcze, jak to wygląda.

— Jak c o wygląda?

— Oczywiście cięża. Gratuluję, pani Talbot. Będzie pani... Zanim lekarz zdążył dokończyć zdanie, Rose zwymiotowała.

Kiedy po raz drugi doszła do siebie, otaczała ją grupa nobliwych starszych panów.

— Czy ktoś mi powie, co się tu dzieje? — zapytała z rozpaczą.

Jeden z nich wyjaśnił z powagą sytuację. Nie ma żadnych wątpliwości, że Rose jest w ciąży.

Trzeba będzie wykonać pewne badania, chociaż wszyscy się zgadzają, że pani Talbot jest w doskonałej kondycji i bez problemów donosi dziecko. Naturalnie poinformowano już pana Talbota. Niestety, nie mógł zostać w szpitalu; musiał się zająć pilnymi interesami. Podpisał jednak dokumenty upoważniające lekarzy do podjęcia odpowiednich kroków.

Oczywiście.

— Jak do tego doszło? — zapytała Rose.

Odpowiedzią na to pytanie było zdziwienie i pełna zakłopotania cisza.

— Zachowałam środki ostrożności. Chcę wiedzieć, dlaczego nie poskutkowały.

— Pani Talbot, nie istnieje żaden niezawodny środek antykoncepcyjny — odpowiedział jeden z lekarzy. — Poza tym sądziliśmy, że chcecie państwo mieć dzieci.

— Tak twierdzi o n i w y. Na pewno nie ja! Chcę się spotkać z tym młodym lekarzem.

Słysząc było szuranie nogami i szepty.

— O kogo dokładnie chodzi, pani Talbot?

— Młody mężczyzna, taki lekko łysiejący blondyn, w okularach bez oprawek.

— Młody Simmons — rzucił ktoś z boku.

— Znakomity lekarz — stwierdził jeden ze specjalistów. — Ale jest z nami dopiero od dwóch lat. Może pani być pewna, że my w tym pokoju zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

— No to zacznijcie od sprowadzenia tu tego Simmonsa! W przeciwnym razie sama go poszukam. Kilka minut później bardzo zdenerwowany lekarz pojawił się w pokoju Rose.

— Chciała pani mnie widzieć, pani Talbot?

Rose usiadła na łóżku i ruchem dłoni przywołała go bliżej.

— Jak brzmi pana pełne nazwisko?

— Bartholomew Simmons, pani Talbot.

— Proszę mi o siebie opowiedzieć.

Fakt, że Simmons czasami przekręcał słowa, w niczym nie umniejszał jego imponujących kwalifikacji. Miał dwadzieścia osiem lat, był najlepszy w swojej klasie w Harvard Medical School, miał żonę i dwoje dzieci.

— Chciałabym, żeby to pan się mną zajmował — powiedziała Rose. Simmons spojrzał na nią ze zdumieniem.

— To dla mnie wielki komplement, pani Talbot, ale nie sądzę, by inni lekarze na to się zgodzili.

— Czy jest pan niekompetentny?

— Oczywiście, że nie!

— W takim razie sprawa załatwiona.

— Pani Talbot—zaczął powoli Simmons.—Czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego chce pani, abym to właśnie ja się nią opiekował?

Rose spojrzała mu prosto w oczy, ale jej głos zdradzał słabość.

— Już od dziecka zajmowali się mną tacy lekarze jak pana przełożeni. Ciało kobiety jest dla nich albo przedmiotem, albo tajemnicą, którą rzekomo tylko oni potrafią rozszyfrować. Ledwo maskują pogardę dla płci, dzięki której ich praktyka jest przecież tak lukratywna. Nie tolerują sprzeciwów ze strony pacjentek, oczekują, że ich zalecenia będą wypełniane bezwarunkowo.

Więcej czasu spędzają z mężem niż z przyszłą matką. — Rose przerwała na chwilę, bo gniew ją opuścił. — Nie spodziewam się zbyt wiele po moim mężu, Simonie. Wygląda pan na miłego

człowieka. To dobrze, że ma pan dzieci. Bardzo bym chciała panu zaufać, ponieważ naprawdę nie mam nikogo innego, kto... kto powiedziałby mi, co się ze mną dzieje i co powinnam w takiej sytuacji robić.

Simmons pogładził dłoń Rose. Widział przed sobą już nie energiczną młodą kobietę, lecz przestraszoną przyszłą matkę, która musi dopiero zaakceptować swój stan. Dostrzegł w niej także rozgoryczenie, co głęboko go zaniepokoiło.

— Z przyjemnością pomogę pani, pani Talbot — odparł łagodnie. — Teraz niech się pani położy, bo chciałbym panią zbadać. Później porozmawiamy o diecie i odpowiednich ćwiczeniach.

— Wszystko, z wyjątkiem pływania — powiedziała Rose. — Nie znoszę pływać. — Przerwała, a później dodała: — Czułabym się lepiej, gdyby mówił pan do mnie Rose. Bardzo mi przykro, że wcześniej zwymiotowałam na pana.

Pogodzenie się z ciążą nie przyszło Rose łatwo. Uznała, że los obszedł się z nią okrutnie. Wpadła w tę pułapkę tylko dlatego, że kilka razy musiała oddać się Simonowi. Rose była pewna, że jej stan będzie dla Simona pretekstem, aby trzymać ją z daleka od „Globalu”.

Ta sytuacja miała jednak pewną dobrą stronę: Rose przestała interesować Simona jako kobieta. Jej mąż tak ułożył sobie życie, że poza paroma imprezami towarzyskimi nie było w nim miejsca dla żony. Zdarzało się często, że wychodził z domu, zanim zeszła na śniadanie, i wracał, kiedy położyła się już do łóżka. Rose nie wierzyła, że dziecko zmieni męża. Był za stary i zbyt przyzwyczajony do wygodnego życia. Mimo to obojętność Simona dotykała ją do żywego, zwłaszcza wówczas, gdy wypytywał o wyniki ostatnich badań. Simona Talbota obchodziło tylko to, żeby Rose urodziła zdrowego męskiego potomka.

Właśnie wówczas Rose odkryła, że dzieje się z nią coś okropnego. Cała frustracja i gniew na Simona zaczęły się zwracać przeciwko dziecku, tak jak gdyby ono również ją zdradziło przez sam fakt swego istnienia. Kiedy Rose zdała sobie z tego sprawę, była przerażona i postanowiła zmienić swoją postawę. Pomysł pacjentki nie spodobał się na początku Bartholomew Simmonsowi, ale on również był zaniepokojony stanem psychicznym Rose. Zgodził się w końcu, że powinna się czymś zająć zamiast marnować czas w domu męża.

Rose zwróciła się do jedynej osoby, na którą mogła liczyć: sprowadziła do siebie Mary Kirkpatrick z Lower Broadway. Poleciała sekretarce, żeby zatrudniła najlepszych nauczycieli rachunkowości, zarządzania i ekonomii. Mary szybko wywiązała się z tego zadania, a nawet więcej: w bibliotece firmy odnalazła wszystkie osobiste notatniki Jehosopata Jeffersona, prawdziwą historię „Global Enterprises”.

— Znajdziesz tu więcej, niż mógłby cię nauczyć jakikolwiek profesor lub książka — oświadczyła Mary.

Czytając notatki dziadka, Rose miała ochotę się z tym zgodzić. Uważała jednak, że powinna również opanować nowoczesne techniki i zasady funkcjonowania

biznesu. Przekonała się na własnej skórze, że w życiu może się dokonać szybka i gruntowna zmiana. Chciała być na wszystko przygotowana.

Kiedy Rose była w szóstym miesiącu ciąży, w Talbot House powstało prawdziwe biuro „Globalu”, a Mary pełniła rolę nie tylko sekretarki, ale również łączniczki z Lower Broadway. Wiedziała o wszystkim, co działo się w spółce. Rose szybko zorientowała się, że to niższemu personelowi: sekretarkom, urzędnikom, maszynistkom, sprzedawcom, firma zawdzięcza swoją kondycję.

Rose czytała z ogromną skrupulatnością uwagi dziadka. Przez długie godziny przygotowywała się do każdej lekcji z zaangażowanymi przez siebie nauczycielami. Tymczasem Mary informowała ją na bieżąco, co się dzieje na Lower Broadway. Rose była zdumiona wiedzą zwykłego pracownika o funkcjonowaniu firmy. Zaczęła układać listę ludzi, którzy byli w „Globalu” zbyt tacy, oraz tych, którzy zasługiwali na awans.

Początkowa dezaprobaty Simona wobec jej postępowania przerodziła się w otwartą wrogość. Mimo to Rose pracowała aż do ósmego miesiąca ciąży, kiedy w końcu poczuła się wyczerpana. Pewnego lipcowego popołudnia 1908 roku, gdy wszyscy nowojorczyki starali się poruszać tak wolno, jak to tylko możliwe, rozpoczął się poród. Po jedenastu ciężkich godzinach doktor Simmons trzymał na rękach zdrowego siedmifuntowego chłopczyka. Natychmiast przekazał dobrą nowinę posłańcowi firmy „Talbot Railroads”, który czekał na korytarzu. Gонец mógł powiedzieć panu Talbotowi, że zarówno matka, jak i dziecko czują się dobrze.

Dwa dni po narodzinach Stevena, który otrzymał imię po ojcu Rose, młoda matka zaczęła się rozglądać za najlepszymi pielęgniarkami i niańkami. Kilka tygodni później, upewniwszy się, że Steven jest w najlepszych rękach, powróciła na Lower Broadway.

Tego roku Rose miała okazję ujrzeć na własne oczy różnicę pomiędzy teorią a praktyką biznesu. Kilka miesięcy wcześniej powstała konkurencyjna firma wysyłkowa, „Merchants Consolidated Group”. Utworzyła ją grupa finansistów, którzy postanowili przełamać monopol „Globalu” i przejąć część ogromnych zysków tego przedsiębiorstwa. Doszło do wojny handlowej, która prawie zrujnowała firmę Rose. Tylko dzięki sieci kolejowej firmy „Talbot Railroads” udało się uniknąć katastrofy. Klienci wybierali tę spółkę, która była w stanie zagwarantować szybką dostawę. Konie i powozy „Merchants Consolidated Group” nie mogły konkurować z lokomotywami parowymi.

Rose traktowała Simona z chłodną obojętnością, musiała jednak przyznać, że jest on znakomitym administratorem i umie dbać o interesy „Globalu”. Ciężko pracował, prowadząc zarówno „Global Enterprises”, jak i „Talbot Railroads”. Baronowie z Wall Street zasypywali go pochwałami. Jego majątek osobisty szybko wzrastał.

Jeśli nawet Simon dotrzymał jednej z obietnic złożonych Jehosophatowi Jeffersonowi, to zapomniał o drugiej. Nie chciał przyznać Rose żadnego poważnego

stanowiska w firmie i ledwo tolerował jej uwagi. Rose nie kwestionowała jego sukcesów, wiedziała jednak, że to Simon, a nie ona, jest uznawany za szefa „Global Enterprises”. Jeśli czegoś szybko nie zrobi, to Simon całkowicie przejmie kontrolę nad przedsiębiorstwem. Potrzebna była jakaś nowa inicjatywa, jakiś pomysł. Spędziła więc wiele godzin, studiując projekty i plany dziadka. W 1912 roku przedstawiła zarządowi firmy rewolucyjną ideę: „Global” miałby obsługiwać przekazy pieniężne. Rose uważała, że zalety tej inicjatywy są oczywiste. Zaskoczyły ją obiekcje ze strony męża.

— Jesteś szalona, jeśli sądzisz, że możesz konkurować z przekazami pocztowymi — powiedział krótko Simon. — Rząd cię załatwi i wszystkie inwestycje pójdą marne.

— Przekazy pieniężne przynoszą zyski — odparła Rose, uderzając dłonią w grubą księgę handlową. — Spójrz na cyfry.

— Oczywiście, poczta na tym zarabia — odpowiedział Simon. — Dostają dziesięć centów od każdego studolarowego przekazu. Z tego osiem centów pochłaniają koszty administracyjne i koszty ochrony przesyłek. Nie zostaje zbyt wiele.

— Może nie dla poczty — upierała się Rose. — My jednak działamy o wiele skuteczniej niż oni!

— Pamiętasz, jaki los spotkał projekt przewożenia korespondencji? Koniec był taki, że poczta zredukowała koszt znaczka do trzech centów.

— Nasza sieć jest o wiele bardziej rozbudowana, a poza tym cieszymy się reputacją punktualnego dostawcy. Możemy pokonać pocztę w jej własnej grze!

Mimo wszystko decyzja Simona przeważała. „Global” nie zaangażował się w ten interes.

Podobnie potraktowano inne propozycje Rose. „Global” wynajmował biura i magazyny w dwudziestu dużych miastach i wielu małych miejscowościach. Rose twierdziła, że skoro gospodarka rozwija się tak szybko, ceny nieruchomości mogą jedynie pójść w górę. Irytowało ją, że czynsz płacony przez firmę zasila cudze kieszenie. Simon jednak znów się nie zgodził. Kapitał jest potrzebny, żeby podwyższyć jakość usług wysyłkowych, kupować nowe pojazdy, zatrudniać nowych pracowników i płacić kolejom.

Rose zaczęła się zastanawiać, czy tak naprawdę celem Simona nie było jak najściślejsze związanie „Globalu” z „Talbot Railroads”, a nie rozwój firmy. Porozmawiała o tym z Mary Kirkpatrick.

Odpowiedź Mary poruszyła ją.

— Niektórzy nasi pracownicy zgodziliby się z tobą — odparła sekretarka. — Nie mówię o ludziach zajmujących najwyższe stanowiska. Oni wszyscy sądzą, że pan Talbot wykonuje wspaniałą robotę.

— W takim razie kto? — naciskała Rose.

— Nie jestem całkiem pewna — odpowiedziała Mary. — Domyślasz się chyba, że ci panowie bardzo uważają na to, co mówią.

— Dowiedz się, kim oni są — nalegała Rose. — Potrzebuję ich opinii. Przerwała. — Później mogę również potrzebować ich pomocy.

Simon Talbot miał wszelkie powody do zadowolenia z życia. Pomimo obecności Rose w „Globalu”, zachował kontrolę nad spółką, blokując wychodzące od żony pomysły, które uważał za lekkomyślne. Spotykał się często z członkami zarządu i ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska w firmie. Starał się, żeby zrozumieli, w czyich rękach spoczywa prawdziwa władza. Przeniósł biura „Talbot Railroads” do budynku na Lower Broadway, mógł więc przyglądać się z bliska poczynaniom żony i dbać o to, żeby pracownicy zauważali jego obecność. Simon wiedział, że wielu z nich było wobec Rose lojalnych ze względu na pamięć o starym Jeffersonie. Postanowił, że będzie ich stopniowo zwalniał z przedsiębiorstwa. Nie pozwoli, żeby przeszkadzali mu w realizacji jego planów.

Simon Talbot był również pewien, że z czasem uda mu się pozbyć żony z firmy. Rose nie mogła przebywać cały czas w biurze i jednocześnie pełnić roli matki. Simon był bardzo dumny z syna. Przynajmniej raz Rose go nie zawiodła. Pod innymi względami uznawał swoje małżeństwo za nieudane. Ta kobieta okazała się uparta i niepokorna. Wydawało mu się jednak, że może z tym żyć. Dla swoich potrzeb miał pod ręką całą gromadę młodych dam. Nawet jeśli Rose się o nich dowie, nie będzie miała prawa się skarżyć.

Kiedy europejskie monarchie chwiały się w posadach, a nad kontynentem pojawiło się widmo wojny, Rose widziała, jak z każdym rokiem rośnie gospodarcza potęga Ameryki. Jednakże im więcej czasu i energii poświęcała „Globalowi”, tym mniejsze efekty to przynosiło.

Simon i jego wyżsi urzędnicy ledwo tolerowali Rose. Każdy wyrażał grzeczne zainteresowanie jej pomysłami. Inicjatywy Rose omawiano na posiedzeniach zarządu. Żadna z nich nie została jednak wcielona w życie. Miała wrażenie, że wszystko, czego się nauczyła, idzie na marne.

Najgorsze było to, że zyski firmy spadały. Kiedy przedstawiła Simonowi wyliczenia finansowe, wyśmiał ją.

— Oczywiście, że inwestycje zjadły część naszych zysków, ale na dłuższą metę to się opłaci. Musimy tylko wytrwać przy swoim.

— Simonie, naszemu przedsiębiorstwu grozi zastój—odpowiedziała z gniewem Rose. — Inwestycje przynoszą jeden albo dwa procent zysku zamiast sześciu lub siedmiu. Wyrzucamy pieniądze w błoto, wynajmując tysiące metrów kwadratowych terenu w całym kraju.

— Rose...

— Najbardziej irytujące jest jednakto, że uważasz mnie za osobę niekompetentną, która nie ma nic do powiedzenia w sprawach firmy. Pamiętaj lepiej, że nie masz w spółce żadnych udziałów. Za dwa lata twoja kuratela się skończy i przejmę kontrolę nad „Globalem”. Chciałabym, żeby przedsiębiorstwo doczekało tej chwili!

— A ty pamiętaj, że jesteś moją żoną i matką mojego dziecka! — odparł Simon. — Już dawno pożegnałem się z nadzieją, że będziesz wypełniać tak jak należy swoje

obowiązki. Wydajesz się zupełnie zadowolona z tego, że obcy ludzie opiekują się Stevenem. Czy na tym polega twoja odpowiedzialność? A skoro już mowa o odpowiedzialności — grzmiał w dalszym ciągu Simon. — Co z naszymi zobowiązaniami towarzyskimi? Od paru miesięcy nie wydaliśmy żadnego przyjęcia. Nie bywamy w teatrze, operze i na imprezach dobroczynnych. Zapomnieliśmy również o naszych obowiązkach politycznych. Krótko mówiąc, kochanie, przez ciebie ucierpiała reputacja Talbotów.

W oczach Rose pojawiły się łzy. Nie chciało jej się uwierzyć, że Simon zniżył się do tak niesprawiedliwego oskarżenia. Rose nikogo w życiu tak nie kochała jak swojego pięcioletniego syna. Nie zapomniwała o strasznych okolicznościach jego poczęcia i o swoich uczuciach w czasie ciąży. Obce jej były doświadczenia młodych matek — ciepło i czułość, radość towarzysząca cudowi narodzin. Dopiero po urodzeniu Stevena Rose zaczęła powoli doceniać szczęście, jakie ją spotkało.

Simon tak bardzo się myli. Nie wie, jak kocham Stevena, i ile jestem gotowa zrobić, by go ochronić. Rose nie rozumiała, jak ktokolwiek, a zwłaszcza Simon, może ją oskarżać o obojętność wobec syna tylko dlatego, że postanowiła codziennie chodzić do pracy. W domu spędzała ze Stevenem tyle czasu, ile tylko mogła — o wiele więcej niż Simon, który wychodził rano, a wracał, kiedy Steven leżał już w łóżku. Zasypywał wprawdzie chłopca drogimi zabawkami, ale to nigdy nie zastąpi czasu, poświęconego dziecku.

Ciągła walka z mężem pochłaniała jej czas i energię, którą w innej sytuacji Rose poświęciłaby Stevenowi. Jednakże w pewien sposób, którego w pełni nie rozumiała, Steven pomagał jej przeciwstawiać się Simonowi. W żyłach chłopca płynęła krew Jeffersonów. W przyszłości przejmie stworzone przez nią dziedzictwo.

Słuchając męża, Rose zdała sobie nagle sprawę, że nie da się uniknąć otwartego konfliktu pomiędzy nimi. Zadrżała, kiedy wyobraziła sobie syna w samym środku walki rozwodowej. Będzie musiał zobaczyć i usłyszeć okropne rzeczy. Pozostawi to w nim głęboki uraz. Zadała sobie pytanie, czy walka z Simonem o kontrolę nad „Globalem” jest warta zachodu, jeśli wiąże się z ryzykiem utraty Stevena.

Jeśli do tego dojdzie, będę walczyć również o syna!

5

Nie ma w Nowym Jorku drugiego tak ekskluzywnego klubu jak „Metropolitan”. Został założony w 1891 roku przez J. P. Morgana, kiedy jego przyjaciela nie przyjęto do Union Club. Panowała w nim zasada niepodzielnych czterech podstawowych wolności: wolności wypowiedzi przeciwko demokracji, wolności czci dla arystokracji, wolności od dawania napiwków i wolności od strachu przed kobietami.

Simon Talbot czuł się tu jak u siebie w domu. Meble były wygodne, obsługa dyskretna, a dobrze zaopatrzonej piwniczki zazdrościł im cały Nowy Jork. Najlepsze było zaś to, że kiedy członek klubu powiedział kierownikowi, że go nie ma, to nawet najbardziej histeryczna żona nie mogła się z nim skontaktować.

— Cześć, Simonie. Przepraszam za spóźnienie. Długo czekasz?

Paul Miller był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o ogorzałej twarzy, która wyglądała tak, jak gdyby należała do farmera, a nie do wybitnego finansisty i członka zarządu „Talbot Railroads”. Krewni Millera byli zresztą farmerami w Minnesocie w czasach, gdy nosili jeszcze nazwisko Muller. Miller, podobnie jak Simon Talbot, zgromadził na prowincji skromną fortunę, zanim przybył na wschód, by zrewolucjonizować nowojorską bankowość. Jego również śmietanka towarzyska uważała za outsidera. Tych dwóch mężczyzn łączyły nie tylko interesy, ale i wspólna walka o akceptację nowojorczyków. Byli naturalnymi sojusznikami.

— Miło cię widzieć, Paul — powiedział Simon, dając znak kelnerowi. — Spróbuj trochę porto. Słyszałem, że te butelki spadły z ciężarówki jadącej do pałacu Buckingham.

— Niech to będzie na mój rachunek — uśmiechnął się Miller.

— Musisz mieć jakieś dobre wiadomości — rzekł Simon.

Miller odczekał, aż kelner przyniesie drinka, a potem schylił się konspiracyjnie.

— Będą dobre, jeśli postanowisz je wykorzystać. Co sądzisz o podstawieniu nogi Komodorowi?

Chodziło o Corneliusa Vanderbilta. Simon uważał ten tytuł za ostentacyjny. Przyznano go Vanderbiltowi tylko dlatego, że posiadał kiedyś imperium promowe. Niechęć Simona do tego magnata kolejowego miała jednak głębsze przyczyny niż pogardę dla jego próżności.

Oprócz firmy „Pennsylvania Railroad”, Vanderbilt stworzył przedsiębiorstwa kolejowe „New Haven”, „Harlem” i „Hudson” — potężny triumwirat, w którego sercu znajdowała się „Grand Central Station”. Razem z Harrimanami, właścicielami „Southern Pacific Railroad”, Vanderbilt wypowiedział wojnę firmie „Talbot Railroads”, starając się powstrzymać jej ekspansję na północnym wschodzie. Simon wydał miliony dolarów na procesy i łapówki dla senatorów oraz kongresmanów. Przysiągł sobie, że pewnego dnia Komodor za to zapłaci.

— Powiedz coś więcej — rzekł niedbale Simon.

— Przyjaciele z Waszyngtonu dali mi znać, że rząd poprze rozwój kolejnictwa na nowych terenach — powiedział Miller. — Chodzi przede wszystkim o pas zbożowy na Środkowym Zachodzie. Będzie można składać oferty i Komodor zamierza z tego skorzystać. Spróbuje po cichu dobić targu, zanim pojawi się oficjalne ogłoszenie.

— Dlaczego miałoby to mnie interesować? — zapytał Simon, znając z góry odpowiedź.

— Firma kontrolująca Środkowy Zachód będzie przewoziła wszystko, co może wyprodukować najżyźniejsza ziemia na świecie. Wyłączny kontrakt, Simonie.

Simon udawał, że się zastanawia.

— Jakiej wielkości suma wchodziłaby w grę? Paul Miller zapisał cyfrę.

— To bardzo dużo — wymruczał Simon, powoli drąc karteczkę na kawałki. — Bardzo, bardzo dużo.

— Oczywiście — zgodził się Miller. — Zawsze jednak chciałeś zmierzyć się z Vanderbiltem. Nie będziesz miał lepszej okazji.

Simon zgodził się w duchu. Od kiedy Vanderbilt próbował kilka lat temu przejąć „Talbot Railroads”, Simon czekał, aż karta się odwróci. Pozbawienie Komodora rzeczy, której tak bardzo pragnął, przyniesie Simonowi coś więcej niż ogromną osobistą satysfakcję: za jednym zamachem pozbędzie się opinii parweniusza, która wlokła się za nim od chwili przyjazdu do Nowego Jorku.

Ale te koszty...

Paul Miller powiedział cicho, tak jak gdyby czytał w myślach Simona Talbota:

— Zawsze masz w rezerwie „Global Enterprises”...

Rose pracowicie przygotowywała się do nieuniknionej konfrontacji z Simonem. Wraz z Mary Kirkpatrick starannie przeglądała listę pracowników „Globalu”, eliminując tych, którzy sprzymierzyli się już z Simonem, oraz urzędników niższego szczebla, którzy ugną się pod naciskami z góry, kiedy trzeba będzie dokonać wyboru.

— Nie pozostało zbyt wielu, prawda? — powiedziała ze zniechęceniem Mary Kirkpatrick.

— Tylko najlepsi — odrzekła Rose. — Nikogo więcej nie chcę.

Po podjęciu decyzji Rose złożyła wizytę dwóm pracownikom, na których jej najbardziej zależało: Ericowi Gollantowi i Hughowi O'Neillowi. Była to dla nich ogromna niespodzianka.

Erie Gollant był schludnym młodym mężczyzną po trzydziestce. Potrafił śmiać się zaraźliwie i miał fenomenalną pamięć do liczb. Kiedy otworzył drzwi swego domu, ujrzała go w towarzystwie roześmianych dzieci i owczarka.

Pomimo swoich zdolności Gollant awansował powoli. Jeden z powodów był dla Rose oczywisty: Gollant dbał o rodzinę — nie był człowiekiem interesów poświęcającym się całkowicie pracy.

W zacisznym gabinecie księgowego Rose przedstawiła mu swoją propozycję.

— Za rok przejmę kontrolę nad „Globlem” — powiedziała. — Z różnych powodów mój mąż będzie się najprawdopodobniej temu przeciwstawiał. Wiem, że na wielu ludzi nie mogę liczyć. Chciałabym także wiedzieć, komu mogę zaufać. Nie twierdzę, że udzielone mi poparcie nie będzie się wiązało z żadnym ryzykiem. Cena może być wysoka. Nie zapomnę jednak o ludziach, którzy zechcą mi pomóc.

Erie Gollant pogłaskał psa po głowie i poprawił na nosie okulary w drucianej oprawie.

— Pani Talbot, chętnie bym z panią pracował. Powinna się pani jednak zastanowić nad pewną sprawą.

— Jaką sprawą?

— Jestem Żydem — powiedział spokojnie Erie Gollant. — Niewykluczone, że leżałoby w pani interesie, żebym się trzymał z daleka.

— Mój dziadek pracował z Murzynami, kiedy jeszcze nie było to w modzie

— odpowiedziała ze spokojem Rose. — Na Zachodnim Wybrzeżu naszymi najlepszymi menedżerami byli i wciąż są Chińczycy. Nie obchodzi mnie kolor skóry i religia człowieka.

Interesuje mnie tylko to, czy jest on pożyteczny dla „Globalu”. A pan jest.

Erie Gollant przyglądał się siedzącej naprzeciw niego młodej kobiecie. Na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech.

— Cóż, jeśli tak pani stawia sprawę, zgoda.

Spotkanie Rose z Hughem O'Neillem było zupełnie inne. O'Neill, chudy, poważny Irlandczyk, znał się na kwestiach prawnych lepiej niż Rose i był całkowicie oddany firmie.

— Z przyjemnością panią poprę, pani Talbot — powiedział, parząc znakomitą herbatę, którą nazywał „irlandzką kołyską”. Wręczył filiżanki Rose i żonie

— pięknej, ciemnowłosej Irlandce. — Jestem jednak przekonany, że czeka panią ostrzejsza walka, niż pani sądzi. Każdy, kto stanie po pani stronie, powinien poznać wszystkie aspekty sprawy.

— Zgadzą się. Dlatego chciałabym również, żeby zajął się pan moimi osobistymi interesami. W ten sposób pana praca przyniesie lepsze efekty.

W oczach prawnika pojawiły się wesole iskierki.

— Trudno mi się z tym nie zgodzić, pani Talbot. Myślę, że w tym wypadku mogę nawet zrezygnować ze zwyczajowej zaliczki.

Latem 1914 roku, rok przed swymi dwudziestymi szóstymi urodzinami, Rose miała już opracowaną strategię. Była przekonana, że może odeprzeć każde wrogie posunięcie ze strony Simona. Pewne wydarzenie, którego nie mogła przewidzieć, zmieniło jednak wszystko. 28 lipca w Sarajewie zamordowano arcyksięcia Ferdynanda. Kilka tygodni później tak zwany cywilizowany świat pogrążył się w wojnie.

Pierwsza wojna światowa przyniosła nieopisane cierpienia milionom ludzi po drugiej stronie Atlantyku. Dla przemysłu amerykańskiego była jednak prawdziwym darem losu. Ogromne ilości towaru — od butów i sznurówek do pocisków i barek — znajdowały chętnych nabywców wśród sojuszników zjednoczonych przeciwko Niemcom, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i we Francji. Fabryki amerykańskie pracowały w nadgodzinach, żeby zaspokoić popyt. Wyprodukowane towary trzeba było następnie przewozić. W ciągu sześciu miesięcy zyski „Globalu” potrojiły się. Argument, który Rose zamierzała wykorzystać przeciwko Simonowi: zastój w interesach spółki, został zneutralizowany. Raport Simona o wspaniałych wynikach działalności firmy był najbardziej gorzką pigułką, jaką Rose kiedykolwiek musiała przełknąć.

To nie potrwa długo! — powiedziała sobie.—Zasadniczo sytuacja się nie zmieniła. Zarząd miał po prostu ogromne szczęście i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy!

Niestety, nikt poza Rose nie podzielał tej opinii. Biznesmeni nie widzieli nic złego w strategii Simona i jego zespołu. Sfrustrowana i osamotniona Rose straciła kontakt z codziennymi operacjami „Globalu”. Wyżsi urzędnicy nie reagowali na jej sugestie i odsyłali ją do Simona. Ludzie, którzy kiedyś współpracowali z Rose, nie chcieli teraz realizować jej planów, wiedząc, że polecenie z góry i tak wszystko zmieni. Nie odpowiadano na jej listy, a osoby, z którymi chciała się zobaczyć, zawsze były nieobecne.

Cierpliwość nigdy nie była mocną stroną Rose, mimo to zdołała się jednak opanować. Nic przecież nie odsunie jej dwudziestych szóstych urodzin. Kiedy nadejdzie ten dzień, wszystko się zmieni.

Uroczysty bal sylwestrowy w Talbot House stał się jednym z nowojorskich zwyczajów. Rose włożyła na tę okazję wieczorową suknię ozdobioną srebrzystą koronką, z trenem z naszytymi diamentami. Chciała, żeby bankierzy, finansiści i waszyngtońscy politycy zauważyli jej obecność. Pragnęła, aby wszyscy zrozumieli, z jakiego rodzaju kobietą będą mieli wkrótce do czynienia. Rose, sądząc po tym, jak bardzo zabiegano o jej towarzystwo, pomyślała, że wywarła odpowiednio silne wrażenie.

— Świetne przyjęcie, Rose — powiedział Paul Miller, który przed chwilą

opuścił podsekretarza stanu ds. handlu, aby przyłączyć się do grupki ludzi otaczających gospodynię.

— Miło mi, Paul, że dobrze się bawisz.

— Powinnaś częściej organizować takie imprezy — rzekł Miller. — Masz do tego zdolności.

— Byłam bardzo zajęta w „Globalu” — odparła uprzejmie Rose. Paul Miller roześmiał się.

— Jesteś zdumiewającą kobietą, Rose. Nie rozumiem, jak możesz się zajmować nudnymi interesami.

— Zajmuję się nimi, Paul, bo to m o j e interesy. A teraz wybacz mi... Co za strata — pomyślał Miller, patrząc jak Rose znika w tłumie.

Już od pierwszego spotkania z Rose Paul Miller był nią oczarowany. Jego zdaniem, ta kobieta miała wszystkie cechy, które pociągają mężczyznę: wdzięk, bystrość i znakomity gust. W przeciwieństwie do Talbota Miller doceniał smykałkę Rose do interesów. Pomimo żartów Simona, uważał, że miałyby ona wiele do zaoferowania spółce, gdyby tylko mąż na to pozwolił. Paul Miller starał się ukrywać swoje uczucia wobec Rose. Wszyscy wprawdzie wiedzieli, że Talbotom się nie układa, ale Miller prowadził z Simonem interesy i nie chciał ryzykować. Był cierpliwy i wierzył, że prędzej czy później dojdzie do rozwodu. Jeśli nawet tak się nie stanie, inne okoliczności mogą sprawić, że Rose będzie wolna. Póki to nie nastąpi, Miller postara się, żeby Rose traktowała go jak przyjaciela, człowieka, któremu można zaufać.

Paul Miller spojrział na zegarek. Czas zająć się interesami. Musi porozmawiać z Simonem, zanim tamten zdąży się kompletnie upić.

Paul Miller zamknął drzwi do gabinetu i patrzył, jak gospodarz chwiejnym krokiem podchodzi do kredensu.

— Pad, co to za cholernie ważna sprawa, która nie może poczekać do roku 1915?

— Mówiłem ci, że minister złoży wkrótce oświadczenie o nowych terenach kolejowych—rzekł Miller. — Cóż, nastąpi to w poniedziałek rano, drugiego stycznia.

Miller wziął kieliszek od Talbota, ale nie pił.

— Nasi przyjaciele na Kapitolu nie zamierzają dłużej czekać. Trzeba coś zrobić. Mogę przekazać odpowiednie dokumenty w Waszyngtonie w tej samej chwili, w której minister poda sprawę do publicznej wiadomości. Komodor nie będzie nawet wiedział, co mu spadło na głowę.

Simon Talbot stał odwrócony tyłem do Millera, patrząc, jak wiatr unosi ogromne płatki śniegu. Przez ostatnie kilka miesięcy odbywały się tajne spotkania na jachtach dryfujących po Potomaku, w prywatnych łóżach na gonitwach koni i terenach do gry w polo na Long Island. Jego rozmówcy zajmowali wysokie stanowiska w rządzie. W grę wchodziły ogromne sumy. Talbot doszedł do wniosku, że otwierają się przed nim znakomite perspektywy.

Simon był gotów oddać w zastaw hipoteczny wszystko, co posiadał, byle tylko przyjęto jego ofertę. To jednak nie wystarczało. Brakowało mu jeszcze pięciu milionów dolarów. Nie mógł pożyczyć tych pieniędzy. Żaden bankier nie powierzyłby mu takiej sumy bez odpowiedniego zabezpieczenia. Pozostawał tylko jeden sposób.

Simon otworzył szufladę i wyjął z niej dwie umowy. Pierwsza z nich oddawała Millerowi jedną czwartą wszystkich akcji „Globalu”, czyli połowę pięćdziesięciu jeden procent akcji powierzonych Simonowi. Druga określała sumę, którą zapłaci mu za to Miller: pięć milionów dolarów.

— Masz jakiś problem, Simonie?

Simon Talbot nie mógł odpowiedzieć na to pytanie ani sobie, ani Millerowi. Na pewno nie był świętym. W biznesie wykorzystywał każdą okazję, nagiął prawo, a czasem nawet je łamał. Człowiek mógł sobie pozwolić na oszustwo, fałszerstwo i groźby, dopóki zachowywał się jak dżentelmen i nie dał się złapać.

Ale zrobić coś takiego własnej żonie?

Simon Talbot nie miał złudzeń co do swojego małżeństwa. W miarę upływu czasu coraz mniej rozumiał Rose. Nie pojmował jej obsesji na punkcie „Globalu”. Nie wiedział, dlaczego nie umiała się zadowolić rolą wielkiej damy, która mogła owinąć sobie wokół palca całe nowojorskie towarzystwo. Zdawał sobie również sprawę z tego, że po dwudziestych szóstych urodzinach Rose ma zamiar stanąć na czele firmy. Wprawiało to Simona we wściekłość, gdyż sądził, że Rose sobie nie poradzi i szybko zaprzepaści wszystkie jego osiągnięcia.

Potrzebuję „Globalu” do tego interesu. Do cholery! „Global” jest teraz dziesięć razy lepszą firmą niż przed moim przybyciem. Mam prawo wykorzystać to, co stworzyłem!

— Do diabła z tym! — wymruczał Simon, umieszczając swój podpis pod umową. Atrament jeszcze nie wysechł, kiedy rozległy się wiwaty, dźwięki rogów

i gwizdków. W całym mieście dzwony radośnie ogłaszały nastanie Nowego Roku. Ta radość nie docierała do Simona. Nie mógł pozbyć się uczucia, że zmieniło się coś istotnego, że pomimo swojej przeczności i doświadczenia właśnie wkroczył na niegościnne, obce terytorium.

— Twoje zdrowie, Simonie!

Obaj mężczyźni wzniesli toast. Paul Miller wziął dokumenty i sięgnął po płaszcz.

— Nie mów, że nie zostaniesz na kolacji — zaprotestował Simon.

— Masz wszelkie powody do świętowania — odrzekł Miller. — Muszę zadzwonić do paru ludzi i upewnić się, że wszystko będzie gotowe na poniedziałek. Skoro zaszliśmy już tak daleko, nie chcemy, żeby w ostatnich minutach spotkała nas jakaś niespodzianka.

Simon Talbot nie mógł się z tym nie zgodzić.

Paul Miller odnalazł Rose wśród gości i przeprosił, że musi tak wcześnie wyjść. Obiecał, że zadzwoni zaraz po Nowym Roku.

Miller dojechał szybko do hotelu „Waldorf” przez pustą Park Avenue, powierzył samochód portierowi i ruszył przez korytarz ku windom. Potem wyciągnął z kieszeni płaszcza klucz do apartamentu na siódmym piętrze.

— Dobry wieczór, panie Miller. Szczęśliwego Nowego Roku! W fotelu pod lampą przy oknie siedział młody mężczyzna.

— Nawzajem, panie Smith.

Miller wiedział, że „Smith” nie jest prawdziwym nazwiskiem tego człowieka, że nie jest to jego apartament i że w rejestrze gości nie ma najmniejszej wzmianki o jego obecności.

Młody mężczyzna wyciągnął rękę i wziął dokumenty przywiezione przez Millera. Zwilżył delikatnie palce i przerzucał strony, sprawdzając podpisy. Paul Miller stał cały czas naprzeciw niego.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku — oświadczył w końcu młodzieniec. — Dziękujemy za załatwienie sprawy.

Paul Miller odetchnął z ulgą. Nic go teraz nie mogło powstrzymać. Za kilka tygodni, a może nawet prędzej, akcje Simona Talbota będą należały do niego.

Miller wiedział wszystko o „zatrutej pigułce” — klauzuli, dodanej do kontraktu przez Jehosophata Jeffersona. Talbot go o tym nie poinformował, bo nie przypuszczał, że Miller przekupi sekretarza adwokata Jehosophata Jeffersona i sam zapozna się z umową. Simon Talbot zamierzał oszukać Millera. Był przekonany, że „zatruta pigułka” pozbawia akcje wartości, w rezultacie nie dawał więc Millerowi żadnego zabezpieczenia. Miller był innego zdania. Jego prawnicy sądzili, że można złamać klauzulę „zatrutej pigułki”, ale tylko wówczas, gdy Simon Talbot nie będzie się temu przeciwstawiał. Jeśli wszystko się powiedzie, tak się właśnie stanie.

Millerowi wcale nie zależało na „Talbot Railroads”. Nie interesował go biznes kolejowy. Chodziło o „Global”. Na razie wystarczy mu dwudziestopięcioprocentowy udział. Kiedy usunie się Talbota, reszta przyjdzie sama.

— To wszystko, panie Miller, chyba że ma pan jeszcze jakąś sprawę. Głos młodego mężczyzny przerwał Millerowi rozmyślenia.

— Nie... to znaczy zastanawiałem się, czy on...

— „On”, panie Miller? — w głosie mężczyzny pojawiła się ostra nuta.

— Chciałem tylko... życzyć wam szczęśliwego Nowego Roku.

— Dziękuję.

Paul Miller wyszedł z apartamentu i stał bez ruchu na korytarzu. Widział, jak obraca się klamka, a za chwilę usłyszał ciche głosy. *Ten drań był tam przez cały czas!*

Kilka dni wcześniej Paul Miller poniósł ogromne koszty, żeby się dowiedzieć, że człowiekiem, który wynajął apartament na siódmym piętrze, był Komodor Cornelius Vanderbilt.

6

Dębowe krzesło obrotowe zatrzeszczało złowieszczo, kiedy Monk McQueen oparł się wygodnie i położył nogi na biurku. Zwinął w rolkę artykuł i odezwał się do swojego redaktora ds. finansowych, Jimmy'ego Pearce'a, absolwenta Princeton, który miał prawdziwego nosa do wiadomości gospodarczych.

— Jesteś absolutnie pewien, że Talbot chce dostać te nowe terytoria kolejowe?

— Moi informatorzy w Waszyngtonie zadzwonią w chwili, w której złożą ofertę.

— To nie ma sensu — powiedział McQueen, drapiąc się po głowie. — Simon Talbot nie dysponuje takimi pieniędzmi.

— Dysponuje, jeżeli zastawi wszystkie swoje aktywa — odparł Pearce. McQueen pokręcił głową.

— Zabraknie mu kilku milionów.

— Ma bogatą żonę.

McQueen spojrział kwaśno na redaktora.

— Nie sądzę, by coś od niej dostał.

— No to znalazł te pieniądze na ulicy.

Zadzwonił telefon, a Pearce natychmiast podniósł słuchawkę. Na jego twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

— Mamy potwierdzenie. Talbot pierwszy złożył ofertę, spełnił wszystkie wymogi i dostał kontrakt.

— Co z Vanderbiltem? On również się do tego przymierzał.

— Nie wiem. Ludzie Vanderbilt'a w ogóle się nie pojawili. Może usłyszeli, co się dzieje, i wycofali się.

Może — pomyślał McQueen. — A może nie. Rzucił artykuł redaktorowi.

— Puść to jako korespondencję.

Monk McQueen wypróbował wytrzymałość krzesła, przechylając się jeszcze bardziej do tyłu i patrząc w sufit. Instykt podpowiadał mu, że coś tu jest nie

w porządku. Simon Talbot nie był człowiekiem, który zaryzykowałby dorobek całego życia. Wygląda jednak na to, że tak właśnie postąpił.

— Co masz zamiar zrobić poza podaniem informacji? — zapytał samego siebie Monk.

Po ślubie Rose Monk skończył Yale, zwiedził Europę, a po śmierci ojca stanął na czele wydawanego przez niego biuletynu finansowego. Zanim minęły trzy lata, *Q* zamieniło się z dziesięciostronicowej broszurki w prawdziwą gazetę. Monk wyszukiwał najlepszych autorów i analityków, tworząc ogólnokrajową sieć korespondentów. Zyski wy dał na najnowszy sprzęt telekomunikacyjny i modernizację drukarni. W rezultacie magazyn *Q* stał się całkowicie niezależny. Monk dawał reporterom wolną rękę, zachęcał ich do badania nadużyć na Wall Street i publikował wyniki. W krótkim czasie Monk narobił sobie wielu wrogów. Nikt nie mógł jednak oskarżyć *Q* o stronniczość.

Monk spędzał w biurze wiele godzin, ale mimo to nie zapominał o Rose Talbot. Poszedł na pogrzeb Jehosopata Jeffersona, a kiedy Rose urodziła syna, posłał jej ogromny bukiet kwiatów. Przy obu okazjach otrzymał grzeczną kartkę z podziękowaniami.

Gazeta przyciągała jak magnes wszelkie towarzyskie i finansowe plotki, Monk zdawał więc sobie sprawę, że coś jest nie tak w domu Talbotów. Patrzył z przerażeniem, jak Simon stara się pozbyć Rose z firmy, i pochwalał jej determinację, żeby do tego nie dopuścić. Uważnie obserwował sposób prowadzenia spółki przez Talbota, nie znajdował jednak błędów w jego decyzjach. Monk uważał, że Rose przejmie wkrótce kontrolę nad przedsiębiorstwem, które jest warte o wiele więcej niż osiem lat temu.

Pragnął, żeby Rose była szczęśliwa, i uważał Simona za durnia, postanowił jednak, że nigdy nie przyczyni się do rozbitcia małżeństwa Talbotów. Przez te wszystkie lata spotykał się z wieloma kobietami. Na jego kominku leżało pełno zaproszeń od wielkich nowojorskich rodzin, w których były panny na wydaniu. Towarzystwo tych młodych dam sprawiało Monkowi przyjemność, ale mimo to w nic się nie angażował. Próbował przekonać samego siebie, że już od dawna nie porównuje każdej napotkanej kobiety z Rose. Musiał jednak w końcu przyznać, że nie jest to prawda. Właśnie dlatego niepokoiła go teraz kwestia, skąd Simon Talbot wziął pieniądze.

Z westchnieniem podniósł słuchawkę i zadzwonił do „Globalu”. Zapytał Mary Kirkpatrick, czy Rose mogłaby się z nim spotkać w „Plaža” tego popołudnia.

— Wiem, oczywiście, że Simon dostał te tereny — powiedziała Rose. — Któż o tym nie wie? Z rozbawieniem obserwowała daremne wysiłki Mońka, który starał się wygodnie usadowić na delikatnym pleconym krześle.

Zaproszenie Mońka zdziwiło Rose. Dziwiła się sama sobie, że sprawiło to jej taką

przyjemność. Od czasu do czasu spotykała Mońka na przyjęciach, ale ich kontakty ograniczały się do wymiany grzeczności. Rose nie zapomniała o jego miłości i z przyjemnością przekonała się, że uczucia Mońka się nie zmieniły. Pomyślała, że niewielu jest ludzi takich jak on — delikatnych i naprawdę życzliwych.

— Nie mów tylko, że chciałeś się ze mną spotkać, by dowiedzieć się czegoś

O Simonie — powiedziała kokieteryjnie, acz z delikatną ironią Rose.

Monk zignorował ten zaczepny ton.

— Ależ skąd! — odparł pośpiesznie. — Chodzi po prostu o to, że... no cóż, czegoś tu nie rozumiem.

— Czego? — zapytała Rose, słuchając z przyjemnością muzyki.

— Skąd Simon wziął pieniądze — odpowiedział Monk. — Wiesz pewnie, że obciążył „Talbot Railroads” długiem hipotecznym.

Rose zmarszczyła brwi.

— Nie, nic o tym nie wiem.

— Mimo to wciąż brakowało mu pięciu milionów dolarów. Rose odstawiła filiżankę.

— Co tak naprawdę chcesz wiedzieć, Monk?

Monk McQueen wiercił się niespokojnie na krześle, żałując, że palmowe liście

i paprocie nie zasłaniają jego twarzy.

— Czy Simon przyszedł do ciebie po pieniądze? — zapytał. — Czy wykorzystał fundusze „Globalu” do swojej transakcji?

Rose roześmiała się.

— Oczywiście, że nie! Simon nie mógł tego zrobić ze względu na „zatrutą pigułkę”.

— Zatrutą pigułkę?

Rose przygryzła wargę, stwierdziwszy, że za dużo powiedziała.

— Przyrzeknij, że pozostanie to między nami — poprosiła. — To są prywatne sprawy Jeffersonów.

— Masz moje słowo.

Rose wyjaśniła warunek postawiony Simonowi przez dziadka przy zawieraniu kontraktu.

— Widzisz więc, że Simon nie mógł sięgnąć do funduszy spółki — zakończyła.

— Przepraszam — powiedział Monk, kręcąc głową. — Po prostu nie mogłem tego zrozumieć. Nie chciałem cię zdenerwować...

Rose poklepała go po dłoni.

— Nic nie szkodzi. Prawdę mówiąc, dobrze się czuję w twoim towarzystwie. Może spotkamy się wkrótce?

Monk rozpromienił się.

— Panie McQueen!

Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku młodego mężczyzny, który przeciskał ttię wśród stolików. Monk wstał z krzesła, żeby przywitać się / Jimmyrn Pearce'em. Jimmy, co do diabła...

— Wszyscy o tym mówią, panie McQueen — zawołał redaktor. — Komodor przejmuje „Talbot Railroads”: magazyny, tabor kolejowy, wszystko!

Monk chwycił go za ramiona.

— Jesteś pewien?

Młody człowiek przełknął ślinę.

— Absolutnie!

— Monk... — zaczęła Rose.

Zapewnienia Rose nie brzmiały zbyt przekonująco, Monk nie chciał jednak jej alarmować, dopóki nie będzie w stanie uzasadnić swych podejrzeń.

— Dowiedz się, skąd Talbot wziął pięć milionów — wyszeptał do redaktora. — Mniejsza o koszty. Chcę wiedzieć i chcę dowodów. Nie zajmuj się innymi sprawami, weź kogoś z biura do pomocy. Idź już!

Monk odwrócił się do Rose.

— Lepiej będzie, jeśli wrócisz do „Globalu” — powiedział spokojnie. — Zadzwoń do adwokatów, niech jeszcze raz przejrzą kodycył dziadka.

— Dlaczego?

— To tylko środek ostrożności, Rose, nic więcej. — Monk przerwał. — Czy wiesz, gdzie jest Simon?

— W Waszyngtonie. Wyjechał wczoraj.

Monk McQueen uśmiechnął się kwaśno. Wiedział doskonale, że Simon Talbot nie zbliżył się nawet do stolicy.

— Czy na pewno twoja żona myśli, że jesteś w Waszyngtonie?

Marie Jackson, urodzona jako Anna Maria Jaunich, zadała to pytanie, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Zwilżyła palec perfumami i przejechała nim pomiędzy nagimi piersiami, po gładkim, jednym brzuchu i pod jedwabnymi majteczkami. Kiedy się tam dotknęła, odkryła, że jest zupełnie sucha.

To nie pierwszy raz — pomyślała, tłumiąc westchnienie.

Spojrzała na mężczyznę, który leżał na łóżku, opierając się na poduszkach.

Kiedy dwa lata temu poznała Simona Talbota w klubie „Flamingo”, doszła do wniosku, że jest on jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Czuła podniecenie, kiedy tylko wyobraziła go sobie bez ubrania. Nie spotkało jej rozczarowanie. Szybko się jednak przekonała, że Simon jest wymagającym i brutalnym kochankiem. Oczekiwał od niej, że zrobi wszystko na każde skinienie.

Ostrożnie, starając się nie przyciągnąć uwagi Simona, Marie gładziła swoje ciało, aż poczuła podniecenie. Nie ma sensu rozwiewać jego iluzji. Simon Talbot wierzył, że wystarczy lekkie dotknięcie, a Marie od razu będzie dyszeć z pożądania. W porządku. Nie był pierwszym mężczyzną, który miał takie fantazje. Był jednak najbogatszy i najhojniejszy z nich. Wkrótce Marie za otrzymane od niego pieniądze otworzy własne przedsiębiorstwo. Obliczyła, że musi zostać z Simonem Talbotem jeszcze przez sześć miesięcy. Potem stopniowo zacznie się wycofywać z tego

związku. Jeśli będzie ostrożna, Simon nie sprawi jej kłopotów. Przeciwnie, Marie chciałaby korzystać później z jego pomocy, kiedy trzeba będzie szepnąć słowo kapitanom policji, inspektorom celnym i bankom.

Spojrzała jeszcze raz na swoje czerwone usta („jak po użądleniu pszczoły” — mawiali niektórzy mężczyźni), świetnie umalowane brwi, które podkreślały jej zielone oczy, potrząsnęła lekko bransoletkami i ruszyła powoli w stronę łóżka.

— Jesteś pewien, że twoja żona nic nie wie? — drażniła się z nim, muskając palcami skórę na jego brzuchu.

Simon wyciągnął rękę i zacisnął grube palce na piersi dziewczyny.

— Jestem pewien — powiedział leniwie, rozkoszując się jej widokiem. — Czym się przejmujesz? Nigdy przedtem nie mówiłaś o Rose.

— Jestem po prostu głupiutką dziewczynką — powiedziała Marie. — Nie gniewaj się, kochanie. Zaraz się zajmę tatusiem...

Simon jęknął, kiedy ręka Marie dotarła do celu. Kobiety! — pomyślał kwaśno.

Musiał jednak przyznać, że Marie była jedyna w swoim rodzaju. Nie narzucała się ze swoimi wymaganiami i o nic się nie targowała.

Taki układ doskonale odpowiadał Simonowi. „Aerie” w stanie Nowy Jork było zarejestrowane jako klub myśliwski, co gwarantowało, że kobiety, to znaczy żony, nie będą miały do niego wstępu. Oczywiście, mogły tam za to przychodzić inne panie, i o to chodziło założycielom klubu. W „Aerie” płaciło się za doskonałą obsługę i dyskrecję.

Właśnie dlatego Simon Talbot usłyszał ciche, lecz uparte stukanie dopiero wtedy, kiedy Marie doprowadziła go niemal do orgazmu.

— Sukinsyn!

Simon odepchnął przestraszoną Marie i wyskoczył z łóżka.

— Czego, u diabła, chcesz?! — wykrzyknął, uchylając drzwi i patrząc prosto w oczy przerażonemu portierowi.

— Ktoś chce się z panem widzieć, sir — odpowiedział nieśmiało portier.

— Kto?

— Pan McQueen, sir.

— Kochanie, czy coś się stało?! — zawołała z łóżka Marie.

— Zamknij się!

Simon chwycił szlafrok, przewiązał się paskiem i otworzył drzwi na oścież. Minął portiera i bosorę ruszył ku schodom, gdzie zobaczył Mońka McQueena.

— Dobry wieczór, Simonie — powiedział uprzejmie Monk.

— Masz mi wiele do wyjaśnienia! — ostrzegł Simon.

Monk stał naprzeciw starszego mężczyzny i zastanawiał się, co czuje na widok Simona Talbota: litość czy obrzydzenie?

— Ty również, Simonie — odparł Monk. — Wyjaśnij może na początek, co wiesz o zakusach Vanderbilta na twoje zakłady kolejowe. Wszystkie wyjaśnienia zostaną oczywiście zaprotokołowane.

Wieści o uderzeniu Komodora na „Talbot Railroads” otrzeźwiły społeczność finansistów z sylwestrowego kaca. Kiedy Simon wrócił na Lower Broadway, okazało się, że jego biura są obleżone przez reporterów. Potrzebował pomocy oddziału policjantów, żeby przedrzeć się przez krzyżący tłum. Simon szybko doszedł do wniosku, że jego powrót w niczym nie poprawił sprawy.

Adwokaci przedstawili mu sytuację: pomimo środków ostrożności Vanderbilt dowiedział się, jak zadłużone są posiadłości Talbota, i postanowił wykorzystać okazję. Skontaktował się z bankami, które przyjęły w zastaw cenne linie kolejowe Talbota i zaproponował, że je wykupi.

— Banki nigdy ich nie sprzedadzą — oświadczył Simon. — Nie odważą się.

— Zrobią to, jeśli będzie pan zalegał ze spłatami — odparł adwokat. — Zwrócimy dług, jeżeli rząd pozwoli nam zabrać się natychmiast do budowy linii kolejowych. Znaczy to, że senat musi odrzucić skargi wniesione przez osadników i Indian.

— Odrzuci — powiedział stanowczo Simon. — Obiecał mi to senator Ridgemount z Minnesoty.

Wszyscy prawnicy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Nikt z nich nie wiedział o tej umowie. W tym momencie nikomu jednak nie zależało na poznaniu szczegółów.

Trzy dni później senator Mathias Ridgemount ze stanu tysiąca jezior złożył rezygnację ze względu na zły stan zdrowia. Wkrótce potem komitet ds. transportu postanowił zbadać dokładniej sprawę nowych inwestycji kolejowych na Środkowym Zachodzie i zakazał firmie „Talbot Railroads” jakichkolwiek działań do czasu podjęcia ostatecznej decyzji.

— Mówiłeś, przyrzekałeś, że zapłaciłeś Ridgemountowi! — krzyczał Simon Talbot. — Co się stało, do cholery?!

— Stało się to, że złożył rezygnację — odpowiedział kwaśno Paul Miller. — Nie czytujesz gazet?

— W takim razie przekonaj go, żeby wrócił albo niech ktoś inny da nam zielone światło!

— Tylko kto? — westchnął Miller. — Wiesz przecież, że jedynie dzięki Ridgemountowi mogliśmy wyrzucić nacisk na komitet. Nikt inny nie ma takich wpływów jak on.

— Posłuchaj, Paul — powiedział groźnie Simon. — Banki upominają się o spłatę pożyczki.

Wszedłem w ten interes, bo obiecałeś, że będę mógł od razu rozpocząć budowę. Każda zwłoka sprawi, że nie zwrócę długu na czas. Banki o tym wiedzą. Vanderbilt z p e w n o ś c i ą zdaje sobie z tego sprawę.

— To przecież proste — odparł Miller. — Musisz przekonać banki, żeby zgodziły się przełożyć terminy spłat.

— Sam je przekonaj, jeśli to takie proste! — wybuchnął Simon. — Poruszyłem niebo i ziemię, żeby dostać pożyczkę. Teraz, kiedy potrzebuję więcej czasu, oni nie chcą się zgodzić. To również twój interes, Paul. Nadeszła t w o j a kolej, żeby z nimi porozmawiać!

— Dobrze — skapitulował Miller. — Zrobię, co będę mógł.

Po południu Miller zjadł wspaniały obiad w apartamencie na siódmym piętrze hotelu „Waldorf”. Rose nie знаła męża od tej strony. Do tej pory zawsze uważała, że Simon jest panem swego losu. To wrażenie rozwiało się w ciągu kilku tygodni. Widziała teraz człowieka, który postarzał się o dwadzieścia lat, barykadował się jak złodziej w swoim biurze i potrzebował policyjnej eskorty, żeby przedostać się z domu do pracy. Dokuczliwość dziennikarzy i złowieszcze milczenie banków sprawiły, że Simon szybko utracił urok południowca i wielkopańskie maniery. Każdy drobiazg wprawiał go we wściekłość. Służba w domu Talbotów szybko nauczyła się chodzić na palcach. Rose patrzyła, jak zacieśnia się pułapka wokół Simona, i zastanawiała się, czyjej mąż żałuje teraz, że ich małżeństwo ułożyło się tak, a nie inaczej. Ona sama nie czuła do niego nic. Stale przeciwstawiał się realizacji jej marzeń. Jednakże w obecnej sytuacji Rose była jedyną nadzieją Simona.

Siedzieli naprzeciw siebie przy długim „rodzinnym” stole z polerowanego wiśniowego drzewa. Od czasu ataku Vanderbilta Simon po raz pierwszy jadł obiad w domu. Stracił na wadze i wyglądał jak strach na wróble w zbyt obszernym ubraniu. Rose zauważyła, że jego ręka drży, kiedy sięgał po kieliszek z winem.

Kiedy służba sprzątnęła ze stołu, Simon powiedział:

— Wiesz, co się dzieje, prawda? — Zanim Rose zdążyła odpowiedzieć, uprzedził ją: — Oczywiście, że tak.

Starał się ze wszystkich sił, aby w jego głosie nie brzmiała gorycz. Niestety, nie bardzo mu się to udawało.

— Czy muszę ci wyjaśniać sytuację, Rose? — zapytał.

— Nie.

Rose mogła dodać, że Hugh O'Neill, radca prawny „Globalu”, informował ją na bieżąco o rozwoju wypadków. Wraz z innymi prawnikami zbadał klauzulę „zatrutej pigułki” i stwierdził, że nie da się jej obejść. Jeśli Simon chciał wykorzystać aktywa „Globalu” przeciwko Vanderbiltowi, to musiał się zwrócić do Rose.

— Skoro tak, to przejdę do rzeczy — powiedział Simon. — Muszę pożyczyć pieniądze od „Globalu”. Byłaby to tylko krótkoterminowa pożyczka na spłatę raty.

— Wydałbyś wszystkie zyski firmy — odparła Rose. — Co by się potem stało? Będę budował nowe linie kolejowe.

— Nie możesz tego zagwarantować, Simonie. Niewykluczone, że komisja senacka długo jeszcze nie podejmie decyzji.

Wypił ostatni łyk burgunda. Odstawił z brzękiem kryształowy kieliszek.

— W takim razie chciałbym oddać w zastaw hipoteczny aktywa „Globalu”. Banki się na to zgodzą.

Rose poczuła, jak ogarnia ją gniew.

— Nie rozmawiasz teraz z bankami.

— Racja — odrzekł Simon. — Rzec w tym, czy ty podpiszesz odpowiednie dokumenty... — przerwał i milczał przez moment. — Podpiszesz?

Wiedziała, o co poprosi Simon, a mimo to była wściekła. Po tym, jak ją traktował, nie miał prawa proponować czegoś takiego. Miała jednak wyrzuty sumienia — nauczono ją, że żona powinna podporządkowywać się mężowi. Była w tym momencie bardziej wściekła na siebie samą niż na niego.

— Nie, Simonie. Nie zgodzę się na oddanie „Globalu” bankom. Simon musiał tego oczekiwać, bo nie okazał zdziwienia.

— Jeśli tego nie zrobisz, będę zrujnowany.

— A jeśli to zrobię, mogę stracić w s z y s t k o . Nie próbuj wobec mnie emocjonalnego szantażu, Simonie. Nie po tym wszystkim, co się stało. Nie zaryzykuję przyszłości Stevena i swojej — nie mogła się zmusić do tego, by powiedzieć „naszej” — tylko dlatego, że podjąłeś błędną decyzję. Simon popatrzył na nią przeciągle, a potem bez słowa odszedł od stołu. Rose drżała na całym ciele, jak gdyby w końcu pozbyła się ciężaru, który nosiła zbyt długo. Nie miała pojęcia, co zrobi teraz jej mąż. Może sprzeda część swojej firmy i dzięki temu zyska trochę czasu. Tak czy inaczej, Rose była przekonana, że jej los nie zależy już od Simona.

Kiedy zbliżał się termin spłaty pierwszej raty, wszyscy biznesmeni wstrzymali oddech. Simon Talbot zniknął ze sceny publicznej. Na Wall Street krążyły na jego temat rozmaite pogłoski.

Mówiono o pożyczce zaciągniętej w Europie, o stworzeniu konsorcjum finansowanego przez bogacza z Ameryki Południowej, a nawet o spotkaniu z prezydentem, w czasie którego Simon miał podobno prosić Biały Dom

o interwencję. Członkowie prywatnych klubów wdawali się w ożywione dyskusje

o zakładali się o to, czy Simon Talbot przetrwa dzień Świętego Walentego 1915 roku.

Paul Miller postanowił zwiększyć szanse wygranej. Zadzwoił do Mońka McQueena i zaprosił go na lunch w klubie „Metropolitan”.

— Pewnie nie widziałeś się ostatnio z Simonem — powiedział Miller.

— Nie — odrzekł Monk. — A powinienem?

— Ależ skąd! Tak się tylko zastanawiałem. Na pewno ciągle ktoś do was dzwoni z jakimiś plotkami.

Monk uśmiechnął się uprzejmie. To było niepodobne do Paula Millera. Jako członek rady nadzorczej „Talbot Railroads” powinien wiedzieć, gdzie jest przewodniczący rady w czasie kryzysu.

— Najwyraźniej nie masz pojęcia, gdzie przebywa Simon—odparł Miller. — Nie szkodziło jednak zapytać. Nie muszę ci mówić, że wielu ludzi zaczyna się denerwować.

— Między innymi pan, panie Miller.

— Proszę, mów mi Paul. Szczerze mówiąc, tak. Stałem długo u boku Simona, dłużej niż pozwalala na to finansowa ostrożność. Miałem nadzieję, że uda mu się wyciągnąć królika z kapelusza, ale...

— Chcesz powiedzieć, że Simon nie wywiąże się ze swoich zobowiązań wobec banków?

— Niewykluczone, że jakoś sobie poradzi — przyznał Miller. — Naprawdę chciałbym w to wierzyć. Muszę jednak spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy.

Inaczej mówiąc, nie chcesz się wiązać z potencjalnym bankrutem.

— Postanowiłem więc ustąpić z zarządu — Miller położył na stole kopertę.

— Od zaraz.

Monk był zszokowany.

— Czy to nie zbyt pochopne?

— Muszę chronić moje interesy.

— Jeśli zrezygnujesz, to co ci pozostanie?

Miller uśmiechnął się. Jego oczy błyszczały jak dwa zimne metalowe guziki.

— Wiele. Każdy, kto umie liczyć, wie, że do złożenia oferty Simonowi brakowało pięciu milionów, ale jakoś udało mu się je zdobyć.

Monk poruszył się niespokojnie, czekając, co dalej powie Miller.

— To ode mnie dostał te pieniądze. Monk był zdziwiony.

— Jeśli tak, to dlaczego chcesz się teraz wycofać? Nie masz żadnego zabezpieczenia. Dostaniesz swoje pieniądze dopiero wówczas, gdy Simon spłaci długi bankom.

— Dlaczego sądzisz, że nie mam zabezpieczenia? — zapytał prowokacyjnie Miller. — Tak nie jest. — Położył kilka dokumentów obok koperty. — Przeczytaj

— zachęcił Monka.

Monk przeglądał papiery, a jego ciekawość zamieniła się w niedowierzanie: w zamian za pięć milionów dolarów Simon Talbot przekazywał Paulowi Millerowi połowę akcji, które trzymał dla Rose.

— Nie miał prawa tego robić!

— Co takiego? — powiedział ostro Miller. Monk przeklinał własną niedyskrecję.

— Nic — wymruczał. — Nie wiem, w jaki sposób...

— Nie—przerwał Miller. — Powiedziałeś, że Simon nie miał prawa. Co miałeś nu myśli? Przysięgał, że sprawuje pełną kontrolę nad przedsiębiorstwem. Czy chcesz powiedzieć, że okłamał mnie?

— Nie mogę tego skomentować — odparł Monk. Miller jak gdyby go nie usłyszał.

— Skoro tak — ciągnął — to podam go do sądu. Jeśli okaże się, że jest goły, zrobię wszystko, żeby zatrzymać te akcje.

Monkowi zrobiło się niedobrze, kiedy zorientował się, jaką puszkę Pandory otworzył. Wyczuł jednak jakąś fałszywą nutę: Miller był trochę za sprytny. *Czyżby wiedział od samego początku, że Simon nie ma prawa zastawiać tych akcji?*

— Monk, obawiam się, że muszę dojść do sedna sprawy — rzekł Miller z poważną miną. — Możesz opublikować to, o czym rozmawialiśmy. Zostawiam ci dokumenty. Skontaktuję się z tobą, jak tylko będę mógł.

Monk patrzył, jak finansista wychodzi w pośpiechu — doskonały wizerunek niewinnego człowieka, który nagle zdał sobie sprawę, że go oszukano. Zaniepokoiło to Mońka, gdyż Paul Miller nie był ani niewiniątkiem, ani głupcem.

Postanowił, że nie będzie na razie o tym myślał. Musi natychmiast powiadomić Rose, że Simon ją zdradził. Potem zdecyduje, czy napisze o tym, czego dowiedział się w trakcie rozmowy z Pauliem Millerem, a tym samym zniszczy Simona Talbota.

Tego wieczora Simon Talbot późno wrócił do domu. Zdjął płaszcz i usadowił się wygodnie przed kominkiem w bibliotece. Suche brzoźowe drewno trzeszczało w ogniu i ten dźwięk był równie uspokajający, jak pierwszy łyk bordo.

Simon otworzył magazyn *Q*. Numer poświęcony był w całości kłopotom „Talbot Railroads” i skandalowi związanemu z nielegalnym zastawieniem akcji „Globalu”. Przeczytał ten artykuł wiele razy i sam się zastanawiał, czemu poddaje się takiej torturze.

Nie odrywając oczu od gazety, przygotował sobie cygaro. Musiał przyznać, że raport Mońka McQueena był bardzo powściągliwy. Jednakże same fakty wystarczająco go pogrążyły. Obok komentarza Paula Millera widniał tekst umowy, podpisanej przez Simona. Potem nastąpił krótki wywiad z Rose, która gwałtownie zaprzeczała, jakoby jej mąż miał prawo wchodzić w tego rodzaju interes. Jako dowód przedstawiła magazynowi *Q* pełny tekst klauzuli „zatrutej pigułki”.

Wydrukowano również pisemne zatwierdzenie tej klauzuli przez Simona i jego przyrzeczenie, że będzie tylko opiekunem majątku Rose.

Prokurator okręgowy Manhattanu dorzucił swoje trzy grosze, stwierdzając, że jeśli pan Talbot nie będzie umiał się z tego wytłumaczyć, musi się liczyć z możliwością oskarżenia o sprzeniewierzenie i defraudację. Tymczasem prawnicy Paula Millera ogłosili, że zamierzają wytoczyć proces o pięć milionów dolarów. W związku z tym prosili, żeby do czasu wyjaśnienia sprawy sąd zajął dwadzieścia pięć procent akcji „Globalu”.

Rose kontratakowała za pośrednictwem Hugh’a O’Neilla, twierdząc, że jej mąż nie ma żadnych praw do tych akcji.

Simon Talbot zaciągnął się cygarem i przymknął oczy. Potrzebował dużo czasu na dotarcie do prawdy, która wydawała się teraz oczywista i prosta: Paul Miller go zdradził.

Na początku Simon sądził, że Miller dopiero teraz odkrył istnienie klauzuli „zatrutej pigułki”. W wywiadzie dla magazynu *Q* Miller nie wyglądał jednak na przestraszonego, oszukanego człowieka. Na pewno cały czas wiedział o „zatrutej pigułce” i czekał tylko na właściwy moment, żeby publicznie wyrazić swoje zdziwienie. Gdyby był naprawdę wściekły, to z pewnością skontaktowałby się z Simonem i zażądał wyjaśnień.

Kto na tym zyska? Na pewno nie Paul Miller, który stracił swoje pięć milionów w wypadku bankructwa Simona. Skorzysta tylko Vanderbilt. Już przedtem Simonowi groziła ruina, a taki skandal doszczętnie go zniszczy. Firma „Talbot Railroads” zostanie rzucona na pastwę Komodora. Nie — poprawił się Simon. — To nie całkiem tak.

Skorzystają także inni poza Vanderbiltem: ci, których Komodor zmusił groźbami lub kupił obietnicami nagrody. Simon zastanawiał się, ile srebrników otrzyma Miller, Na pewno o wiele więcej niż trzydzieści.

Poprawił drewno pogrzebaczem. W powietrze wystrzeliły dziesiątki iskier. Usiadł wygodnie w fotelu i zastanawiał się, czy gdyby miał szansę, zmieniłby coś w swoim życiu. Nie. Niczego by nie zmienił. Nigdy nie zadowoliliby się życiem na Południu i próżnymi marzeniami o dawnej chwale. Był na to zbyt energiczny, miał zbyt wielkie plany. Musiał jednak przyznać, że w głębi serca wciąż pozostał synem Południa. Jankes ogłosiłby bankructwo, nie przejąłby się porażką i zaczęłby wszystko od nowa. Simon nie jest Jankesem i nigdy nim nie zostanie. Przybył z zewnątrz i, jak uświadomiła mu Rose oraz wschodnie banki, zawsze pozostanie tylko przybyszem. Nigdy nie otrzyma drugiej szansy.

— Tato...?

Simon przestraszył się, widząc w drzwiach siedmioletniego syna w piżamie, uszytej z materiału we wzory przedstawiające kowbojów i ścigających ich Indian. Wyglądał tak niewinnie, gdy przecierał małymi piąstkami duże, ciemne oczy. Simon skinął na niego. Steven zbliżył się i objął ojca za szyję.

Gorzki żal ogarnął Simona. W przeciwieństwie do większości mężczyzn nigdy nie dbał za bardzo o własne dziecko. Pamiętał, jak po raz pierwszy trzymał Stevena na rękach — małą, ruchliwą, czerwoną istotę krzyczącą ze wszystkich sił. Zapach i wrzask były tak okropne, że Simon czym prędzej oddał dziecko pielęgniarce.

To nie dlatego, że nie kochałem syna — powiedział do siebie Simon. Na swój sposób zawsze dla niego pracował. Ojciec pozostawił Simonowi marną spuściznę. Simon przysiągł sobie, że stworzy coś, z czego jego syn będzie dumny.

Przez długie lata czekał, aż Steven podrośnie i będzie można chłopcu wszystko wytłumaczyć. Teraz, kiedy ta chwila prawie nadeszła, nie pozostało nic oprócz marzeń. Nie potrafi nawet powiedzieć synowi, jak bardzo jest mu przykro.

Steven Talbot nic nie wiedział o wyrzutach sumienia, które dręczyły ojca. Zawsze go kochał. W oczach Stevena Simon był olbrzymem, wypełniającym sobą cały pokój, królem, przed którym kłaniali się inni ludzie, rozdającym łaski i wymierzającym kary. Ulubioną rozrywką Stevena było przebywanie w biurze ojca,

rozkoszowanie się zapachem tytoniu, skóry i porto. Chłopiec chętnie wyobrażał sobie dzień, w którym stanie się częścią tego świata.

Wkrótce do fantazji Stevena zaczęła wkraczać rzeczywistość. Nawet w tak ogromnym domu jak Talbot House słychać było głosy domowników. Steven zaczął wynajdywać kryjówki, z których mógł bezpiecznie podsłuchiwać kłócących się rodziców. Nie rozumiał, dlaczego matka wciąż spiera się z ojcem, gdyż nigdy nie przyszło mu do głowy, że ojciec mógłby nie mieć racji. Kiedy słuchał ich zażartych sporów, bardzo chciał ruszyć ojcu na pomoc. Jednakże w ostatnim momencie odwaga zawsze go opuszczała. Po każdej kłótni ukrywał coraz głębiej swoją miłość. W końcu Steven zaczął nienawidzić matki.

— Nie uważasz, że czas już spać? — wymruczał Simon. Steven przytulił się do ojca.

— Chcę być z tobą, tato.

— Zawsze będziesz ze mną. Jesteś moim synem i zrobisz wszystko to, czego ja nie mogłem dokończyć. Świat będzie z ciebie dumny, synu. Zdobędziesz sławę. — Simon delikatnie odsunął chłopca i postawił go na podłogę. — Czy chcesz, żebym otulił cię na dobranoc?

Steven pokręcił głową.

— W porządku, sam pójdę — powiedział mężnie.

Simon pocałował syna w czoło. Patrzył, jak Steven z wahaniem unosi rękę.

— Dobranoc, tato.

Steven Talbot słyszał trzask zamykanych drzwi. Stał nieruchomo w przedpokoju i ledwo ważył się oddychać. Potem ukląkł i przycisnął oko do dziurki od klucza. Poczul na twarzy chłodny dotyk metalu.

Ojciec wstał z krzesła i stanął przed szafką z bronią. Otworzył szklane drzwi i wyjął piękną strzelbę z dwoma długimi lufami i wypolerowaną kolbą. Włożył do magazynka dwa naboje. Potem wrócił na fotel.

Steven nie wiedział, jak ma to rozumieć. Słyszał wiele razy, że broń powinno się ładować tylko wtedy, jeśli ma się zamiar z niej strzelać. Ojciec zdjął prawy but, potem skarpetkę. Oparł kolbę strzelby o podłogę i położył duży palec prawej nogi na spuście. Potem włożył lufę do ust.

Huk był ogłuszający i Steven odskoczył od dziurki od klucza, jak gdyby trafił go pocisk. Zanim przybiegła matka i służący, był już na nogach i stał przed drzwiami nieruchomy jak posąg. Był przekonany, że tego właśnie życzyłby sobie ojciec.

7

Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

Za oknem Rose widziała policjanta, który starał się powstrzymać tłum dziennikarzy. Kiedy usłyszała bicie zegara, zdała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dwóch godzin zmieniło się całe jej życie.

Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Henry Wright.

— Co z nim, Henry? — zapytała Rose drżącym głosem.

Wright był korpulentnym mężczyzną, którego surowe maniery kontrastowały z łagodnością wobec dzieci. Umiał z nimi robić cuda.

— Śpi—mruknął lekarz. — Dałem mu silny środek nasenny i nie obudzi się aż do rana. Przez cały czas będzie z nim pielęgniarka.

— Dzięki Bogu — powiedziała Rose.

Od pierwszej chwili tego koszmaru Rose myślała przede wszystkim o synu. Nie mogła zapomnieć chwili, w której ujrzała Stevena, stojącego bez ruchu przed drzwiami do biblioteki. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła ciało męża bez połowy głowy, zasłoniła dłonią oczy dziecka. Chłopiec natychmiast wyrwał się i spojrzał na nią.

— Wiem, co zrobił tata! — wykrzyknął. — To przez ciebie! Zabiłaś go! Rose była tak przerażona oskarżeniem syna, że stała tylko i bezradnie patrzyła na jego ucieczkę. Później, po przybyciu Henry'ego Wrighta, Steven nie chciał otworzyć drzwi sypialni, dopóki lekarz nie obiecał mu, że matka nie wejdzie do środka.

— Przeżył straszny szok—tłumaczył go Wright. — Podglądał przez dziurkę od klucza i widział, jak Simon się zastrzelił. Jego obserwacje do tego stopnia zgadzają się z ustaleniami policji, że muszę mu uwierzyć.

Rose starała się powstrzymać łzy.

— Co mam teraz robić?

— Zalecałbym dwudziestoczwierogodzinną obecność pielęgniarki. Przez jakiś czas mogą go dręczyć koszmary — Wright przerwał. — Nie możemy stwierdzić, na

ile poważny jest uraz. Znam przypadki, w których dzieci dochodziły do siebie po szoku prawie natychmiast. W innych potrzeba było dużo czasu... Rose wiedziała, że to nie wszystko.

— Co jeszcze, Henry? — spytała.

— W najgorszym razie dziecko odzyskiwało zdrowie tylko na pozór. Przez całe lata zachowywało się zupełnie normalnie. Potem, zwykle w wieku młodzieńczym, przychodziły niewytłumaczalne, ostre bóle głowy albo inne dolegliwości, które nie miały nic wspólnego z chorobą fizyczną. W taki właśnie sposób umysł próbował sobie radzić z dawnym, lecz nigdy nie zapomnianym cierpieniem. Nigdy przedtem Rose nie czuła takiej nienawiści do Simona. W obliczu przeciwności zachował się jak tchórz. Posłużenie się synem po to, żeby ją ukarać, uznała za niewybaczalne.

Co by się jednak stało, gdybyś postąpiła inaczej? Niewykluczone, że gdybyś pomogła Simonowi, nigdy by do tego nie doszło...

Zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia. Może nie powinna tak szybko odmawiać Simonowi. Może udałoby się jej pomóc mężowi i nie utracić przy tym firmy.

Myślisz tak ze względu na to, co przytrafiło się Stevenowi. Nie mogłaś jednak postąpić inaczej.

Gdybyś dała Simonowi to, czego chciał, zaprzepaściłabyś jedyną szansę odzyskania „Globalu”.

Zawsze byłabyś nieszczęśliwa...

— Jakoś mu to wynagrodzę — powiedziała Rose. Wright spojrział na nią.

— Słucham?

— Powiedziałam, że postaram się to wynagrodzić Stevenowi.

— Na pewno, Rose, ale... — zawahał się lekarz.

— Wiem, Henry. Trzeba na to czasu.

Przed śniadaniem całe miasto znało już ponure szczegóły samobójstwa Simona Talbota.

Natychmiast wygasło oburzenie nowojorskiej socjety na finansowe nadużycia Simona. W prasie ukazywały się artykuły o osiągnięciach Simona Talbota, o tym, jak wspierał sztukę i przeznaczał duże sumy na działalność charytatywną. Prawnicy i bankierzy Vanderbilta zrezygnowali z gróźb, wyrażając publicznie swoje ubolewanie, i spokojnie zaczęli likwidować firmę „Talbot Railroads”.

Kiedy skończą—pomyślała Rose — z dorobku całego życia tego człowieka nie pozostanie nic.

Zamknęła się w Talbot House, pragnąc uniknąć natrętnych pytań i ludzkiej ciekawości. Policja nie dopuszczała gapiów i dziennikarzy, przepuszczając jedynie pracowników „Globalu” i lekarzy.

Życzliwi ludzie brali milczenie Rose za objaw cierpienia i chwalili jej odwagę. Inni otwarcie

nazywali ją zimną suką. Rose nie dbała o to. Odizolowała się od świata, gdyż potrzebowała czasu na przemyślenie sprawy. Chciała zrozumieć, jak na nią samą wpłynęła śmierć Simona.

Wiedziała, że Simon wykorzystał jej uczucia. Kiedy wychodziła za mąż, nie miała pojęcia, czym jest miłość. Była zbyt młoda. Chciała, żeby wszystkiego ją nauczył — czułości i namiętności, wspólnej radości dwojga ludzi. On jednak nie umiał tego zrobić. Nadużył zaufania Rose... i pozbawił ją nadziei.

Kiedy w końcu przyszły lzy ukojenia, ich przyczyną był strach, a nie smutek. Rose była przerażona, widząc otwierającą się przed nią otchłań samotności, przed którą, jak sądziła, nie ucieknie do końca życia.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Rose przyznała, że potrzebuje czyjejś pomocy. Musiała się zająć tyloma sprawami. Niepokoiła się o Stevena i martwiła się losem „Globalu” po upadku „Talbot Railroads”.

Była już u kresu sił, kiedy cztery dni po śmierci Simona do Talbot House przybył w końcu Franklin Jefferson. Natychmiast chwyciła go mocno w ramiona, upewniając się, że to nie złudzenie.

— Potrzebuję cię, Franklinie — powiedziała. — Nie daję sobie rady sama. Nauczę cię wszystkiego, co powinieneś wiedzieć o „Globalu”. Dziadek pozostawił firmę nam obojgu. Teraz musimy się nią zająć.

Franklin kochał siostrę i myślał, że jest zdesperowana i pogrążona w smutku. Dlatego powiedział „tak”, choć zawsze do tej pory starał się trzymać z daleka od rodzinnej firmy.

Aż do śmierci Simona Talbota Franklin Jefferson prowadził szczęśliwe, beztrudne życie. W wieku dziewiętnastu lat był wysokim młodzieńcem, poruszającym się z gracją atlety. Wciąż miał jasne włosy, a w jego piwnych oczach często pojawiały się wesołe, figlarne błyski. Franklin należał do tych nielicznych dzieci, których pogodne usposobienie nie znika pod wpływem młodzieńczych niepowodzeń. Kiedy patrzył na świat, widział tylko piękno i obietnicę czegoś cudownego. W zamian za to świat chronił jego niewinność i patrzył nań z uśmiechem.

Kiedy Rose prowadziła swoją prywatną wojnę na Lower Broadway, Franklin skończył ekskluzywną szkołę St. Clemenfs i zaczął studiować w Yale. Dzięki pieniądзом mógł wraz z przyjaciółmi pozwalać sobie na różne rozrywki, od gry w polo do żeglarstwa. Był pilnym studentem. Lubił przedmioty humanistyczne i odkrył w sobie zdolności językowe. Na drugim roku studiów mówił już biegle po hiszpańsku i francusku. Z zapałem studiował nieprawdopodobny bigos, zwany historią europejską.

Zanim wybuchła wojna, Franklin dwa razy odwiedził Europę. Czuł coraz większą sympatię do tego kontynentu, a także do dziewcząt, które pielgrzymowały wraz z nim do wielkich francuskich katedr, włoskich muzeów i greckich ruin. Profesorowie Franklina byli zdumieni wysokim poziomem pisanych przez niego esejów. Chwalili jego styl i zachęcali do dalszej nauki. W ich oczach młody Jefferson był nie oszlifowanym diamentem.

Sam Franklin nie miał pojęcia, co chce zrobić ze swoim życiem, był jednak pewien, że „Global” nie odegra w nim żadnej roli. Zaczął podróżować w wieku, w którym widzi się jeszcze świat oczami poety. Franklin pragnął, żeby jego życie przypominało długą, pełną odkryć podróż, w trakcie której można się nauczyć tak wiele, że cenna jest każda minuta. Nigdy jednak nie zdradził się ze swoimi uczuciami, obawiając się, że Rose się o nich dowie.

Kochał Rose i często ją odwiedzał, nie chciał jednak zbliżyć się za bardzo do Talbot House. Była to dla niego kwestia instynktu samozachowawczego. Jeśli podejdzie zbyt blisko, siostra postara się go zmienić i namówić do podjęcia pracy w firmie. W ten sposób wszystko stanie się jeszcze trudniejsze.

Wiedział, że pewnego dnia będzie musiał powiedzieć Rose, iż „Global” go nie interesuje. Nie miał nic przeciwko temu, żeby siostra przejęła jego udziały w przedsiębiorstwie. Takie wyznanie byłoby dla niego trudne i potrzebowałby całego zdecydowania, żeby nie ugiąć się przed siłą argumentów Rose. Śmierć Simona zmieniła wszystko. Kiedy Franklin poczuł, jak siostra drży w jego ramionach, przestraszył się, że chwila wyznania odsunęła się na długo, a być może na zawsze. Pewnego zimowego poranka Rose wyszła w końcu z Talbot House. Mając u boku Franklina i Stevena, szła wzdłuż szpaleru policjantów w kierunku samochodu, który miał ich zawieźć do katedry św. Patryka.

— Mamo, czy tata jest z aniołami? — zapytał poważnie Steven.

Rose uściśnęła jego rękę. Przez kilka dni Steven ukrywał się za zasłoną milczenia. Potem nagle zaczął się odzywać i wkrótce zachowywał się już zupełnie normalnie. Radość Rose dorównywała tylko ostrożności lekarzy.

— Tak, kochanie, on jest z aniołami — powiedziała Rose. — Czy dobrze się czujesz?

Steven skinął głową.

— Kochałaś go, prawda, mamo? Rose przełknęła ślinę.

— Oczywiście, kochanie.

Steven patrzył przed siebie. Od śmierci ojca coś się w nim zmieniło. Nie wiedział, co ani dlaczego, był jednak pewien, że zaszła jakaś zmiana. Na początku, kiedy lekarze zadawali mu głupie pytania, postanowił milczeć. Potem jednak zauważył, że milczenie podsycalo tylko ich upór, zaczął więc mówić i szybko się zorientował, co pragną usłyszeć. Lekarze pytali Stevena, czy kochał ojca, co robili razem i czy rodzice byli ze sobą szczęśliwi. Chłopca nudziły te pytania, odpowiadał jednak uważnie na każde z nich i odkrył, że im więcej mówił, tym krócej trwały spotkania, a lekarze byli coraz bardziej zadowoleni.

To doświadczenie nauczyło wiele Stevena o łatwowierności dorosłych. Kiedy udało mu się oszukać matkę lub lekarzy, czuł w sobie ogromną moc, dzięki której, jak sądził, może osiągnąć, co tylko zechce. W tym momencie pragnął przekonać matkę,

że nigdy nie zamierzał wypowiedzieć tamtych okropnych słów. Nie powinna bowiem podejrzewać, jak bardzo jej nienawidzi.

— Na pewno dobrze się czujesz, kochanie? — zapytała Rose, kiedy samochód zbliżał się do katedry.

Steven spojrział na nią i uśmiechnął się.

— Tak, mam.

Rose odetchnęła z ulgą. Była niesłychanie dumna z syna. Kiedy tak siedział starannie uczesany, w nowym garniturze i patrzył prosto przed siebie, wyglądał raczej na małego mężczyznę niż na chłopca. Miała wrażenie, że Steven jest zarówno przeszłością, jak i przyszłością, odbiciem Jehosaphata Jeffersona i wizerunkiem mężczyzny, któremu pozostawi kiedyś potężne imperium. Z całą pewnością syn okaże się godnym spadkobiercą Rose.

Msza żałobna była krótka. Kiedy się skończyła, Rose przyjęła kondolencje najbogatszych nowojorczyków, finansistów i członków rządu. Znosiła milczącą wrogość krewnych męża i odetchnęła z ulgą, kiedy karawan zniknął w końcu na Piątej Alei. Zgodnie z umową zawartą z Talbotami Simon nie zostanie pochowany w Dunesragu. Rodzina zabierze syna do domu, na Południe.

— Rose, czas iść.

Podniosła głowę i ujrzała zasmuconą twarz Mońka McQueena. Uścisnęła jego dłoń i wyszeptała:

— Dziękuję.

Szła za Stevenem, obok brata i Mońka. Przy samochodzie odwróciła się do Franklina.

— Zabierzesz Stevena do domu?

— Oczywiście, ale...

Rose położyła mu rękę na ramieniu.

— Muszę jechać do biura.

Franklin nie mógł ukryć zdumienia i właśnie chciał zaprotestować, kiedy dostrzegł ostrzegawcze spojrzenie Mońka.

— Zawiozę cię na Broadway — rzekł McQueen.

Wszyscy pracownicy mieli dzień wolny, aby mogli wziąć udział w pogrzebie, dlatego biura „Global Enterprises” były prawie puste. Hugh O’Neill i Eric Gollant oczekiwali Rose w towarzystwie Isaiaha Phippsa, adwokata Simona.

— Dzień dobry Isaiah, cieszę się, że przyszedłeś — powiedziała Rose. Siwy adwokat w czarnym garniturze obdarzył ją zdawkowym uśmiechem.

— Simon był dobrym przyjacielem — rzekł. — Będzie mi go brakować. *Jeśli tak, to czemu pozwoliłeś mu wystawić na szwank dorobek całego życia?* Zamiast tego Rose odparła:

— Czy możemy przyjąć, że nie czekają nas żadne niespodzianki?

— Testament Simona jest jednoznaczny. Poza kilkoma rzeczami przeznaczonymi

dla Stevena i innych spadkobierców, cały jego majątek przypada tobie. Przedsiębiorstwo kolejowe już nie istnieje, pozostaje więc właściwie tylko Talbot House.

— Nie zgadzam się, Isaiah. Jest jeszcze kwestia pretensji Paula Millera do moich udziałów. Co możemy na to poradzić?

— J a nic nie mogę na to poradzić — odrzekł Phipps. — Tę sprawę Simon i Paul Miller załatwili między sobą.

— Chce pan powiedzieć, że pański klient, a zarazem i przyjaciel, podpisał umowę na pięć milionów dolarów i nawet jej z panem nie skonsultował? — zapytał Hugh O'Neill.

— Jak pan dobrze wie, sir, klient nie zawsze informuje o wszystkim adwokata. Jestem gotów przysiąc na Pismo Święte, że nic nie wiedziałem o tej umowie.

— Chciałabym się upewnić, czy dobrze zrozumiałam — powiedziała Rose.

— Mój mąż zastawił akcje, które nie były jego własnością. W ten sposób pogwałcił warunki umowy zawartej z dziadkiem. Teraz Simon nie żyje. Vanderbilt przejął jego aktywa. Miller trzyma w ręku dwadzieścia pięć procent mojej spółki i mówi, że nie zwróci tych udziałów bez walki. Isaiah, czy chcesz mi dać do zrozumienia, że będę musiała odkupić coś, co do mnie należy?

— Trudno będzie ustalić, czy klauzula „zatrutej pigułki” ma moc prawną

— zauważył Phipps. — Niewykluczone, że podjęcie decyzji zabierze sędziom całe miesiące, a nawet lata. Przecież w czasie zawarcia umowy Simon odpowiadał za „Global”. Zarobił dla spółki mnóstwo pieniędzy właśnie dlatego, że miał wolną rękę. Nawet pracownicy „Globalu” powiedzą ci, że firma prosperowała dzięki „Talbot Railroads”. Istniały więc powiązania pomiędzy spółkami, które mogą unieważnić „zatrutą pigułkę”.

Rose spojrzała na Hugh'a O'Neilla.

— Nie jest to wykluczone — przyznał niechętnie Irlandczyk. — Możemy walczyć i na pewno wygramy, ale na to potrzeba czasu.

Którego nie mam!

— Isaiah, jest coś, czego nie rozumiem — powiedziała powoli Rose, mając nadzieję, że dobrze udaje zdziwienie. — Co Miller zamierza zrobić z dwudziestoma pięcioma procentami akcji „Globalu”? Przecież to nie jego branża.

Phipps uśmiechnął się chłodno.

— Lepiej chyba, jeśli sama go o to zapytasz.

— Czy to uczciwa rada? Paul Miller nie jest przypadkiem twoim klientem?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Niewątpliwie od niedawna.

Phipps zignorował pogardę w głosie Rose.

— Pozwoliłem sobie zaprosić go tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jest teraz na dole.

Zawołamy go do nas?

Rose poprosiła Phippsa i O'Neilla, żeby poczekali w sali konferencyjnej. Chciała, by Miller ujrzał ją samą jako pogrążoną w żałobie wdowę. Dawało to jej nieznaczną przewagę.

Tak jak wypadło, Paul Miller podszedł do Rose z zasmuconą miną. Wziął ją za rękę i trzymał odrobinę zbyt długo, składając kondolencje. Rose cofnęła w końcu dłoń i schroniła się za biurkiem Jehosaphata Jeffersona, zmuszając Millera, by usiadł naprzeciw niej jak zwykły petent.

— Pomyślałem, że warto szybko oczyścić atmosferę — powiedział Miller.

— Trudno mi się z tym nie zgodzić — odrzekła Rose.

— Na pewno domyślasz się, jak byłem zszokowany, kiedy dowiedziałem się, że Simon nie miał prawa zastawiać akcji „Globalu” — mówił dalej Miller. — A jednak to zrobił.

— Paul — przerwała Rose. — Wiem, że Simon pożyczył od ciebie pięć milionów dolarów. Po tym, co się stało z „Talbot Railroads”, najprawdopodobniej nie dostaniesz tych pieniędzy od Vanderbilta. Jestem gotowa spłacić dług. Musielibyśmy ustalić odpowiednie oprocentowanie i jakiś system rat, ale to przecież da się załatwić.

Paul Miller założył nogę na nogę i oglądał swoje starannie wypielęgnowane paznokcie.

— Rose, zawsze cię podziwiałem, a zwłaszcza twoją ciężką pracę dla „Globalu”. Szczerze mówiąc, myślę, że Simon nie doceniał twoich talentów. Kiedy przyjmowałem akcje „Globalu”, to nie chodziło tylko o to, że stanowiły one solidne zabezpieczenie. Sądziłem, i nadal sądzę, że mogę być przydatny dla spółki. Nie chcę z tobą walczyć, Rose. Chcę z tobą pracować.

— Pochlebiasz mi, Paul — powiedziała ostrożnie Rose. — Nie zajmowałeś się jednak nigdy przedsiębiorstwem wysyłkowym, prawda?

Miller schylił głowę.

— Prawda. Jestem jednak biznesmenem. Moglibyśmy razem pracować, Rose. Dzięki twojej znajomości firmy i mojemu doświadczeniu spółka stałaby się dwa razy większa niż teraz.

— To hojna oferta, Paul, ale, szczerze mówiąc, nigdy nie myślałam o tym, żeby znaleźć sobie wspólnika.

— Myślę o czymś więcej niż byciu twoim wspólnikiem — powiedział cicho Miller. —

Niezręcznie mi o tym wspominać i wiem, jak to zabrzmie, zwłaszcza w obecnych okolicznościach.

Muszę ci jednak o tym powiedzieć. Nie jest tajemnicą, że ty i Simon byliście... sobie obcy od dłuższego czasu. Nieważne, dlaczego. Ważne jest to, że zależy mi na tobie, Rose. Chciałbym sprawić, abyś cieszyła się życiem jak nigdy przedtem.

Rose nie wierzyła własnym uszom, ale starała się zapanować nad oburzeniem. Już ona wepchnie te słowa Paulowi Millerowi z powrotem do gardła.

— Jestem wzruszona, Paul. Istnieją jednak względy przyzwoitości.

— Oczywiście — odrzekł szybko Miller. — Chciałem tylko, żebyś знаła moje uczucia.

— Pomimo wszystko, Paul, warto by opracować projekt umowy... Miller podniósł rękę.

— Nie przejmuj się tym. Zatrzymam akcje i każę moim adwokatom czekać. Nie chcę z tobą walczyć, Rose — powtórzył.

Pod tą jedwabną rękawiczką kryje się stalowa pięść — pomyślała Rose.

— Doceniam twoją szczerość, Paul — powiedziała, pewna, że Miller nie dostrzeże w jej głosie sarkazmu. — Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że potrzebuję czasu, aby wszystko przemyśleć.

— Oczywiście — uśmiechnął się Miller. — Dzwon do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, naprawdę, czegokolwiek. Możesz na mnie liczyć, Rose.

— Jestem tego pewna — odrzekła uprzejmie.

Tego wieczora Rose zwołała naradę wojenną w Talbot House z udziałem Franklina, Hugh'a O'Neilla i Mońka McQueena. Trzej mężczyźni nie mogli uwierzyć, że Miller ma zamiar zatrzymać akcje.

— Oportunista i sukinsyn pierwszej klasy — Franklin znakomicie podsumował to, co czuła wobec Millera cała trójka.

— Ten sukinsyn trzyma jednak w ręku dwadzieścia pięć procent akcji „Globalu” — zauważył O'Neill.

— No to co? — zaprotestował Franklin. — Nie może nam zaszkodzić. Odzyskamy akcje, kiedy zapłacimy pięć milionów dolarów.

— Na razie nie możemy jednak wykonać żadnego ruchu — powiedziała Rose. — Do tej pory jechaliśmy na fali. Kiedy w Europie trwała wojna, trudno było n i e z a r a b i a ć pieniędzy.

Musimy teraz myśleć perspektywicznie. Moje plany wobec „Globalu” nie mogą czekać.

Franklin spojrział badawczo na siostrę, zaskoczony i zaniepokojony jej trzeźwym komentarzem.

Najwyraźniej Rose nigdy nie czytała o strasznej masowej śmierci w okopach Francji i Belgii.

— Przede wszystkim musimy się upewnić, że jesteśmy w stanie spłacić pożyczkę — mówiła dalej Rose. — Hugh, porozmawiaj z bankami i sprawdź, czy możemy zaciągnąć kredyt. Franklinie, chciałabym, żebyś popracował z Erikiem. Zna doskonale spółkę i nauczy cię wszystkiego.

— Czy mogę się do czegoś przydać? — zapytał Monk. Rose dotknęła jego dłoni.

— Tak, ale porozmawiamy o tym w cztery oczy.

O'Neill i Frarddin zrozumieli aluzję. Kiedy Rose została sama z Monkiem, naląła mu porto i postawiła kieliszek na stoliku przed kominkiem.

— Tu będzie nam najwygodniej — powiedziała.

Monk pomyślał, że Rose nigdy nie wyglądała tak pięknie jak teraz. Płomienie z kominka oświetlały jej twarz i nadawały czarnym włosom cudowny połysk. Jego uczucia do niej wydawały się tak bardzo nie na miejscu w obecnej sytuacji.

— Jest coś, o czym nie mówiłam pozostałym — rzekła Rose. — Nie dotyczy to Hugh'a, a Franklina... no cóż, obawiam się, że mógłby zareagować zbyt gwałtownie. Muszę jednak opowiedzieć o tym komuś życzliwemu.

— Tak, oczywiście, Rose.

Nie spiesząc się, z właściwą powagą i dystansem Rose wyjaśniła, czego naprawdę chciał Paul Miller. Monk zareagował dokładnie tak, jak myślała.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wybuchnął. — W dniu, w którym pochowałeś męża, Miller mówi, że jest w tobie zakochany?!

— Cóż, on właściwie tego nie powiedział — przypomniała Rose. — Dał jednak jasno do zrozumienia, o co mu chodzi.

— Szantażuje cię! — grzmiał Monk. — Nie mam na to innego słowa.

— Masz chyba rację — przyznała Rose, wdzięczna, że Monk sam doszedł do takiego wniosku.

— Nie pozwolę mu na to — oświadczył Monk. — Trzeba powstrzymać Paula Millera.

— Ale jak? — zapytała Rose. — Niewiele o nim wiem. Jest bogaty i ustosunkowany...

— Zostaw to mnie — powiedział Monk poważnym tonem. — Dowiem się wszystkiego o panu Paulu Millerze!

— Bardzo byś mi pomógł.

— Zaraz zabieram się do pracy. Jeśli jednak Miller będzie ci robił jakieś... jakieś awanse, musisz mi natychmiast o tym powiedzieć.

— Powiem, Monk — rzekła poważnie Rose.

Dopiero wtedy pozwoliła, żeby Monk wziął ją w objęcia i mocno przytulił.

8.

Na Manhattanie nastąpiła wiosna, a Simon Talbot leżał już w grobie od dwóch miesięcy. Nowojorska socjeta szybko zapomniała o tej kłopotliwej postaci i zamiast tego skupiła uwagę na pięknej Rose Talbot, która nosiła wdowi welon z takim wdziękiem i szykiem. Krążyło na jej temat wiele plotek. Zastanawiano się nie tyle nad tym, czy Rose wyjdzie powtórnie za męża, co nad tym, kiedy i za kogo. Sama Rose nie zaprzętała sobie głowy takimi sprawami.

Od spotkania z Paułem Millerem przeżywała trudny okres. Jeśli chciała, żeby „Global” przetrwał, musiała się zająć setkami szczegółów. Firma „Talbot Railroads” była jedynym przewoźnikiem „Globalu”. Po przejściu kolei przez Vanderbilta, Rose wniosła sprawę do sądu i zmusiła Komodora do honorowania kontraktów podpisanych przez Talbota. To jednak wystarczało tylko na pewien czas. Umowy „Globalu” z „Talbot Railroads” wygasną bowiem za kilka miesięcy. Na pewno nie zostaną renegotjowane ani odnowione, jeśli Paul Miller nie dostanie tego, czego chce. Miller sprawiał dużo kłopotów. Dał niedwuznacznie do zrozumienia, że dzięki posiadanym przez siebie akcjom będzie blokował wszelkie inicjatywy. Nalegał na spotkanie z Vanderbiltem i wynegocjowanie długoterminowej umowy. Zaproponował nawet, że sam poprowadzi negocjacje, ale Rose grzecznie odrzuciła tę ofertę. Dobrze wiedziała, do czego zmierza Miller jeśli Rose zgodzi się robić interesy z Vanderbiltem, znajdzie się na jego łasce i niełasce. Na skutek różnych „przypadkowych okoliczności” przesyłki „Globalu” mogły się opóźnić, zostać zgubione albo nawet zniszczone. Firma straci klientów, kiedy tylko się okaże, że nie można na niej polegać. Paul Miller nie pozwalał również Rose na wprowadzenie w życie nowych pomysłów, nad którymi pracowała z taką wytrwałością. Pewnego dnia przedstawiła je Theodorowi Coolidge'owi, dawnemu bankierowi dziadka.

— Pomysł przekazu pieniężnego jest znakomity — powiedział. — Żałuję, że to nie moja inicjatywa, bo zarobisz na tym aż nieprzyzwoitą ilość pieniędzy.

— Jest w tym wszystkim pewne „ale” — zauważyła Rose.

— Wiesz równie dobrze jak ja, na czym polega problem — odparł Coolidge. — Po pierwsze, banki nie udzielą ci poparcia, dopóki nie będziesz sprawować całkowitej kontroli nad „Globlem”. Nie chcą wchodzić w drogę Millerowi, a tym bardziej jego szarej eminencji, Vanderbiltowi. Po drugie, jeśli ktoś dowie się o twoich zamiarach, to postara się ciebie ubiec. Na tym pomysłe można dużo zarobić i jeśli nie będziesz uważać, to ktoś ci go ukradnie.

Theodore Coolidge przerwał.

— Bardzo cię cenię, Rose, i pomogę ci jak tylko potrafię. Musisz jednak coś zrobić z Millerem. Był to stały refren, który doprowadzał Rose do szału.

Paul Miller stał się jej cieniem. Dzwonił do biura Rose co drugi dzień, zapraszał ją na lunch albo na przyjęcie, wydawane przez „wspólnych przyjaciół”. Rose nigdy nie poświęcała zbyt dużo uwagi życiu towarzyskiemu, teraz jednak napływało do niej mnóstwo zaproszeń na małe prywatne przyjęcia, na które wdowa mogła się udać bez wywoływania zgorszenia. Była pewna, że krył się za tym Paul Miller, nie mogła jednak wszystkim odmawiać. Ludzie zdawali się wierzyć, że dla Rose Talbot śmierć męża jest darem losu i teraz młoda wdowa wykorzysta z wdzięcznością szansę rozpoczęcia nowego życia. Niektóre damy zaczęły nawet uwzględniać ślub Rose w swoich planach na zimę.

Rose rumieniła się słodko i wygłaszała odpowiednie komentarze, gotując się ze złości. Miała wrażenie, że Paul Miller zawiązał wokół jej szyi złoty sznur, którego z sobie tylko znanych powodów nie zaciska jeszcze zbyt mocno. Rose wiedziała jednak, że cierpliwość Millera ma swoje granice. Zainwestował w nią wiele czasu, a nawet pieniędzy, i chciał otrzymać coś w zamian. Rose nie spała po nocach. Prześladowała ją myśl, co będzie musiała dać Millerowi, żeby kupić sobie trochę czasu—czasu, w którym Monk wywiąże się ze swojej obietnicy. Jeśli w ogóle będzie w stanie to zrobić...

Od kiedy Rose poprosiła Mońka o pomoc, jego życie się zmieniło. Miłość, która, jak sądził, należała już do przeszłości, wróciła ze zdwojoną siłą. Monk był przekonany, że jeśli pomoże Rose, nic ich już nie rozdzieli.

Po pogrzebie Simona Talbota Monk zastanawiał się przez kilka tygodni, w jaki sposób może uwolnić Rose od Paula Millera. Kolejne plany rozбивały się o tę samą przeszkodę: Miller był bogatym, wpływowym człowiekiem i wyglądało na to, że w murze, za którym się skrył, nie ma żadnej szczeliny.

Kiedy zaloty Millera do Rose stały się ulubionym tematem nowojorskich plotek, Mońka ogarnęło uczucie bezradności. Nie mógł patrzeć, jak Miller z chytrą, zadowoloną miną posiadacza towarzyszy Rose na przyjęciach, a inni w milczeniu zazdroszczą mu jego łupu. Niekiedy przy takich okazjach napotykał wzrok przyjaciółki. Czasami dodawało mu to otuchy, częściej jednak w jej oczach dostrzegał pytanie albo, co gorsza, rozczarowanie, które raniło go do żywego.

Punkt przełomowy nastąpił w czasie Święta Pamięci, kiedy Rose urządziła na Long Island małe przyjęcie, aby uczcić otwarcie Dunescragu. Monk był jednym z pierwszych gości. Przybył wcześniej, chcąc spędzić trochę czasu sam na sam z Rose. Kiedy wszedł do środka, zobaczył Paula Millera schodzącego po wspaniałych schodach. Miller nie mógł ukryć zdziwienia, ale szybko się zreflektował i powitał Monka tak, jak gdyby był tu gospodarzem. Monk poczuł zapach płynu po goleniu i zauważył, że włosy Millera są wilgotne. Pomyślał o sypialniach na piętrze, w których bawił się jako chłopiec.

Zanim Monk mógł ukryć swoje podejrzenia, ujrzał Rose na balkonie. Zorientował się, że odgadła jego myśli. Radość w jej oczach zniknęła. Wzruszyła nieznacznie ramionami i uniosła podbródek, przechodząc koło niego, jak gdyby chciała powiedzieć: „A czego się spodziewałeś?”

W tym momencie Monk wiedział, co musi zrobić.

Alistair McQueen nauczył syna, że informacja jest bezcennym skarbem. Pracując jako radca finansowy, zgromadził dane dotyczące tysięcy amerykańskich przedsiębiorców. Niektórzy z nich utracili już majątki, inni awansowali do grona największych rekinów biznesu. Wkrótce przed śmiercią Alistair McQueen podzielił się z synem swoimi obserwacjami i tajemnicami.

Opowiedział Monkowi, jak wielkie majątki powstawały na trupach konkurentów, jak ambitni, młodzi mężczyźni kłamali, oszukiwali, kradli i wykorzystywali nieszczęścia innych, a czasami nawet sami wywoływali te nieszczęścia, by osiągnąć swój cel. Później, kiedy byli już bogaci i cieszyli się powszechnym szacunkiem, fałszowali odpowiednio historię i zachowywali się tak, jak gdyby dawne grzechy nigdy nie miały miejsca.

Alistair McQueen spisywał te grzechy, ale nigdy nie czerpał zysków ze swoich informacji. Tak zwana księga sądu miała tylko jeden cel: obronę niezależności gazety. Ojciec Monka opisywał w artykułach wątpliwe praktyki, krytykował ustawy i domagał się wszczęcia dochodzenia, jeśli prywatne przedsięwzięcie pozostawało w konflikcie z dobrem społeczeństwa. Kiedy starano się wyrzucić na niego nacisk i domagano się, by złagodził swoje komentarze albo wręcz zrezygnował z poruszania danego tematu, Alistair McQueen spokojnie przypominał rozmówcy, że gdyby chciał, potrafiłby powiedzieć o wiele więcej. Kilka faktów i cyfr wystarczało, żeby odeprzeć zakamuflowane groźby i próby przekupstwa.

W poniedziałek po świątecznym weekendzie Monk McQueen przyjechał do banku Gotham i opróżnił skrzynkę depozytową, zakupioną trzydzieści lat temu przez ojca. Otworzył księgę sądu i szybko znalazł dane, których poszukiwał.

Alistair McQueen sporządził dokładną dokumentację kariery Paula Millera. Za tymi danymi kryły się niepokojące pytania. Kilka razy doszło do konfrontacji pomiędzy Millerem a Alistairem McQueenem, jednakże za każdym razem ojciec wycofywał się i nie sprawdzał pogłosek o malwersacji.

Dlaczego? Co go odstraszało? Notatki nie udzielały odpowiedzi na to pytanie. Monk miał jednak wrażenie, że coś tu jest nie w porządku.

Zamknął księgę sądu i popatrzył na okładkę. Nie mógł zapomnieć, jak Rose spojrzała na niego w Dunesragu. Dostrzegł wówczas w jej oczach pogardę dla samej siebie, rezygnację i oskarżenie. Podjął już decyzję. Ojciec pozostawił mu punkt wyjścia. Będzie szukał tak długo, aż się do czegoś dokopie, a potem opublikuje wyniki swoich badań bez względu na to, komu by to mogło zaszkodzić. Był przekonany, że prawda uwolni Rose.

Monk rozpoczął poszukiwania w Minnesocie, gdzie Paul Miller przyszedł na świat i spędził młodzięcze lata. Rozmawiając z ludźmi, szybko się przekonał, że nie pałają oni szczególną sympatią do bogatego ziomka.

W wieku dwudziestu paru lat Paul Miller zorganizował budowę małych zakładów przetwórstwa mięsnego. Przekonał farmerów, że więcej zarobią, jeśli ich bydło, świnie i owce będą przerabiane na miejscu, a nie wysyłane do wielkich rzeźni w Chicago. Zakład miał być spółką, zbudowaną i prowadzoną przez farmerów, a Paul Miller stałby na czele zarządu.

Od pierwszego dnia spółka była w długach. Partnerzy, oszołomieni sukcesem, pozwolili Paulowi Millerowi na zakup drogich maszyn i budynków, a także na podpisanie kontraktów z dostawcami ze wschodu. Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że zadłużenie spółki jest o wiele wyższe niż jej dochody.

Kiedy zjawili się przedstawiciele banków, Paul Miller zniknął. Nastąpiły wywłaszczenia i ludzie, którzy z dumą twierdzili, że są niezależnymi właścicielami i zarządcami, nagle znaleźli się w długach. Ostateczny cios zadała im wielka firma z Chicago, składając bankom ofertę nie do odrzucenia. Kupiła spółkę po cenie trzydziestu centów za dolara i szybko ją otworzyła już w następnym miesiącu. Dawni właściciele nie mieli wyboru i musieli zaakceptować ceny, jakie dyktowali im w skupie nowi nabywcy. Przez cały czas Paul Miller nie dawał znaku życia. Trochę później jedna z gazet ogłosiła, że ten sam chicagowski koncern mianował go swoim przedstawicielem na Środkowy Zachód.

Monk opisał dokładnie pierwszy interes Paula Millera, koncentrując się na ludzkim dramacie, nadziejach i marzeniach zniszczonych przez ambicje jednego człowieka. Kiedy był już usatysfakcjonowany tym, co zrobił, posłał artykuł do *Q* z instrukcją, aby wydrukowano go bez żadnych zmian jako pierwszy tekst z serii PROFILE BIZNESU.

Przez całe lato Monk uparcie tropił Paula Millera. W Minneapolis, Duluth, Chicago, Waszyngtonie i w Nowym Jorku natrafiał na podobne historie wykupów i sprzedaży, złamanych obietnic, przejęć i fuzji. Taka była droga Paula Millera do panteonu amerykańskich rycerzy-rabusiów.

Monk rozmawiał z drobnymi bankierami, których zrujnował Miller, z rodzinami, które straciły środki do życia, gdyż ich firmy zostały wchłonięte przez gigantyczne

koncerny, a także ze śmiałymi przedsiębiorcami, których pomysły, zrodzone w suterrenach, stajniach i garażach, Miller ukradł i opatentował jako swoje własne. Wizerunek Millera zaczął przypominać portret Doriana Graya. Miller uchodził za człowieka wybitnego. W jego przeszłości kryły się jednak informacje o prawdziwej naturze tego chciwego, zachłannego manipulatora. Sądząc po listach od czytelników, opinia publiczna zaczęła dochodzić do podobnego wniosku. W każdym artykule Monk trochę mocniej przykręcał śrubę. Nie miał wątpliwości, że prędzej czy później ktoś zgłosi się z tak poważnymi zarzutami, że trzeba będzie podjąć przeciwko Millerowi formalne śledztwo. Tymczasem starał się go unikać, a kiedy jego adwokaci wnieśli sprawę o zniesławienie, Monk postanowił podjąć walkę. Później, w Waszyngtonie, dwaj prywatni detektywi zaczepili go na schodach Kapitolu. Monk głośno zapytał, czego sobie życzą, czy pracują dla Millera i czy przyszedł mu grozić. Detektywi uciekli, ale ich zdjęcia i opis całego incydentu pojawił się w następnym numerze magazynu *Q*.

— Musisz podjąć decyzję, Rose. Czas ucieka.

Siedzieli naprzeciw siebie w ogrodzie Dunesragu wśród kunsztownie przyciętych krzewów i kolorowych klombów. Za pasem zieleni rozciągała się cieśnina Long Island. Łodzie tworzyły białe plamki na lśniącej błękitnej wodzie.

Rose dołała herbaty.

— O jaką decyzję ci chodzi, Paul?

— Kontrakt „Globalu” z kolejami Vanderbilta wygaśnie za trzy tygodnie. Nawet nie zaczęłaś negocjacji.

Rose przyglądała mu się uważnie. Widać było, że artykuły Mońka McOueena zrobiły swoje. Czarujące maniery i uprzejmość Paula Millera ustąpiły miejsca zdenerwowaniu i gwałtownym odruchom. Zapomniał nawet o zalotach — w tych dniach Paul Miller miał inne rzeczy na głowie. Rose czytała artykuły Mońka z dreszczykiem emocji. Wiedziała, do czego zmierza, i ze wszystkich sił życzyła mu powodzenia. Obserwowała Paula Millera, szukając oznak słabości. Czekała na chwilę, w której się załame, odda dobrowolnie akcje i zgodzi się na ratalną spłatę długu. W żaden inny sposób nie pozbędzie się go ze swojego życia, a tym samym i z „Globalu”.

— Nie jestem pewna, czy Vanderbilt jest najlepszym kontrahentem—powiedziała Rose, muskając krawędź filiżanki paznokciem pomalowanym na jaskrawy kolor.

— Nie ma nikogo innego! — odparł ostro Paul Miller.

— Co z proponowanymi przez niego warunkami?

— Nikt nie zaoferował lepszych.

To dlatego, że żaden inny przewoźnik nie odważył się złożyć oferty. Vanderbilt wszystkich wystraszył.

— Jeśli nie ubijemy interesu, „Global” straci przewoźnika. Oboje wiemy, że w takim wypadku firma szybko straci na wartości.

To znaczy, że twoje akcje stracą na wartości.

— Nie chcę cię do niczego zmuszać, Rose — powiedział Miller. — Jeśli jednak nie widzisz, co leży w twoim interesie, to upomnę się o te akcje na drodze sądowej. Po wyroku nie będziesz mogła lekceważyć moich rad.

W ogrodzie było ciepło, a mimo to na ramionach Rose pojawiła się gęsia skórka.

— Czy to naprawdę konieczne, Paul? — zapytała cichym głosem. — Czy zasłużyłam na to? Dałeś mi czas, o który prosiłam, i jestem ci wdzięczna. Nie poszło to jednak na marne. Pomimo artykułów na twój temat, nigdy w ciebie nie wątpiłam. Nic ci to nie mówi?

Paul Miller obliznął wargi.

— Nie jestem pewien. To znaczy, nie rozumiem, o co ci chodzi. Rose roześmiała się, kładąc rękę na jego dłoni.

— Mężczyźni są tacy głupi. Czyż nie widzisz, Paul, że zakochałam się w tobie?

Godzinę później Rose leżała w łóżku i patrzyła na flamandzkie koronki, tak naprawdę ich nie widząc. Paul Miller leżał zmęczony obok niej i cicho pochrapywał.

Rose ostrożnie wstała z łóżka i poszła do łazienki. Zamknęła drzwi i przejrzała się w lustrze. Czula się tak samo jak przedtem, pomijając lekki ból w dole brzucha. Zdarzyło się wiele rzeczy: mechaniczny akt seksualny, by odwrócić uwagę przeciwnika i zyskać na czasie, poświęcenie, mające na celu ocalenie czegoś, czego nigdy nikomu nie odda. Nie był to jednak akt miłości i nigdy nie będzie.

Rose długo stała nago przed lustrem. Przyglądała się sobie z drżeniem, pragnąc na zawsze zachować w pamięci ten obraz, zapamiętać, co zrobiła i ile ją to kosztowało. Dopiero kiedy była całkowicie przekonana, że się nie załamie, wzięła do ręki gąbkę i umyła się.

Plotki przybierały na sile. Gazety w całym kraju, w tym wpływowe dzienniki waszyngtońskie, przedrukowywały artykuły Mońka. Wydawcy domagali się wyjaśnień, a komentatorzy zastanawiali się nad przyczynami milczenia Paula Millera. Do tych głosów dołączył się magazyn *Q*. Monk oświadczył, że Miller może się bronić na pierwszej stronie jego gazety. Odpowiedź Millera była zaskakująca.

Senator Charles Humbolt spędził w senacie ponad połowę z siedemdziesięciu lat życia. Kraj zawdzięczał mu wiele znakomitych ustaw i rozwiązań prawnych. Humbolt był przewodniczącym potężnej senackiej komisji do spraw finansowych. W pięknej rezydencji, zwanej Dupont Circle, zgromadził liczne dowody uznania dla swej wieloletniej działalności w służbie państwa.

— Nawet pański tata powiedział o mnie parę miłych rzeczy — zachichotał Humbolt, zaciskając pokrzywione artretyzmem palce na srebrnej gałce swojej łuski.

— I miał słuszność, senatorze—odrzekł Monk, pochylając się ku gospodarzowi.

Humbolt miał równie dobry słuch jak Monk, ale zawsze starał się mówić cicho. Była to sztuczka, dzięki której ludzie słuchali uważnie jego słów.

Monk był zdziwiony telefonem od Humbolta. Nie wiedział, czemu ten wybitny prawnik pragnie się z nim spotkać.

— Skoro już wypowiedział pan właściwe komplementy, a ja w odpowiedzi wydałem z siebie odpowiednie dźwięki, możemy przejść do sedna sprawy — powiedział Humbolt. — Pisze pan ostatnio sporo o Paulu Millerze. Ciekaw jestem, dlaczego?

W ciągu ostatnich miesięcy Monk wiele razy musiał odpowiadać na to pytanie. Stwierdzał zwykle, że zaintrygowała go rola Paula w „Talbot Railroads” i wysoce wątpliwa, jeśli nie nielegalna umowa, zawarta przez niego z Simonem Talbotem. W ten sposób zaczął badać dzieje Millera jako biznesmena.

Senator Humbolt postukał mocno laską w podłogę.

— Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan mówić prawdę, panie McQueen. Jeśli potrzebuję rozrywki, to szukam w gazecie rubryki z dowcipami. Pozwoli pan, że sam udzielę odpowiedzi. Zajął się pan tym na prośbę Rose Talbot, która nie chce, żeby Miller położył łapy na „Globalu”.

Monk zarumienił się. — To prawda, senatorze — przyznał.

— Wykonał pan dobrą robotę, czyż nie tak?

— Jeśli chodzi panu o to, że wyciągnąłem na światło dzienne kilka szwindli, to ma pan rację. Jestem jednak w stanie udowodnić każdy zarzut, a Paul Miller jakoś się ze mną nie spiera.

— Czy wie pan, dlaczego?

— Bo to wszystko prawda, senatorze.

— Prawda — wymruczał Humbolt. — Mówi pan jak człowiek młody, przekonany, że racja jest po jego stronie. Powiem panu coś, panie McQueen. Pan dopiero zbliża się do prawdy. Jeszcze pan do niej nie dotarł. Nie jest też powiedziane, że zechce pan to zrobić.

— Przepraszam, senatorze, ale nie rozumiem.

— Wyciągnął pan kilka zgniłych jabłek, ale do dna skrzynki jeszcze daleko

— powiedział ze smutkiem Humbolt. — Oskarżył pan Millera o nieetyczne postępowanie, kradzież i oszustwo. On jest winny, nie ma co do tego wątpliwości. Ale widzi pan, młody panie McQueen, my już od dawna o tym wiemy. Do diabła, niektórzy z nas nawet na tym zyskali! Przy pańskim talencie i poczuciu misji do spełnienia, wkrótce by się pan o tym dowiedział.

Monk przetłknął ślinę.

— „My”, to znaczy kto, senatorze?

— Jak to, mówię przecież o szacownych członkach Senatu Stanów Zjednoczonych

— Humbolt prowokująco uniósł głowę. — Ze mną na czele. Powiem panu dokładnie, kto, gdzie, kiedy i dlaczego.

Kiedy Monk się odezwał, słowa senatora wciąż rozbrzmiewały mu w uszach:

— Senatorze, pozwoli pan, że będę robił notatki.

Humbolt uśmiechnął się lekko.

— Nalegam na to.

Trzy godziny później Monk czuł się tak, jak gdyby jakiś gigantyczny potwór wyssał z niego całą siłę życiową. Niedowierzanie musiało być wypisane na jego twarzy.

— Dostał pan trochę więcej, niż się pan spodziewał, prawda? — zauważył Humbolt.

Senator Humbolt dotrzymał słowa. Z encyklopedyczną dokładnością przytoczył nazwiska, daty, miejsca i sumy. Macki Paula Millera sięgały dalej, niż sądził Monk, oplątując ludzi, którzy jego zdaniem stali ponad wszelkim podejrzeniem. Lista kupionych usług, zatuszowanych dochodzeń, cichych słów szeptanych do ucha waszyngtońskich dygnitarzy wydawała się nie mieć końca. Wbrew powszechnej opinii szybka kariera Paula Millera nie była skutkiem szczęścia, sprytu i odwagi. Każdy jego ruch był zabezpieczony z góry, oczywiście za określoną cenę.

— Nie chcę pana urazić, senatorze — powiedział Monk—ale czy ma pan jakieś dokumenty na poparcie swoich słów?

Humbolt popchnął laską w kierunku Mońka starą aktówkę.

— Znajdzie pan tam wszystko. Wielu ludzi, którzy pomagali Millerowi, już nie żyje. Istnieją oczywiście dokumenty w archiwach, papierach rodzinnych, teczках prawników. Dotarcie do nich wszystkich może przekraczać siły jednego człowieka, nie sądzę jednak, że będzie musiał pan to robić.

— Dlaczego, senatorze?

— Wie pan równie dobrze jak ja, co się stanie, jeśli pan to opublikuje. Monk nie miał złudzeń. Byłby to największy skandal w tej dekadzie.

— Kongres będzie musiał przeprowadzić dochodzenie, senatorze. Zażąda tego opinia publiczna. Jako osoba w to wmieszana, będzie pan zmuszony zeznawać.

— Tylko wtedy, jeśli opublikuje pan wyniki swego dochodzenia. Monk zawahał się, nie wiedząc, o co chodzi Humboltowi.

— Widzi pan, nie tylko politycy i prawodawcy przyczynili się do stworzenia takiego człowieka jak Paul Miller — mówił Humbolt. — Nie sądziliśmy, że robimy coś złego lub nieetycznego.

Usługa za drobne wynagrodzenie, ciche słowo w zamian za poparcie w następnej kampanii wyborczej. Wydawało się, że są to drobiazgi. Oczywiście, ludzie nie lubią myśleć o takich sprawach, nikt więc nie zastanawia się, co otrzymamy po dodaniu do siebie wszystkich tych przysług. Pewnego dnia człowiek dochodzi do wniosku, że drobna uprzejmość zamieniła się w instytucję korupcji. Jeśli ktoś raz wziął łapówkę, to tym samym otwiera się na kolejne propozycje tego rodzaju.

Monkowi zaschło w gardle.

— Powiedział pan, że inni byli w to wplątani.

Charles Humbolt usadowił się wygodnie w fotelu. Spojrzał uważnie na młodego człowieka i wskazał teczkę.

— Jednym z ludzi związanych z Paulem Millerem był Alistair McQueen, pański ojciec. Wszystko tam jest, jak sam się pan przekona. Właśnie dlatego powiedziałem: „jeśli” opublikuje pan wyniki swego dochodzenia. Niewykluczone, młody przyjacielu, że zmieni pan zdanie. Nikt nie mógłby pana o to winić.

9.

Było tam wszystko, czarno na białym. Monk McQueen nie mógł tego zignorować, nie mógł sprawić, że litery znikną.

Z domu senatora Humbolta Monk udał się do hotelu „Willard”, gdzie wynajął pokój i polecił, by mu nie przeszkadzano. Patrzył długo na czarną zniszczoną teczkę, zanim zdobył się na odwagę i ją otworzył. W końcu zaczął czytać.

Senator prowadził szczegółowe notatki. Jego korespondencja i zapiski były uporządkowane, zaopatrzone w nazwiska, daty i miejsca. Te dokumenty opowiedziały Monkowi historię o ojcu, której nigdy przedtem nie słyszał.

Przyszła taka chwila, w której Alistair McQueen, walcząc o utrzymanie czasopisma, znalazł się na krawędzi bankructwa. Nikt nie chciał udzielić mu pożyczki, z wyjątkiem finansisty o nazwisku Paul Miller.

Według dzisiejszych standardów suma była śmiesznie mała —kilkaset dolarów. Alistair McQueen wziął jednak pieniądze, a kiedy *Q* zaczęło przynosić zyski, zwrócił pożyczkę wraz z odsetkami. Jednakże spłata długu jeszcze się nie skończyła.

Przez następne lata Alistair McQueen prowadził kilka dochodzeń w sprawach związanych z działalnością Millera. Odkrył przekupstwa, szantaże i podejrzone machinacje. Napisał artykuły pełne gniewu i oburzenia. Żadnego z nich nigdy nie opublikował.

Zamiast tego opowiedział o wszystkim młodemu, obiecującemu politykowi, Charlesowi Humboltowi. Wspomniał o cichym szantażu Millera, który twierdził, że jeśli ten materiał ujrzy światło dzienne, Alistair McQueen będzie zrujnowany. *Q*, szcycące się niezależnością i bezstronnością, stałoby się pośmiewiskiem, a jego założyciel wyszedłby na hipokrytę, który pragnie zniszczyć kogoś, kto dopomógł mu w urzeczywistnieniu jego marzeń. Charles Humbolt poradził Alistairowi McQueenowi, żeby zostawił Millera w spokoju. „Jest wiele innych spraw, które bardziej zasługują na pańską uwagę — napisał. — Proszę zapomnieć o Millerze. On z całą pewnością będzie się trzymał od pana z daleka”.

Monk mógł sobie wyobrazić straszny konflikt wewnętrzny, który przeżywał ojciec. W końcu Alistair McQueen dał spokój Millerowi. Artykuły jednak pozostały, czekając, aż ktoś odważy się je opublikować.

Zadzwoił telefon i Monk podniósł słuchawkę.

— Dobry wieczór, senatorze.

— Witaj, Monk. Sądzę, że zdążyłeś już wszystko przeczytać.

— Tak.

— Czy zamierzasz to publikować? Monk nie wiedział, co powiedzieć.

— Pomyśl o ojcu. Miej na uwadze jego dobre imię. To nie jest twoja walka, Monk. Rose Jefferson sama się o siebie zatroszczy. Dysponuje odpowiednimi środkami. Jeśli jednak poniesiesz jej sztandar, będziesz musiał za to zapłacić. Nie rób tego, synu.

Monka ogarnął gniew. Jak Humbolt śmie mówić mu, co powinien, a czego nie powinien robić dla Rose!

— Wiem, co myślisz — mówił Humbolt. — Tylko ty możesz jej pomóc. Obdarzyła cię zaufaniem i nie możesz jej zawieść. Pomyśl, Monk. Alistair miał wiele okazji, żeby wykorzystać to, co wiedział o Millerze. Widział, jak ten drań krzywdzi porządnych ludzi. Nigdy jednak tego nie zrobił. Wiesz, dlaczego? Bo na dłuższą metę to się opłacało: *Q* pozostało wpływowe i potężne i mogło się dobrać do skóry grubszym rybnym niż Miller. Twój ojciec nienawidził kompromisów, ale wiedział, że musi się z tym pogodzić. Podobnie jak ty.

— Czy dlatego dał panu wszystkie notatki o Millerze? — zapytał Monk. — Wiedział, że zadba pan o to, by nikt ich nigdy nie zobaczył?

— Właśnie dlatego — odparł spokojnie Humbolt.

— Nie wierzę w to, senatorze.

— Monk...

— Chwileczkę. Czy to Miller prosił pana o pokazanie mi tego materiału? Milczenie Humbolta powiedziało Monkowi, że strzał był celny.

— Doszedł do wniosku, że w tych okolicznościach lepiej będzie, jeśli to ja jako przyjaciel twego ojca wyjaśnię całą sprawę. Ale to nieważne. Nie publikuj tego, Monk. Wiesz, że nie chodzi mi o siebie. To leży w twoim interesie.

— Doceniam pana troskę, senatorze — rzekł Monk. — Pozostanę z panem w kontakcie.

Monk nie spał przez całą noc. Siedział przy otwartych drzwiach balkonu, palił cygara i patrzył na światła Kapitolu, jak gdyby starał się wyczytać z nich odpowiedź. Chciał spojrzeć obiektywnie na całą sprawę, rozważyć wszystkie za i przeciw. Mógł jednak myśleć tylko o Rose.

O piątej rano wezwał portiera i kazał przynieść duży dzbanek kawy, maszynę do pisania oraz dwieście kartek najlepszego papieru. Czas zabrać się do pracy.

Rose siedziała na tarasie Dunescragu przy białym stole, osłoniętym ogromnym parasolem w czerwone i niebieskie paski. Spojrzała przez trawnik w kierunku cieśniny, gdzie Steven próbował żeglować. Była dumna z tego, że jej syn tak szybko nauczył się radzić sobie z łodzią i kapryśnymi prądami.

— Właśnie przyszła poczta, proszę pani — powiedział Albany, wręczając jej dużą kopertę. Serce Rose biło mocno, kiedy przeglądała pierwszą stronę magazynu *Q*. Zaczęła czytać, starając się koncentrować na każdym słowie.

— Albany, poproś do telefonu Hugh'a O'Neilla.

Musiała mieć zmieniony głos, bo służący natychmiast zapytał:

— Czy wszystko w porządku, proszę pani? Rose uśmiechnęła się do niego.

— Lepiej niż w porządku. — Przerwała. — Zadzwoń również do pana Gollanta. Ruszyła w kierunku domu. W głowie miała zamęt. Nie zauważyła, że macha do niej syn, któremu właśnie udało się wykonać zgrabny skręt.

W apartamencie na siódmym piętrze hotelu „Waldorf” unosił się zapach drogich cygar. Jednakże młody człowiek naprzeciw Paula Millera nie palił, a popielniczki były czyste.

— Czy może pan to wyjaśnić? — zapytał obojętnym głosem, wskazując pierwszą stronę magazynu *Q*.

Paul Miller pokręcił głową. Był ogolony, miał zadbane paznokcie i świetnie skrojony niebieski garnitur. Wydawał się opanowany, a jednak rozglądał się na wszystkie strony, jak gdyby poszukiwał drogi ucieczki.

— Przez cały ranek dzwoniłem do biur *Q* — rzekł w końcu. — Ludzie McQueena twierdzą, że szef jest nieobecny i nie chcą powiedzieć, gdzie mógłbym go znaleźć.

— My usłyszeliśmy to samo — zauważył młody mężczyzna. — Jak pan się pewnie domyśla, pan Vanderbilt jest bardzo zaniepokojony.

— A ja nie?! — wykrzyknął Miller. — Ten drań dobrał mi się do skóry. Potrzebuję pomocy. Dobrze wiem, że Vanderbilt jest w sąsiednim pokoju. Dlaczego nie porozmawia ze mną? Młody mężczyzna jakby nie usłyszał pytania.

— Zdaje pan sobie sprawę, czym to się może skończyć? — spytał. — Wdrożą śledztwo. Oczywiście, pan Vanderbilt nie chce być w to zamieszany.

— Trochę za późno — odparł Miller.

— Ależ skąd! Pan Vanderbilt nie miał nic wspólnego z pańskimi dawnymi transakcjami. Łączy was tylko „Talbot Railroads”. Zgodzi się pan pewnie, że trzeba zerwać tę nić.

Miller zmrużył oczy.

— Co pan ma na myśli?

— Musi pan przestać interesować się firmą „Global Enterprises”, bo to właśnie łączy pana z „Talbot Railroads”.

— Mam zwrócić akcje? — zapytał z niedowierzaniem Miller. — Przecież pożyczyłem Talbotowi pieniądze właśnie po to, żeby zdobyć przyczółek, dzięki któremu Vanderbilt w przyszłości będzie mógł przejąć spółkę.

— Plany się zmieniają, panie Miller. Jesteśmy gotowi ubić z panem interes, jak tylko zniknie pan ze sceny publicznej.

— Rzeczywiście, zniknę. Pójdę do więzienia! — Paul Miller starał się opanować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiał myśleć trzeźwo. — Jaka suma wchodziłaby w grę? — zapytał ostrożnie.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką.

Paul Miller zachwiał się. Zamierzali rzucić mu nędzny ochłap. To była zniewaga! Potem jednak zrozumiał prawdę.

— Odcinacie się ode mnie, tak? Chcecie jak najszybciej pozbyć się mnie.

— Dajemy panu coś na stare lata — odrzekł bezwzględnie młody mężczyzna — Przemyśl to, Miller.

Paul Miller pokiwał głową, tak jakby się zastanawiał. Potem bez żadnego ostrzeżenia skoczył na równe nogi i uderzył z rozpędem w drzwi sąsiedniego pokoju. Te jednak nie ustąpiły.

— Wychodź, Vanderbilt! — wrzasnął. — Wychodź i powiedz mi prosto w oczy, że zamierzasz mnie sprzedać!

Młody mężczyzna wyjął pistolet, ale kiedy Miller zaczął płakać, natychmiast schował broń. Był gotów zastrzelić Millera, jeśli okaże się to konieczne. Teraz mógł go tylko żałować.

— Dobrze, że cię zastałem.

Paul Miller zszedł do oranżerii i nachylił się do Rose, chcąc ją pocałować.

— Proszę, Paul — powiedziała Rose, odsuwając się.

— No, no, co za nagła nieśmiałość — roześmiał się.

Paul Miller wyglądał zupełnie inaczej niż kilka godzin temu. Po rozmowie w hotelu „Waldorf” pojechał do domu i zastanowił się spokojnie nad sytuacją. Pozostało mu tylko jedno rozwiązanie: jeśli Rose nie widziała jeszcze artykułu, wciąż mógł ją namówić do ubicia interesu z Vanderbiltem. Na szczęście Rose mieszkała w Dunesragu na Long Island. Istniały duże szanse, że do tej pory nie dostała magazynu *Q*. Musiał za wszelką cenę zdążyć.

Wyjął więc małe pudełeczko zawinięte w srebrzysty papier i położył je na biurku.

— Otwórz je.

Rose uniosła aksamitne wieczko. Piękny złoty pierścionek z diamentem błyszczał w słońcu.

— Dlaczego, Paul? — zapytała spokojnie.

— Kocham cię, Rose — odrzekł, nie odrywając od niej oczu. — Wszystko, co

zdarzyło się między nami w ostatnich tygodniach, umacnia mnie tylko w moich zamiarach: chcę cię poślubić, zostać twoim mężem.

Rose gwałtownie zamknęła pudełeczko i rzuciła na stół egzemplarz magazynu *Q*.

Miller wzdrygnął się.

— Przypuszczałem, że zdążyłaś już to obejrzeć — powiedział, starając się mówić spokojnie. —

Proszę, uwierz mi, że zarzuty McQueena są wyssane z palca. Rozmawiałem już z moimi adwokatami. Natychmiast wytoczą mu proces.

Rose była zdziwiona taktyką Millera. Spodziewała się, że spróbuje ją zmusić do podjęcia decyzji w sprawie Vanderbilta. Zamiast tego podarował jej pierścionek zaręczynowy. Mogło to znaczyć, że Vanderbilt nie bierze już udziału w grze...

Bez słowa Rose podsunęła Millerowi kartkę papieru. Podała mu wieczne pióro.

— To akt zrzeczenia się akcji „Globalu” — powiedziała beznamiętnie. — Podpisz ten dokument, Paul.

Miller popatrzył na nią. Prędzej wezmą go diabli, niż pozwoli tej kobiecie się zastraszyć!

— Dlaczego miałbym to zrobić, Rose?

— Wkrótce komisja senatu rozpatrzy twoją sprawę. Potem zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności za przekupstwa, wymuszanie i defraudacje. Jeśli podpiszesz, to nie dodam mojego oskarżenia do długiej listy zarzutów przeciwko tobie.

— Nie wiesz, o co prosisz, Rose.

— Wiem — odrzekła, podając mu drugi dokument. — Oto oskarżenie, które Hugh O'Neill wniesie jutro w sądzie federalnym wraz z podaniem o odebranie ci akcji. Wątpię, czy w obecnych okolicznościach jakkolwiek sędzia stanie po twojej stronie. — Przerwała na chwilę. —

Oczywiście, możesz zaryzykować i iść do Vanderbilta. Innych możliwości nie masz.

Paul Miller długo patrzył na dwa dokumenty, jak gdyby starał się siłą woli zmienić ich treść. Potem spojrzął na Rose i dostrzegł w jej oczach zupełną obojętność. Taki sam wyraz twarzy, pozbawiony wszelkiej radości, miała po spędzonej z nim nocy. Sądził wówczas, że Rose jest oziębła. Teraz już wiedział, że ma przed sobą kobietę o zimnym sercu.

— He? — zapytał ochryple Paul Miller. — He proponujesz za te akcje?

— Ani centa! — ucieła Rose. — Miałeś szansę na polubowne załatwienie sprawy. Nie skorzystałaś z niej. W końcu dostałaś to, czego chciałaś. Nigdy przedtem żadna kochanka nie kosztowała cię tak drogo. Podpisz i wyjdź!

Paul Miller patrzył na nią z otwartymi ustami.

— Zrobiłaś z siebie dziwkę dla tej spółki...?

— Podpisz, Paul — powiedziała zdecydowanie Rose. — Podpisz, zanim /mienie zdanie i wezwę policję.

Paul Miller patrzył na nią bez zrozumienia. Jego ręka drżała, kiedy chwycił pióro i złożył podpis pod dokumentem.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Rose! — wyszeptał. — Pewnego dnia nadejdzie twoja kolej!

— Możesz w to wierzyć, Paul, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej!

Rewelacje magazynu *Q* powtarzały gazety w całym kraju. Politycy, gubernatorzy i zwykli obywatele domagali się śledztwa Kongresu.

Monk powrócił do Nowego Jorku. Atmosfera w biurze nie była najlepsza; wyczuwał jakiś smutek. Zwołał więc pracowników i zapytał, o co chodzi. Jimmy Pearce odpowiedział w imieniu wszystkich.

— Wydaje nam się, że potrzeba było ogromnej odwagi, aby postąpić tak jak pan. Każdy z nas jest dumny, że pracuje w tej gazecie. Postaramy się pomagać panu ze wszystkich sił.

Monk miał łzy w oczach. Poparcie pracowników wiele dla niego znaczyło. W następnych dniach okazało się, jak cenna była ich lojalność.

Większość komentatorów chwaliła Mońka za to, że podał do publicznej wiadomości, dlaczego jego ojciec nie podjął dochodzenia przeciwko Paulowi Millerowi. Przyznawali, że Alistair McQueen poszedł na kompromis, co rzucało cień na jego znakomitą karierę dziennikarską. Dodawali jednak, że praca całego życia nadrobiła z nawiązką tę wpadkę.

Inne gazety, żadne sensacje, nie były tak wspaniałomyślne. Wysuwano oskarżenia, że przez te wszystkie lata Miller płacił Alistairowi McQueenowi za milczenie. Niektórzy reporterzy insynuowali, że dostawał pieniądze również od innych baronów-rabusiów. Monk ostro temu zaprzeczał, ale pewne pytania zraniły go do żywego:

— Dlaczego pan to zrobił, McQueen? Czemu wydał pan swojego starego? Jak pan sądzi, co on by powiedział, gdyby był tu z nami?

— Mój ojciec starał się postępować uczciwie — oświadczył Monk. — Nie był jednak doskonały. Popełniał błędy. Jestem pewien, że w którymś momencie opublikowałby te artykuły.

Rozległy się gwizdy i szyderstwa, ale Monk ciągnął dalej:

— Myślę, że pochwaliliby to, co zrobiłem.

— Pewnie! — krzyknął jeden z reporterów. — Każdy ojciec pragnie, żeby syn wbił mu nóż w plecy.

Twarz Mońka płonęła ze wstydu i gniewu. Kiedy napisał pierwsze zdanie, był absolutnie przekonany, że ojciec zaaprobowałby jego postępowanie. Teraz jednak duch Alistaira McQueena milczał. W tej sytuacji Monk mógł się zwrócić tylko do jednej osoby.

— Monk, wróciłeś!

Rose nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. W jej czarnych włosach błyszczały małe diamentowe spinki. Uśmiechała się, wyciągając do Mońka ramiona, okryte białym koronkowym szalem.

— Cześć, Rose — powiedział cicho.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do salonu, gdzie Albany przygotowywał herbatę.

— Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, wszystko bym odwołała—mówiła Rose. —Zjawi się tu zaraz trzydziestu członków Miejskiego Komitetu Wspierania Sztuki.

— Nie zostanę długo — powiedział Monk. — Padam ze zmęczenia. Chciałem tylko...

Po raz pierwszy od kilku tygodni zabrakło mu słów.

— Cóż, wyglądasz na wyczerpanego. Nie ma się czemu dziwić, biorąc pod uwagę wszystkie te straszne rzeczy, które brukowa prasa wypisuje o twoim ojcu. To wstrętne.

— Rose... — Monk zawahał się. Tak wiele pragnął powiedzieć i tak wiele usłyszeć. — Rose, czytałaś moje artykuły?

— Oczywiście. Są świetne!

— Czy wszystko się udało z akcjami? Rose uśmiechnęła się z triumfem.

— Oczywiście.

— Czyli wszystko jest w porządku...?

— Naturalnie. Dzięki tobie Paul Miller jest skończony.

Monk wzdrygnął się, ale natychmiast przebaczył Rose te nieczułe słowa.

— Zastanawiałem się, czy... to znaczy, jeśli nie jesteś zajęta, czy moglibyśmy zjeść razem obiad.

Rose klasnęła w dłonie zachwycona.

— Drogi, drogi Monku, zachowujesz się tak poważnie i nieśmiało, zupełnie jak na moim ślubie.

Oczywiście, możemy zjeść razem obiad. Franklin się ucieszy.

— Myślałem, że tylko ty i ja...

— Och, Monk, proszę — powiedziała Rose z desperacją w głosie. — Nie zaczniesz chyba od początku.

— Czego?

— Tego nonsensu, że jesteś we mnie zakochany.

— Ależ ja cię kocham! — wyszeptał. Rose wstała i podeszła do niego.

— Nie miałam szczęścia do mężczyzn—powiedziała spokojnie. — Powinieneś to wiedzieć.

Bardzo cię lubię, Monk. Zawsze tak było. Nie kocham cię jednak tak, jak byś tego chciał. Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się kogoś pokochać. Nauczyłam się, że człowiek nie powinien pragnąć zbyt wiele. Lubię swoją pracę i mam wiele do zrobienia. Na razie, a być może na zawsze, to wystarczy.

Monk nie odważył się podnieść wzroku. Słowa Rose docierały do niego jak przez grubą szybę. Nie wydawały się realne ani wiarygodne. Prawdziwe były za to jego łzy. Ktoś zadzwonił do drzwi.

— To na pewno goście—powiedział ochryple. —Muszę iść. Do widzenia, Rose.

— Monk!

Zamiast wyjść przez drzwi frontowe, ruszył w głąb domu. Szedł przez korytarze,

które tak dobrze pamiętał z czasów dzieciństwa, a pokojówki i kucharze pospiesznie schodzili mu z drogi. Minał ogród, bramę i wypadł na ulicę. Biegł, nie wiedząc dokąd.

Rewelacje Mońka McOueena sprawiły, że społeczeństwo skupiło uwagę na Waszyngtonie. Komisja powołana przez prezydenta Woodrowa Wilsona rozpoczęła przesłuchania i tydzień przed świętami Bożego Narodzenia ogłosiła swoje decyzje: dowody przeciwko Paulowi Millerowi zostaną przekazane prokuratorowi, a Charles Humbolt, główny świadek, będzie zwolniony od odpowiedzialności prawnej.

Dla opinii publicznej sprawa się na tym skończyła. Wszyscy zajęli się teraz wojną w Europie. Izolacjoniści, którzy chcieli, by Ameryka trzymała się z dala od konfliktu, spierali się z interwencjonistami pragnącymi wesprzeć aliantów. Kiedy Paul Miller został skazany na trzy lata więzienia za przekupstwo i korupcję, gazety poświęciły temu zaledwie parę słów na jednej z dalszych stron.

Franklin Jefferson wbiegł szybko po schodach do klubu „Metropolitan”, chroniąc się przed dokuczliwą śnieżycą. Oddawszy płaszcz portierowi, pośpieszył do baru, gdzie członkowie klubu omawiali wesoło propozycje spędzenia wspólnego wieczoru. Przypominali Franklinowi gromadkę chłopców, bardzo podekscytowanych tym, że z powodu śniegu muszą spędzić noc poza domem.

Franklin szedł między stołami z kieliszkiem w ręku. Witał się ze wszystkimi, odpowiadał na pozdrowienia, aż odnalazł Mońka McQueena, siedzącego samotnie przy stoliku.

— Czy to Diabelska Wyspa, czy może jesteś zadzumiony? — zapytał wesoło. Monk uniósł kieliszek.

— Trochę tego, trochę tego.

Jako stały bywalec klubu „Metropolitan”, Franklin wiedział, że w ostatnich tygodniach Monk McQueen był tu ulubionym tematem plotek. Nowojorscy finansiści kolektywnie chwalili Mońka, ale poszczególni ludzie inaczej oceniali jego postępowanie. Na Wall Street wielu było takich jak Paul Miller. W rezultacie członkowie klubu unikali Mońka. Byli dla niego uprzejmi, ale nigdy nie prosili, żeby nic do nich przyłączył.

— Nie wiem, dlaczego spotykam cię ostatnio tylko w klubie — powiedział Franklin, starając się ożywić atmosferę. — Ludzie zaczną gadać. Poza tym Rose o ciebie pytała. Obawia się, że zamienisz się w pustelnika.

Monk wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Po raz pierwszy od wielu lat nie zjawił się w Talbot House ani na Wigilię, ani na Nowy Rok. Dostał również inne zaproszenia, ale wszystkie wylądowały w koszu na śmieci. Cierpienie Mońka było zbyt dotkliwe, by mógł myśleć o spotkaniu z Rose.

Franklin zdawał sobie z tego sprawę i serdecznie współczuł Monkowi. Zawsze traktował go jak starszego brata. Znał Mońka przez całe życie. Bawili się razem w zukumurkach Dunescragu. W późniejszych latach Monk pomagał Franklinowi

radzić sobie z problemami wieku dojrzewania. To Monk nauczył go, że świat jest wielki, piękny i wspaniały. Dyskutowali o wszystkim i układali wielkie plany na przyszłość. Starszy o sześć lat Monk wprowadził nieletniego przyjaciela do najlepszych klubów, a kiedy Franklin skończył szesnaście lat, zapoznał go z rozkoszami, które można było odnaleźć w dyskretnym i eleganckim domu publicznym madame Katriny.

Franklin wiedział, jak bardzo Monk kocha Rose. Nigdy nie rozumiał, czemu siostra go odtrąciła i poślubiła Simona Talbota. Po śmierci Simona miał nadzieję, że jego siostra odzyska w końcu rozsądek.

Franklin nigdy nie zastanawiał się, czemu Monk z taką zaciekłością prześladował Paula Millera. Był przekonany, że Rose zachowała tajemnicę utraconych akcji tylko dla siebie, Hugh'a O'Neilla i Erica Gollanta. Nawet kiedy w *Q* pojawiły się artykuły Mońka, Franklin nie skojarzył faktów. Potem dotarły do niego plotki krążące w klubie „Metropolitan”. Mówiono, że Monk McQueen przyczepił się do Paula Millera, żeby pomóc Rose Jefferson.

W końcu Franklin zrozumiał, że wszyscy w Nowym Jorku oprócz niego znają prawdziwe powody postępowania Mońka.

Nie wiedział, co robić. Bardzo chciał porozmawiać z Monkiem, bał się jednak, że wprawi przyjaciela w zakłopotanie. Był zły na Rose, która zachowywała się tak, jak gdyby Monk nie kiwnął palcem w jej obronie. Nie rozumiał, jak siostra może być tak nieczuła.

— Co słyhać u Rose? — zapytał Monk. Wyczuł, że Franklinowi coś chodzi po głowie.

— Robi się strasznie nudna — odparł trochę zbyt szybko Franklin. — Nie uwierzyłbyś własnym oczom, gdybyś zobaczył zmiany, które zaszły w „Globalu”.

— Owszem, uwierzyłbym.

Od paru miesięcy Monk nie napisał ani słowa o „Globalu”, jednakże jego pracownicy obserwowali uważnie tę firmę. Wszyscy urzędnicy zatrudnieni przez Simona otrzymali wypowiedzenia. Rose oceniała, awansowała i zwalniała ludzi w każdym wydziale. Osoba, w której lojalność wątpiła, nie miała najmniejszej szansy.

Posunięcia Rose na zewnątrz spółki były równie szybkie i zdecydowane. Pogodziła się z Vanderbiltem, a nawet namówiła Komodora do tego, by pokazał się publicznie w jej towarzystwie i podpisał nową umowę. Była to jednoznaczna informacja dla innych właścicieli sieci kolejowych. Topór wojenny został zakopany; Rose Jefferson wróciła do interesów. Następnego dnia adwokaci firm kolejowych wydeptali ścieżkę do drzwi „Globalu”, przynosząc propozycje kontraktów.

— Co u ciebie? — zapytał Monk. — Czy Erie Gollant wprowadza cię we wszystko, co powinieneś wiedzieć?

Franklin zmarszczył brwi.

— Uczę się — przyznał. — To dość interesujące.

— Ale...

Franklin wypił trochę brandy.

— Ale to nie dla mnie. Nigdy nie odnajdę w tym siebie.

— Rozmawiałeś z Rose? Franklin pokręcił głową.

— Ona ma tylko mnie, Monk. Nie wiem, jak zareaguje, kiedy dowie się o wszystkim. Czy nie pomyśli, że ją odtrącam? Poza tym martwi się teraz o Stevena... —przerwał. — Co ty o tym sądzisz? Czy powinienem powiedzieć Rose? Sądzisz, że zrozumie?

Och tak, zrozumie—pomyślał Monk.—Potem zrobi wszystko, żeby przywołać cię do porządku.

— Musisz sam zdecydować, co będzie dla was najlepsze — odparł niezobowiązująco.

Widać było rozczarowanie Franklina tą dwuznaczną radą, Monk jednak nie chciał się bardziej angażować.

— Pewnie masz rację — rzekł w końcu Franklin. Roześmiał się. — Wiesz co? Nic się nie zmieni, ale w końcu wszystko samo się wyklaruje.

Kiedy później Monk przypominał sobie te słowa, nie miał pewności, czy rzeczywiście były zabarwione goryczą, czy też poniosła go wyobraźnia.

— Co o tym myślisz?—zapytała Rose, nie mogąc się doczekać opinii Franklina. Rankiem po zamieci siedzieli w biurze Rose, patrząc, jak Manhattan powoli

wyrzebuje się spod śniegu. Poranna kawa w „Globalu” stała się dla Rose i Franklina nawykiem

— szansą porozmawiania o nadchodzącym dniu. Franklin podniósł do światła błękitną kartkę.

— To mój gwiazdkowy prezent dla samej siebie — dodała Rose.

— Rose Jefferson... — wymruczał Franklin. — Lubię dźwięk tych słów. Rose objęła go. Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć bratu o swej decyzji

powrotu do panińskiego nazwiska. Miała nadzieję, że Franklin pochwali jej zamiar, gdyż poleciła już pozbyć się starego papieru firmowego Talbota.

— Naprawdę jesteś zadowolony?

— Naprawdę — zapewnił ją Franklin.

Rose uśmiechnęła się z satysfakcją. Pomimo wszystko udało jej się zachować to, co naprawdę ceniła: Stevena, Franklina i oczywiście „Global”.

Z tej trójki najbardziej niepewna była Franklina. Dla Rose każdy nowy dzień Ntunowił wyzwanie.

Franklinowi każdy poranek przynosił radość — cieszyło go życie towarzyskie, sport i młode

kobiety. Rose bała się tej wolności, gdyż obce jej było takie pojmowanie świata. Nie chciała, żeby

postępowanie brata wymknęło się |n| spod kontroli. Rose uważnie przyglądała się postępom

Franklina i była mile zdziwiona, widząc, jak szybko zrozumiał podstawowe zasady

funkcjonowania firmy. Pomimo zapewnień Erika, że wszystko jest w porządku, nie wiedziała

jednak, co naprawdę ma o tym sądzić. Przypominała kobietę, która wzięła sobie młodego

kochanka i żyje w strachu o to, że pewnego dnia zostanie sama.

Na razie jednak tu jest i zrobię wszystko, żeby go zatrzymać.

— Powiedziałem, że powinniśmy przesunąć nasze priorytety, Rose. *Boże, śnię na jawie!*

— Przepraszam, Franklinie. Przesunąć priorytety? Jak, gdzie?

Franklin nigdy nie interesował się strategią spółki, dziedziną, którą Rose zarezerwowała dla siebie. Umiał za to radzić sobie z ludźmi. Rose szybko to zauważyła i powierzyła bratu sprawy personalne. Pod tym względem Franklin okazał się geniuszem. Radził sobie świetnie ze wszystkimi, od maszynistek do wymagających menedżerów.

— Zamierzałaś swego czasu kupić tereny i magazyny, które teraz wynajmujemy — powiedział Franklin. — Myślę, że nadeszła właściwa chwila. Wkrótce do naszego kraju przybędzie wielu uciekinierów z Europy. Popyt na nieruchomości doprowadzi do wzrostu cen. Moglibyśmy nawet nabyć dodatkowe posiadłości, żeby je później sprzedać—mówiąc to, wręczył jej kilka dokumentów. — Zbadałem ruchomy kapitał firmy, który, jak wiesz, nie jest zbyt duży. Moglibyśmy jednak zebrać wystarczającą ilość pieniędzy, gdybyśmy ogłosili publiczną wyprzedaż części naszych akcji.

— P u b l i c z n ą w y p r z e d a ż ? ! — krzyknęła Rose.—Nie chcemy, żeby gromada inwestorów mówiła nam, jak powinniśmy prowadzić interesy!

— I tak będziemy potrzebować kapitału — przypomniał jej Franklin — żeby sfinansować twój pomysł przekazu pieniężnego. Jeśli kupimy nieruchomości teraz, kiedy są tanie, to potem sprzedamy je z zyskiem. Nie będziemy musieli później się zapożyczać.

— Komu mielibyśmy zaoferować nasze akcje? — zapytała podejrzliwie Rose.

— Jesteśmy spółką akcyjną, a nie korporacją z ograniczoną odpowiedzialnością — odrzekł Franklin. — Nie musimy podawać do publicznej wiadomości, jakie mamy aktywa, ani ujawniać naszych zysków. Płacimy podatki od sum podanych w deklaracjach podatkowych, a nie od rzeczywistej wartości przedsiębiorstwa. Czy nie sądzisz, że znalazłoby się wielu inwestorów, którzy chętnie wykorzystaliby szansę kupienia akcji po zaniżonej cenie? Oczywiście, trzymanie buzi na kłódkę leżałoby potem w ich własnym interesie. — Franklin uśmiechnął się. — Wszystko to jest w moim sprawozdaniu. Znajdziesz tam również listę brokerów, których moglibyśmy wykorzystać przy kupowaniu nieruchomości. Myślę, że „Global” powinien trzymać się z daleka od tych transakcji. Nie chcemy przecież, żeby ceny wzrosły tylko dlatego, że ludzie dowiedzieliby się o naszym wejściu na rynek...:— Spojrzał na zegarek. — Muszę już iść.

— Dokąd? — zapytała Rose, oszołomiona jego wystąpieniem.

— Zabieram moją nową sekretarkę na śniadanie.

— Franklinie, wiesz przecież, co myślę o brataniu się z personelem! Franklin mrugnął do siostry.

— Właśnie odebrałem janaszemu największemu konkurentowi. Pisała dokumenty pod dyktando samego starego Adamsa. Założę się, że wie o przedsiębiorstwie tyle, co on.

Rose mogła jedynie pokręcić głową. Być może nie doceniła postępów Franklina.

Kiedy Franklin wyszedł, Rose ku zdumieniu Mary Kirkpatrick odwołała wszystkie spotkania. — Żadnych telefonów, żadnych intruzów — poinstruowała ją. Przeczytała uważnie sprawozdanie brata. Prędzej by umarła, niż przyznała przed samą sobą, że szuka jakichś błędów. Mimo to obawiała się, że wrodzony optymizm Franklina przesłonił mu rzeczywistość. Po trzeciej lekturze musiała przyznać, że analiza Franklina była poprawna. Rose nie posiadała się z radości.

— Przynieś mi teczki dotyczące naszych dzierżaw — powiedziała sekretarce przez interkom.

— Wszystkie, proszę pani?

— Co do jednej. I zadzwoni do Delmonica. Powiedz Murphy'emu, żeby

przygotował coś specjalnego. Dziś wieczorem zjem u niego obiad z panem Jeffersonem.

Wiosną i latem Franklin Jefferson podróżował po całym kraju. Kontaktował się z dyskretnymi brokerami i angażował ich, jeśli cena była do przyjęcia. W południowych portach, jak Miami, Nowy Orlean i Galvestone, oraz w wielkich miastach, jak St. Louis, Buffalo, Detroit i Chicago, firma „Global Enterprises” zaczęła kupować magazyny i przybrzeżne nieruchomości.

Dla Franklina ta wycieczka stała się czymś więcej niż długopodróżaw interesach. Jeździł wprawdzie wiele po Europie, ale podobnie jak wielu młodych mężczyzn z jego klasy społecznej nigdy nie postawił stopy poza Wschodnim Wybrzeżem. Ameryka była dla niego prawdziwym objawieniem.

Jeżdżąc po własnym kraju, Franklin spotykał różnych ludzi. Po raz pierwszy widział na własne oczy przedsiębiorczość i siłę ludzi budujących Stany Zjednoczone. Mieli różne twarze i głosy, ale wszyscy marzyli o lepszym życiu. Franklin myślał *t* niesmakiem o ograniczonym nowojorskim światku. Arogancy nowojorczyki wierzyli, że z domów na Piątej Alei i biur na Lower Broadway kontrolują cały kraj. Nie mieli pojęcia o prawdziwej Ameryce.

W czasie podróży Franklin zapisywał w dzienniku komentarze, obserwacje, opisy krajowi^{if} fragmenty rozmów. Tendzien[^]

mógł otwarcie rozmawiać. Nigdy jednak nie powiedział o tym Rose. Pisał do niej listy chłodne, rzeczowe, nie zdradzające jego prawdziwych uczuć. Aż do tej chwili Franklin nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo podporządkował się Rose. Teraz powoli zaczął budować swoje życie, tak jak chciał. Wiedział, że Rose nigdy by tego nie zaaprobowwała. Franklin wiedział, że nie może dopuścić do tego, by siostra wszystko zniszczyła. Nie powinna wiedzieć, że brat oddał się od niej i od cenionych przez nią wartości. Najpierw musi stać się silniejszy. Powinien zdecydować, co ma zamiar zrobić ze swoim życiem.

W Nowym Jorku Rose uważnie śledziła postępy Franklina i finansowała jego zakupy z funduszy uzyskanych ze sprzedaży akcji. Ostrożnie wybierała inwestorów.

Chciała, aby nie mieli żadnych iluzji, że pozwoli się im na kierowanie przedsiębiorstwem. W końcu 1917 roku „Global” potroił swój stan posiadania, nie wywołując żadnych plotek w środowisku biznesmenów. Głównym źródłem dochodów pozostały usługi wysyłkowe, napływały jednak również pieniądze od małych firm przewozowych i kolejowych, którym „Global” wynajął zakupione nieruchomości. Z dzierżawcy spółka zamieniła się we właściciela ziemskiego i pod koniec roku uzyskała nadwyżkę dwudziestu siedmiu milionów dolarów.

— Tylko Narodowy Bank Nowojorski ma większe zasoby. Następnego roku, albo raczej w tym roku, prześcigniemy ich—powiedziała Rose, unosząc kieliszek.

— Brawo! — roześmiał się Franklin.

Przed pójściem na przyjęcie postanowili napić się szampana, by uczcić sukces. Franklin pomógł Rose włożyć płaszcz i powiedział:

— Zanim zaczniesz robić wielkie plany, porozmawiaj z przewodniczącym Alcornem. Ciągłe słyszę, że szykuje nam jakąś przykrą niespodziankę.

Rose uścisnęła brata za rękę.

— To na pewno może poczekać.

Rose nie chciała, aby coś zepsuło tę chwilę. Spełniły się jej marzenia — oto pracuje razem z Franklinem, a przed „Globalem” otworzyły się nieograniczone możliwości. Nic nigdy ich nie powstrzyma.

Przewodniczący Matthias Alcorn był niskim, ascetycznym mężczyzną w wieku pięćdziesięciu paru lat. Lubił ciemnogrnatowe garnitury i krawaty w kropki, co nadawało mu wygląd profesora uniwersytetu. Wytworne maniery ani na chwilę nie zwiodły Rose. Wiedziała, że ma do czynienia z człowiekiem obdarzonym bystrym umysłem.

Matthias Alcorn był bogatszy od Krezusa, ale nie popierał własnej klasy społecznej. Jadąc na fali populistycznych i postępowych ruchów, które wstrząsnęły krajem na przełomie wieków, Alcorn stał się rzecznikiem „szarego człowieka”. Stale domagał się interwencji rządowych i przełamania monopoli. Protestował przeciwko, jak sądził, zbyt łagodnym wyrokom w aferze Millera—Humbolta.

Spotkanie z Alcornem przypominało Rose drażnienie kijem węża. Krążyły jednak plotki, że przewodniczący bada interesy prowadzone przez firmy wysyłkowe. Musiała się dowiedzieć, o co chodzi Alcornowi.

— Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas—powiedziała Rose, upewniając się, że kieliszek Alcorna napełniony jest jego ulubioną sherry.

— Prędzej czy później skontaktowałbym się z panią, pani Talbot—odpowiedział Alcorn, przecierając okulary różowoczerwoną chusteczką.

— Czyżby? — wymruczała Rose, zaciskając zęby, kiedy usłyszała swoje nazwisko po mężu.

— Obawiam się, że tak — powiedział Alcorn. — Międzystanowa Komisja Handlu jest bardzo zaniepokojona praktykami firm wysyłkowych.

Rose dusiła się ze złości. Utworzona w 1888 roku Międzystanowa Komisja

Handlu, inaczej MKH, miała uregulować sprawy związane z transportem kolejowym. Przez długie lata koleje monopolizowały transport i nakładały takie ceny, jakie tylko chciały. Pomimo powszechnego oburzenia praktyki takie trwały, dopóki nie interweniował rząd federalny. MKH stwierdziła, że kolej jest „przewoźnikiem komunikacji masowej”, powinna więc każdemu zapewniać usługi bez dyskryminacyjnych praktyk cenowych. Koleje musiały się podporządkować temu rozporządzeniu, ale nie dotyczyło ono spółek wysyłkowych.

— Dlaczego, senatorze? — zapytała Rose. — Nasi klienci się nie skarżą.

— To dlatego, że nie mają wyboru — odpowiedział Alcorn z uśmiechem.

— Wy, ludzie z biznesu wysyłkowego, możecie walczyć ostro między sobą, ale kiedy przychodzi do ustalania opłat, określanie wspólnie taryfę i stosujecie się do niej bez żadnych wyjątków. Nie jest to zgodne z duchem wolnej przedsiębiorczości, nie sądzi pani?

Franklin, który nic nie wiedział o tej stronie działalności „Globalu”, uniósł brwi i spojrzał na Rose.

— Bez względu na to, jakie przyjmujemy ustalenia — odparła bez zająknięcia Rose — nie mają one tak złowieszczych skutków, jak pan sugeruje. Ich celem jest zapewnienie klientom jak najlepszych usług.

— Zgadzam się co do usług — powiedział Alcorn. — Nie jestem tylko pewien, czy rzeczywiście są one najlepsze i najtańsze.

— Jeśli tak, to co pan proponuje? — zapytała otwarcie Rose. Najwyraźniej nie można było przekonać Alcorna słodkimi słówkami do zmiany zdania.

— Przy waszych możliwościach, pani Talbot, dziwię się, że jeszcze pani nie wie

— rzekł spokojnie Alcorn. — Kilka godzin temu Sąd Najwyższy podjął decyzję. Spółki wysyłkowe, podobnie jak koleje, zostały uznane za rżzewożrutów komunikacji masowej... Znaczy to—zakończył przewodniczący—że MKH przyjrzy się waszym księgom, cenom i zyskom.

— Co za nędzny człowieczyna! — wściekała się Rose. — Alcorn od początku wiedział, jaka będzie decyzja sądu. Przyszedł do nas tylko po to, żeby się chwalić!

— I co z tego? — odrzekł Franklin. — Skoro MKH chce, żebyśmy udostępnili nosze księgi, to udostępnimy je. Inne spółki wysyłkowe będą musiały zrobić to samo. Nie mamy nic do ukrycia. Całe to gadanie o zмовie i ustalaniu cen jest przecież niedorzeczne, prawda?

— W większości — zastrzegła Rose. — W przeszłości zawieraliśmy pewne umowy.

— Jakie umowy, Rose?

— To nieważne — odpowiedziała. — Chodzi teraz o to, jak go powstrzymać.

— Nie możemy tego zrobić. Istnieje coś takiego jak prawo.

Masz rację — zgodziła się Rose. — Na szczęście dla nas prawo można

interpretować na różne sposoby. — Przerwała. — W tym wypadku dosłowna interpretacja może się okazać najlepsza. Chodź, mamy sporo do zrobienia.

Rose doszła już do drzwi, kiedy zauważyła, że Franklin stoi wciąż przy kominku.

— Kim oni są, Rose? — zapytał spokojnie. — Z którymi konkurentami współpracowałeś, jeśli oczywiście można ich nazwać konkurentami? Od jak dawna?

Rose spojrzała na niego.

— Ze wszystkimi. Nasz dziadek zawarł umowę na długo przed naszym urodzeniem.

Franklin był zszokowany.

— Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Czemu wciąż to robimy? Nie grozi nam przecież bezrobocie.

— Zanim zaczniesz się oburzać, przypomnij sobie tę małą sekretarkę—odparła Rose. —Nie miałaś nic przeciwko temu, żeby ją wykorzystać, kiedy w grę wchodziło dobro firmy.

W tym momencie Rose nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Nie dostrzegała okrucieństwa własnych słów, gdyż szczerze wierzyła, że Franklin szybko pojmie, co się stanie, gdy MKH zacznie grzebać w księgach firmy. Wyjdą na jaw tajne porozumienia pomiędzy spółkami wysyłkowymi, gwarantujące zyski nawet najmniejszemu przewoźnikowi. Wybuchnie powszechne oburzenie, wszyscy będą domagać się zmian, a to oznaczałoby początek końca interesu wysyłkowego.

11

Tak jak Rose oczekiwała, decyzja Sądu Najwyższego wzbudziła aplauz opinii publicznej i wściekłość spółek wysyłkowych. Na tajnym spotkaniu w Talbot House Rose i dyrektorzy innych firm postanowili utworzyć wspólny front, podzielić się kosztami sądowymi i wpłynąć poprzez reklamę na opinię publiczną.

Oni sądzą, że to jakaś powieść Dumasa — pomyślała Rose po tym spotkaniu. — Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Była pewna, że ataki Matthiasa Alcorna rozbiją wkrótce tę jedność. Postanowiła więc realizować własne plany. Wiosną 1917 roku „Global” zaczął po cichu sprzedawać swoje kontrakty mniejszym spółkom wysyłkowym. Rose natychmiast ulokowała zyski w przemyśle kolejowym. Wiedziała z osobistego doświadczenia, że kolej jest kapitałochłonnym przedsięwzięciem. Zaproponowała kilku liniom kolejowym pożyczki na atrakcyjnych warunkach. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Dopiero kiedy „Global” zaczął przejmować akcje tych firm, ich właściciele zrozumieli, że jest już za późno.

Kiedy sadownicy z Zachodniego Wybrzeża skarżyli się na wysokie ceny i zagrozili wniesieniem sprawy do sądu, Rose zareagowała błyskawicznie. Dowiedziała się od swoich doradców, że tegoroczne zbiory winogron w Kalifornii będą rekordowe. Szybko więc podwyższyła opłaty za przewóz i poinformowała właścicieli plantacji, że jeśli coś im się nie podoba, to mogą zwrócić się do kogoś innego. Obie strony wiedziały doskonale, że sadownicy nie mają żadnej możliwości manewru, dlatego Rose zaproponowała kompromis: jeśli zrezygnują z podjęcia akcji prawnej, „Global” zagwarantuje dostawę zbiorów na rynek. W przeciwnym razie najlepsze plony tego dziesięciolecia zgniją w gorącym słońcu Kalifornii.

— Mogłaś poradzić sobie z MKH Alcorna i uniknąć procesów, ale jest pewien problem, z którym trudniej będzie się uporać.

Rose patrzyła, jak Franklin zamyka drzwi do biura i wzięła głęboki oddech.

Zdawała sobie sprawę z dezaprobaty brata. Jeśli jednak Franklin nie rozumie jej punktu widzenia, to ona z pewnością nie podziela jego poglądów.

— Dzisiejszy dzień jest zbyt ładny na kłopoty — powiedziała niefrasobliwie Rose, pragnąc uniknąć kolejnej kłótni. — Myślę, że powinniśmy wyjść wcześniej z pracy i pojechać do Dunescragu. Nad wodą będzie cudownie.

Franklin pokręcił głową.

— Nie da rady, Rose. Chodzi o naszych robotników.

— Tak?

— Dojdzie do strajku.

Rose spojrzała na niego ostro. Od paru miesięcy krążyły plotki, że pracownicy „Globalu” są niezadowoleni. Z drugiej strony, kierownicy w filiach firmy stale ją zapewniali, że nie ma się czym martwić. Oczywiście w biurach „Globalu” na Lower Broadway nikt głośno nie narzekał.

— Skąd wiesz?

— Większość czasu spędzam w terenie — przypomniał jej Franklin. — Dzieje się tam wiele rzeczy, o których nie docierają do Nowego Jorku żadne informacje.

— Ale wszyscy nasi kierownicy mówią...

— Zapomnij o tym! Mówią to, co chcesz usłyszeć. Uwierz mi, Rose, jeśli „Global” nie podniesie szybko wynagrodzeń, strajk doprowadzi do tego, czego nie udało się osiągnąć MKH: zniszczy nas!

— Strajk jest wykluczony! — powiedziała Rose wstając. — Nasi ludzie by głodowali.

Franklin popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— A co, twoim zdaniem, dzieje się z nimi teraz?

Po upływie tygodnia na pierwszej stronie magazynu *Q* Rose znalazła artykuł z informacją o strajku. Następnego dnia robotnicy „Globalu” w całym kraju przerwali pracę.

— Jak mogłeś napisać coś tak nieodpowiedzialnego? — wściekała się Rose. — Zachęciłeś moich ludzi do strajku!

Monk wstał i zamknął drzwi swojego biura.

— Nie tworzę informacji, Rose—zauważył. — Ty to robisz. Ja je tylko relacjonuję.

— Nie wykręcaj kota ogonem—ucięła Rose. — Twój artykuł dołał oliwy do ognia!

— Rose, prawda jest taka, że to twoje postępowanie z urzędnikami, kierowcami i pakowaczami jest przyczyną obecnego wybuchu niezadowolenia. Powinnaś to dostrzec dawno temu.

Monk nie widział Rose od wielu miesięcy, jednakże w chwili, w której weszła do biura, serce mu zamarło. Z każdym rokiem, z każdym nowym wyzwaniem, coraz silniej płonął ogień w szarych oczach tej kobiety. Efekt był hipnotyzujący. Monk nie potrafił się jej oprzeć.

— Rose, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

— Powinieneś przynajmniej przedstawić także i mój punkt widzenia.

— Wiesz, co to jest? — drzwi otworzyły się i wszedł Franklin zarumieniony z gniewu. — Co to, do diabła, jest?! — zapytał, machając przed siostrą kartką papieru.

Rose odepchnęła go.

— Nie będziemy o tym tutaj rozmawiać.

— Chcesz, żeby opinia publiczna poznała twój punkt widzenia? — ciągnął Franklin, ignorując ją.

— W porządku. Powiedzmy wszystkim. — Odwrócił się do Mońka. — Dokument, którego moja siostra nie chce ci pokazać, to umowa z Arthurem Gladstone'em.

Monk skoczył na równe nogi.

— Rose, chyba nie chcesz tego zrobić!

Arthur Gladstone był najślawniejszym prywatnym policjantem w kraju. Jego szwadrony potrafiły zlikwidować siłą każdy strajk.

— Nie mam innego wyjścia, do cholery! — odpowiedziała im obu Rose.

— Porozmawiaj chociaż z ludźmi — prosił Franklin.

— Mówiliśmy już o tym tyle razy — odparła. — Jeśli zacznę dyskutować z kierowcami, to ładowacze również zażądadają spotkania. Jeśli spotkam się z ładowaczami, to do moich drzwi zaczną dobijać się agenci. I tak dalej. To się nigdy nie skończy.

— Och, koniec wkrótce nastąpi, i to krwawy.

— Na miłość boską! — warknęła Rose. — Czy ty nie rozumiesz? Inne spółki uważnie mi się przyglądają. Popierają mnie, bo jeżeli ustąpię, u nich również dojdzie do strajku. Nastąpi kompletny chaos.

— Jak sądzisz, ile czasu może wytrzymać „Global”?

— Tyle, ile trzeba — odrzekła ponuro Rose.

— Musi być jakieś inne rozwiązanie... — zaczął Franklin.

— Jeśli tak się przejmujesz tymi... tymi bolszewickimi agitatorami, to idź i rozmawiaj z nimi! — ucięła Rose.

— Może to właśnie zrobię — odpowiedział chłodno Franklin.

— Skoro tak, to przypomnij im, że na każdą posadę czeka w kolejce kilkunastu ludzi. Poradzimy sobie bez nich!

Rose opuściła biuro, przechodząc obok zdumionych pracowników magazynu *Q*.

— Wiesz, że muszę to opublikować — powiedział Monk.

— Wszystko mi jedno — odrzekł Franklin. — Nie wierzę, że Rose się do tego posunie. Ci ludzie nie są naszymi wrogami!

— Lepiej z nimi porozmawiaj. W przeciwnym razie nikt tego nie zrobi. To może być ostatnia szansa, żeby zapobiec rozlewowi krwi.

Franklin zapalił papierosa.

— Nigdy o to nie prosiłem. Nie chciałem mieszać się w sprawy „Globalu”! Monk całym sercem współczuł przyjacielowi. Miał ochotę powiedzieć mu, że nie musi podporządkowywać się życzeniom innych ludzi. Niestety, w tym przypadku chodziło o Rose Jefferson.

— Chciałeś czy nie, „Global” należy do ciebie. Jeśli coś się wydarzy, nigdy dobie tego nie darujesz.

Franklin spojrział na niego.

— Jeśli komuś stanie się krzywda, to nie ja będę potrzebował przebaczenia.

Franklin zamierzał zachować ostrożność, gdyż wiedział o rozgoryczeniu i wrogim nastawieniu pracowników „Globalu”. Był zdziwiony zgotowanym mu przyjęciem. Szybko przekonał się, że robotnicy tak samo pragną wypowiedzieć swoje żale, jak on chce ich wysłuchać.

W zadymionych halach i magazynach Franklin Jefferson poznał tę stronę firmy, która wydawała się odległa o tysiące mil od wspinających biur na Lower Broadway. Franklin wiedział, że pensje były niskie, nie miał jednak pojęcia, że ledwo wystarczały na życie. Na samym dole listy płac znajdowali się pomocnicy wagonowi, którzy zarabiali zaledwie siedemnaście dolarów miesięcznie. Najlepsi z robotników nie dostawali nawet pięćdziesięciu dolarów. Kierowcy przynosili do domu dziewięćset dolarów rocznie. Pracowano piętnaście godzin dziennie, czasami w święta i w jedną sobotę w miesiącu.

Te cyfry były przerażające, ale Franklin zrozumiał ich znaczenie dopiero wówczas, gdy odwiedził domy robotników i ujrzał na własne oczy, jak niewiele można kupić za te pieniądze. Były to hałaśliwe, zatłoczone kamienice czynszowe, w których całe rodziny mieszkwały w dwóch pokojach, dzieląc kuchnię i łazienkę z trzema innymi rodzinami. Widok dzieci w łachmanach i ciężarnych kobiet reperujących odzież przy świetle świec rozdzierał serce.

— Nie możecie znaleźć innej pracy? — zapytał pewnego razu jednego z kierowców.

Mężczyzna popatrzył na niego z niedowierzaniem, a potem, kiedy zorientował się, że Franklin mówi poważnie, roześmiał się z goryczą.

— Nie rozumie pan, prawda? Firma wysyłkowa to całe moje życie. Kiedy dostaliśmy pracę, wasi ludzie kazali nam podpisać pewien dokument. Jeśli pracujemy dla „Globalu”, nie możemy się przenieść do innego przedsiębiorstwa.

— Chce pan powiedzieć, że jesteście raz na zawsze przypisani do firmy?!

— Jeśli chodzi panu o to, że spółka posiada na własność mnie i moją rodzinę, a ja muszę dla niej pracować przez resztę życia, to ma pan słuszność.

Franklin przyjrzał się umowom, które podpisali pracownicy, a także podobnym kontraktom w innych przedsiębiorstwach tego rodzaju. Wniosek mógł być tylko jeden: firmy wysyłkowe trzymały robotników w garści. Franklin doszedł do wniosku, że skargi są słuszne i sporządził listę środków zaradczych.

— Wyższe zarobki, krótszy czas pracy, lepsze warunki — przeczytała Rose. — Czy jest coś, czego oni n i e c h c ą ?

— Na miłość boską, Rose, przyjedź tu! Porozmawiaj z nimi! To przecież t w o i ludzie! Zobacz sama, jak żyją. Wtedy zrozumiesz, że nie żądają zbyt wiele.

— Powiedziałam strajkującym, że nie wyrzucę ich z pracy, jeśli wrócą nutychniast do roboty — odrzekła Rose. — Termin upływa jutro. Jeśli tego nie

zrobiją, za konsekwencje mogą winić tylko siebie. W ten czy inny sposób strajk musi się skończyć! Kiedy upłynął termin postawiony przez Rose, ciężarówki z łamistrajkami pojawiły się w magazynach „Globalu” nad rzeką Hudson. Powitały ich setki pikiet. Każdy mężczyzna był uzbrojony w pałkę, rurkę lub łańcuch.

— Co pani rozkaże? — zapytał Arthur Gladstone.

Był niskim, krępyim mężczyzną z sumiastym wąsem i bokobrodami, zakrywającymi prawie całą twarz, z wyjątkiem spokojnych, lecz przenikliwych oczu policjanta. Gladstone zajął wygodny punkt obserwacyjny i patrzył, jak siły bezpieczeństwa „Globalu” starały się utrzymać bezpieczną odległość pomiędzy strajkującymi a ciężarówkami wiozącymi łamistrajków.

Stojąca obok niego Rose Jefferson zadrżała, czując chłodny powiew wiatru znad rzeki.

— Niech ich diabli! — wymruczała. — Dlaczego do tego doszło? Gladstone słyszał to pytanie tysiące razy. Zadawali je właściciele kopalń, fabryk tekstylnych i hut. Każda amerykańska gałąź przemysłu prędzej czy później potrzebowała jego usług. Nic nie odpowiedział. Rose wyciągnie w końcu właściwe wnioski, podobnie jak zrobili to inni.

Rose myślała o ładunku, który trzeba przewieźć, o spowodowanych już zakłóceniach, o wąskich gardłach, które powstały w całym kraju wskutek strajku i o towarach gnijących w magazynach. *Mam zobowiązania wobec klientów. Jestem odpowiedzialna za „Global”. „Global” musi przetrwać.*

Żałowała, że nie ma przy niej Franklina. Bolało ją, że brat połączył się z wrogiem.

— Dalej, panie Gladstone! — powiedziała Rose.—Niech pan wyśle ludzi, żeby chronili moją własność.

Strajkujący obserwowali uważnie ciężarówki. Kilku z nich obrzuciło łamistrajków wyzwiskami. Przywódcy strajkujących robotników przechadzali się nerwowo, ściskając w rękach pałki. Podobnie jak ich koledzy, nie byli oni bojownikami, lecz ojcami rodzin, na których twarzach wypisany był trud całego życia. Nie chcieli, żeby doszło do rozlewu krwi, z drugiej jednak strony pragnęli zachować szacunek dla siebie samych. Zależało im na tym bardziej niż na pieniądzech.

— O Chryste Panie!

Wszystkie oczy skierowały się na ciężarówki. Wyskakiwali z nich uzbrojeni w pałki mężczyźni w charakterystycznych zielonych czapkach—znaku rozpoznawczym Gladstone'a. Ludzie z sił porządkowych „Globalu” uciekli.

— Bez paniki! Nie opuszczajcie stanowisk!

Głowy odwróciły się w kierunku Franklina Jeffersona.

— Nic wam nie zrobią! — wykrzyknął, stając pomiędzy robotnikami a siłami Gladstone'a.

— Jestem po waszej stronie. Wciąż możemy znaleźć jakieś wyjście. Nie musimy walczyć!

— Po co oni, pańskim zdaniem, tu przyszli?! — krzyknął stojący za nim mężczyzna.

Franklin podniósł obie ręce.

— Wszystko w porządku. Porozmawiam z nimi. Nie ma się czego bać. Odwrócił się i ruszył odważnie ku dowódcy oddziałów Gladstone'a.

Rose złapała Gladstone'a za ramię.

— To mój brat! Musi pan ich zatrzymać.

Policjant obserwował rozgrywający się przed nimi dramat.

— Za późno, proszę pani — odrzekł. — Pan Jefferson niepotrzebnie się w to wmieszał. Moi ludzie otrzymali już rozkazy. Niech pani będzie spokojna, na pewno je wypełnią.

Rose nie mogła się opanować. Ze wszystkich sił wykrzyknęła:

— Franklin!

— Sir, nazywam się Franklin Jefferson. Ta posiadłość należy do mnie i do mojej siostry. Muszę was prosić, żebyście pozostali na swoich miejscach, w przeciwnym razie wezwę policję, która aresztuje was za bezprawne wtargnięcie na teren prywatny.

Rudy Irlandczyk zamrugał powiekami, jak gdyby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Jest pan z nimi? — zapytał w końcu.

— Tak, sir — powiedział Franklin. — Zdaję sobie sprawę z waszych zamiarów...

— Jeśli jesteś z nimi, to masz!

Gumowa pałka Irlandczyka uderzyła Franklina po żebrach. Kolejny cios trafił w nerki, następny w łędźwie. Franklin z jękiem upadł na ziemię.

W powietrzu rozległ się głośny krzyk. Kopano Franklina i poniewierano nim, w końcu coś twardego uderzyło go w szczękę. Zanim stracił przytomność, pomyślał o Rose i w oczach stanęły mu łzy.

Pod koniec dnia, kiedy ucichły odgłosy bitwy, pięćdziesięciu dwóch mężczyzn zabrano do szpitala. Trzech z nich zmarło tej nocy.

Walka na tym się nie skończyła. Przez cały miesiąc staczano potyczki w zakładach „Globalu”.

Liczba ofiar ciągle wzrastała. W końcu interweniował William Gaynor, burmistrz Nowego Jorku, i zagroził, że skonfiskuje prowadzone przez łamistraków wagony i ciężarówki. Obie strony ustąpiły i pod czujnym nadzorem Gaynora zawarto porozumienie. Rose niechętnie zgodziła się nie zwalniać strajkujących robotników, z wyjątkiem tych, których policja aresztowała za

wywoływanie zamieszek. Wyznaczyła przedstawicieli, którzy mieli wysłuchać skarg pracowników firmy. Robotnicy wrócili do pracy i wkrótce przesyłki „Globalu” znów krążyły po całym kraju.

— Czterdzieści tysięcy dolarów — zadumała się Rose, sprawdzając wyliczone przez Erica Gollanta koszty strajku.

Pewien czas temu dwa razy większa suma nie wydałaby się jej wysoka. Teraz jednak nie mogła mierzyć kosztów samymi tylko pieniędzmi.

Rose podbiegła do brata, kiedy zobaczyła, jak pada na ziemię. Ludzie ze służby bezpieczeństwa „Globalu” odciągnęli Franklina na bok. Rose towarzyszyła mu w drodze do szpitala.

Franklin Jefferson należał do szczęściarzy. Nie odniósł żadnych wewnętrznych obrażeń. Złamane żebra zrosły się szybko. Rose codziennie przychodziła do szpitala, ale Franklin nie chciał jej widzieć. Napisał listy z kondolencjami do rodzin zabitych robotników. Poprosił Hugh’a O’Neilla, żeby żonom i dzieciom wypłacono odszkodowania z jego prywatnych dochodów. Nie chciał mieszać w to „Globalu”.

Nigdy przedtem nie czuł się tak samotny. Jediną osobą, z którą rozmawiał, był Monk McQueen.

— Rose martwi się o ciebie — powiedział Monk, siadając na parapecie i zasłaniając wspaniały widok na East River i wyspę Roosevelta, całą w jesiennych kolorach. — Nie może sobie wybaczyć tego, co się stało. Ty to musisz zrobić.

— Nie mnie powinna prosić o przebaczenie—odrzekł Franklin. —Ja wciąż żyję.

— Przebacz jej, Franklinie — powiedział Monk. — Wiesz przecież, że nie chciała, aby to się tak skończyło.

— Może i nie, ale to ona wynajęła Gladstone’a i jego zbirów. Dobrze wiedziała, do czego są zdolni. Nie mogę już pracować z Rose. Nie mogę wrócić do „Globalu” i udawać, że nic się nie stało. Zależy mi na naszych robotnikach, Monk. Nigdy nie będę mógł spojrzeć im w oczy.

Monk zdawał sobie sprawę z wewnętrznego konfliktu, który przeżywał jego przyjaciel. Franklin zamierzał postąpić zgodnie z sumieniem, ale będzie musiał zapłacić za to wysoką cenę. Wszystkie nadzieje i plany Rose związane z bratem obrócą się wniwecz.

— Zawsze starałem się postępować słusznie—mówił Franklin.—Uwierzyłem kose, kiedy mówiła o odpowiedzialności wobec dziadka i firmy, przyszedłem więc do „Globalu”. Zaufałem jej i znalazłem się w baśniowym świecie z Lower Broadway. Okazało się jednak, że miał on niewiele wspólnego z rzeczywistością. Starałem się postępować słusznie... i zawiodłem wszystkich.

Monk poczuł się nieswojo, widząc, jaki obrót przybiera rozmowa.

— Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Musisz to przemyśleć. Na wszystko trzeba spojrzeć z odpowiedniej perspektywy.

— Och, już to zrobiłem —powiedział cicho Franklin. —Wiem, dokąd muszę iść i co zrobić. Monk był zaintrygowany.

— Dokąd?

— Tam, gdzie ty.

Na początku Monk nie zrozumiał. Kiedy w końcu pojął, był przerażony nie tyle samym pomysłem, co absolutnym zdecydowaniem w głosie Franklina.

Steven Jefferson uwielbiał wielkie przyjęcia, z których słynął Talbot House. Miał zaledwie dziewięć lat, ale w towarzystwie znajomych matki zachowywał się bardzo poważnie. Mógł tu zostać tylko przez godzinę. Nie znosił tego ograniczenia, ale starał się wykorzystać czas najlepiej, jak tylko potrafił. Przechadzał się wśród gości, unikając kobiet, które zawsze chciały go przytulić i pogłaskać po głowie. Wolał towarzystwo mężczyzn. Uwielbiał zapach cygar i wody kolońskiej. Nauczył się, że głośny śmiech zdradza często niepewnego siebie człowieka, usiłującego zachować pozory. Ludzie sprawujący władzę przemawiali spokojnie, swobodnie, z niewymuszonym autorytetem. Tacy mężczyźni przypominali Stevenowi ojca.

Kiedy matka oświadczyła, że z powodu choroby Franklina odwołuje przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia, Steven był wściekły przez kilka dni. Nikomu jednak z tym się nie zdradził, ponieważ nauczył się ukrywać swoje emocje. Szybko pozbył się wypchanych zwierząt, które w napadzie furii pociął nożyczkami na strzępy.

Siedząc przy stole obok matki, Steven spoglądał z wyrzutem na wuja. Wiedział o kłótni pomiędzy Rose a Franklinem. Wiedział również, że matka pragnęła złamać strajk siłą, a wuj nie chciał się na to zgodzić. Steven nigdy nie kochał wuja. Uważał go za tchórza i nie mógł zrozumieć, dlaczego matce tak na nim zależy. Czemu nie zdawała sobie sprawy, co to za człowiek? Steven zastanawiał się nad tym i w końcu znalazł odpowiedź: ludzie nie chcą rozstać się z niektórymi iluzjami.

Zdaniem Stevena była to godna uwagi słabość. Postanowił, że w przyszłości nieraz ją wykorzysta, ale sam nigdy się jej nie podda.

Steven jadał w milczeniu, słuchając rozmowy matki i Franklina, która się nie kleiła. Wiedział, że prawdziwa rozmowa odbędzie się po jego wyjściu. Zjadł więc szybko ciastko, wypił mleko, wstał i przeprosiwszy z uśmiechem, powiedział, że pójdzie do swojego pokoju. Oczywiście, uwierzyli mu.

— Rose...

— Franklin...

Spojrzeni na siebie i roześmiali się zakłopotani.

— Ty pierwsza — zaproponował Franklin.

— Chciałam powiedzieć, że bardzo mi przykro — rzekła. — Z powodu tego, co się z tobą stało... i ze wszystkim.

— To już przeszłość — odparł Franklin. — Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne. Sprawy wymknęły się spod kontroli.

Rose odetchnęła z ulgą. Nigdy nie lubiła przeproszać, a zwłaszcza wtedy, gdy wiedziała, że ma słuszość. Z radością chwyciła „gałązkę oliwną” podaną przez brata.

— Czas żebyś wrócił, Franklinie. Potrzebuję cię.

— Nie mogę, Rose. Mam inne plany. — Przerwał na chwilę. — Zaciągnąłem się do piechoty morskiej — oświadczył.

Rose nie odrywała oczu od filiżanki z kawą. To nie może być prawda — pomyślała.

— Do piechoty morskiej?

— Będę walczył w Europie. Mój statek odpływa za trzy dni. *Musisz się opanować. W przeciwnym razie on na pewno odejdzie...*

— Czy nie sądzisz, że powinniśmy o tym porozmawiać? — Rose starała się mówić spokojnie.

— Nie. Decyzja należy do mnie. Nie do ciebie ani do nikogo innego.

— Mam nadzieję, że to nie Monk cię do tego namówił. Słyszałam, że on też wyjeżdża.

— Nie, to nie on. Prawdę mówiąc, starał się wyperswadować mi ten pomysł.

— Z marnym skutkiem — powiedziała Rose z sarkazmem. Franklin wstał.

— Nie zamierzam się z tobą kłócić, Rose. Mam obowiązki wobec kraju... i wobec siebie samego. Myślałem, że to zrozumiesz.

Rose nie potrafiła się opanować.

— A co z twoimi obowiązkami wobec mnie? Wobec firmy? Wobec wszystkiego, o czym marzyłam?

— Po tym, co się stało, nie jestem nic winien ani tobie, ani firmie.

Po raz pierwszy w życiu Rose zrozumiała, że spotkała się z czymś, czego nie może zmienić. Nie w trzy dni. Gdyby się upierała, Franklin jeszcze bardziej odsunąłby się od niej i być może utraciłaby go na zawsze.

— To dla mnie okropny szok — powiedziała w końcu.

— Nie robię tego po to, by cię zranić, Rose. Rose spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Oczywiście, że tak. Nie wyobrażam sobie innego powodu.

Rose nie spała przez całą noc. Rozważała przeróżne możliwości i wszystkie odrzuciła. Przed świtem zrozumiała, że ma tylko jedną nadzieję. Wykreśliła numer Mońka McQueena.

— Nie zamierzam się kłócić—oświadczyła, kiedy tylko usłyszała jego zaspany głos. — Franklin powiedział mi, że się zaciągnął i... i że nie miałeś z tym nic wspólnego. Przyrzeknij mi tylko jedno, Monk: że sprowadzisz go tu z powrotem całego i zdrowego.

— Rose...

— Przyrzeknij, Monk! Oczywiście, przyrzekam.

Rose odłożyła słuchawkę. Odsunęła telefon i patrzyła, jak za oknami wstaje świt. Wkrótce słońce oświetliło jej zalane łzami policzki.

Znów wszystko na mnie spoczywa. Muszę zrobić to, co do mnie należy. Sama.

Steven Jefferson spał spokojnie w swojej sypialni. Oczywiście, że podsłuchiwał rozmowę matki z wujem i poszedł szczęśliwy do łóżka. Franklin był jednym z dwojga ludzi, z którymi chłopiec będzie się musiał jakoś uporać, żeby objąć spadek po ojcu. Steven nie wiedział, jak sobie z nim poradzi, teraz jednak nagle zrozumiał, że może nic nie będzie musiał robić. Wiedział, że mężczyźni na wojnie odnoszą czasem rany. A niekiedy w ogóle nie wracają...

Część druga

12.

Nawet z zamkniętymi oczami wciąż widział słońce, ognisty, żółty dysk na purpurowym tle. Niewidzialne promienie przenikały jego skórę, ciało i kości, a potem padały na mulistą ziemię. Oddychał głęboko. Kręciło mu się w głowie od zapachu żółtej gorczycy, błękitnych chabrow i czerwonych maków. Aromat kwiatów, na których spoczywał, mieszał się z upajającym zapachem siana. Słuchał symfonii wygrywanej przez cykady i świerszcze. Przechylił głowę i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Franklin Jefferson podniósł rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem. Słońca jednak nie było. W górze unosiły się szare chmury — zapowiedz kolejnej burzy na porannym niebie.

Przewrócą się więc na drugi bok i jęknął, czując, jak menażka, pojemnik z amunicją i paski od plecaka wpijają się w jego ciało. Nie leżał na bujnej trawie, lecz w błocie okopu. Nie czuł zapachu kwiatów, lecz smród przemoczonych, zziębniętych ciał zmęczonych i głodnych żołnierzy, którzy, pochyleni, ściskali w dłoniach karabiny.

Podniósł się ostrożnie i wyjrzał z okopu. Za polem pełnym lejów po bombach, na którym uprawiano kiedyś zboże, znajdowały się niemieckie stanowiska. Tylko tam rosły kwiaty, którym cudem udało się przetrwać niszczycielską wojnę. Niektóre z nich, powyrywane z korzeniami, zawisły na drucie kolczastym osłaniającym pozycje wroga.

Franklin Jefferson schował się z powrotem do okopu. Wiedział dobrze, gdzie się znajduje. Żaden sen nie jest bardziej realny niż Lasek Belleau we Francji w czerwcu 1918 roku.

— Chodź, McQueen, trzeba coś przegryźć.

Franklin Jefferson ominął dwóch żołnierzy, skulonych na wąskiej ścieżce na dnie

wykopu. Kucnął, trzymając w dłoniach blaszane miski, pełne tłustego gulaszu i starego chleba. Monk McQueen powąchał i pokręcił głową.

— Proszę, nie psujmy sobie poranka.

— I tak mamy szczęście — powiedział wesoło Franklin, wręczając miskę Monkowi. — Niemcy muszą jeść kielbasy ze szczurów.

Monk jadł w milczeniu, zanurzając chleb w gulaszu. Rozglądał się po okopie, w którym żołnierze budzili się z krótkiego snu, który wykradli strachowi, zimnu i nocnym koszmarom. Wiatr się zmienił i niósł ze sobą przykry zapach z pobliskiej latryny.

— Jak myślisz? — zapytał Franklin. — Czy Niemcy dzisiaj zaatakują?

— Dziś nie. Będzie padać. Niemcy nie zaryzykują walki w takiej ulewie. Od sześciu dni Druga Dywizja Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych grzęzła

w Lasku Belleau, na północ od krwawych pól Chateau Thierry. Rozkazy były jednoznaczne: za wszelką cenę muszą utrzymać pozycje, dopóki nie przybędą posiłki amerykańskie i francuskie. Tydzień temu pierwsza i druga dywizja powstrzymały napór Niemców, ale Amerykanie ponieśli ciężkie straty. Generał „Black Jack” Pershing nie chciał, aby śmierć tych ludzi była daremna.

— Właśnie dlatego Niemcy będą kontratakować! — powiedział Franklin z podnieceniem.

— Zawsze kontratakują przy brzydkiej pogodzie, kiedy sądzimy, że pozostaną w okopach.

Zanim Monk zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do okopu wślizgnął się sierżant, weteran z wojny z Hiszpanią.

— Cóż, chłopcy, czeka nas jeszcze jeden gówniany dzień. Kto pójdzie na ochotnika zobaczyć, co knują chłopaki kajzera?

Franklin podniósł rękę.

— Ja, sierżancie.

Jakby stary sierżant tego nie wiedział! — pomyślał z gniewem Monk.

Od szóstego grudnia 1917 roku, kiedy jego pluton po raz pierwszy wkroczył do walki, Franklin Jefferson zgłaszał się do każdej ryzykownej akcji. Jakimś cudem udawało mu się wyjść z tego bez draśnięcia. Dla kolegów z plutonu, przesądnych jak wszyscy żołnierze, stał się swego rodzaju talizmanem. Monk nie znał przedtem Franklina od tej strony.

Przemiana Franklina Jeffersona rozpoczęła się, kiedy stary transportowiec „Hatte ras” opuścił pokryte algami molo brooklińskiego portu wojskowego. Zanim statek dotarł na środek Atlantyku, prawie każdy żołnierz z dywizji przeszedł chorobę morską. Nie ominęło to również Mońka, choć był doświadczonym żeglarzem. Franklin jednak nie chorował. Frankie, jak nazywali go ludzie z kompanii Bravo, stał się ich aniołem stróżem. Opróżniał nocniki, zmieniał prześcieradła i prał przepocone ubrania. Wysłuchiwał najtajniejszych sekretów chorych, którzy byli przekonani, że wkrótce umrą, a nawet pomagał chirurgowi wojskowemu w operacji usunięcia wyrostka robaczkowego.

Kiedy „Hatteras” przybył do Hawru, Franklin miał już wielu przyjaciół. Wszyscy wiedzieli o jego pochodzeniu, ale jeśli jakiś obcy wygłaszał ciętą uwagę o bogatym chłopcu bawiącym się w wojnę, to natychmiast słyszał, że ma się zamknąć. Ludzie z plutonu uznali Franklina za jednego ze swoich.

Morik nigdy nie sądził, że Franklin ma zdolności przywódcze, a jednak kiedy kompania zajęła wysunięte pozycje, żołnierze skupili się wokół niego. Słuchali wprawdzie rozkazów oficerów, ale kiedy trzeba było iść do ataku, szli za Franklinem. Amerykanie krok po kroku odbierali Niemcom francuską ziemię, a reputacja Franklina stawała się legendarna. W St. Amiens, kiedy kompania natrafiła na zaciekły opór, Franklin samotnie zaatakował ręcznym granatem nadjeżdżający czołg. Zniszczył maszynę, a potem zabił członków załogi. Przy innej okazji sam na polu bitwy odpowiadał na ostrzał Niemców, kiedy poszedł po dwóch rannych kolegów, których starał się uratować.

Wczesną wiosną wszyscy żołnierze w dywizji opowiadali sobie historie o jego wyczynach. Franklin był jednak zakłopotany, kiedy mu gratulowano. Generał „Black Jack” Pershing, który osobiście odznaczył Franklina, mówił o jego skromności. Inni uważali go za nieśmiałego. Tylko Monk wiedział, że w wojskowym porcie brooklińskim Franklin powiedział mu prawdę: idzie na wojnę, żeby wypełnić swoje przeznaczenie. Monk nie wierzył, że częścią tego przeznaczenia jest śmierć na przesiąkniętej krwią ziemi pod obcym niebem.

— Dobra, chłopcy, jesteście gotowi?

Nie brakowało ochotników, którzy chcieli iść na patrol razem z Franklinem. Każdy był przekonany, że nic mu się nie stanie, dopóki stoi u boku Jeffersona.

— Sierzancie, czy widać było jakieś ruchy w ich okopach? — zapytał Monk.

— Nic a nic — odrzekł weteran. — Musimy jednak zorientować się, czy ci dranie tam są, czy też wycofali się w nocy.

— Na pewno tam są — mruknął Franklin, poprawiając zapięcie plecaka. — Po prostu śpią do późna.

— Jeśli tak, to zrobimy im pobudkę.

Trzecim żołnierzem w patrolu był dziewiętnastoletni szeregowiec z Kentucky o rękach żółtych od pracy na plantacji tytoniu. Nazywano go Trawka.

— Nie starajcie się być bohaterami—ostrzegł ich sierżant. —Wejdźcie tylko na wzgórze i rozejrzyjcie się. Jeśli Niemcy są w okopach, dajcie nam sygnał. Niech artyleria wykona brudną robotę.

— Do diabła, stary Frankie jest naszą artylerią! — roześmiał się młodzieniec z Kentucky.

Trzej mężczyźni wygramolili się z okopu i czołgali przez zryte od pocisków pole. Kiedy przeszli sto stóp, Franklin dał znak, żeby się zatrzymali. Bardzo spokojnie — wyszeptał.

. — Ani jednego pierdnięcia — zgodził się szeregowy. — Moglibyśmy pewnie podejść do nich i zapukać.

— Idziemy na wzgórze — powiedział stanowczo Monk.

Wzgórze było właściwie wielką kupą ziemi powstałą w wyniku wybuchów. Trzej mężczyźni weszli na nie powoli. Kiedy wyrzeli, zobaczyli niemieckie okopy w odległości mniejszej niż dwadzieścia jardów.

— No, no -- pokiwał głową żołnierz z Kentucky. — Zwiali przed nami. Franklin przyglądał się uważnie okopom. Były puste.

— Nie chce mi się w to wierzyć — powiedział cicho. — Gdyby odeszli, powinniśmy ich w nocy słyszeć. Mogli się co najwyżej wynieść za te drzewa. Nie obesłoby się bez hałasu.

— Do diabła, Frankie, nawet jeśli tak, to możemy przecież zająć ich okopy! Franklin wahał się.

Płytkie okopy wyglądały na opuszczone, ale ze swojego

punktu obserwacyjnego nie widzieli wszystkiego. Wciąż mogli się w nich czać Niemcy

— Nie! ³ Ostrzeżenie Franklina przyszło zbyt późno. Trawka dał znak i żołnierze piechoty morskiej zaczęli wychodzić z okopów. Biegli przez pole wyprostowani—nikt z nich nawet nie przykucnął.

— Coś tu jest nie tak! — krzyknął Franklin do Mońka.

Słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zobaczył, jak szeregowy wstaje i rozgląda się dookoła.

— Trawka!

Żołnierz spojrział na niego z uśmiechem. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, jednakże zamiast słów Frariklin i Monk usłyszeli ostry trzask. W oczach żołnierza pojawiło się zdziwienie. Podniósł rękę do gardła i upadł koło Franklina.

— Nie!

Franklin odwrócił go; na rękach miał krew wypływającą z gardła żołnierza. Młody człowiek z Kentucky patrzył na niego z przerażeniem, a jego usta poruszały się gorączkowo. Franklin ujął w dłonie głowę młodzieńca.

— Wszystko będzie dobrze. Wydostanę cię stąd, obiecuję!

W tym momencie zaczęła się strzelanina. Franklin i Monk padli na ziemię koło martwego żołnierza. Franklin rozglądał się z niedowierzaniem. Żołnierze piechoty morskiej padali pod gradem pocisków najpierw pojedynczo, potem dwójkami, a wreszcie całymi grupami.

— Muszę to powstrzymać!

— Zostań! — krzyknął Monk, ciągnąc przyjaciela na ziemię.—Nic nie możesz zrobić! Nic!

McQueen widział, jak oczy Franklina zachodzą mgłą. Patrzył przez cały czas na pole bitwy, wiedząc z potępieńczą pewnością, że jego los w końcu się dopełnił.

13.

Trzystu mieszkańców wioski Saint Eustace, położonej milę za amerykańskimi liniami, prawie nie zwróciło uwagi na odgłosy bitwy. Wojna trwała już od paru lat. Armie pięciu narodów pozostawiły ślady w Saint Eustace.

Rodowici synowie Francji przemaszerowali pierwsi przez te wiekowe, brukowane ulice. Szli ku granicy, dumni i weseli, przekonani, że nikt ich nie powstrzyma. Kilka miesięcy później, kiedy francuscy żołnierze zamienili wioskę w szpital polowy, przybyli Belgowie, a po nich Kanadyjczycy i Anglicy. Wieśniacy patrzyli ze smutkiem, jak nowi żołnierze z kobziarzami i dobozami na czele przechodzili przez kamienny most, gwizdali na widok młodych dziewcząt i pokrzykiwali zuchowato do starszych mężczyzn i kobiet, przyglądających się im z otwartych okien. Wieśniacy widzieli już takie sceny. Żołnierze mylili się, jeśli sądzili, że mieszkańcy Saint Eustace płaczą z radości i ulgi. W jasnych twarzach nowo przybyłych mieszkańcy wioski nie dostrzegali obrońców, lecz duchy synów, mężów i ojców.

Przez prawie dwa lata wojna oszczędzała Saint Eustace. Jesienią 1915 roku na pięćdziesięciomilowym froncie ruszyła niemiecka ofensywa. W rękach wroga znalazła się jedna trzecia Francji. Najeźdźcy nie zniszczyli jednak Saint Eustace. Rannych aliantów, którzy zostali w wiosce, wysłano szybko do obozów w Niemczech. W ciągu jednej nocy puste łóżka zapełniły się rannymi Niemcami. Berlin, podobnie jak Naczelne Dowództwo Aliantów, ogłosił Saint Eustace strefą wolną od działań wojennych.

Po usłyszeniu tej wiadomości wieśniacy przeżegnali się i podziękowali Bogu. Mężczyźni w dalszym ciągu pracowali na polach i pastwiskach. Trzeba było wprawdzie płacić Niemcom haracz, ale nie była to wygórowana cena za pokój. Kobiety prawie nie zauważyły zmiany. Wciąż musiały pracować prześcieradła, zmieniać bandaż, nastawiać złamane kończyny i wykonywać polecenia lekarzy wojskowych. Jedyna różnica polegała na tym, że twarze widziane w łózkach należały teraz do wroga. Po pewnym czasie wszystkie kobiety doszły jednak do wniosku, że strach

i rezygnacja tych młodych ludzi nie różnią się niczym od tego, co wdziały w oczach żołnierzy będących tu przed nimi.

Z takim samym stoicyzmem wioska Saint Eustace powitała Amerykanów, którzy wkroczyli tu 16 stycznia.

Kiedy to się wreszcie skończy?

Słyszając odgłosy strzałów, Michelle Lecroix odwróciła się od pacjenta i spojrzała nerwowo w okno. Była drobną, szczupłą kobietą o wspaniałych rudych włosach opadających na ramiona. Miała wysokie kości policzkowe, a wystający podbródek zdradzał siłę i zdecydowanie.

Najbardziej uderzające były jednak jej błękitne oczy kontrastujące z włosami. Wielu żołnierzom na ich widok zamierało serce. Mimo rzezi i rozlewu krwi, oczy Michelle Lecroix przypominały im, że na świecie wciąż istnieje piękno.

Michelle pracowała w szpitalu polowym od czterech lat, to znaczy od chwili, w której zaczęli przybywać do niego pierwsi ranni. Osiemnastoletnia Michelle była córką francuskiego rolnika, którego rodzina mieszkała w tej wiosce od wielu pokoleń. Jej matka była Angielką, która porzuciła rodzinny kraj dla ukochanego mężczyzny.

Michelle była na początku pomocnicą pielęgniarki. Poznała w gospodarstwie twardą stronę życia, nic jednak nie przygotowało jej na takie jatki. Opiekowała się mężczyznami bez rąk i bez nóg, niewidomymi, oszpeconymi przez szrapnele. W pierwszych chwilach nie umiała sobie z tym poradzić, potem jednak stała się odporniejsza. Kiedy do szpitala napływało coraz więcej rannych, Michelle zaczęła asystować przy operacjach. Zanim skończyła szesnaście lat, doszła do wniosku, że widziała już wszystkie okrucieństwa, do jakich zdolni są ludzie.

W pracy starała się zachować spokój i na ogół jej się to udawało. W oczach dziewczyny żołnierze dostrzegali czułość i troskę, co pozwalało im chociaż na chwilę zapomnieć o cierpieniu. Ten pozorny spokój miał jednak swoją cenę. Michelle przeżywała czasami koszmary. W wolnych chwilach wymykała się na polanę nad rzeką w pobliżu wioski. Tam, ze spuszczoną głową i rękami splecionymi wokół kolan, myślała o straszliwej hekatombie, której była świadkiem.

Potrzebowała czułości—pragnęła ze wszystkich sił, by ktoś ją przytulił i dał do zrozumienia, że nie jest już sama. Odrzucała jednak zaloty żołnierzy. Byli wśród nich śmiali, przystojni mężczyźni, wystarczyło jednak, że popatrzyła na szpitalne łóżka i od razu wiedziała, co stanie się z jej przyszłym kochankiem.

— Hej, jesteś zimna jak lód! Co się stało?

Michelle spojrzała na żołnierza, który uśmiechał się, trzymając ją za rękę. Przybrała pogodny wyraz twarzy.

— Nic — odpowiedziała wesoło.

— To mój szczęśliwy dzień—powiedział żołnierz. — Trzymaliśmy się za ręce wystarczająco długo, by się zaręczyć.

Odgłos wybuchów wstrząsnął szpitalem. Michelle zadrżała.

— Nie ma się czym martwić — zapewnił ją żołnierz. — Nasi chłopcy doszli na pewno do wniosku, że czas już wypędzić starego fryca do Berlina.

Dziewczyna podeszła do okna.

— Nie sędzę.

— Dlaczego? Czyje to działa?

Michelle odwróciła się do niego.

— Niemieckie. Uwierz mi. Słyszałam ich wystarczająco wiele, by zauważyć różnicę. — Spojrzała żołnierzowi prosto w oczy, w których nagle pojawił się strach. — To ich kontratak. W końcu nastąpił.

Przez następne dwanaście godzin wszędzie panował nieopisany chaos. Kiedy Niemcy przerwali front aliantów, Amerykanie zarządzili ewakuację szpitala. Wykorzystano każdy dostępny pojazd. Michelle pracowała ze wszystkich sił, starając się wprowadzić trochę porządku w to zamieszanie. Decydowała, którzy ranni mogą iść sami, a którzy muszą poczekać na sanitariuszy. Wydawała instrukcje dotyczące zmiany opatrunków i bandażu; pakowała lekarstwa i gazę.

Nie myśl, tylko rób! — powtarzała sobie w duchu. — Jeśli nie wyleczysz rany albo nie zmienisz opatrunku, pojawi się infekcja, a potem gangrena. Twój przyjaciel straci rękę albo nawet umrze! Mijały godziny. Wioska Saint Eustace zamieniła się w dom wariatów. Ludzie, konie i pojazdy tłoczyły się na wąskich ulicach, starając się przejechać przez most, który stanowił jedyne połączenie z główną drogą. Ucieczkę dodatkowo utrudniała burza. Ciężarówki grzęzły w błocie. Konie stawały dęba ze strachu przed grzmotami i błyskawicami, a ludzie klęli, starając się uspokoić zwierzęta.

Słysząc było wystrzały. Nawet ci, którzy wierzyli, że dzielni amerykańscy chłopcy odeprą kontrofensywę, teraz umilkli. Nadeszła w końcu chwila, której obawiała się Michelle. W Saint Eustace pojawili się nowi ranni. Przychodzili pojedynczo, parami, u potem w większych grupach — milczący, załamani, szukający schronienia.

Kiedy Michelle ich zobaczyła, pomogła wejść na ciężarówkę ostatniemu ze swoich pacjentów. Wróciła do szpitala i zaczęła zdejmować brudną pościel. Zanim pierwszy żołnierz przekroczył próg, Michelle była gotowa. Zaskoczył ją jednak widok przygnębienia i poczuciakłęski na twarzy nowo przybyłego. Michelle straciła nadzieję. Amerykanie się nie utrzymają. Znowu przyjdą Niemcy.

Jak na ironię uratowała ich wysunięta pozycja. Kiedy niemiecka piechota zaczęła się wysypywać z okopów, Franklin ocknął się i ściągnął Mońka ze wzgórze. Kilka „ckund później pocisk wylądował w miejscu, gdzie przed chwilą leżał Monk. Fala uderzeniowa zaparła dech w piersiach obydwu żołnierzom. Franklin usłyszał, jak Monk krzyczy i starał się do niego przedostać.

Kręciło mu się w głowie, dyszał ciężko. Wyciągnął rękę, szukając przyjaciela. Kiedy odnalazł ramię Mońka, nastąpił wybuch. Ostatnim nadludzkim wysiłkiem przykrył McQueena własnym ciałem. Deszcz błota, kamieni i gruzu spadł na Franklina. Przeszył go ból. Coś uderzyło go za uchem z siłą młota kowalskiego. Głowa pękała mu z bólu. W ostatnim przeblýsku świadomości zastanawiał się, dlaczego tak głoóno krzyczy.

Nie był to jednak jego krzyk. Wóród dymów bitewnych uwijali się Niemcy w długich płaszczach. Zakrwawione bagnety wznosiły się i opadały. Chcieli być pewni, że żaden aliancki żołnierz nie dożyje jutra.

Idą po nas — pomyślał Franklin. Wreszcie zrozumiał, że jego przeznaczenie nie będzie się różnić od losu Mońka, chłopca z Kentucky i wszystkich zwykłych ómiertelników.

Szybkoóó niemieckiego kontrataku zaskoczyła zarówno wojska alianckie, jak i ludnoóó francuską. W ciągu dwudziestu czterech godzin wojska kajzera posunęły się do przodu o trzydzieóóci mil na dwustumilowym froncie. Zanim zapadł zmierzch, mieszkańcy Saint Eustace ujrzeli nieprzyjacielską piechotę, wychodzącą ostrożnie z lasu otaczającego wioskę.

Podobnie jak wszyscy Michelle Lecrobt spodziewała się, że ta okupacja nie będzie się różnić od poprzedniej. Niemcy przejmą szpital w Saint Eustace, a ich ranni zajmą szpitalne łóózka. Życie potoczy się dalej.

Tym razem było jednak inaczej. Michelle zadrżała, patrząc na wojska wkraczające do wioski. Ci mężczyźni nie byli młodzikami, lecz doóówiadczoneymi żołnierzami. Z grożnymi minami przeszukiwali domy, wykrzykując rozkazy. Wywlekali na ulicę ukrywających się alianckich żołnierzy. Cywilów, którzy udzielili im schronienia, zgromadzono na placu przed koóóściołem. Póóźniej spędzono na plac wszystkich mieszkańców Saint Eustace. Dowóódcą, wysoki oficer z wąsem, którego sztywna postawa zdradzała pruskiego szlachcica, wystąpił naprzód. Przechadzał się przed jeńcami, aż w końcu zatrzymał się naprzeciwko mężczyzny, w którym Michelle rozpoznała poczmistrza.

— Czy zaprzeczasz, że ukrywałeś w swoim domu wroga? — zapytał Prusak, mocno akcentując francuskie słowa.

Poczmistrz pokręcił głową, nie odważając się spojrzeć w oczy oficerowi.

— Czy jeszcze kogoóó ukrywasz?

— Nie, majorze, przysięgam!

Oficer spojrzał bez słowa na poczmistrza.

— Przysięgasz?

— Na moje życie, majorze!

— Na twoje życie... — wymruczał Prusak. — Odwrócił się do wieóóśniaków i krzyknął: —

Słyszelióócie wszyscy! Przysięgnął na swoje życie, że nie ukrywa wroga.

Oficer podniósł rękę. Dwóch żołnierzy pojawiło się w drzwiach poczty, wlokąc pomiędzy sobą rannego amerykańskiego lotnika. Prusak patrzył, jak półprzytomny Amerykanin wije się z bólu. Wyciągnął pistolet i wycelował pomiędzy oczy jeńca.

— Przysiągłeś na swoje życie! — wykrzyknął Prusak. — Czy tak? Przerażony poczmistrz patrzył na Niemca.

— Ale majorze...

— To właśnie powiedziałeś!

Poczmistrz skinął głową, nie odrywając oczu od lotnika, któremu pozostały tylko sekundy życia. Wybac mi — pomyślał i przeżegnał się. — Zrobiłem, co mogłem.

— Wszyscy słyszeliście! — wrzeszczał Prusak, odwracając się do wieśniaków. — Słyszeliście, jak powiedział, że nikogo nie ukrywa. Widzicie, że kłamał. Teraz będziecie świadkami kary za oszustwo!

Lufa pistoletu dotykała czoła lotnika.

— Mam nadzieję, że pogodziłeś się ze Stwórcą — powiedział Niemiec. Pojedynczy strzał słychać było na całym placu. Mężczyźni i kobiety, którzy przetrzymali najgorsze bombardowania, drgnęli i zacisnęli powieki. Potem wszyscy wstrzymali oddech. Jakimś cudem lotnik wciąż żył. Łkał głośno i kulił się jak dziecko. Dwieście par oczu patrzyło na rękę Prusaka, w której tkwił dymiący pistolet. W pobliżu leżał poczmistrz. Z jego piersi płynęła krew. Powoli Prusak schował broń.

— Nie zabijam bezradnych, rannych żołnierzy, którzy walczyli honorowo! — zawołał do tłumu.

— Strzelam za to bez litości do kłamców i wrogich agentów. To wszystko, co musicie wiedzieć o majorze Wolfgangu von Otcie!

Michelle Lecroix, major Wolfgang von Ott i Emil Radisson, jedyny lekarz z Saint Eustace, który opiekował się już trzema pokoleniami wieśniaków, stali przy wejściu do szpitala. Michelle przyglądała się żołnierzom niemieckim, podziwiając sprawność ich działań — ta sprawność uratuje z pewnością niejedno życie. Zanim wartownicy zdążyli zająć stanowiska, ekipa medyczna ulokowała się w sali chirurgicznej i zabrała się do roboty. Sanitariusze opatrywali lżejsze rany. Wielu żołnierzy czekało w kolejce, mimo to major nie przydzielił jeszcze żadnych zadań ani Michelle, ani innym sześciu pielęgniarkom, ani nawet doktorowi Radissonowi.

Nie ufa nam. „, Michelle spojrzała z ukosa na majora. Nawet gdyby szlacheckie „von me poprzedzało jego nazwiska, na pewno rozpoznałaby arystokratyczne pochodzenie po chłodnym wyrazie szarych oczu i pogardliwym grymasie wąskich ust. Pomyślała, że Wolfgang von Ott jest bardzo okrutnym człowiekiem.

— Pani jest mademoiselle Lecroix. Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

— Tak, monsieur—odrzekła zaskoczona Michelle, starając się zachować spokój.

Wie, jak się nazywam?

Słyszałem o pani — major Wolfgang von Ott uśmiechnął się lekko.

— Słyszałem również o panu, doktorze. Otrzymałem dokładny raport od dowódcy * wojsk, które tu kiedyś stacjonowały. Wysoko ocenił waszą pracę. Ani Michelle, ani Radisson nic nie powiedzieli.

— Proszę powiedzieć, mademoiselle — mówił von Ott. — Czy jest pani oburzona moim postępowaniem na placu?

Michelle poczuła, jak Radisson zaciska dłoń na jej ramieniu, ale zignorowała ostrzeżenie.

— To było odrażające, majorze.

— Czy poczmistrz był pani krewnym?

— Nie. Miał jednak żonę, córkę i wnuki.

— Wszyscy mamy rodziny, mademoiselle. Ja straciłem swoją, kiedy wojska francuskie najechały Alzację i Lotaryngię. — Niemiec przerwał. — Dałem mu szansę. Powinien ją wykorzystać.

— On wam przecież nie zagrażał! — wykrzyknęła Michelle. — Był po prostu starym człowiekiem, który próbował uratować rannego żołnierza.

— Nie muszę pani opowiadać, przez co przeszli moi ludzie—powiedział von Ott. —Widzi pani sama. Nie będę tolerował żadnego zagrożenia. Wy, Francuzi, sądzą, że skoro pojawili się Amerykanie, to już wygraliście wojnę. Tak nie jest. Nauczycie się szanować moich żołnierzy. Gdy będziecie wykonywać moje rozkazy, nie stanie się wam nic złego. Jeśli jednak spróbujecie mnie zdradzić, to wiecie już, co was spotka.

Von Ott spojrział przenikliwie na Michelle.

— Muszę wam zaufać, mademoiselle. Muszę oddać wam pod opiekę moich żołnierzy. Czy mogę to zrobić?

Michelle spojrzała mu prosto w oczy.

— Jestem pielęgniarką, majorze — powiedziała. — Moim obowiązkiem jest niesienie pomocy potrzebującym, Niemcom i Francuzom, żołnierzom i cywilom. Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Wolfgang von Ott spojrział głęboko w piękne niebieskie oczy stojącej przed nim dziewczyny. Jego uwagi nie uszły wydatne piersi, smukła talia i pełne biodra, których nie mógł przesłonić luźny strój. Patrząc na Michelle Lecroix major czuł, jak budzi się w nim pożądanie. Wiedział jednak, że w tej młodej kobiecie jest coś więcej niż uroda. W innym czasie i w innym miejscu mógłby zaspokoić swoją ciekawość.

— Zrobicie, co w waszej mocy — powtórzył powoli. — Bardzo dobrze, mademoiselle. O nic więcej nie proszę. Mam tylko nadzieję, że pozostali mieszkańcy Saint Eustace dzielą wasze uczucia. Jest już późno. Proponuję, żebyście teraz odpoczęli. W tym momencie mój personel zatroszczy się o rannych. Rankiem będziecie jednak potrzebni. Bardzo potrzebni.

Nie chce mi się wierzyć, że żyję... A jednak żyję!

Monk McQueen otworzył oczy. Obok leżał Franklin; jego ręka spoczywała na piersi Mońka.

Monk wzdrygnął się. Nad polem bitewnym unosił się dym, który

wcisnął się do oczu, wywołując łzawienie. Cisza wydawała się ogłuszająca, nienaturalna. Nie było słyhać żadnego dźwięku—żadnego jęku, szeptu, prośby ani modlitwy.

Monk ostrożnie poruszył najpierw stopami, później całymi nogami. Nic mu było złamane. Potem obmacał klatkę piersiową i ramiona. Kiedy dotknął twarzy, na ręce zobaczył krew.

To dlatego mnie nie dobili — pomyślał. - Popatrzyli na mnie i doszli do wniosku, że nie żyję.

Monk ostrożnie zdjął rękę Franklina ze swojej piersi. Na początku mu zauważył żadnych ran na ciele przyjaciela, ale potem dostrzegł na skroni, nad prawym uchem, głęboką, czerwoną szramę, którą częściowo przykrywał hełm.

Monk zbadał ranę palcami. Delikatnie odwrócił głowę Franklina. Nie było rany wylotowej.

Kula utkwiała w jego czaszce!

Monk przycisnął palce do szyi Franklina i odetchnął z ulgą, kiedy poczuł puls.

— Trzymaj się, przyjacielu! — wyszeptał. — Wydostanę cię stąd.

Nagle Franklin jęknął i otworzył oczy. Monk zakrył mu usta dłonią i położył sobie palec na wargach. Franklin zamrugał. Monk ostrożnie podniósł głowę i rozejrzał się. Wszędzie jak okiem sięgnąć leżały ciała żołnierzy piechoty morskiej. Kiedy upewnił się, że nie widać żadnego wroga, wstał.

Nie brali jeńców... Skosili nas, a tych, którzy przeżyli, wykończyli bagnietami. W czasie kontrataku nie bierze się jeńców.

Zbierało mu się na wymioty.

Monk usłyszał, że Franklin znów jęczy i pochylił się nad nim, próbując podnieść przyjaciela.

— Franklinie, musisz wstać! ,

— Nie wiem, czy potrafię... Boli mnie głowa... Mam wrażenie, że tonę

— Wstawaj! Masz szczęście, że jeszcze żyjesz. Podnieś się więc, do diabła, i ruszajmy stąd! Nie będziemy umierać na tej cholerniej kupie gówna!

Nieoczekiwanie Franklin uśmiechnął się.

— Zawsze musisz postawić na swoim — wysapał, podnosząc się powoli, cal po calu, aż w końcu oparł się na ramieniu Monka.

— Powolutku, krok po kroku — wyszeptał Monk, rozglądając się dookoła.

Z Nie rfatona nich! Oni nie żyją. Nic nie możemy dla nich zrobić. Chodź, Franklinie, powoli... krok po kroku...

W lesie Monk poczuł się bezpieczniej. Wiedział jednak, że Niemcy po zdobyciu amerykańskich okopów na pewno doszli do lasu. Najprawdopodobniej zbudował, nową linię frontu gdzieś pomiędzy Saint Hustace a ich obecną pozycją. Trzeba będzie

znaleźć lukę w niemieckich umocnieniach i prześlizgnąć się do wioski. Tam będą bezpieczni. Marsz był bolesny, ale pomimo wyczerpania Monk nie chciał się zatrzymać ani nawet zwolnić tempa. Częściowo niósł, częściowo włókł za sobą Franklina, wiedząc dobrze, że wysiłek może zabić przyjaciela. Postój oznaczał jednak pewną śmierć.

Krok po kroku...

Monk miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim doprowadził przyjaciela do gęstych krzaków i delikatnie położył na ziemi.

— Dziwne, to mi nie wygląda na Paryż — wyszeptał Franklin, kaszląc ochryple.

— Zamknij się i wypij to — rzekł Monk, unosząc manierkę do ust Franklina. Po kilku minutach szli dalej. Monk trzymał się ścieżki. Wiązało się to z ryzykiem,

gdyż Niemcy na pewno będą z niej korzystać. Ścieżka była jednak bezpieczniejsza niż droga i maszerowało się nią o wiele szybciej, niż przedzierając się wśród krzaków.

Przeszli mniej więcej milę, kiedy Monk nagle się zatrzymał. Przysięgłby, że słyszy czyjeś kroki. Wkrótce znów usłyszał te same odgłosy. Tym razem były głośniejsze, tak jakby za nimi szło co najmniej kilka osób. Monk wepchnął Franklina między drzewa.

— Ani piśnij! — wyszeptał. Franklin chwycił go za rękę.

— Jeśli coś się stanie — powiedział głosem przepelnionym cierpieniem — obiecaj, że mnie zostawisz... uratujesz się...

— Niech mnie diabli, jeśli to zrobię!

— Ktoś musi powiadomić Rose — Franklin skrzywił się z bólu.

Kroki zbliżały się. Monk przygotował bagnet, podczołgał się do ścieżki i ukrył się za wysokim klonem. Idący byli już prawie przy nim. Kiedy cień padł na ścieżkę, Monk wyskoczył zza drzewa, unosząc bagnet ponad głową. Za parę sekund wszystko się rozstrzygnie...

14.

Po zapadnięciu zmierzchu w Saint Eustace obowiązywała godzina policyjna. Ulice były puste, okna zaciemnione. Tylko w biurze majora za czarnymi zasłonami paliły się światła.

— W porządku, zabierzcie go stąd i odprowadźcie do domu!

Aptekarz był przedostatnim z kilkunastu ludzi wezwanych na przesłuchanie. Przez trzydzieści nerwowych minut musiał odpowiadać na pytania i modlić się, by mu uwierzono. Nie mówił przecież po angielsku, nie mógł więc rozmawiać z Amerykanami ani poznać ich planów.

Aptekarz uklonił się von Ottowi i wyszedł z biura. Serdecznie współczuł ostatniemu mężczyźnie, czekającemu na swoją kolej. Serge Picard, jowialny, tęgi piekarz, którego pieczywo i ciasta w lepszych czasach były poszukiwane przez mieszkańców Saint Eustace, stał teraz blady i spocony.

— Zamknąć drzwi — rozkazał von Ott, kiedy Picard wszedł do pokoju i usiadł na krześle przed biurkiem majora.

Von Ott starał się ukryć niesmak na widok tego grubego mężczyzny, wyglądającego jak wieprz.

Picard siedział ciężko na krześle z rękami splecionymi na ogromnym brzuchu. Wyjął papierosa z brudnej kieszeni, zapalił i wrzucił zapałkę do popielniczki koło łokcia majora. Von Ott zignorował tę bezczelność.

— Cóż, *mon capitain*—zaczął zaczepnie Picard.—Udało się panu złowić jakąś rybkę?

— Wie pan równie dobrze jak ja, że przesłuchania służyły tylko jednemu celowi: nie chcieliśmy pana zdemaskować — odrzekł von Ott.

— Cieszę się, że mnie doceniacie — odparł piekarz. — Dzięki mnie w Saint Eustace nie ma zdrajców, którzy współpracują z wrogiem.

Z wyjątkiem ciebie—pomyślał von Ott.—Jesteś najgorszym rodzajem łajdaka, judaszem dla własnego narodu.

Major musiał jednak przyznać, że przez te wszystkie lata Picard zapracował na swoje brudne pieniądze. Poprzednicy von Otta chwalili piekarza w raportach.

— Długo rym razem zostaniecie? — zapytał kpiąco Picard.

— Wystarczająco długo, żeby miał pan pełne ręce roboty — odparł von Ott.

— Sądzę zresztą, że i do tej pory pan nie próżnował.

— Nikt z wyjątkiem nieszczęsnego poczmistrza nie ukrywał żadnych przyjaciół

— rzekł z dumą Picard. — Jestem tego pewny.

— Co ze skrytkami z bronią?

— Amerykanie zabrali wszystko.

Picard nie wspomniał, że przechowywał w piwnicy cukier, mąkę, a nawet masło, które skradł kwatermistrzowi w czasie odwrotu. Te zapasy były teraz na wagę złota. Nie można przecież jeść kul i prochu.

— Czy na pewno nikt w Saint Eustace nie podejrzewa, komu tak naprawdę pan sprzyja? — zapytał von Ott.

— Nie mam co do tego wątpliwości — odrzekł z naciskiem Picard.

— Dobrze. Jest bardzo ważne, aby w trakcie obecnej ofensywy docierała do mnie każda, powtarzam, każda informacja dotycząca wojsk amerykańskich.

— Niech pan będzie spokojny, majorze. Jestem do pańskich usług. Czy to już wszystko? Chciałbym iść do domu.

— Moi ludzie pana odprowadzą. Jest przecież godzina policyjna.

— Wolałbym otrzymać *laissez-passer* z pańskim podpisem — rzekł piekarz.

— Każda przepustka byłaby czymś niezwykłym i ściągnęłaby podejrzania na nas obu — sprzeciwił się von Ott.

— Nie, jeśli pretekst byłby odpowiedni — odpowiedział natychmiast Picard.

— Możemy na przykład rozgłosić, że w nocy muszę piec chleb dla pańskich żołnierzy.

Von Ott był zbyt zmęczony, by się spierać. Wezwał adiutanta i rozkazał mu przygotować dokument. Serge Picard opuścił biuro majora przygarbiony i z pochyloną głową. Gdyby ktoś na niego spojrzał, pomyślałby, że ma przed sobą pokrzywdzonego, niewinnego człowieka. W rzeczywistości Picard miał ochotę śpiewać, a przepustka paliła mu dłoń. Był bardzo ciekawy, jaką minę zrobi Michelle Lecroix, kiedy pojawi się u jej drzwi.

Bagnet w dłoni Mońka był gotowy do zadania śmiertelnego ciosu, lecz ofiara miała długie rude włosy i piękne niebieskie oczy.

Ostrze zatrzymało się tuż przy szyi Michelle Lecroix.

— *Qui ites-vous!* — wyszeptał z furią Monk.

Michelle wiała się w mocnym uścisku olbrzyma, który wychynął nagle z ciemności.

— Lecroix... nazywam się Michelle Lecroix — wyszeptała.

Monk rozluźnił uścisk, słysząc ze zdumieniem język angielski. Mówiła z obcym akcentem, ale zrozumiałe.

Gałązka trzasnęła w ciemności. Zbliżali się żołnierze. Monk ściągnął swojego więźnia ze ścieżki.

— Du Niemców jest w patrolu? — zapytał.

— Ja... nie wiem.

— Gdzie są ich główne siły? Jak blisko jest Saint Eustace?

— Jak blisko? Monsieur, Niemcy o k u p u j ą moją wioskę.

Monk powoli puścił wystraszoną dziewczynę. Saint Eustace zajęta... Wszędzie pełno Niemców.

Franklin z każdą chwilą jest bliższy śmierci. Michelle wyciągnęła rękę i dotknęła Amerykanina.

— Nie może pan tu zostać, monsieur. Patrol pana znajdzie.

— Nie mogę również odejść!

Monk odsunął gałęzie i pokazał Francuzce Franklina. Michelle uklękła i szybko zbadała nieprzytomnego żołnierza.

— Potrzebuje opieki lekarza — powiedziała. — I to szybko.

— Kto niby ma się nim zająć? Z pewnością nie Niemcy!

— Nie, monsieur, ja. Jestem pielęgniarką i mieszkam niedaleko. Jeśli nie natkniemy się na patrol, zaprowadzimy pańskiego przyjaciela w bezpieczne miejsce.

Monk nie wiedział, co o tym sądzić. Czy to naprawdę pielęgniarka? Czy może zaufać tej pięknej młodej kobiecie, którą kilka sekund temu zamierzał zabić? Gdyby go zdradziła, Franklin by zginął. Jeśli jednak nic nie zrobi... Niemcy byli już całkiem blisko.

— Jaki jest pani plan?

— Wrócę na ścieżkę — wyjaśniła szybko Michelle. — Niemcy mnie zatrzymają, ale kilku z nich na pewno mnie rozpozna. Pozwolą mi przejść. Postaram się odwrócić ich uwagę.

Monk spojrzał na nią ostro. Nie było jednak innej możliwości.

— Mam nadzieję, że nie jesteś kolaborantką — wyszeptał, ściskając ją za rękę. — Jeśli nas wydasz, postaram się, żebyś umarła pierwsza.

Michelle ani drgnęła.

— Wyraził się pan jasno, monsieur — powiedziała spokojnie. W następnej chwili zniknęła w ciemności.

Tak jak spodziewała się Michelle, jeden z Niemców ją zapamiętał. Żołnierze otoczyli dziewczynę ciasnym kręgiem. W świetle latarek widziała młode, przyjazne twarze. Zaproponowali, że odprowadzą Michelle do domu, ale Francuzka uprzejmie odmówiła. Pożegnała się z żołnierzami, kiedy odciągnęła ich od miejsca, w którym ukrywali się Amerykanie. Patrol ruszył ku wiosce.

— Sprytna dziewczyna! — powiedział Monk, wychodząc z krzaków. Michelle zignorowała komplement.

— Musimy zaprowadzić pańskiego przyjaciela w bezpieczne miejsce. Zbadała jeszcze raz ranę i przygryzła wargę. Amerykański żołnierz oddychał

o wiele za szybko; miał gorączkę. Kula utkwiała głęboko i Michelle była pewna, że trzeba go będzie operować. Bez tego młody mężczyzna umrze. Chwyliła żołnierza pod ramię.

— Niech mi pan pomoże go podnieść.

— Poniosę Franklina, jeśli weźmie pani jego plecak — rzekł Monk.

— Skoro doszedł tak daleko, to lepiej, żeby nadal szedł sam.

Po wyjściu z biura komendanta Serge Picard udał się do szpitala, gdzie powiedziano mu, że Michelle Lecrok już wyszła. Nie ma problemu. Wstąpi do piekarni po świeże pieczywo i pójdzie do gospodarstwa na skróty. Picard szedł drogą, zalaną światłem księżyca, poruszając się tak żwawo, jak pozwalała mu jego tusza.

Serge Picard zakochał się w Michelle, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi. Nie wątpił wówczas, że pewnego dnia zostanie mężem tej piegowatej dziewczynki

o tycjanowskich włosach. Fakt, że Michelle zachowywała dystans, wcale go nie peszył. Był bowiem przekonany, że Michelle jest w nim zakochana. Czyż nie była jedynym dzieckiem, które nigdy mu nie dokuczało?

Serge Picard cieszył się po cichu z wybuchu wojny. Młodzi mężczyźni z Saint Eustace, którzy zaczęli zalecać się do Michelle, poszli do wojska, a on został zwolniony z tego obowiązku z powodu tuszy. Zaczął się kręcić koło kwatermistrza

I dotąd mu się podlizywał, dopóki nie załatwił sobie lukratywnego zamówienia na dostawę chleba dla stacjonujących w pobliżu oddziałów. Piekarnia, spadek po ojcu, uczyniła go zamożnym. Na wojnie Picard zamierzał zdobyć prawdziwe bogactwo.

Kiedy jednak walki ciągnęły się bez końca, a ten sam kawałek ziemi bez przerwy przechodził z rąk do rąk, rozwiły się marzenia Picarda. Michelle Lecrok nie przybiegła do niego przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Została pielęgniarką. Zamiast stanąć u boku piekarza, spędzała czas przy łóżkach rannych i konających. Picard wiedział, że przez ostatnie cztery lata wielu przystojnych cudzoziemców zakochało się w Michelle. Konkurencja była jeszcze ostrzejsza niż dawniej. Serge Picard żył w ciągłym strachu, że pewnego dnia do wioski przybędzie mężczyzna, który porwie mu jego Michelle.

W końcu znalazł sposób na uspokojenie swoich obaw. Odkrył, że Niemcy są gotowi zapłacić dużo pieniędzy odpowiedzialnemu i dyskretnemu człowiekowi, który będzie przekazywał im wiarygodne informacje. Nie uważał się za zdrajcę. Anglicy, Kanadyjczycy i Belgowie byli przecież takimi samymi cudzoziemcami jak Niemcy. Picard nigdy nie przyglądał się twarzom tych ludzi i nie obchodził go ich los. Dzięki niemieckiemu złotu będzie w stanie kupić Michelle, kiedy tylko tego zapragnie.

Noc była chłodna, ale mimo to Picard pocił się, idąc przez świeżo zaorane pole. Przed sobą w dolinie dostrzegł gospodarstwo rodziny Lecrok. Myśląc o Michelle, piekarz drżał z niecierpliwości. Wkrótce żołnierze przestaną mu zagrażać. Kiedy wojna się skończy, Michelle zostanie jego żoną. Zamieszkają w małym mieszkanku

nad piekarnią. W dzień żona będzie pracowała za ladą. Wszystko będą robić razem i ani na sekundę nie spuści jej z oka.

Picard był tak podniecony, że dopiero w ostatniej chwili zauważył trzy postacie, kierujące się ku małej stodole. Piekarz zamarł.

Żołnierze! Amerykańscy żołnierze!

Kiedy chmury się rozwiały i krajobraz zalało blade światło księżyca, Picard rozpoznał trzecią osobę: Michelle Lecrok.

— Połóżmy go tutaj — powiedziała Michelle.

Wskazała wypchany słomą materac, leżący w kącie stodoły. Przed wojną sypiał na nim parobek, który pomagał ojcu w czasie żniw.

— W stajni jest jeszcze jedna latarka. Proszę mi ją przynieść.

Michelle przyniosła trochę wody ze starej pompy przy korycie i zaczęła przemywać ranę. Dopiero teraz miała okazję przyjrzeć się dokładnie Amerykaninowi. Ku jej zdziwieniu był bardzo przystojny. Michelle spodobały się zwłaszcza jego gęste jasne włosy i długie rzęsy. Wyczuła jednak, że w tym mężczyźnie jest coś więcej niż uroda. To, że wciąż żył i nie krzyczał z bólu, kiedy odzyskiwał przytomność, świadczyło o wielkiej sile ducha.

— Jak on się nazywa? — spytała.

— Franklin Jefferson. Ja jestem Monk McQueen.

— Franklin... — Michelle dotknęła jego twarzy i wyszeptwała: — Franklinie, musisz być silny, bardzo silny.

— Jest pani świetną pielęgniarzką — rzekł Monk, patrząc, jak dziewczyna opłukuje szmatkę i przykrywa Franklina szorstkim kocem z końskiego włosia. — Gdzie nauczyła się pani angielskiego?

— Od matki — powiedziała z wahaniem. — Czy pan jest mnichem? Monk roześmiał się.

— Nie. To tylko jedno z tych anglosaskich imion, którymi rodzice uszczęśliwiają swoje pociechy.

— Spowaźniał i przysunął się do niej. — Czy to poważna rana?

— Kula wywiera ucisk na mózg. Trzeba ją wyjąć.

— W takim razie musimy jakoś przedostać się do naszych.

— On nie przeżyje podróży, nawet jeśli uda wam się ominąć Niemców.

— Jaki mam wybór? Jeśli nic nie zrobię, umrze.

Michelle przygryzła wargę. Zdała sobie sprawę z sytuacji dopiero wtedy, kiedy dotarli do stodoły. Nowy komendant dał jasno do zrozumienia, że za pomaganie Amerykanom grozi śmierć.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał Monk, wyciągając do niej rękę. Dotknął jej włosów. Kiedy spojrzała na niego, miał wrażenie, że zapada się w te ogromne niebieskie oczy.

— Wszystko w porządku.

— Wiem, o czym pani myśli — powiedział łagodnie Monk. — Nie winię pani za

to. Ryzyko jest zbyt duże. Chciałbym tylko przespać się przez kilka godzin. Pójdziemy przed północą.

— Dokąd? Jak daleko zajdziecie? Wszędzie dookoła są Niemcy, a wy nawet nie wiecie, gdzie znajdują się wasze wojska.

— Musimy zaryzykować.

— Takie ryzyko zabije Franklina!

Powiedziała to z taką gwałtownością, że Monk był zaskoczony.

— Nie — ciągnęła dalej Michelle. — Oto, co zrobimy. Obaj zostanieie tutaj. Patrole niemieckie już przeszukały gospodarstwo. Nie wrócą tu. Jutro znajdę lekarza i sprowadzę go, aby pomógł pańskiemu przyjacielowi...

— W biały dzień?

— Czasami właśnie wtedy ludzie nic nie zauważają. Jak to się mówi, najciemniej bywa pod latarnią, *riest-ce pas!*

Monk starał się czuć, mimo to szybko zapadł w głęboki sen bez marzeń. Ani szum deszczu, ani śpiew ptaków nie docierały do jego świadomości. Usłyszał dopiero warkot nadjeżdżającego samochodu.

Monk złapał karabin i podczołgał się ku drzwiom stodoły. Podniósł się ostrożnie do okna.

Zauważył niemiecki samochód patrolowy, podjeżdżający ku gospodarstwu. Wysiedli z niego dwaj żołnierze, a za nimi starszy mężczyzna i dziewczyna.

Monk wstrzymał oddech i patrzył, jak Michelle Lecrok mówi coś do żołnierzy. Potem wskazała stodołę. Niemcy zaczęli iść.

Zaufałem jej, a ona nas wydała!

Drżąc z wściekłości, Monk załadował karabin i wycelował. Cokolwiek się stanie, pierwsza kula będzie przeznaczona dla niej.

— Ach, *mon vieux*, cóżeś ty narobił! — doktor Radisson zbeształ siedzącego na łóżku mężczyznę. Pacjent, wysoki, kościsty gospodarz, ubrany w spłowiałą koszulę, podniszczony skórzany kombinezon i buty sięgające do kolan, wzruszył ramionami. Wciągnął raptownie powietrze, kiedy Radisson pochylił się i zbadał ranę na prawej łydce.

— Musimy go zabrać na operację do szpitala — powiedział Radisson, podnosząc się. — Nic tu nie poradzę.

Dwaj niemieccy żołnierze zbledli, kiedy ujrzeli zakrwawioną ranę i tkwiący w niej metalowy odłamek lemiesza. Nie mieli wątpliwości, że gdyby stary człowiek nie wypił tyle brandy, jęczałby teraz z bólu.

Michelle podeszła do ojca i troskliwie opatulila go kocem.

— Wszystko będzie dobrze, tato — wyszeptała. Emil Lecroix pogłaskał córkę po policzku.

— Musicie mi pomóc zanieść go do samochodu — powiedział Radisson do Niemców.

— Wszyscy się nie zmieścimy—zaprotestował jeden z żołnierzy. —Powinniśmy sprowadzić ambulans...

— Nie ma na to czasu — przerwał niecierpliwie Radisson. — Zabierzcie go jak najszybciej do szpitala. Mademoiselle Lecroix i ja przyjedziemy za wami wozem.

Żołnierze mieli niewyraźne miny.

— Wasz dowódca był tak hojny, że pożyczył nam swój samochód —powiedział z naciskiem Radisson. —Jestem pewien, że chciałby go szybko odzyskać z powrotem.

Wzmianka o von Otcie rozproszyła obawy żołnierzy. Położyli Emila Lecroix na nosze i przykryli kocem. Michelle pocałowała ojca w policzek. Stary mężczyzna mrugnął do niej.

— Zabierzmy się teraz do prawdziwej roboty — powiedział Radisson, patrząc, jak Niemcy odjeżdżają. — Wiesz, co masz zrobić.

Kiedy lekarz ruszył ku stodole, Michelle podbiegła do powozu. Popędziła konia i ruszyła po krętej alejce. Gdy dotarła do głównej drogi, zwolniła. Ostrożnie kierowała koniem, dopóki jedno z kół nie ugrzęzło w wyboju. Michelle poluzowała uprząż. Mocowała się ze sworzniem, przytrzymującym koło, dopóki nie ustąpił. Powóz przechylił się niebezpiecznie, a w końcu runął na bok. Michelle uspokoiła konia i przyjrzała się swojemu dziełu. Kiedy upewniła się, że wygląda to na nieszczęśliwy wypadek, pobiegła z powrotem ku farmie.

— Co z nim? — zapytała zdyszana Michelle, zamykając podwójne drzwi i zaciągając zasuwę. Wówczas zauważyła, że McQueen mierzy z karabinu do doktora Radissona.

— Co się dzieje?

— Nasz amerykański przyjaciel chciałby wiedzieć, co tu robili Niemcy — odrzekł beznamiętnie Radisson.

Widząc srogą minę McQueena, Michelle zrozumiała, co podejrzewał Amerykanin.

— Czy widział pan mężczyznę, którego Niemcy wynieśli na noszach?—zapytała szybko. — To był mój ojciec. Został ranny w 1871 roku, w czasie wojny francusko-pruskiej. Aż do dziś w jego nodze tkwi kawałek szrapnela. Potrzebowałam pretekstu, żeby ściągnąć tu doktora Radissona.

Rozciąłam więc nogę ojca. Kiedy Niemcy zobaczyli stalowy odłamek, nie mogli go tak zostawić.

— Jezu Chryste! — wykrzyknął Monk, opuszczając broń.

— Dzięki temu doktor Radisson mógł tu przybyć — rzekła Michelle, a potem opowiedziała McQueenowi o sfiingowanym wypadku, który wyjaśni przedłużającą się nieobecność doktora w wiosce.

— Niewykluczone, że wszystko pójdzie na marne — powiedział cicho Monk. Widząc zdziwioną minę Michelle, wyjaśnił: — Lekarz powiedział, że pocisk się rozerwał. Nie będzie w stanie wyjąć wszystkich kawałków.

Radisson skinął głową.

— Co więcej, mogę się tylko domyślać, jak głęboko tkwi największy odłamek. Jeśli znajduje się zbyt blisko mózgu, jego usunięcie może wywołać krwotok.

- On umrze, jeśli nic pan nie zrobi! — powiedziała ostro Michelle.

— Hej, uspokój się. Nie zamierzam umierać, ale stracę rękę. Jeśli będziesz ją tak Michelle zaparło dech w piersiach, kiedy usłyszała słaby głos Franklina. Puściła jego dłoń.

— Nie powiedziałem, że musisz ją odrzucić jak gorący ziemniak — wyszeptał Franklin. — Wiedząc co, skoro i tak nie jestem pewien, czy to nie sen, to może ktoś poda mi trochę wermutu, a potem usunie ten niemiecki prezencik z mojej czaszki. Głowa mi pęka z bólu...

Michelle nie była w stanie ukryć ulgi.

— Będziesz żył — przyrzekła. — Wyjmiemy kulę, a ty będziesz żył! Monk był przejęty determinacją Francuzki.

— Ile czasu potrwa operacja?

— Godzinę, może dłużej — odrzekł lekarz. — Nie będę umiał powiedzieć, dopóki nie zacznę. Radisson przygotowywał gazę z chloroformem, a Michelle naszykowała dawkę morfiny. Była nieduża, zaledwie kilka mililitrów. Modliła się, żeby można było chociaż trochę złagodzić ból. Monk rozejrzał się z rozpaczą. To przecież szaleństwo! Jak można operować w takich warunkach—na brudnym materacu wypchanym słomą, przy świetle latarek i z myszami piszczącymi po kątach? Nawet gdyby Franklin jakimś cudem to przeżył zabije go infekcja.

— Monk... — odwrócił się, kiedy go dotknęła. — Wiem, że to twój przyjaciel — powiedziała łagodnie. — Wiem, jak bardzo ci na nim zależy. Zaufaj mi. Nic nie będzie Franklinowi. Był wdzięczny za pocieszenie. Stanął mu przed oczami widok ojca Michelle na noszach. Ci ludzie dosłownie przelali krew za dwóch obcych przybyszów. Czegóż więcej mógł żądać?

— Weźcie się do roboty—rzekł, patrząc na Franklina.—Ja zajmę się czymś, co na nowo odkryłem po przyjeździe tutaj.

Michelle pytająco uniosła brwi.

— Modlitwą — odparł Monk.

Reszta jest w ręku Boga. Doktor Emil Radisson wytarł ręce w zakrwawiony ręcznik i zapalił papierosa. Monk patrzył, jak Michelle owija bandażem głowę Franklina Jeffersona.

— Przeżyje?

Zanim lekarz zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Michelle.

— Oczywiście!

Monk spojrział na Radissona, którego otaczały kłęby dymu z papierosa.

— Niektóre odłamki utkwiły głęboko w czaszce. Nie mogłem ich wydostać. Nie wiem, czy nie będą wywierać ucisku na mózg.

— A jeśli zabiorę go do szpitala wojskowego?—spytał Monk. —Odeślę szybko do domu?

Radisson wzruszył ramionami.

— Z całą skromnością wątpię, czy wasi polowi lekarze lepiej by się spisali. Nie wiem, czy da się coś zrobić dla pacjenta w Ameryce, bo nie znam waszych metod leczenia. Teraz najważniejszy jest dla niego odpoczynek. Musi odzyskać siły. Nie wolno go ruszać.

— Franklin będzie tu bezpieczny — przyrzekła Monkowi Michelle. — Dzięki morfinie będzie spał pizez resztę dnia. Spróbuję przynieść ze szpitala więcej tego narkotyku.

— Zbierajmy się — powiedział Radisson, patrząc na zegarek. — Powinniśmy już być na miejscu, nawet mimo naszego „wypadku”.

Monk pomógł Michelle zanieść zakrwawione ręczniki do cynowej balii.

— Muszę dotrzeć do naszych pozycji — powiedział. — Jeśli Amerykanie planują wyparcie Niemców, to chcę się upewnić, że jakiś oddział zajmie się szybko Franklinem.

— Nie możesz chodzić w biały dzień w tym mundurze—zaprotestowała Michelle.

— Twój ojciec jest mniej więcej mojego wzrostu. Daj mi jakieś jego ubranie.

. Pójdę na zachód, trzymając się z dala od głównej drogi. Mam nadzieję, że nie wpadnę na żaden patrol.

— Lepiej, jeśli zaczekasz do zmroku.

— Zbyt długo już czekałem — Monk chwycił ją za ramiona. — Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłaś. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała...

Michelle pogładziła go po policzku.

— Cóż, przyjacielu, najlepsze, co możesz zrobić, to dotrzeć bezpiecznie do swoich ludzi i wrócić po Franklina. W obecnych czasach nie powinniśmy prosić Wszechmogącego o zbyt wiele.

Serge Picard był zmęczony, zziębnięty i bardzo głodny. Siedział w krzakach w przemoczonym ubraniu, obserwując stodołę Lecroix. W brzuchu mu burczało. Jednakże pomimo niewygod Picard tkwił w miejscu.

Po nie przespanej nocy Picard powrócił na swój punkt obserwacyjny. Targały nim wątpliwości. Kiedy zobaczył nadjeżdżających Niemców, ogarnęła go radość. Michelle się opamiętała. Wyda im Amerykanów, jak przystało na porządną, francuską obywatelkę. Zadowolenie ustąpiło miejsca niedowierzaniu, kiedy piekarz zrozumiał chytry plan Michelle.

Po odjeździe Niemców na kilka godzin zapanował spokój. Picard odgadł, że Radisson i Michelle opatrywali rany Amerykanów. Miał ochotę wrócić do wioski i udowodnić temu pruskiemu ważniakowi, jak nieudolne jest jego wojsko. Kręciły się tu dziesiątki żołnierzy, a żaden z nich nie zauważył dwójki rannych wrogów.

Tylko jedno powstrzymywało Picarda: Michelle Lecroix. Nigdy nie uda mu się przekonać von Otta, żeby ją oszczędził. Picarda dręczyła myśl, że Michelle naraża się na takie ryzyko. Jednakże, z drugiej strony, poznał teraz sekret, za dochowanie którego Michelle odda wszystko.

Ta myśl tak podziałała Picardowi na wyobraźnię, że niewiele brakowało, a nie dostrzegłby jednego z Amerykanów, który wyszedł ze stodoły ubrany w koszulę i kombinezon rolnika.

Rozejrzał się ostrożnie, a potem ruszył w las.

Zanim Picard zdążył się zastanowić, co powinien teraz zrobić, Michelle i Radisson opuścili stodołę. Picard patrzył, jak naprawiają koło powozu i odjeżdżają.

Jak mogą zostawiać go samego? Na pewno nie jest w stanie się poruszać. Może nawet nie żyje.

Ciekawość wzięła górę. Podkraść się do stodoły, rozglądając się nerwowo. Drzwi głośno zaskrzypiały, kiedy je otwierał.

Co będzie, jeśli Amerykanin jest uzbrojony?

Zaczerpnął głębokiego oddechu i wpadł do stodoły. Nic nie zdradzało, że ktoś się tu ukrywa.

Piekarz rozejrzał się uważnie i dostrzegł klapę w podłodze, przykrytą słomą i ziemią. Chwycił za metalowe ucho i podniósł ją. Otarł pot z czoła i spojrzał w dół. W świetle wpadającego przez otwór słońca ujrzał mężczyznę z głową obwiązaną bandażem, który oddychał płytko i nieregularnie, ale żył.

Picard długo nie odrywał oczu od Amerykanina. Kiedy w końcu to zrobił, wiedział już, jak powinien postąpić.

Michelle Lecroix była wyczerpana. Kiedy tylko wrócili z doktorem Radissonem do Saint Eustace, od razu zajęli się pracą. Niemcy płacili za kontrofensywę wysoką cenę. Było wielu rannych. Dopiero koło północy Michelle pomogła ojcu wdrapać się na wóz i zabrała go do domu. Kiedy zbliżali się do gospodarstwa, Michelle czuła, jak jej serce mocno bije. Nie mogła zapomnieć twarzy Amerykanina i z niecierpliwością oczekiwała chwili, w której znów pochylił się nad Franklinem Jeffersonem.

Michelle pomogła ojcu wejść do domu, upewniła się, że leży wygodnie w łóżku, wzięła latarkę i wyszła. Piwniczka była zamknięta, tak jak ją zostawiła. Z ulgą podniosła klapę.

Przez chwilę dziewczyna myślała, że Franklin nie żyje. Leżał tak spokojnie, że nie zauważała żadnego ruchu. Dopiero kiedy go dotknęła, poczuła ciepło. Żył. Na jego twarz wróciły rumieńce. Była przekonana, że wyzdrowieje.

Ostrożnie obejrzała opatrunek i z zadowoleniem stwierdziła, że nie widać krwi. Przycisnęła wilgotną szmatkę do ust rannego i patrzyła, jak ją ssał, nie budząc się.

Co takiego w nim jest? — zastanawiała się Michelle. Skąd w niej ta czułość dla obcego człowieka, z którym zamieniła zaledwie kilka słów?

Była tak pogrążona w myślach, że nie usłyszała, jak otwierają się drzwi stodoły. Potem rozległ się odgłos kroków.

Niemcy! Na pewno zobaczyli światło!

Przeżrana Michelle skoczyła na równe nogi, zapominając, że nie ma dokąd uciekać. Nie miała nawet czym się bronić.

W górze pojawił się jakiś cień. Michelle gwałtownie przycisnęła pięści do ust. Strach zamienił się jednak w ulgę, kiedy rozpoznała znajomą twarz Serge'a Picarda.

Upłynęło sześć godzin, zanim Monk McQueen przebył sześć mil. Na początku szedł leśnymi ścieżkami, uważnie nasłuchując wszelkich podejrzanych hałasów. Kiedy las się przerzedził, podążał strumieniem, trzymając się blisko brzegu, aby w każdej chwili móc się ukryć w zaroślach lub pod drzewami. Koło południa dotarł do małego parowu i rzucił się z apetytem na chleb i ser, który zapakowała mu na drogę Michelle.

Ciało McQueena domagało się odpoczynku, mimo to jednak brnął dalej. Ominął peryferie Saint Eustace i szybko posuwał się na zachód. Wieczorem znajdował się o rzut kamieniem od niemieckich linii. Był przygnębiony widząc, jak daleko dotarł wróg. Zastanawiał się, w jaki sposób przedostanie się na pas ziemi niczyjej, oddzielającej Niemców od Amerykanów.

Posuwał się do przodu, korzystając z ciemności, kiedy chmury przesłaniały księżyc. Czołgał się przez błotniste pola i chował się przed patrolami wśród pasących

się świń. Podchodził tak blisko niemieckich linii, że od czasu do czasu dostrzegał karabiny maszynowe i czuł zapach palonego tytoniu. W końcu koło opuszczonego młyna poddał się zmęczeniu. Ostatkiem sił wpełznął w szczelinę pod nieruchomym młyńskim kołem i zwinął się w kłębek.

— Mój Boże, Serge, przestraszyłeś mnie na śmierć! — Michelle czuła taką ulgę, że drżały jej kolana. Ledwie była w stanie wyjść po drabinie z piwniczki. — Co tu robisz tak późno? Picard obliznął się nerwowo. Z włosami w nieładzie Michelle wyglądała piękniej niż kiedykolwiek przedtem.

— Kto to jest? — zapytał. Michelle wyjaśniła.

— Serge, tak się cieszę, że cię widzę — powiedziała. — Czy mógłbyś zdobyć trochę jedzenia? W domu nic nie zostało.

— Dla ciebie wszystko, Michelle — odparł z zapalem Picard. Michelle uśmiechnęła się i wskazała Franklina Jeffersona.

— Dla niego, a nie dla mnie. Piekarz spojrział na rannego żołnierza.

— Michelle — rzekł z wahaniem. — To, co robisz, jest bardzo niebezpieczne.

— Nie mam wyboru. Nie mogę przecież wydać go Niemcom.

— Właśnie to powinnaś zrobić — stwierdził stanowczo Picard. — Nic jeszcze nie jest stracone. Musisz tylko powiedzieć, że znalazłaś go koło stodoły i opatrzyłaś ranę przed oddaniem w ręce władz.

— Serge, nie mówisz poważnie! — wykrzyknęła Michelle. — Kiedy tylko niemiecki lekarz zdejmie bandażę i zobaczy szwy, będzie wiedział o operacji. Radisson jest tu jedynym francuskim lekarzem, natychmiast więc go aresztują. Aresztują również mnie i mojego ojca.

— Nie, Michelle, nie musi tak być — powiedział Picard, łapiąc ją za rękę. — Nie dojdzie do tego, jeśli spełnisz swój obowiązek, wyjaśnisz von Ottowi...

— Mój obowiązek?! — krzyknęła Michelle z niedowierzaniem. — Moim obowiązkiem jest dopomóc w wyrzuceniu stąd *boche*, który napadł mój kraj.

— Michelle, proszę, posłuchaj — błagał Picard. — Prędzej czy później von Ott dowie się, że ukrywasz Amerykanina.

— Skąd, Serge? Skąd ma się dowiedzieć? Oprócz mnie wie o tym trzech ludzi. Dwóm z nich mogę zaufać. Proszę, powiedz, że mogę ufać również tobie.

Picard zawahał się. Może gdyby milczał, stałby się w jej oczach bohaterem.

Tak, ale tylko do chwili, w której znalazłaby sobie kogoś innego — pomyślał. — Jak sądzisz, czy ona długo z tobą zostanie po powrocie innych mężczyzn do domu? Czy chcesz wystawić na szwank wszystko, co do tej pory zdobyłeś?

— Nie, Michelle — powiedział piekarz. — Nie mogę pozwolić, żebyś narażała się na takie niebezpieczeństwo. Jeśli nie pójdziesz do von Otta, ja to zrobię.

Michelle nie wierzyła własnym uszom. Chwyliła Picarda za ramię, patrząc mu prosto w oczy.

— Serge, ty nie... nie pracujesz dla Niemców. To niemożliwe!

Wszyscy w Saint Eustace wierzyli, że Picard zaopatrywał wroga pod przymusem. Była przecież wojna i ludzie to rozumieli. Może jednak sprawy przedstawiały się inaczej?

Michelle musiała wysłuchać miłosnych wyznań Picarda. Piekarz powiedział, że ją ubóstwia i zrobi dla niej wszystko. Dziewczyna była oszołomiona i zbierało się jej na wymioty.

— Dosyć! — krzyknęła. — Wynoś się! Natychmiast! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć!

— Michelle, kocham cię! — wyszeptał Picard. — Jesteś moja...

— Twoja! Jak możesz tak mówić? Myślałam, że cię znam, Serge. Jak mogłeś zdradzić ludzi, z którymi dorastałeś?

Na chwilę zapadła cisza.

— Kocham cię, Michelle—powtórzył w końcu jeszcze raz.—Czy to coś złego? Michelle pokręciła głową.

— Ale ja cię nie kocham.

— Pokochasz, Michelle...

— Po tym, co zrobiłeś?

— To ze względu na ciebie. Na nas...

— Nie, Serge, zrobiłeś to dla siebie. Tylko dla siebie — Michelle przerwała. — Lepiej już idź. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Serge Picard zawsze był gotów spełniać wszystkie życzenia dziewczyny, więc i teraz zamierzał jej posłuchać. Już miał się odwrócić, gdy nagle się zatrzymał.

— Nie, Michelle—powiedział łagodnie.—Mamy sobie wiele do powiedzenia. Spędzimy razem całe życie...

Kiedy spojrział na Michelle, zaczęła drżeć. Oczy Picarda zaszły mgłą.

— Serge...

— Nie chodzi o Amerykanina, prawda, Michelle? — wyszeptał ochryple.—Nie zakochałaś się w nim...?

— Oczywiście, że nie!

— Nie przejdziesz się więc, jeśli go wydam? — zapytał Picard i podszedł do niej powoli.

— Nie możesz tego zrobić! — krzyknęła Michelle. — Nie pozwolę ci.

— Dlaczego, droga Michelle? Czemu nie miałbym o wszystkim powiedzieć mojemu dobremu przyjacielowi, majorowi von Otcie?

Oczy Michelle płonęły, a ręce zaciskały się w pięści.

— W ten sposób go zabijesz!

— On mnie nic nie obchodzi — oświadczył Picard. — Kocham tylko ciebie. Zbliżył się tak bardzo, że czuła jego pot. Dziewczyna zadrżała, kiedy piekarz położył rękę na jej piersi. Teraz już wiedziała, czego chce.

— Nie mogę cię kochać, Serge, jeśli chcesz zrobić mi krzywdę — rzekła — Nigdy nie pokocham mordercy. *Dobry Boże, co ja robię!*

- Nie skrzywdze go kochanie — szeptał Picard, przytulając ją do siebie Michelle z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Walcz z nim! — krzyczało coś w niej. — Kop, drap, wrzeszcz! Zrób coś! *Jeśli będę się opierać, Franklin umrze.*

Picard pociagna Michelle na podłogę. Podniósł spódnicę dziewczyny i ścisnął jej biodra.

— Michelle! Michelle...

Michelle odwróciła głowę. Włosy opadały jej na twarz mokrą od łez. Zacisnęła powieki, starając się myśleć o Franklinie. Nagle doznała strasznego uczucia, tak jak gdyby coś rozrywało jej wnętrzności. Krzyknęła i zaczęła walić pięściami w plecy Picarda. Nie wiedziała, jak długo to trwało, zanim straciła przytomność.

Leżąc w ciemności kilka metrów dalej, Franklin Jefferson czuł, że krzyki kobiety ramą go do żywego. Słyszał każde słowo i próbował ją zawołać. Nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu. Franklin przeklinał swoje słabe ciało. Leżąc bez ruchu, szeptał do siebie:

— Zabiję go, mój aniele. Przysięgam ci, że go zabiję!

Swist nadlatujących pocisków artyleryjskich przerwał Monkowi sen. Instynktownie wcisnął się głębiej do szczeliny i zatkał uszy. Mimo to hałas był ogłuszający.

Wydawało się, że ogień zaporowy nigdy nie ucichnie. Młyn się rozpadał. Kamienie, cegły i drewno fruwały w powietrzu. Potem nagle zapadła cisza, przerywana tylko jękami rannych. Monk ostrożnie wysunął się ze swojej kryjówki.

Jakimś cudem koło młyńskie wciąż było nietknięte. Monk wspiął się po nim na niewielki most przecinający rzekę. Na moście i ścieżce prowadzącej do młyna pełno było ciał niemieckich żołnierzy, którzy nie zdążyli uciec przed ogniem. Wstrzymując oddech, Monk przeciskał się wśród trupów i konających.

Powoli. Krok po kroku.

— Nie ruszaj się!

Monk zatrzymał się. Niedaleko stał młody żołnierz, mierząc do niego z karabinu. Z brudnej twarzy chłopaka błyszczały tylko oczy z nienaturalnie, wydawałoby się, białymi gałkami. Monk usiadł na środku drogi.

— Nie celuj do mnie, synu — powiedział Monk. — Jestem po twojej stronie. Zdjął z szyi plakietkę identyfikacyjną i rzucił ją zaskoczonemu żołnierzowi.

Szybkość i siła amerykańskiego ataku zupełnie zaskoczyły Niemców. Uciekali i poddawali się całymi tysiącami. Ofensywa musiała się zatrzymać, gdyż zwycięzcy nie mogli sobie poradzić z taką liczbą jeńców wojennych.

Panujący wszędzie chaos drażnił Mońka. Upłynął cały dzień, zanim zbadano go, wydano mu ekwipunek i dołączono do dawnego oddziału. Nikt nie słuchał, kiedy Monk mówił, że chciałby coś zrobić.

— Nie ruszymy się stąd ani na cal—powiedział kapitan. — Chryste, nie wiemy, co robić z tymi draniami, których udało nam się pojmać!

Monkowi pozostała jeszcze ostatnia karta. Dowiedział się, że generał „Black Jack” Pershing zajął kwaterę w pobliżu linii frontu. Szef sztabu generała był dawnym kolegą z klasy Mońka i pamiętał, jak niedawno Pershing odznaczył Franklina Jeffersona za odwagę.

— Lepiej, żeby to było coś ważnego, synu — powiedział Pershing, unosząc głowę znad stołu z rozłożonymi mapami.

Monk szybko wyjaśnił, co się stało z jego jednostką, i opisał ranę Franklina.

— On potrzebuje pomocy, generale — zakończył Monk. — Niech pan mi pozwoli zająć się tym. Determinacja i lojalność Mońka zrobiły na Pershingu wrażenie.

— Mówisz, że chodzi o młodego Jeffersona?

— Tak, sir.

— Tego, którego niedawno odznaczyłem?

— Właśnie tego, sir.

— Cóż, synu, nie stój tak. Weź kogo ci potrzeba i sprowadź go do nas.

— Tak, sir!

Siedząc w kuchni przy lampie, Michelle Lecrok zastanawiała się nad swoim losem. Picard wracał każdej nocy. Zawsze przychodził do stodoły i od razu się na nią rzucał. Michelle nie mogła zapomnieć jego ochrypłych okrzyków i miłosnych wyznań. Dokładnie się później myła, ale i tak czuła się zbrukana.

Złośliwość Picarda sięgała jeszcze dalej. Wpadał do szpitala kilka razy dziennie i otwarcie całował i obejmował dziewczynę. Wkrótce koledzy zaczęli się do niej znacząco uśmiechać i mrugać porozumiewawczo. Wszyscy w Saint Eustace dowiedzieli się, że Michelle zakochała się w młodym piekarzu.

Michelle postanowiła to przetrzymać. Niemcy nie zostaną tu na zawsze, a kiedy tylko przyjdą Amerykanie, powie im, że Picard jest zdrajcą. Za każdym razem, kiedy jej dotykał, coraz bardziej go nienawidziła.

Na szczęście Picard dotrzymał słowa. Wyglądało na to, że zapomniał

o amerykańskim żołnierzu. Co więcej, udostępnił Michelle swoje zapasy.

Dziewczyna była zszokowana, widząc, jaki łup udało mu się zgromadzić w czasie, kiedy inni umierali z głodu. Jednakże dzięki żywności i lekarstwom od Picarda Franklin Jefferson odzyskiwał siły. Wciąż jeszcze czasami bolała go głowa

i miewał omdlenia, Michelle wierzyła jednak, że najgorsze już minęło. Starła się nim opiekować, a kiedy musiała wyjść, zostawiała jedzenie. Ani przez chwilę nie podejrzewała, że Franklin wiedział o straszliwej cenie, jaką płaciła. Myliła się.

Pewnego wieczoru, kiedy Michelle przebywała w piwniczce z Franklinem, przyszedł Picard i zawołał ją. Franklin chwycił dziewczynę za rękę.

— **Nie.**

Michelle zarumieniła się. Spróbowała zrobić dzielną minę.

— To po prostu przyjaciel.

Franklin nie puszczał jej ręki.

— Nie — powtórzył.

On wie — pomyślała i poczuła, jak zamiera w niej serce.

Następnego dnia Michelle przygotowała wcześniej niż zwykle posiłek dla Franklina, na długo przed oczekiwanym przybyciem Picarda. Kiedy jednak doszła do stodoły, drzwi były otwarte.

On nie mógł przyjść tak wcześnie!

Wślizgnęła się do środka i właśnie miała zawołać Picarda, kiedy poczuła, jak czyjaś dłoń zaciska się na jej ustach. Zapaliła się zapałka i ujrzała twarz Mońka McQueena.

— Wszystko u ciebie w porządku? Michelle szybko pokiwała głową.

— A Franklin?

— Jest bezpieczny.

— Można go przenieść?

— Tak... tak myślę.

Ucieszyła się na widok Mońka i towarzyszących mu trzech żołnierzy. Amerykanie wrócili! Była więc uratowana. Jej nadzieje szybko jednak zgasły, kiedy Monk wyjaśnił, że przyszli tylko po Franklina Jeffersona. Główne siły amerykańskie przebywały wciąż w odległości kilku mil od Saint Eustace. Monk dostrzegł przygnębienie dziewczyny i starał się ją pocieszyć.

— Wrócimy tu. To tylko kwestia czasu. Wkrótce odeprzemy Niemców. *Czas! Dla mnie każda godzina jest męką!*

Spojrzała na Mońka, ale on już schodził po drabinie do piwniczki.

— Przestań mnie szturchać — wymamrotał Franklin. — Dobry Boże, to ty! Myślałem, że mam koszmarny sen.

— Zamknij się i powiedz lepiej, czy jesteś w stanie iść — zaśmiał się rubasznie Monk. — Stary Black Jack chce z tobą pogadać. Zdaje się, że chodzi o następny medal.

Franklin Jefferson oparł się na łokciu i pomacał bandaż wokół głowy.

— Poradzę sobie — powiedział. — Ale nigdzie nie pójdę. Jeszcze nie teraz.

— Niech mnie diabli! Jeżeli sądzisz, że przeszedłem całą drogę...

— Posłuchaj — wyszeptał Franklin. — Nie wiesz, co tu się dzieje...

Monk długo siedział w piwniczce, słuchając Franklina i próbując zapanować nad dławieniem w gardle. Nie wierzył własnym uszom, kiedy jednak spojrzał na Michelle, wyczytał z jej oczu gorzką prawdę.

— Michelle?

Echo głosu Serge'a Picarda rozległo się w całej stodole. Piekarz przyjechał z zapasami: świeżym chlebem, szynką, na którą wydał majątek, serami i winem

z niemieckiej kantyny oficerskiej. Najbardziej ciążyło mu jednak małe pudełeczko w kieszeni. Tym pierścionkiem zwiąże ze sobą Michelle, zanim skończy się wojna i dziewczyna zdąży uciec. Picard dokładnie przeszukał stodołę. Stanął jak wryty na widok pustej piwniczki. Gdzie zniknął Amerykanin i kto mu w tym pomógł? Michelle sama by sobie nie poradziła.

Picard przestraszył się. Wypadł ze stodoły i pobiegł ku domowi. Drzwi były zamknięte, zajrzał więc przez okno. W łóżku nie było nikogo. Zaniepokojony wsiadł na rower i ruszył do wioski. Nie chciało mu się wierzyć, że Michelle będzie próbowała go opuścić.

Kiedy Picard wchodził po schodach do swojego mieszkania, przyrzekł sobie, że Michelle drogo za to zapłaci. Najpierw się z nią ożeni, a potem nauczy ją posłuszeństwa.

Stukanie do drzwi wyrwało Picarda ze snu. Jęknął i wstał z łóżka.

— Dobrze, już idę.

Jego słowa przerwał trzask wyważanych drzwi. Uzbrojeni niemieccy żołnierze wdarli się do środka. Dwóch z nich chwyciło Picarda i rzuciło go o ścianę. Pozostali plądrowali mieszkanie, otwierając szafki i szuflady.

— Co wy robicie?! — krzyknął Picard.

— Chcemy się przekonać, jakie to specjalne składniki dodajesz do chleba — powiedział von Ott, wchodząc do pokoju.

— Nie rozumiem — wymamrotał Picard, starając się podciągnąć spodnie od pizamy. — O co wam chodzi? Czego szukacie?

Von Ott podszedł do niego, uśmiechając się chłodno.

— Wkrótce wszyscy się tego dowiemy, czyż nie tak?

— *Herr Majori* — wykrzyknął jeden z żołnierzy.

Prusak poszedł szybko do kuchni i zajrzał pod zlew. Wyjął zawiniątko, zaniósł je do sypialni i rzucał ubrania jedno po drugim do stóp Picarda.

— Zakrwawiona kurtka żołnierza amerykańskiego—wyliczał.—Zakrwawiona koszula. Skarpetki i buty. Byłeś bardzo hojny, dzieląc się z wrogiem własną bielizną.

Głowa Picarda gwałtownie odskoczyła, kiedy von Ott uderzył go po twarzy, a potem chwycił za włosy.

— Ty podstępny draniu! — zasyczał von Ott. — Jak śmiesz mnie zdradzać?

— Nic o tym nie wiem—powiedział Picard. Krew w ustach i połamane zęby nie pozwalały mu wyraźnie mówić. — Przysięgam, że nic...

— Chcesz powiedzieć, że Amerykanin przyszedł tu sam, skorzystał z twojej gościny, kiedy ty zabawiałeś się ze swoją dziwką, a potem się wymknął i nawet nie podziękował — powiedział szyderczo von Ott.

— Nigdy nie miałem nic wspólnego z Amerykanami! —krzyknął słabo Picard. Hylem lojalny...

— W takim razie, co tu robią te ubrania? — spytał von Ott. — I to? Podsunął piekarzowi pod nos amerykański dokument wojskowy.

— Jesteś trochę za sprytny, mój przyjacielu. To my rządzymy Saint Eustace, a nie Amerykanie. Zabrać go! — rozkazał von Ott swoim ludziom.

Sprowadzono na dół wrzeszczącego Picarda, który ścisnął w rękę spodnie od piżamy. Kiedy zobaczył mieszkańców Saint Eustace zgromadzonych na ulicy, zapomniał natychmiast o swoim położeniu. Myślał tylko o tym, jak śmiesznie musi wyglądać, kiedy stoi przed nimi półnagi, drżąc z zakłopotania i wstydu.

— Michelle!

Z ust leciała mu krew i ślina. W ostatnim desperackim geście Picard wyrwał się strażnikom, podbiegł ku Michelle stojącej na środku ulicy i upadł u jej stóp.

— Michelle, gdzie byłaś...?

Picard spojrział na nią i w jej zimnych, błękitnych oczach wyczytał odpowiedź.

— Dlaczego, Michelle? Kochałem cię...

Kiedy Niemcy podnieśli Picarda, Michelle cofnęła się i plunęła mu w twarz.

— Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle za to, co mi zrobiłaś! — Wszyscy mieszkańcy Saint Eustace wzdrygnęli się. W tym samym czasie ujrzeli, jak z domu wychodzi von Ott, niosąc amerykańskie ubrania.

— Zabrać go na plac! — rozkazał von Ott. Odwrócił się do Michelle, strzelił obcasami i skłonił się.

— Jest tak, jak pani podejrzewała, mademoiselle Lecroix — powiedział, unosząc zawiniątko. — Pani kochanek współpracował z Amerykanami. Wypełniła pani swój obowiązek.

Michelle nie słyszała jego słów ani krzyków Picarda. W jej duszy zagościła pustka.

— *Putain!*

Krzyknęła, kiedy pierwszy kamień uderzył ją w plecy. Po drugim uderzeniu krew pociekła z nogi dziewczyny.

— *Collaboratrice!*

Michelle cofnęła się, widząc, jak mieszkańcy Saint Eustace jeden po drugim sięgają po kamienie.

— Jak śmiałaś wydać takiego przyzwoitego człowieka?! — krzyknęła jedna z kobiet. — Wstyd!

— Niemiecka dziwka! — wrzasnął ktoś inny. — Przyjdzie kolej i na ciebie! Dziewczyna zaczęła biec wśród gradu kamieni. Krzyczała, ale miała przy tym

wrażenie, że śni, że wszystko to spotyka kogoś innego. Realny był tylko głos Mońka McQueena.

Pamiętała, jak na nią spojrział, kiedy wyszedł z piwnicy.

— Picard musi za to zapłacić — powiedział spokojnie, lecz zdecydowanie. Michelle protestowała, prosiła, żeby zapomniał o krzywdzie, którą wyrządził jej piekarz. Sama zdawała sobie jednak sprawę, że nie mówi szczerze. Kiedy tylko Picard jej dotykał, drżała ze wstrętu. Posłuchała więc McQueena...

— Wezmę te ubrania i podłożę je w pokoju Picarda. Jutro idź do von Otta

i powiedz mu, że Picard ukrywa rannego żołnierza. Potem po prostu odejdz, Michelle. Zostaw to wszystko. Niemcy załatwią resztę.

Michelle uciekała przed rozwścieżonym tłumem. Nie zatrzymała się, mijając niemieckich żołnierzy, którzy wlekli Picarda na plac.

Stało się tak, jak przewidywał Monk—pomyślała i zaczęła biec jeszcze szybciej, chociaż znalazła się już w bezpiecznym miejscu poza wioską. Potem rozległ się pojedynczy strzał. Usłyszawszy go, Michelle upadła z łkaniem na piaszczystą drogę.

Na farmie czekał na Michelle ojciec i Monk McQueen. Kiedy opowiedziała, co się wydarzyło w Saint Eustace, Monk rzekł:

— Nie masz wyboru. Musisz iść ze mną. Jeśli wszyscy uważają cię za kolaborantkę, twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Opowiedziałem o tobie generałowi Pershingowi. Będziesz z nami bezpieczna.

— Nie mogę zostawić ojca — protestowała Michelle.

— Możesz i musisz — powiedział Emil Lecroix. — Znam tych ludzi. Bez względu na to, co sądzą o tobie, mnie nie skrzywdzą.

Michelle zrozumiała, że ojciec ma słuszość. Prawda o Serge'u Picardzie wyjdzie w końcu na jaw. Aż do tego momentu nie będzie bezpieczna w Saint Eustace.

— Wrócimy do naszych wojsk—rzekł Monk, tak jakby odgadł myśli Michelle. —Franklin i pozostali na pewno już tam dotarli. — Jego głos złagodniał. — Wkrótce go zobaczysz.

Co ja mu powiem? Na pewno nie będzie chciał mieć do czynienia z kobietą, która zrobiła z siebie dziwkę.

— Szykuj się — powiedział cicho Monk. — Pójdziemy długą, okrężną drogą. Kiedy minęli amerykańskie posterunki i zbliżali się do miasta Saint Denis-des-Anges, w którym mieściła się kwatera główna Amerykanów, Michelle coraz bardziej się denerwowała. Nie mogła zapomnieć o Franklinie. Pamiętała, jak mocno ścisnął ją za rękę, kiedy prosił, żeby nie szła do Picarda. Coś zaszło pomiędzy nimi w tamtej chwili. Nie mogła się tego wyprzeć. *Czy jeszcze mnie będzie chciał?*

Bardzo pragnęła w to uwierzyć. Kiedy jednak ujrzała wielką flagę Czerwonego Krzyża, powiewającą na budynku, zwolniła kroku.

— Wejść i sprawdzić, czy on tam jest — powiedział Monk. — Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

To jej jednak nie uspokoiło. Kilka minut później dowiedziała się, że Franklin Jefferson został przeniesiony tego ranka do szpitala w Paryżu.

Michelle było przykro, że minęła się z Franklinem, czuła jednak również ulgę. Miała teraz trochę czasu, żeby wziąć się w garść i poradzić sobie z przeszłością. Na szczęście był przy niej Monk. Porozmawiał z administratorem szpitala, który

umiał się poznać na zaletach Michelle. Wkrótce pracowała na dwie zmiany, opiekując się poparzonymi żołnierzami i ofiarami gazu. Dzięki codziennym kontaktom z lekarzami i pielęgniarkami mówiła coraz lepiej po angielsku, a jej umiejętności zawodowe rosły, kiedy zetknęła się z najnowszymi technikami, które stosowali Amerykanie. Lato skończyło się szybko. 15 września 1918 roku wojska generała Pershinga rozpoczęły nową ofensywę w Saint-Mihiel, biorąc piętnaście tysięcy jeńców w niecałe dwa tygodnie. W połowie października bitwy w Argonnach i pod Ypres przeszły do historii, a Niemcy znalazły się na krawędzi zagłady. 28 października w kwatrze głównej floty niemieckiej w Kilonii doszło do buntu, a wkrótce potem wybuchła rewolta w Monachium. Następnego dnia, 8 listopada, cesarz Wilhelm II abdykował i można było negocjować warunki kapitulacji. 11 listopada na całym zachodnim froncie zapanowała wreszcie cisza.

— Wróciłeś i jesteś bezpieczny!

Michelle objęła za szyję Mońka McQueena, który wyglądał bardzo przystojnie w nowym mundurze i błyszczących butach.

— A ja się martwiłam, że jesteś na froncie! — zbesztła go Michelle. — Wyglądasz jak manekin. Monk roześmiał się i objął ją w talii.

— Jeszcze dwa tygodnie temu czołgaliśmy się w kierunku Berlina. Potem Black Jackowi znudziło się bicie Niemców i postanowił wrócić do Paryża. Ponieważ jestem w jego sztabie...

— W jego sztabie! — krzyknęła Michelle. — Jestem pod wrażeniem.

— Nie pod takim jak ja—odrzekł poważnie Monk. — Słyszałem, że otrzymałaś w Saint Eustace pełne zadośćuczynienie.

Michelle zarumieniła się.

— To nieważne.

McQueen wiedział swoje. Jeszcze przed zdobyciem Saint Eustace generał Pershing dowiedział się o odwadze Michelle Lecroix. Był oburzony, kiedy usłyszał, że wieśniacy uważają dziewczynę za kolaborantkę i chętnie by ją powiesili. Pershing rozkazał sprowadzić Michelle do Saint Eustace i tam, w obecności wszystkich mieszkańców, powiedział prawdę i uznał ją za bohaterkę. Na zakończenie ceremonii generał wręczył Michelle Medal Prezydencki, najwyższe cywilne odznaczenie za odwagę.

— Jeśli chcesz, możesz wrócić do Saint Eustace — powiedział Monk.

— Nie mam do czego wracać — odrzekła Michelle ze łzami w oczach. — Kilka dni po uroczystości ojciec dostał ataku serca i umarł.

— Przykro mi, Michelle—powiedział cicho Monk. — Nic o tym nie wiedziałem. Uśmieclinęła się do niego.

Jest jeszcze coś, drogi przyjacielu. Nie wyobrażasz sobie nawet, jaka czułam się

obnażona przed tymi wszystkimi ludźmi. Po raz pierwszy dowiedzieli się, że Serge Picard był zdrajcą. W ich oczach nie stałam się jednak bohaterką, lecz dziwką zdrajcy. Nie słyszałam tych wszystkich złośliwych szeptów. Ludzie zastanawiali się, co zdażyłam wyciągnąć od Picarda, zanim go wydałam. Właśnie dlatego nigdy tam nie wrócę, nigdy...

— Nie miałaś pewnie żadnych wiadomości od Franklina — Monk wyczuł jej zakłopotanie i szybko zmienił temat.

— Nie — odpowiedziała lekko Michelle.

— Nie próbowałaś się z nim skontaktować?

— Monk, po co miałam próbować? Ledwo się znamy.

— Nie jesteś ciekawa, jak się czuje?

— Na pewno dobrze.

Ileż to razy śniłam o nim po nocach, a potem się budziłam i zastanawiałam...

— Poza tym jest już prawdopodobnie w Nowym Jorku i czeka tam na ciebie.

— Nic podobnego — odrzekł Monk.

Kiedy opowiedział jej całą resztę, Michelle o mało nie zemdląła.

Michelle szła szybko wśród tysięcy namiotów, które wyrosły wokół Saint-Mihiel. Większość z nich zajmowali żołnierze, w innych mieściły się szpitale polowe, magazyny i punkty administracyjne. Ruch był ogromny. Spod stóp, kopyt i pojazdów unosił się kurz. Michelle ignorowała okrzyki i gwizdy, zmierzając szybko ku kwaterze.

Franklin Jefferson wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała: zaczesane do tyłu jasne włosy, piwne oczy, lekki uśmiech na ustach. Przybrał na wadze i po raz pierwszy Michelle zdała sobie sprawę, że w odpowiednim ubraniu wyglądałby jak atleta. Niemal zapomniała o bandażu na jego głowie.

— Franklin?

— Cześć, Michelle — odwrócił się od okna i podszedł do niej. — Nigdy bym cię nie zostawił, Michelle. Nigdy cię nie porzucę, chyba że sama mnie odtrącisz.

Jego słowa oszołomiły ją. Zadrżała, kiedy końcami palców musnął jej włosy, policzek, usta.

— Jak mogłaś uwierzyć, że po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, chociaż na chwilę przestanę myśleć i marzyć o tobie? — wyszeptał Franklin.

Przytulił ją mocno, aż poczuła na szyi jego oddech.

— Ja... nie wiedziałam, co się z tobą stało.

— Napisałbym do ciebie, ale lekarz powiedział, że powinienem poczekać. Musiałem się najpierw dowiedzieć, czy będę zdrow i cały.

Cofnęła się i dotknęła jego skroni, wyczuwając bliznę pod bandażem.

— Wyzdrowiałem, Michelle. Przysięgam. Nigdy nie przestałem cię kochać. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Michelle patrzyła na Amerykanina. Namiętność wzbierała w niej niczym rwące

wody rzeki. Franklin porwał dziewczynę w ramiona i zaniósł na łóżko. Michelle poczuła, jak jego ręce szarpią jej ubranie. Odsunęła się z cichym okrzykiem.

— Franklin, kochanie, proszę... Chcę, ale...

Michelle nie mogła zapomnieć o Serge'u Picardzie. Miała wrażenie, że piekarz jest teraz w pokoju i patrzy na nią pożądliwie.

— Wszystko w porządku — wyszeptał Franklin. — Kocham cię, Michelle. Pozwól, że cię przytulę, tylko przytulę.

Znów zadrżała, kiedy gładził jej włosy. Słuchała, jak opowiada o wszystkich cudownych rzeczach, które przyniesie im przyszłość. Powoli Michelle odpężyła się i ukryła zalaną łzami twarz na jego szyi.

— Przeżyliśmy, Michelle — wyszeptał Franklin. — Zgubiliśmy się, a potem odnaleźli.

Przyrzekam, że nic już nigdy nie stanie między nami.

Franklin czuł na swojej skórze trzepoczące rzęsy Michelle. Jej usta szukały jego warg. Uwierzyła mu. O Boże, uwierzyła mu!

Czesc trzecia

I

Srebrzysty rolls-royce zjechał z Overland Avenue i sunął przez labirynt brukowanych ulic ku brooklińskiemu portowi wojskowemu. Zaraz za torami drogę zatarasowała nieprzebyta ściana powozów konnych, samochodów, rowerów, ciężarówek i tłum ludzi. Szofer naciskał klakson. W panującym hałasie ledwo było słycać jego dźwięk, ludzie schodzili jednak na bok, gapiąc się na srebrzystą karoserię. Samochód jechał po wąskich uliczkach, wzdłuż domów towarowych i pensjonatów dla marynarzy. Brama do zarządu portu otworzyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Auto stanęło przy drzwiach frontowych.

— Panno Jefferson — powiedział komendant portu, uchyliwszy kapelusza. Podał rękę i pomógł Rose wysiąść z samochodu.

— Dziękuję.

Kobieta miała na sobie rudawe futro z soboli i krótkie irchowe buty. Grudniowy mróz zaróżowił jej policzki.

— Wszyscy ci ludzie czekają na swoich krewnych? — spytała Rose, patrząc na tłumy zgromadzone w poczekalni przed urzędem celnym.

— Tak, proszę pani. Od paru tygodni mamy tu prawdziwy dom wariatów. Proszę nie zwracać na nich uwagi. Moje biuro jest do pani dyspozycji. Powiedziałem już celnikom, żeby przyprowadzili na górę pana Jeffersona, kiedy tylko się pojawi.

— To bardzo miłe z pana strony.

Naczelnik portu zaprowadził Rose do windy, która zawiozła ich na trzecie piętro. Kiedy zbliżali się do biura, dotknęła jego ramienia.

— Czy mogłabym rzucić okiem na dół? Wiem, że i tak nie zobaczę brata, ale gdyby mimo wszystko pan mi pozwolił...

Naczelnik portu zmarszczył brwi.

— Jeśli hałas nie będzie pani przeszkadzał, panno Jefferson...

Nie był pewien, czy powinien jej mówić o panującym tam okropnym zaduchu. Lepiej niech sama się przekona.

Naczelnik portu zaprowadził znakomitego gościa na drugi koniec sali i otworzył drzwi. Hałas był taki, jakby tysiące młotów uderzało w ogromne kowadło. Ludzie stłoczeni w poczekalni wykrzykiwali coś w różnych językach, rozglądając się za wracającymi z wojny bliskimi.

— Niektórzy z nich nawet tam spali—powiedział naczelnik portu, marszcząc nos Smród me mytych ciał zmieszany z zapachem zepsutego jedzenia nie przeszkadzał Rose. Podobnie jak ci ludzie, miała ochotę krzyczeć; tak jak i oni rozglądała się nerwowona wszystkie strony. Okrzyki matek i ojców, sióstr i kochanek rozbrzmiewały jej w uszach.¹

Za wysokim drewnianym ogrodzeniem, przy którym stali policjanci, dokonywała się odprawa celna. Przed każdym stanowiskiem ustawiała się długa kolejka młodych mężczyzn w mundurach. Rose wypatrywała Franklina, ale nie mogła go dostrzec. Potem spojrzała przez ogromne okno i ujrziała przycumowane statki transportowe. Jednym z nich, z którego właśnie wysiadali żołnierze, był „Eagle Star”. Rose bezwiednie sięgnęła do torebki i namacała paczuszkę przewiazaną wstążką. W ostatnim liście Franklin napisał, że przyplynie do domu wraz z Monkiem McQueenem właśnie na „Eagle Star”.

A jeśli się nie zjawi? Jeśli coś mu się stało po wysłaniu tego listu?

Ta obawa towarzyszyła Rose przez ostatnie tygodnie. Wciąż myślała, że ostatnia kula w tej wojnie może być przeznaczona dla niego.

Pozwól, Boże, żeby wrócił do domu. Niech przyjedzie cały i zdrowy!

Rose krzyknęła, zasłaniając usta dłonią w rękawiczce z cielejącej skóry. Monk McQueen stanął w kolejce do odprawy celnej. Rose nie mogła się opanować. Wciąż czuła do mego urazę, a mimo to wołała teraz ze wszystkich sił, mając nadzieję że pomimo hałasu zdoła ją usłyszeć.

Nie bądź głupia! Ani cię nie widzi, ani nie słyszy.

Potem Monk podniósł głowę i rozejrzał się. Kiedy ją dostrzegł, natychmiast zaczął machać rękami jak szalony. Rose spojrzała w kierunku, który wskazał Monk. Przez krótką chwilę widziała jasnowłosego mężczyznę, jak przeciskał się wśród tłumu.

Franklin!

Rose chwyciła za balustradę, starając się opanować drżenie rąk. Czuła jednocześnie ulgę i strach. To działało się naprawdę. Franklin wrócił do domu.

Zaszło jednak wiele zmian, o których nic nie wie. Firma, jaką pamiętał, już nie istnieje... Będzie to więc nowy początek dla nas obojga. Franklin na pewno wszystko zrozumie...

Rok 1918 był katastrofalny dla wielkiego przemysłu wysyłkowego. Po krwawych strajkach w 1917 roku i powszechnym niezadowoleniu spowodowanym przez niskie pensje, fatalne warunki pracy, spółki wysyłkowe nie radziły sobie zbyt dobrze. Jadąc na falę popularności, Międzyszanowa Komisja Handlu Matthiasa Alcoma zaatakowała spółki w ich najsłabszym punkcie: przedmiotem krytyki stały się taryfy. Firmy

wysyłkowe wprowadziły ponad 200 miliardów różnych stawek, co uniemożliwiało dokładne księgowanie. MKH za jednym zamachem zmieniła cały system, zastępując indywidualne stawki systemem strefowym. Jeśli firmy wysyłkowe chciały zmienić ceny, musiały prosić o zgodę MKH, która z reguły odrzucała podania. Zyski „Globalu” malały.

Latem następnego roku spadł kolejny cios. Rząd pozwolił poczcie znacznie rozszerzyć system paczkowy, wprowadzony w 1913 roku. „Global” i inne spółki broniły się ze wszystkich sił, niewiele mogły jednak zdziałać, gdyż mocno straciły na popularności i nie miały żadnego poparcia na Kapitolu. Znowu spadły zyski. Wielu przedsiębiorstwom zaczęła grozić ruina.

W przeciwieństwie do konkurentów, którzy postanowili walczyć na śmierć i życie, Rose szybko zorientowała się, że zwycięstwo jest niemożliwe. Podjęła trudną decyzję ograniczenia działalności „Globalu”.

Kilka tygodni przed zawieszeniem broni firma „Global Enterprises” zlikwidowała 14 000 mil połączeń ekspresowych i 2600 biur w całym kraju. 30 000 ludzi zostało bez pracy. Pozostałe linie, nie przynoszące prawie żadnych zysków, Rose sprzedała rządowi. „Global” uniknął losu innych spółek, które nie wytrzymały ciężaru nowych przepisów. Wycofał się z upadającego interesu, dysponując wystarczającą ilością gotówki, by zacząć wszystko od nowa.

— Rose!

Odwróciła się, słysząc znajomy głos, i ujrzała brata na końcu korytarza.

— Och, Franklinie!

Trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się nonszalancko.

Zrobiła dwa kroki w jego Iderunku, a potem zaczęła biec.

Nagle Franklin stanął. Odwrócił się, podniósł rękę i rozejrzał się. Zdziwiona Rose zwolniła.

Franklin rozwarł ramiona i objął młodą kobietę o wspaniałych rudych włosach. Roześmiał się, podniósł ją i okręcił dookoła.

Rose zamarła. Była wściekła na Franklina. Na pewno napisał jakiejś starej przyjaciółce, kiedy statek zawinie do portu. Kim ona była? Rose nie przypominała sobie tej rudowłosej kobiety.

Wkrótce otrzymała odpowiedź. Kiedy Franklin położył rękę na ramieniu kobiety, Rose dostrzegła złotą obrączkę na jego palcu.

Nie, to niemożliwe!

Rose spojrzała szybko na dłoń kobiety i zbladła. Na jej palcu widniała dokładnie taka sama obrączka.

Dobry Boże, co on najlepszego zrobił?

18.

Blade światło poranka wpadało przez okna oranżerii.

Rose Jefferson siedziała samotnie w mroku, trzymając na kolanach talerzyk i filiżankę. Służba jeszcze nie wstała. Sama zrobiła sobie herbatę i przyniosła ją tutaj aby odetchnąć wśród zapachu ziół i kwiatów. To ciche piękno nie uspokoiło jednak Rose. Nie było ucieczki przed dręczącymi pytaniami.

Niewiele pamiętała z wczorajszego dnia. Doznała takiego szoku, że zachowywała się jak automat. Była chyba uprzejma dla tej kobiety. Zapamiętała, że Michelle Lecrok jest Francuzką, pielęgniarką, nie ma rodziny, poznała Franklina w wiosce zwanej Saint Eustace i poślubiła go w Saint-Mihiel. Franklin twierdził, że Michelle jest prawdziwą bohaterką, ale Rose uznała to za przesadę, wynikającą z miłosnego zaślepienia. Niewątpliwie było tylko to, że Michelle poślubiła Franklina. Na domiar złego brat gadał bez przerwy o tym małżeństwie. Rose wzdygała się za każdym razem, kiedy spozrzała na ich obrączki.

Kim jest ta Michelle Lecroix? Czego chce? Co powinnam zrobić?

Rose miała nadzieję, że z czasem znikną nieporozumienia pomiędzy nią a Franklinem. Razem zrealizują wielkie plany. Teraz jednak wszystko stawało się trudniejsze. Niespodziewanie zjawiał się ktoś trzeci. Rose przyrzekła sobie, że bez względu na czas i koszty dowie się wszystkiego o tej intruzce. Niewykluczone, że Michelle Lecroix jest tak niewinna, jak wskazywał na to jej wygląd. Może się jednak okazać kimś zupełnie innym: osobą o ukrytych zamiarach i mrocznych marzeniach. Rose musiała się tego dowiedzieć.

Ona uważa się teraz za członka rodziny. Członkowie rodziny mają prawo do spadku. W ten sposób dorwie się do pieniędzy „Globalu”.

Ta myśl przeraziła Rose i rozgniewała ją na dobre, podsunęła jej jednak pewien pomysł. Franklin był tak zakochany w Michelle Lecroix, że najprawdopodobniej nie zadał sobie ani razu oczywistego pytania: Czy Michelle znajdzie dla siebie miejsce

w tym nowym świecie? Być może wcale nie trzeba przekonywać brata, że popełnił błąd. Wystarczy pokazać Michelle, że tu nie pasuje i nigdy nie będzie pasowała. *Jeśli ona od niego odejdzie, nie będzie mógł mnie winić.*

Michelle obudziła się i przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie przebywa. Kiedy tylko dotknęła Franklina, odzyskała spokój. Sen jednak zniknął.

Michelle wstała, włożyła satynowy szlafrok i rozejrzała się. Za łóżkiem dostrzegła piękny, rzeźbiony kominek, na którym stały delikatne wazy z chińskiej porcelany. Obok znajdował się tapczan, a z prawej strony, koło drzwi, stała wielka szafa z lustrem w pozłacanej oprawie.

Micheile bez pośpiechu oglądała pokój. Po raz pierwszy przebywała sam na sam z Talbot House. Czuła się jak podróżnik w czasie, który zwiedza pałac w magicznym królestwie. Wszystko było tu wspaniałe i oszałamiające. Michelle postanowiła obejrzeć dom.

Minęła korytarz na drugim piętrze. Wielkie, kręte schody zaprowadziły dziewczynę do holu z wysokim sufitem, greckimi i rzymskimi rzeźbami oraz korynckimi kolumnami. Kiedy weszła do galerii obrazów, zaparło jej dech w piersi. Mahoniowy sufit znajdował się na wysokości co najmniej trzydziestu stóp. Ogromny dywan zasłaniał prawie cały parkiet. Michelle miała wrażenie, że przebywa w Luwrze. Odczytywała na obrazach legendarne nazwiska: Rubens, Tycjan, Goya.

Biblioteka również kryła w sobie cuda. Na półkach z drzewa różanego, wykładanych masą perłową i brązem, stały długie rzędy tomów oprawionych w cielecą skórę. Michelle pomyślała o matce. Ciekawe, czy takie właśnie życie prowadziła jako młoda kobieta. Matka rzadko opowiadała o Anglii, jednakże z kilku przypadkowych uwag Michelle domyślała się, że w młodości musiała być nieszczęśliwa. Żałowała, że nie zapytała jej o to. Może dzięki temu czułaby się teraz pewniej.

Michelle miała już dosyć wrażeń i wybiegła z biblioteki. Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła się w kuchni, w której unosił się zapach chleba, upieczonego poprzedniego wieczoru. Czekając, aż zaparzy się kawa, myślała o Rose. Zauważyła, że siostra Franklina traktowała ją z rezerwą. Na pewno znalazła w niej wiele wad.

Franklin mnie uprzedzał. Powiedział, że Rose jest bardzo zaborcza. Trudno się dziwić!

Starła się sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby musiała rywalizować z inną kobietą o względy własnego brata. Rose była w dodatku wdową. Samotnie wychowywała syna i prowadziła ogromne przedsięwzięcie. Michelle postanowiła, że postara się ją zrozumieć.

Czy Rose robi to samo? Czy mnie zaakceptuje? Czy ten świat mnie zaakceptuje?

Zamyślona Michelle poszła do oranżerii, niosąc filiżankę kawy.

— Cześć, Michelle. Widzę, że ty również lubisz wcześniej wstawać. Filiżanka Michelle zatrzęsała się na spodeczku.

— Rose! Przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś jest już na nogach...

. Przez kilka sekund obie kobiety stały naprzeciw siebie, nie wiedząc, co robić dalej.

Czemu nie? — pomyślała Rose.

— Usiądź koło mnie, kochanie. To wspaniała okazja, żeby poznać się bliżej, nie sądzisz?

— Tak... dziękuję.

Rose usiadła wygodnie na krześle i uśmiechnęła się.

— Chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o tobie — powiedziała cicho. — Domyślasz się chyba, jak mnie interesujesz.

Następnego dnia Ameryka świętowała zakończenie „ostatniej ze wszystkich wojen”. Na Madison Square weterani paradowali pod łukiem triumfalnym, a dzieci radośnie podpałały kukły zdetronizowanego kajzera.

Dla Michelle dni poprzedzające gwiazdkę przypominały barwny korowód. Nowy Jork przytłaczał ją swoim hałasem, wspaniałością budynków i niewiarygodnym bogactwem. Nie wiedziała, jak ma zrozumieć miasto, które porusza się tak szybko, mówi kilkunastoma językami i nie czeka na nikogo.

Wkrótce Franklin zaczął przedstawiać Michelle wszystkim przyjaciołom. Koledzy z dzieciństwa przychodzili na śniadanie, znajomi z college'u jedli z nimi obiad w najwykwintniejszych nowojorskich restauracjach, a pozostali zjawiali się na wieczornych przyjęciach.

Styl życia w Talbot House był równie oszałamiający. Kiedy Michelle musiała kupić sobie nowe ubrania, Rose wręczyła jej listę sklepów i powiedziała, żeby po prostu podpisywała wszystkie rachunki. Wyglądało na to, że Jeffersonowie rzadko płacą gotówką, jednakże w razie potrzeby w sejfie w sypialni zawsze czekało na Michelle tysiąc dolarów.

Michelle starała się zadomowić w Talbot House, lecz bez Franklina czuła się tu zagubiona.

Próbowała się zaprzyjaźnić ze służącymi, oni jednak zawsze zachowywali pełen szacunku dystans. Steven, syn Rose, był bardzo uprzejmy, Michelle miała jednak wrażenie, że chłopiec traktuje ją podejrzliwie.

Tylko późną nocą, sam na sam z Franklinem, Michelle oddychała swobodniej. Kiedy brał ją w ramiona, zapomniała o całym świecie. Na szczęście Franklin okazał się doświadczonym i czułym kochankiem. Dziewczyna obawiała się, że po przejściach z Serge'em Picardem nigdy już nie będzie mogła z nikim się kochać. Franklin był jednak cierpliwy i pomysłowy. Doszło w końcu do tego, że Michelle drżała z niecierpliwości, kiedy rozbierała się w swoim buduarze. Przez ostatnie lata widziała wielu umierających młodych mężczyzn, lecz mimo to uwierzyła, że człowiek, który nauczył ją miłości, zawsze będzie przy niej. Może mu się oddać całkowicie i bez zastrzeżeń, bo nigdy go nie straci.

— Czyż to nie wspaniały widok, kochanie?

Michelle przygryzła wargę, poprawiając kolczyk. Po raz ostatni spojrzała w rokokowe zwierciadło i odwróciła się w kierunku balkonu sypialni.

— Franklinie, przeziębisz się!

— Jest tak pięknie — powiedział, patrząc na nocne niebo.

Wśród tysięcy jasnych gwiazd nie sposób było rozpoznać tej, która wiodła mędrców do Jerozolimy. Dziewczyna zadrżała i przytuliła się do Franklina.

— Wyglądasz cudownie — szepnął.

Michelle zarumieniła się, musiała jednak przyznać, że czas, który spędziła na przygotowaniach do gwiazdkowego przyjęcia, nie został zmarnowany. Luźna zielona suknia odsłaniała śnieżnobiałe ramiona. Szmaragdowe kolczyki i diamentowy naszyjnik z jadeitem błyszcząły zachwycająco.

— Mam wrażenie, że zaraz się obudzę i dojdę do wniosku, że to tylko sen

— rzekła Michelle, pocierając palcem jadeitowy klejnot.

— Nonsens — powiedział uspokajająco Franklin, gładząc ją po włosach i szyi.

— To wszystko jest teraz twoje. — Spojrzał na zegarek. — Pójdziemy?

— Czy jesteś pewien, że nie przyjdzie wielu ludzi? — zapytała nerwowo Michelle. Szli przez korytarz, w którym wisiały pejzaże Diaza de la Pena i Mariano Carbo, artystów cieszących się ogromną popularnością wśród bogatych nowojorczyków.

— Tylko przyjaciele rodziny — zapewnił ją mąż.

Jeśli tak — zastanawiała się Michelle — to kto zje całą tę górę jedzenia i wypije wszystko wino?

Przez ostatni tydzień Michelle patrzyła, jak przez dom przewijają się sprzedawcy i posłańcy. Do Talbot House przybyła cała armia sprzątaczek i pod nadzorem Albany'ego wyczyściła dom od góry do dołu. Irlandzkie pokojówki polerowały srebra, plotkując o gwiazdkowych prezentach. W sali balowej służba kończyła ubierać ogromną choinkę, na której wisiały już bombki, świece i cukierki.

Michelle sądziła, że na przyjęcie przyjdzie jakieś sześćdziesiąt osób. Kiedy schodziła wraz z Franklinem po schodach, zauważyła z przerażeniem, że zjawilo się już dwa razy tyle gości.

— Rose, co ty narobiłaś? — zapytał Franklin, gładząc siostrę po policzku.

— Obiecałaś Michelle i mnie spokojne święta. Powiedziałaś, że wpadnie tylko kilku przyjaciół.

— Och, Franklinie, nie bądź taki — odrzekła Rose z uśmiechem. — To przecież nasi przyjaciele. Poza tym każdy chciał poznać twoją młodą żonę.

Jego siostra miała na sobie błyszczącą szarą suknię, a na głowie diamentową koronę. Cofnęła się o kilka kroków i spojrzała z aprobatą na Michelle.

— Wyglądasz oszałamiająco, moja droga — wymruczała. — Od razu wiedziałam, że zielony jest twoim kolorem.

Michelle uśmiechnęła się nerwowo. Rose upierała się, żeby iść razem z nią na zakupy. Weszły do budynku na Madison Avenue, w którym mieścił się najbardziej ekskluzywny nowojorski salon mody madame Bouchard. Michelle nie odzywała się,

kiedy Rose dyskutowała ze starszą panią o kolorach i materiałach. Potem nastąpiły przymiarki i przeróbki. Kiedy suknia była w końcu gotowa, Michelle odważyć się zapytać krawcową o cenę. — Oczywiście, bardzo późno złożyła pani zamówienie - zganiła ją madame Bouchard śpiewnym głosem.

Michelle wydawało się dziwne, że rodaczka nie rozmawia z nią w ojczystym języku, lecz po angielsku, w dodatku z obcym akcentem.

— Na ogół przyjmuję zamówienia z trzymiesięcznym wyprzedzeniem

— Trzy miesiące temu byłam jeszcze na wojnie — wymruczała Michelle

— Co takiego? — zapytała podejrzliwie madame. Michelle pokręciła głową,

— Powiedziałam tylko, że to bardzo miło, iż poświęciła mi pani tyle czasu

— Czas to pieniądz — oświadczyła madame Bouchard i wyglądała w tym momencie jak

bretońska chłopka. - Rozumie pani, że muszę zażądać dodatkowej

— Oczywiście — zgodziła się szybko Michelle.

— Będzie pani wyglądać tak wspaniale, że warto wydać na ten cel nawet siedemset dolarów — dodała madame Bouchard.

Michelle o mało nie zemdląca z wrażenia.

— Siedemset... dolarów?!

— Naturalnie dopiszę to do rachunku mademoiselle Rose

Rose tylko się roześmiała, kiedy Michelle protestowała, że suknia jest za droga

— Niech to będzie prezent ślubny ode mnie.

— Chodźcie^ kochani - powiedziała teraz Rose, biorąc za ręce Michelle i Franklina. — Czas cię pokazać.

Przez następną godzinę przedstawiano Michelle elicie nowojorskiego towarzystwa. Każdy mężczyzna wydawał się bogatszy od poprzedniego; każda żona i córka olśniewała kreacją i urodą. Michelle dostrzegła, że Franklin znalazł się szybko w centrum uwagi. Młode kobiety opuszczały swoich towarzyszy i podchodziły do mego. Michelle zastanawiała się, czy nie powinna przypomnieć im o swoim istnieniu.

— Jak się bawisz?

Przestraszona Michelle odwróciła się i ujrzała Monka McOueena, który wyglądał bardzo elegancko w świetnie skrojonym fraku.

- Cudownie! - wymknęła Michelle. Wskazała grupkę starszych kobiet, które siedziały pod ścianą i jak wrony przyglądały się zabawie. - Kim one są?

— Ach, to wdowy - rzekł Monk. - Jeszcze zanim wyszły za mąż, były cholernie bogate, a teraz przejęły również majątki mężów. Gdyby zebrały się do kupy, mogłyby kupić i sprzedać połowę mężczyzn w tym pokoju.

Michelle była zdumiona.

— Wezwij mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować—rzekł Monk. — Obiecuj że wpadniesz do redakcji i zjesz ze mną lunch.

Michelle nie wiedziała, czemu w oczach Mońka pojawiło się zatroskanie. Zanim zdążyła coś powiedzieć, podszedł Franklin.

— Wywarłaś na wszystkich ogromne wrażenie — powiedział z uśmiechem. — Ludzie mówią, że jestem największym szczęściarzem na tej sali.

Michelle nie mogła się opanować. Objęła męża za szyję i mocno go pocałowała. Patrząc ponad jego ramieniem, dostrzegła grupkę młodych kobiet. Kilka z nich patrzyło z zainteresowaniem na Franklina. Pozostałe przyglądały się jej i nagle zaczęły chichotać.

— Czas zasiąść do stołu — wtrąciła się Rose. — Michelle, przydzieliłam ci specjalne miejsce pomiędzy moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Świąteczny stół w Talbot House wyglądał jak z bajki. Przy każdym nakryciu, za srebrną i porcelanową zastawą, znajdowała się tabliczka z nazwiskiem gościa. Michelle siedziała pomiędzy bankierem, który przywitał się z nią uprzejmie, a potem zaczął rozmawiać z jakąś kobietą w średnim wieku, a jedną z wdów, której biała, upudrowana twarz kojarzyła się Michelle z krową holenderką.

Liczba potraw oszołomiła ją. Na początku podano ostrygi ze znakomitym białym winem. Potem na stole zjawił się rosół „Britannia”, kacze wątróbki i pasztet w cieście.

He tego jeszcze będzie?—zastanawiała się Michelle, starając się skończyć porcję.

Potem zauważyła, że inne kobiety prawie nie tknęły niczego na talerzu. Michelle odłożyła nóż i widelec, widząc, że goście patrzą na nią z ciekawością, a niektórzy marszczą z dezaprobatą brwi. Czuła się jednak nieswojo, widząc, ile jedzenia się marnuje.

Michelle zjadła trzy kęsy pieczonej kuropatwy, nie wiedziała jednak, ile to już razy kelner napełniał jej kieliszek. W końcu wino uderzyło jej do głowy. Miała wrażenie, że wszystkie kolory tańczą wokół niej, a lampy świecą jaśniej niż przedtem. Po drugiej stronie stołu siedział Franklin i opowiadał sąsiadkom zabawne historyjki. Miała ochotę podejść do niego i mocno go ucałować. Po obiedzie Franklin wraz z innymi mężczyznami udał się do sali bilardowej na kawę, brandy i cygara, podczas gdy kobiety, zgromadzone wokół Rose, „odpoczywały” w sali muzycznej, gdzie podano szampana, kawę i przekąski. Wychodząc Franklin podszedł do Michelle i pocałował ją w policzek.

— Dobrze się bawisz?

— Świetnie! — krzyknęła Michelle.

Nie zwróciła uwagi, że mówi bardzo głośno i kilka głów odwróciło się w jej stronę. Franklin poklepał żonę po dłoni.

— Wszyscy tu cię kochają.

Zanim Michelle zdążyła odpowiedzieć, Rose zabrała ją do sali muzycznej i posadziła między dwiema kobietami.

— Jestem Amelia Richardson — powiedziała wspaniała rudowłosa piękność, ściskając rękę Michelle. — Na pewno się zaprzyjaźnimy!

Michelle patrzyła zafascynowana, jak Amelia Richardson wkłada papierosa do długiej jodełkowej cygarniczki.

— Palisz?

— Nie... to znaczy nigdy nie próbowałam. To przecież szkodzi. Przechodząca obok młoda kobieta roześmiała się.

— Co za skrupuły! Moja droga, nasza Amelia nikomu nie pozwala decydować, co powinna robić. Była przecież pierwszą kobietą, która zapaliła papierosa w hotelu „Plaža”. Kiedy głupi kierownik podszedł do niej i powiedział, żeby go zgasiła, Amelia odrzekła: „Sądzę, że żyjemy w wolnym kraju i nie chciałabym, żeby to się zmieniło”. Świetne, prawda?

Michelle nie wiedziała, co ma o tym sądzić. Czy ta chuda dziewczyna o alabastrowej cerze daje do zrozumienia, że amerykańska kobieta będzie walczyć na śmierć i życie o prawo do palenia w hotelu?

— Ależ małaś apetyt przyobiedzie, kochanie! — powiedziała Amelia Richardson. — Nie jesz przypadkiem za dwoje?

Oszołomiona Michelle zapomniała przez chwilę angielskiego

— *Pardon?*

Amelia mrugnęła do niej szelmowsko.

— Wiesz przecież. Czy jesteś *enceintel*

— *Mais non! Pas de tout!* — wykrzyknęła Michelle i mocno się zarumieniła. Rumieniec dziewczyny pogłębił się, kiedy zauważyła, że wszyscy na nią patrzą.

— Powiedz mi — rzekła inna młoda kobieta ~ w jaki sposób poznałaś Franklina?

— Byłam pielęgniarką w Saint Eustace — odpowiedziała Michelle i zaczęła opowiadać.

— Jakież to szlachetne! — rzekła znudzonym tonem Amelia Richardson.

— Tak, tak — wtrąciła się wdowa o krowiej twarzy. — Skąd więc pochodzi twoja rodzina?

— Moja rodzina?

— Tak, twoja rodzina — powtórzyła niecierpliwie wdowa. — Skąd pochodzi?

— Nie zwracaj uwagi na Constance — wyszeptwała Amelia Richardson. — Jest głucha jak pień.

— Z wioski Saint Eustace, madame — odpowiedziała głośno Michelle.

— Nie krzycz tak, dziewczyno! Czy ta wioska jest własnością twojej rodziny?

— Własnością?

— Nie rozumiesz po angielsku? Tak, własnością!

— Cioteczka pyta, czy twoja rodzina posiada tam ziemię — rzekła piękna debiutantka.

— Cóż, ojciec miał gospodarstwo — powiedziała Michelle.

— Gospodarstwo?

— Tak. Należało ono przedtem do jego ojca i dziadka — ciągnęła Michelle.

— Ilu ludzi u niego pracowało?

— On sam.

— Ach, był f a r m e r e m —powiedziała debiutantka, która w końcu zrozumiała, o co chodzi. — Jakie to niezwykle! Czy właśnie tam poślubiłaś Franklina, w Saint Eustace?

— Nie. Wzięliśmy ślub w Saint-Mihiel. Kobieta spojrzała na nią.

— To śmieszne. — Zaraz potem dodała: — Ale podobne do Franklina.

— Na pewno trudno było zorganizować wszystko w tych warunkach—powiedziała z sympatią Amelia Richardson. —Przygotować wyprawę... Powiedz mi przy okazji, do którego z paryskich krawców się zwróciłaś?

— Paryskich?

— Oczywiście wynajęłaś paryskiego krawca, kochanie?

— Nigdy nie byłam w Paryżu. Amelia Richardson roześmiała się głośno.

— Nigdy nie byłaś w Paryżu! Moja droga, to niesamowite!

— Nigdy tam nie była! — powtórzyła natychmiast stara wdowa. — To prostaczka i nie należy do naszej sfery. Nie umie nawet porządnie mówić po angielsku. Nie mogę pojąć, dlaczego Franklin się z nią ożenił!

Michelle patrzyła na kobietę. Nie wierzyła własnym uszom, słysząc ten zimny, ostateczny wyrok. Naprzeciwko niej dwie młode dziewczyny chichotały i szeptały coś do siebie.

Czemu one mi to robią?

Micheile była tak zamyślona, że nie zauważyła Rose, która przyglądała jej się z drugiego końca pokoju z bardzo zadowoloną miną.

D

Rose Jefferson podobał się nowy wystrój sali konferencyjnej. Ciemne kolory ustąpiły miejsca jasnej, sosnowej boazerii, wygodnym krzesłom, obitym niebieską skórą i staremu stołowi, który stał kiedyś w refektarzu hiszpańskiej misji. Zamiast surowych pejzaży na ścianach wisiały oleje Remingtona i innych wybitnych malarzy amerykańskich. Zdaniem Rose, wygląd sali świadczył o tym, że spółka jest prężna i patrzy odważnie w przyszłość.

Rose czekała na Franklina i przeglądała stos dokumentów, podsumowujących miesiące ciężkiej pracy. Przyznawała, że zdarzały się chwile, w których była bliska załamania. Realizowany przez nią plan był tak szeroki i złożony, że jedna osoba z ledwością radziła sobie ze wszystkim.

Od chwili swojego powstania „Global” zajmował się przewożeniem pieniędzy. Na początku spółka obsługiwała tylko banki, później również osoby prywatne. Kiedy granica amerykańska przesuwiała się na zachód, coraz więcej ludzi chciało przesyłać pieniądze na drugi koniec Stanów Zjednoczonych. Tylko uprzywilejowana garstka miała rachunki czekowe. Zwykli kupcy wkładali gotówkę do koperty, zaklejali

1 pieczętowali woskiem. „Global” gwarantował dostawę za określoną opłatą.

W 1864 roku Kongres uchwalił ustawę, mającą dalekosiężne konsekwencje dla wszystkich firm wysyłkowych. Wprowadzono system pocztowych przekazów pieniężnych. Opłata wynosiła dziesięć centów od dziesięciodolarowego przekazu. Do 1880 roku poczta zarobiła na tym 100 milionów dolarów.

Rose zamierzała rzucić wyzwanie rządowi i wprowadzić własny system przekazów pieniężnych. Ponieważ inne spółki wysyłkowe również szukały nowych źródeł dochodu, Rose opracowywała swój plan w zupełnej tajemnicy.

Zbadała dokładnie operacje poczty i doszła do wniosku, że ma ona poważne trudności z przekazami pieniężnymi. Każdy klient musiał mówić po angielsku, żeby nabyć odpowiedni formularz; znajomość angielskiego była również potrzebna, aby właściwie wypełnić kwestionariusz. Sprawiało to ogromne trudności nowym

imigrantom i analfabetom, którzy musieli korzystać z pomocy obcych ludzi—często oszustów. Drugą słabością poczty były fałszerstwa. Przekazy pocztowe realizowały tylko wyznaczone placówki, które musiały wcześniej otrzymać informację o przesyłanej sumie. W ten sposób poczta starała się zabezpieczyć przed fałszerzami. W rzeczywistości cały system zamienił się w koszmar. Ludzie czekali całymi tygodniami na zrealizowanie zgubionego lub źle wypełnionego przekazu. Na początku Rose nie wiedziała, jak odstraszyć fałszerzy, później jednak wymyśliła proste rozwiązanie. Na prototypie formularza, który Rose szybko opatentowała, znajdowało się dziewięć kolumn cyfr, od jednego do dziesięciu dolarów. Kiedy klient zapłaci za przekaz, urzędnik zapisze nazwisko nadawcy na dwóch kwitach. Jeden z nich odda klientowi, drugi zachowa dla siebie. Urzędnik nie będzie jednak wypisywał sumy, lecz odetnie kawałek dokumentu tuż pod właściwą cyfrą. Jeśli suma przekroczy 10 dolarów, klient skorzysta z formularza o wyższym nominale. Rose nie spodziewała się szybkich zysków. Będzie przecież musiała konkurować z pocztą i na pewno wyda dużo pieniędzy na reklamę. Doszła do wniosku, że zmniejszając o dwa centy cenę przekazu, osłabi pozycję poczty i zapewni sobie przyzwoity zysk. Co więcej, postara się, żeby 4212 biuro „Globalu” w całym kraju nie tylko sprzedawało przekazy, ale również szybko je realizowało.

Po opracowaniu planów krajowych Rose zaczęła się zastanawiać, jak wprowadzić przekaz pieniężny „Globalu” na rynek międzynarodowy. Od czasów Renesansu ludzie, wyjeżdżając za granicę dla przyjemności lub w interesach, zabierali ze sobą listy kredytowe. W liście podana była suma, którą podróżny złożył w banku w rodzinnym kraju. Te same pieniądze mógł podjąć z zaprzyjaźnionego banku za granicą. Ta metoda miała swoje minusy. Sprawdzanie autentyczności podpisu powodowało zwłokę, a poza tym tylko niektóre banki wypłacały gotówkę na podstawie takiego dokumentu. Były to zwykle dwie lub trzy instytucje w głównych miastach. Nie istniała taka możliwość na prowincji. Co więcej, biznesmen tracił pieniądze, kiedy jego dolary zamieniano na funty, franki lub marki według kursu ustalanego arbitralnie przez zagraniczny bank. Te komplikacje zwielaokrotniały się, gdy ktoś podróżował po wielu krajach i musiał parę razy wymieniać pieniądze.

Rose postanowiła usunąć te niewygody. Słuchała uważnie, jak jej przyjaciele skarżą się na kłopoty z realizacją listów kredytowych — po takich doświadczeniach najbardziej szacowna osobistość czuła się jak zwykły śmiertelnik. Jeśli spotykało to bogatego turystę, to cóż dopiero mówić o przeciętnym podróżniku. Klasa średnia tworzyła dla „Globalu” niezwykle atrakcyjny rynek. Rose postanowiła znaleźć sposób, żeby ją do siebie przekonać.

Czek podróżny miał się stać międzynarodowym odpowiednikiem krajowego -/przekazu pieniężnego. Tak jak w wypadku listu kredytowego, klient podpisywał się dwukrotnie: przy zakupie czeku i przy jego realizacji. Podpis musiał się zgadzać.

Rose zbadała kurs obcych walut wobec dolara w ostatnich dwóch latach

i przekonała się, że był dosyć stabilny. Postanowiła, iż czeki podróżne będą realizowane po stałym kursie, sądziła bowiem, że da to im przewagę nad listami kredytowymi: turyści uniezależnią się od bankierów.

Rose ułożyła listę brytyjskich banków, z którymi „Global” regularnie prowadził interesy. Była przekonana, że z łatwością namówi je do przyjmowania czeków. Najbardziej zależało jej jednak na przyciągnięciu małych banków, tak aby turysta nie musiał martwić się o pieniądze bez względu na to, gdzie się znajdzie.

Ona również nie miałaby wówczas powodu do zmartwienia. Spółka zyskiwałaby na każdej transakcji.

Rose spojrzała na zegar ze złotanego brązu i zastanowiła się, kiedy wreszcie przyjdzie Franklin. Starła się zachować spokój. Obiecał, że przyjdzie, a skoro tak, to na pewno się zjawi.

Rose była bardzo dumna ze służby wojskowej Franklina, z jego medali i odznaczeń. Wierzyła, że brat dojrzał na wojnie i teraz już wie, że nie może tak po prostu odrzucić zobowiązań wobec rodziny. Właśnie miała zamiar połączyć się z sekretarką, kiedy usłyszała głos Mary Kirkpatrick.

— Przyszedł pan Jefferson, proszę pani. Rose uśmiechnęła się.

— Przyślij go tu.

Rose nie wiedziała, że Franklin spędził już kilka godzin w „Globalu”. Przyjechał wcześniej od pracowników i chodził powoli po korytarzach. Na Lower Broadway nic się nie zmieniło. Franklin Jefferson nie był już jednak taki sam.

Kiedy zaczęli przychodzić urzędnicy, Franklin schronił się w swoim biurze. Tu również nic się nie zmieniło. Starannie wytarto kurz ze zdjęć na ścianach. Mógł sobie wyobrazić instrukcje Rose:

„Chcę, żeby wszystko było gotowe na powrót pana Jeffersona; biuro ma wyglądać tak, jak przedtem”.

Franklin pokręcił głową, a potem potarł skronie, czując ukłucie bólu. Rose będzie rozczarowana. Otworzył szufladę i wyjął z niej dziennik. Widząc kurz na okładce, zorientował się, że nikt nie dotykał zeszytu podczas jego nieobecności. Przez następną godzinę Franklin podróżował w czasie, przypominając sobie dni, w których załatwiał interesy dla „Globalu”, spotykał się z ludźmi i jeździł po całej Ameryce. Każda strona opisywała inną przygodę; każda przywoływała żywe wspomnienia. Wszystko kończyło się jednak w tej samej chwili i w tym samym miejscu: tego okropnego poranka nad rzeką Hudson, kiedy prywatna policja Arthura Gladstone'a rzuciła się na strajkujących.

Franklin zamknął dziennik — dotarł do niego zwykły codzienny biurowy gwar: dzwonki telefonów, stukot maszyn do pisania, ciche kroki sekretarek. Wielka machina przygotowywała się do kolejnego dnia.

Tak jak to robiła codziennie w czasie mojej nieobecności.

W tym momencie Franklin już wiedział, co odpowie na pytanie Rose. Włożył dziennik do kieszeni, a kiedy szedł przez korytarz, trzymał go mocno przez cały czas jak talizman.

— Przepraszam za spóźnienie—powiedział Franklin, wchodząc do biura Rose. Rose nadstawiła mu policzek do pocałowania.

— Przed chwilą właśnie przyszłam. Cieszę się, że wróciłeś, Franklinie. Jesteś gotów do pracy? Franklin wzruszył ramionami.

— Mówiłaś, że chcesz ze mną o czymś porozmawiać.

— To mało powiedziane.

Przez następne dwie godziny Rose opisywała plan wprowadzenia „Globalu” na arenę wielkich finansów, wyjaśniając dokładnie każdy szczegół. Po wyrazie twarzy brata zorientowała się, że rozumiał i doceniał okazję.

— To znakomity pomysł — skomentował wyjaśnienia siostry.

Franklin starał się zachować zimną krew, porwała go jednak opowieść Rose. Przed firmą otwierały się ogromne perspektywy.

— Zdajesz sobie sprawę, że oznacza to stworzenie nowej, uniwersalnej waluty. Przypomina to licencję na druk pieniędzy—uderzył dłonią w leżący przed nim stos papierów.

— Dokładnie!

— Pozwól, że wystąpię w roli adwokata diabła — Franklin podniósł palec. — Możliwa przeszkoda numer jeden: fałszerstwa. Jak każdy papierowy pieniądz, zarówno przekaz pieniężny, jak i czek podróżny jest zaproszeniem dla oszustów. Dobry fałszerz mógłby doprowadzić spółkę do bankructwa.

— Zatrudnimy najlepszych grawerów w kraju — odrzekła Rose. — Będziemy współpracować z Biurem Drukarsko-Grawerskim, od którego dostaniemy również papier.

Franklin skinął głową.

— Po drugie: odniesiemy sukces tylko wtedy, gdy pozory będą odpowiadać rzeczywistości. Jeśli „Global” obieca, że pokryje straty spowodowane przez fałszerzy, to musi dotrzymać słowa.

Trzeba będzie zapłacić bankom honorującym nasze чеки.

— „Global” zapłaci za wszystko. Jeśli któryś z banków poniesie straty, dostanie od nas rekompensatę.

— Wreszcie sprawa klientów. Mówisz, że jeśli ktoś zgubi czek podróżny, „Global” wyda nowy bez zastrzeżeń. Zgadzam się, że jest to najsilniejszy punkt w twoim planie. Musisz się jednak wywiązać z tej obietnicy. Wystarczy jeden błąd i zniknie

całe zaufanie, którego zdobycie będzie bardzo drogo kosztować.

— Dotrzymamy wszystkich obietnic—stwierdziła Rose. — W końcu Amerykanie nie będą chcieli niczego innego, jak korzystać z naszych przekazów i czeków.

— Skoro tak, to powinno ci się udać.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście.

— W takim razie weźmy się do roboty! — wykrzyknęła Rose.

— Nie, Rose.

Rose patrzyła na brata z otwartymi ustami.

— Czemu nie?

— Nie zrobimy tego razem — powiedział łagodnie Franklin. — Nie wracam do spółki. Nie masz prawa oczekiwać tego ode mnie.

Rose usiadła na krześle. Serce biło jej mocno.

— Rozumiem. Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego? Franklin wręczył jej dziennik.

— To będzie najlepsze wyjaśnienie. Przeczytaj kilka pierwszych stron i ostatnią. Nie odrywając oczu od Franklina, Rose wzięła notatnik. Czytała przez pół godziny, a potem zamknęła zeszyt.

— Strajk wydarzył się dawno temu, Franklinie — powiedziała. — To było straszne. Popelniono okropne błędy. Po obu stronach. Staralam się jednak wszystko naprawić. Nie możesz winić mnie za to przez całe życie.

— Nie mam takiego zamiaru — rzekł Franklin. — Nie chodzi jednak tylko o strajk, Rose. Chodzi o to, co czuję; o to, kim jestem.

— Chcesz powiedzieć: o to, kim się stałeś. Franklin pokręcił głową.

— Nie. Zawsze taki byłem, tylko ty nie chciałaś tego dostrzec. Rose w milczeniu patrzyła na notatnik, a potem powiedziała:

— Jestem gotowa przyznać, że w przeszłości popełniałam błędy. Czy ty jesteś gotów spełniać swoje obowiązki?

— Nie mogę ci w niczym pomóc, Rose. Udowodniłaś to i mnie, i sobie samej, kierując „Globalem” w czasie mojej nieobecności. Spójrz na swoje osiągnięcia. Nie potrzebujesz mnie.

— Robiłam to dla nas — odrzekła spokojnie Rose. — Usiłujesz stworzyć wrażenie, że wszystko przyszło mi łatwo. Tak przecież nie jest.

— Wcale tego nie sugeruję. To jednak była twoja decyzja. Ja również chciałbym sam dokonać wyboru.

Rose miała ochotę naciskać na Franklina, ale ton głosu brata ostrzegł ją, że dalszy spór niczego nie zmieni.

— Czego więc chcesz? Franklin wziął głęboki oddech.

— Pomogę ci w przedsięwzięciu z przekazem pieniężnym. Później wycofam się całkowicie z „Globalu”.

Rose położyła obie dłonie na blacie biurka.

— Przykro mi, ale nie mogę tego zaakceptować. Franklin nie wierzył własnym uszom.

— Nie masz wyboru, Rose.

— Istnieje jednak inne rozwiązanie. Czy zechcesz przynajmniej posłuchać?

— Oczywiście.

— Będę miała dużo roboty z przekazem pieniężnym — powiedziała Rose. — Skoro czek podróżny ma się stać międzynarodowym instrumentem finansowym, nie będę w stanie jednocześnie się nim zajmować. Ktoś musi zadbać w Londynie o wszystkie szczegóły. Negocjacje z brytyjskimi bankami będą bardzo delikatne, dlatego tylko ty jeden możesz je poprowadzić. Pomóż mi wprowadzić tu system przekazów pieniężnych, a potem jedź do Londynu i zajmij się czekami podróżnymi.

Franklin zastanawiał się nad propozycją. Im dłużej myślał, tym bardziej mu się podobała. Trzy tysiące mil oceanu to bardzo duża odległość. Dla niego i Michelle będzie to szansa rozpoczęcia nowego życia.

— Zgadzam się, ale tylko na próbę.

— W takim razie ja również.

Rose objęła brata. Udało jej się ocalić wszystko, co w tych okolicznościach było do uratowania. Zyskała również cenny czas. Zanim system przekazów pieniężnych będzie należycie funkcjonował, upłynie co najmniej rok. Franklin może jeszcze zmienić zdanie.

O godzinie szóstej Mary Kirkpatrick stała przed windą, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wysiadł młody oficer w mundurze.

— Przepraszam, czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę panią Rose Jefferson? Mary zaprowadziła go przez puste sale do biur kierownictwa firmy.

— Ktoś do pani, pani Jefferson.

Rose zaniepokoiła się, widząc poważną minę oficera. Zaraz potem pomyślała, że wojna już się przecież skończyła, a Franklin wrócił bezpiecznie do domu. Mimo to ostrożnie otwierała zapieczętowaną kopertę.

— Będę gotowa za dziesięć minut — powiedziała spokojnie, chowając list.

— Czy jestem jeszcze pani potrzebna? — spytała Mary Kirkpatrick. Rose patrzyła na sekretarkę, modląc się, żeby niczego nie zauważyła.

— Nie, Mary, dziękuję. Sama muszę się tym zająć.

— Przykro mi, pani Jefferson, ale to nie jest pomyłka.

Te okropne słowa nie pasowały do doktora Williama Harrisa. Był szczupłym, niskim mężczyzną o smutnych, ciepłych, piwnych oczach i kręconych, czarnych włosach, przyprószonych siwizną. Na ścianie za jego biurkiem wisały dyplomy, pochwały i odznaczenia. William Harris skończył Columbia Medical School, pracował w szpitalu Waltera Reeda i służył w San Juan Hill pod dowództwem Teddy 'ego Roosevelta, a także w Europie. Jak zauważyła Rose, specjalizował się w urazach neurologicznych i mózgowych. Był jednym z najlepszych specjalistów, co odbierało jej resztki nadziei.

Rose wyjrzała przez okno i patrzyła na padający śnieg.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Harris zaczerpnął głębokiego oddechu. Nie miał doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Z racji swojej rangi rzadko przekazywał osobiście tragiczną wiadomość krewnym zabitego. Franklin Jefferson nie był jednak zwykłym żołnierzem. Sam generał Pershing napisał do Harris o wyczynach tego młodego człowieka i rozkazał mu, by porozmawiał z jego siostrą. Rose Jefferson nie była przecież zwyczajnym cywilem.

— Nie ma sposobu na wydostanie odłamka z czaszki pani brata — powiedział Harris. — Metal będzie wywierał stały ucisk na mózg. Pani brat może tracić pamięć i mieć zawroty głowy. W końcu przestanie panować nad odruchami fizjologicznymi...

— I umrze.

Harris nic nie powiedział.

— He czasu mu zostało?

— Trudno powiedzieć. Rok, dwa, może pięć. Przykro mi, pani Jefferson, ale potrafię tylko zgadywać. Oczywiście, może pani zasięgnąć opinii innego lekarza, sądzę jednak, że diagnoza będzie taka sama.

Rose doceniała uprzejmość Harris, ale wystarczała jej jego opinia. Kariera medyczna tego lekarza była wystarczającym gwarantem jego kompetencji i rzetelności. W szpitalu wojskowym w Paryżu Franklin przeszedł wszystkie możliwe badania.

— W takich przypadkach wojsko zawsze kontaktuje się z najbliższym krewnym, a dopiero potem informuje... pacjenta — zakończył Harris. — Czy mam mu o tym powiedzieć teraz?

Rose podniosła głowę.

— Powiedzieć mu co, doktorze? Że umiera i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy? Że nigdy nie doczeka wnuków, a być może nie będzie nawet miał dzieci?

Harris był zszokowany.

— Pani Jefferson, to nie jest w porządku! To nie w porządku wobec pani brata i jego żony. Oni mają prawo wiedzieć, co niesie przyszłość. Tak ich oszukać...

— Nie obchodzi mnie Michelle Lecroix — odrzekła zimno Rose.

— Może powinna panią obchodzić! — powiedział z gniewem Harris. — Nie tylko jest żoną pani brata, ale nawet uratowała mu życie. Gdyby nie jej opieka, najprawdopodobniej już by nie żył.

— Z drugiej strony, mógłby równie dobrze wrócić zdrów i cały—odparła Rose. — Mam już dosyć wysłuchiwania opowieści o bohaterstwie Michelle. Gdyby Franklin otrzymał od razu odpowiednią opiekę medyczną, byłby dzisiaj zdrowy.

Harris zdał sobie sprawę, że nie ma sensu się spierać. Rose Jefferson nie panowała nad sobą. Sam musiał podjąć decyzję.

— Bez względu na to, co pani sądzi, mam obowiązki wobec pacjenta

— Jakże?

— Pani brat ma prawo wiedzieć, czego się spodziewać. Powinien się nauczyć

rozpoznawać pewne symptomy. Będzie potrzebował stałej opieki i rozmaitych lekarstw. Jego bliscy, a zwłaszcza żona, muszą wiedzieć, co się stanie.

— Co dokładnie się stanie? — zapytała Rose. — Czy może pan w sposób absolutnie pewny powiedzieć Franklinowi, co go spotka?

— Tak naprawdę to nie...

— Czy powie mu pan, że zostały mu dokładnie dwa lata, trzy miesiące i siedem dni życia?

— Nie, oczywiście, że nie...

— Powie mu pan, że będzie miał zawroty głowy o jedenastej w poniedziałki, środy i piątki?

— Pani Jefferson, zachowuje się pani nierozsądnie.

— Nie, doktorze. Mówię tylko, że jeśli nie wie pan, czego się spodziewać, to co pan powie Franklinowi? To nie pan, ale on będzie musiał żyć w ciągłej niepewności. Czy t o jest w porządku?

— Może i nie, pani Jefferson — odrzekł Harris. — Muszę jednak spełnić swój obowiązek.

Rose chwyciła Harrisa za ramię.

— Proszę, błagam, mech pan tego nie robi. Poza moim synem został mi tylko Franklin. Przyjmę na siebie wszelką odpowiedzialność. Podpiszę każdy dokument. Wynagrodzę pana, armię, cały cholerny rząd! Nikt nie będzie musiał kiwnąć palcem ani wydać choćby jednego dolara na opiekę nad Franklinem. Zajmę się wszystkim, przysięgam!

Harris delikatnie uwolnił ramię. Był przekonany, że ta kobieta zrobi wszystko, byle dopiąć swego.

Wykorzysta swoje wpływy, które, jak go uprzedzano, sięgają aż do Białego Domu. Harris poczuł gniew, ale starał się zachowywać jak na lekarza przystało. Czyjego pacjentowi, Franklinowi

Jeffersonowi, stanie się jakaś krzywda, jeśli do tego dojdzie? Odpowiedź brzmiała: nie. Kiedy

nadejdzie właściwa chwila, Rose Jefferson zapłaci za najlepszą opiekę medyczną na świecie.

Rose odgadła, o czym myśli Harris. Zaczęła rozważać pewien plan, który jednak wiązał się z niebezpieczeństwem, gdyż nie wiedziała nic o tym człowieku. Postanowiła zaryzykować.

— Doktorze Harris, czy mogę zapytać, ile ma pan lat?

— Proszę?

— Ile pan ma lat, doktorze?

— Czterdzieści trzy.

— Sądzę więc, że pańska dwudziestoletnia służba wkrótce się skończy.

— Tak, za kilka miesięcy.

— Czy zamierza pan otworzyć prywatną praktykę?

William Harris wzruszył ramionami. Od kiedy postanowił zostać lekarzem, zawsze marzył o prywatnej praktyce. Niestety, syn robotnika portowego nie mógł sobie pozwolić na Columbia Medical School. Jediną możliwością stwarzała armia, która płaciła chesne, lecz wymagała w zamian dwudziestoletniej służby.

— Doktorze, niech pan mnie bardzo uważnie posłucha — mówiła Rose. — Nie chce pana obrazić, nie chcę również, żeby niewłaściwie zinterpretował pan moje słowa. — Rose wskazała dyplomy na ścianie. — Najwyraźniej jest pan znakomitym lekarzem. Służył pan z honorem krajowi. To najlepsze pańskie lata i wiele jeszcze może pan osiągnąć. Jeśli chce pan założyć prywatną praktykę, chętnie przyznam panu na to pewne fundusze. W zamian proszę tylko o dwie rzeczy: żeby został pan osobistym lekarzem mojego brata i żeby nigdy nie zdradza pan prawdy ani jemu, ani nikomu innemu. Bez względu na to, co się stanie, tylko ja mogę wiedzieć o wszystkim. Głos Rose był spokojny, lecz ręce jej drżały. Trzymała je jednak na kolanach i Harris nie mógł ich widzieć.

— Ze względu na okoliczności, muszę pana prosić o natychmiastową odpowiedź. Jeśli pan odmówi, zastanowię się nad innymi możliwościami.

William Harris był oszołomiony. Ta kobieta proponowała mu łapówkę. Wspaniałą, kuszącą, ale mimo to łapówkę. Harris już miał zamiar odmówić, ale nie potrafił się do tego zmusić. Rose Jefferson dawała mu wszystko, o czym zawsze marzył. Awansował wprawdzie do rangi kapitana i starał się oszczędzać, nie odłożył jednak więcej niż pięć tysięcy dolarów. Za te pieniądze nie otworzy takiej praktyki, jakiej pragnął. Nie utrzyma żony i rodziny, o której marzył przez wszystkie samotne lata. W wieku czterdziestu trzech lat William Harris wiedział, że nie pozostało mu już zbyt dużo czasu. Mógł spędzić resztę życia w wojsku, aż do emerytury. Mógł iść do pracy w szpitalu. Mógł również wykorzystać szansę, stworzoną przez Rose Jefferson.

— To bardzo hojna oferta, pani Jefferson — powiedział Harris. — Przyjmuję ją. Mam jednak pewne warunki. Po pierwsze, podpisze pani dokument, zwalniający wojsko od odpowiedzialności za to, co stanie się z pani bratem. Po drugie, oświadczy pani na piśmie, że poinformowałem panią o stanie Franklina Jeffersona i radziłem, aby powiadomić o wszystkim żonę, pani jednak postanowiła oddać pacjenta pod moją opiekę. Jeśli w którymś momencie nie zgodzi się pani z moimi zaleceniami, nie będę ponosił odpowiedzialności za konsekwencje.

— Przyjmuję pańskie warunki, doktorze — zgodziła się Rose. — Mój adwokat przygotowuje odpowiednie dokumenty. — Wyciągnęła rękę na pożegnanie. — Proszę mi uwierzyć — powiedziała cicho. — To najlepsze rozwiązanie.

— Mam nadzieję, że się pani nie myli, i to bardziej ze względu na panią i Franklina Jeffersona niż na mnie samego.

Rose nie mogła się zmusić do powrotu do Talbot House. Powoli zaczynała rozumieć, że w jej życiu pojawiła się nieodwracalna zmiana. Miała ochotę porozmawiać z kimś o swoich uczuciach, zwierzyć się jakiemuś przyjacielowi. Zamiast tego udała się do jedyne go miejsca, gdzie mogła się schronić.

Siedząc w biurze, patrzyła na obrazy, które zabrała z Dunescragu. Tym razem nie pocieszył jej nawet heroizm Jehosophata Jeffersona. „Global” nie był już taki, jak w czasach dziadka. Firma zmieniała się niczym poczwarka, z której wyłoni się nowa

istota. Rose pragnęła wiedzieć, czy dziadek pochwaliłby jej postępowanie. Chciała, aby ukochana osoba zapewniła ją, że podjęła słuszną decyzję. Jednakże poważny wyraz twarzy Jehosopata Jeffersona nie zmienił się. Dziadek nie powrócił do życia. *Me przywrócę również życia Franklinowi...*

Mysł, że brat żył teraz na kredyt, przygnębiła Rose. Buntowała się przeciwko zimnym, nieczułym słowom zapisanym w karcie medycznej. W końcu poczuła się pokonana. Nauczy się znosić i ukrywać przed światem swoje cierpienie, postara się jednak oszczędzić tego Franklinowi. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, powie mu

0 wszystkim. Ale jeszcze nie teraz.

To przypomniało Rose o Michelle. Doktor William Harris przypuszczał, że Michelle nic nie wie o stanie męża. Czy jednak tak było? Przecież to Michelle opiekowała się nim od początku. Była doświadczoną pielęgniarką i najprawdopodobniej zdawała sobie sprawę z tego, jak poważna jest rana Franklina. Mogła też uzyskać dostęp do karty medycznej. Nie jest więc wykluczone, że Michelle wiedziała —jeszcze przed ślubem— że jej mąż nie pożyje długo. Uznała pewnie, że robi dobry interes: spędzi z Franklinem kilka lat, a potem, po jego śmierci, będzie nie tylko młoda, ale i bardzo bogata.

Rose postanowiła poprosić doktora Harrisa, żeby sporządził dokument z dokładnym opisem stanu Franklina. Jeśli brat uwzględni Michelle w testamencie, Rose oświadczy, że nie był wówczas zdrow „na ciele i umyśle”. Za żadną cenę nie odda Michelle ani jednego centa.

Pomyślała także o umowie, którą kilka godzin temu zawarła z Franklinem

1 zrobiło jej się niedobrze. Gdyby wiedziała o chorobie brata, nigdy nie prosiłaby, żeby pozostał w spółce. Teraz nie mogła niczego zmienić. Franklin natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie w porządku i tajemnica wyszłaby na jaw.

Zaczęła płakać. Ani władza, ani wpływy, ani pieniądze nie mogły jej w niczym pomóc. Nie usuną kawałka metalu, który tkwi w czaszce brata niczym bomba zegarowa.

Michelle przygotowała sobie kawę. Już od paru tygodni wiał chłodny marcowy wiatr. Ponury widok Piątej Alei odzwierciedlał nastrój Michelle, chociaż tego ranka, tak jak zawsze, starała się z uśmiechem patrzeć na świat.

Franklin często wychodził, a Michelle, przyzwyczajona do ciężkiej pracy, nie miała wtedy nic do roboty. Albany sam prowadził dom i grzecznie, lecz zdecydowanie odrzucał jej propozycje pomocy. Cisza panująca w Talbot House działała Michelle na nerwy. Mieli sześciu służących, a jednak Michelle rzadko ich widziała i słyszała. Pojawiali się tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała, odnosiła więc nieprzyjemne wrażenie, że cały czas jest pod obserwacją.

Na przyjęciach Michelle trzymała się blisko Franklina i zawsze proponowała, żeby wcześniej wrócili do domu. W czasie pogawędki przed obiadem i przy stole starała się mówić niewiele. Inni ignorowali ją, dokładnie tak, jak tego chciała.

Kiedy Franklin oświadczył, że pod koniec roku wyjadą do Europy, Michelle nie ukrywała zadowolenia i ulgi. Nie mogła się doczekać tego dnia. Mimo to wciąż obserwowała uważnie otoczenie, słuchała i uczyła się. Stworzyła sobie własny świat w kąciku biblioteki. Czytała na głos wielkie dzieła, starając się poprawnie wymawiać słowa. Miała już dosyć ludzi, którzy zachwycali się jej uroczym francuskim akcentem.

— Przepraszam — powiedział Albany. — Pan McQueen chce się z panią widzieć. Czy mam go wpuścić?

— Tak, oczywiście!

Michelle była uradowana: po raz pierwszy ktoś odwiedził Talbot House tylko po to, żeby się z nią spotkać.

— Monk! Cieszę się, że cię widzę! — objęła go.

Monk McQueen odsunął przyjaciółkę na długość ramion i uśmiechnął się.

— Wyglądasz ślicznie, jak zawsze zresztą. Michelle zarumieniła się.

— Chcesz trochę kawy?

— Chętnie. Gdzie jest ten nicpoń, twój mąż?

— Wszedł do biura.

Monk zmarszczył brwi i spojrział na zegarek.

— To wcześniej jak na niego.

— Ależ skąd! — rzekła Michelle. — Spędza w biurze dużo czasu.

Monk zauważył, że powiedziała to z wahaniem. Jego również zdziwił powrót Franklina na Lower Broadway po tych wszystkich nieporozumieniach, do których doszło pomiędzy rodzeństwem.

Franklin wyjaśnił, że jest to tylko tymczasowy układ i pod koniec roku wyjedzie wraz z Michelle do Europy. Nie podał żadnych szczegółów, a Monk nie wypytywał.

— Przyniosłem to dla ciebie—powiedział Monk, kładąc na stole dwa grube tomy. Michelle przeczytała głośno tytuły.

— *Amerykańska etykieta i reguły grzecznościowe z 1886 roku oraz Podręcznik zasad towarzyskich.*

Monk uśmiechnął się.

— Nieodzowne dla nowojorskiej gospodyni. Zwykle dzieci słuchają na dobranoc baśni braci Grimm. Ludzie, w których żyłach płynie błękitna krew, czytają córkom do poduszki jedną z tych książek.

Michelle otworzyła *Podręcznik* i przekonała się, że jest to prawdziwa kopalnia informacji o skomplikowanych regułach, obowiązujących w nowojorskim towarzystwie. Wzruszyła ją troskliwość Mońka.

— Natychmiast zacznę czytać. Bóg jeden wie, jak dużo mam wolnego czasu.

— O tym również chciałem z tobą porozmawiać — powiedział Monk. — Czy nie sądzisz, że powinnaś się czymś zająć, częściej wychodzić z domu?

— Bardzo bym chciała—odrzekła Michelle. — Nie wiem jednak, co miałabym robić, chyba że zaproponujesz mi pracę.

Monk oświadczył kiedyś, że drzwi magazynu *Q* w Chelsea zawsze będą przed nią otwarte.

Michelle wzięła przyjaciela za słowo i złożyła mu wizytę. Kiedy znalazła się po raz pierwszy w redakcji, była zdumiona szaleńczym tempem pracy. Miała wrażenie, że przygląda się wielkiemu zjazdowi zwariowanej rodziny. Ludzie tłoczyli się, kłócili, krytykowali i wykrzykiwali coś do słuchawek telefonów. Nie przypominało to poważnej atmosfery, jaka panowała w biurach „Globalu” na Lower Broadway.

Monk mrugnął do niej.

— Niezupełnie to miałem na myśli. Coś jednak wykombinujemy.

Przez dwa dni Michelle zbierała się na odwagę, żeby opowiedzieć Rose o pomysłe Mońka. Zaproponowała, że będzie uczyć Stevena francuskiego.

— Och, Michelle, to takie miłe z twojej strony—rzekła Rose.—Porozmawiam z dyrektorem szkoły.

Następnego dnia Michelle wyszperała w księgarni poaręcznik do nauki francuskiego.

Obojętność Stevena wobec ciotki zamieniła się ostatnio w jawną niechęć, miała jednak nadzieję, że uda jej się to zmienić.

Michelle nigdy przedtem nie spotkała takiego chłopca jak Steven. Miał dopiero dziesięć lat, zdawało jej się jednak, że jest zbyt poważny jak na swój wiek, tak jak gdyby zdławiono w nim wszelką spontaniczność i naturalną ciekawość. Na początku Michelle sądziła, że Steven tylko jej okazuje chłód. Potem doszła do wniosku, że tak nie jest. Steven był samotnym chłopcem, który rzadko zapraszał rówieśników do Talbot House. Kiedy koledzy go odwiedzali, usiłował ich zdominować, a nawet dręczyć. Niektóre dzieci bały się go.

Michelle miała ochotę wspomnieć o tym Rose, wahała się jednak. Rose była taka zaborcza. Poza tym Franklin powiedział jej, że Steven był świadkiem samobójstwa ojca. Michelle mogła sobie wyobrazić, jak głębokie blizny musiała w nim pozostawić ta tragedia. Mimo to była przekonana, że Rose nie tylko nie pomaga Stevenowi, ale wręcz hamuje jego rozwój emocjonalny. Dawała Stevenowi wszystko, co mogła zapewnić synowi bogata, wykształcona matka. Chłopcem zajmowały się guwernantki, wychowawcy, nauczyciele muzyki i jazdy konnej. Rose nie poświęcała jednak synowi wiele czasu i nie okazywała mu miłości. Kochała wprawdzie Stevena, ale jeszcze bardziej zależało jej na „Globalu”. Michelle zastanawiała się, czy Rose widzi, jakim człowiekiem staje się Steven: nie wcieleniem wszelkich cnót, lecz osobą mroczną i podejrzliwą. Kiedy wieczorem Rose wróciła do domu, Michelle powiedziała, że jest gotowa do lekcji.

— Och, bardzo mi przykro, kochanie--powiedziała Rose. — Naprawdę chciałam zadzwonić do ciebie z biura. Rozmawiałam z dyrektorem. Niestety, wygląda na to, że Steven nie poradziłby sobie z dodatkowymi obowiązkami.

— Chciałam, żeby to była raczej zabawa niż praca — protestowała Michelle. — Mogłabym go nauczyć czuć ten język, a nie tylko się nim posługiwać.

— Michelle, jestem naprawdę wzruszona twoją propozycją. Muszę jednak podtrzymać decyzję dyrektora. Szkoła Copperfielda stosuje najnowocześniejsze metody nauczania. Jestem pewna, że wiedzą, co robią.

— Jeśli tak do tego podchodzisz... — powiedziała Michelle, starając się ukryć rozczarowanie. Rose uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że to rozumiesz.

Coś w głosie szwagierki powiedziało Michelle, że Rose nawet nie poruszyła tego tematu w rozmowie z dyrektorem szkoły, a co więcej, nigdy nie miała takiego zamiaru.

Nie tylko w sprawach dotyczących Stevena Rose Jefferson uważała się za ostateczny autorytet. Kiedy Franklin i Michelle wybierali się na jakieś przyjęcie, Rose zawsze wygłaszała komentarze na temat garderoby Michelle.

— Czy nie jesteś trochę zbyt wystrojona, jak na przyjęcie tego rodzaju? Michelle przeglądała się w lustrze, nie wiedząc, co ma o tym sądzić, a potem słuchała Rose i przebierała się.

Kiedy Jeffersonowie zapraszali gości, było tak samo. Michelle sądziła, że Rose jest zbyt zajęta, żeby zadbać o wszystkie szczegóły, zamawiała więc kwiaty i przygotowywała menu. Wówczas ktoś jej mówił, uprzejmie, lecz zdecydowanie, że nikt nie potrzebuje jej pomocy.

— Madame naprawdę nie powinna się zajmować takimi sprawami—poinformował ją kwaśno Albany. — Kwiaciarka wie, czego będziemy potrzebować, kucharz zna upodobania pani Jefferson, a reszta należy do mnie. Dziękuję, madame.

Michelle nie dawała się łatwo zbyć. Widziała, w jak wielu imprezach dobroczynnych uczestniczy Rose, pomyślała więc, że sama mogłaby pomóc jednemu z miejskich szpitali.

— To wspaniały pomysł! — wykrzyknęła Rose i zapewniła Michelle, że wszystko zorganizuje.

Michelle starannie się przygotowała. Przejrzała książki medyczne, które przywiozła ze sobą z amerykańskiego szpitala wojskowego we Francji. Odwiedziła doktora Bartholomew Simmonsa i zasypała go pytaniami, dotyczącymi funkcjonowania nowoczesnych amerykańskich placówek medycznych. Kiedy była już gotowa, udała się wraz z Rose do szpitala im. Roosevelta.

Szczerze podziwiała kompetencje i poświęcenie personelu szpitala. Myślała, że cudownie będzie pracować razem ze znakomicie wyszkolonymi specjalistami, dysponującymi najlepszym sprzętem. Zdziwiła się, kiedy Rose zabrała ją na ostatnie, dwudzieste piętro, do sali konferencyjnej, zamiast na jeden z oddziałów.

Musiała siedzieć przy owalnym stole wraz z ośmioma innymi kobietami, uczesаныmi i ubranymi tak, jak gdyby umówiły się na herbatę w „Waldorfie”. Nie było wśród nich ani jednego lekarza i Michelle wkrótce zorientowała się, że nikt więcej nie przyjdzie. Naprawdę zdumiała ją jednak tematy rozmów: gdzie odbędzie się następny bal dobroczynny, ile będą kosztować bilety i jaki będzie cel imprezy.

Odwróciła się do Rose i wyszeptwała:

— Czy nie przyszłyśmy tu po to, żeby pracować?

Rose spojrzała na nią z ukosa, przyciągając uwagę pozostałych kobiet.

— O co chodzi, Rose? — zaszczebiotała jedna z nich.

— Michelle właśnie zapytała, czy przyszłyśmy tu pracować.

Cisza była ogłuszająca. W końcu odezwała się Amelia Richardson, którą Michelle poznała na balu gwiazdkowym.

— Moja droga, właśnie pracujemy. Bale dobroczynne to bardzo poważna i odpowiedzialna sprawa. —Przerwała. —A może sądziłaś, że przyszłyśmy tu po to, żeby opróżnić nocniki?

Rose nigdy się tak nie oddaliła od codziennych operacji „Globalu” jak wiosną 1919 roku. Krajowymi usługami wysyłkowymi zajmowali się fachowi menedżerowie, odpowiadający bezpośrednio przed Erikiem Gollantem. Ogromnymi nieruchomościami „Globalu” zarządzał Hugh O'Neill. Franklin kierował personelem i prowadził dyskretne rozmowy z głównymi nowojorskimi bankami, pragnąc zainteresować je projektem przekazów pieniężnych. Jeśli Rose chciała zrealizować swój plan, musiała zapewnić sobie współpracę banków.

W lipcu wyjechała z Nowego Jorku, po raz pierwszy od chwili, w której stanęła na czele „Globalu”. Biuro zarezerwowało dla niej apartament prezydencki w luksusowym waszyngtońskim hotelu „Willard”. Rose postanowiła pokonać przeszkody, które stawiał rząd federalny. Była ich cała masa.

Dyrektor Biura Grawersko-Drukarskiego, którego departament odpowiadał za produkcję monet i banknotów, niechętnie ustosunkował się do intruza, który próbował przejąć jego kompetencje. Kiedy nie udało się zmiękczyć dyrektora pochlebstwami, Rose posłużyła się zaprzyjaźnionymi senatorami i kongresmenami, aby przekonać go, że nie zamierza konkurować z wszechmocnym dolarem.

Udało jej się wygrać tę batalię, ale zaraz potem interweniował minister finansów. Przeprowadził rozmowy z politykami, którzy popierali projekt Rose, gdyż jego realizacja doprowadziłaby do otwarcia placówek „Globalu” w ich wioskach. Następnie udał się do Białego Domu, mając nadzieję, że raz na zawsze ukreśli łeb całej sprawie.

Rose poszła w jego ślady, a jej zabiegi zostały uwieńczone sukcesem. W czasie uroczystego obiadu, na który ją również zaproszono, Woodrow Wilson szepnął ministrowi finansów, żeby był takim kompletnym osłem. Jeśli ta kobieta chce rzucić wyzwanie poczcie Stanów Zjednoczonych, trzeba jej na to pozwolić.

Po wygranej bitwie z rządową biurokracją Rose zaczęła opracowywać projekt przekazu pieniężnego. Artyści, grawerzy, drukarze i producenci papieru przewijali się przez apartament w hotelu „Willard”. Rose odrzucała jedną propozycję po drugiej. Ku rozpaczy współpracowników, nie potrafiła dokładnie powiedzieć, czego chce, upierała się jednak, że to musi być coś innego. W końcu lipca podjęła wreszcie decyzję. Z lewej strony dokumentu widniało stylizowane G, na górze znajdowała się nazwa spółki, a na dole pozostawiono wolne miejsca na podpisy jej i Franklina. W tle widać było kremowo-błękitny ornament.

— Jest w tym siła i solidność — oświadczyła Rose.

Następnego dnia na L Street ruszyły ogromne maszyny drukarskie. Pierwszy przekaz pieniężny na sumę stu dolarów Rose kurtuazyjnie posłała prezydentowi i natychmiast odpisała sobie tę kwotę od podatku.

Przebywając w stolicy, Rose stale pozostawała w kontakcie z Lower Broadway. Co drugi dzień dzwoniła do Franklina. Była zadowolona ze sprawozdań brata, ale naprawdę uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy Eric Gollant i Hugh O'Neill udzielili jej odpowiedzi na dyskretne sformułowane pytania.

— Wczoraj w hotelu „Waldorf” Franklin przekonał hotelarzy do pomysłu przekazu pieniężnego — powiedział księgowy. — Dziwne, że ci o tym nie wspomniał. Oni jedzą mu z ręki, Rose. Wszystkie główne hotele są tym zainteresowane.

Hugh O'Neill miał równie dobre wiadomości.

— Czy Franklin nic ci nie powiedział? Już prawie skończyliśmy nabór nowych pracowników. Takie wiadomości były dla Rose prawdziwym nektarem. Przez cały czas zdawała sobie sprawę z tego, że lekarze, nawet tak znakomici jak William Harris, nie są nieomylni. Od chwili, gdy dowiedziała się prawdy o Franklinie, przeczytała dużo książek i artykułów o żołnierzach, w których ciałach tkwiły odłamki metalu. Najczęściej ludzie ci prowadzili normalne życie. Dlaczego nie miałyby to spotkać Franklina?

W znakomitym nastroju wyszła z hotelu, żeby obejrzeć pierwsze czeki podróżne.

W dniu, w którym Rose Jefferson wyjechała do Waszyngtonu, zdarzyły się dwie rzeczy, które nieoczekiwanie zmieniły życie Michelle.

Natychmiast po wyjeździe Rose atmosfera w Talbot House ożywiła się. Michelle słyszała nawet, jak służba opowiada sobie dowcipy i żartuje ze zwyczajów pani. Szybko więc wykorzystwała tę drobną niesubordynację. Kiedy poznała bliżej służących, ich rezerwa zniknęła i wkrótce rozmawiali ze sobą jak starzy przyjaciele.

Przestali także przychodzić przyjaciele Rose, którzy przedtem próbowali wprowadzić Michelle w życie nowojorskiego towarzystwa.

Gdyby nie Franklin, ta obojętność zraniłaby głęboko Michelle. Przy obiedzie, pierwszego dnia po wyjeździe Rose, mąż opowiedział jej wreszcie, nad czym pracował przez ostatnie miesiące.

— Przepraszam za te wszystkie sekrety — rzekł. — Nalegała na to Rose. Nie wiadomo, co by zrobili konkurenci, gdyby dowiedzieli się o naszych planach.

Michelle nie obraziła się. Na odwrót, idea przekazu pieniężnego i czeków podróżnych zainteresowała ją. Kiedy Franklin skończył opowiadać, zapytała:

— Czy mogę ci jakoś pomóc? Franklin wybuchnął śmiechem.

— Nie sądziłem, że zainteresuje cię coś tak nudnego.

— Wcale nie sądzę, że to nudne. Owszem, jestem tym nawet zainteresowana! Przez następne kilka tygodni Michelle przeczytała wszystkie książki, artykuły i broszury, które Franklin przyniósł do domu. Zapoznała się z historią „Globalu”. Z każdą chwilą coraz bardziej podziwiała męża; rósł w niej również niechętny podziw dla Rose. Kierowanie tak ogromnym przedsiębiorstwem wymagało całej ich zręczności, odwagi i przebiegłości. Michelle była przekonana, że gdyby tylko dano jej szansę, sama mogłaby coś dla firmy zrobić.

Wiesz co? — powiedział Franklin, wysłuchawszy jej. — Poczekaj, aż pojedziemy do Londynu i zaczniemy pracę nad czekami podróżnymi. Uwierz mi,

z całą pewnością będziemy mieli mnóstwo roboty — przerwał i uśmiechnął się niepewnie. — Lepiej będzie, jeśli nic nie powiemy Rose. Ona jest zdania, że postępowe idee, na przykład wspólna praca żony i męża, stosują się tylko do niej samej.

Michelle objęła go. Nigdy nie kochała męża tak bardzo, jak w tej chwili.

Stół w kącie biblioteki stał się biurkiem, w którym Michelle spędzała tyle samo czasu, co Franklin na Lower Broadway. Kiedy wracał do domu, rozmawiali o pracy, porównywali notatki i propozycje. W końcu Franklin przedstawił Michelle tajny plan dotyczący czeków podróżnych, który Rose chciała realizować w Europie.

— Przeczytaj i powiedz, co o tym myślisz — rzekł, wręczając żonie teczkę. Michelle zaczęła czytać, zanim Franklin zdążył się rozebrać. Projekt, sporządzony własnoręcznie przez Rose, przewidywał, że „Global” rzuci wyzwanie największej agencji podróży, firmie Cooków. Rose dała Franklinowi listę osób kontrolujących wielkie londyńskie banki, których wpływy rozciągały się na cały świat. Należało ich przekonać, by honorowali nowe i jeszcze nie sprawdzone czeki podróżne, uwalniając w ten sposób amerykańskich turystów z rąk Cooków. Jeśli turysta będzie mógł wszędzie posługiwać się czekami podróżnymi, uniezależni się od oferty turystycznej Cooków.

Rose opracowała również drugą linię ataku. Należało przekonać spółki okrętowe i kolejowe, by uznały czek podróżny za środek płatniczy. Turyści mogliby wówczas dokonywać rezerwacji niezależnie od Cooków.

Michelle doszła do wniosku, że wszystko sprowadza się tu do dwóch rzeczy: szybkości działania i tajemnicy. Jeśli Cookowie dowiedzą się o planach Rose, wykorzystają swoje ogromne rezerwy gotówkowe i zmuszą klientów, by nie przyjmowali czeków podróżnych. „Global” poniósłby wówczas olbrzymie straty.

Im dłużej Michelle zastanawiała się nad planem Rose, tym bardziej podziwiała jego śmiałość. Trzeba przeprowadzić niezwykle delikatne negocjacje, zwracać uwagę na każdy niuans i szczegół. Franklin będzie żył w ciągłym napięciu...

Nagle Michelle odwróciła się, zawadzając ręką o kałamarz. Granatowa struga wylała się na białe strony.

— Stevenie, ale mnie przestraszyłeś!

Niebieskie oczy Stevena patrzyły prosto na Michelle. Michelle chciała się poruszyć, ale nie mogła. Miała wrażenie, że ten dziesięcioletek w szarych szortach, białej koszuli i niebieskim mundurku zahipnotyzował ją.

— Co tu robisz? — zapytała cicho. — Czemu nie jesteś w szkole?

— Dzisiaj nie ma lekcji — odrzekł Steven. — Mamy zawody sportowe.

— Nie...

— Oczywiście, że o tym nie wiesz. Jesteś przecież cudzoziemką.

— Stevenie, to nie jest zbyt uprzejme.

— Nie muszę być dla ciebie uprzejmy. Jesteś cudzoziemką! Jesteś inna! Powinnaś odejść. Nie udawaj, że chcesz pracować. Pragniesz tylko pieniędzy. Słyszałem, jak rozmawiasz o tym z wujem Franklinem.

W oczach Michelle stanęły łzy.

— Dlaczego jesteś tak okrutny, Stevenie?

Co ja ci zrobiłam? Nie chcę twoich pieniędzy!

Steven uśmiechnął się. Zbliżył się i podniósł leżące na biurku kartki, tak że atrament spłynął na spódnicę Michelle.

— Mogę z tobą zrobić, co tylko zechcę—powiedział i odwrócił się ze spokojem. Michelle patrzyła, jak Steven odchodzi i zamyka za sobą drzwi biblioteki.

Usłyszała głos szofera, a potem pisk opon na żwirze, kiedy odjeżdżała limuzyna Jeffersonów. . . .

Drżała na całym ciele. Wstała i sprzątnęła biurko, jak mogła najlepiej. Jej strach zamienił się w gniew, kiedy przekonała się, że ma zniszczone ubranie. Pobiegła do sypialni, desperacko szarpiąc za guziki spódnicy. Prędzej czy później Steven wróci do domu. Zmusi go wówczas, by ją przeprosił, choćby nawet znaczyło to, że będzie musiał dostać w skórę.

Zamierzała właśnie otworzyć szafę, kiedy zauważyła na łóżku swoją bieliznę.

Skąd to się...

Michelle krzyknęła, podnosząc podarty jedwab i koronki. Miała przed oczami Stevena, który stał jak duch i przyglądał się jej z kamienną twarzą. *Mogę z tobą zrobić, co tylko zechcę.*

Szkoła Copperfielda w Murray Hill kształciła dzieci, które w przyszłości miały stać się czołowymi politykami, adwokatami i biznesmenami. Franklin był jej absolwentem i bez problemu przekonał dyrektora, żeby wezwał Stevena Talbota, bo chce z nim przez chwilę porozmawiać.

Czekając Franklin delikatnie masował sobie skronie i miał nadzieję, że ostry ból głowy w końcu ustąpi. Kiedy wrócił do Talbot House, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Michelle siedziała jak posąg na brzegu łóżka z twarzą zalaną łzami. Za nią leżała sterta pociętej bielizny; spod koronek wystawały nożyczki. Ogarnął go gniew, kiedy opowiedziała mu o spotkaniu z siostrzeńcem. Drzwi otworzyły się i wszedł Steven w brudnych szortach, zostawiając za sobą ślady błota na czystej podłodze.

— Usiądź, Stevenie.

Chłopiec nie posłuchał. Stał w lekkim rozkroku i spoglądał wyzywająco na Franklina.

— Czy mama dobrze się czuje? — zapytał.

— Tak. Nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Stevenie, co zrobiłeś dzisiaj Michelle? ^J

Na twarzy Stevena pojawił się uśmiech.

— Nie wiem, o czym mówisz, wuju Franklinie.

— Wylałeś atrament na jej sukienkę!

— Nie! Ona sama to zrobiła!

— Czy byłeś przedtem w jej sypialni?

— Nie!

Franklin zamknął oczy, czując, jak głowa pęka mu z bólu. Zrobiło mu się słabo. Bał się, że zemdleje. Zaczął mówić niewyraźnie.

— Czy... czy wyjąłeś coś z szuflad ciotki?

— Ona nie jest moją ciotką!

— Nie o to cię pytałem! Czy wyjąłeś bieliznę Michelle i pociąłeś ją?

— Nic nie wiem o jej śmierdzącej bieliznie! Mogę już iść?

Nie czekając Steven odwrócił się ku drzwiom. Zdażył zrobić tylko jeden krok, zanim Franklin złapał go i posadził siłą na krześle.

— Czy pociąłeś rzeczy Michelle?! — wyszeptał ochryple. Steven był przerażony, ale nie chciał się poddać.

— A jeśli tak? — zapytał zaczepnie.

Franklin chwycił siostrzeńca za ramiona; jego palce wpijały się w skórę chłopca.

— Chcę, żebyś to sobie zapamiętał. Jeśli jeszcze raz będziesz niegrzeczny dla Michelle, jeśli kiedykolwiek spróbujesz zrobić jej krzywdę, sam cię za to ukarzę.

— Nie odważysz się! — wykrzyknął Steven. — Powiem mamie! Franklin zaczerpnął głębokiego oddechu.

— Nie będziesz musiał. Sam jej powiem.

Steven nie wiedział, co go opętało. W tym momencie jego nienawiść do Michelle zamieniła się w czystą furję. Odchrząknął powoli i plunął Franklinowi w twarz.

Franklin zachwiał się, jak gdyby ktoś go uderzył. Oślepił go nieprawdopodobny ból. Przez czerwoną mgłę ujrzał złą, szyderczo uśmiechniętą twarz Serge'a Picarda.

W sąsiednim pokoju dyrektor skoczył na równe nogi, kiedy usłyszał brzęk pękającego szkła.

Ujrzał, jak Franklin unosi Stevena w górę, a on usiłuje drapać go po twarzy. Nogi chłopca były zakrwawione po uderzeniu w szklane drzwi.

— Panie Jefferson!

Franklin warknął i jednym uderzeniem powalił dyrektora na podłogę.

— Ty mały draniu! — wrzasnął do Stevena. — Nigdy już nikogo nie skrzywdzisz! Przeważony dyrektor patrzył, jak Franklin Jefferson rzucił siostrzeńcem o drzwi.

Chłopiec krzyknął, kiedy ostre, szklane krawędzie wbiły się w jego ciało. On jest szalony! — pomyślał dyrektor.

Wstał i podbiegł do Franklina, który usiłował znowu dobrać się Stevenowi do skóry.

— Niech się pan trzyma od niego z daleka, sir! Jeśli jeszcze raz go pan dotknie, będę musiał wezwać policję!

Oślaniając chłopca, dyrektor patrzył, jak Franklin Jefferson cofa się, odwraca i biegnie przez korytarz, przewracając po drodze kilku uczniów i nauczycieli.

— Puście go! — krzyknął. Uklęknął obok Stevena, który leżał, jęcząc, na podłodze. —

Sprowadźcie pielęgniarkę, szybko!

— Czy mam wezwać policję? — zapytał ktoś.

— Nie, żadnej policji! — uciał dyskusję dyrektor.

Pomimo wszystko była to przecież szkoła Copperfielda, a co ważniejsze, chodziło o rodzinę Jeffersonów. Doskonale wiedział, co powinien zrobić.

Rose wróciła zadowolona do hotelu „Willard” po dniu spędzonym w Biurze

Grawersko-Driikarskim. Projekt czeku podróznego był idealny. Zjadła lunch z dyrektorem biura, uzgadniając ostatnie szczegóły, dotyczące druku, załadunku i środków bezpieczeństwa. W dużej czarnej teczce niosła próbny arkusz z pięćdziesięcioma czekami. Rose nie mogła się doczekać, aż pokaże je Franklinowi.

Szła szybko przez korytarz, kiedy podszedł do niej kierownik hotelu.

— Pani Jefferson, dzięki Bogu, że pani wróciła! — powiedział, a potem dodał: — Czy mogłaby pani przyjść do mojego biura? To pilne.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, kierownik wręczył jej kilka kartek Rose przejrzała je. Część pochodziła od Michelle, część od Mońka, a pozostałe od doktora Henry'ego Wrighta. Wiadomość była za każdym razem taka sama: Rose ma natychmiast zadzwonić do Nowego Jorku.

— Chciałabym skorzystać z pańskiego telefonu. Dziesięć minut później twarz Rose była szara jak popiół.

— To na pewno jakaś pomyłka.

— Obawiam się, że nie, Rose—odrzekł lekarz. — Proponuję, żebyś wróciła tak szybko jak to możliwe.

— Przyjadę wieczornym pociągiem. Dziękuję, Henry. Powiedziała kierownikowi, że natychmiast wyjeżdża. Poprosiła, żeby spakowano

jej rzeczy i zarezerwowano bilet kolejowy. Przez chwilę siedziała bez ruchu, starając się zrozumieć informację, przekazaną jej przez doktora Wrighta. To było niewiarygodne. Chyba że... Rose tak zapalczywie wykręcała numer, że złamała paznokieć. Kiedy w końcu dodzwoniła się do Talbot House, telefon odebrał Monk.

O godzinie pierwszej nad ranem następnego dnia Rose stała przy łóżku syna. Nocna lampka rzucała na twarz Stevena błękitne światło. Rose starała się powstrzymać łzy, kiedy patrzyła na bandaż na jego brodzie i czole.

— Nie ma żadnych trwałych obrażeń—powiedział doktor Wright. — Żadnych złamanych kości, a co najważniejsze, żaden odłamek szkła nie dostał mu się do oka. Miał szczęście. Dałem mu łagodny środek nasenny. Jutro będzie czuł się świetnie.

— Co się stało? — szepnęła Rose, gładząc Stevena po głowie.

Kiedy przyjechała do domu, przeszła obok Michelle i Mońka, którzy czekali na nią na dole, i pobiegnęła prosto do pokoju Stevena. Doktor Wright spojrzał na swoje buty.

— Dyrektor powiedział, że Franklin rzucił Stevena na szklane drzwi.

— To niemożliwe! Lekarz wrzucił ramionami.

— Musisz sama z nim porozmawiać.

— Czy powiadomiono policję?

— Nie.

Rose poczuła ulgę.

— Mogę chyba liczyć na twoją dyskrecję. Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

— Oczywiście—Henry Wright podniósł torbę. — Twój syn czuje się dobrze. Rose uwierz mi.

Przyjdę jutro i rzucę na niego okiem.

Nie słyszała, jak wychodzą. Siedziała przy Stevenie, trzymając go za rękę, i próbowała zapanować nad strachem, który dręczył ją przez całą drogę z Waszyngtonu. Jak Franklin mógł zrobić coś takiego?

Rose uważała Stevena za bardzo udane dziecko. Był klasowym przywódcą i cieszył się popularnością wśród innych chłopców. Nauczyciele i wychowawcy zawsze chwalili go za pracowitość. Nikt z domowników także nigdy się na niego nie skarżył.

Wyglądało na to, że brak ojca nie wpływa źle na Stevena, mimo to jednak Rose zawsze trzymała syna przy sobie, w Talbot House, nie chcąc wysłać go do szkoły z internatem. W ten sposób go chroniła i okazywała mu swojamiłość. To oczywiście nie znaczyło, że rozpieszczała syna. Dużo czasu poświęcała „Globalowi”, dlatego uczyła Stevena niezależności—sam musiał się o siebie zatroszczyć. W zamian za to Rose starała się wprowadzić syna do swego świata. Opowiadała chłopcu wspaniałe historie o dziadku i założonej przez niego spółce, którą pewnego dnia Steven przejmie po matce. Czowała ogromną satysfakcję, kiedy po takiej opowieści dostrzegała w oczach syna radosny błysk.

— Przykro mi, kochanie — wyszeptwała Rose. — To się już nigdy nie powtórzy. Przyrzekam.

Rose pocałowała syna w policzek i po cichu opuściła pokój. Steven policzył do dziesięciu, a potem otworzył oczy. Nie przejmował się zadrapaniami i siniakami. Był bardzo szczęśliwy. Teraz wreszcie matka się zorientuje, że wuj Franklin zwariował, a winę za to ponosi Michelle, i w jakiś sposób pozbędzie się tej Francuzki. Jeśli tego nie zrobi, miał jeszcze w zapasie kilka niespodzianek dla Michelle Lecroix.

— Gdzie jest Franklin?

Rose weszła do saloniku i stanęła naprzeciwko Mońka i Michelle.

— Nie ma go tu, Rose — odrzekła Michelle. — Nikt go nie widział od... od tego incydentu w szkole. Martwię się o niego...

— Nawet nie zadzwonił? — spytała Rose przerażona.

— Ani słowa — odrzekł Monk. — Kiedy Michelle nie mogła go znaleźć w „Globalu”, zadzwoniła do mnie. Skontaktowałem się z jego przyjaciółmi, telefonowałem do klubów. Nikt go nie widział. Rose usiadła na otomanie.

— Nie rozumiem. Dlaczego zniknął? — Spojrzała na Michelle, a w jej głosie pojawiły się ostrzejsze tony. — Coś się tu stało, prawda? Może mi wreszcie powiecie, co takiego?!

Michelle zawahała się. Mogła sobie wyobrazić, co czuje Rose na widok poranionego Stevena. Nie chciała sprawić jej przykrości, nie powinna jednak również ukrywać prawdy. Bez pośpiechu więc opowiedziała, co zdarzyło się w bibliotece i co odkryła w swojej sypialni.

— Nie wiedziałam, co o tym myśleć — rzekła. — Byłam przerażona. Zadzwoniłam do Franklina, a on zaraz przyjechał do domu. Kiedy zobaczył, co zrobił Steven, od razu poszedł do szkoły.

Rose nie wierzyła własnym uszom.

— Powiedziałaś Franklinowi, że to Steven pociął twoją bieliznę! Michelle' Nigdy me słyszałam czegoś równie śmiesznego! Steven nie mógłby tego zrobić

W oczach Michelle pojawił się błysk.

— Chcesz, żebym ci pokazała, do czego jest zdolny?

— Michelle, daj spokój. Histeryzujesz.

— Twój syn mnie nienawidzi—powiedziała spokojnie Michelle. — Jest tak od dnia, w którym przybyłam do tego domu.

Rose westchnęła.

— Teraz rozumiem. Wymyśliłaś jakąś historyjkę o incydencie, który zdarzył się rzekomo z winy Stevena, i przekonałaś Franklina, że to prawda, a on poszedł ukarać mojego syna.

— Nie ukarać, Rose — wtrącił Monk. — Dyrektor mówił, że Franklin zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Cieszę się, że Stevenowi nic się nie stało, ale martwię się o Franklina.

— Dowiem się, co zaszło w szkole — powiedziała szybko Rose. — Jeśli zaś chodzi o Franklina, to na pewno wstydzi się teraz swojego wybuchu.

— Z pewnością, Rose — odrzekła Michelle — ale tylko pod warunkiem że zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił. Skarżył się ostatnio na bóle i zawroty głowy. Nigdy przedtem na nic nie narzekał i nigdy się w ten sposób nie zachowywał. Dzieje się coś złego. Pójdę do doktora Harrisa.

— Co to da?

Michelle odwróciła się do Rose.

— Jeśli Franklin opuścił szkołę w gniewie, Bóg jeden wie, co mu się przydarzyło. On również mógł się pokaleczyć. Może miał wypadek...

— Michelle, przesadzasz...

— Może i tak, ale Franklin jest moim mężem. Zależy mi na nim nie mniej, niż tobie zależy na synu.

Kiedy Michelle wybiegła, żeby się ubrać, Rose wstała i pokręciła głową.

— Michelle niepotrzebnie się denerwuje. Na miłość boską, Franklin jest dorosłym mężczyzną. Traktujecie go jak inwalidę.

Rose sama przestraszyła się ostatniego słowa, które bezwiednie się jej wymknęło ale Monk nie zwrócił na to uwagi.

— Nie, Rose — odrzekł. — Dla Michelle jest on mężem, a dla mnie przyjacielem. A dla ciebie? Czy Franklin cię nie obchodzi?

— To był cios poniżej pasa, Monk — popatrzyła na niego zimno.

Rose skorzystała z okazji, żeby wyjść. Poszła na górę do swojego apartamentu i podniosła słuchawkę. Czas przypomnieć lekarzowi o ich kontrakcie i konsekwencjach, na jakie się narazi, jeśli nie będzie honorował porozumienia.

Trzypiętrowy dom Williama Harrisa znajdował się na rogu Park Avenue i Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Dzięki czekowi od Rose Jefferson Harris otworzył

gabinet na parterze, a na wyższych piętrach urządził wygodne mieszkanie. Było ono wystarczająco duże nawet dla małżeństwa. Kiedy zadzwoniła Rose Jefferson, William Harris marzył właśnie o uroczej pannie Jane Primrose, najstarszej i wciąż niezamężnej córce Primrose'ów z Murray Hill. William Harris naprawdę lubił tę nieśmiałą, smukłą, trzydziestoletnią kobietę. Uznał, że tworzyliby wspaniałą parę. Siedział teraz w biurze, popijając kawę, i zastanawiał się, czy jego plan na zawsze pozostanie tylko marzeniem. Usłyszał dzwonek do drzwi.

— Dobry wieczór albo raczej dzień dobry, pani Jefferson. Proszę wejść. Przepraszam, ale nie znam tego pana.

— Monk McQueen—powiedziała Michelle.—To najlepszy przyjaciel Franklina.

— Oczywiście. Jestem stałym czytelnikiem magazynu *Q*, panie McQueen. Obawy Williama Harrisa rosły. Nie jest trudno uspokoić zdenerwowaną żonę.

W ciągu wielu lat praktyki świetnie opanował tę sztukę. Oszukać takiego człowieka jak Monk McQueen to zupełnie inna sprawa. Harris będzie musiał zachować ostrożność.

— No dobrze—powiedział Harris, kiedy usiedli w jego biurze.—O co chodzi? Słuchał z rosnącym przerażeniem, jak Michelle opowiada, co się stało w szkole

Copperfielda, a także o omdleniach męża i zawrotach głowy.

— Pani Jefferson, dałem Franklinowi proszki. Czy je brał? Michelle wyjęła z torebki buteleczkę.

— Znalazłam to w apteczce.

Harrisowi zrobiło się słabo. Dał Franklinowi Jeffersonowi sto silnych tabletek przeciwbólowych i ostrzegł, że ma je zażywać tylko w razie potrzeby. Harris przypuszczał, że zapas starczy przynajmniej na rok. Teraz, pół roku później, buteleczka była prawie pusta.

Albo zażywał za dużo, albo jego stan pogarsza się szybciej, niż ktokolwiek mógł przewidzieć.

— Proszę, doktorze, co mu jest?

Prośba Michelle wstrząsnęła Harrisem. Wszystko, czego go uczono i co uważał za swój obowiązek, nakazywało mu powiedzieć tej kobiecie prawdę.

Jeśli to zrobię — pomyślał — Rose Jefferson mnie zrujnuje. Zabierze mi wszystko. Gdyby jej bratu coś się stało, dopilnuje, by Stanowa Izba Lekarska mnie zniszczyła.

Harris spojrział na Michelle i modlił się, by kiedyś mu wybaczyła.

— Pani Jefferson, jestem pewien, że nie ma powodu do zmartwienia. Ostatnie badania wykazały, że pani mąż cieszy się doskonałym zdrowiem. Trochę się niepokoję tymi bólami głowy, ale z tego, co wiem, są one spowodowane stresami związanymi z pracą. Pan Jefferson powiedział mi, że ostatnio ciężko pracuje. W tych

okolicznościach skontaktuję się oczywiście ze szpitalami. Trzeba sprawdzić, czy przypadkiem nie miał jakiegoś wypadku.

Jak wyjaśnić jego zachowanie, doktorze?—wtrącił się Monk.—Franklin nigdy nie miał gwałtownego charakteru. Czy domyśla się pan, czemu wpadł w taką wściekłość?

Harris starał się sprawić wrażenie, że jest zatroskany, lecz spokojny.

— Nie, panie McQueen. Jednakże kiedy tylko znajdziemy Franklina, chciałbym go dokładnie zbadać, bez względu na to, jak on sam wyjaśni ten incydent.

— Dziękuję, doktorze — powiedziała z wdzięcznością Michelle.

— To mój obowiązek. Jeśli zechcieliby państwo poczekać w poczekalni, zaraz zabralbym się do roboty.

— Czy jest tam telefon, doktorze? — spytał Monk.

— Oczywiście. Może pan z niego skorzystać.

— Do kogo dzwoniisz? — zapytała Michelle, kiedy znaleźli się w poczekalni. Monk zakrył dłonią mikrofon.

— Do największych hoteli. Z tego, co wiemy, Franklin mógł pójść do jednego z nich. Powinienem wpaść na to wcześniej.

Michelle uśmiechnęła się słabo. Była pewna, że Monk o tym pomyślał. Nie chciał tylko, żeby widziała, jak chwyta się każdej, choćby najmniejszej szansy.

Pół godziny później okazało się, że wysiłki obu mężczyzn nie przyniosły żadnego rezultatu.

— Co teraz zrobimy? — zapytała z obawą Michelle.

— Teraz — rzekł Monk — rozejrzemy się po ulicach.

Michelle była oszołomiona, widząc, dokąd zaprowadziły ich poszukiwania.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że chodzicie z Franklinem w takie miejsca — wysapała, kiedy szli po wąskim chodniku w dzielnicy nocnych lokali.

Pomiędzy Piątą Aleją a Dziewiątą, aż do Czterdziestej Ósmej Ulicy, znajdowało się mnóstwo pensjonatów, nocnych klubów, domów gry i burdeli. Patrząc na rozpadające się, drewniane budynki, Michelle miała wrażenie, że za chwilę zawałą się na nich. Na ulicach i chodnikach było pełno śmieci i okropnie śmierdziało.

— Wpadaliśmy tu i ówdzie w młodych latach—odpowiedział niezobowiązująco Monk. — Nie martw się. Wszyscy tu mnie znają.

Była to prawda. Bez względu na to, w jak ciemne i złowrogie miejsca trafiali, wszędzie witano Monka jak bratnią duszę. Barmani, prostytutki, oszuści wszelkiej maści szybko orientowali się, że sprawa jest poważna, i odpowiadali na wszystkie pytania. Nikt jednak nic nie wiedział o Franklinie.

— Czy jesteś pewny, że szukamy we właściwych miejscach? — zapytała nerwowo Michelle, kiedy Monk prowadził ją do nocnych lokali. O czwartej rano w „Silver Slipper” i „Les Ambassadeurs” zabawa szła na całego. Rej wiedli Jimmy Durante, Eddie Jackson i Hooper Lou Clayton.

— Niewiele zostało już miejsc, w których moglibyśmy go znaleźć—powiedział Monk.

Świt zastał ich na Lower East Side, na rogu Czternastej Ulicy i Trzeciej Alei. Mieszkali tu żydowscy emigranci, którzy przybyli z Rosji, Polski i Rumunii.

Michelle była zdumiona, widząc zatłoczone ulice pełne handlarzy, ludzi z wózkami i kobiet z dziećmi na rękę.

Chłodny poranek rozwiął ostatnie nadzieje Michelle. Postanowiła zadzwonić na policję zaraz po powrocie do Talbot House.

— Tylko to można zrobić — powiedział Monk, odgadując jej myśli. — Nie pozwól, by Rose cię od tego odwiodła.

Michelle zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Franklin jest moim mężem. Rose nie ma tu nic do powiedzenia.

Rose Jefferson zajmowała największą sypialnię w całym domu. Ściany były obite jedwabiem, a ręcznie robione meble z drzewa różanego wypolerowane na wysoki połysk. Na szafce widniały fotografie w srebrnych ramkach. Tam, gdzie dawniej stała kanapa, Rose stworzyła miniaturowy gabinet, w którego centrum znajdowało się eleganckie biurko w stylu Ludwika XIV.

Kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły padać na dywan, Rose wstała z łóżka i wyłączyła gazowe lampy. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Po raz pierwszy od wielu lat miała wrażenie, że wypadki wymknęły się jej spod kontroli.

Wytała twarz zimną, wilgotną gąbką, wyszczotkowała włosy i zeszła na dół, żeby zrobić sobie herbatę. Kiedy czekała, aż woda się zagotuje, zastanawiała się, gdzie są teraz Michelle i Monk. Przez cały czas czekała ze strachem na dzwonek telefonu. Telefon jednak milczał, co świadczyło o tym, że poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Zaniosła herbatę do biblioteki. Nie miała teraz wyboru. Trzeba było zawiadomić policję i zorganizować poszukiwania. Najpierw należało jednak wymyślić jakąś historyjkę dla prasy, która szybko zwietrzy, że coś się stało. Rose wykręcała właśnie prywatny numer komisarza policji, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

— Pani Rose Jefferson?

Zauważyła niebieski mundur i otworzyła drzwi.

— Och, Boże!

Pomiędzy dwoma policjantami stał Franklin w porwanym i brudnym garniturze, z podrapaną i zakrwawioną twarzą. Jego lewe oko prawie zniknęło pod paskudnym siniakiem, który właśnie zaczął zmieniać kolor. Rose objęła brata i pogładziła po zmierzwionych włosach.

— Pomóżcie mi go wprowadzić!

Rose zaprowadziła Franklina do saloniku i posadziła w fotelu. Podała mu filiżankę.

— Co się z tobą działo?

Franklin patrzył na nią pustym wzrokiem. Zamrugał, a dwie łzy spłynęły mu powoli po policzkach.

— Nie wiem — wyszeptał. — Nic nie pamiętam... Zakłopotani policjanci zaszurali nogami. Znaleźliśmy go w Bowery, pani Jefferson — powiedział Irlandczyk.

— Wygląda na to, że szkoda została wyrządzona, zanim się na niego natknęliśmy. Na szczęście wciąż miał portfel. Pieniądze oczywiście zniknęły, ale złodziej nie zabrał prawa jazdy.

— Rozumiem — wymruczała Rose.

Widok Franklina rozdzierał jej serce. Wiedziała jednak, co powinna teraz zrobić.

— Czy mogliby panowie pójść ze mną?

Rose zaprowadziła policjantów do biblioteki i poprosiła, żeby poczekali. Sama zadzwoniła do komisarza. Kilka minut później podała słuchawkę Irlandczykowi, który stanął na baczność, kiedy usłyszał głos przełożonego. Widząc potulną minę policjanta, Rose zorientowała się, że wszystko jest na właściwej drodze.

— Jestem wam wdzięczna—powiedziała, kiedy Irlandczyk odłożył słuchawkę.

— Dopilnuję, żebyście otrzymali odpowiednie wynagrodzenie. Obaj policjanci zasalutowali.

— Wykonujemy tylko naszą pracę, proszę pani. Nikomu nie stała się żadna krzywda, nie sporządzimy więc raportu.

— Tak będzie najlepiej.

Odprowadziła ich do wyjścia, a potem pospieszyła do saloniku.

— Czy Michelle jest na górze?

— Szuka ciebie razem z Monkiem. Mogą wrócić w każdej chwili. Franklinie, proszę, zwołajmy Albany'ego, niech przygotuje ci kąpiel. Musisz zmienić ubranie. Zadzwonię również do doktora Harrisa...

Franklin podniósł rękę.

— Czy Steven dobrze się czuje? Rose opuściła wzrok i skinęła głową.

— Pamiętasz więc...

— Tylko to, że kłóciłem się z nim i uderzyłem go. Nie pamiętam, co było potem.

— Nic mu nie będzie, Franklinie. Później możesz z nim porozmawiać i...

— Nie, Rose. To ty powinnaś z nim porozmawiać. Rose była zaskoczona ostrym tonem Franklina.

— O co ci chodzi?

— Czy Steven powiedział ci, jak się zachował wobec Michelle i co jej zrobił?

— Słyszałam wersję twojej żony — powiedziała chłodno Rose. — Szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć.

Franklin pokręcił głową.

— Steven przyznał się przede mną do wszystkiego.

— Franklinie, to absurd! Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać.

— Nie, Rose. Teraz o tym porozmawiamy. Już dawno powinienem z tobą pomówić. Czy nie rozumiesz? Steven przejął to po tobie.

— Po mnie?!

— Tak, Rose. Od dnia, w którym Michelle zamieszkała w tym domu, starałaś się na wszelkie sposoby uprzykrzyć jej życie. Wiedziałaś, że nie była wychowywana tak jak my, zamiast jednak jej pomóc, poniżałaś ją przed swoimi przyjaciółmi i ośmieszałaś wszystko, co zrobiła. Kiedy doszłaś do wniosku, że nie jest dla mnie wystarczająco dobra, starałaś się za wszelką cenę postawić na swoim. Twoim celem było rozbitcie naszego małżeństwa.

Rose roześmiała się.

— To czysta fantazja! Owszem, niepokoiłam się, bo me nie wiedziałam o Micheiie...

— Wcale nie chciałaś jej poznać—przerwał Franklin. —Pozwól, że powiem ci o mojej żonie coś, o czym ona nigdy nie opowiada. Micheiie jest większą bohaterką niż ja. Kiedy leżałem ranny w Saint Eustace, Micheiie oddała siebie, żeby tylko mnie ratować.

Rose zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

— Pewien kolaborant odkrył, że Micheiie mnie ukrywa. Sypiała z mm, żeby me zawiadomił Niemców, którzy od razu by mnie zastrzelili. Nie wyobrażam sobie bardziej przekonującego dowodu odwagi i miłości, a ty?

W oczach Rose pojawił się chłód.

— Moim zdaniem zachowała się jak dziwka — powiedziała bezbarwnym tonem. — Wykorzystała cię i emocjonalnym szantażem zmusiła do małżeństwa.

— Jak możesz tak mówić?!

— Bo to prawda! Micheiie Lecrobc przyniosła ze sobą tylko kłopoty. — Rose pochyliła się do Franklina i wzięła go za rękę.—Zawsze starałam się robić to, co dla nas najlepsze, Franklinie. Jesteśmy rodziną. .

— Nie chcesz jednak zrozumieć, Rose, że Micheiie jest częścią naszej rodziny. Jeśli robisz jej krzywdę, krzywdzisz nas wszystkich, a zwłaszcza mnie.

W korytarzu słychać było głosy. Franklin spojrzął na siostrę, ale Rose pokręciła głową.

- Bardzo cię kocham, Rose. Żałuję tylko, że Bóg nie dał ci więcej życzliwości patrzyła, jak Franklin powoli wychodzi z pokoju, i zdusiła szloch, kiedy usłyszała dobiegające z zewnątrz okrzyki ulgi.

Następnego dnia Franklin Jefferson wraz z żoną poszli odwiedzić doktora Williama Harrisa. Po dokładnym badaniu Harris oświadczył, że pomijając zadrapania i siniaki, Franklinowi nic nie dolega.

— Ostrzegałem pana przed tymi pigułkami - powiedział, wskazując błękitną buteleczkę. - Są bardzo silne. Na pewno wziął pan tabletkę, a potem wypił kilka drinków. Tylko to mogło spowodować utratę przytomności.

Micheiie spojrzała na Franklina.

— Czy tak właśnie było?

— Pewnie tak — Franklin wzruszył ramionami.

- Micheiie nie była przekonana. Franklin rzadko pił coś więcej niż wino do obiadu. Liczyła się jednakzopinią Harrisa. Harris służył w wojsku i rozumiał Franklma. Poza tym widziała, że lekarz jest dokładny i sumienny.

— Doktorze - powiedziała z wahaniem. - Proszę, niech pan nie myśli, że kwestionuję pańską diagnozę, ale czy nie jest możliwe, że to, co się stało, jest skutkiem dawnej rany Franklina?

— Pani Jefferson, przyznaję, że noszenie w głowie kawałka metalu nie wydaje się czymś naturalnym - odrzekł Harris, uśmiechając się pobłaźliwie. - Są jednak tysiące żołnierzy, którzy prowadzą z tym zupełnie normalne życie. Jestem pewien, że bóle głowy są skutkiem przepracowania. W wakacje mogłyby wszystko na

— Wiesz to me jest zły pomysł — powiedział Franklin, kiedy wyszli z biura **Harrisa**. — Nigdy me mieliśmy prawdziwego miesiąca miodowego

— Jest nim dla nas każdy dzień.

Jednakże Michelle wciąż zastanawiała się nad słowami Harrisa. Była kiedyś pielęgniarką. Wiedziała, że lekarze czasami ukrywają prawdę. W zachowaniu **Harrisa** coś ją zaniepokoiło. Michelle nie wiedziała co.

— Cóż, jeśli nie miesiąc miodowy, to może to pozwoli ci zapomnieć o kłopotach - Franklin wręczył Michelle dokument. - Sześciomiesięczna umowa wynajmu umeblowanego domu. Naszego domu, Michelle.

Michelle patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Och, Franklinie!

Właśnie w tym momencie, kiedy Michelle już myślała, że sprawy obrócą się na lepsze, zdała sobie sprawę, co ją niepokoiło: doktor William Harris zrobił wszystko by ją pocieszyć, ale nie odpowiedział tak naprawdę na jej pytanie

W słotny styczniowy dzień Monk McQueen precisiął się do baru, przy którym klienci z ponurymi minami wychylali drinki. Spojrzał smutno na swoje odbicie w lustrze, a potem rzucił okiem na klientów, którzy prawie płakali do kieliszków.

To miejsce nigdy już nie będzie takie samo — pomyślał. — Zmieni się również atmosfera milionów barów w całym kraju.

Tego dnia, 16 stycznia 1920 roku, Kongres uchwalił osiemnastą poprawkę do konstytucji, tzw. Ustawę Volsteada, na mocy której prohibicja stała się prawem federalnym.

Monk nie przejmował się jednak Volsteadem ani jego idiotyczną ustawą. Obchodził go jedynie wyjazd najlepszych przyjaciół, Franklina i Michelle.

Wszystko zaczęło się od decyzji Franklina, żeby wyprowadzić się z Talbot House. Ku powszechnemu zdziwieniu i wielkiej radości Mońka Michelle rozkwitła, kiedy stała się panią pięknego domu na Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, niedaleko Central Parku. Podczas pierwszej wizyty przekonał się z zachwytem, że udało jej się zamienić oficjalną rezydencję ambasadora w wesoły, przestronny dom. Wszędzie widać było świeże kwiaty, piękne antyki i starannie dobrane obrazy, między innymi van Gogha, którego podarowała Franklinowi na urodziny.

Kiedy dom był gotowy, Michelle zorganizowała przyjęcie, na które przyszli prawie wszyscy przyjaciele Franklina i paru członków nowojorskiej socjety. Rose była jednak nieobecna.

— Wysłałam jej zaproszenie — zwierzyła się Monkowi Michelle. — Pewnie miała już jakieś towarzyskie zobowiązania.

— Powinna żałować — odpowiedział, patrząc na Michelle z nie ukrywanym podziwem.

Przyjaciółka nosiła piękną suknię z ostatniej kolekcji Madeleine, uszytą z czarnego aksamitu połączonego z szarym jedwabiem. Na szyi miała sznur pereł i szmaragdów.

— Jesteś najpiękniejszą dziewczyną w tym domu.

— Dziękuję, miły panie — odpowiedziała, starając się nie zarumienić. Michelle nie zamawiała potraw u restauratorów, którzy zwykle obsługiwali przyjęcia organizowane przez nowojorską śmietankę towarzyską. W każdą sobotę chodziła wraz z MonMem po bazarach w Greenwich Village i Lower East Side—odwiedzali także miejsca, w których robił zakupy Monk. W rezultacie, przyjęcia" Michelle były niezwykle i odniosły natychmiastowy sukces. Pani domu częstowała gości najlepszym „ptakiem podwórzowym" (czyli kurczakiem) z Harlemu, „strunami" (czyli spaghetti), plackami kukurydzianymi, słodkimi ziemniakami i czarnym grochem. U Moskowitza i Lupowitza na Essex Avenue kupowała wspaniałą paprykę a Rappaport dostarczał sałatki z łososia, siekany szpinak, jajka oraz sałatki z jesiotra' Kupcy z Chinatown, gdzie kwitł handel opium i żywym towarem, zaczęli rozpoznawać twarz Michelle. Poszukiwała w tej dzielnicy egzotycznych przypraw i składników. W jej domu można było spotkać utalentowanych ludzi ze wszystkich dziedzin życia — artystów, pisarzy, biznesmenów, nowobogackich, a nawet kilka osób z wielkiego świata.

Monk wkrótce zorientował się, że Michelle miała większe ambicje niż organizowanie udanych przyjęć. Zapytała go, gdzie mogłaby nauczyć się czegoś o biznesie. Podał jej więc nazwiska kilku profesorów z wydziału handlu na uniwersytecie Columbia. Kiedy następnym razem spotkał się z Michelle, ona zdążyła już zaangażować trzech z nich jako prywatnych nauczycieli.

Monk wiedział, że musiała wycierpieć w Talbot House, dlatego cieszył się ze zmiany w jej życiu. Podziwiał wytrwałość i upór przyjaciółki. Michelle uczyła się a jednocześnie, kiedy tylko mogła, pomagała Franklinowi, który był w tym okresie bardzo zapracowany. Informatorzy Mońka z Wall Street twierdzili, że Franklin prowadzi trudne negocjacje z bankami. Chodziło o wysokość prowizji ze sprzedaży przekazów pieniężnych — jedna dziesiąta procent mogła tu oznaczać zysk rzędu setek tysięcy dolarów. W tym samym czasie zajmował się zatrudnianiem nowych pracowników.

— Czy nie sądzisz, że Franklin pracuje zbyt ciężko? — pytał Monk Michelle przy wielu okazjach.

— Właśnie dlatego staram się nauczyć jak najwięcej o prowadzeniu interesów — odrzekła. — Chcę coś dla niego zrobić, a nie tylko urządzić interesujące przyjęcia

Monk wiedział bardzo dużo o zwyczajach finansistów, mógł więc informować Michelle o wielu drobnych szczegółach, niezbędnych dla gospodyni. Mówił przyjaciółce, jakie są ulubione potrawy klientów męża, jakie lubią trunki i jakie palą cygara. Michelle śledziła na bieżąco wszystkie spory i rywalizacje i starała się nigdy nie zapraszać konkurentów jednocześnie. Coraz bardziej angażowała się w pracę męża. Monk często słyszał, jak przy śniadaniu Franklin pyta żonę, co sądzi na temat tego czy innego gościa. Komentarze Michelle były zawsze zwięzłe i rozsądne.

Monk bardzo lubił spędzać czas z Franklinem i Michelle, nie podejrzewał jednak, że w tej ciepłej i wesołej atmosferze wykluwa się coś nieoczekiwanego. Odkrył to

dopiero w przeddzień wyjazdu Jeffersonów i był zszokowany. Nie mógł zdobyć się na to, by odprowadzić ich na przystań. Zamiast tego zaprosił przyjaciół do „Waldorfa” na obiad z szampanem. Zniósł jakoś wszystkie toasty, łyż i obietnice, że będą do siebie pisać. W końcu powierzył Jeffersonów opiece kierowcy. Kiedy tylko zniknęli mu z oczu, poczuł w sobie pustkę. Przez cały czas był tak szczęśliwy, że aż do tej pory nie zauważył, co się z nim dzieje. Zakochał się w Michelle, po prostu nie wiedząc, jak ani dlaczego. Siedział teraz w barze i był bardzo zadowolony, że dzieli ich od siebie rozległy przestwór Oceanu Atlantyckiego.

Rose liczyła dni do wyjazdu Frariklina, jednakże ani w domu, ani w biurze nigdy nie poruszała tego tematu. Również otaczający ją ludzie nauczyli się, że nie powinni o tym wspominać. Rose ukrywała cierpienie za gorączkową aktywnością. Całą energię poświęcała rozkręcaniu interesu związanego z przekazami pieniężnymi. Kiedy rozeszły się wieści o umowach zawartych z dużymi bankami, telefon Rose dzwonił bez przerwy. Zauważyła z zadowoleniem, że małe banki reagowały dokładnie tak, jak chciała: ich dyrektorzy wiedzieli, że jeśli wielkie instytucje spodziewają się zysków, to oni także powinni na tym zarobić.

W dniu wyjazdu Jeffersonów Rose nie chciała zjeść obiadu z Franklinem, Michelle i Monkiem. Zamiast tego pojechała ze Stevenem na przystań, z której odpływał „Neptun”. Oczekała do ostatniej chwili i weszła do poczekalni dopiero wówczas, gdy była absolutnie pewna, że Michelle jest już na pokładzie.

— Nie chciałaś się z nią nawet pożegnać — powiedział ze smutkiem Franklin. Rose położyła bratu rękę na policzku.

— Proszę, nie kłóćmy się. — Zmusiła się do uśmiechu. — Musisz do mnie zatelegrafować, kiedy tylko dotrzesz do Londynu — nalegała. — Udaj się najpierw do banku Barclays, do sir Manfreda Smitha. On się ciebie spodziewa...

Franklin roześmiał się.

— Rose, mówiliśmy o tym co najmniej sto razy. Rose nie upierała się.

— Masz rację, przepraszam. — Potem dodała: — Nie zapomnij skontaktować się z twoim nowym lekarzem, sir Dennisem Pritchardem. Harris bardzo go polecał.

Franklin skinął głową i nagle spoważniał.

— A co z tobą, Rose? Poradzisz sobie?

— Nie bądź głupi! — roześmiała się nerwowo. — Oczywiście, że tak. Dlaczego nie?

— Chciałbym po prostu, żeby ktoś był przy tobie.

— Mam Stevena — powiedziała Rose.

— Wiesz, o co mi chodzi. Może powinnaś znaleźć sobie nowego męża.

— Miałam już męża, Franklinie, i oboje wiemy, jak to się skończyło.

— Mimo to wciąż nie tracę nadziei, że jakoś ci się ułoży.

Rozległ się dzwonek, który zawiadamiał pasażerów, że czas wsiadać. Rose objęła brata.

— Powodzenia! — wyszeptała.

— Kocham cię, Rose!

Patrzyła, jak Franklin wchodzi po trapie. Kiedy „Neptun” odpływał, na odprowadzających posypał się grad wstążeczek i konfetti. Obserwowała statek dopóki nie stał się niewyraźną plamą na horyzoncie.

— Możemy iść do domu, mamo? Rose odwróciła się do syna.

— Oczywiście, kochanie.

- Tylko ty mi pozostałaś – pomyślała. - Osiągniesz to, czego nie zdołał dokonać Franklin. Jesteś moją jasną, słoneczną nadzieją, moim synem.

Kiedy jednak szła do samochodu, nie myślała o odległej przyszłości, która czekała Stevena.

Musiała się zająć pilniejszymi sprawami. Franklin powiedział, że Rose kogoś potrzebuje i zabrzmiało to ironicznie. Owszem, potrzebowała kogoś, lecz nie męża. Kochała Franklina, ale wiedziała, że nie ma wyboru i musi znaleźć kogoś na jego miejsce. Zadrzała, kiedy pomyślała, jak smutne będą jej poszukiwania.

Kiedy Michelle weszła na pokład „Neptuna”, miała wrażenie, że przekroczyła próg luksusowego hotelu.

Z podręcznika etykiety obowiązującej na statku dowiedziała się, że pierwszy wieczór na morzu był uważany za nieformalny. Mężczyźni nie musieli wkładać fraków, a kobiety mogły się ubrać w sukienki koktajlowe. Michelle wybrała dla siebie aksamitną suknię ozdobioną brylantami oraz fantazyjne nakrycie głowy z czarnymi piórami i diamentami. Kiedy przeglądała się w lustrze, zastanawiała się, czy nie wygląda zbyt awangardowo.

Nie musiała się martwić. Tego stycznia na kontynent wracali bogaci, utytułowani Europejczycy i było ich więcej niż Amerykanów. Michelle została przedstawiona księciu Chambord, który upierał się, żeby mówiła do niego „Christophe”, a także jego energicznej angielskiej towarzysze, lady Patrycji Farmington. Później, przy kolacji, spożywanej przy kapitańskim stole, Christophe odwrócił się do Michelle i powiedział:

— Przepraszam, madame Jefferson, ale jestem pewien, że skądś panią znam. Może z Paryża?

— Nie sędzę — wymruczała Michelle.

Księcia to nie zniechęciło. Przez cały czas przyglądał się badawczo Francuzce. Jego pytania były dociekliwe, choć bardzo grzeczne.

— Oczywiście, już wiem, kim pani jest! — krzyknął w końcu. Postukał widelcem w kieliszek, aby wszyscy zwrócili na niego uwagę.

— Panie i panowie — oświadczył. — Miło mi oznajmić, że właśnie odkryłem wielką tajemnicę. Czarująca kobieta po mojej prawej stronie, którą wszyscy znacie jako madame Jefferson, to nikt inny jak Michelle Lecroix, bohaterka mojego kraju

— i prawdziwa córka Francji.

Michelle zarumieniła się, kiedy Christophe zaczął opowiadać gościom o jej wojennej przeszłości.

— Do twarzy pani ze skromnością, madame — zakończył książkę. — Dzielnie jednak służyła pani krajowi i z tego względu nie powinna pani protestować przeciwko należnym hołdom.

Kapitan kazał natychmiast podać szampana. Wzniesiono toasty.

— Jestem z Ciebie bardzo dumny, Kochanie — wyszeptał Franklin.

— Nie zapominajmy również o dzielnym monsieur Jeffersonie — dodał książkę Chambord. —

Przyznano mu przecież Legię Honorową.

Franklin wstał i podziękował za uznanie.

Po tym pierwszym wieczorze Michelle i Franklin znaleźli się w centrum życia towarzyskiego. Na kominku w ich kabinie leżały liczne zaproszenia, na których widniały herby i nazwiska najznakomitszych osobistości w Europie.

— Franklinie, nie sposób zdecydować, które z nich mamy przyjąć! — zawołała Michelle.

Franklin znalazł proste rozwiązanie.

— Przyjmijmy wszystkie! — odparł.

Michelle nagle odkryła, że europejskie panie domu proszą ją o rady dotyczące amerykańskich gości i menu.

— Nie wiem, co bym bez pani zrobiła — wyszeptała Michelle do ucha włoska księżna po jednym z takich obiadów. — Ci Amerykanie są bardzo dziwni. Ich maniery są takie *nouveau*, nie sądzi pani?

Przez pierwsze kilka dni Michelle czuła się na „Neptunie *” jak w niebie. Miała tak dużo zajęć, że nie starczało jej na wszystko czasu. Mimo to starała się spędzać każdego popołudnia kilka godzin sam na sam z Franklinem, aby omówić strategię postępowania w sprawie czeków podróżnych.

Analizowali sytuację banków, do których chcieli się zwrócić, ich aktywa, liczbę oddziałów i co najważniejsze, związki z Cookami. Rozmawiali o dyrektorach banków, ich charakterach i karierze zawodowej, i zastanawiali się, jak ustosunkują się do propozycji „Globalu”.

Te rozmowy były długie i dotyczyły skomplikowanych problemów, podnosiły jednak Michelle na duchu. Na ironię zakrawał fakt, że tak szczęśliwe chwile spędziła wcześniej z Franklinem tylko na wojskowym statku transportowym, który przywiózł ich do Ameryki. Każdego dnia coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że nic nie może stać pomiędzy nimi.

Mówiło się, że na żadnym innym statku, pływającym po Atlantyku, nie ma tak luksusowego salonu jak na „Neptunie”. Pasażerowie mieli do dyspozycji małe kasyno z ruletką, a także osobne pomieszczenia, w których grano w karty o wysokie stawki.

Czwartego wieczoru podróży Franklin Jefferson siedział przy zielonym stoliku na wygodnym skórzanym krześle obok innych graczy. Grano w pokera o stawki rzędu kilkuset dolarów.

Franklin rzucił na stół kilka żetonów, odwrócił jedną kartę i poprosił krupiera

o następną, zaczął masować sobie skronie. Znow pojawiły się bóle głowy, jeszcze gorsze i trwające dłużej niż dawniej. Franklin sięgnął ręką do kieszeni i poczuł ulgę, natrafiając na buteleczkę z proszkami. Nie wspominał o tym Michelle, gdyż nie chciał jej niepotrzebnie martwić. Królowe w ręku Franklina pokonały damy przeciwników. Franklin zgarnął wygraną Popijał koniak, wyciągnął ulubione cygaro i czekał na nowe rozdanie. Nagle usłyszał strzał z karabinu.

— Gdzie jest Trawka? — spytał Franklin.

Dziesięciu graczy przy stoliku spojrzalo na niego ze zdziwieniem. Zachichotali i gra potoczyła się dalej.

— Pytałem, gdzie jest Trawka! . Puls Franklina był przyspieszony. Muzyka zamieniła się w ostrzał artyleryjski,

głosy i śmiechy w krzyki żołnierzy wybiegających z okopów.

— Nie! To niebezpieczne! Trawka, nie wychodź!

Franklin zerwał się z krzesła, pociągnął sąsiada na podłogę i przykrył go własnym ciałem.

— Czekają na nas, nie widzisz? — wyszeptał. Chwyił mężczyznę za głowę i zaczął ją kołysać.

— Och, Trawka, dlaczego mnie nie posłuchałeś!

— Nie wiemy, co się stało, pani Jefferson - powiedział lekarz okrętowy. —Przed chwilą grał normalnie w karty i nagle zaczął zachowywać się tak, jak gdyby ktoś go zaatakował. . i

Michelle patrzyła, jak mąż niespokojnie śpi w łóżku. Franklin jęczał i ścisnął prześcieradło, jak gdyby usiłował odpędzić męczące go koszmary. Michelle wyprowadziła lekarza z sypialni.

- Mój mąż był na wojnie—powiedziała. - Tak jak wielu mężczyzn, widział straszne rzeczy. Czasami nie może się opanować...

Lekarz, również weteran wojenny, wysłuchał tego ze zrozumieniem

- Proszę, pani Jefferson, niech pani zadba o to, żeby mąż zażywał lekarstwa. Ja porozmawiam z kapitanem.

Po wyjściu lekarza Michelle usiadła na krześle koło łóżka. Zajął się mężem; wycierała mu pot z czoła i starała się zapomnieć o strachu. Dużo później, kiedy Franklin pogrążył się wreszcie w głębokim śnie, Michelle wyjęła notatki, które robiła w czasie rozmów z doktorem Williamem Harrisem. Wiele razy odczytywała te strony przy świetle gazowej lampy, szukając wskazówki, która pomoże jej zrozumieć, co się dzieje z Franklinem. Kiedy kładła się do łóżka, dręczyło ją jedno straszne pytanie: Co ukrywał doktor William Harris?

Pierwszą rzeczą, którą poczuł Franklin po obudzeniu, był zapach jego potu. Szybko zdjął wilgotną piżamę i wykapał się. Kiedy się ubierał, zauważył na szafce żetony do gry

w pokera — najwyraźniej nieźle mu się powiodło wczorajszego wieczoru. To zabawne, ale nie pamiętał, jak wrócił do kabiny.

Kiedy spojrzął w lustro, zauważył, że Michelle mu się przygląda.

— Dzień dobry, kochanie — powiedział, całując ją. — Spaliśmy dzisiaj do późna, prawda?

— Jak się czujesz, mój drogi? — Uśmiechnęła się Michelle.

— Ja? Nigdy nie czułem się lepiej. Spójrz—ftariklm wyciągnął do niej dłoń pełną żetonów.

—Możemy zrobić furorę w sklepie z upominkami. Zejdiesz na śniadanie?

— Oczywiście.

— W takim razie do zobaczenia na dole.

Kiedy Franklin wyszedł, Michelle ukryła twarz w poduszkach. Najwyraźniej mąż nic nie pamiętał. Nie wiedziała, co bardziej ją przestraszyło: niezwykle zachowanie Franklina czy ta utrata pamięci. Michelle przysięgła sobie, że kiedy tylko przyjadą do Londynu, zabierze Franklina do jego nowego lekarza, sir Dennisa Pritcharda.

Ostatniego wieczoru na morzu Michelle i Franklin przyjęli zaproszenie na przyjęcie, organizowane przez ich nowych przyjaciół, Christophe'a i Patrycję. Lady Patrycja, sto dwadzieścia funtów żywej energii, ucałowała Michelle trzy razy.

— Czy uwierzysz w to?—powiedziała wesoło. —Zanim poznałam Christophe'a, na samą myśl o pocałowaniu obcej osoby dostałabym gęsiej skórki! Nie chcę przez to powiedzieć, że ty jesteś obca, kochanie...

Michelle lubiła Patrycję, która chwyciła życie oburącz i starała się wycisnąć z niego wszystkie możliwe przyjemności. Chciała uchodzić za kapryśną osóbkę, w rzeczywistości miała jednak bystry umysł. Nie uszło to uwagi Michelle.

Kiedy zaczęli przychodzić pierwsi goście, Michelle wraz z Patrycją sprawdzały, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik. W tym rozgardiaszu Michelle nie zauważyła nieobecności Franklina, dopóki nie wspomniał o tym Christophe.

— Pójdę po niego — zaproponował.

— Nie trzeba — powiedziała szybko Michelle. Christophe wziął ją za rękę.

— Wszyscy na pokładzie wiedzą, co się stało wczoraj w salonie. Niektórzy sądzą, że Franklin za dużo wypił, inni myślą, że ma epilepsję. Byłem na froncie, Michelle. Człowiek nie może tak po prostu zapomnieć o wszystkim, co tam się działo. Proszę, pozwól, że z tobą pójdę.

Wzruszona jego troskliwością Michelle zgodziła się. Kiedy weszli do kabiny, była z tego zadowolona. Na dywanie leżały odłamki szkła z potłuczonych lusterek. Ktoś przewracał meble, pozrywał zasłony i obrazy. Z sypialni dobiegał słaby jęk.

— Wezwę lekarza — wyszeptał Christophe.

— Nie! Chcę go najpierw zobaczyć.

Otworzyła drzwi do sypialni i stanęła przerażona. W rogu leżał Franklin. Zwymiotował na własne ubranie.

— Michelle... Michelle, oni tu idą. Znajdą mnie!

Jego urywany głos i strach w oczach przeniosły Michelle w dawne czasy. *Myśli, że jest w stodole i ukrywa się przed Niemcami!* Michelle wzięła do ręki prześcieradło i uklękła przy boku męża.

Mówiąc do mego po francusku, tak jak kiedyś, wytarła go najlepiej jak potrafiła.

— On potrzebuje lekarza, Michelle — powiedział Christopher.

— Nie, potrzebuje mnie! Proszę, idź i powiedz wszystkim, że Franklin źle się czuje. Wiesz, co masz mówić. — Przerwała na moment. — Ufam ci, Christophe — dodała.

— Jeśli tak uważasz... — odparł niepewnie.

— Tak będzie najlepiej. Pozwól, że się nim teraz zajmę. Jeśli jego stan się pogorszy, obiecuję, że cię wezwę.

Christophe wolałby zostać, wyszedł jednak, gdyż sądził, że w tych okolicznościach powinno się pozwolić Franklinowi Jeffersonowi na zachowanie resztek godności.

Michelle przeciągnęła Franklina do łazienki i odkręciła kurki. Szybko posprzątała pokój, a potem umyła męża i podała mu szklanekę wody, do której wrzuciła dwa łagodne proszki nasenne.

Godzinę później padła z płaczem na łóżko. Starła się myśleć tylko o tym, że jutro będą już w Londynie, gdzie natychmiast zabierze Franklina do lekarza. Aż do tego momentu nie spuści go z oka.

Właśnie zamierzała się przebrać, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Sądząc, że to Christophe, pobięła otworzyć.

— Przepraszam za najście, pani Jefferson — powiedział kapitan. — Czy mogę wejść?

Bez słowa skinęła głową. Trzeba przyznać, że kapitan nie powiedział ani słowa

o zniszczonym apartamencie.

— Pani Jefferson — rzekł łagodnie. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli przeniesiemy pani męża do izby chorych.

— Doceniam pana troskę, kapitanie... — zaczęła Michelle.

— Obawiam się, że muszę nalegać. Bardzo mi przykro z powodu jego choroby, ale sama pani widzi, że stanowi on zagrożenie zarówno dla innych pasażerów, jak

1 dla siebie samego. W tych okolicznościach nie mam wyboru. Pani mąż musi przebywać w odosobnieniu, dopóki okręt nie zawinie do portu.—Kapitan dotknął jej ramienia. — Jeśli pani pozwoli, poproszę, żeby czekał na nas ambulans.

— To nie będzie konieczne, kapitanie — odparła Michelle. — Chciałabym jednak skorzystać z pańskiego telefonu.

— Oczywiście, pani Jefferson. Z kim mam panią połączyć?

— Z doktorem Dennisem Pritchardem, Harley Street, Londyn.

24.

Osiem dni po ich wyjeździe Rose dostała wiadomość, że brat dojechał bezpiecznie na miejsce i wraz z Michelle wprowadził się do nowego domu. Wysłała więc telegram z życzeniami i prosiła Franklina, żeby dał jej znać, kiedy tylko zacznie rozmowy z brytyjskimi bankami. Właśnie wychodziła z biura, gdy zadzwonił doktor Harris.

— Otrzymałem przed chwilą pilną wiadomość od sir Dennisa Pritcharda z Londynu — poinformował ją. — Chce, żebym przysłał mu jak najszybciej kartę chorobową Franklina. Rose była niewzruszona.

— W takim razie niech pan mu wyśle wyniki ostatnich badań. Po drugiej stronie nastąpiło wahanie.

— Pani Jefferson, czy nie sądzi pani, że byłoby lepiej, gdyby Pritchard wiedział wszystko? Te informacje byłyby oczywiście poufne.

Niewątpliwie — pomyślała Rose.

Czy mogła jednak ufać dyskrecji Pritcharda? Nie знаła go przecież osobiście. Mógł się okazać człowiekiem twardszym od doktora Harrisa.

— Wystarczą wyniki ostatnich badań — powiedziała zdecydowanie Rose. — Jeśli postanowi pan coś do tego dodać, to mam nadzieję, że ostrożnie będzie pan dobierał słowa.

Lekarz z Londynu nie wspominał w swoim telegramie o wypadkach na pokładzie „Neptuna”, dlatego doktor Harris postanowił nie klócić się z Rose. Wiedział zresztą z góry, że przegrałby ten spór.

W ciągu trzech miesięcy przedsięwzięcie przekazu pieniężnego „Globalu” odniosło oszałamiający sukces. Zyski ze sprzedaży sięgnęły już pięciu milionów dolarów i wszystko wskazywało na to, że nadal będą rosły. Rose zatrudniła dodatkowych pracowników i kupiła nowy budynek koło biura na Lower Broadway.

Twierdziła, że daje swoim kierownikom wolną rękę, w rzeczywistości jednak trzymała ich krótko. Każdego z nich starała się poznać osobiście. Rejestrowała ich przyzwyczajenia zawodowe, stan cywilny, zalety, wady i ambicje. Zauważyła z zadowoleniem, że wszyscy są oddani spółce, częściowo dlatego, że pobierali procent od każdej zawieranej transakcji. Jeden z nich usuwał jednak w cień wszystkich pozostałych.

Po nagłej śmierci kierownika, którego mianował Franklin, chicagowski oddział przekazów pieniężnych przejął młody człowiek Harry Taylor. Z ksiąg rachunkowych Rose dowiedziała się, że od czasu jego nominacji oddział w Chicago zawarł więcej transakcji niż jej główne biuro. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nie widziała tego dwudziestopięcioletniego mężczyzny. Rubryka kosztów podróży wykazała, że nigdy nie był w Nowym Jorku i nigdy nawet nie zjawiał się na żadnej konferencji. Jednakże dzięki temu człowiekowi spółka zarobiła miliony dolarów.

Zaintrygowana, Rose postanowiła dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Przyjaciele Harry'ego Taylora zawsze mówili: „Wszystko przychodzi Harry'emu zbyt łatwo.

Kiedy tylko osiągnie coś w jakiejś dziedzinie, od razu zaczyna się rozglądać za czymś innym”.

Harry przyjmował z uśmiechem takie uwagi i nie obrażał się, bo wyglądało na to, że osoba, która to mówi, jest trochę zazdrosna.

Harry Taylor wychował się na farmie w Iowa. Nauczył się tam cenić uczciwość i ciężką pracę; te wartości przywiózł ze sobą na uniwersytet w Chicago. W przeciwieństwie do wielu studentów ze wsi, którzy czuli się wyobcowani i samotni w wielkim mieście, Harry szybko się zaadaptował. Jego wrodzona siła, zwiększona przez codzienną ciężką pracę w dzieciństwie, uczyniła z niego wspaniałego sportowca. Wyglądało jednak na to, że gra w drużynie futbolowej albo pobicie uniwersyteckiego rekordu pływackiego niewiele znaczy dla Harry'ego. Ubolewali nad tym trenerzy, którzy twierdzili, że marnuje swój talent.

Wykształcony na farmie nawyk maksymalnego wykorzystywania każdej godziny przydał się teraz Harry'emu na studiach. Umiał się szybko uporać z esejami i pracami, które inni studenci pisali przez długie godziny.

Ukończył uniwersytet ze znakomitymi ocenami i zaczął pracować w firmie brokerskiej. Szybko zwrócił na siebie uwagę właścicieli, którzy wkrótce go awansowali. Na swoim nowym stanowisku odniósł także błyskawiczny sukces, gdyż zawsze umiał odgadnąć, czy następne zbiory będą udane.

Przed Harrym Taylorem zarysowała się właśnie perspektywa świetnej kariery, kiedy zdecydował się porzucić to wszystko. Nie spowodowała tego nuda ani szaleńcze tempo pracy. Chłopak uznał po prostu, że niczego się tu już nie nauczy i postanowił poszukać innej pracy.

Harry trafił do „Globalu” przez przypadek. Jedna z trzech kobiet, z którymi w tym czasie się spotykał, wspomniała, że jej szef, kierownik biura w Chicago, właśnie zwolnił swojego asystenta. Harry z pewnością miał odpowiednie kwalifikacje

do tej pracy. Czy nie byłoby cudownie, gdyby pracował razem z nią? Harry uśmieł się serdecznie z tego oczywistego fortelu, ale ponieważ poszukiwał właśnie pracy, zgodził się porozmawiać z szefem.

— Będzie pan odwiedzał klientów: banki, hotele, koleje, firmy autobusowe, i sprzedawał im przekazy pieniężne. To wszystko.

Kierownik, drobny Ormianin w okularach z grubymi szklami, spodziewał się, że kandydat z takimi kwalifikacjami jak Harry odrzuci jego ofertę.

— Zgoda — oświadczył.

— Dostanie pan bardzo duży teren — ostrzegł kierownik.

Harry właśnie czegoś takiego poszukiwał, choć nie powiedział tego głośno. Pragnął podróżować, poznawać ludzi, nabywać doświadczenia. Taka spółka jak „Global”, która właśnie wprowadziła nowy system finansowy i posiadała oddziały w całym kraju, mogła mu stworzyć znakomite okazje. Harry miał również nadzieję, że nowa praca będzie świetnym pretekstem, by zerwać związki z paroma kobietami.

Kariera Harry'ego w Chicago była błyskawiczna. Tak jak zwykle, można było odnieść wrażenie, że chłopak nie włożył w to większego wysiłku. Zaczął sprzedawać przekazy pieniężne na mocno uprzemysłowionym terenie, gdzie „Global” miał niewielki rynek zbytu. Po trzech miesiącach jego sprzedaże stanowiły już trzydzieści procent transakcji, zawieranych przez chicagowskie biuro.

Kiedy Harry wrócił do Chicago, poproszono go, żeby poprowadził rozliczenia z najważniejszymi bankami. Przez dwa wieczory w tygodniu prawił komplementy prezesom banków, a resztę czasu poświęcał małym i średnim instytucjom. Zanim szef oddziału dostał trzeciego i ostatniego ataku serca w ramionach jasnowłosej kochanki, Harry Taylor przekonał pięćdziesiąt banków, by robiły interesy z „Globalem”. W Nowym Jorku rzucono tylko okiem na wyniki finansowe i szybko powierzono Harry'emu stanowisko kierownika.

Mając wolną rękę, Harry zreorganizował chicagowski oddział „Globalu” według własnego uznania. Kazał sprzedawcom podróżować, a nie siedzieć przy telefonach. Na zebraniach podkreślał konieczność dotarcia do potencjalnych klientów, którzy nawet nie wiedzą, że są potencjalnymi klientami. Zatrudnił najlepsze sekretarki i dobrze im płacił. Dzięki temu mógł wyjeżdżać z biura na całe dni i mieć pewność, że wszystko toczy się właściwym torem. Tak właśnie było, dopóki Rose Jefferson nie przyjechała do Chicago.

Od kiedy Harry Taylor stał się mężczyzną z córką sąsiada, nigdy nie brakowało mu kobiet. Seks dla niego był czymś, co dawał chętnie i równie chętnie przyjmował. Kochał wszystkie kobiety, ale właśnie dlatego nie mógł wybrać tylko jednej z nich i zrezygnować z pozostałych. Kobiety w całej swej różnorodności były dla niego wspaniałym prezentem, który należało rozpakować i się nacieszyć, a potem delikatnie odłożyć z powrotem. Żadna kobieta nigdy nie zraniła Harry'ego, dlatego nie wiedział, do czego byłby zdolny w takiej sytuacji.

Harry'emu Taylorowi udało się zaskoczyć Rose. Wszyscy jej kierownicy byli twardymi, ambitnymi ludźmi, którzy krzyczeli, straszyli przypochlebiali się lub targowali, kiedy okoliczności tego wymagały. Harry zachowywał się natomiast w niewymuszony, swobodny sposób. Był od niej młodszy o dziesięć lat. Wysoki i dobrze zbudowany, miał jasne włosy, zielone oczy i szczery uśmiech. Prowadzone przez niego biuro wydawało się przedłużeniem jego samego. Rose szybko odkryła, że pracownicy skoczyliby za szefa w ogień.

— Co za miła niespodzianka, pani Jefferson — powiedział Taylor, siedząc wygodnie na krześle.

— Myślę, że zasłużyliśmy na pochwałę centrali.

Rose rozejrzała się po biurze. Zauważyła, że przypomina ono raczej siedzibę prowincjonalnego adwokata niż miejsce, w którym obraca się milionami dolarów rocznie. Spodobało jej się to.

— Naturalnie, panie Taylor. Prawdę mówiąc chciałabym, żeby zdradził mi pan tajemnicę tego sukcesu.

Harry Taylor zdjął z biurka swoje długie nogi i sięgnął po czapkę. — W takim razie chodźmy.

Rose spodziewała się, że pójda do działu księgowości, Taylor jednak zabrał ją do miasta. Rose nie mogła uwierzyć, jak wiele Taylor jest w stanie zrobić w ciągu jednego dnia. Odwiedzali drogerie na South Side, sklepy spożywcze we włoskiej dzielnicy i księgarnie na północnym wybrzeżu.

Każdy z tych małych zakładów sprzedawał przekazy pieniężne „Globalu”. W każdym witano Harry'ego jak starego przyjaciela.

— Pamiętam, jak napisała pani, że przekaz pieniężny powinien służyć zwykłemu człowiekowi — wyjaśniał Harry. — Do tych sklepów ludzie przychodzą każdego dnia. Tworząc takie placówki w całym mieście, omijam banki i sięgam poza nasz zwykły rynek zbytu.

Ta idea wydała się Rose pomysłem i zarazem prosta. Przy obiedzie powiedziała o tym Harry'emu.

— To wydawało się oczywiste — odrzekł skromnie.

Rose sądziła przedtem, że wystarczy jej jeden dzień, a najwyżej dwa, na zbadanie operacji firmy w Chicago. Została jednak aż do końca tygodnia. Harry Taylor był uroczym gospodarzem. Kiedy zabierał ją ze sobą do klientów, umiał zamienić tę okazję w prawdziwą przygodę. Potrafił również znaleźć czas na zwiedzanie miasta.

To jednak nie wszystko. Rose widziała w Harrym mężczyznę. Był na pewno przystojny, ale nie w powierzchowny sposób. Ten urok płynął z jego wnętrza. Rose wiedziała, że Harry urodził się i wychował na Środkowym Zachodzie i skończył uniwersytet w Chicago. W jego aktach przeczytała, że wydawał na życie niewielką część swojej pensji, a pozostałe pieniądze rozważnie inwestował. Wyglądało na to, że Harry ma już wszystko, czego pragnął od życia, i nie interesują go dodatkowe zyski, które zresztą bez trudu mógłby osiągnąć.

— On niczego ode mnie nie chce ani nie potrzebuje — myślała Rose. — Po prostu lubi swoją pracę. Nikt z moich ludzi nie jest tak dobry jak on!

Była w łazience i szcztokowała włosy, przygotowując się do obiadu z Harrym,

kiedy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Przypomniała sobie, że czeka na ważną przesyłkę z Nowego Jorku.

— Otwarte! — zawołała. — Proszę położyć to na stole. Upięła włosy i weszła do salonu, rozglądając się za paczką.

— Czy tego szukasz? — spytał Harry, podając jej przesyłkę.

Rose mocno się zarumieniła. Nie spodziewała się nikogo zastać, a już zwłaszcza Harry'ego. Nagle poczuła się zakłopotana. Stała przed nim tylko w cienkim, bawełnianym szlafroku, przez który prześwitywało wilgotne ciało. Nie miała makijażu, jej włosy były mokre. Harry podszedł do niej...

— Harry, proszę...

— Ciii... — wyszeptał.

Ujął jej twarz w dłonie, tak że nie mogła uciec przed spojrzeniem jego zielonych oczu. Zadrżała i zacisnęła usta, kiedy ją pocałował. Chciała powiedzieć, żeby przestał, że tak nie wolno, obawiała się jednak, że jeśli zacznie mówić, wymkną się jej zupełnie inne słowa — że to jest cudowne, że zapomniała już o istnieniu czegoś takiego, że bardzo tego potrzebuje...

Poczuła, jak Harry rozchyła jej szlafrok, kładzie ręce na piersiach, a potem schyla głowę i całuje każdą wypukłość. Drżały jej kolana. Przytuliła się do Harry'ego, tak jak gdyby te pocałunki nieodwołalnie ją do niego przyciągały. Usta Harry'ego wciąż pieściły jej ciało; przesuwali się po brzuchu i udach, dokuczały, drażniły... aż w końcu nie mogła już tego wytrzymać, chwyciła go za głowę i skierowała w miejsce, które, jak dobrze wiedziała, cały czas było jego celem.

Zamknęła oczy i poddała się namiętności. Nie miała pojęcia, że porusza biodrami, że zaciska nogi wokół głowy Harry'ego. Czuła tylko lekki dotyk, delikatne drażnienie, prowadzące ją coraz dalej, dalej, ku następnemu spazmowi rozkoszy... aż zaczęła się śmiać i krzyczeć histerycznie.

Harry wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Kiedy już sądziła, że nie zniesie dłużej tej cudownej udręki, wszedł w nią. Przytuliła się do niego, tak jak gdyby był samym życiem. Pozwoliła, żeby ją prowadził, nadawał rytm, i poruszała się wraz z nim.

Kiedy się obudziła, pościel wydawała się błękitna w świetle księżyca. Harry leżał obok niej. Przez dłuższą chwilę Rose patrzyła na niego z miłością, obawą, zadowoleniem i ciepłem. Potem wyszła.

— Hej, co się stało? Martwiłem się.

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem? — zapytała. Usłyszała, jak Harry Taylor śmieje się do słuchawki.

— Gdzie mogłabyś być? Jestem przecież w twoim pokoju.

Rose poczuła się głupio. Kiedy wybiegła z apartamentu, pojechała taksówką do chicagowskiego biura. Dotarła tam tuż po wyjściu sprzątaczek. Poprosiła portiera, żeby przyniósł jej kawę z nocnego baru i spędziła ostatnie trzy godziny przy biurku Harry'ego, wśród otwartych ksiąg rachunkowych. Nie zwracała jednak uwagi na cyfry.

— Czy mógłbym zaprosić cię na śniadanie? — zaproponował Harry.

— Nie! To znaczy, skoro już tu przyszedłam...

Rose nie wiedziała, co ma powiedzieć Harry'emu Taylorowi. Myślała o nim przez cały ranek. Zdawała sobie sprawę, że złamała kardynalną zasadę, by nigdy nie wiązać się z mężczyzną, a zwłaszcza gdy jest twoim pracownikiem. Harry był jednym i drugim — a jednocześnie kimś więcej.

— Rozumiem, Rose—powiedział Harry.—Obiecuję, że nie będę wprawiał cię w zakłopotanie. Daj mi trzydzieści minut i pójdziemy na zebranie moich pracowników, połączone ze śniadaniem.

— Harry, nie chcę, żebyś myślał... — zabrakło jej słów. *Czego ma nie myśleć? Co chciała dać mu do zrozumienia?*

— W porządku, Rose. Porozmawiamy później, jeśli zechcesz. Rose wymruczała coś i odłożyła słuchawkę.

Niech cię diabli, Harry Taylor!

Kiedy Rose przebywała w Chicago, nowojorskie biuro przesyłało jej codziennie sprawozdania. Rose załatwiała wszystkie sprawy z energią i wigorem, tak że zawsze miała czas dla Harry'ego. Chłopak przychodził każdej nocy do jej apartamentu, przynosił kwiaty, czasem wino lub jakiś drobny, niezwykły upominek. Nie pozwalał, by słowa wszystko zepsuły, wiedział jednak dobrze, czego potrzebowała, kiedy i jak... Nigdy nie prosił o nic w zamian. Rose zastanawiała się nawet, czy rzeczywiście go zaspokaja, czy też może jest wystarczająco mądry, by czekać, uczyć ją, pozwolić, by rozkwitła. Nie rozmawiali ze sobą ani przedtem, ani potem. Dopiero światło poranka przekonywało Rose, że jej namiętność nie jest tylko snem.

W tych dniach Harry przedstawił Rose nowy pomysł, który pragnął zrealizować.

— Ludzie płacą co miesiąc za usługi komunalne, prawda? Za gaz, elektryczność, wodę, telefon...

— Zgadza się.

— Dobrze by było, gdyby płacili naszymi przekazami pieniężnymi. W samym tylko Chicago mamy tysiące placówek, w których klienci mogliby nabyć przekaz pieniężny i otrzymać dowód wpłaty, a my przekazalibyśmy później pieniądze odpowiedniej instytucji.

— Świetny pomysł! — powiedziała z entuzjazmem Rose. — Czy te instytucje zgodzą się na to? W oczach Harry'ego pojawił się błysk.

— Tak się składa, że znam człowieka, który je kontroluje.

Rose wybuchnęła śmiechem. Harry przypominał czarodzieja, który potrafi rozwiązać każdy problem machnięciem czarodziejskiej różdżki. Im więcej czasu z nim spędzała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że znalazła człowieka, o którym myślała tego zimnego, mglistego poranka, patrząc na odpływający statek Franklina. Niewykluczone, że mogłaby posłać Harry'ego do Londynu, żeby

dyskretnie nadzorował pracę brata. Powinna jednak najpierw lepiej go poznać. Co więcej, musi go do siebie przywiązać, tak aby nie mógł nawet myśleć o zdradzie.

Na czele rady nadzorczej Zakładu Usług Komunalnych stał prawnik o nazwisku Alan Hirsh. Rose była pod wrażeniem, kiedy przekonała się, że Harry jest z nim po • imieniu. Hirsh obiecał, że podejmie decyzję, kiedy tylko zapozna się z propozycją „Globalu”. Nie wątpiła, że oferta zostanie przyjęta, dlatego zaraz po spotkaniu przekazała nazwisko Harry'ego szefowi służby bezpieczeństwa „Globalu”. Wiedziała już o Harrym tyle, że sądziła, iż ta kontrola będzie tylko rutynową formalnością.

Jeśli w informacji kryje się prawdziwa potęga, to Michelangelo Pecorella był niezwykle potężnym człowiekiem. W 1914 roku, po ukończeniu Yale, M. A., jak go nazywano, został zwerbowany przez Departament Stanu. Skierowano go do Czarnej Skrzynki, wydziału kryptologii, rozszyfrowującego zakodowane depeche obcych rządów i ich wojsk. W czasie wojny M. A. Pecorella miał okazję obserwować wady i zalety mężów stanu i generałów. Dowiedział się, że ludzie na wysokich stanowiskach są często wielkimi głupcami. Nie imponowali mu.

W 1919 roku Czarna Skrzynka została zamknięta przez sekretarza stanu, Henry'ego Stimsona, który stwierdził, że „dżentelmeni nie czytają cudzej korespondencji”. Pecorella zaczął się rozglądać za nowymi możliwościami. Dużo czytał i słyszał o Rose Jefferson. Zbadał prowadzone przez nią operacje i szybko doszedł do wniosku, że przekaz pieniężny „Globalu” będzie potrzebował ochrony przed inteligentnymi, sprytnymi i bezwzględными przestępcami. Pecorella sądził, że zmierzenie się z nimi będzie prawdziwą przyjemnością—jeśli tylko Rose Jefferson da mu szansę. Po pierwszym spotkaniu Rose doszła do wniosku, że postąpiłaby bardzo głupio, gdyby nie pozwoliła Michelangelo Pecorelli pracować dla siebie. Wkrótce potem niewysoki Włoch o cichym głosie został pierwszym dyrektorem nowego wydziału bezpieczeństwa „Globalu”.

— Panie Pecorella, co za niespodzianka! — wykrzyknęła Rose, kiedy kierownik hotelu wprowadził gościa. — Z pewnością to nie moje małe dochodzenie w sprawie Taylora sprowadziło pana do Chicago.

— Sam na początku nie sądziłem, że będzie to konieczne — odrzekł M. A. Pecorella. — Gdyby dochodzenie nie ujawniło kontaktów pomiędzy Taylorem a szefem Zakładu Usług Komunalnych, miałoby z pewnością tylko rutynowy charakter.

W głowie Rose rozdzwonił się sygnał alarmowy.

— Co to za kontakty?

Funkcjonariusz bezpieczeństwa wręczył jej kopię listu.

— To wyjaśnia wszystko.

Niestety, tak właśnie było. Prezes namawiał Harry'ego, żeby zrezygnował / . pracy w „Globalu” i przyłączył się do jego rady nadzorczej, zabierając ze sobą swój pomysł. Wyjaśnił, że Zakład Usług Komunalnych nie potrzebuje przekazu pieniężnego „Globalu”, lecz może stworzyć własną agencję, którą kierowałby właśnie Harry

Taylor. Przed przedsiębiorstwem stałyby wówczas nieograniczone perspektywy rozwoju. Rose przygryzła wargę i czytała dalej. Do listu załączona była formalna umowa, podpisana przez prezesa, z datą sprzed dwóch tygodni.

Właśnie wtedy kochałam się z Harrym po raz pierwszy... Czy to przypadek?

— Na umowie nie ma podpisu pana Taylora—zauważyła Rose, mając nadzieję, że Pecorella nie zwróci uwagi na jej drżący głos.

— Być może podpisał oryginał, do którego nie mam dostępu.

— Co właściwie oznacza ta umowa? Pecorella uniósł brwi. To było przecież oczywiste.

— Pan Taylor przyszedł do pani z wyjątkowym pomysłem, który „Global” mógłby łatwo zrealizować w innych miastach. Jeśli jednak przyjmie ofertę pana Hirsha...

Rose nie musiała słyszeć niczego więcej. Gdyby Harry to zrobił, nie dopuściłby „Globalu” do bardzo zyskownego przedsięwzięcia.

— Zgodnie z warunkami umowy z „Globalem” pan Taylor musi działać w najlepszym interesie spółki — mówił Pecorella. — Najwyraźniej złamał kontrakt i trzeba to odpowiednio załatwić.

Słowa te zmroziły Rose. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie! Harry by tego nie zrobił... A może od samego początku miał taki zamiar? Może chciał oszołomić ją pocałunkami, tak by dowiedziała się o wszystkim dopiero wtedy, gdy będzie już za późno? Rose zastanawiała się. Jeśli Harry próbował ją oszukać, natychmiast wyrzuci go z firmy. Jeśli jednak nie bez powodu na tej umowie nie ma jego podpisu, to może da mu jeszcze jedną szansę — sama jednak podyktuje warunki.

— Czy możemy w jakiś sposób powstrzymać Hirsha? — spytała Rose.

— Mamy w Chicago wielu przyjaciół, którzy chętnie odebraliby mu posadę prezesa—powiedział spokojnie M. A. Pecorella.—Sądzę, że ten dokument wystarczy.

— Czy moglibyśmy przekazać im tę informację pod warunkiem, że będą honorować przekaz pieniężny „Globalu” jako formę zapłaty za usługi komunalne?

— Nie widzę problemu, pani Jefferson. Musimy jednak działać szybko, zanim pan Taylor opublikuje umowę.

— Proszę to zrobić — powiedziała Rose bezbarwnym tonem.

— A co z panem Taylorem, proszę pani? Rose spojrzała mu prosto w oczy.

— Sama się nim zajmę.

— Czy ma pani do mnie jeszcze jakąś sprawę?

— Tak — powiedziała Rose. — Proszę dołączyć mój prywatny wagon do następnego pociągu do Nowego Jorku. Mam dosyć tego miasta!

25.

Kiedy Rose wróciła do Nowego Jorku, czekało na nią sześć depesz od Harry'ego Taylora. Powiedziała swoim pracownikom, że bez względu na to, ile razy będzie dzwonił, nie należy go łączyć.

Rose energicznie zabrała się do pracy. M. A. Pecorella informował ją na bieżąco o wypadkach w Chicago. Po tygodniu z zadowoleniem przeczytała o rezygnacji prezesa rady nadzorczej. Zaraz potem wydano oświadczenie, zgodnie z którym rada będzie honorowała przekazy pieniężne „Globalu” jako formę zapłaty.

Zobaczmy, jak pan Taylor sobie z tym poradzi! — pomyślała Rose, wychodząc na Lower Broadway.

Szła w kierunku swojego samochodu, kiedy ktoś chwycił ją mocno za ramię.

— Musimy porozmawiać.

Te słowa, które ledwo było słycać w ulicznym hałasie, sprawiły, że Rose zrobiło się słabo.

— Co tu robisz?!

Słyszac oburzony głos szefowej, kierowca stanął natychmiast u jej boku.

— Muszę z tobą porozmawiać, Rose—powiedział Harry Taylor, nie spuszczac z niej oka.

Zawahała się przez moment, a potem ruchem dłoni odesłała szofera.

— Nie mamy o czym rozmawiać.

— Nie zgadzam się.

Rose zauważyła, że przechodnie zaczynają im się przyglądać.

— Wsiądź do samochodu.

— Czy mam jechać do domu, proszę pani? — zapytał kierowca.

— Tak. Możemy wysadzić pana Taylora gdzieś po drodze.

— Jak to zrobiłaś, Rose?—zapytał cicho Harry.—Skąd wzięłaś kopię umowy?

— Moja służba bezpieczeństwa zna się na swoim fachu — odrzekła Rose.

—Złamałaś warunki kontraktu z „Globalem”, Harry. Musiałam podjąć odpowiednie kroki, żeby chronić interesy spółki.

— Nie podpisałem tej umowy—przypomniał jej Harry.—Hirsh sporządził ten dokument kilka miesięcy temu. List, który widziałaś, był ostatnim z długiej serii. Nigdy nie zamierzałem opuszczać „Globalu”, Rose. To przecież ja zaproponowałem, żeby „Global” został izbą rachunkową Zakładu Usług Komunalnych. Dlaczego ze mną nie porozmawiałaś?

Powiedziałbym ci wszystko.

Rose spojrzała na swoje odbicie w szybie samochodu.

— Nie mogłam ryzykować — odparła.

— Ryzykować? Obawiałaś się mnie? Sądziłaś, że działałbym na szkodę firmy?

— To nie było wykluczone — rzekła Rose. — Twój pomysł był bardzo dobry. Gdybyś się rozmyślił, spółka straciłaby dużo pieniędzy.

Harry zastanowił się, a potem powiedział:

— Poproś kierowcę, żeby się tu zatrzymał.

Limuzyna zjechała na pobocze. Harry otworzył drzwi i wysiadł. Potem schylił się do szyby samochodu.

— Chodziło tylko o spółkę, Rose? Czy to jedyny powód twojego postępowania?

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała szybko Rose i natychmiast zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę.

— Kłamiesz — rzekł łagodnie Harry Taylor. — To nie był twój pomysł, Rose. Należał do mnie i chciałem ci z mego zrobić prezent. Mogłaś mi zaufać. Czemu nie zaufałaś sobie samej?

Drzwi zamknęły się i samochód ruszył. Nagle Rose pochyliła się do przodu, kładąc dłoń na oparciu fotela.

— Coś nie w porządku, proszę pani?

Plan, który tak starannie opracowała, spali na panewce bez Harry'ego Taylora. Niewiele brakowało, a Rose nie oparłaby się pokusie i zawołałaby go.

— Nie! — powiedziała nagle Rose. — Zawieź mnie do domu.

Zadrzała i skuliła się, patrząc na przechodniów przez okno samochodu. Każdy z nich chętnie by się z nią zamienił.

Me wiecie nawet, jak zimne jest moje łóżko...

Kazała kierowcy zatrzymać się przed domem. Czekala, aż Albany otworzy drzwi, kiedy nagle odwróciła się, rozpoznając zapach Harry'ego — mieszankę wody kolońskiej i męskiego potu.

— Czy naprawdę sądziłaś, że odejdę od ciebie? — zapytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Albany otworzył drzwi i Harry wprowadził ją do środka. Bez zastanowienia weszła do biblioteki i zamknęła drzwi.

— Harry, czego ty chcesz...

Chciał tego samego, co ona. Jego usta i ręce dawały to niedwuznacznie do zrozumienia. Rose nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Była już do połowy rozebrana, a jej ręce gorączkowo rozpięły koszulę Harry'ego. Nie dbała o nic. Nic poza tym nie miało znaczenia.

Położył ją na starym dywanie. Czowała szorstkie płótno na pośladkach i zapach froterowanej podłogi. Wbiła zęby w ramię Harry'ego, żeby nie krzyknąć. Nagle przypomniała sobie Albany'ego i resztę służby. Wszyscy patrzyli z niedowierzaniem, jak gdyby nie mogli uwierzyć, co robi ich pani.

Roześmiała się. Śmiała się przez cały czas, aż do chwili, w której śmiech zamienił się w ostatni jęk rozkoszy. Później była już tylko cisza i błogość słodkiego wyczerpania.

Rose wykapała się, zmieniła ubranie i kazała podać do salonu na górze zimną kolację. Poczekala, aż Albany naleje wina, a potem dała służącemu wolne na resztę wieczoru.

— Co ty o mnie wiesz, Harry? — zapytała, nakładając mu pełen talerz.

Jak się okazało, Harry wiedział o niej całkiem sporo. Rose nie była jednak zdziwiona.

— Skąd się tego dowiedziałeś? Wzruszył ramionami.

— Gazety, czasopisma, plotki. To jednak tylko publiczny wizerunek bardzo skrytej kobiety.

Wielu rzeczy nie wiem.

— Pozwól, że ci opowiem — powiedziała cicho Rose, biorąc Harry'ego za rękę i całując koniuszki jego palców.

Poruszała bezpieczne tematy — mówiła o dziadku, o rozwoju „Globalu” i swoich planach wobec spółki. Nie opowiadała wiele o małżeństwie z Simonem i marzeniach związanych ze Stevenem.

Im dłużej mówiła, tym większą sprawiała jej to przyjemność. Każde wypowiedziane słowo pociągało za sobą następne. Zauważyła, jak dużo w sobie ukrywała, jak bardzo odsunęła się od innych ludzi. Bardzo pragnęła otworzyć się przed Harrym, nie mogła się jednak na to zdobyć do końca.

— Jesteś fascynującą kobietą — rzekł Harry. — Dużo sobie powiedzieliśmy, ale mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co najważniejsze.

— To znaczy o czym? — spytała leniwie Rose; jej palce delikatnie pieściły piersi Harry'ego.

— Co teraz zrobimy? Nie chciałbym wracać do Chicago bez ciebie.

— To byłoby okropne — wymruczała Rose. — Dlatego myślę, że powinieneś zostać w Nowym Jorku.

— Co miałbym tu robić?

— Wspaniałe rzeczy — wyszeptala.

Niewielu mężczyzn umiało tak słuchać jak Harry Taylor. Kobiety zauważały tę zaletę i bardzo je ona pociągała. Nie musiały przez długie godziny znosić męskiej chępliwości. Nie odnosiły wrażenia, że ich marzenia, pragnienia i obawy są niczym w porównaniu z uczuciami mężczyzny, wiecznego wojownika. Harry był przekonany, że Rose, pomimo jej inteligencji i doświadczenia, wcale nie różni się od innych.

liany pojechał za Rose do Nowego Jorku, gdyż żadna kobieta nie zrobiła nigdy tego, co ona: ukradła jego pomysł, którym chętnie by się z nią podzielił. Zdradziła go i zraniła głębiej, niż uważał, że to możliwe.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Harry dał Rose coś, czego od wielu lat nie podarował żadnej innej kochance. Uczucie dojrzało w ciszy niczym perła w muszli, która pewnego dnia zostanie pokazana światu. Rose obudziła w Harrym miłość. Wzięła jednak tę perłę i beztrząsco wyrzuciła do rynsztoka.

Oczywiście, po pewnym czasie gniew minął. Na jego miejsce pojawiła się potrzeba zadośćuczynienia. Harry nie przyjechał do Nowego Jorku prosić Rose Jefferson o przebaczenie, lecz żeby wyrównać rachunki.

Po sukcesach Harry'ego w Chicago nikt na Lower Broadway nie był zdziwiony, że przeniesiono go do głównego biura. Zaczęto jednak wysoko unosić brwi ze zdziwienia, kiedy Rose Jefferson mianowała Harry'ego ogólnokrajowym kierownikiem działu sprzedaży i przyznała mu pensję, jaką pobierali pracownicy na najwyższych stanowiskach.

Na ich temat zaczęły krążyć różne plotki. Rose i Harry często pokazywali się razem, w związku z tym w prasie pojawiały się aluzje o ich romansie. Sprawa była tym bardziej pikantna, że Rose nie dementowała tych pogłosek.

Jeśli chodziło o Harry'ego, prasa mogła wypisywać, co jej się podobało. Nowy Jork go oszołomił. Kiedy tylko znalazł się w tym wielkim mieście, od razu wiedział, że od początku było mu to przeznaczone. Wszędzie dostrzegał możliwości dające się zamienić w czyste złoto.

— Musisz zacząć od garderoby — oświadczyła Rose, przeglądając szafę Harry'ego w hotelu „Waldorf”, gdzie dla przyzwoitości na razie zamieszkał.

Dwa tygodnie później, po wydaniu dwóch tysięcy dolarów, Harry nie miałby się czego wstydzić w najlepszym towarzystwie. Następną pozycją na liście był samochód.

— Nic zbyt rzucającego się w oczy — poradziła Rose. — Może jaguar...? Pozostawała jeszcze kwestia mieszkania.

— Zawsze lepiej mieć coś skromnego pod dobrym adresem niż kilkanaście pokoi w niewłaściwej części miasta.

Kiedy Harry dowiedział się, ile kosztuje „coś skromnego”, był zszokowany.

— Jeśli w takim tempie będę wydawał pieniądze, to zbankrutuję przed świętami — poskarżył się. Rose roześmiała się.

— Nie bądź głupi! Nieruchomości są zawsze najlepszymi inwestycjami. Harry nie mógł się z tym spierać i kupił apartament na Park Avenue.

— Nareszcie — powiedziała Rose, siedząc naprzeciw niego przy stoliku w restauracji „Delmomco's". — Teraz mogę odwiedzać cię, kiedy zechcę, i nie przejmować się tym, co myśli kierownik hotelu „Waldorf".

— Rose, kierownik hotelu nie odważyłby się niczego pomyśleć, gdybyś mu na to nie pozwoliła — powiedział kwaśno Harry.

Rose uśmiechnęła się. Harry nie zdawał sobie sprawy, że sam znalazł się w podobnej sytuacji. Dobrze wiedziała, że chłopak nie ma pieniędzy na pokrycie swoich wydatków i może je zarobić tylko w jeden sposób: robiąc dokładnie to, czego chciała.

26.

Po przyjeździe do Londynu Michelle i Franklin zamieszkali w wielkim domu na Berkeley Square, należącym do przyjaciela Frariklina, który teraz podróżował po Bliskim Wschodzie.

Dla Michelle była to miłość od pierwszego wejrzenia. Historia tego placu sięgała 1739 roku, kiedy był częścią ogrodów Berkeley House. Rosły tam piękne platany, na których wiły gniazda słowiki. Na Berkeley Square odbywały się każdego roku bale pod gołym niebem. Pod numerem pięćdziesiątym znajdował się „nawiedzony dom”, a następny budynek zajmowała pani Clementine Churchill z synem Wins tonem.

Służba spodobała się Michelle. Kamerdyner Hastings umiał pogodzić wesołe usposobienie z nienagannymi manierami. Kucharka od razu zapytała, czy nowi państwo mają jakieś ulubione potrawy. Pokojówki szybko i sprawnie ulokowały nowo przybyłych w ich pokojach.

Michelle miała ochotę zająć się domem, zdrowie Franklina było jednak najważniejsze. Trzy dni po przyjeździe towarzyszyła mężowi w czasie jego pierwszej wizyty na Harley Street.

— Przykro mi, pani Jefferson, ale nie umiem powiedzieć, co dolega pani mężowi. Wyniki ostatnich badań, przysłane przez doktora Harrisa, potwierdzają tylko to, do czego sam doszedłem. Wygląda na to, że pan Jefferson cieszy się doskonałym zdrowiem.

Michelle spojrzała z powagą na lekarza. Sir Dennis Pritchard był przystojny jak gwiazdor filmowy. Miał ciemne włosy, siwiejące na skroniach, wydatną szczękę i błyszczące, niebieskie oczy. Był wybitnym chirurgiem, specjalizującym się w urazach mózgu, członkiem Królewskiego Towarzystwa Chirurgicznego. Jego szorstkie maniery mogły razić niektórych pacjentów, ale Michelle dodawały otuchy, gdyż dostrzegała w nich oznakę profesjonalizmu. Wyczuwała, że sir Dennis nie jest człowiekiem, który zataiłby przed nią prawdę.

— Jak w takim razie wyjaśnić zdarzenia na pokładzie „Neptuna”? — spytała spokojnie. Słyszała, jak Franklin podśpiewuje pod nosem, ubierając się w sąsiednim pokoju.

— Rozumiem pani niepokój — odrzekł doktor. — Przeczytałem raport lekarza okrętowego. Najwyraźniej pani mężowi coś dolega. Nie znamy jednak przyczyny.

— Chodzi pewnie o jego ranę — podpowiedziała doktorowi Michelle. Sir Dennis pokręcił głową.

— Niekoniecznie. Tego rodzaju symptomy można wyjaśniać na wiele różnych sposobów. Nie chciałbym niepotrzebnie niepokoić pani, ale nie możemy wykluczyć ewentualności guza mózgu. Michelle zbladła.

— Co może pan dla niego zrobić, doktorze?

— Obawiam się, że czekają go badania, niektóre z nich dość nieprzyjemne. Napiszę do doktora Harrisa i poproszę, żeby przesłał mi kartę choroby wraz z kompletnym zestawem badań.

— Jest jeszcze coś, o co mógłby pan poprosić doktora Harrisa — powiedziała powoli Michelle. — Chodzi o wojskową kartę medyczną Franklina.

— Będzie ona załączona do historii choroby.

— Niewątpliwie. Niech pan jednak o nią poprosi.

Michelle położyła na biurku Pritcharda niebieską buteleczkę z proszkami.

— Czy mąż powinien nadal je brać? Pritchard zmarszczył brwi.

— To kolejna rzecz, która mnie intryguje. W karcie medycznej nie ma o tych proszkach żadnej informacji. Bez laboratoryjnej analizy nie umiem nawet powiedzieć, co to jest. Z całym szacunkiem dla doktora Harrisa, to bardzo lekkomyślne postępowanie.

Michelle była zszokowana niedbałością Harrisa.

— To gorsze niż lekkomyślność! — powiedziała z gniewem. — Nie mogę uwierzyć, że o tym zapomniał! — Kiedy drzwi się otworzyły, Michelle, tknięta jakimś przeczuciem, poprosiła jeszcze raz: — Proszę, niech pan zdobędzie jego wojskową kartę medyczną.

— Cóż, doktorze, jaki jest werdykt? Będę żył?

Do pokoju wszedł Franklin i zatrzymał się, żeby pocałować Michelle.

— Na pewno, panie Jefferson — odrzekł sir Dennis. — Chciałbym jednak omówić z panem parę spraw. Proszę, niech pan usiądzie.

Po wyjściu z Harley Street Michelle i Franklin wracali na Berkeley Square. Franklin zaproponował, żeby po drodze wstąpili na herbatę do „Savoya”.

— Pritchard powiedział, że dopóki nie przeprowadzimy badań, musimy ograniczyć życie towarzyskie — rzekł Franklin, kiedy kelner przyniósł im posiłek. — Nie Npawilbym na innych zbyt dobrego wrażenia, gdybym upadł twarzą prosto w zupę.

Michelle próbowała się uśmiechnąć, słysząc jego żartobliwy ton.

— Będiesz zdrowy — powiedziała zdecydowanie. — Nie róbmy niczego na siłę. Chciałabym, żebyś pozwolił mi zająć się sprawami organizacyjnymi.

— Może powinienem poinformować o wszystkim Rose—zastanawiał się głośno.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł — odrzekła Michelle. — Sami nie wiemy, co się dzieje. Rose zamartwiałaby się niepotrzebnie.

Michelle nie chciała, żeby Rose wtrącała się teraz do ich życia.

— Pewnie masz rację — stwierdził Franklin. — Jeśli coś mi się stanie...

— Nic ci się nie stanie! — odparła gwałtownie Michelle. — Po tym wszystkim, co przeszliśmy, nie zamierzam cię utracić.

Franklin chwycił Michelle za rękę i spojrzał jej prosto w oczy.

— Jak to możliwe, że mam takie szczęście?

Michelle była oczarowana Londynem, ale mimo to przerażała ją perspektywa kontaktów towarzyskich. W mieście przebywało wielu Amerykanów, przyjaciół Rose, którzy mogli zatruć jej życie. Ratunek przyszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony. Pierwszym gościem na Berkeley Square nie był żaden znajomy Jeffersonów, lecz lady Patrycja Farmington.

— Gdzie jest Christophe?! — wykrzyknęła Michelle, obejmując dawną towarzyszkę podróży.

— Snuje się pewnie po swoim ciemnym, wilgotnym zamku—odrzekła Patrycja z teatralnym westchnieniem. — A może przygotowuje konie do wyścigów w Deauville. Tytuł daje przywileje, ale niesie również ze sobą pewne obowiązki.

Patrycja Farmington przedstawiła Jeffersonów przyjaciołom. Śmietanka towarzyska Londynu zaakceptowała Michelle, a na skutek tego zmienili o niej opinię przebywający w Anglii Amerykanie. Amerykańscy emigranci, którzy mieszkali w wielkich domach w Belgravii i Knightsbridge, zaczęli się zastanawiać, czy ich najdroższa Rose nie popełniła czasem drobnego błędu co do swojej bratowej. Poza pieniędzmi i prestiżem europejska szlachta posiadała przecież sławetny „nos”, czyli zdolność określenia pozycji społecznej każdego człowieka na podstawie jednego słowa lub spojrzenia. Najwyraźniej Michelle zdała egzamin i została zaakceptowana. Kiedy tylko ta informacja rozeszła się wśród Amerykanów, na Berkeley Square zaczęły napływać zaproszenia.

W czasie przyjęć i obiadów Michelle przyglądała się uważnie Franklinowi. Była zadowolona, widząc, że narzucił sobie ścisłą dietę, pił niewiele i zawsze umiał wytłumaczyć, dlaczego wcześniej wychodzi z przyjęcia. Zauważyła jednak, że spontanicznej naturze Franklina trudno się pogodzić z tymi ograniczeniami.

Sir Dennis Pritchard nie potrafił niczego wyjaśnić.

— Wszystko, co przysłała mi Harris, pozostaje w sprzeczności z pańskimi objawami, panie Jefferson — powiedział lekarz z Harley Street. — Zgodnie z tymi danymi, jest pan zdrow jak rydz. Chciałabym jednak przeprowadzić kolejne badania.

Franklin jęknął. Stale żartowali z Michelle, że Pritchard zrobił z niego „poduszczkę do szpilek”. Raz w tygodniu w szpitalu lekarz przeprowadzał analizę krwi i moczu oraz inne badania. Niektóre z nich były nie tylko bolesne, ale pozostawiały Franklina w stanie zupełnego wyczerpania. Kiedy badania nic nie wykazały, zaplanowano nowe, eksperymentalne testy. Pritchard uprzedza już Michelle, by w marcu zrezygnowała ze wszystkich planów towarzyskich.

— Jeśli nie znajdziemy niczego w ostatnich próbkach, pobierzemy płyn mózgowo-rdzeniowy. To nieprzyjemne badanie, pani Jefferson. Pani mąż będzie później potrzebował dużo odpoczynku.

— Co z jego wojskową kartą medyczną? — spytała Michelle.

— Harris pisze, że poprosił o nią armię. Twierdzi, że do tej pory nic mu nie przysłano.

Oczy Michelle zabłysły.

— To nie wystarczy.

— Zgadzam się. Prawdę mówiąc, rozmawiałem na ten temat z moim kolegą, oczywiście nie wymieniając nazwisk. Powiedział, że szpital w Paryżu, gdzie leczono pani męża, mógłby mieć kopie tych dokumentów.

— Zaraz do nich napiszę — rzekła Michelle. — Jeśli zajdzie taka potrzeba, pojedę tam.

Sir Dennis spojrzał na nią.

— Myślę, że lepiej będzie pojechać. Pamięta pani te pigułki? Wczoraj nadeszła analiza laboratoryjna. Doktor Harris przepisał pani mężowi najsilniejszy z istniejących środków przeciwbólowych. Nie wiedziała pani o tym?

— Nie!

— Znaczy to, że doktor Harris nie mówi nam wszystkiego, co wie, a przynajmniej podejrzewa. Michelle chciała od razu jechać do Paryża. Co jednak powie Franklinowi? Nie może wyjechać bez żadnego wyjaśnienia.

Przed powrotem do domu znalazła rozwiązanie. Skoro ma prowadzić bogate życie towarzyskie, będzie potrzebowała nowych strojów. Żaden mąż, nawet tak wyrozumiały jak Franklin, nie lubi biegać z żoną po sklepach.

— Przyszłaś w samą porę — powiedział Franklin, odkładając słuchawkę. — Dzworriłem do kuku ludzi z *Morgana*, *First New York* i *City National*. W piątek wszyscy mają czas. Musimy zorganizować przyjęcie.

W lutym, kiedy Londyn pozostawał w mroźnym uścisku zimy, Michelle wydawała jeden proszony obiad w tygodniu. Często chodziła również na przyjęcia, a weekendy spędzała w nie dogrzanych, wilgotnych, brytyjskich domach na wsi, które Amerykanie z jakiegoś powodu tak uwielbiali. Musiała jednak przyznać, że Franklin zbliża się do celu. Kiedy zdobył wreszcie zaufanie i szacunek amerykańskich bankierów, zaczęli mu przedstawiać swoich brytyjskich kolegów. Przy stole Michelle zmieniały się powoli twarze i akcenty.

Michelle cały czas obserwowała męża, szukając objawów zmęczenia, niepokoju

i innych drobnych sygnałów wyczerpania. Niczego takiego nie zauważała, ale mimo to miała się na baczności. W tym samym czasie starała się zdobyć kartę medyczną Franklina.

Franklin nigdy nie opowiadał jej o leczeniu w Paryżu, wymienił jednak nazwę szpitala. Michelle wysyłała listy do szpitala Notre Dame de Grace w Paryżu, pytając administratora, czy przechowują w archiwach karty medyczne armii amerykańskiej. Do tej pory nie otrzymała odpowiedzi.

Na początku marca, kiedy z Paryża wciąż nie nadchodziły żadne wiadomości, obawa Michelle zamieniła się w desperację. Czas działał przeciwko niej. Wkrótce miały się zacząć ostatnie i, jak powiedział sir Dennis, najbardziej bolesne badania. Nie mogła teraz opuścić męża. Odprowadziła Franklina do szpitala i tkwiła przy nim, dopóki pielęgniarki nie zagroziły, że poskarżą się przełożonej.

— To przypomina mi nasze dni w stodole — powiedział Franklin, drażniąc się z Michelle, która układała w łazience jego przybory toaletowe. Dodał zaraz poważniejszym tonem: — Wiesz, co masz mówić ludziom?

Michelle odwróciła się szybko.

— Oczywiście.

Uzgodnili nieszkodliwe kłamstwo: Michelle powie wszystkim, że Franklin przechodzi ostrą gripę. To wyjaśni nie tylko pobyt w szpitalu, ale również późniejszą rekonwalescencję. W żadnych okolicznościach bankierzy nie powinni się dowiedzieć, że coś jest z nim nie tak. Gdyby taka wieść się rozeszła, zaszkodziłoby to ich firmie i pozycji.

Michelle nie mogła spać w czasie pierwszej samotnej nocy na Berkeley Square. Następnego ranka zadzwoniła do szpitala i dowiedziała się, że lekarz rozpoczął już badania. Dopiero po południu poproszono Michelle o przybycie. Kiedy ujrzała męża, była zszokowana.

— Co mu się stało? — wyszeptła do sir Dennisa.

Franklin wyglądał jak trup. Jego cera była szara jak popiół, a policzki zapadnięte, jak gdyby przez jedną noc stracił na wadze dwadzieścia funtów. W powietrzu unosił się przykry zapach potu.

— On nas nie słyszy, pani Jefferson — odrzekł lekarz. — Czuje się tak dobrze, jak to możliwe w tych okolicznościach. Nie ma powodu do niepokoju.

— Czy coś go boli?

— Dałem mu środki przeciwbólowe — odpowiedział dyplomatycznie sir Dennis.

— Kiedy będzie pan miał wyniki?

— Za dwa, może trzy dni. Wkrótce pobierzemy płyn mózgowo-rdzeniowy — lekarz przerwał. —

Otrzymała pani coś z Paryża?

Michelle pokręciła głową.

— Może powinna pani wykorzystać tę sposobność i udać się tam osobiście.

— Mam go zostawić samego?

— Pani Jefferson — perswadował łagodnie Dennis. — Pani mąż ma tutaj najlepszą opiekę. Może mu pani pomóc tylko w jeden sposób: przywieźć jego wojskową kartę medyczną. — Lekarz

przerwał. — Chyba że jest jeszcze coś, czym się pani niepokoi.

— Nie, nic — odrzekła szybko Michelle.

Istniał jednak pewien problem, ale tak osobisty, że Michelle nie mogła zdobyć się na to, by opowiedzieć o nim sir Dennisowi. Od trzech miesięcy Franklin się z nią nie kochał. Wszystko zaczęło się jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku. Widziała w oczach męża, że niekiedy bardzo tego chciał, jednakże każda próba kończyła się przykrą porażką. Michelle nie rozumiała, co się dzieje. Pragnęła wierzyć, że jest po prostu przepracowany. Potem jednak nastąpił incydent ze Stevenem i dziwaczne zniknięcie Franklina.

Być może przez cały czas wiedziałam, że wiąże się to jakoś z jego chorobą — pomyślała Michelle. Natychmiast przyszła jej do głowy inna, jeszcze gorsza myśl: kochała się z Franklinem tyle razy, dlaczego więc nie zaszła jeszcze w ciążę?

Zimne marcowe deszcze przyniosły ze sobą do Paryża gęstą mgłę. Michelle wysiadła z pociągu na dworcu Montparnasse. Dotarła do wyjścia i mokła przez piętnaście minut, patrząc na przejeżdżające taksówki, z których żadna nie chciała się zatrzymać. W końcu stanęła na drodze nadjeżdżającego Citroëna, którego kierowca ledwo zdążył nacisnąć hamulec.

— Niech pan mnie szybko zawiezie do szpitala Notre Dame de Grace. Kierowca z papierosem w ustach obrzucił zmokniętą pasażerkę pogardliwym spojrzeniem, typowym dla francuskich taksówkarzy.

— Tak, madame—powiedział kpiąco i ostro dodał gazu, aż Michelle rzuciło na tylne siedzenie. W szpitalu spróbowała doprowadzić się do porządku, zanim podeszła do okienka. Kiedy wyjaśniła, z kim się chce zobaczyć, pielęgniarka spojrzała na nią kwaśno.

— Postaram się znaleźć lekarza. Proszę tu posiedzieć, dopóki nie zostanie pani wezwana.

Drżąc z zimna, Michelle usiadła na twardej, drewnianej ławie. Witamy w Paryżu — pomyślała. Minęła godzina. Michelle była przemoczona i zmarznięta, a na domiar złego głodna. Zebrała się na odwagę i podeszła do okienka.

— Kierownik archiwum poszedł na lunch—powiedziała pielęgniarka.—Zobaczy się z panią, jak wróci.

Z trudem opanowała gniew.

— Ja również chętnie bym coś zjadła. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie stołuje się kierownik? Pielęgniarka spojrzała na nią pogardliwie.

Zawsze jada w „Coq d'Or”. Proponuję jednak, żeby pani udała się do jakiegoś skromniejszego lokalu.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak poniżona. Jeden z sanitariuszy poinformował ją,

że restauracja znajduje się dwie przecznice dalej. Michelle podziękowała i wyszła na deszcz. Ściany restauracji „Coq d'Or” były obite tapetami w czerwone i czarne wzory. Michelle dostrzegła ciężkie zasłony, wyszywane złotą nicią, i luksusowe Idnkiety z brązu. Szef sali i kelnerzy w smokach starali się stworzyć atmosferę ekskluzywnego lokalu, jednakże wnętrze restauracji przywodziło na myśl raczej dom publiczny z przełomu wieków. Michelle podeszła do szefa sali i grzecznie, lecz zdecydowanie poprosiła, żeby zaprowadził ją do stołu administratora szpitala.

— Monsieur Desmarais jest na górze, w prywatnym salonie—odrzekł wyniośle. Zanim szef sali zrozumiał, co się dzieje, Michelle wchodziła już po schodach.

Przeszła szybko przez korytarz i otworzyła drzwi. Spojrzało na nią sześć zdumionych twarzy z policzkami wypchanymi nie przełkniętym jedzeniem.

— Który z panów to monsieur Desmarais? Jeden z mężczyzn przełknął jedzenie i wstał.

— Ja. A kim pani jest, madame?

W tym momencie wbiegł szef sali i chwycił Michelle za ramię. Niewiele myśląc, kopnęła go w gołe.

— Jestem Michelle Jefferson — oświadczyła zimno. — Od paru miesięcy piszę do pana w sprawie wojskowej teczki medycznej mojego męża. Chcę ją dostać. Natychmiast!

Połowa gości patrzyła na szefa sali, który podskakiwał, trzymając się za nogę. Druga połowa, zainteresowana nieoczekiwanym dramatem, obserwowała kolegę.

— Madame, nie mam pojęcia, o czym pani mówi — protestował biurokrata. Michelle rzuciła na stół kopie swoich listów, prawie przewracając srebrny półmisek z sosem.

— Mój mąż nazywa się Franklin Jefferson. Służył w armii amerykańskiej w czasie wojny i leczył się w pańskim szpitalu. Został odznaczony Krzyżem Wojennym i Legią Honorową. Proszę mi uwierzyć, jeśli nie wyda mi pan jego teczki, udam się do samego marszałka Petaina. On sobie z panem poradzi.

Desmarais zbladł, słysząc nazwisko legendarnego francuskiego generała. Ta kobieta wyglądała na szaloną, ale coś w jej głosie ostrzegło administratora, że nie były to cze pogrózki.

— Z przykrością muszę panią poinformować, że te karty nie znajdują się już w naszej instytucji. Napisałem o tym do pani, ale wygląda na to, że mój list nie doszedł.

— Jak to możliwe? Leczyliście przecież mojego męża.

— Tak jak wyjaśniłem, madame, wszystkie wojskowe karty zostały odesłane wkrótce po wojnie.

— Dokąd?

Desmarais wzruszył ramionami.

— O ile wiem, do amerykańskiego szpitala w Neuilly.

Na terenie dawnej posiadłości Ludwika Filipa, koło Lasku Bulońskiego, zbudowano dzielnicę Neuilly. Kiedy taksówka mknęła po trzypasmowej jezdni, Michelle widziała wille o dostojnym wyglądzie, tonące we mgle. Po pstrokaciźnie Montparnasse Neuilly przynosiło wytchnienie. Po przybyciu do amerykańskiego szpitala była mile zaskoczona, ponieważ spodziewała się biurokracji i niekompetencji, a przywitano ją grzecznie i zaproszono do biura dyrektora. Siedział tam młody mężczyzna, którego gęste, brązowe włosy i okulary sprawiały, że wyglądał jak sowa. Przedstawił się jako Ernie Stillwater i wysłuchał uważnie wyjaśnień Michelle.

— Cóż, pani Jefferson, ludzie z Notre Dame mieli rację w jednej sprawie — powiedział Stillwater. — Te dokumenty przewieziono do nas. Niestety, później znowu zostały przeniesione, tym razem do oficjalnych archiwów wojskowych w Paryżu. Jeśli chce je pani dostać, będzie pani musiała otrzymać wojskowe pozwolenie.

— Czy powinnam się spodziewać kłopotów? Stillwater spojrział na nią z sympatią.

— Wie pani, jak w wojsku załatwia się sprawy. Każdy dokument wystawia się w trzech egzemplarzach, a na wszystko trzeba mieć pozwolenie. To może zająć bardzo dużo czasu.

— Nie wiem, czy mój mąż może sobie pozwolić na taki luksus — rzekła spokojnie Michelle.

Opowiedziała, co działo się z Franklinem w Nowym Jorku i w czasie podróży przez Atlantyk. Wyjaśniła, jak pilnie sir Dennis Pritchard potrzebuje tych dokumentów.

— Słyszałem o Pritchardzie — zauważył Stillwater. Nazwisko doktora zrobiło na nim odpowiednie wrażenie.

Michelle postarała się wykorzystać okazję.

— Doktorze, czy nie udałoby się panu zdobyć dla mnie tej karty? Przechowywano ją przecież tutaj, a wielu amerykańskich wojskowych wciąż mieszka w Paryżu...

Widząc błysk w oku Stillwatera, zrozumiała, że Amerykanin pojął, o co jej chodzi.

— Myślę, że taka prośba byłaby uzasadniona — odparł z uśmiechem. — Powiedziała pani, że gdzie mieszkacie w Paryżu z panem Jeffersonem? Rozumie pani, muszę podać jakiś lokalny adres. Michelle myślała gorączkowo, ale jedyne miejsce, które przyszło jej do głowy, to „Coq d'Or”.

— Dobry wybór — wymruczał Stillwater, robiąc notatki. — Dają tam niezłe jedzenie, ale cały lokal wygląda jak nowoorleański burdelik.

Tego wieczoru Michelle zameldowała się w hotelu „Ritz” na placu Vendôme. Zjadła obiad, wypila pół butelki gevery-chambertin i zapadła w głęboki, tak potrzebny jej sen.

Następnego ranka hotel zorganizował Michelle powrót do Londynu. Załatwiono wszystko: limuzynę do Calais i kabinę pierwszej klasy na promie. Kiedy statek płynął

przez kanał La Manche, Michelle zmówiła cichą modlitwę za doktora Emiego Stillwatera. Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, i Michelle mu uwierzyła. Teraz mogła tylko czekać. W Dover wsiadła do następnego samochodu. Z powodu złej pogody przybyła do szpitala Grosvenor o wiele później niż oczekiwała. Spotkała się z sir Dennisem po obchodzie. Po jego mime od razu poznała, czego ma się spodziewać.

— Punkcja w niczym nam nie pomogła. Poszczyściło się pani w Paryżu? Michelle opowiedziała lekarzowi o Stillwaterze i jego obietnicy.

— Bardzo dobrze. Będę czekał na wiadomości.

— Kiedy mogę zobaczyć Franklina? — zapytała niepewnie Michelle.

— Teraz, jeśli pani sobie życzy. Jutro może wrócić do domu.

Sir Dennis Pritchard był wzruszony, widząc radość Michelle. Kiedy patrzył, jak śpieszy przez korytarz, zastanawiał się, czy postępuje słusznie. *Cóż innego możesz zrobić?*

W czasie nieobecności Michelle sir Dennis długo analizował ranę Franklina i sposób jej leczenia. Przeczytał jeszcze raz sprawozdanie Michelle, w którym opisywała operację, wykonaną w trudnych warunkach przez doktora Emila Radissona. Wszystko prowadziło do tego samego pytania: Co zrobiono dla Franklina Jeffersona w Paryżu?

Sir Dennis zastanawiał się cały czas nad pewną ewentualnością. Im dłużej o niej myślał, tym bardziej wydawała się prawdopodobna. Nie mógł jednak opowiedzieć Michelle Jefferson o swoich podejrzeniach, dopóki nie zdobędzie dowodów. Jeśli się nie mylił, to William Harris, a być może także inni byli winni karygodnego niedbalstwa.

Michelle chciała zabrać Franklina z Londynu, uciec od zimnego, niegościnnego klimatu tego miasta. Porozmawiała o tym z sir Dennisem. Zapytała, czy dwa tygodnie spędzone w Hiszpanii mogłyby pomóc Franklinowi. Lekarz natychmiast się zgodził, ale Franklin nie chciał o tym słyszeć.

— Straciłem zbyt dużo czasu — powiedział krótko do żony. Wskazał listy od bankierów z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. — Ci ludzie wiedzą, że czegoś od nich chcę. Nie będą jednak zbyt długo czekać.

Michelle była przygnębiona, ale szybko zrezygnowała z pomysłu wyjazdu.

W kwietniu rozkład dnia Franklina stał się jeszcze bardziej napięty niż przedtem. Jej mąż zdążył już poznać głównych bankierów i teraz skoncentrował uwagę na Banku Anglii, ostatecznym arbitrze polityki finansowej Wielkiej Brytanii. Rozmowy miały być prowadzone w ścisłej tajemnicy, dlatego odbywały się często o niezwykłych porach i w dziwacznych miejscach.

Michelle i Franklin wychodzili na przykład z przyjęcia, a po drodze do domu kierowca wysadzał Franklina kilka przecznic od Threadneedle Street, siedziby banku. Szedł tam, odbywał spotkanie i czasami wracał do domu dopiero o trzeciej nad ranem.

Franklin zaczął odczuwać skutki długich godzin pracy w ciągłej tajemnicy

i powolnego postępu negocjacji. Nieregularny tryb życia nie pozwalał mu na odpoczynek, a kiedy kładł się wcześniej, dręczyły go koszmary. Znowu pojawiły się bóle głowy. Zaczynały się od pulsowania w skroniach, a kończyły takimi paroksyzmaroi bólu, że Franklin nie mógł się powstrzymać od krzyku. Pewnego takiego wieczoru Michelle wezwała sir Dennisa Pritcharda. Lekarz spojrzął na pacjenta i natychmiast przepisał mu morfinę. Później Michelle dostała od niego kilka strzykawek i zapas narkotyku.

Po każdym ataku Franklin był coraz słabszy, a odzyskiwanie sił trwało coraz dłużej. Wiosną Michelle musiała zajmować się jednocześnie wieloma sprawami. Organizowała życie towarzyskie, pielęgnowała Franklina i zajmowała się jego interesami. Zanim zakwitły słynne angielskie ogrody, Michelle wiedziała o brytyjskim systemie bankowym prawie tyle, co Franklin. Czasami Michelle zastanawiała się, jak długo zdoła jeszcze żyć w takim stresie. Niecierpliwie oczekiwała na wiadomość od doktora Erniego Stillwatera, ale każdego tygodnia słyszała przez telefon tę samą odpowiedź: na razie nic. W końcu to Franklin, a nie ona, podjął ten temat.

— Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będę w stanie pracować — powiedział pewnego dnia. — Wiem, że wolałabyś nie dzwonić do Rose. Ja również. Wygląda jednak na to, że nie mamy wyboru. Zbliża się krytyczna chwila. Jeśli spartaczę sprawę, na marne pójdzie wszystko, nad czym Rose pracowała przez tyle miesięcy.

Wszystko, nad czym ty pracowałeś — poprawiła go w duchu Michelle.

Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Z jednej strony chciała ulżyć Franklinowi, z drugiej jednak pragnęła uwolnić ich życie spod wpływu Talbot House. Wątpliwości i niezdecydowanie musiały być wypisane na jej twarzy, bo Franklin nagle wziął żonę za rękę.

— Dajmy Pritchardowi jeszcze trochę czasu — zaproponował. — Po tych wszystkich badaniach musi w końcu na coś wpaść!

Michelle objęła męża.

— Zgoda — wyszeptła.

Przytuliła się do Franklina, a kiedy słuchała miarowego bicia jego serca, zapomniała o zmartwieniach. Nie mogła wiedzieć, że w odległości ponad trzech tysięcy mil Rose Jefferson zastanawia się nad tymi samymi problemami.

Wiosna 1920 roku była jednym z najbardziej ekscytujących i pracowitych okresów w życiu Rose. Przekaz pieniężny stał się popularny wśród Amerykanów. Bankierzy z całego kraju dzwoniли do Rose i wyrażali swoje zainteresowanie.

Interesy w kraju kwitły, Rose starała się jednak śledzić wypadki po drugiej stronie Atlantyku. Chciwie czytała listy Franklina. Wiedziała, że brat potrzebuje czasu, aby poznać właściwych ludzi, ale po kilku miesiącach zaczęła utyskiwać na brak postępów. Martwiła się, że Franklin jest zbyt ostrożny i straci wyśmienitą okazję do wprowadzenia na rynek czeków podróжных.

Jeszcze bardziej się zaniepokoiła, kiedy doktor William Harris powiedział, że londyński lekarz Franklina ciągle prosi o przesłanie wojskowej karty medycznej pacjenta. Dokładnie przeczytała wszystkie listy brata, ale ich wesoły, pewny siebie ton nie wskazywał na to, że ataki powróciły. *Może nie pisze mi wszystkiego albo ktoś inny go przekonał, że nie powinien mówić za dużo...*

Ta ostatnia możliwość wydawała się Rose bardziej prawdopodobna. Nie miała wątpliwości, kto doradził Franklinowi zachowanie tajemnicy: Michelle.

Niech to wszyscy diabli — pomyślała Rose poirytowana.

Wiedziała, że powinna natychmiast pojechać do Londynu i sprawdzić, co się dzieje. Miała jednak dużo roboty w związku z przekazem pieniężnym. Musiała prowadzić negocjacje z poważnymi kontrahentami. Jeśli teraz wyjedzie, może stracić najlepszych klientów. A poza tym, największe banki z zazdrością śledziły jej sukces, chociaż zaczęły z nią współpracować. Nie tworzyły własnych przekazów pieniężnych tylko dlatego, że wyprzedziła ich w tej grze. Jeśli jednak nie zbuduje ogólnokrajowej sieci, co leżało już prawie w zasięgu jej możliwości, konkurencja natychmiast podniesie głowę.

Ten problem nie dawał jej spokoju. Zarówno Hugh O'Neill, jak i Erie Gollant mieli dużo pracy. Co więcej, Rose nie była pewna, czy brytyjscy bankierzy nie żywiliby uprzedzeń wobec Żyda i Irlandczyka. Z całą pewnością nie zamierzała przekonać się o tym na własnej skórze. W tej sytuacji do Londynu mogła pojechać tylko jedna osoba.

Czy jednak Harry był na to przygotowany? Co ważniejsze, czy mogła zdradzić mu plany dotyczące czeku podróznego? Z drugiej strony, czy Harry poradziłby sobie, gdyby Rose wysłała go z niepełnymi informacjami?

Brak pomyślnych wieści z Londynu pozwolił Rose podjąć decyzję. Kiedy za trzy dni Harry wróci z Saint Louis, popłynie pierwszym statkiem do Southampton. Rose zastanawiała się, czy powiedzieć Harry'emu, że jej prawdziwym celem jest nakłonienie do współpracy brytyjskich banków, ale postanowiła tego nie robić.

Nie powinien podejrzewać, że dzieje się coś złego. To byłaby słabość. Poza tym nie musi wiedzieć wszystkiego.

Zacząła pisać list do Franklina. Informowała go o przyjeździe Harry'ego i proponowała, jak ma sobie radzić z sytuacją. Przykro jej było, że musi kłamać bratu, sądziła jednak, że nie ma wyboru.

Harry Taylor zdążył już się przyzwyczaić do podróżowania pierwszą klasą. Kiedy jego limuzyna wjechała na Carlos Place w Mayfair, zaczekał, aż portier pomoże mu wysiąść z rolls-royce'a i w ogóle nie przejmował się bagażami. Rose osobiście zarezerwowała mu pokój, więc formalności w recepcji trwały bardzo krótko. Sam kierownik odprowadził Harry'ego do apartamentu, zostawił mu wielki kosz owoców i butelkę schłodzonego szampana.

Harry zadzwonił na Berkeley Square i dowiedział się od kamerdynera Jeffersonów, że państwo oczekują go na kolacji o ósmej wieczorem. Ubierając się przypominał sobie ostatni wieczór z Rose. W Nowym Jorku zauważył, że Rose lubiła stwarzać wokół siebie atmosferę tajemnicy. Ostrożnie udzielała informacji. Tylko Erie Gollant i Hugh O'Neill wiedzieli wszystko, między innymi znali „tajny projekt”, który Rose Jefferson pragnęła realizować po oszałamiającym sukcesie przekazu pieniężnego.

Harry Taylor ciągle słyszał o tym tajemniczym przedsięwzięciu. Krążyły plotki, że „Global” przejmie jakiś duży bank, zajmie się działalnością brokerską lub sfinansuje jakąś ogromną inwestycję zagraniczną. Harry zbadał wszystkie te historyjki i stwierdził bez zdziwienia, że żadna z nich nie jest prawdziwa. Dręczyła go ciekawość, ale nigdy nie pytał Rose o nic, nawet wówczas, gdy leżeli obok siebie zmęczeni miłością i pokusa była prawie nie do zniesienia.

Jeśli to coś dużego—myślał Harry—to pytania sprawią, że Rose przestanie mi ufać. Harry budował swoje nadzieje na fakcie, że jego pozycja w „Globalu” stawała się coraz mocniejsza. Jeśli uda mu się osiągnąć wysokie stanowisko w firmie, to najprawdopodobniej osobiście zajmie się nowym projektem. Kiedy Rose kazała mu jechać do Londynu, doszedł do wniosku, że nadeszła wreszcie oczekiwana chwila. Nawet on nie spodziewał się jednak, że tajemniczy plan Rose będzie tak śmiały i dalekosiężny.

— Oto projekt czeku podróznego — powiedziała Rose. — Wszystko zależy od tego, czy amerykańskie banki za granicą zechcą go honorować. Właśnie tym zajmuje się teraz Franklin. Chciałabym, żebyś mu pomógł.

— Zrobię, co się da — odrzekł poważnie Harry. — Możesz mi podać jakieś szczegóły?

— Jesteś moim najlepszym handlowcem. Kiedy tylko Franklin przekona banki, zorganizujesz personel, który będzie rozprawdzał czeki podrózne w każdym hotelu, na stacjach kolejowych i w portach Wielkiej Brytanii.

Harry gwizdnął cicho.

— To dopiero zadanie! Muszę najpierw wyczuć teren, zorientować się, w jaki sposób Brytyjczycy załatwiają interesy, dowiedzieć się, kto ma najlepszych ludzi.

— Właśnie dlatego jedziesz teraz, nie czekając, aż Franklin wszystko uzgodni. Harry'emu wydawało się, że to sensowna strategia. Nie podejrzewał, że Rose nie bez powodu opisuje mu tak dokładnie codzienne życie Franklina. Jeśli rzeczywistość okaże się inna, to Harry, jej czuły kochanek, troskliwy mężczyzna, którego wyniosła ponad wszystkich innych, natychmiast ją o tym poinformuje.

Harry słyszał o Michelle tylko od Rose, spodziewał się więc, że na Berkeley Square pozna francuską megierę, która po wypełnieniu towarzyskich obowiązków pójdzie spać, pozwalając mężczyznom rozmawiać o interesach. Nie mógł się bardziej pomylić.

Po wejściu do salonu Harry został przedstawiony gospodyni, oszałamiająco eleganckiej kobiecie, ubranej w suknię od Callota, z różowego szyfonu i srebrzystych koronek. Rude włosy Michelle spływały na białe ramiona. Był tak zaskoczony, że zabrakło mu słów, kiedy przedstawiała go mężowi i pozostałym gościom. Pewna młoda, jasnowłosa Angielka złowiła spojrzenie Harry'ego i mrugnęła do niego szelmowsko. Lady Patrycja Farmington siedziała w czasie obiadu obok Harry'ego, on zaś uznał to za dobry omen.

Przy obiedzie Michelle uważnie obserwowała Harry'ego Taylora. Wyglądał na miłego człowieka. Zabawiał sąsiadów wesołymi dykteryjkami. Na pytanie, czy powiedzieć Rose o kłopotach zdrowotnych Franklina, znalazła dzięki niemu prostą odpowiedź. Było jednak w tym człowieku coś, co ją niepokoiło.

Kiedy Rose przysłała list z informacją o przyjeździe Harry'ego Taylora, Michelle zaniepokoiła się.

— Nie rozumiem — powiedziała Franklinowi. — Ten mężczyzna jest jej kochankiem. Uchodzi również za geniusza w interesach. Jeśli choć połowa z tego jest prawdą, to dlaczego Rose nie powiedziała mu wszystkiego? Prędzej czy później będzie się musiał dowiedzieć o brytyjskich bankach. Kiedy to się stanie, może winić za brak zaufania zarówno ciebie, jak i Rose.

— Mnie również to się nie podoba — odrzekł Franklin. — Jednakże właśnie w taki sposób pracuje moja siostra. Na pewno ma swoje powody. Niezależnie od wszystkiego muszę znaleźć jakieś zajęcie dla Taylora, nie budząc jego podejrzeń. Kiedy nadejdzie czas, żeby powiedzieć mu prawdę, pozwolimy na to Rose. Do tej pory skończymy już z „Globlem”.

Mimo wszystko podstęp Rose niepokoił Michelle. Po wyjściu gości słuchała, jak Harry rozmawia z jej mężem o interesach. Wyglądało na to, że znał się na rzeczy, a przy tym zwracał baczną uwagę na rady Franklina. Z drugiej strony, widząc, jak Harry patrzy na Patrycję, Michelle zastanawiała się, czy przypadkiem Rose nie zmęczyła się tym młodym człowiekiem i nie wysłała kochanka do Londynu, aby się go pozbyć.

Michelle nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Negocjacje zbliżały się do końca i Franklin nie mógł sobie pozwolić na żadne komplikacje. Postanowiła więc, że będzie uważnie obserwować energicznego pana Harry'ego Taylora.

Dzięki pieniądзом Rose i pomocy lady Patrycji Farmington Harry szybko znalazł sobie luksusowe mieszkanie w Belgravii. Wkrótce stał się częstym gościem na Berkeley Square. Dobrze się czuł w towarzystwie Franklina, ale prawie od razu zauważył kilka anomalii. Pierwszą z nich było to, że Michelle często uczestniczyła w ich dyskusjach i wiedziała o planach spółki tyle samo, co mąż. Harry zadawał sobie pytanie, czy Rose, która nie znosiła Michelle, zdaje sobie z tego sprawę.

Po drugie, Michelle bez przerwy opiekowała się Franklinem. Zawsze umiała znaleźć pretekst, żeby przerwać przedłużającą się rozmowę. Zauważył również, że Franklin Jefferson rzadko zaczyna dzień przed dziesiątą, a Jeffersonowie wcześniej wychodzą ze wszystkich przyjęć. Ostatnią dziwną sprawą było to, że Franklin nie chciał go przedstawić amerykańskim bankierom. Ciągłe mówił, że przyjdzie na to czas później. W końcu Harry doszedł do wniosku, że Franklin coś przed nim ukrywa.

Był zaintrygowany, jednak się z tym nie zdradzał. Franklin nie miał temperamentu i ambicji siostry, ale mimo to dawał się lubić. Harry cenił poczucie humoru i cięte repliki Franklina. Wkrótce Jeffersonowie wraz z Harrym i lady Patrycją Farmington stali się nierozłączni. Przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej, wydawane co roku czwartego lipca, było zawsze niezwykle huczne. Korpus dyplomatyczny mógł wówczas podziękować brytyjskim gospodarzom, a także stworzyć wszystkim Amerykanom okazję do świętowania Dnia Niepodległości. Franklin wiedział, że do ambasady przyjadą najwybitniejsi bankierzy brytyjscy, dlatego wraz z Michelle doszli do wniosku, że będzie to odpowiedni moment na wyłożenie kart. Ambasador, który dobrze wiedział, że często na takich uroczystościach prowadzi się interesy, oddał dużą salę do dyspozycji Franklina.

Michelle zauważyła, że kiedy zbliżał się ów dzień, Franklin coraz bardziej się denerwował. Sypiał długo, ale jego zdolność koncentracji niepokojąco się zmniejszała. Mimo to upierał się, że musi tam iść.

— Nie będzie lepszej okazji — powiedział.

Uroczystość była wspaniała. Panie z kolorowymi parasolkami spacerowały w pachnącym ogrodzie, a mężczyźni w szarych garniturach raczyli się napojem

miętowym i mrożoną herbatą. Obiad podano wcześniej, aby goście mogli odpocząć przed pokazem sztucznych ogni.

Michelle trzymała się blisko Franklina i z ulgą stwierdziła, że mąż bawi się dobrze. Wkrótce Franklin załatwi wszystkie sprawy i ostatecznie opuści „Global”. Tuż przed pokazem sztucznych ogni Michelle i Patrycja wymknęły się do toalety.

— Często spotykasz się z Harrym—powiedziała Michelle, poprawiając włosy. Widząc rumieniec na twarzy przyjaciółki, pomyślała, że plotki o Patrycji i Harrym mają w sobie ziarnko prawdy.

— On jest taki miły — odparła Patrycja.

— A co z Christophe'em? Patrycja wzruszyła ramionami.

— Nie lubisz Harry'ego? Franklin bardzo go ceni.

Michelle zgodziła się, że towarzystwo Harry'ego odpowiada jej mężowi.

— Nie jestem po prostu pewna, czy Harry jest dla ciebie właściwym mężczyzną

— powiedziała. Nie chciała denerwować zakochanej przyjaciółki, dodała więc:

— Jeśli jednak jesteś szczęśliwa...

Franklin i Harry przechadzali się koło platformy z cegieł, przy której bracia Gianelli, słynni włoscy pirotechnicy, przygotowywali sztuczne ognie.

— Będzie tak jak w domu — skomentował Harry.

Kiedy zapadł zmrok, starał się skierować rozmowę na czeki podróżne, ale Franklin unikał tego tematu.

— Powiedziałem kiedyś, że nie będziemy dyskutować o tym poza moim biurem

— przypomniał ostro Harry'emu. — Poza tym jeśli dzisiaj nam się powiedzie, to wkrótce będziesz miał masę roboty.

Harry zastanawiał się nad tą tajemniczą uwagą, przyglądając się przygotowaniom do pokazu.

Wyprostował się i wyjął z kieszeni cygarnicę. Poczęstował papierosem Franklina i zapalił zapałkę.

— Signore! Proszę wybaczyć! Żadnego ognia! Żadnego ognia!

Obaj mężczyźni odwrócili się i ujrzeni, jak bracia Gianelli biegną w ich kierunku, wymachując rękami.

— O czym on do diabła mówi? — spytał Harry. Płomień zaczął parzyć palce Harry'ego.

— Nie, signore!

Harry odrzucił zapałkę. Niestety, słaby wiatr nie był w stanie jej ugasić. Rozżarzona zapałka upadła prosto na lont łączący wszystkie sztuczne, ognie.

Najpierw zapłonęła rzymska świeca. Wystrzeliła w górę, a podmuch odrzucił obu mężczyzn.

Jaskrawe światło oślepiło Franklina. Kiedy na niebie pojawił się rozbłysk, Franklin upadł na ziemię. Nie wszystko było jeszcze przygotowane, petardy i rakiety leżały więc porozrzucane na dziedzińcu. Teraz zapaliły się i wirowały wściekle, aż wpadły pomiędzy drzewa.

Kiedy Franklin podniósł głowę, ujrzał przed sobą ścianę ognia. Za nią dostrzegł jakieś postacie, ale nie rozpoznał braci Gianelli, którzy desperacko starali się przeciąć lonty. Był przekonany, że ma przed sobą niemieckich artylerzystów, prowadzących ostrzał. W jego skołatanej głowie pojawiła się myśl, że zaraz umrze, jeśli nie zabije wrogów.

Zaczął czołgać się ku platformie. Namacał palcami coś zimnego i twardego. Chwycił młotek i przyciągnął go do siebie. Teraz był już uzbrojony. Wstał szybko i pobiegł w kierunku platformy, z której wciąż strzelały rakiety.

Goście otrząsnęli się już z oszołomienia i teraz podziwiali rozbłyśki sztucznych ogni. Michelle zobaczyła, jak ambasador patrzy na zegarek i mruczy, że to cholera powinno wybuchnąć dopiero za dwadzieścia minut. Wyglądało na to, że sztuczne ognie eksplodują na chybił trafił, a nie w wyreżyserowany sposób, jak obiecywali bracia Gianelli. Rozejrzała się, szukając męża, a kiedy nie dostrzegła ani jego, ani Harry'ego, przecisnęła się przez tłum i pobięła ku miejscu, gdzie razem z Franklinem przyglądała się przygotowaniom do pokazu.

Jak mogłaś być tak głupia? Sztuczne ognie! Nie domyślałaś się, jak to na niego podziała? W dodatku zostawiłaś go z Harrym!

Michelle starała się nie wpaść w panikę. Od dymu piekły ją oczy. Nagle wybuchy ucichły. Bracia Gianelli poruszali się ostrożnie wśród dymu, polewając wodą palącą się trawę. Na końcu platformy Michelle ujrzała Franklina. Klęczał, zaciskając dłoń na młotku, z głową zadartą do góry i załzawionymi oczami. Podbiegła do niego i ujęła w dłonie jego zapłakaną twarz.

— Powstrzymałem ich — wyszeptał ochryple. — Były ich setki, ale wszystkich zabiłem...—Franklin upadł łkając i wypuścił z dłoni młotek. Michelle odwróciła się i ujrzała Harry'ego z zabrudzoną twarzą, który patrzył na nią w oszołomieniu.

— Co się stało? — spytała.

— To był wypadek — wyjąkał Harry. — Sztuczne ognie przypadkowo się zapaliły. Stałem z Franklinem tuż obok... Potem on oszalał.

— Pomóż mi go podnieść!

— Czy nie powinniśmy wezwać lekarza?

— Później!

Wzięli Franklina pod ręce i zaprowadzili na parking. Michelle odnalazła szofera i posadziła męża na tylnym siedzeniu samochodu.

— Już jedziemy do domu, kochanie—wyszeptała. —Wszystko będzie dobrze. Franklin ścisnął ją za rękę.

— Muszę wrócić. Jest coś, co powinienem zrobić... — Zaciśnął oczy z bólu. — Muszę coś zrobić. Nie pamiętam... nie pamiętam...

Michelle zauważyła, że drzwi samochodu są wciąż otwarte.

— Zadzwoń do sir Dennisa Pritcharda—powiedziała Harry'emu, zapisując dwa numery. — Jeden domowy, a drugi do szpitala — wyjaśniła. — Opowiedz mu o wszystkim i poproś, żeby spotkał się z nami na Berkeley Square.

— Co mam powiedzieć ludziom? Michelle spojrzała na niego ostro.

— Najlepiej prawdę. Zdarzył się wypadek. Franklin przeżył szok i musiał wrócić do domu. Zatrzasnęła drzwi i objęła męża, zastanawiając się, jak powinna postąpić. Instynkt nakazywał jej zabrać Franklina do domu, gdzie będzie bezpieczny.

Dziś rozstrzygną się losy projektu, nad którym pracował — pomyślała, przypomniawszy sobie o bankierach.

Spojrzała na męża. Oddychał płytko i nieregularnie, a jego skóra była zimna. Owinęła go kocem i mocno przytuliła.

Ktoś zastukał w szybę samochodu.

— Pritchard jest już w drodze — powiedział Harry, starając się złapać oddech.

— Na wszelki wypadek przywiezie ze sobą pielęgniarkę. Ambasador pragnie wiedzieć, czy Franklin czuje się lepiej.

Teraz muszę podjąć decyzję. Mogę wrócić z Franklinem do domu, a wówczas cała jego praca pójdzie na marne. Jeśli to się stanie, Rose zażąda wyjaśnień i od tej chwili nasze życie zamieni się w piekło. Mogę też zastąpić Franklina... Decyduj się, Michelle!

Michelle wysiadła z samochodu i stanęła tuż obok Harry'ego.

— Chcę, żebyś zabrał go do domu — powiedziała cicho. — Opowiedz Pritchardowi, co się stało, i zostań z Franklinem do mojego powrotu.

— Nie jedziesz z nim?

— Nie mogę ci teraz wyjaśnić tego. Postaram się wrócić jak najszybciej. Wzięła teczkę Franklina, wydała szoferowi instrukcje i ruszyła z powrotem.

Wokół ruin ceglanej platformy zgromadziła się grupka ludzi. Starszy z braci Gianelli skarżył się na katastrofę przed szefem protokołu. Michelle wyminęła ich i weszła do ambasady. Sekretarka wpuściła ją do biura.

— Cieszę się, że pani mąż dobrze się czuje — powiedział ambasador wstając.

— Lekki szok, prawda?

Michelle uśmiechnęła się uspokajająco.

— Franklin i pan Taylor stali zbyt blisko, żeby wyjść z tego bez szwanku. Pojechali do domu przebrać się.

— W takim razie pani mąż nie przyjdzie na spotkanie, które zorganizował.

— Nie, panie ambasadorze, ale ja będę w nim uczestniczyć zamiast niego.

— Proszę mi wybaczyć, ale czy na pewno chce pani tego?

— Absolutnie — odrzekła zdecydowanie Michelle. Ambasador wzruszył ramionami.

— Czekają na nas w sali konferencyjnej.

Michelle nie spodobał się jego protekcyjny ton. Poszła wraz z ambasadorem ku błyszczącym, podwójnym drzwiom w końcu korytarza. *Co ja robię?*

Było za późno, żeby się wycofać. Ambasador otworzył drzwi i oświadczył:

— Panowie, oto pani Franklinowa Jefferson.

Niektórzy byli zdziwieni, inni rozbawieni. Michelle nie dała się jednak zwieść dobrym manierom. Wiedziała, że ci mężczyźni nie są zwykłymi strażnikami

powierzonych im pieniędzy. Dysponowali prawdziwą władzą i stanowili podstawę, na której wspierało się imperium.

Niech to diabli! — pomyślała Michelle, zirytowana własnym strachem.—Nieraz siedzieli przy moim stole i jedli mój chleb. Teraz mech lepiej mnie wysłuchają!

Ambasador przedstawił wszystkich i wyszedł z sali. Przez kilka sekund panowała cisza jak makiem zasiał.

— Cóż, pani Jefferson — powiedział sir Manfred Smith z banku Barclays. — Wszyscy mamy nadzieję, że pan Jefferson doznał jedynie lekkiego szoku.

— Mąż czuje się świetnie, sir Manfredzie.

— Czy jest pani upoważniona, by mówić w jego imieniu?

— Tak.

Sir Manfred spojrział na kolegów. Jeśli nawet przekazali sobie jakieś sygnały, Michelle tego nie zauważyła.

— Bardzo dobrze, pani Jefferson. Wysłuchamy pani z uwagą.

Harry Taylor nigdy nie przeżył niczego podobnego: był bliski paniki. Franklin Jefferson skulił się w kącie na tylnym siedzeniu i drżał na całym ciele. Skulił dłonie w pięści i przyciskał je do skroni. Z jego gardła wydobywał się wysoki, ciągły krzyk bólu. Harry nie wiedział, co robić. Siedział na brzegu fotela, obserwował szybkościomierz i modlił się, żeby szofer przestał się wreszcie wlec jak na niedzielnej przejażdżce.

W końcu samochód dotarł na Berkeley Square. Harry poczuł ulgę na widok kobiety w sztywnym pielęgniarskim mundurku, za którą podążał starszy, bardzo przystojny mężczyzna — sir Dennis Pritchard. Patrzył, jak lekarz z siostrą wprowadzają Franklina do środka, a potem powoli ruszył za nimi.

W bibliotece Harry nalał sobie szkockiej i starał się uspokoić nerwy. Pragnął zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie miał wątpliwości, że Franklin Jefferson jest ciężko chory. Hu jednak ludzi o tym wiedziało? Michelle. Ten lekarz. Nikt więcej. Harry nigdy nie słyszał plotek, że Franklin czasem traci nad sobą kontrolę.

Rose również o tym nie mówiła.

Ta myśl oszołomiła Harry'ego. Pewne sprawy zaczęły wreszcie nabierać sensu: stała opieka Michelle nad Franklinem, aktywna rola, jaką żona odgrywała w jego interesach... W Nowym Jorku Rose nawet nie wspomniała o chorobie Franklina. Nie powiedziała, że właśnie z tego powodu wysłała Harry'ego do Londynu.

Nie zdradziła mi wszystkiego, czy sama nie wiedziała?

Harry był przekonany, że w domu Jeffersonów dzieje się coś bardzo złego, i wykorzystał nadarzącą się sposobność. Kiedy wszyscy byli zajęci na górze, wślizgnął się do biblioteki Franklina, która pełniła rolę biura. Nie wierzył, że znajdzie tam coś na temat choroby Franklina, ale nie tego teraz szukał. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Michelle, lojalna, oddana żona, nie pojechała do domu z chorym mężem. Powody musiały być niezwykle ważne. Czyżby chodziło o czeki podróżne?

Rozpoczął poszukiwania od biurka Franklina. Wiedział, że w każdej chwili ktoś może go nakryć, szybko więc przejrzał zawartość otwartych szuflad, a potem skoncentrował się na największej, zamkniętej na klucz szufladzie. Wyjął mały nożyk o rękojeści z masy perłowej. Tak jak się spodziewał, zamek pełnił rolę raczej ozdoby niż zabezpieczenia. Sięgnął po grubą księgę rachunkową, oprawioną w niebieską skórę. Kiedy tylko rozpoznał pismo Rose, wiedział, że znalazł to, czego szukał.

Oklamala mnie... Amerykańskie banki nie mają nic wspólnego z czekami podróznymi. To na współpracy brytyjskich banków jej zależało...

Im dłużej Harry analizował mistrzowski plan Rose, tym bardziej podziwiał jej spryt i odwagę. Gniew był jednak silniejszy od szacunku. Rose oszukiwała go od samego początku. To samo robili Michelle i Franklin.

Harry zastanowił się. Tylko rozmowy z brytyjskimi bankierami mogły zmusić Michelle do pozostania w ambasadzie. Był pewien, że Rose nie wiedziała o chorobie Franklina lub nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej bratowa zaangażowała się w sprawę „Globalu”. Wiedział, jak wyciągnąć korzyści z tej sytuacji. Musi stać się nieodzowny dla Rose, i to w taki sposób, że kiedy ten domek z kart się zawali, nikt nie ośmieli się stwierdzić, że Harry miał coś z tym wspólnego. Harry przeglądał księgę rachunkową i rozważał, jak powinien postąpić. Nie wierzył własnemu szczęściu, kiedy słowa Rose podsunęły mu rozwiązanie.

— Panie Taylor?

Harry był tak zajęty czytaniem, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi do biblioteki. Odwrócił się, wciąż trzymając pochyloną głowę, a na jego twarzy malował się wyraz głębokiej troski.

— Tak?

— Chciałem tylko panu powiedzieć, że wracam do szpitala Grosvenor — powiedział sir Dennis Pritchard. — Proszę przekazać pani Jefferson, żeby zadzwoniła do mnie zaraz po powrocie.

— Oczywiście, doktorze. Co z Franklinem?

— Śpi. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby została na noc.

Księga rachunkowa parzyła Harry'ego w palce. Gdyby tylko mógł ją zabrać ze sobą! Franklin nie zauważyłby zguby przez dzień lub dwa, ale Michelle od razu by się zorientowała. Wiedząc, że chirurg wciąż go obserwuje, Harry spokojnie odłożył księgę do szuflady.

— Czy mogę zrobić coś jeszcze dla Franklina? — spytał, idąc obok lekarza przez korytarz.

— Sądzę, że wystarczająco mu pan pomógł — odrzekł Pritchard, patrząc uważnie na Harry'ego.

— Nie jest pan ranny?

— To tylko brud i proch.

— Niech pan się zaraz umyje. Najmniejsze zadrapanie może doprowadzić do infekcji.

Po wyjściu lekarza Hastings zaprowadził Harry'ego do jednej z wolnych sypialni.

Harry umył się szybko, a potem poszedł odwiedzić pana domu. Jeszcze nie zrobił wszystkiego. Pielęgniarka, która siedziała przy Franklinie, była młodą, przysadzistą kobietą o pospolitej twarzy. Harry zauważył bez zdziwienia, że na jej palcu nie ma obrączki. Wiedział, że takie kobiety są czasem bardzo wdzięczne za najdrobniejszą uprzejmość.

— Czy on się dobrze czuje? — wyszeptał Harry, pukając delikatnie do drzwi.

— Och, tak. Pan jest chyba...

— Taylor. Proszę jednak mówić mi Harry. To okropne, co się z nim stało.

— Wie pan wszystko, prawda? Harry z powagą skinął głową.

— To straszne — rzekła pielęgniarka. — Próbowaliśmy wszystkiego, żeby mu pomóc.

— Ja również chciałbym wiedzieć, co mogę dla niego zrobić — odparł Harry, patrząc jej prosto w oczy.—Niewykluczone, że będę akurat przy nim, kiedy taki atak się powtórzy. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak powinienem się zachować?

— To bardzo rozsądne — zgodziła się kobieta. — Jest pan na pewno jego dobrym przyjacielem. Och, nie ma potrzeby szeptać. Morfina go uspiła.

Morfina!

Harry nie mógł się doczekać, aż usłyszy resztę.

Michelle nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana, jak teraz. Kiedy pochodziła do pustego krzesła przy stole konferencyjnym, jej kroki rozbrzmiewały w ciszy jak wystrzały z karabinu. Na twarzach sześciu mężczyzn nie zauważyła najmniejszej sympatii ani zachęty. Położyła na stole teczkę, którą zabrała z samochodu, i otworzyła usta. Nagle zabrakło jej słów. Wiedziała dokładnie, co powinna powiedzieć, ale myślała tylko o Franklinie i jego przerażonej twarzy. Jak mogła zostawić go samego!

— Pani Jefferson, wiemy, że niepokoi się pani o męża — powiedział uprzejmie sir Manfred Smith.

— Jeśli chce pani wrócić do niego, zrozumiemy.

Słowa prezesa banku Barclays wyrwały Michelle z zamyślenia.

— Dziękuję, sir Manfredzie, ale mąż na pewno czuje się dobrze. Jestem gotowa zacząć.

Michelle mówiła przez godzinę, przerywając tylko wtedy, kiedy rozdawała dokumenty i próbki czeków podróжных. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o Franklinie. Sir Dennis Pritchard z pewnością już się nim zajął. Mogła pomóc mężowi tylko w jeden sposób: podejmując jego misję. Kiedy zakończyła prezentację, spojrzała na słuchaczy i odetchnęła głęboko.

— Jakies pytania, panowie? — spytała, przygotowując się na nieuniknione przesłuchanie.

Nikt się nie odezwał. Sir Manfred znów pośpieszył jej z pomocą.

— Może zostawi nas pani na chwilę, pani Jefferson, abyśmy mogli między sobą omówić całą sprawę?

Michelle zarumieniła się.

— Oczywiście.

Oddaliła się z wdziękiem. W korytarzu oparła się o ścianę i usiłowała odzyskać spokój. Skończyło się. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Reszta nie należy już do niej. Czym prędzej pobiegła do telefonu. Hastings podniósł słuchawkę i zapewnił ją,

że Franklin dotarł bezpiecznie do domu, a sir Dennis już wyszedł. Michelle porozmawiała przez chwilę z pielęgniarką i powiedziała, że postara się przyjechać jak najszybciej.

Wracając do sali konferencyjnej, Michelle zastanawiała się, jak długo bankierzy będą się naradzać. Ku jej zdziwieniu drzwi były otwarte i wychodzili przez nie ludzie.

— Zarówno sama propozycja, jak i pani wystąpienie zrobiły na nas duże wrażenie — powiedział sir Manfred. — Gratuluję, bo zachowała się pani z klasą w trudnych okolicznościach.

Michelle spojrzała na niego z nadzieją.

— Zatem zdecydowaliście! Sir Manfred uśmiechnął się.

— Zastanowimy się nad ofertą i postaramy się szybko udzielić odpowiedzi. — Widząc przygnębienie Michelle, dodał: — Mówię teraz tylko we własnym imieniu, jestem jednak przekonany, że Barclays i „Global” mogłyby razem pracować nad czekiem podróznym.

— Dziękuję, sir Manfredzie—powiedziała z wdzięcznością Michelle. — Powiem o tym mężowi. Pożegnała się z ambasadorem i opuściła przyjęcie. Zaraz po przyjeździe na Berkeley Square poszła do pokoju Franklina, który spał spokojnie. Siostra Martin zapewniła ją, że wszystko jest w porządku. Sir Dennis zadzwoni jutro rano i umówi się na następną wizytę. Michelle, zmęczona, zeszła do biblioteki.

— Na pewno jesteś wyczerpany — powiedziała do Harry'ego.

— Cieszę się, że mogłem ci pomóc — odparł Harry wstając.

— Proponuję, żebyś wrócił do domu i odpoczął. — Michelle zawahała się. — Harry, bardzo cię proszę, żebyś nie opowiadał nikomu o tych wypadkach. Franklin nie czuł się ostatnio zbyt dobrze, ale nie chcemy, żeby ludzie zaczęli o tym plotkować.

Harry podniósł obie ręce.

— Rozumiem.

Miał czyste sumienie. Nic nie powie o zachowaniu Franklina, przynajmniej na razie. Postanowił jednak podjąć pewne działania. Jego plan był niebezpieczny, ale jeśli się powiedzie, zarówno Michelle, jak i Franklin stracą pracę w „Globalu”. Rose tego dopilnuje, a później dojdzie do wniosku, że tylko Harry może wypełnić powstałą próżnię.

Następnego ranka Harry napisał list, który przeredagowywał wiele razy, upewniając się, że przekazuje dokładnie to, o co mu chodziło. Złożył swój podpis, umieścił list w grubej kopercie i kazał go doręczyć pod wskazany adres. Potem czekał. Ku rozczarowaniu Patrycji odwołał randkę, ale jego cierpliwość została nagrodzona. O pierwszej nad ranem zadzwonił telefon i cichy głos wydał Harry'emu instrukcje.

W świetle lampy widać było doskonale, że sir Thomas Ballantine ma już siedemdziesiąt pięć lat. Kilka pasem siwych włosów nie mogło zakryć wątrobianych

plam na jego głowie. Przez przezroczystą skórę na dłoniach prześwitywały niebieskie żyły; palce były powykrzywiane przez artretyzm.

— Pański list był intrygujący — powiedział ochryplym szeptem sir Thomas.

— Obiecuję wiele, ale niedużo mówi.

— Właśnie dlatego wiedziałem, że zechce się pan ze mną zobaczyć — odrzekł Harry.

Sir Thomas Ballantine syknął przeciągle. Nie tolerował bezczelności, zwłaszcza u cudzoziemca, którego zaprosił do domu, prywatnej twierdzy w starannie strzeżonym, swoim świecie. Jednakże Harry Taylor zasługiwał na wyrozumiałość. Sir Thomas powiedział prawdę: list młodego Amerykanina zaintrygował go.

„Nie mieliśmy wprawdzie przyjemności się spotkać, powinien pan jednak mnie wysłuchać, gdyż leży to w interesie spółki, którą pan kieruje”.

Autor opisywał dalej sukces przekazu pieniężnego „Globalu” w Stanach Zjednoczonych i wspominał, że Rose Jefferson zamierza zorganizować nową kampanię na arenie międzynarodowej. Na koniec stwierdzał, że ma cenną informację dla prezesa Cooków i prosił o spotkanie.

Sir Thomas przeczytał list kilka razy. Wiedział wszystko o „Globalu” i władce Rose Jefferson. Doskonale zdawał sobie sprawę z sukcesu jej ostatniego przedsięwzięcia. Zauważył obecność Franklina w Londynie, chociaż nie wiedział, jaki jest cel tej wizyty. Sir Thomas sprawdził dokładnie Harry'ego Taylora. Jedyną plamą jego nienagannej kariery było krótkie zawieszenie w pełnieniu czynności służbowych, po którym nastąpił natychmiastowy awans z przeniesieniem na Lower Broadway. Detektywi sir Thomasa sugerowali, że Rose Jefferson zmieniła zdanie, gdyż nawiązała romans z młodym pracownikiem. Zdaniem sir Thomasa Rose Jefferson mogła wybaczyć kochankowi dawne grzechy, to jednak nie znaczyło, że on przebaczył jej.

— Dał pan do zrozumienia, że Rose Jefferson zamierza konkurować z Cookami

— powiedział głosem suchym jak jesienne liście. — Jakie ma pan dowody? Harry założył nogę na nogę i podniósł głowę.

— Wczoraj wieczorem na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej Franklin miał się spotkać z dyrektorem Barclays i prezesami innych banków. Czy coś to panu mówi?

— A powinno?

— Jefferson chciał zacząć wstępne rokowania oraz powiadomić bankierów, że „Global” zamierza robić interesy w Wielkiej Brytanii i Europie. Spotkanie było tak ważne, że kiedy Jefferson został lekko ranny podczas-wybuchu sztucznych ogni, jego żona sama przedstawiła projekt.

Teraz sir Thomas był zaciekawiony. Franklin Jefferson musiał na pewno długo przekonywać dyrektorów banków, żeby zorganizować takie spotkanie. Sir Thomas nic o tym nie słyszał.

— Po co zwrócił się do banków? — zapytał sir Thomas.

— Po co Rose Jefferson zwróciła się do First National, Bankers Fidelity i innych amerykańskich potentatów finansowych? — spytał retorycznie Harry. — Chciała się upewnić, że będą operować jej przekazem pieniężnym.

— Czyżby sugerował pan, że Rose zamierza sprowadzić tutaj przekazy pieniężne? — rzekł ze sceptycyzmem prezes Cooków. — W naszym kraju obowiązują ściśle prawa walutowe. Przekaz, wystawiony na amerykańskie dolary, jest bezwartościowy w Wielkiej Brytanii. Każdy będzie wolał funty.

— Kto powiedział, że muszą to być dolary? — spytał Harry. — Nie chodzi mi również o przekaz pieniężny. Rose Jefferson stworzyła nowy międzynarodowy instrument finansowy, zwany czekiem podróznym. Założę się, że Bank Anglii zgodził się już, by taki czek był wystawiany w funtach. Jeśli zainteresują się tym główne banki...

— Proszę mi opowiedzieć o czeku podróznym — powiedział sir Thomas. Harry powtórzył prawie słowo w słowo wszystko to, co przeczytał wczoraj w notatkach Rose. Twarz starego człowieka pozostała nieporuszona, Harry był jednak pewien, że sir Thomas zrozumiał wszystkie konsekwencje, wynikające z tego projektu. Jeśli brytyjskie banki zwierzą zyski i zaakceptują czek podróznym, to w ich ślady pójdą mniejsze instytucje finansowe, a także spółki hotelowe, okrętowe i kolejowe — samo centrum firmy „Cook Tours”. Zamiast płacić Cookom za zorganizowanie podróży, turysta mógłby sam wydawać pieniądze, regulując czekami należności za transport, mieszkanie, a nawet posiłki.

— Potrafi pan zapewne udowodnić, że taki instrument rzeczywiście istnieje — powiedział w końcu sir Thomas.

Dla Harry'ego była to najtrudniejsza część rozmowy. Był przekonany, że sir Thomas mu uwierzył, to jednak nie musiało znaczyć, że prezes Cooków zacznie działać. Nic tu nie pomogą mgliste obietnice. Harry nie miał wyboru: musiał powiedzieć prawdę.

— Istnieje dowód — rzekł ze spokojem Harry. — Wczoraj na Berkeley Square widziałem własnoręczne notatki Rose. Nie mogę jednak ich panu przedstawić. Jeśli nie Franklin, to jego żona zauważyłaby brak notatek. Niczego bym nie osiągnął, gdybym dał się złapać.

Sir Thomas wierzył mu. Rzeczywiście, Harry Taylor mógł uzyskać dostęp do notatek Rose, ale nie był w stanie wynieść ich z Berkeley Square bez ryzyka. O prawdomówności Taylora świadczył jednak przede wszystkim fakt, że przychodząc tutaj, oddał się całkowicie w ręce sir Thomasa. Harry Taylor nie musiał wykradać planów, żeby stracić pracę w „Globalu” i iść do więzienia. Sir Thomas mógł mu to załatwić za pomocą jednej depechy do Nowego Jorku. To prowadziło do oczywistego pytania.

— Jeśli nawet mówi pan prawdę, to co pan będzie z tego miał, parne Taylor?

— Dwie rzeczy — odrzekł spokojnie Harry. — Po pierwsze, kiedy okaże się, że Franklin Jefferson jest niekompetentny, Rose odda mi jego stanowisko. Po drugie, jeśli z jakichś powodów nie uda mi się zrobić kariery w „Globalu”, chciałbym mieć możliwość manewru. Nie proszę o pieniądze, sir Thomasie. Mam jednak nadzieję, że jeśli w przyszłości się spotkamy, będzie pan pamiętał, co zrobiłem.

Sir Thomas był zdziwiony. Przypuszczał, że Harry Taylor poprosi go o przekazanie dużej sumy na konto w banku szwajcarskim.

Jest pan bardzo sprytny, panie Taylor, ale nie jest pan twardy. Wiele musi się pan jeszcze nauczyć.

— Bardzo dobrze. Przyjmuję pańskie warunki. Zbadam tę sprawę. Wkrótce powiadomię pana o mojej decyzji.

Harry nie mógł uwierzyć, że otrzymał to, po co przyszedł. Siedział w ciemnym pokoju i zastanawiał się, co jeszcze powinien powiedzieć.

— Czy to wszystko, panie Taylor?

— Tak...

Ależ skąd! — pomyślał sir Thomas, dzwoniąc na sekretarkę. — Przed chwilą po raz pierwszy w życiu poznał pan smak zdrady. Niech pan się przyzwyczaja, panie Taylor. Nigdy nie uda się panu zmyć tej plamy. Wcale nie jest pan twardym człowiekiem.

Tak jak większość siedemdziesięciolatków, sir Thomas Ballantine nie potrzebował dużo snu. W nocy wykonywał większą część pracy. Zaraz po wyjściu Harry'ego Taylora sekretarka przyniosła prezesowi Cooków grube akta Rose Jefferson. Sir Thomas przejrzał je, przeczytał uważnie wszystkie dokumenty dotyczące przekazu pieniężnego, a potem zastanowił się, czym mógłby się stać jego międzynarodowy odpowiednik. Próbował zgadnąć, jaką umowę musiałyby zawrzeć Rose Jefferson z brytyjskimi bankami, gdzie i w jaki sposób sprzedawano by czek, jakie prowizje pobierałyby banki, a także jak „Global” nakłoniłby do współpracy koleje, hotele i firmy okrętowe. W końcu doszedł do wniosku, że zna już w przybliżeniu strategię „Globalu”. Uznał, że plan Rose Jefferson jest odważny, godny podziwu i oznacza śmiertelne zagrożenie dla Cooków. Szkoda, że nigdy nie ujrzy światła dziennego.

O piątej rano sir Thomas skończył sporządzanie notatek i instrukcji. Był z siebie zadowolony.

Rose Jefferson nawet nie zauważyła, co jej spadło na głowę.

Franklin wstał z łóżka dopiero po południu następnego dnia. Michelle podziękowała siostrze Martin za opiekę i zabrała męża do ogrodu.

— Czy zrobiłem z siebie głupca wczorajszego wieczoru? — spytał posepnie Franklin.

Jego głos był wciąż niewyraźny od morfiny, a bladość twarzy zdradzała coraz większe zmęczenie.

— Nikt o niczym nie wie — odrzekła Michelle. Opowiedziała, co się stało, i wyjaśniła, że Harry zabrał natychmiast Franklina do domu. — Na szczęście sir Dennis szybko przyjechał. —

Przerwała. — Mam wyrzuty sumienia, że cię wtedy zostawiłam.

— Ile wie Harry? — spytał Franklin, ściskając ją za rękę. Michelle powiedziała mężowi, jaką historijkę przedstawiła Harry'emu.

— On w to nie uwierzy — odrzekł Franklin. — Myślę jednak, że możemy mu ufać.

Michelle nie była tego pewna. Teraz jednak miała na głowie ważniejsze sprawy. Opowiedziała Franklinowi o spotkaniu z bankierami.

— Jesteś wspaniała! — powiedział Franklin. — Rzecz została już właściwie przesądzona.

— Wciąż musimy czekać na ich ostateczną decyzję — ostrzegła Michelle.

— Zwykła formalność, kochanie.

Zanim Michelle zdążyła odpowiedzieć, pojawił się Hastings i poinformował, że jest dla niej paczka. Michelle weszła za kamerdynerem do domu i była zdziwiona, kiedy wręczył jej telegram.

— To z Paryża, proszę pani — wymruczał Hastings. — Sądziłem, że zechce pani natychmiast to zobaczyć.

Michelle rozerwała kopertę, przeczytała trzy zdania i po raz pierwszy uwierzyła, że koszmar może się skończyć. Doktor Ernie Sullwater odnalazł wojskową kartę medyczną Franklina i przesłał ją do Londynu. Za dwa lub trzy dni znajdzie się w rękach sir Dennisa.

Przed dziesiątą rano sir Thomas Ballantine ułożył już cały plan. Zadzwoił do prezesów trzech największych banków i umówił się z każdym z osobna. Zjadł śniadanie i obiad, słuchając, jak prezesi określnymi pytaniami starają się nakłonić go, by wyjaśnił, w jakim celu zostali zaproszeni. Dopiero w ostatniej chwili sir Thomas odkrywał karty i informował gościa, że dobrze wie o spotkaniu z Michelle i o planie Rose Jefferson. Widok ich zszokowanych twarzy sprawiał mu ogromną przyjemność.

Ku zadowoleniu sir Thomasa goście natychmiast przysięgali, że nie mieli pojęcia, iż umowa z „Globalem” byłaby tak niekorzystna dla jednego z ich największych klientów. W końcu sir Thomas okazywał wielkoduszność i zapewniał każdego z nich, że jeśli dojdą do porozumienia, Cookowie nie wycofają pieniędzy z banku. Pod żadnym pozorem banki nie powinny jednak akceptować propozycji czeków podróżnych Rose Jefferson.

Wracając do domu, sir Thomas zastanawiał się, co powinien zrobić z Harrym Taylorem. Znał wielu takich ludzi jak Harry — awanturników, których można wykorzystać, a potem spisać na straty. Wszyscy mieli jedną fatalną wadę: wierzyli, że każdego mogą przechytrzyć. Prezes Cooków uśmiechnął się. Tak czy inaczej Harry Taylor dostanie za swoje. Sir Thomas nie musi się w to mieszać.

Przez następne czterdzieści osiem godzin Michelle nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Podrywała się na równe nogi, gdy dzwonił telefon, i pędziła do drzwi, kiedy tylko zjawiał się jakiś gość.

— Nie musisz już dłużej czekać — poinformował ją Franklin trzeciego dnia. — Dzwonił sir Manfred. Chce się ze mną zobaczyć.

— Kochanie, to wspaniale!

— Myślę, że powinnaś pójść ze mną. To przecież ty go przekonałaś. Michelle pokręciła głową.

— Nie, dziękuję. Mam już dość interesów.

Kiedy Michelle odprowadzała Franklina do drzwi, miała przeczucie, że popełnia błąd, nie jadąc z nim.

Zwykła trema — powiedziała do siebie.

— Powodzenia, kochanie! — zawołała.

Franklin posłał jej pocałunek i wszedł do samochodu.

Kilka minut po jego wyjeździe zadzwonił sir Dennis Pritchard.

— Dostałem dokumenty z Paryża, pani Jefferson. Muszę natychmiast zobaczyć się z panią i z pani mężem.

Kiedy Michelle powiedziała, że Franklin wyszedł, lekarz odrzekł:

— Dobrze, w takim razie wyjaśnię wszystko pani. Trzeba natychmiast zabrać Franklina do szpitala!

— To nie może być prawda—Michelle patrzyła na sir Dennisa. — To na pewno jakaś pomyłka.

Każdy lekarz od czasów Hipokratesa słyszał te słowa — pomyślał sir Dennis. — Czemu ojciec medycyny nie powiedział nam, jak sobie radzić w takich sytuacjach?

— Chciałbym, żeby tak było, pani Jefferson. Jednakże Franklina operował jeden z najlepszych neurochirurgów francuskich. Asystowali mu znakomici specjaliści amerykańscy. Franklin nigdzie nie znalazłby lepszej opieki.

Michelle nie umiała pogodzić się z treścią zimnych słów angielskich i francuskich. Ze względu na bohaterstwo Franklina na polu bitwy i szczególne zainteresowanie generała Pershinga, zajęto się nim w Paryżu niezwykle troskliwie. Pierwsze notatki doktora de Beaubiena wskazywały, że spodziewał się rutynowej operacji. Kiedy jednak on i jego koledzy przyjrzeni się szrapnelowi w czaszce Franklina, musieli zmienić zdanie. Odłamki tkwiły o wiele za głęboko. Niektóre z nich sięgały stosu pacierzowego. Każda próba ich usunięcia spowodowałaby paraliż, a nawet śmierć. Gdyby się nic nie zrobiło, pacjent będzie stopniowo tracił siły, mimo to postanowiono zrezygnować z operacji.

— Dlaczego mu nie powiedzieli? — wyszeptwała Michelle.

— Jak pani widzi, de Beaubien pozostawił to wojsku. Najprawdopodobniej lekarze uznali, że będzie lepiej, jeśli Franklin się nie dowie, przynajmniej na razie.

— Czemu wojsko go nie poinformowało? Sir Dennis ostrożnie dobierał słowa.

— To wprawdzie tylko domysły, sądzę jednak, że sprawa miała następujący przebieg. Wojsko wysłało jakąś informację do pani męża albo bezpośrednio, albo przez nowojorskiego lekarza. Z jakichś powodów wiadomość ta nie dotarła lub ktoś celowo zataił fakty.

— Harris!

— Harris na pewno odgrywał w tym jakąś rolę — zgodził się sir Dennis. — Nie wierzę jednak, że działał z własnej inicjatywy.

Nagle Michelle zrozumiała, do czego zmierza lekarz.

— Rose? Rose to przed nim zataiła! Ale dlaczego? Sir Dennis wzruszył ramionami.

— To oczywiście możliwe. Obawiam się, że będzie pani musiała sama ją o to zapytać. Proszę mi wierzyć, ja też jestem ciekaw odpowiedzi.

— Wydobędę z niej wszystko! To, co zrobiła, jest straszne!

— Najpierw powinniśmy jednak powiadomić pani męża — powiedział zdecydowanie sir Dennis.

— Musi się dowiedzieć, co się z nim dzieje i dlaczego.

— Na pewno można coś zrobić! — krzyknęła Michelle. — W chirurgii dokonał się postęp...

— Nie taki, żebym był w stanie pomóc Franklinowi — powiedział lekarz. Było mu przykro, ale nie mógł pozwolić, by ta kobieta żywiła fałszywe nadzieje.

— Postaramy się ulżyć Franklinowi, ale w końcu...

Michelle zrobiło się słabo, a po jej policzkach płynęły łzy. Opłakiwała Franklina i siebie, pierwsze szczęśliwe tygodnie spędzone z mężem, nowojorskie udręki, które musiała wycierpieć z winy Rose. Opłakiwała przyszłość, której nie będzie i rzeczy, których pozbawił ich los i Rose Jefferson. Sir Manfred Smith wstał, kiedy Franklin wszedł do jego pięknego biura z ręcznie malowanym sufitem i wysokimi francuskimi oknami, przez które widać było budynek giełdy. W przeciwieństwie do niektórych kolegów, prezes banku Barclays naprawdę lubił młodego Amerykanina. Zauważył jego entuzjazm i podekscytowanie i z niechęcią myślał o tym, co musi zrobić.

— Mam nadzieję, że doszedł już pan do siebie po tym mefortunnym incydencie w ambasadzie — zaczął sir Manfred.

— Tak, dziękuję.

— Muszę stwierdzić, że pańska żona świetnie sobie poradziła—mówił bankier.

— Niestety, po starannym rozważeniu sprawy doszliśmy do wniosku, że nasz bank nie może wziąć udziału w projekcie „Globalu”.

Franklin zadrżał.

— Chyba... chyba nie rozumiem — wyjąkał. — Michelle powiedziała mi, że pomysł się panu spodobał i że spróbuje pan przekonać do niego kolegów.

— Przyznaję, że dałem to pani Jefferson do zrozumienia — powiedział poważnie sir Manfred. — Nie umiem wyrazić, jak mi przykro. Nie miałem prawa budzić fałszywych nadziei ani mówić w imieniu kolegów.

— Co się zmieniło? — spytał Franklin. — Nigdy nie wspominał pan o żadnych kłopotach. Bank Anglii zaakceptował czek. Nie rozumiem...

— Panie Jefferson, nie wolno mi wchodzić w szczegóły. Rzecz w tym, że mamy zobowiązania wobec innych klientów, a zaangażowanie się w wasz projekt pozostawałoby w sprzeczności z ich interesami.

Franklin nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko wyglądało tak obiecująco, że nie liczył się z odmową.

— Moglibyśmy renegotjować umowę.

— Naprawdę, nie ma o czym mówić. Bardzo mi przykro, ale Barclays odrzuca pańską ofertę z dużym żalem.

Sir Manfred wstał i odprowadził Franklina do drzwi.

— Ostatnia sprawa, panie Jefferson. Proszę, niech pan nie obwinia żony. Spisała się świetnie. Franklin sam nie wiedział, jak znalazł się na Bartholomew Lane. Kiedy podjechał samochód, powiedział, że zrobi sobie spacer, i ruszył ku Cornhill Street, gdzie znajdowała się główna siedziba Westminster Bank. Trzydzieści minut później wyszedł z budynku jeszcze bardziej wstrząśnięty niż przedtem. Prezes banku mówił zupełnie otwarcie: jego instytucja nie będzie robiła żadnych interesów z „Globalem”.

Oszołomiony Franklin szedł szybko ku Gracechurch Street. W korytarzu spotkał udającego się na lunch prezesa London—India Bank.

— To dziwne, że nie dostał pan naszego listu — rzekł dyrektor, który chciał najwyraźniej pozbyć się niespodziewanego gościa. — Dziś rano wysłałem go przez posłańca. Skoro jednak już pan tu jest, to oświadczam, że London—India nie jest zainteresowany pańską propozycją.

Dyrektor starał się wyminąć petenta, ale Franklin złapał go za rękaw.

— Może mi pan przynajmniej powiedziec dlaczego! — wykrzyknął. Dyrektor rozejrzął się i dostrzegł, że dwaj barczyści portierzy zauważyli incydent.

— Polityka bankowa — powiedział głośno, starając się zwrócić ich uwagę. — A teraz proszę mnie puścić!

— Niech pan to zrobi, sir—rzekł jeden z portierów. —Nie chcemy tu żadnych scen. Franklin warknął i kopnął na oślep z całej siły. Jeden z portierów wrzasnął z bólu.

Franklin odwrócił się i wpakował pięść prosto w splot słoneczny drugiego. Zanim ktokolwiek mógł mu przeszkodzić, przyparł dyrektora do ściany.

— Co tu się dzieje?! — wysyczał. — Dlaczego wszystkie drzwi się przede mną zamykają?

Bankier jęknął, ale nic nie powiedział. Ręka Franklina poruszyła się tak szybko, że prawie nie było jej widać. Z nosa bankiera trysnęła krew.

— Ty draniu! — załkał dyrektor. — To Cookowie! Nikt im się nie oprze! Franklin nie wierzył własnym uszom.

— Jak? Jak Cookowie się o tym dowiedzieli?

Zanim zdążył usłyszeć odpowiedź, rozległy się czyjeś kroki. Puścił dyrektora i wypadł na ulicę, znikając w tłumie.

Szewska pasja ogarnęła Franklina, kiedy biegł ku Lombard Street. Czuł się bardzo lekko; miał wrażenie, że mógłby biec tak przez wiele mil. Zwolnił, kiedy dostrzegł ogromny znak reklamowy na szczycie przedwojennego budynku—siedziby Cooków.

Cookowie nie mogli wiedzieć o czeku podróznym! Wysocy urzędnicy Banku Anglii i dyrektorzy innych banków przysięgli dochować tajemnicy. Poza nimi tylko on, Rose i Michelle znali wszystkie szczegóły.

Franklin zlany był zimnym potem. Tak czy inaczej dowie się, kto jest za to odpowiedzialny, nawet jeśli będzie musiał wydusić odpowiedź ze starego Ballantine'a.

Obeszło się bez tego. Kątem oka Franklin dostrzegł błyszczącego, czarnego rolls-royce'a, zaparkowanego przed budynkiem. Kiedy portier w uniformie zaczął biec, Franklin ruszył w tym samym kierunku. Tylko jeden człowiek zasługiwał na taki pośpiech: sir Thomas Ballantine. Franklin patrzył, jak prezes wysiada z samochodu. Właśnie miał krzyknąć, kiedy słowa uwięzły mu w gardle. Po sir Thomasie wysiadł Harry Taylor. Obaj mężczyźni powiedzieli coś do siebie i wymienili uścisk dłoni. Potem Harry Taylor odszedł.

Franklin zacisnął powieki, ale ból nie chciał ustąpić. Nagle świat usunął mu się spod nóg. Miał wrażenie, że wpada w długi tunel bez dna, w którym nikt nie usłyszy jego krzyków.

— Powiedz mi jeszcze raz, co się stało — rzekła Michelle.

Szofer szybko opowiedział, jak wszedł do London—India Bank i zobaczył Franklina, szamoczącego się z dyrektorem.

— Wybiegł w mgnieniu oka, proszę pani. Staralem się go zatrzymać, ale był za szybki. Nie potrafiłem znaleźć go w tłumie.

— Czy wiesz, co mogło spowodować ten incydent na korytarzu? — spytała Michelle.

— Nie, proszę pani. Pan Jefferson był jednak wytrącony z równowagi już po wyjściu z Barclays.

Dobry Boże!

Michelle odwróciła się do Hastingsa.

— Powiedziałaś, że Franklin wrócił do domu? Kamerdyner skinął głową.

— Pan Jefferson przebiegł koło mnie, jak gdyby gonił go sam diabeł. Udał się do biblioteki, przebywał tam przez parę minut, a potem znowu wyszedł.

— Nie mogłeś go powstrzymać? Hastings spuścił wzrok.

— Przykro mi, proszę pani. Wiem, że pan Jefferson nie czuje się dobrze. Powinna go jednak pani sama zobaczyć. Zupełnie nad sobą nie panował. Prawdę mówiąc, proszę pani, bałem się go.

Michelle pokręciła głową.

— Nie, Hastings. To ja powinnam cię przeprosić. Nic nie mogłeś zrobić. —Spojrzała na obu mężczyzn.—Czy powiedział coś, cokolwiek, co wskazywałoby, dokąd się wybiera?

Żaden z nich się nie odezwał. Michelle nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Najwyraźniej w banku Barclays stało się coś strasznego. Nie potrzeba było zbyt dużej wyobraźni, żeby zgadnąć, o co chodziło. Teraz jednak musiała znaleźć Franklina. Wygląda na to, że przyszedł do domu i wziął coś, co będzie mu potrzebne... Ale gdzie?

— Hastingsie, chodź ze mną. Rozejrzemy się po bibliotece. Kiedy dowiemy się, co zabrał, może się domyślimy, dokąd poszedł.

— Czego mamy szukać, proszę pani?

— Sama chciałabym wiedzieć. Czegoś brakującego, czegoś nie na swoim miejscu. Michelle zaczęła od biurka Franklina. Przejrzała kolejno szuflady. Na zamku jednej z nich znalazła rysy. Zmarszczyła brwi. Oboje z Franklinem mieli klucze. *A może ktoś inny usiłował otworzyć szufladę? Kto jeszcze przebywał w domu?* Zanim Michelle zdążyła znaleźć odpowiedź, Hastings zawołał:

— Proszę pani, powinna to pani zobaczyć!

Michelle podbiegła do szafki i patrzyła, jak Hastings otwiera tajny schowek. Wnętrze było wysycelane czerwonym aksamitem, w którym widoczny był odciski kształt pistoletu.

— Hastings...

— Przysięgam pani, że zupełnie o tym zapomniałem! Przyjaciół pana Jeffersona przywiózł z wojny na pamiątkę niemiecki luger. W tym kraju prawa dotyczące posiadania broni są dosyć surowe. Ukrył go więc, nie chcąc się narażać na ryzyko konfiskaty.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?! — krzyknęła Michelle.

— Bo nie przypominam sobie, żebym mówił o tym panu Jeffersonowi—odrzekł Hastings z nieszczęśliwą miną. — Na pewno sam go znalazł.

Po co ci pistolet, Franklinie? Kto wyrządził ci taką krzywdę, że tylko w ten sposób możesz wyrównać rachunki? Sir Manfred Smith...

Nie, to nie mógł być on. Michelle przypomniała sobie zniszczoną szufladę. Po raz ostatni otwierała ją w dniu przyjęcia w ambasadzie. Od tej pory ani ona, ani Franklin niczego z niej nie wyjmowali. W domu nie było nikogo obcego...

— Harry... — wyszeptła Michelle.

Harry Taylor wrócił do domu w znakomitym nastroju i wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Tego ranka sekretarka prezesa Cooków zaprosiła go do rezydencji Ballantine'a w St. John's Wood.

— Pańskie informacje były prawdziwe—powiedział sir Thomas.—Zapewniam pana, że Rose Jefferson nie zajdzie daleko ze swoimi czekami. Jeśli chce pan w związku z tym podjąć jakieś działania, teraz nadszedł odpowiedni moment.

Harry był tego samego zdania. Po drodze do domu układał w myśli depeszę do Rose. Ona zrobi za mnie resztę — pomyślał, otwierając drzwi. Od razu wiedział, że coś jest nie tak. Wyczuł czyjąś obecność.

— Cześć, Harry.

Franklin siedział w salonie w czarnym skórzanym fotelu. Harry otworzył usta, żeby się odezwać, dostrzegł jednak oczy Franklina, nieruchome i bez życia. W ręku niespodziewanego gościa zobaczył duży pistolet, wymierzony prosto w niego.

— Franklinie... Podejdź bliżej.

Harry posłusznie zbliżył się o trzy kroki.

— Dlaczego to zrobiłeś, Harry? Czemu mnie zdradziłeś? Zimny, bezlitosny głos Franklina przyprawił Harry'ego o drżenie.

— Nigdy nie zrobiłem ci żadnej krzywdy, Franklinie—odparł ostrożnie Harry.

— Ach, tak? A co robiłeś dziś rano w towarzystwie sir Thomasa BaUantine'a? Harry wiedział, że powinien natychmiast udzielić odpowiedzi. Był jednak tylko człowiekiem i nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Zadałem ci pytanie, Harry.

— On ci odpowie, Franklinie, ale nie teraz. Nie w ten sposób. Powie policji wszystko, co chcemy wiedzieć.

Żaden z nich nie usłyszał wejścia Michelle.

— Micheile, dzięki Bogu, że przyszłaś! — wykrzyknął Harry.

— Nie ruszaj się! — wrzasnął Franklin.

Spojrzał na Michelle i po raz pierwszy zadrżała mu ręka.

— Czy wiesz, co on nam zrobił? — wyszeptał.

— Wiem, kochanie — powiedziała Michelle, starając się zachować spokój. — Przyrzekam, że drogo za to zapłaci. Teraz jednak nie rób mu krzywdy.

Franklin jak gdyby jej nie słyszał.

— Czy wiesz, ilu ludzi zabiłem, Harry? Kilkudziesięciu. Może Mlkuset. Byli to żołnierze. Lepsi ludzie niż ty. Tak łatwo mógłbym cię zabić, Harry...

Michelle była przerażona szaleństwem w oczach Franklina.

— Franklinie — powiedziała cicho. — Czy pamiętasz Paryż, operację, którą przeszedłeś?

Franklin spojrzał na nią w oszołomieniu.

— Nigdy nie byłem w Paryżu! O czym ty mówisz?

— Byłeś, kochanie! Miałeś być operowany, ale...

W tej właśnie chwili Harry się poruszył. Franklin bezwiednie opuścił pistolet, kiedy zwrócił się ku Michelle. Harry liczył na to, że wydostanie się na korytarz, zanim Franklin zdąży zareagować. Mylił się.

Zadziałał instynkt żołnierza. Franklin dostrzegł zamiar Harry'ego. Jednym ruchem podniósł pistolet i nacisnął spust. Rozległ się głośny wystrzał. Kula powinna dosięgnąć Harry'ego, zanim dotrze do korytarza. Harry nie przebiegł jednak przed Michelle, lecz skoczył za nią. Właśnie krzyk Michelle ostatecznie doprowadził Franklina do szaleństwa.

Czas stanął w miejscu. Obaj mężczyźni patrzyli, jak na białej satynowej bluzce Michelle, tuż ponad piersią, rozlewa się powoli czerwona plama. W końcu Harry spojrzał na Franklina, a jego twarz nie zdradzała żadnego uczucia oprócz rezygnacji. Wiedział, że czeka go śmierć.

Pistolet upadł na podłogę. Franklin zrobił jeden krok, zawahał się, a potem ruszył dalej. Patrzył prosto przed siebie i przeszedł nad ciałem żony, jak gdyby go nie zauważył. Dopiero kiedy Harry usłyszał trzask zamykanych drzwi, zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

30.

Monk McQueen leżał na kanapie w biurze. Bezwładnie zwisająca dłoń dziennikarza dotykała podłogi. Gdyby nie torebka z lodem, zakrywająca jego twarz od nosa aż do czoła, można by odnieść wrażenie, że wyzionął ducha. Nie przypominał sobie zbyt dokładnie wczorajszego przyjęcia urodzinowego, pamiętał jednak, że w pewnym momencie na stole pojawiła się kanadyjska zbożowa whisky. Reszta przeszła do historii, w którą lepiej się nie wgłębiać.

— Panie McQueen!

Monk wzdrygnął się, słysząc trzaśnięcie drzwiami.

— Jimmy, nie krzycz tak — powiedział ochryple. Redaktor włożył do ręki Mońka depeszę.

— Właśnie nadeszła. Powinieneś rzucić na to okiem.

Monk odwrócił głowę i torebka z lodem spadła na podłogę. Wylał twarz ręcznikiem i spróbował się skoncentrować. Wiadomość natychmiast go otrzeźwiła. PANI MICHELLE JEFFERSON
POSTRZELONA. STAN DOBRY. CHCE SIĘ Z PANEM ZOBACZYĆ. NIE NALEŻY
INFORMOWAĆ GLOBALU O WYPADKU. POLECONO MI CZEKAĆ NA ODPOWIEDŹ.
DENNIS PRITCHARD, M.D., F.R.C.S.

DOKTOR MEDYCYNY

SZPITAL GROSVENOR

LONDYN WEST ONE

— Kiedy to nadeszło? — spytał Monk.

— Dziesięć minut temu.

— Są o tym jakieś wzmianki w depeszach agencyjnych?

— Ani słowa.

— Dzwoniła Rose? Redaktor pokręcił głową. Monk podniósł się z kanapy.

— Zarezerwuj mi miejsce na pierwszym statku do Southampton.

— To kawał drogi, panie McQueen. Statek odpływa dziś po południu. Nie jest to wprawdzie U.S.S. „Constitution”...

— Wystarczy. Kto jeszcze o tym wie?

— Telegrafista.

— Powiedz mu, żeby trzymał buzię na kłódkę. Teraz przynieś mi trochę pieniędzy i każ służącemu spakować moje rzeczy.

Dopiero kiedy Monk został sam, dotarła do niego w pełni treść telegramu. Kto strzelał do Michelle? Dlaczego? Gdzie jest Franklin? Czemu Michelle nic o nim nie wspomniała?

Pisząc depezę do Londynu, wciąż zastanawiał się nad tymi pytaniami. Monk miał nadzieję, że na statku znajdzie się dobry telegrafista. Będzie miał co robić.

Spokojną dzielnicę Mayfair przewrócono do góry nogami. Pełno było tu teraz londyńskich policjantów i detektywów Scotland Yardu, którzy zablokowali ulice, sprawdzali wszystkie kąty, wypytywali mieszkańców, czy nie widzieli niczego podejrzanego. Wszystkich grzecznie, ale stanowczo proszono o współpracę. Przeszukano ogrody, tarasy i garaże.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że pan Jefferson nam się wymknął — powiedział inspektor Geoffrey Rawlins ze Scotland Yardu.

Detektywi pracowali w salonie, a Rawlins zabrał Harry'ego Taylora do kuchni, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Przeglądając notatki, Rawlins zadawał sobie pytanie, dlaczego nie może uwierzyć, że sprawa jest prosta i banalna.

— Panie Taylor, czy na pewno nie widzi pan żadnego powodu, dla którego pan Jefferson miałby zastrzelić swoją żonę?

— Na pewno — odpowiedział Harry zmęczonym głosem. — Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

Harry podniósł do ust filiżankę kawy. Ta katastrofa mogła go zniszczyć, był jednak pewien, że uda mu się odwrócić sytuację na swoją korzyść. Kiedy zabrano Michelle do szpitala, a Rawlins zaczął go przesłuchiwać, wiedział już, co ma mówić.

Niczego nie ukrywał przed inspektorem Scotland Yardu. Wyjaśnił na początku, co robił w Londynie i jak długo znał Franklina. Opowiedział Rawlinsowi o zachowaniu Franklina w ambasadzie, o tym, jak pomógł go odprowadzić do domu i jak pielęgniarka opowiedziała mu o poprzednich atakach. Zwrócił uwagę na fakt, że na prośbę Michelle nigdy z nikim o tym nie rozmawiał.

Upewniwszy się, że w oczach policjanta Franklin zaczyna wyglądać na zupełnego szaleńca, Harry zaczął wplatać w swoją opowieść kłamstwa. Nie ma pojęcia, dlaczego Franklin włamał się do jego domu i czekał z pistoletem w ręku. Najwyraźniej Michelle odkryła nieobecność męża i przyjechała tutaj, żeby prosić Harry'ego o pomoc w odnalezieniu Franklina, który tu był i bredził, że został oszukany przez brytyjskie banki. Michelle starała się go uspokoić, ale było już za późno.

— Wciąż nie rozumiem—powiedział Rawlins, zapalając papierosa—dlaczego pan Jefferson strzelił tylko do żony. Dlaczego nie do pana? Czemu rzucił pistolet i wyszedł?

— Franklin jest szalony, inspektorze — odrzekł spokojnie Harry. — Czy umie pan wyjaśnić postępowanie szaleńca? Ja tego nie potrafię.

— Niewykluczone, że doktor Pritchard będzie w stanie nam pomóc—powiedział z namysłem Rawlins. — Albo pan Jefferson, jeśli zdołamy go odnaleźć.

Do kuchni wszedł konstabl i zaczął coś szeptać Rawlinsowi do ucha.

— Cóż, kiedy złapiemy pana Jeffersona, oskarżymy go tylko o usiłowanie zabójstwa. Pritchard powiedział, że pani Jefferson wyjdzie z tego.

— Dzięki Bogu! — powiedział z ulgą Harry. Przerwał na chwilę.—Inspektorze, pomogłem panu w miarę moich sił, ale mam również zobowiązania wobec pani Jefferson i „Globalu”. Jutro w tutejszej prasie pojawią się informacje o tym zdarzeniu. Muszę ją powiadomić, zanim podobne artykuły ukażą się w nowojorskich gazetach.

— Tak, oczywiście, panie Taylor. Gdzie mogę pana znaleźć wcześniej, gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

— W „Ritzu”. Po tym, co się stało, nie mogę tu zostać...

Jeśli Michelle zacznie mówić, będziesz chciał mi zadać diabelnie dużo pytań!

Harry poszedł na górę, wrzucił do torby trochę ubrań i przyborów toaletowych i opuścił budynek. Pół godziny później siedział już w swoim pokoju w „Ritzu” i układał depeszę do Rose. Starał się ostrożnie dobierać słowa: „Sytuacja jest poważna. Franklin postrzelił Michelle, która jest teraz w ciężkim stanie. Sam Franklin zniknął i ściga go policja. Postaram się opanować sytuację i zadbać o interesy Jeffersonów, dopóki nie przyjedziesz”.

Harry jeszcze raz przeczytał tekst depeszy. Wiedział, że kiedy tylko Michelle zacznie mówić, podważy jego wersję wypadków. Najwyraźniej Michelle wie, że Harry działał wbrew interesom „Globalu” — świadczyły o tym słowa, które rzekła do męża. Franklin nie mógł jednak jej powiedzieć, że widział Harry'ego razem z sir Thomasem Ballantine'em.

A jeśli uda jej się przekonać Rawlinsa, że Franklin zamierzał mnie zastrzelić?

Harry nie lekcewał zdolności i intuicji małomównego inspektora. Jednakże Rawlins nie ma prawa o nic go oskarżyć. To przecież Franklin pociągnął za spust.

Depesza od Harry'ego Taylora doszła do Nowego Jorku o czwartej po południu czasu londyńskiego, trzy godziny po odebraniu przez Mońka McQueena depeszy od sir Dennisa Pritcharda. Ta różnica czasu przesądziła o wszystkim. Kiedy telegram Harry'ego doręczano na Lower Broadway, statek, którym płynął Monk do Southampton, odbijał właśnie od brzegu. Następny okręt do Wielkiej Brytanii, U.S.S. „America”, wyruszy dopiero za dwa dni.

W Nowym Jorku Rose Jefferson siedziała jak na szpilkach. Minął już czwarty lipca, a ona wciąż nie miała od brata żadnej wiadomości. Kiedy Franklin spotykał się z brytyjskimi bankierami, Rose urządziła w Dunescragu wspaniałe przyjęcie z okazji Święta Niepodległości. Zaprosiła pięciuset gości — biznesmenów i polityków z całego kraju. Miała nadzieję, że dzięki różnicy czasu i odrobinie szczęścia otrzyma wiadomość o sukcesie jeszcze przed końcem przyjęcia.

Następnego dnia Rose nie mogła się skoncentrować na interesach i zajęła się osobistymi sprawami. Kupiła stadninę w Kentucky, na którą od dawna miała ochotę, a także dużą działkę nad oceanem w La Jolla w Kalifornii, gdzie architekt Frank Lloyd Wright zbuduje dla niej dom.

Wzięła udział w licytacji w Sotheby's i odrzuciła zaproszenie na obiad od Randolpha Hearsta. Pod koniec dnia, kiedy z Londynu wciąż nie nadeszła żadna wiadomość, Rose wysłała depeszę.

Po powrocie do Talbot House poinstruowała Albany'ego, by obudził ją, kiedy tylko przyjdzie odpowiedź. Postanowiła, że nie będzie się zamartwiać, nie mogła jednak zasnąć aż do trzeciej rano. Cztery godziny później wysłała z biura jeszcze dwie depesze, w tym jedną do Harry'ego Taylora.

W głębi serca Rose musiała przyznać, że bardzo jej brakuje Harry'ego. Nigdy przedtem nie czuła się nocami tak samotna. Tęskniła jednak również za tym, jak ją rozśmieszał i obejmował w czasie tańca. Leżąc w łóżku zastanawiała się często, co Harry może teraz robić. Po upływie dwóch dni, nie mając także i od niego żadnej wiadomości, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że zdarzyła się jakaś katastrofa. W jednej chwili była wściekła i sądziła, że Franklin zawarł umowę z bankami, lecz zapomniał ją o tym poinformować, w następnej zaś szalała z niepokoju, pewna, że zdarzył się jakiś wypadek. W końcu nie mogła dłużej wytrzymać napięcia. Kazała sekretarce zarezerwować kabinę na następnym statku do Southampton.

— Właśnie przyszedł telegram — powiedziała Mary Kirkpatrick, wpadając do biura Rose.

Rose rozerwała kopertę. Sama długość depeszy dodała jej otuchy. Mogła być tylko od Franklina!

— Mary, zostaw mnie, proszę.

— Czy coś się stało, panno Jefferson?

— Po prostu wyjdź!

Rose wyglądziła kartkę i wstrzymując oddech, przeczytała kilka pierwszych zdań. Zdążyła przeczytać jeszcze parę następnych linijek, zanim oślepiły ją łzy. Brnęła naprzód, niczym pływak podążający do brzegu. Wśród myśli, przychodzących jej do głowy, jedna była szczególnie przykra.

Co ja mu zrobiłam!

W ciasnej klitce na najwyższym piętrze pensjonatu na East End było bardzo duszno. Na łóżku o zardzewiałych poręczach leżały postrzępione i brudne materace. Brunatna

woda leciała z kranu do rozpadającego się zlewu. Okno z popękkanymi szybami wychodziło na ceglane budynki. Przez cienkie ściany słychać było ostre krzyki, dochodzące z sąsiednich pokoi. Wszędzie unosił się smród z pobliskiego śmietnika.

Franklin Jefferson kulił się na łóżku z rękami wciśniętymi pomiędzy kolana. Leżał odwrócony do ściany i obserwował bezmyślnie wzór na tapecie. Nie umiałby powiedzieć, od jak dawna tak leży, gdzie się znajduje i jak się tu dostał. Wiedział tylko, że jakiś czas temu zastrzelił swoją żonę. Zacisnął oczy i modlił się o nadejście bólu. Jeśli będzie wystarczająco silny, zemdleje. To przyniosłoby mu ulgę. Pozwoliłoby uciec przed groteskowymi, potwornymi koszmarami, które atakowały go zewsząd niczym drapieżne ptaki. Od czasu do czasu słyszał własny jęk, nikt jednak nie przychodził mu na pomoc, bo jedyna osoba, która mogłaby to zrobić, poniosła śmierć z jego ręki.

Wspomnienia zaczynały się od wystrzału. Pamiętał każdy szczegół—szarpnięcie pistoletu, zapach prochu, strach i niedowierzanie w oczach Michelle, jej upadek, krew na piersi. Przypominał sobie, jak stał nad żoną i wydawało mu się, że trwało to bardzo długo. Nie potrafił jednak jej dotknąć. Zamiast tego po prostu odszedł.

Nie wiedział, dokąd idzie i w jakiej części Londynu się znajduje. Pamiętał ogromny rynek ze straganami pełnymi owoców, jarzyn, świeżych ryb i czerwonych kawałków mięsa, wiszących na hakach. Cały czas go potrącano. Wokół niego wrzeszczeli ludzie. Potem podeszła do niego dziewczyna... bardzo młoda dziewczyna z jasnymi włosami i czerwonymi ustami, która wzięła go za rękę i powiedziała „kochanie”. Zaprowadziła Franklina do jakiegoś budynku. Przypominał sobie, że oddał jej portfel. Dziewczyna przywiodła go do tego pokoju i kazała mu położyć się na łóżku. Potem rozebrała się. Zobaczył wówczas, jak chude jest jej ciało i jak ziemistą ma cerę. Odsunął się. Coś chyba do niego powiedziała, a on na nią krzyknął. Kiedy następnym razem rozejrzał się dookoła, dziewczyny już nie było.

To nieważne — pomyślał Franklin. — Tu jestem bezpieczny. Nikt mnie nie znajdzie. Wkrótce wszystko będzie dobrze.

W tym momencie stalowy odłamek w czaszce Franklina przesunął się o ułamek milimetra, zwiększając ucisk na arterię. Zmniejszył się dopływ krwi do mózgu i Franklin zaczął tracić przytomność. Inny człowiek byłby tym przerażony, ale dla Franklina Jeffersona nadchodząca ciemność stała się prawdziwym błogosławieństwem.

Po południu z Londynu zaczęły napływać informacje o ponurych szczegółach katastrofy. Na stole konferencyjnym Rose pełno było depesz ze Scotland Yardu, od sir Dennisa Pritcharda i Harry'ego Taylora. W kącie Hugh O'Neill rozmawiał cicho przez telefon z kolejnym dziennikarzem nowojorskim. Prasa otrzymała informacje z Londynu o pierwszej po południu. Od tej pory w centrali „Globalu” urywały się telefony.

Po drugiej stronie pokoju Erie Gollant dzwonił do nowojorskich przedstawicieli brytyjskich banków i starał się dowiedzieć, co się stało w czasie spotkania Franklina

z prezesem Barclays. Wielu ludzi na Wall Street miało wobec księgowego dług wdzięczności, więc teraz to wykorzystywał.

Wśród tej gorączkowej aktywności Rose czuła się bezużyteczna. Mogła jedynie czytać nadchodzące depesze i bezradnie przyglądać się tragedii. Z ulgą przyjęła informację od doktora Pritcharda, że Michelle nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Z drugiej strony, zaniepokoiły ją wiadomości od inspektora Rawlinsa. Nie odnaleziono jeszcze Franklina. Poszukiwania będą trwały przez całą noc. Rawlins obiecał, że skontaktuje się z nią, kiedy tylko się czegoś dowie. Bezczynność doprowadzała Rose do szału. Wezwała Hugh'a O'Neilla i Erica Gollanta i oświadczyła, że płynie do Anglii.

— Wygląda na to, że nie masz wyboru—zgodził się O'Neill. —Zadepeszerowałem już do naszych adwokatów. Zaczną działać, kiedy tylko policja odnajdzie Franklina.

— W takim razie załatwione — stwierdziła Rose.

Mary Kirkpatrick zadzwoniła do linii okrętowych i dowiedziała się, że wszystkie miejsca na U.S.S. „America” są już zarezerwowane. Rose zatelefonowała do prezesa spółki, wyjaśniła okoliczności i usłyszała, że znajdzie się dla niej miejsce.

— Chciałabym teraz zostać sama — powiedziała Rose do obu mężczyzn. — Dziękuję za wszystko, co zrobiliście. Bez was nie poradziłabym sobie.

Podeszła do starej francuskiej szafki, która służyła za barek, i naląła sobie kieliszek burgunda. Zimne dreszcze powoli ustępowały. Rose skuliła się na rogu sofy. Z tego miejsca mogła się przyglądać zdjęciom na tablicy koło biurka. Franklin i ona jako dzieci. Franklin kończy Yale; Franklin w mundurze khaki uśmiecha się do aparatu.

— Proszę, Boże! — wyszeptała. — Nie karz go w ten sposób!

31.

Statki, którymi płynęli do Anglii Monk i Rose, były jeszcze na morzu, kiedy Michelle Jefferson odzyskiwała przytomność w szpitalu Grosvenor.

Na początku dostrzegła światło, potem poczuła ból w prawym ramieniu. Namacała palcami bandaż.

— Będzie pani zdrowa jak ryba—powiedział sir Dennis Pritchard, biorąc ją za rękę.

— Franklin... —Michelle zauważyła zaniepokojoną minę lekarza. —Proszę... Pritchard niechętnie opowiedział jej o zniknięciu Franklina.

— Policja jeszcze go nie odnalazła, ale może mi pani wierzyć, że to tylko kwestia czasu. Robią, co mogą.

Lekarz, spodziewając się wybuchu rozpacz, miał pod ręką środki uspokajające. Michelle jednak odwróciła się. Słowa Pritcharda oszołomiły ją. Przypomniała sobie wszystko: jak wchodziła do domu Harry'ego i ujrzała Franklina z pistoletem w ręku, ucieczkę Harry'ego, głośny strzał...

Zaciskała dłonie, starając się opanować drżenie. Miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

To, co przydarzyło się Franklinowi, było okropne. Intuicja podpowiadała jej, że nawet jeśli odnajdą go żywego, nigdy już nie będzie można tak naprawdę mu pomóc.

Michelle odwróciła się do Pritcharda.

— Chciałabym teraz porozmawiać z policją.

Cztery godziny po przybyciu do Southampton Monk dotarł na Berkeley Square. W trakcie podróży cały czas pozostawał w kontakcie z Jimmym Pearce'em. Kiedy tylko przychodziła nowa depesza, Monk spodziewał się wiadomości, że policja odnalazła Franklina. Nie mógł uwierzyć, że po sześciu dniach nikt nie wiedział, co się stało z jego przyjacielem.

Pokazał paszport policjantowi, stojącemu przed drzwiami, i został wprowadzony do środka. Powitał go wysoki, przystojny mężczyzna, który przedstawił się jako sir Dennis Pritchard.

— Jak ona się czuje? — spytał Monk.

— Pani Jefferson powraca do zdrowia — zapewnił Pritchard. — Kula trafiła ją w ramię, zaraz pod obojczykiem. Naruszyła kość, ale nie uszkodziła żadnej arterii ani innego ważnego organu. Przeszła na wylot.

Ze swojego doświadczenia wojskowego Monk wiedział, że Michelle nie grozi niebezpieczeństwo. — W grę wchodzi jednak coś więcej niż sam postrzał — mówił chirurg. — Pani Jefferson ma za sobą ciężkie przeżycia. Proszę jej nie męczyć, panie McQueen. Potrzebuje odpoczynku.

Monk wziął głęboki oddech i powoli wszedł na górę. Zapukał do drzwi i wszedł.

Była szczuplejsza niż dawniej, ale równie piękna. Jej rude włosy lśniły na haftowanej poduszce. Zmienił się wyraz jej oczu, które teraz patrzyły na niego ze zdziwieniem. Nie miała już niewinnego spojrzenia. Widać było, że odniosła rany, które nigdy się nie zagoją.

Michelle podniosła rękę na powitanie.

— Monk...

Usiadł na brzegu łóżka i objął ją ostrożnie, uważając, żeby nie dotknąć zabandażowanego ramienia. Kiedy pogładził przyjaciółkę po włosach, dostrzegł, że jej policzki były mokre od łez. Uplłynęło siedem miesięcy, on jednak wciąż o niej myślał, ciągle przypominał sobie jej zapach i pełen wdzięku śmiech.

— Dobrze się czujesz?

— Nieźle. Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. Michelle otarła łzy i zwinęła chusteczkę w kulkę.

— Franklin...? Monk pokręcił głową.

— Jeszcze go nie znaleźli.

— Ale ty znajdziesz.

Był zaskoczony jej oświadczeniem.

— Michelle, nie wiem, co mogę zrobić.

— Znasz Franklina lepiej niż ktokolwiek inny. Odnajdziesz go. Musisz... Nie chciał składać obietnicy, której nie mógłby dotrzymać. Skoro jednak policja nie robiła żadnych postępów, nie miał wyboru.

— Chcę wiedzieć, co się stało, Michelle. Wzdrygnął się, widząc cierpienie w jej oczach.

— Tak wiele mam ci do powiedzenia. Pewnie nie uwierzysz, ale to wszystko prawda.

— Uwierzę ci. Opowiedz.

Bez pośpiechu Michelle opisała koszmar, który rozpoczął się jeszcze w Nowym Jorku.

Opowiedziała o bolesnych badaniach i desperackich

poszukiwaniach karty medycznej Franklina w Paryżu. Wyjaśniła, w jaki sposób wraz z doktorem Pritchardem dowiedziała się prawdy. Monk nie wierzył własnym uszom.

— Chcesz powiedzieć, że Franklin w dalszym ciągu nie wie, co się z nim dzieje?

— Nie miałam kiedy mu powiedzieć. Wszystko stało się tak szybko, a potem zdarzyła się ta historia z Harrym Taylorem.

Monk zmrużył oczy.

— Taylor? Co on ma z tym wspólnego?

Michelle wyjaśniła, że Rose wysłała Taylora do Londynu, żeby pomógł zorganizować personel do obsługi czeków podróżnych, okazało się jednak, że Harry nic nie wiedział o rozmowach z brytyjskimi bankami. Opowiedziała Monkowi

o swoich zastrzeżeniach w stosunku do Harry'ego, o wyłamanej szufladzie

i o podejrzeniu, że Harry z jakichś powodów zajrzał ukradkiem do prywatnych dokumentów Franklina.

— Kiedy tylko to odkryłam, poszłam do mieszkania Harry'ego. Franklin już tam był z pistoletem w ręku. Mówił, że Harry go zdradził. Próbowałam uspokoić Franklina. Mogłabym to zrobić, ale Harry zaczął uciekać... Monk, on strzelał do Harry'ego, a nie do mnie.

Monk starał się zrozumieć słowa Michelle. Wiedział sporo o Harrym Taylorze, ale najwyraźniej nie tyle, ile trzeba.

— Co powiedziałaś policji? Michelle uśmiechnęła się słabo.

— Prawdę. Powiedziałam, że w jakiś sposób Harry sabotował interesy Franklina. Kiedy Franklin to odkrył, wpadł we wściekłość. Przysięgam, że Franklin nie chciał nikogo zranić. Broń wypaliła przypadkiem.

— Czy ci uwierzyli?

— Nie sądzę—Michelle uściśnęła rękę Monka. — Nigdy nie powinnam do tego dopuścić.

Gdybym sama przywiozła go z ambasady, nie doszłoby do tragedii. Jednakże Franklin tak ciężko pracował...

— To nie twoja wina. Musisz w to uwierzyć!

— Franklin wiedział, że nie da sobie rady — powiedziała cicho Michelle. — Zamierzał powiedzieć o wszystkim Rose, ale ją go powstrzymałam. Nie chciałam, żeby znowu wtrącała się do naszego życia.—Spojrzała na Monka.—Czy sądzisz, że ona od samego początku wiedziała o stanie Franklina?

— Jestem tego pewien — odrzekł Monk.

— Dlaczego ukrywała przed nim prawdę?! — krzyknęła Michelle. — Dlaczego nam o tym nie powiedziała?

Monk przypuszczał, że zna odpowiedź, nie chciał jednak denerwować przyjaciółki.

— Powinnaś odpocząć. Michelle przytuliła się do niego.

— Dokąd idziesz?

— Porozmawiam z policją.

— Ale wrócisz... zostaniesz ze mną?

— Wróce, obiecuję.

Na dole Monk nalał sobie whisky i zastanawiał się nad całą sprawą. Rose nie miała żadnych skrupułów. Zresztą nie tylko ona. Jedyne lekarz wojskowy mógł pokazać Rose kartę medyczną Franklina... Taki człowiek jak William Harris, który nagle zdobył tyle pieniędzy, że stać go było na ekskluzywny gabinet na Park Avenue.

Zapłaciła mu za milczenie...

Monk starał się opanować wściekłość. Chciał jeszcze rozwiązać ostatnią zagadkę: Jeśli Rose знаła prawdę o stanie Franklina, to dlaczego wysłała go do Londynu? Mimo wypitej whisky, nie znajdował odpowiedzi.

Postawił kieliszek na kontuarze i wyszedł z domu. Zapytał policjanta o drogę do Scotland Yardu. Pozostałą część dnia Monk spędził z inspektorem Rawlinsem. Skrupulatność inspektora zrobiła na nim duże wrażenie.

— Jak pan widzi, wyeliminowaliśmy już miejsca, które mógłby odwiedzić człowiek o takiej pozycji społecznej, jak pan Jefferson—zakończył Rawlins. — Moi ludzie obstawili dworce kolejowe na wypadek, gdyby chciał opuścić Londyn. Gazety opublikowały jego portret, a BBC nadało specjalne komunikaty. Rozszerzyliśmy nasze poszukiwania na gorsze dzielnice, gdzie również mamy współpracowników.

Monk domyślił się, że ci „współpracownicy” to policyjni konfidenti.

— Jest jeszcze jedna możliwość, inspektorze. Franklin służył kiedyś w wojsku. Mógł mstynktownie udać się do miejsca, w którym znajdują opiekę weterani wojenni.

Rawlins zanotował to sobie.

— Chciałbym zamieścić ogłoszenie w gazecie — powiedział Monk. — Jeśli je zobaczy, może wyjdzie z ukrycia. Mam zamiar zrobić to samo w BBC.

— Świetny pomysł — zgodził się Rawlins. — Oczywiście, jeśli skontaktuje się z panem, mam nadzieję, że natychmiast mnie pan o tym powiadomi.

— To zależy od paru rzeczy, inspektorze. Pozwoli mi pan prowadzić własne poszukiwania? Rawlins zastanowił się.

— Czemu nie.

— Do kogo, pańskim zdaniem, strzelał Franklin?

— Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, panie McQueen.

— Michelle boi się, że nie uwierzył pan w jej opowieść. Sądzi, że Harry Taylor powiedział panu coś zupełnie innego.

— Z zasady nie dyskutuję o zeznaniach świadków, panie McQueen.

— Nie proszę, żeby zdradzał pan poufne informacje, inspektorze. Szukam czegoś, co mogłoby pomóc Franklinowi.

Monk opisał inspektorowi przebieg wydarzeń, tak jak przedstawiła to Michelle.

— Chciałbym tylko wiedzieć, czy wersja Harry'ego Taylora jest logiczna.

— Czy dobrze pan zna pana Taylora? — spytał Rawlins.

— Nie znam go osobiście. Dzięki mojej gazecie mógłbym jednak zdobyć wiele informacji, które ułatwiłyby panu prowadzenie śledztwa.

— To by nam bardzo pomogło—stwierdził Rawlins. — Jak na razie mamy dwa zeznania oparte na tych samych faktach. Pan Taylor nie zaprzecza, że pan Jefferson oskarżył go o „zradę”. Twierdzi jednak, że pan Jefferson bredził, więc nie ma pojęcia, o co mu chodziło. Z drugiej strony, pani Jefferson potwierdza oskarżenie męża. Kiedy zapytałem pana Taylora, co sądzi o tej rozbieżności, upierał się, że pani Jefferson stara się po prostu chronić męża.

— Komu pan uwierzył?

— Panie McQueen, to nie ma znaczenia. Pani Jefferson nie potrafiła udowodnić, że pan Taylor działał w złej wierze. W tej sytuacji nie mogę oskarżyć go o kłamstwo.

— Na razie.

Obaj mężczyźni wstali.

— Jeszcze jedno — rzekł Monk.—Czy zakłada pan, że Franklin jest uzbrojony?

— Muszę. Już raz zdobył pistolet. Niewykluczone, że znów mu się to uda. Sam pan powiedział, że był kiedyś żołnierzem.

— Chcę pana prosić o wielką przysługę, inspektorze — powiedział Monk. —Zadzwońcie do mnie, kiedy go znajdziecie. Pójdę po niego. Nikomu nie stanie się krzywda.

— Niech będzie — zgodził się Rawlins. — Mam jednak nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, z jakiego rodzaju człowiekiem mamy do czynienia.

Tego nikt nie wie — pomyślał Monk.

Przez następne pięć dni i nocy Monk McQueen przeszukiwał zakamarki Londynu. Miejscowy dziennikarz, który znał miasto nie gorzej niż policjanci, pomógł mu opracować plan. Monk wykorzystywał wszystkie informacje i kontakty, wędrował po dokach, sprawdzał każdy pub, kawiarnię i dom noclegowy. Zatrzymywał się w kościołach i przytułkach dla marynarzy. Zaczepiał prostytutki na Whitechapel i Notting Hill i pokazywał im zdjęcie Franklina, obiecując wysoką nagrodę za współpracę. Chodził na bazy, rozdawał banknoty i zadawał pytania. O świcie, kiedy mleczarze zaczynali pracę, wracał na Berkeley Square. Michelle czekała na przyjaciela ze śniadaniem i zasypywała go pytaniami, przyglądając się, jak je.

Michelle coraz bardziej lubiła spędzać czas w towarzystwie Monka. Wciąż obawiała się o Franklina, nie czuła się już jednak tak samotna i wystraszona jak dawniej. Właśnie wtedy zrozumiała, że Monk byłby w stanie ofiarować jej cudowny dar, którego nikt nigdy jej nie odbierze.

Monk skinął głową policjantowi i wszedł do środka. Tym razem Michelle nie czekała na niego. Zajrzał do kuchni i zobaczywszy, że jest pusta, doszedł do wniosku, że Michelle jeszcze śpi. Poszedł po cichu na górę, umył się i przygotował do snu.

— Monk...

Stała w drzwiach w przezroczystej koszuli. Była bosa, a włosy spływały na jej ramiona jak promienie zachodzącego słońca.

— Michelle...

Imię przyjaciółki uwięzło mu w gardle. Monk zadrżał, kiedy do niego podeszła.

— Nie wiesz nawet, jak bardzo za tobą tęskniłam — powiedziała cicho, nie odrywając od niego oczu. — Jak bardzo pragnęłam słyszeć twój głos i poczuć twój dotyk.

— Michelle...

Położyła mu palec na ustach.

— Nic nie mów. Po prostu chodź ze mną. Monk pozwolił zaprowadzić się do łóżka.

— Powiesz pewnie, że nie powinniśmy, ale to nieprawda. Nic nie jest takie, jak sądzisz, ani takie, jak tego chciałam. Kiedy Franklin wróci, wszystko się zmieni. On umiera, Monk, a ja już nie mam sił. Daj mi siłę, Monk. Daj mi twoją miłość i pozwól mi cię kochać.

Musnął palcami jej piersi. Za dłonią podążyły usta i nagle obudziły się wszystkie zmysły Michelle, które tak długo były uśpione. Oddała się Monkowi z namiętnością zrodzoną z desperacji. Nic nie było ważne poza teraźniejszą chwilą.

— Kocham cię, Monk — szeptała.

Nie wątpiła w szczerść własnych słów. Było prawdziwym cudem, że po tym wszystkim, co się stało, wciąż umiała je wypowiedzieć.

W wolnych chwilach sir Dennis lubił uprawiać ogródek. Na tyłach jego gabinetu znajdował się niewielki raj, pełen róż, tulipanów i gardenii. Najchętniej przychodził tu rano. Oglądał swoje dzieło, popijał herbatę i myślał z zadowoleniem, że świat nie jest taki zły. Tego ranka sir Dennis wyczuł jednak obcy zapach w swoim zielonym królestwie. Zmarszczył brwi i ruszył w kierunku bramy.

— Kim pan, u diabła, jest?

Człowiek stojący naprzeciw niego wyglądał jak trup. Miał zapadnięte policzki, potargane włosy i brudne paznokcie. Jego garnitur, pomimo fatalnego stanu, był jednak znakomitej jakości.

— Kim pan jest? — powtórzył zaintrygowany Pritchard.

— Nie poznaje mnie pan, doktorze? Czy aż tak źle wyglądam? Ten głos postawił go na równe nogi.

— Jefferson? Franklin Jefferson? Mój Boże, człowieku, czy to ty?

Sir Dennis posadził Franklina na krzesło i zbadął, czy na jego ciele nie ma widocznych obrażeń.

— Gdzie pan był? Dobrze się pan czuje?

— Naprawdę nie mam pojęcia — odrzekł cicho Franklin.

— Franklinie, czy wiesz, co się z tobą dzieje?

Sir Dennis nie obawiał się wybuchu szału Franklina. Pacjent wyglądał na niedożywionego. Pritchard zdziwiłby się, gdyby dał radę podnieść łyżkę.

— Zastrzeliłem Michelle. Zabiłem ją. Potem uciekłem. Przyszedłem tu, żeby się poddać. — Franklin przerwał. — Lepiej więc będzie, jeśli zadzwoni pan na policję.

Sir Dennis pochylił się ku niemu.

— Franklinie, chcę, żebyś mnie uważnie posłuchał. Strzeliłeś do Michelle, ale jej nie zabiłeś. Kula trafiła w ramię. Zabrano ją do szpitala i zdążyła już wyzdrowieć. Czy rozumiesz, co mówię? Michelle żyje!

Franklinowi drżały usta. Spuścił głowę.

— Nie zabiłem jej? — wyszeptał.

— Przysięgam, że żyje i ma się dobrze!

Franklin Jefferson skulił się, a jego ciałem wstrząsnęło łkanie. Sir Dennis chwycił go za ramię.

— Franklinie, czy pamiętasz, gdzie byłeś, kiedy strzelałeś do Michelle? Franklin pokręcił głową.

— Nie...

— W mieszkaniu pana Taylora. Czy wiesz, jak się tam znalazłeś?

— U Harry'ego? Poszedłem do mieszkania Harry'ego? Dlaczego?

Sir Dennis nie naciskał. Najwyraźniej Franklin zapomniał o wszystkich wypadkach

poprzedzających strzał. Być może później odzyska pamięć. Teraz powinien się jednak dowiedzieć o innych, równie ważnych sprawach.

— Franklinie, czy wiesz, jak długo cię nie było?

— Widziałem gazetę z datą. Chyba jedenaście dni.

— Zgadza się. Gdzie byłeś? Franklin spojrzał na swoje ubranie.

— W jakiejś dziurze. Przypominam sobie mały pokój... Była tam dziewczyna. Przynosiła mi jedzenie. — Pokręcił bezradnie głową. — Nic więcej nie pamiętam. Oprzytomniałem dopiero dzisiejszego ranka. Musiałem tu przyjść. Nie wiedziałem, co mam robić.

Pritchard całym sercem współczuł temu udreńczonemu człowiekowi. Wiedział, że powinien natychmiast zadzwonić na policję. Musiał jednak również złagodzić jego cierpienia. Podjął już decyzję.

— Franklinie, muszę ci teraz coś powiedzieć. Chcę, żebyś wysłuchał mnie bardzo uważnie.

Starannie dobierając słowa, lekarz wyjaśnił, co dolegało Franklinowi od jego powrotu z Francji.

— Czy rozumiesz, co powiedziałem? — spytał w końcu sir Dennis. Franklin spojrzał na niego.

— Nie można wyjąć odłamka z mojej czaszki. Ja umrę. — Nagle krzyknął: — Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?! Czemu nie wiedziałem, co się ze mną dzieje?! Dlaczego Michelle milczała?!

— Bo nie miała o niczym pojęcia. Podobnie jak ja. Nikt z nas nie wiedział, że zatajono przed tobą prawdę.

— Zatajono?

Sir Dennis zaczerpnął głębokiego oddechu.

— Zgodnie z regulaminem wojskowym, twój lekarz powinien cię o wszystkim poinformować.

— Harris? Harris nic mi nie powiedział. W czasie każdej wizyty twierdził, że jestem zdrowy. Rose była u niego, więc wie. — Franklin spojrział z przerażeniem na Pritcharda. — Rose wiedziała? I nic mi nie powiedziała? Harris wiedział i również milczał?

Wstał i przeszedł się powoli po ogrodzie. To, co powiedział Pritchard, miało sens. Wszystko pasowało do siebie jak kawałki układanki.

— Doktorze, czy wierzy pan, że w tym momencie jestem zdrowy na umyśle?

— Tak, wierzę.

— W takim razie proszę, żeby coś pan dla mnie zrobił.

Sir Dennis dokładnie rozważył prośbę. Jeśli się zgodzi, konsekwencje będą poważne. Franklin miał jednak do tego pełne prawo.

— Przyniosę wszystko, co trzeba—powiedział. —Poproszę pielęgniarkę, żeby się do nas przyłączyła. Lepiej mieć drugiego świadka.

32.

Podróż przez Atlantyk była dla Rose poniżającym doświadczeniem. Jeszcze zanim „America” odbiła od brzegu, w Nowym Jorku zaczęły krążyć plotki o Franklinie Jeffersonie, który próbował zabić swoją śliczną żonę. Kiedy Rose weszła na pokład, stwierdziła, że wszyscy przyglądają się jej badawczo, a co gorsza, ze współczuciem. Zaciśnęła zęby i zniosła jakoś pierwszy obiad przy stole kapitańskim. Potem jadła posiłki w kabinie. Widywano ją tylko wczesnym rankiem, kiedy spacerowała po pokładzie we mgle. Nawet wówczas nikt nie miał odwagi zbliżyć się do niej. W tym czasie Rose zajęła się pracą. Stewardzi wysyłali jej depesze i przynosili odpowiedzi. Przez Hugh’a O’Neilla nawiązała kontakt z inspektorem Rawlinsem ze Scotland Yardu, który informował ją na bieżąco o próbach odnalezienia Franklina. Właśnie od Rawlinsa dowiedziała się, że Michelle oskarżyła Harry’ego Taylora, ale doszła do wniosku, że są to niedorzeczne insynuacje. Rozmaite pytania nie dawały jej jednak spokoju. Dlaczego Franklin strzelił do Michelle? Czy celował w nią, jak utrzymywał Harry, czy też chciał trafić w Harry’ego? Czemu Franklin, który w listach tak dobrze wyrażał się o Harrym, miałby nagle zwrócić się przeciw niemu?

Rose pamiętała ten okropny poranek, kiedy policja przyprowadziła Franklina do domu po tym, jak zaatakował Stevena. Ogarniało ją przerażenie na samą myśl, że coś takiego mogłoby się powtórzyć. Musiała jednak liczyć się z konsekwencjami. Wydarzenia w Londynie wywołały już pewne reakcje w Nowym Jorku. Do „Globalu*1” codziennie dzwoniли przedstawiciele banków, które zgodziły się przyjmować przekazy pieniężne. Wszyscy oczekiwali od Rose jakiegoś oświadczenia, które by wyjaśniło sytuację.

W ostatnim dniu podróży, na kilka godzin przed przybyciem do portu, nadeszła depesza od Harry’ego Taylora.

ODNALEZIONO FRANKLINA. CZUJE SIĘ DOBRZE. PRZEBYWA

W SZPITALU BELLINGHAM. WYJDE PO CIEBIE NA PRZYSTAŃ. ODWAGI.

HARRY

Rose panowała nad sobą z trudem. Kapitan wyświadczył jej grzeczność i poprosił brytyjskich celników, żeby szybko załatwili formalności. Rose zeszła ze statku pierwsza, a kilka minut później spotkała Harry'ego.

— Czy Franklin dobrze się czuje? — spytała niecierpliwie.

— Tak—odrzekł Harry. —Załatwiłem ci natychmiastowe widzenie w szpitalu.

— Nie jedziesz ze mną?

— Będzie lepiej, jeżeli sama się z nim spotkasz. Sir Dennis Pritchard powiedział, że chciałby z tobą porozmawiać. Zaczekam w hotelu.

Kiedy wsiadała do samochodu, Harry położył jej rękę na ramieniu.

— Nie mam pojęcia, dlaczego Franklin chciał zastrzelić mnie albo Michelle. Taka jest prawda. Nie winię go za to. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

— Dziękuję, Harry.

Rose spodziewała się, że pojedzie do Londynu, szofer skierował jednak samochód na południowy wschód.

— Dokąd mnie pan zabiera?

— Do szpitala Bellingham, proszę pani. Jest w wiosce Charlton, zaraz za Woolwich. Te nazwy nie dla Rose nie znaczyły. Samochód zwolnił na wąskich wiejskich uliczkach. Półtorej mili za wioską wyjechali na długą, krętą drogę, obsadzoną starymi dębami, i zatrzymali się przed budynkiem z okresu Jakuba I. Szpital wyglądał jak więzienie. Miał wieżyczki z brudnej, czerwonej cegły, solidne ogrodzenie i kraty w oknach.

— Czy to na pewno tu? — spytała nerwowo Rose.

— To Bellingham, proszę pani.

Rose spodziewała się, że administrator szpitala zabierze ją do swojego biura. On jednak prowadził ją długim korytarzem. Mijali ciężkie, drewniane drzwi obite stalową płytą, z judaszami o grubym szkłe. Mrok rozpraszały lampy gazowe. Zza drzwi dochodziły jęki i wrzaski.

— Dlaczego nie może pan przyprowadzić mojego brata do biura? — spytała Rose drżącym głosem.

— Przykro mi, proszę pani—odrzekł administrator. — Wiemy, że pan Jefferson czasem traci nad sobą kontrolę. Zgodnie z naszym regulaminem pod żadnym pozorem nie wolno go wypuszczać.

— Jeszcze zobaczymy — powiedziała Rose.

Na końcu korytarza przyłączyło się do nich dwóch barczystych mężczyzn.

— Kim oni są? — spytała Rose.

— To personel medyczny, proszę pani.

Coś w głosie administratora zaniepokoiło Rose. Zatrzymała się i zajrzała przez judasza. Nie mogła powstrzymać się od krzyku.

W celi przebywał mężczyzna albo raczej jego cień. Założono mu kaftan bezpieczeństwa, ale mógł się poruszać i uderzać o ściany. Miał na sobie brudne spodnie od piżamy, a jego twarz była zalana krwią.

— Panno Jefferson, proszę...

Rose wyrwała mu się i zaglądała po kolei do każdej celi.

— Gdzie jest Franklin?! — krzyczała. — Co z nim zrobiliście? Gdzieś z mroku odpowiedział jej drżący głos.

— Cześć, Rose. Witamy w Londynie.

Rose udało się jakoś zapomnieć o koszmarniej więziennej rzeczywistości, którą wcześniej zobaczyła. Uspokoiła się na tyle, że mogła ocenić warunki, w których trzymano jej brata. Cella była czysta, pościel świeżo uprana. Przestraszyła się, widząc, jak bardzo Franklin stracił na wadze, lecz on przekonał ją, że ma tu dobrą opiekę. Najbardziej zaniepokoiło Rose to, że brat wydawał się daleki i obcy. W jego dotyku nie było uczucia — miała wrażenie, że w ogóle jej nie dostrzega. Głos Franklina, dawniej tak żywy, był teraz cichy i monotony.

— Wydostanę cię stąd—powtarzała Rose. — Kiedy tylko przyjadę do Londynu, złożę kaucję. Zatrudnię najlepszych adwokatów. Za kilka dni wrócisz do Londynu.

Franklin uśmiechnął się słabo.

— Dziękuję.

Rose ujęła w dłonie twarz brata.

— Proszę, powiedz mi, co się stało. Muszę wiedzieć!

— To bardzo proste. Strzeliłem do Michelle.

— Ale dlaczego? Franklin odwrócił się.

— Jestem bardzo zmęczony, Rose. Chcę teraz odpocząć.

— Franklinie, proszę, nie odtrącaj mnie. Jestem tu po to, żeby ci pomóc. Franklin spojrzał na nią z żalem.

— Naprawdę, Rose? Masz zamiar mi pomóc, tak jak w Nowym Jorku?

— W Nowym Jorku? Nie rozumiem...

— Wiem o mojej karcie medycznej.

Rose była oszołomiona. Oskarżycielskie spojrzenie Franklina raniło ją do żywego.

— Mogę wszystko wyjaśnić...

— Na pewno, Rose. Ale nie mnie. Wyjaśnij to Michelle. To ona o mało nie zginęła. Rose przytuliła Franklina, lecz on siedział bez ruchu z zamkniętymi oczami i milczał jak posąg. Długo jeszcze obejmowała brata i zastanawiała się, czy kiedykolwiek odzyska jego miłość.

— Nie rozumiem, jak mógł go pan tu umieścić — powiedziała Rose chyba dziesiąty raz. — To szpital dla obłąkanych!

Siedziała w biurze administratora naprzeciw sir Dennisa Pritcharda.

— Zażądała tego policja — odrzekł lekarz. — Chcieli nawet wsadzić Franklina do więzienia na oddział dla niezrównoważonych. Proszę mi uwierzyć, że byłoby to

0 wiele gorsze.

— Zamierzam go stąd wydostać!

Sir Dennis nic nie powiedział. Słuchał, jak Rose mówi o „Tory, Tory

1 Deslauriers", najlepszej kancelarii adwokackiej w Londynie. Życzył tej kobiecie szczęścia, ale wątpił, czy uda jej się doprowadzić do uwolnienia Franklina przed procesem.

— Doktorze, co pan wie o stanie mojego brata? — spytała Rose, przypominając sobie, co usłyszała od Franklina.

— O wiele więcej, niż powiedzieliście mi z Harrisem — odrzekł chłodno sir Dennis. — Mogła pani mieć swoje powody, żeby zataić treść wojskowej karty medycznej przed Franklinem. To, że nie poinformowała pani o tym mnie, jest niewybaczalne.

Rose zarumieniała się, słysząc oskarżenie, ale postanowiła nie reagować.

— To znaczy, że widział pan tę kartę.

— Tak.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jaki sposób pan ją zdobył?

Sir Dennis opowiedział, jak Michelle poszukiwała informacji w Paryżu.

— Pani bratowa jest dzielną troskliwą kobietą. Gdybyśmy wcześniej o wszystkim wiedzieli, to, być może, dałoby się uniknąć tej tragedii.

— Proszę mnie nie potępiać, doktorze — powiedziała Rose. — Chodziło mi tylko o Franklina. Czy może pan coś dla niego zrobić?

— Niestety, nie, pani Jefferson.

Palce Rose zbieleły, kiedy zacisnęła je na poręczy fotela. Potem wstała i podeszła do drzwi.

— Dziękuję za wszystko, doktorze. Proszę, niech pan przekaże Franklinowi, że wrócę rano.

— Czy powie mi pani przynajmniej, czemu pani to zrobiła? — spytał sir Dennis. Rose zawahała się.

— To już chyba nie ma znaczenia.

Kiedy dotarła do „Ritza", była wykończona.

— Pani Jefferson, czeka na panią jakiś mężczyzna — powiedział recepcjonista, wręczając jej klucz. — Czy chce się pani z nim spotkać?

Rose pomyślała, że to na pewno Harry, i dlatego się zgodziła. Poszła za recepcjonistą przez wysoki korytarz. Zamarła na widok Mońka McQueena.

— Co ty tu robisz? To znaczy, cieszę się, że cię widzę. Po prostu nie spodziewałam się...

Monk objął ją.

— Widziałaś Franklina? Rose skinęła głową.

— Czuje się dobrze... a przynajmniej tak sędzę. Zamknęli go w szpitalu...

— Bellingham, wiem.

Rose spojrzała na niego badawczo.

— Monk, skąd się tu wzięłeś?

Monk opowiedział jej o depeszy od sir Dennisa Pritcharda i o tym, jak pomagał w poszukiwaniach Franklina.

— Jestem ci wdzięczna, Monk — powiedziała Rose. — Nie rozumiem jednak, dlaczego Pritchard skontaktował się najpierw z tobą, a nie ze mną.

— Michelle go o to prosiła.

— Michelle? Czemu cię wezwała?

— Jestem jej przyjacielem — odparł cicho Monk. — Nie miała się do kogo zwrócić. Była przerażona.

Rose zrozumiała, że zbliżyły ich do siebie wspólne przeżycia z czasów wojny. Nietrudno jej było uwierzyć, że Monk pospieszył na pomoc przyjaciółce. To leżało w jego naturze.

— Jak ona się czuje? — zapytała.

— Dojdzie do siebie, jeśli o to ci chodzi—Monk zawahał się.—Wiem również o karcie medycznej.

Rose pokręciła głową.

— Nie chcę o tym rozmawiać, Monk. Nie teraz.

— W porządku. Co z Harrym Taylorem?

— Co ma być?

— Franklin próbował go zabić! —wybuchnął Monk. —Na miłość boską, Rose, kim jest ten sukinsyn? Czemu wysłałaś go do Londynu?

— Jak wiesz, Harry Taylor zajmuje w mojej firmie wysokie stanowisko

— powiedziała chłodno Rose. —Realizował tu moje instrukcje. To zresztą nie twój interes.

— Kiedy strzela się do ludzi, to owszem, jest to mój interes — odparł Monk.

— Nie jest również sekretem, że starałaś się zawrzeć umowę z brytyjskimi bankami! Rose zbladła.

— Kto ci o tym powiedział? Na pewno nie Franklin. To Michelle, prawda?

— Nie martw się, Rose. Nie opublikuję tej historii. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego Franklin strzelał do Taylora.

— To Michelle tak twierdzi. Nie wiadomo, czy policja jej uwierzy.

— Ty jej nie wierzysz. Wierzysz Taylorowi. Rose wzięwszy torebkę, wstała.

— Monk, zawsze byłeś dobrym przyjacielem. Teraz jednak ostrzegam: nie wtrącaj się. Załatwię wszystko po swojemu.

— To znaczy jak, Rose? — spytał ze smutkiem Monk. — Nie uda ci się zatuszować tej sprawy. Nieważne, czy celem była Michelle, czy Taylor. Tak czy

inaczej Franklin jest oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Jeśli jednak miał powody, by strzelać do Taylora, sąd może wziąć to pod uwagę. Bez względu na to, co zrobisz, Rose, nie wykorzystuj Franklina, żeby osłonić „Global” lub Taylora. Nie pozwolę, byś znowu go skrzywdziła.

Kiedy Rose weszła w końcu do swojego pokoju, zadzwoniła do recepcji i powiedziała, że nie życzy sobie żadnych wizyt i telefonów. Pokojówka przygotowała jej gorącą kąpiel, szlafroki lekką kolację. Wychodząc zabrała ze sobą zapieczętowany list, napisany przez Rose.

Kiedy Rose miała pewność, że jest w apartamencie sama, wyszła z łazienki. Zlekceważyła jedzenie, włożyła szlafrok i otworzyła drzwi na balkon z widokiem na Green Park.

Komu uwierzyłaś?

Inspektor Rawlins twierdził w depeszach, że nie zadowalała go przedstawiona przez Harry'ego wersja wypadków. Policja, podobnie jak Monk, wierzyła Michelle.

Dlaczego byli tak ślepi? Nawet jeśli Harry wiedział o czekach podróży, nie odważyłby się narazić negocjacji. Miał wszystko do stracenia i nic do zyskania.

Rose długo zastanawiała się nad tymi pytaniami, wszystko jednak sprowadzało się do jednego punktu: Franklin. Tylko on wiedział, co się naprawdę stało i dlaczego tego dnia poszedł do mieszkania Harry'ego. Franklin jednak nie pamiętał...

Przynajmniej na razie.

Usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi.

— Cześć, Harry.

Objęła go i mocno pocałowała.

— Nic nie mów. Mamy godzinę. Chcę, żebyś mnie kochał, Harry, tak jak pierwszy raz.

33.

O świcie woźny szpitala Bellingham zaczął gasić lampy. Dawno już ucichły jęki i krzyki pacjentów, pogrążonych teraz w niespokojnym śnie. Nie spali tylko ci, którzy nie zażyli lekarstw. Należał do nich Franklin Jefferson.

Franklin czekał na powrót Rose. Miał jej tak wiele do powiedzenia. Usiłował przypomnieć sobie, o czym właściwie zamierzał porozmawiać z siostrą, a kiedy mu się to nie udało, rozplakał się. Franklin Jefferson nie wiedział, że Rose wyszła piętnaście godzin temu.

W chwilach przytomności Franklin zastanawiał się, dlaczego nie może zasnąć. Stawał na palcach na łóżku, patrzył przez okno na opustoszały plac i myślał o Michelle. Jej również miał wiele do powiedzenia. Dokładnie rozważył to, co usłyszał od sir Dennisa. Nie czuł gniewu ani nie litował się nad sobą. Razem z żoną dobrze wykorzystali czas, który podarował im los. Teraz musiał się upewnić, że Rose nigdy już nie skrzywdzi Michelle.

Potem jego umysł zaczął jak gdyby rozpadać się na kawałki, niczym eksplodująca gwiazda.

Wyjmował zegarek, patrzył na niego w świetle księżycy i zastanawiał się, kiedy wróci Rose.

O godzinie siódmej Rose znalazła się na Lincoln's Inn Fields, największym placu w centrum Londynu. Stały tam piękne, stare domy, w których obecnie mieściły się biura. Rose sprawdziła numer i odnalazła szyld z brązu z napisem „Tory, Tory i Deslauriers”.

Jonathan Tory wprowadził Rose do ciasnego biura, zavalonego książkami, czasopismami i dokumentami prawniczymi.

— Zbadałem sytuację, panno Jefferson, i doszedłem do wniosku, że możemy uzyskać sądowy nakaz przeniesienia pani brata. Musimy jednak zagwarantować, że Franklin Jefferson nie będzie zagrażał bezpieczeństwu publicznemu. Znaczy to, że powinniśmy dysponować odpowiednim lokalem i personelem, który opiekowałby się pacjentem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Rose spodziewała się tego.

— Mogłabym kupić dom, na przykład w Hampstead Heath.

— Świetny pomysł. Prawdę mówiąc, zadzwoniłem już do kolegi, który jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Na pewno będzie miał dla pani kilka propozycji.

— Niech telefonuje do mnie do hotelu.

— Pozostaje jeszcze kwestia kaucji — przypomniał delikatnie Jonathan Tory.

— Jaka, pańskim zdaniem, będzie jej wysokość?

— Oczywiście w sprawie o usiłowanie morderstwa władze niechętnie godzą się na przyjęcie kaucji. Jeśli jednak przekonamy sąd, że pani brat nie będzie nikomu zagrażał i zgodzimy się zapłacić, powiedzmy, pół miliona funtów, to mamy szansę osiągnąć cel.

Rose zakręciło się w głowie. Pół miliona funtów to ogromna suma.

— Załatwię to — powiedziała spokojnie i dodała: — Jest jeszcze jedna sprawa, w której potrzebuję pańskiej rady.

Jonathan Tory wysłuchał uważnie prośby Rose.

— Chodzi pani o zakaz odwiedzin — wymruczał. — Czy sir Dennis zechce złożyć odpowiednie oświadczenie?

— Nie powinniśmy na to liczyć.

— Szkoda. Tak byłoby łatwiej. Myślę jednak, że uda nam się przekonać sąd, iż leżałoby to w najlepszym interesie pani brata.

— Liczę na pana — powiedziała Rose, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie chce słyszeć żadnych wymówek.

Michelle spojrzała w lustro i ledwo powstrzymała się od płaczu. Przez ostatnią godzinę przymierzała jedną sukienkę po drugiej, ale wszystkie były zbyt przygnębiające. Czerń to modny kolor, Michelle nie chciała jednak wyglądać ponuro w czasie spotkania z Franklinem.

Z nikim nie rozmawiała o swojej decyzji. Sir Dennis nie zgodził się wcześniej na odwiedzin, twierdząc, że Franklin nie odzyskał jeszcze sił. Michelle ustąpiłaby, gdyby w Londynie nie zjawiała się Rose Jefferson.

Zerknęła po raz ostatni w lustro i zbiegła na dół. Podszedł do niej Hastings.

— Ktoś chce się z panią widzieć, ma'am — powiedział, wskazując salon.

— Hastings, nie mogę teraz...

— To pani Rose Jefferson. Michelle wzięła głęboki oddech.

— Dziękuję, Hastings. Niech kierowca zaczeka.

Nagle poczuła ból w zabandażowanym ramieniu. Podniosła wysoko głowę i weszła do salonu.

— Cześć, Michelle.

Rose siedziała w fotelu równie opanowana i pewna siebie jak dawniej. Idąc za modą, skróciła trochę włosy. Mówiła chłodnym tonem i przyglądała się krytycznie bratowej.

— Dobrze się czujesz?

— Dobrze—odrzekła Michelle, zła na siebie, gdyż głos odmówił jej posłuszeństwa.

— Wybierasz się gdzieś?

— Chciałam odwiedzić Franklina.

— W takim razie cieszę się, że przyszłam — Rose podniosła się z miejsca. — Michelle, musimy porozmawiać o tym, co się stało i o twoich zeznaniach na policji.

— Powiedziałam prawdę! — uniosła się Michelle.

— Czyżby? Franklin poszedł do domu Harry'ego, żeby go zastrzelić? Czemu, na miłość boską, miałby to robić?

— Nie wiesz? — spytała Michelle. — Policja ci nie powiedziała?

— Dlaczego ty mi nie powiesz? — odparła Rose.

Starając się niczego nie pomijać, Michelle opowiedziała, co działo się po przyjeździe Harry'ego do Londynu. Wyjaśniła, dlaczego wraz z Franklinem podejrzewała, że Harry w jakiś sposób zaszkodził negocjacom z bankami.

— Rozumiem — stwierdziła zimno Rose. — Tak więc to ty, a nie Franklin, uczestniczyłaś w spotkaniu w ambasadzie.

— Nie miałam wyboru. Gdybym tego nie zrobiła, wysiłki Franklina poszłyby na marne.

— Zdaje się, że i tak wszystko poszło na marne. Co ty sobie wyobrażałaś, Michelle? Jak mogłaś uwierzyć, że twoja wiedza i zdolności pozwolą ci się mierzyć z takimi ludźmi?

Michelle miała wrażenie, że spojrzenie Rose przeszywa ją na wylot.

— Przede wszystkim nie wolno ci było reprezentować „Globalu”.

— Wiem o czekach podróży, tyle, co Franklin.

— To najwyraźniej nie wystarcza! — Rose zaczęła chodzić po pokoju. — Przez cały czas sądziłam, że winę za niepowodzenie ponoszę ja albo Franklin. To ty jednak wszystko zepsułaś. Czy wiesz, ile milionów dolarów stracił przez ciebie „Global”? Potem starałaś się zwalić winę na Harry'ego.

— Harry Taylor próbował cię oszukać! — wykrzyknęła Michelle. — Dlaczego nie chcesz w to uwierzyć?

— Bo to nieprawda! Powiem ci, co jeszcze zrobiłaś, Michelle. Oskarżając Harry'ego, rzuciłaś cień na całą spółkę. W Nowym Jorku prasa rzuciła się na ten temat. Spodobał im się pomysł, że urzędnik, zajmujący w „Globalu” wysokie stanowisko, zwrócił się przeciwko własnej firmie. Michelle nie była pewna, czy chce o tym rozmawiać z Rose, ale wyglądało na to, że nie ma nic więcej na swoją obronę.

— A co z tobą, Rose? Czy nie sądzisz, że sama doprowadziłaś do tragedii, zatajając przed nami prawdę? Wiedziłaś, że nie można operacyjnie usunąć odłamków... że stan Franklina będzie się pogarszał, aż do... aż do chwili, w której nie będzie umiał sam się o siebie zatroszczyć. Ty jednak udawałaś, że nie dzieje się nic złego, ściągnęłaś Franklina z powrotem do „Globalu” i pozwalałaś mu zaharowywać się na śmierć. Co ty sobie wyobrażałaś?

— Nie miałam innego wyjścia—powiedziała zdecydowanie Rose, a w jej głosie słychać było smutek. — Owszem, wiedziałam, co działo się z Franklinem, i zachowałam to dla siebie. Mówisz o cierpieniu, Michelle. Czy zdajesz sobie sprawę, co ja przeszłam? Czy miałam skazywać Frariklina albo ciebie na takie cierpienie?

— Bawiłaś się jego życiem, Rose. Franklin miał prawo dowiedzieć się wszystkiego i sam zdecydować o własnej przyszłości. Tak, to byłoby straszne, aleja starałabym się mu pomóc. Czy naprawdę sądzisz, że mogłabym go opuścić?

Milczenie Rose powiedziało Michelle wszystko, co chciała wiedzieć.

— Właśnie o to ci chodziło, czyż nie tak? — rzekła cicho Michelle. — Gdybym odeszła, miałabyś Franklina tylko dla siebie.

— Cóż, a teraz żadna z nas nie będzie go miała — powiedziała Rose.

— Wszystkie moje marzenia i plany spełzły na niczym... — Rose przerwała.

— Kocham Franklina nie mniej niż ty. Powinnaś jednak wiedzieć, że Franklin miał przed sobą wspaniałą przyszłość. Czekały na niego obowiązki, musiał okazać się godny swego nazwiska. Kiedy wrócił z wojny i dowiedziałam się o jego... ranie, chciałam, żeby wykorzystał jak najlepiej czas, który mu pozostał. Pragnęłam, żeby miał poczucie własnej wartości i uczestniczył we wszystkim, co jest jego dziedzictwem. Chroniłam go, Michelle...

— Nie, Rose—odpowiedziała ze smutkiem Michelle.—Realizowałaś po prostu własne plany. Nie obchodziły cię potrzeby Franklina ani ludzie, których kochał. Nigdy nie chciałaś zrozumieć, że w niczym ci nie zagrażam. To, że Frariklin mnie kochał, nie znaczyło przecież, że ciebie kocha mniej. Jeśli zaś chodzi o „Global”, to nigdy wiele się po nim nie spodziewał. Powinnaś była się z tym pogodzić i pozwolić mu odejść.

Rose odwróciła się; paliły ją uszy.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała.

— Zobaczę się z mężem i postaram się, żeby wiedział, że ma dom i żonę, do której może wrócić.

— Co z twoim zeznaniem na policji?

— Nie zmienię go. Kiedy Franklin odzyska pamięć, powie ci to samo. Rose zamknęła oczy.

— Niech tak będzie Michelle, jeśli tego właśnie chcesz. Muszę ci jednak powiedzieć, że ani ty, ani nikt inny nie zobaczy się z Franklinem bez mojego pozwolenia.

— To niemożliwe!

— Sprawdź sama. — Rose podniosła torebkę. — Kiedy Franklin poczuje się lepiej, zabiorę go do domu. Proszę, nie myśl, że możesz ze mną wygrać.

Zimne, nieubłagane słowa Rose dręczyły Michelle przez całą drogę do szpitala Bellingham.

Próbowała przekonać samą siebie, że Rose kłamała. Jaki sędzia nie pozwoliłby żonie odwiedzić męża?

Sędzia, który byłby przekonany, że nie powinno się pozwolić ofierze na odwiedzenie swojego niedoszłego mordercy.

Czyżby wpływy Rose sięgały aż tak daleko? Wkrótce już знаła odpowiedź.

— Nie uprzedzono mnie o pani wizycie, pani Jefferson — tłumaczył się nerwowo administrator szpitala, wprowadzając Michelle do biura.

— Są teraz godziny odwiedzin i chciałabym spotkać się z mężem—powiedziała zdecydowanie Michelle.

— Cóż, jest pewien kłopot.

— Jaki?

— Dziś rano dostałem nakaz sądowy. Przykro mi, pani Jefferson, ale nie mogę pani pozwolić na widzenie z mężem.

Michelle zeszywniała.

— Chcę zobaczyć ten nakaz. — Przeczytawszy go, spytała: — Czy sir Dennis Pritchard o tym wie?

— Nie jestem pewien, czy się z nim konsultowano. Tak czy inaczej, zakaz odwiedzin go nie dotyczy.

— Tylko mnie!

Administrator zarumienił się pod jej spojrzeniem.

Inspektor Rawlins przetarł oczy i spojrzał zmęczonym wzrokiem na Mońka McQueena, który siedział na krześle z cygarem w ustach. Obaj mężczyźni przez całą noc przeglądali artykuły, depesze i informacje dotyczące Harry'ego Taylora, nadesłane z Nowego Jorku. W powietrzu unosił się błękitny dym, a brudne filiżanki stały na krawędzi grzejnika.

Inspektor Rawlins ziewnął.

— Mało tego.

— Och, mamy dużo materiału — odrzekł Monk. — Po prostu niewiele nam to jeszcze mówi.

Harry wydawał się uosobieniem amerykańskiego mitu o sukcesie. Niepokojące było to, że nikt nie miał o nim nic złego do powiedzenia.

— Jest trochę za czysty — myślał głośno Monk. — Zbyt doskonały.

— Niewykluczone — zgodził się Rawlins. — To jednak nie znaczy, że możemy go o coś oskarżyć.

— Przeciągnął się i wstał z krzesła. — Idę do domu spać. Panu radzę to samo.

Monk również wstał.

— Spróbuję pójść innym śladem. Jeśli Harry zwrócił się przeciwko Franklinowi, to na pewno nie zaplanował tego w Nowym Jorku. Sądzę, że tutaj dostrzegł sposobność i ją wykorzystał.

— Co pan zamierza? — spytał ostrożnie Rawlins.

— Pracuję w czasopiśmie finansowym, prawda? Harry Taylor jest poważnym, amerykańskim biznesmenem, robiącym interesy w Londynie. Moi czytelnicy chcieliby na pewno poznać szczegóły jego działalności.

Rawlins podniósł obie ręce.

— Nie chcę o niczym wiedzieć. — Przerwał. — Dopóki oczywiście nie natrafi pan na coś, co mógłbym wykorzystać.

— Spodziewałem się, że pan to powie.

Kiedy Monk wrócił na Berkeley Square, czekała na niego Michelle. Natychmiast się zorientował, że sprawdziły się jej najgorsze obawy. Wystarczyło, że Rose zjawiała się w Londynie, a od razu zaczęła się wtrącać do życia Franklina i Michelle.

— Nie wiem, jak ją powstrzymać — rzekła Michelle. — Co będzie, jeśli Franklin pomyśli, że go opuściłam?

Monk spojrział na Michelle i żałował, że nie może wziąć jej w ramiona. Ich pierwsza miłosna noc nigdy się nie powtórzyła, ale obydwójce o niej pamiętali. Spojrzenia zdradzały wszystko, czego nie mówiły usta. Monk nie miał poczucia winy. Kiedy Franklin wróci, wycofa się po cichu. Oboje zasłużyli na spokój. Nie zamierzał wszystkiego psuć.

— Porozmawiam z Rose — obiecał.

Michelle położyła rękę na jego dłoni. Monk jeszcze wierzył, że może coś zmienić. Nie podzielał jej przekonania, że wydarzenia wymknęły się już spod kontroli.

Sala sądowa przypominała Michelle wiejski kościół. Za stołem sędziowskim widniały wysokie, majestatyczne okna. Kunsztownie kręcona balustrada na galerii kojarzyła się jej z miejscem dla chóru. Polerowane drzewo różane pachniało woskiem.

W sali panował tłok. Na galerii, po lewej stronie Michelle, siedzieli rysownicy, pracujący dla gazet. Specjalne miejsca na dole były zarezerwowane dla reporterów. Michelle spojrzała na Rose, która siedziała obok obrońcy i Harry'ego Taylora. Ława oskarżonych była jeszcze pusta. Michelle wytarła pot, zbierający się pod jej dolną wargą.

— Wkrótce go wprowadzą — powiedział Monk. Uścisnął jej rękę.

Monk miał za sobą denerwujący tydzień. Rose nie odpowiadała na telefony. Nie pozwolono mu odwiedzić Franklina w szpitalu Bellingham. Informował się u adwokata, w jaki sposób można unieważnić zakaz odwiedzin.

— Obawiam się, że nic nie poradzimy, panie McQueen — rzekł adwokat. — Mamy za mało czasu. Rozprawa zacznie się za dwa tygodnie. Jonathan Tory z łatwością przekona sędziego, żeby odłożył aż do tej pory rozpatrzenie wszystkich naszych wniosków.

Monk starał się podtrzymać Michelle na duchu. Kiedy patrzył teraz na przyjaciółkę, myślał, że ją zawiódł. Twarz Michelle zdradzała napięcie. Rozglądała się nerwowo.

— Wszystko się skończy w jednej chwili — wyszeptał Monk. — Kiedy Franklin wyjdzie ze szpitala, zakaz odwiedzin zostanie zniesiony. Rose nie będzie miała żadnego pretekstu, żeby nie dopuścić cię do męża.

Michelle jakby go nie słyszała. Chciała teraz tylko zobaczyć Franklina, dodać mu otuchy, zapewnić go, że nie jest sam.

Zapadła cisza, kiedy do sali wszedł Franklin Jefferson, eskortowany przez dwóch policjantów. Rose przyglądała się bratu. Uważała, że świetnie wygląda w nowym garniturze, który dostarczyła mu poprzedniego wieczoru.

Michelle zacisnęła ręce, aż paznokcie wbiły jej się w dłonie. Franklin wyglądał strasznie. Stracił na wadze, a kołnierzyk jego koszuli był o wiele za duży. Powłóczył nogami jak starzec. Jego oczy, niegdyś tak wesołe, były smutne jak u schwytanego zwierzęcia.

Och, Franklinie, co ona z tobą zrobiła?

Franklin podszedł do ławy oskarżonych i rozejrzał się. Nie zwracał uwagi na setki przyglądających mu się twarzy. Odwrócił się ku ławie obrońcy i zauważył Rose. Potem spojrzął na galerię i ujrzał Michelle. Patrzył na nią z miłością.

Wszyscy wstali, kiedy wszedł sędzia. Usiadł, uciszył salę i kazał prokuratorowi przedstawić akt oskarżenia.

Franklin nie słuchał, jak prokurator mówi, że podsądny usiłował z zimną krwią zamordować Harry'ego Taylora i z tego względu nie należy wypuszczać go ze szpitala aż do procesu. Miał wrażenie, że cała ta sprawa go nie dotyczy. Widział tylko twarz Michelle, tak jak pierwszego wieczoru w stodole, w czasie wojny, która wydawała się teraz bardzo odległa. Troszczyła się wówczas o niego, a on później, w Nowym Jorku, kiedy potrzebowała pomocy, nie umiał się nią zaopiekować.

Pomogę ci teraz, kochanie. Muszę tylko mieć szansę. Nikt cię już nigdy nie skrzywdzi.

Franklin zdziwił się trochę, kiedy usłyszał, że prokurator skończył przemawiać, a sir Dennis Pritchard podszedł do miejsca dla świadków. W odpowiedzi na pytania Jonathana Tory'ego lekarz opisał chorobę Franklina i stwierdził, że dla pacjenta byłoby lepiej, gdyby znalazł się pod opieką prywatną. Później zeznawała Rose, która opowiedziała, w jaki sposób zamierza zająć się Franklinem. Sędzia wysłuchał argumentów obu stron i podjął decyzję: aż do procesu Franklin Jefferson będzie przebywał pod opieką siostry. Wyznaczono kaucję w wysokości stu tysięcy funtów.

Zanim Franklin zorientował się, co się dzieje, dwóch strażników wyprowadziło go z sali. Obejrzał się i zauważył Michelle. Jej łzy mocno go poruszyły.

Już niedługo, kochanie.

Idąc z celi do sali sądowej, Franklin uważnie liczył stopnie. Było ich czterdzieści sześć, co znaczyło, że sala znajduje się na trzecim lub czwartym piętrze. Na końcu korytarza, tuż za drzwiami, widniało duże okno wychodzące na ulicę. Franklin czuł, jak słońce przez szybę grzeje go w plecy.

Doszli już prawie do schodów. Franklin zwolnił kroku i pozwolił strażnikom trochę się wyprzedzić. Kiedy zobaczył, jak jeden z policjantów kładzie rękę na poręczu, popchnął go z całej siły. Drugi strażnik krzyknął i rzucił się na więźnia. Franklin uskoczył w bok i podstawił mu nogę. Strażnik przewrócił się.

Franklin zaczął biec, z każdym krokiem zyskując na szybkości. Machał rękami, żeby nie stracić równowagi. Za sobą słyszał krzyki i pospieszne kroki. Nie odrywał oczu od światła. Czuł je na nogach, na piersi, a wreszcie na twarzy. Ostry blask oślepił Franklina. W białej poświacie widział przed sobą Michelle, słyszał jej wołanie.

Kocham cię, Michelle!

Przez chwilę w korytarzu panowała ciemność, kiedy ciało Franklina zasłoniło źródło światła. W ostatniej chwili zamknął oczy i z uśmiechem skoczył prosto w szybę, aby wreszcie dotknąć kobiety po drugiej stronie okna.

Przed gmachem sądu Rose i Michelle stały w otoczeniu reporterów. Rose spodziewała się uwolnienia brata za kaucją i mówiła dziennikarzom, że jest zadowolona z decyzji sędziego. Michelle trzymała się blisko Mońka i ignorowała wykrzykiwane do niej pytania. Prawie doszli do samochodu, kiedy usłyszeli brzęk tłuczonego szkła.

Michelle zdążyła dostrzec błękitną plamę, spadającą z okna wysoko nad jej głową. Miała wrażenie, że ciało przez chwilę zawisło w powietrzu, a potem znowu zaczęło spadać, powoli, jakby przeciwne prawu ciężenia.

— Franklin!

Monk zakrył przyjaciółce oczy, ona jednak wyrwała się i przecisnęła przez tłum. Zabolą ją noga, kiedy poślizgnęła się na czymś mokrym. Spróbowała wstać, stwierdziła jednak, że jej ręka jest wilgotna od krwi. Łkając Michelle podczołgała się do Franklina i wzięła w dłonie zakrwawioną głowę męża, powtarzając wciąż jego imię. Wszystko się skończyło. Nikt już nigdy nie skrzywdzi Franklina.

34.

Michelle nie zauważała różnicy pomiędzy dniem a nocą. Czasem budziła się o drugiej nad ranem i błądziła jak duch po domu na Berkeley Square. Ani pielęgniarka, ani doktor Pritchard nie mogli nic poradzić na dręczące Michelle koszmary. Kiedy zamykała oczy, widziała spadające ciało i wykrzywioną twarz męża.

Tylko Monk łączył Michelle z zewnętrznym światem. Odwiedził Rose i dowiedział się, że zwłoki Franklina zostaną wkrótce przewiezione do Stanów Zjednoczonych. Kiedy Michelle to usłyszała, rzekła:

— Chcę go zobaczyć.

Monk uważał, że to nie najlepszy pomysł, ale mimo to zadzwonił do inspektora Rawlinsa.

Detektyw przygotował wszystkie dokumenty i pewnego ranka zawiózł Michelle do kostnicy.

Blask, bijący od białej podłogi, raził Michelle w oczy. Omijała stoły sekcyjne, starając się nie patrzeć na piły, noże i inne narzędzia z nierdzewnej stali, za pomocą których lekarze wydzierają zmarłym ich sekrety. Koroner wyciągnął nosze z wielkiej chłodziarki i delikatnie odchylił prześcieradło.

Michelle wzdrygnęła się. Cera Franklina była szara, a na jego sztywnych włosach osiadły kryształki lodu. Długo patrzyła na męża, szukając słów żalu i pożegnania. Bała się, że za chwilę zemdleje. Wspomnienia jego śmiechu, pieszczot i pocałunków sprawiały jej ból.

Pozwól mu odejść. Musisz pozwolić mu odejść.

Michelle złożyła ręce i zaczęła recytować modlitwę, którą pamiętała z czasów dzieciństwa. Od czasu do czasu dotykała bezwiednie brzucha, a słowa modlitwy mówiły nie tylko o Franklinie. Atmosfera w sali konferencyjnej firmy „Tory, Tory i Deslauriers” była pełna powagi. Rose, ubrana na czarno, zajęła miejsce po prawej stronie Jonathana Tory’ego.

Kiedy rano spojrzała w lustro, nie wierzyła własnym oczom. Miała zapadnięte policzki, a oczy wydawały się ogromne na tle bladej cery. Na głowie pojawiło się pasmo siwych włosów.

Co się ze mną dzieje? Za co spotyka mnie taka kara?

Zastanawiała się nad tym w czasie długich, samotnych spacerów nad Tamizą, a także nocami, kiedy leżała w ramionach Harry'ego. Nie znajdowała jednak odpowiedzi. Nie pomagały ani łzy, ani wściekłość, ani gorzki żal.

— Pani Jefferson — powiedział adwokat. — Przygotowaliśmy wszystko, żeby przewieźć zwłoki pani brata do Stanów Zjednoczonych. Jeśli mogłaby pani podpisać te papiery...

Rose spojrzała na oficjalne dokumenty i złożyła podpis. Musi zapomnieć o dręczących wątpliwościach. Czas wracać do domu.

— Chcę podziękować panu za wszystko... — zaczęła Rose, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wpadł podekscytowany młody urzędnik.

— Bardzo przepraszam — wyjąkał. — Na zewnątrz czeka pani Michelle Jefferson wraz z doktorem Pritchardem i adwokatem. Mówi, że to pilne.

— Powiedz jej, że nie mamy o czym rozmawiać — uciał Jonathan Tory.

— Nie, niech wejdzie — rzekła Rose. — Możemy posłuchać, co ma do powiedzenia.

Najpierw wszedł sir Dennis, a za nim młody, dobrze ubrany mężczyzna w towarzystwie Michelle.

— Dzień dobry, Michelle.

— Dzień dobry, Rose.

Obie kobiety spojrzały na siebie, zdając sobie sprawę, jak wiele je dzieli. Młody adwokat, który przedstawił się jako Neville Thompson, chrząknął nerwowo i zwrócił się do Rose.

— Pani Jefferson, proszę mi wierzyć, że nie niepokoiłobyśmy pani w takiej chwili, gdyby nie było to absolutnie konieczne. Jest jednak pewien problem, związany z testamentem pani brata.

Rose spojrzała na niego pustym wzrokiem.

— O co chodzi, panie Thompson? Brat pozostawił mi swoje udziały w przedsiębiorstwie, jeśli do tego pan zmierza. Oboje sporządziliśmy testamenty, zgodnie z którymi po śmierci jednego z nas dziedziczy po nim drugie.

Dzięki Bogu, że przed wyjazdem Franklina sprawdziłam jego testament — pomyślała Rose.

To było rozsądne posunięcie. Nie dbała o to, czy Franklin zapisał Michelle jakieś pieniądze, chciała się jednak upewnić, że nie wprowadził żadnych zmian w sprawie „Globalu”.

— Tak było kiedyś, pani Jefferson — poinformował ją adwokat. — To się jednak zmieniło.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała Rose. Neville Thompson wyjął z teczki pojedynczą kartkę papieru.

— Kiedy pan Jefferson oddał się w ręce doktora Pritcharda, poprosił, żeby przed wezwaniem policji doktor Pritchard podpisał się jako świadek pod tym kodycylem. Jak pani widzi, jest to pismo i podpis pana Jeffersona. Doktor Pritchard i pielęgniarka poświadczyli dokument zgodnie z przepisami.

Przed oczami Rose słowa zlewały się w jedną plamę.

— To... to oburzające! Czy naprawdę sądzicie, że ten świstek jest coś wart? Franklin nie był sobą, kiedy do pana przyszedł. W przeciwnym wypadku nigdy by czegoś takiego nie napisał.

— Zapewniam panią, że pani brat był zupełnie przytomny, kiedy sporządzał kodycyl — odrzekł sir Dennis. — Jestem gotów przysiąc w razie potrzeby.

— Może pan sobie przysięgać! Michelle nie odziedziczy udziałów Franklina w „Globalu"! Żaden sąd nie podejmie takiej decyzji!

— Oczywiście, ma pani prawo zaskarżyć kodycyl — powiedział Thompson. — Nie sądzę jednak, żeby pani wygrała. Sądy brytyjskie uznają zazwyczaj prawomocność takich dokumentów, zwłaszcza gdy w grę wchodzi potomstwo.

Rose poruszyła się niespokojnie.

— Jakie potomstwo?

Michelle zrobiła krok w jej kierunku i odezwała się po raz pierwszy.

— Jestem w ciąży, Rose.

Część czwarta

W dniu, w którym Rose Jefferson pochowała brata, w cieśninie Long Island wiał zimny wiatr. Rose stała obok Stevena i patrzyła, jak trumna ze zwłokami Franklina Jeffersona zostaje złożona do grobu.

W pogrzebie uczestniczyli również Harry Taylor, Eric Gollant i Hugh O'Neill, a także służba z Dunescragu i Talbot House. Rose z rozmysłem zorganizowała kameralną uroczystość. Nie chciała, żeby tłumy ludzi gromadziły się na cmentarzu Jeffersonów. Za kilka dni na Manhattanie odbędzie się msza żałobna i wszyscy ci, którzy życzą sobie pożegnać Franklina, będą mogli wziąć w mej udział.

Wrzuciła do grobu garść ziemi i zaprowadziła Stevena do samochodu. Wsiadając odezwała się do Harry'ego.

— Chcę, żebyś pojechał do Talbot House — powiedziała. — Każ służbie opróżnić szuflady Franklina i oddać ubrania mstytucjom dobroczynnym. Niech zapakują pamiątki, zdjęcia i rzeczy osobiste i złożą je w piwnicy.

— Może chciałabyś coś zatrzymać? — spytał Harry. Rose pokręciła głową.

— Straciłam już wszystko, na czym mi zależało. — Poglądziła go po policzku. — Zrób to dla mnie, Harry, i wracaj szybko.

Przez resztę lata Rose nie opuszczała Dunescragu. Spędzała dni ze Stevenem, słuchając muzyki, spacerując i rozmawiając o „Globalu” — o tym, co zdołała osiągnąć i co jest jeszcze do zrobienia.

— Liczę na twoją pomoc — powiedziała. — Tylko ty mi pozostałeś. Dwunastoletni Steven odrzekł:

— Pomogę ci, mamó. Obiecuję.

Steven wiedział, że matka jest inteligentną, wrażliwą kobietą. Była jednak również ślepa. Nie zdawała sobie sprawy, że nie czuł do wuja nic oprócz pogardy. Steven uważał Franklina za człowieka słabego. Teraz jednak nie ma to znaczenia. Wuj umarł, a wkrótce Michelle zniknie z ich życia. Wuj musiał zwariować, żeby

pozostawić żonie udziały w „Globalu” — udziały, które Steven uważał za swoją własność. Pozostawał więc tylko jeden rywal: Harry Taylor, któremu zdawało się, że okiełznał Rose. Czasami chłopiec wierzył, że jego matka jest równie słaba, jak wszyscy inni, zwłaszcza wieczorem, kiedy przyciskał ucho do ściany i słyszał, jak matka prosi, żeby Harry robił to mocniej, jeszcze mocniej...

W czasie pobytu w Dunescragu Harry nieświadomie nauczył Stevena czegoś bardzo ważnego: chłopiec dowiedział się, że kobiety mogą stać się mewolnicami namiętności równie łatwo, jak mężczyźni.

Nawet pozostając na uboczu, Rose Jefferson trzymała rękę na pulsie. Amerykanie chętnie kupowali przekazy pieniężne „Globalu” i płacili nimi za wszystko.

W magazynach finansowych ukazywały się peany o sukcesie Rose, ona jednak zauważyła, że prasa brukowa, która poznała ponure szczegóły śmierci Franklina, rzuciła się na jeszcze smakowitszy kąsek: oto jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce zostawia cały majątek kobiecie, którą postrzelił.

— Bardzo mi przykro, Rose — powiedział Hugh O'Neill. — Nic nie możemy zrobić.

— Możemy zaskarżyć tych dram i wydrzeć im ostatniego centa! — odparła Rose, zrzucając gazety ze stołu.

— To nic nie da. Nasi najlepsi prawnicy przejrzeni te artykuły i szukali jakiegoś pretekstu, pozwalającego na wniesienie oskarżenia o zniesławienie. Jednakże z chwilą, w której gazety dowiedziały się o kodycyli, nietrudno im było zdobyć informację, że zaskarżyłaś kodycyli w londyńskim sądzie.

— Niech ich diabli! — powiedziała z goryczą Rose. — Czy naprawdę nic nie poradzimy?

— Najlepiej, żebyś w dalszym ciągu trzymała się na uboczu. Dziennikarze nie dostaną się do Dunescragu.

— Przybyłam tu z własnej woli! Steven i ja potrzebowaliśmy czasu i spokoju. Nie pozwolę jednak, żeby te hieny wypędziły mnie z biura!

Kiedy tego wieczoru Rose została sam na sam z Harrym, zapytała, co jego zdaniem powinna zrobić z prasą.

— Wykorzystaj ją — odrzekł.

Rose nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

— Jak?

— Przedstaw swoją wersję wydarzeń. Gazety i tak nie zostawią cię w spokoju, postaraj się więc riimi posłużyć. Udziel kilku wywiadów. Pozwól, żeby cię cytowano. Niech każdy się dowie, że Michelle wykorzystała sytuację, a raczej człowieka, który zachowywał się zupełnie irracjonalnie. Opowiedz o jej chciwości.

— Co w ten sposób osiągnę?

— Przeciagniesz opinię publiczną na swoją stronę. Rose ujęła w dłonie twarz kochanka.

— Umiesz być taki sprytny, Harry — wymruczała.

36.

Opinia publiczna śledziła tę batalię z zapartym tchem. Po jednej stronie występowała księżna finansów i rewolwerowcy z kancelarii adwokackich, którym płaciła ciężkie pieniądze.

Przeciwstawiała się jej piękna wdowa, Michelle Jefferson, reprezentowana przez własnych adwokatów. Jak na ironię, Michelle wzbudzała większe zainteresowanie niż jej oponentka, gdyż nie chciała wynosić sporu na arenę publiczną. Nic nie dały sprytne manewry prawników Rose i wywiady w gazetach. Michelle nie chciała powiedzieć ani słowa. Amerykańscy czytelnicy uznali, że zachowała się z godnością. Ta prowokująca tajemniczość zrobiła na wszystkich ogromne wrażenie.

Wbrew przepowiedniom Harry'ego Taylora, to Michelle zdobyła sympatię Amerykanów. Zgodnie z wynikami sondaży, przeprowadzonych przez jedno z pism ilustrowanych, Michelle kojarzyła się czytelnikom z Dawidem walczącym przeciwko Goliatowi. Doświadczeni gracze stawiali na Rose Jefferson i chętnie zakładali się ze zwolennikami Michelle. Ich zdaniem, dowodziło to tylko tego, że każdego dnia rodzi się coraz więcej frajerów.

Michelle Jefferson roześmiała się cicho z dowcipu Mońka i położyła ręce na jego dłoni. Starszy kelner w białej kurtce uśmiechnął się, widząc ten gest.

Siedzieli w kawiarni naprzeciwko placu St. Michel, przy wielkim bulwarze o tej samej nazwie, który biegnie przez Paryż aż do Sekwany. Tej jesieni na chodnikach pełno było kolorowych liści. Z drzew spadały kasztany w zielonych łuskach. W powietrzu unosił się dym. Wszyscy palili w piecach, żeby uchronić się przed wieczornym chłodem.

— Kiedy wyjeżdżasz? — spytała Michelle.

— Pojutrze.

Michelle zamyśliła się.

Był z tobą prawie przez trzy miesiące. Miałś szczęście. Pomyśl o tym, co razem przeżyliście. Trzymaj się tego. To twój skarb.

Nie mogła zostać w Londynie, gdzie wciąż nagabywała ją prasa. Wynajęła najlepszych adwokatów i wydała krótkie instrukcje: nie ustępujcie Rose Jefferson ani na krok. Później wyjechała do Francji. Monk wyjechał wcześniej, żeby znaleźć dla niej mieszkanie.

Nie miała ochoty jechać do Paryża. Pamiętała pierwszą podróż w poszukiwaniu karty medycznej Franklina. Tamto doświadczenie pozostawiło w niej gorzki. Szybko jednak zapomniała o obawach. Miała wrażenie, że w tym mieście niebo unosi się nad nią wyżej i bardziej majestatycznie niż w Nowym Jorku. Widok wiekowych murów dawał poczucie trwałości, budził przekonanie, że Paryż przetrwa wszystko.

Siedząc w sypialni wielkiego apartamentu, który Monk znalazł dla niej w Ile St.-Louis, Michelle patrzyła na cichy nurt Sekwany. Po drugiej stronie rzeki widniała katedra Notre Dame, jej łuki, szczyty i wieże. Za nią rozciągał się prawobrzeżny Paryż, majestatyczny Marais, najstarsza dzielnica miasta. W dali błyszczały światła hoteli na placu Vendome.

Był tu także Monk...

Kiedy Michelle budziła się obok niego, ze szczęścia miała łzy w oczach. W Paryżu istnieli tylko dla siebie. Delikatne pieścizoty Monka leczyły rany Michelle. Powoli zapominała o cierpieniu, a kiedy dotykała brzucha, zdawała sobie sprawę, że ma po co żyć. Za to wszystko musieli jednak płacić jakąś cenę.

Monk spędzał z Michelle każdą noc, ale starał się zachowywać pozory. Wynajął pokój w amerykańskim klubie, a z biur paryskiego *Heralda* wysyłał depesze do magazynu *Q*. Unikał amerykańskich dziennikarzy. Monk i Michelle wiedzieli, że ta idylla nie potrwa długo, starali się jednak wymyślać preteksty, aby odsunąć chwilę rozstania. Dziecko w łonie Michelle jeszcze silniej wiązało ich ze sobą.

— Nie wiesz nawet, jak bardzo pragnę z tobą zostać — powiedział Monk, gładząc Michelle po dłoni.

— Ja też tego chcę.

Monk poczuł delikatny uścisk ręki.

— To niemożliwe.

Przykro mu było wypowiadać te okrutne i ciężkie słowa.

— Czy to się kiedyś zmieni?

— Przysięgam, że tak. Teraz jednak, kiedy wazą się losy kodycyłu Franklina, Rose wykorzystaliby każdą sposobność. Wie, że jesteśmy sobie bliscy i że przez cały czas przebywałem na Berkeley Square. Nie podejrzewa jednak niczego, bo nie przyszło jej do głowy, że mogłem się zakochać w żonie najlepszego przyjaciela. Jeśli jednak kiedykolwiek dojdzie do wniosku, że nie jest to dziecko Franklina, zamieni twoje życie w piekło. Może odebrać spadek po Franklinie tobie... oraz dziecku.

Gdyby nie dziecko, może bym zrezygnowała — pomyślała Michelle. — Franklin

zapisał mi jednak udziały w firmie. Jeśli się poddam, będzie to mój wybór. Nie pozwolę, żeby ktoś mnie okradł!

Michelle spojrzała na Mońka i wiedziała, że odgadł jej myśli.

— Co zamierzasz robić? — spytała. — Jak się będziesz czuł jutro, w przyszłym tygodniu, za miesiąc?

— Jak się będę czuł? — powtórzył. — Będę z ciebie bardzo dumny.

— Dasz sobie radę? Wystarczy ci to?

— Nie, to mi nigdy nie wystarczy, ale dam sobie radę. Musimy jakoś z tym żyć. Monk wsunął kilka franków pod spodek z rachunkiem.

— W pewnym sensie oboje dostaliśmy o wiele więcej, niż mogliśmy oczekiwać — powiedział. — Odnależliśmy się. Znaleźliśmy miłość.

— Ale ona jest twoim dzieckiem! — krzyknęła Michelle.

— Znaczy dla mnie bardzo dużo, podobnie jak ty — roześmiał się. — A poza tym skąd wiesz, że będziemy mieli córkę?

Michelle uśmiechnęła się lekko.

— Po prostu wiem.

W końcu października Monk McQueen opuścił Hawr na pokładzie ostatniego okrętu, płynącego przez Atlantyk przed zimowymi sztormami. Michelle nie odprowadziła go. Nie mogła obiecać, że w ostatniej chwili nie obejmie Mońka i nie zacznie prosić, żeby został. To zniszczyłoby wszystko. W ostatnich miesiącach 1920 roku świat Michelle skurczył się. Całymi dniami urządziła mieszkanie w Ile St.-Louis i zamieniała jedną z sypialni w pokój dziecienny. Raz na dwa tygodnie chodziła do lekarza, który twierdził, że szybko straciłby pracę, gdyby każda przyszła matka cieszyła się takim zdrowiem.

Kiedy zbliżało się Boże Narodzenie, Michelle poczuła się bardzo samotna. Patrzyła ze smutkiem, jak ludzie w towarzystwie rodziny i przyjaciół wesoło przygotowują się do świątecznych uroczystości.

W przyszłym roku będzie inaczej — przyrzekła sobie Michelle.

Pragnąc się czymś zająć, starannie zbadła projekt Rose dotyczący czeku podróznego. Doszła do wniosku, że gdyby nie Harry Taylor, plan by się powiódł. To wciąż było możliwe.

Najpierw należało jednak wygrać batalię prawniczą. Kiedy zbliżał się termin wydania wyroku przez brytyjski sąd, Michelle zaczęła się denerwować coraz bardziej. A jeśli przegra? Co stanie się wówczas z nią i dzieckiem?

Dzień porodu był już bliski, gdy do Michelle zadzwonił przedstawiciel reprezentującej ją kancelarii adwokackiej z Londynu. Słyszając jego głos, pomyślała, że wszystko stracone: na pewno zapadł wyrok niekorzystny dla niej.

— Ależ skąd, pani Jefferson — zapewnił ją prawnik. — Dziś rano sąd ogłosił werdykt na pani korzyść.

— Cudownie!

— Owszem, ale obawiam się, że to jeszcze nie koniec — ostrzegł prawnik. — Adwokaci pani Jefferson złożyli wniosek o wszczęcie nowej rozprawy w Nowym Jorku. Twierdzą, że skoro testament pani męża został sporządzony w Nowym Jorku, a kodycył stanowi jego część, sprawę należy rozpatrzeć zgodnie z prawami tego stanu.

Michelle zamknęła oczy.

— Czy prawo jej na to pozwala?

— Tak. Istnieje jednak szansa, bardzo nikła, że nie dojdzie do procesu.

— Jaka?

— Pani Jefferson poinformowała nas, że pragnie z panią pomówić.

Kiedy Harry Taylor został szefem północnoamerykańskich operacji „Globalu”, na Wall Street zaczęto dużo mówić o człowieku, którego uznano za niekwestionowanego następcę Franklina Jeffersona.

Harry stwierdził z zadowoleniem, że wszyscy okazują mu teraz niezwykle szacunek. Stały przed nim otworem drzwi najlepszych nowojorskich domów. Przeprowadził się do nowego apartamentu na Piątej Alei. Najlepsze było zaś to, że Rose coraz bardziej na nim polegała — i to nie tylko w biurze. Prawie każdej nocy czekała w Talbot House na Harry'ego, namiętna, wymagająca, nienasycona.

Na początku 1921 roku Harry wyczuł jednak pewną zmianę. Proces w Londynie przeciągał się, a Rose zaczęła zamykać się w sobie. Śledził uważnie bieg wypadków i namawiał Rose, żeby nie ustępowała. Nie wierzył, że Michelle uda się uprawomocnić kodycył.

Tak się jednak stało.

— Niech diabli wezmą Brytyjczyków! — wściekał się Harry, kiedy Rose przekazała mu tę wiadomość. — Zapłaciłaś im mnóstwo pieniędzy, pragnąc odzyskać coś, co od początku ci się należało! Masz jednak rację: przeniesienie procesu do Nowego Jorku zmieni wszystko. Żaden sędzia przy zdrowych zmysłach nie opowie się przeciw tobie.

Harry oczekiwał od Rose potwierdzenia, ona jednak nie odezwała się. Mijały tygodnie. Wiele razy jeszcze podejmował ten temat, ale Rose uparcie milczała. W końcu oświadczyła, że wybiera się do Francji, i opowiedziała mu wszystko.

— Nie mówisz poważnie! — rzekł Harry.

— Owszem. Bardzo poważnie.

— To szaleństwo! — wykrzyknął. — Czy wiesz, ile to będzie nas kosztowało?

— „Nas”, Harry?

— Wiesz, co mam na myśli! Cała twoja praca może pójść na marne. Rose odłożyła szczotkę do włosów i usadowiła się na kanapie.

— Zrobię wszystko, żeby pozbyć się Michelle ze spółki. Wszystko, Harry. Czy to jasne?

— Musi istnieć inne rozwiązanie!

Rose zmrużyła oczy.

— Nigdy nie mów do mnie tym tonem. To ja decyduję, co jest najlepsze dla „Globalu”. Tylko ja.

— A moja praca? Czy się nie liczy?

— Czy to cię właśnie martwi, Harry? — spytała spokojnie Rose. — Zadasz dla siebie szczególnych praw?

— Wiesz, że nie o to chodzi — odrzekł szybko Harry. — Zależy mi na tobie, Rose. To wszystko. Rose rozpięła bluzkę.

— Chodź do mnie, Harry.

— Rose, jak możesz myśleć teraz o seksie?

— Bo tego chcę. Bo chcę ciebie. Podejź tu.

Harry postanowił, że się nie ruszy, nie mógł jednak wytrzymać zdecydowanego spojrzenia Rose.

— Teraz uklęknij i zrób mi te wszystkie wspaniałe rzeczy.

Rose chwyciła Harry'ego za włosy, przytuliła jego głowę do piersi, a potem prowadziła ją ku brzuchowi i rozchyłonym udom.

— To takie przyjemne — jęknęła. — Szybciej, Harry, szybciej! Harry Taylor zaczął rozumieć, kim jest dla Rose Jefferson...

Spotkanie z Rose zaskoczyło Michelle. Szwagierka nie poinformowała jej, kiedy dokładnie przyjedzie. Pewnego ranka, kiedy Michelle zupełnie się tego nie spodziewała, służący przyniósł jej kartkę. Wiadomość była prosta: Rose przebywa w hotelu „Crillon”. Czy Michelle mogłaby się z nią spotkać dziś po południu?

Michelle włożyła na tę okazję prosty, lecz wygodny kostium. Trudno było ubierać się modnie w ósmym miesiącu ciąży. Nie miała ochoty dusić się w zbyt obcisłej kreacji.

Samochód zawiózł ją do eleganckiego hotelu. Zdziwiła się, widząc, że mężczyźni na korytarzu patrzą na nią z uznaniem. Było jej gorąco; czuła się spocona i niezgrabna. Portier, ubrany jak osiemnastowieczny lokaj, zaprowadził ją na szóste piętro i zaanonsował przybycie gościa.

Michelle z niedowierzaniem przyglądała się Rose. Szwagierka bardzo się zmieniła. Miała dopiero trzydzieści parę lat, wyglądała jednak starzej. Wciąż była piękna, ale jej kwitnąca uroda już przeminęła. Wokół oczu i na czole Rose widniały głębokie zmarszczki.

Rose Jefferson wstała z krzesła i wyciągnęła rękę.

— Cześć, Michelle.

Czy ja kiedyś tak wyglądałam? — zastanawiała się, podziwiając sylwetkę Michelle i radość z przyszłego macierzyństwa, jaka emanowała z jej bratowej. - Jeśli tak, to nikt mi o tym nie powiedział. Mam wrażenie, że to już odległa przeszłość. Nie pamiętam, czy byłam szczęśliwa...

— Dobrze się czujesz? — spytała Rose. Michelle skinęła głową.

— Usiądź wygodnie. — Rose zaprowadziła ją na sofę. — Kiedy poród?

— Za siedemnaście dni.

— Masz dobrego lekarza? Michelle uśmiechnęła się.

— Tak — odrzekła, wyczuwając fałszywy ton w głosie Rose.

Jest zazdrosna! Sądzi, że nasze dziecko Franklina i dostałam od niego coś, co nigdy nie będzie należeć do niej.

— Przyjechałaś z daleka — powiedziała Michelle. — Musiałaś mieć ważne powody.

Rose usiadła naprzeciwko bratowej, nie mogąc oderwać oczu od jej dużego brzucha. *Wszystko z powodu dziedzica... Gdyby nie była w ciąży, nie doszłoby do tego.* Rose opanowała gniew. Musiała starannie dobierać słowa i kontrolować emocje.

— Jak wiesz, doprowadziłam do wszczęcia procesu w Nowym Jorku — powiedziała. — Amerykański sędzia nie będzie się długo zastanawiał i na pewno podejmie inną decyzję niż jego brytyjski kolega. — Przerwała, pragnąc, aby Michelle w pełni zrozumiała jej słowa. — Mamy jednak czas, żeby dojść do porozumienia.

Michelle spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Po tych wszystkich miesiącach? Po tym, co się zdarzyło między nami?

— Michelle, mam wrażenie, że podczas tej prawniczej batalii straciłaś z oczu najistotniejszą sprawę.

— To znaczy?

— Dlaczego sądzisz, że masz prawo do udziałów Franklina?

— Byłam jego żoną — odrzekła spokojnie Michelle.

— Rozumiem — odrzekła Rose. — Dobre chęci nie zastąpią jednak umiejętności. Sporo wiesz o „Globalu”, ale to z pewnością nie wystarczy, byś poradziła sobie ze sprawami spółki. Nie masz doświadczenia w prowadzeniu interesów, a wkrótce będziesz musiała opiekować się dzieckiem. Czy naprawdę uważasz, że przydałabyś się w przedsiębiorstwie?

— Nigdy nie dano mi szansy wykazania się.

— Być może, jednakże gdybyś trzymała się z dala od firmy, wszyscy by na tym skorzystali — rzekła Rose, sięgając po teczkę. — Moi adwokaci wycenili udziały Franklina i pozwolili twoim ludziom w Londynie przyjrzeć się tym wyliczeniom. Jak widzisz, nie ma żadnych rozbieżności. Michelle wzięła dokumenty, ale nie spojrzała na nie.

— Chcesz mnie wykupić — powiedziała. Rose skinęła głową.

— Przekażę ci wszystkie pieniądze w ciągu dziesięciu lat. Możesz z nimi zrobić, co zechcesz. Dysponując taką sumą, będziesz w stanie utrzymać siebie i dziecko na takiej stopie życiowej, do jakiej przywykłaś. Krótko mówiąc, dostajesz wszystko, co otrzymałabyś, gdyby nowojorski sąd wydał wyrok na twoją korzyść.

— Tyle tylko, że nie będę miała nic wspólnego z „Globalem”.

— W tych okolicznościach uważam to za niewielkie ustępstwo.

Micheile otworzyła raport finansowy. Liczba na samym dole, pokazująca wartość udziałów Franklina, była oszałamiająca — prawie dziesięć milionów dolarów.

— Dlaczego, Rose? Czemu mi to proponujesz po tylu nieszczęściach? Rysy Rose stwardniały. Nie miała zamiaru opowiadać tej kobiecie o nie

przespanych nocach i pełnych trwogi dniach. Kiedy w Londynie zapadł wyrok, od razu wiedziała, że nigdy, przenigdy nie rzuci Michelle wyzwania na terytorium Stanów Zjednoczonych. Nie zrobi tego, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa przegranej. Inni drapieżnicy zorientowaliby się, że Rose Jefferson nie jest tak silna, jak sądzili, że ma pewne słabości, które mogą wykorzystać. W tej sytuacji pozostawało tylko jedno rozwiązanie.

— Dlaczego? — powtórzyła Rose. — Dlatego, że zdarzyło się już zbyt wiele nieszczęść. To musi się wreszcie skończyć. — Jest jednak pewien warunek

_dodała. — Zachowanie tajemnicy. Kiedy podpiszesz, zobowiążesz się nie zdradzać nikomu, pod żadnym pozorem, warunków tej umowy.

Rose przypomniała sobie Harry'ego, jego chciwość i gniew, kiedy oświadczyła, że zamierza wykupić Michelle.

Gdyby wiedział, że proponuję jej o wiele więcej niż jałmużnę w wysokości kilkuset tysięcy dolarów...

— Czekam na odpowiedź, Michelle.

— Nie.

— Co takiego?

Michelle była równie zdziwiona jak Rose, a to, co później nastąpiło, zdumiało ją jeszcze bardziej. Odnosiła wrażenie, że słowa same płyną z jej ust.

_Mam inną propozycję. Czek podróżny, nad którym pracował Franklin, jest teraz dla ciebie bezwartościowy. Nie masz tu nikogo, kto mógłby się zająć twoim planem... z wyjątkiem mnie.

— Do czego zmierzasz, Michelle?

— Przyjmijmy, że czeki podróżne to udziały Franklina w „Globalu”. Pozwól mi kontynuować jego dzieło. Na początku będę potrzebowała kapitału, chodzi jednak o znacznie niższą kwotę niż ta, którą przed chwilą mi proponowałaś. W zamian obiecuję nie wtrącać się do amerykańskich operacji firmy ani do niczego innego.

— Chcesz powiedzieć—rzekła powoli Rose — że w zamian za europejski czek podróżny zrezygnujesz ze wszystkich roszczeń do spadku po Franklinie?

Michelle przełknęła ślinę.

Czy na pewno tego właśnie chcę?

— Tak — odparła. — Zatrzymam jednak zyski z czeków i będę używała nazwy „Globalu”.

Rose nie miała ochoty pozwolić Michelle na posługiwanie się nazwą spółki. Propozycja bratowej wydała jej się jednak atrakcyjna. Michelle zapuszczała się na zbyt głębokie wody.

— Jakiego kapitału potrzebujesz?

— Dwóch milionów dolarów.

— Dwóch milionów i nazwy „Globalu”? — roześmiała się Rose. — Równie dobrze mogłabyś prosić o gwiazdkę z nieba!

— Bez względu na to, co myślisz, to nie z mojej winy banki odrzuciły propozycję Franklina — powiedziała spokojnie Michelle. — Chciałam, żeby Franklinowi się powiodło. Brałam w tym udział tak samo jak on. Zasłużyłam na prawo do korzystania z tej nazwy.

— Mam inne zdanie! Michelle wzięła torebkę.

— W takim razie nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Poproś adwokatów, żeby przysłali mi dokumenty z wyceną akcji Franklina.

Rose zastanawiała się. Po śmierci brata, kiedy czekała na wyrok sądu, zadzwoniła do brytyjskich banków. Wszyscy składali jej kondolencje, ale nikt nie chciał powiedzieć, dlaczego odrzucono ofertę „Globalu”.

Michelle nie myliła się. Czeki nie miały w Anglii żadnej przyszłości. Jeśli tak, to gdzie zamierza je sprzedawać? Na kontynencie? „Global” prawie nie prowadził tu interesów. Cóż więc Rose ma do stracenia, jeśli pozwoli Michelle na używanie nazwy spółki?

— Michelle! — zawołała Rose. — Może jednak dojdziemy do porozumienia. *Jeśli ona podejmie tę donldszotowską misję i postara się coś zrobić z czekami podróżnymi, na pewno poniesie klęskę. Nie będzie miała wówczas żadnych praw do „Globalu”. Po jej porażce wszyscy się przekonają, że ja zawsze wygrywam. Wtedy wrócę do Europy.*

— Słucham cię, Rose — powiedziała spokojnie Michelle.

— Na jaki okres chciałabyś pożyczyć pieniądze?

— Na trzy lata.

— Nie, to o wiele za długo. Stracę ogromną sumę na oprocentowaniu. Mogę co najwyżej dać ci milion dolarów, który musiałabyś zwrócić po dwunastu miesiącach.

Michelle przygryzła wargę. Obliczenia wskazywały, że milion dolarów to niezbędne minimum. Nie uda jej się jednak zwrócić pożyczki w ciągu jednego roku.

— Osiemnaście miesięcy—odparła Michelle, podejmując decyzję. —Potrzebne mi jednak będą matryce i próbki czeków.

Rose spodziewała się tego.

— Musisz mi zapłacić za prawo do korzystania z nazwy „Globalu”. Powiedzmy, piętnaście procent.

Michelle pokręciła głową.

— Standardowa opłata to siedem procent. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— W porządku. W takim razie chcę, żeby „Global” otrzymywał prowizję od wpływów brutto. Pożyczkę możesz spłacać z zysków.

Michelle poczuła się przyparta do muru. W tych warunkach nie będzie mogła popełnić żadnego błędu.

— Zgoda — odparła. — Płacę „Globalowi” od wpływów brutto.

_Skoro tak, to doszliśmy do porozumienia. Mam nadzieję, że zadzwonisz do adwokatów i powiesz im o naszej umowie.

— Zadzwonię, kiedy tylko dostanę dokumenty. Rose uśmiechnęła się.

_Przyrzekam, że w kontrakcie znajdzie się dokładnie to, co przed chwilą uzgodniłyśmy. Naturalnie wymóg zachowania tajemnicy wciąż obowiązuje. Michelle skinęła głową. Właśnie wstawała, kiedy nagle skrzywiła się z bólu.

— Dobrze się czujesz? — spytała szybko Rose. Michelle położyła rękę na brzuchu.

— Dobrze... Dziecko kopnęło. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pojadę już do domu. Jestem bardzo zmęczona.

— Oczywiście.

Czując ruchy dziecka, Michelle myślała: Moje kochanie, co ja najlepszego zrobiłam? Co się teraz z nami stanie?

37.

Po narodzinach córki w kwietniu 1921 roku Michelle rozkwitła. Kiedy po raz pierwszy wzięła dziecko w ramiona, nakarmiła i poczuła bicie jego malutkiego serca, zapomniała o wszystkich zmartwieniach. Wciąż była sama i niekiedy przytłaczała ją odpowiedzialność za to nowe, kruche życie, wystarczyło jednak, że spojrzała w błękitne oczy Cassandry, a od razu ogarniał ją zachwyty. Kiedy odzyskała siły, wysłała do Mońka długą depezę, w której opowiedziała mu wszystko o córeczce. Miała ogromną ochotę przelać na papier swoją namiętność i miłość, nazwać Mońka ojcem, powiedzieć, jak bardzo Cassandra jest do niego podobna i jak idealnie pasuje do niej jej imię. Nie było to jednak możliwe. Jeszcze nie.

Michelle od razu zaczęła się rozglądać za odpowiednią opiekunką do dziecka. W końcu znalazła prawdziwy klejnot: Szwajcarkę w średnim wieku o nienagannyh referencjach, która mówiła po francusku, angielsku i niemiecku. Michelle patrzyła uważnie, jak Fraulein Steinmetz po raz pierwszy bierze dziewczynkę na ręce. Cassandra spojrzała poważnie na kobietę, a potem z westchnieniem przytuliła się do niej i zasnęła. Michelle nie mogła prosić o lepsze referencje. Przez pierwsze sześć miesięcy Michelle starała się spędzać z córką co najmniej kilka godzin dziennie. Zabierała Cassandrę na spacer do Ogrodu Luksemburskiego i pokazywała jej wspaniałe drzewa i klomby. Bawiła się z dziewczynką w pokoju dzieciennym w fie St.-Louis, a później, kiedy dziecko zasypiało, siedziała przy kołysce, opracowując plany związane z czekiem podróznym. Kiedy czuła zmęczenie, dotykała córki i pozwalała jej chwytać swój mały palec. Od razu odzyskiwała siły.

Michelle cieszyła się dzieckiem, z niepokojem myślała jednak o umowie zawartej z Rose. Długo analizowała dokumenty, które nadeszły dwa miesiące po narodzinach Cassandry. Rose dotrzymała słowa: kontrakt zawierał dokładnie to, co uzgodniły w czasie spotkania. Michelle przyjęła czek na milion dolarów, podpisała umowę o pożyczce i zrzekła się wszystkich roszczeń do spadku po Franklinie.

Z przeszłości pozostały jej tylko wspomnienia. Teraz musiała stawić czoło nowym wyzwaniom. Michelle miała ochotę skontaktować się z Monkiem. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała jego wsparcia i miłości. Pragnęła rozmawiać z nim o swoich pomysłach, usłyszeć wreszcie jego głos. Napisała wiele depesz, ale wszystkie podarła. Kiedy tylko patrzyła na Cassandrę, wiedziała, że nie może podjąć takiego ryzyka. Ta sytuacja potęgowała jedynie jej niepewność i samotność. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony. Wśród podarunków, przysłanych dla Cassandry, znalazła się piękna, srebrna filiżanka do czekolady od Christophe'a, księcia Chambord. W załączonym liście książe wspomniał, że przyjedzie do Paryża i pytał, czy może zadzwonić. Michelle była zachwycona.

— Wybacz, że nie wpadłem wcześniej — powiedział Christophe, popijając wino w salonie.

— Bardzo dyskretnie przygotowywałaś się do przeprowadzki, pomyślałem więc, że wolisz teraz być sama. — Przerwał, a potem dodał: — To piękne dziecko, Michelle. Masz wielkie, wielkie szczęście.

Michelle była wzruszona, dostrzegła jednak smutek przyjaciela.

— Wiesz może, co słyhać u Patrycji? Christophe uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Dobrze nam było ze sobą, ale wygląda na to, że ten romans należy już do przeszłości. — Ton jego głosu nie zachęcał do dalszych pytań, Michelle zmieniła więc temat. Zaczęła opowiadać o umowie zawartej z Rose.

— Zrobiłaś bardzo dobry interes — zauważył Christophe.

— Nie wiem tylko, od czego zacząć.

— Myślę, że znam odpowiedź.

Christophe opowiedział jej o międzynarodowej wystawie, która wiosną odbędzie się w Paryżu.

Przyjedzie na nią tysiące biznesmenów i przedsiębiorców z całego świata.

— To znakomita okazja do zaprezentowania czeku podróznego — zakończył.

— Jak mam sprzedawać coś, czego tak naprawdę jeszcze nie mam?

— Daj spokój, Michelle. Wymyślaj rozwiązania, a nie problemy. Na początek powinnaś więcej wychodzić z domu.

Michelle już chciała zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

— Co masz na myśli?

— Jutro wydaję małe przyjęcie. Będzie mi bardzo miło, jeżeli wpadniesz. Następnego popołudnia Michelle wystawiła na ciężką próbę cierpliwość Fräulein

Steinmetz. Bez przerwy zastanawiała się głośno, co może się wydarzyć w czasie jej nieobecności. W ostatniej chwili, kiedy samochód Christophe'a czekał już przed domem, Michelle wybuchnęła płaczem i oświadczyła, że nigdzie nie pojedzie.

— Madame — powiedziała szwajcarska opiekunka. — Jeśli natychmiast pani nie wyjdzie, ja to zrobię.

Godzinę po przybyciu do paryskiej rezydencji Christophe'a, znajdującej się w modnej dzielnicy, Michelle zapomniała o obawach. Na przyjęciu zjawiała się śmietanka towarzyska Paryża. Książe Chambord przedstawił przyjaciółkę gościom.

Wkrótce Michelle dyskutowała o życiu w Londynie z amerykańskim dyplomatą, słuchała, jak Jean Cocteau mówi o nowych kierunkach we francuskim teatrze, a Coco Chanel opowiada o najnowszej modzie. Najbardziej interesującą częścią wieczoru okazał się obiad. Michelle siedziała między Emilem Rothschildem a Pierre'em Lazardem, bogatymi i wpływowymi bankierami, którzy stali na czele największych francuskich instytucji finansowych.

— Słyszałem od Christophe'a, że ma pani licencję na czek podróżny „Globalu” w Europie—wyszeptał Emil Rothschild w kierunku półmiska z homarami. — Może porozmawialibyśmy o utworzeniu joint venture?

Zanim Michelle zdążyła odpowiedzieć, Pierre Lazard spytał ściszym głosem:

— Czek podróżny, madame. Czy zajmuje się nim określona instytucja? Michelle kręciło się w głowie. Umówiła się na rozmowy z obydwoma finansistami.

— Trudno mi uwierzyć, że tak ich to zainteresowało! — wykrzyknęła do Christophe'a po wyjściu gości.

Christophe uśmiechnął się, nalał jej brandy i wznosił toast.

— To dopiero początek, Michelle.

Początek był obiecujący, ale w czasie negocjacji, które ciągnęły się wiosną i latem, Michelle doszła do wniosku, że nie ma na świecie ostrożniejszych i bardziej podejrzliwych ludzi niż bankierzy. Dopiero przed świętami Bożego Narodzenia w 1921 roku zawarła umowę z Rothschildem i Lazardem. Starła się twardo obstawać przy swoim, jeśli chodzi o prowizje dla banków sprzedających czeki podróżne, a mimo to koszty były ogromne.

Po podpisaniu umowy Michelle znalazła budynek koło eleganckiego hotelu „Lancaster” na rue de Berri, który jej zdaniem nadawał się na biuro. Czynnosc był astronomiczny, Michelle pocieszała się jednak, że dobry adres świadczy o jakości sprzedawanego produktu.

Kiedy tylko matryce czeków podróżnych nadeszły z Nowego Jorku, Michelle spotkała się z dyrektorami Banku Francji. Bank zgodził się sprzedać jej papier i wydrukować czeki. Prawo przyznawało bankowi monopol na te usługi, dlatego żądana cena zawstydziłaby najbardziej chciwego lichwiarza.

Potem trzeba było zatrudnić pracowników. Przez długie tygodnie Michelle przyjmowała podania i przeprowadzała rozmowy, aż w końcu zorientowała się, że dawni urzędnicy bankowi, przyzwyczajeni do zwykłych pieniędzy, nie rozumieją, czym jest czek podróżny. Zaangażowała więc najbardziej obiecujących kandydatów i w prawie pustym biurze zorganizowała serię wykładów. Kiedy skończyła, połowa personelu odeszła: ludzie ci doszli do wniosku, że ich pracodawca jest jak kapitan „Titanica”: czeka go zagłada.

Zanim upłynął rok, Michelle zaczęła ogarniać panikę. Wydała już jedną trzecią sumy, którą otrzymała od Rose. Bardzo dużo kosztował ją czynsz, opłaty dla prawników i bankierów, pensje pracowników i bieżące potrzeby domowe. W przyszłości

wyda setki tysięcy dolarów na reklamę. Tymczasem nie sprzedała jeszcze ani jednego czeku. To przypominało Michelle o największym niebezpieczeństwie: niedoświadczeni, obojętni pracownicy, przyzwyczajeni do nieuprzejmości i pogardy wobec klienta, mogli doprowadzić do klęski całej operacji. Starła się więc wyjaśniać, że sprzedawanie czeków podróżnych jest usługą, dlatego klient powinien być traktowany uprzejmie i życzliwie. Jej apele nie padały jednak na podatny grunt.

— Jeśli nie znajdę odpowiednich pracowników, to równie dobrze mogę się poddać bez walki — powiedziała do Christophe'a pewnego wieczoru, kiedy patrzyli na opustoszałe ulice, smagane zimnym, styczniowym deszczem.

— Może powinnaś dotrzeć do tych, którzy już coś wiedzą o firmie — rzekł Christophe.

Na początku Michelle nie wiedziała, o co chodzi, potem nagle zrozumiała, do czego zmierza książkę.

— Chcesz powiedzieć, że mam zatrudnić ludzi pracujących dla „Globalu” w Europie? Christophe, to przecież nieuczciwe!

Christophe wzruszył ramionami.

— Umowa, którą zawarłaś z Rose, nie zabrania ci tego. Michelle, uwierz mi, mam w tym pewne doświadczenia. Chodzi tu przecież o coś więcej niż twoje marzenia. Ty i Cassandra walczyście o byt.

Pomysł był kuszący, ale im dłużej Michelle się zastanawiała, tym więcej dostrzegała problemów.

— Gdybym to zrobiła, Rose dostałaby szału. Poza tym w większości biur mężczyźni są nie tylko kierownikami, ale również sekretarzami i urzędnikami. Doszłam do wniosku, że mężczyźni, a zwłaszcza Francuzi, nie lubią, kiedy ich szefem jest kobieta.

— Kto mówi o mężczyznach? — spytał niewinnie Christophe. — Przyjrzyj się dobrze placówkom „Globalu”, a spotka cię niespodzianka.

Michelle nie miała pojęcia, do czego zmierza Christophe. Sądziła, że wie wszystko o operacjach „Globalu”. Poszła jednak za wskazówką przyjaciela i dyskretnie zbadała europejskie interesy firmy. Była zszokowana tym, co odkryła.

Agenci przewozowi, wyłącznie mężczyźni, korzystali z pomocy rodziny w prowadzeniu interesów. Rose z zasady nie zatrudniała kobiet, Michelle zorientowała się jednak, że żony i córki wiedziały tyle samo o codziennych operacjach spółki przewozowej, co ich mężowie i ojcowie. Jednakże po śmierci pana domu nikt nie proponował tym kobietom, by kontynuowały pracę.

Angażowano po prostu innego mężczyznę. W czasie następnej rozmowy z Christophe'em Michelle zapytała, dlaczego zasugerował jej ten kierunek poszukiwań.

— Liczne wdowy, pozbawione środków do życia, zostają służącymi. Kilka z nich pracuje dla mnie. Właśnie one mi o tym opowiedziały.—Spojrzał uważnie na Michelle. — Co zamierzasz zrobić?

Michelle uśmiechnęła się szelmowsko.

— Zobaczysz!

Sporządziła listę wdów, których mężowie pracowali dla „Globalu”. Wiosną podróżowała po całym kraju i nawiązywała z nimi kontakty. Wiele kobiet nie wierzyło własnym uszom, słysząc tak atrakcyjną ofertę. Michelle proponowała, żeby wraz z dorosłymi córkami przyjechały do Paryża i nauczyły się podstawowych rzeczy o obsłudze czeku podróżnego. W trakcie nauki zapewni im skromne mieszkanie, a także pieniądze na jedzenie oraz inne wydatki. Jeśli będzie zadowolona z ich postępów, zaproponuje im stałą pracę i pokryje koszty przeprowadzki. Michelle starannie wybierała kandydatki. Sprowadzenie tych kobiet do Paryża kosztowało bardzo drogo. Wiedziała, że jeśli zmarnuje tę szansę, wszystko będzie stracone. Postawiła na kobiety, które żyły zawsze w cieniu mężów. Jeśli uwierzą we własne siły, to na pewno odplacą się jej ciężką pracą i lojalnością. Jeśli jednak z jakichś powodów nie dadzą sobie rady, nigdy nie zrealizuje swoich marzeń. Czas pracował przeciwko niej: zbliżał się termin spłaty długu, a czek podróżny nie zaczął jeszcze na siebie zarabiać. Wiedziała, że Rose Jefferson będzie bezlitosna. Minął rok z osiemnastu miesięcy. W sejfach Banku Francji czekały podrózne

0 wartości kilku milionów dolarów czekały na transport na rue de Berri, a za ich przechowywanie każdego dnia Michelle płaciła bankowi słoną cenę. Tymczasem Paryż przygotowywał się do międzynarodowej wystawy. W całym mieście czyszczono pomniki i budynki, urządzano parady i planowano pokazy. Wszyscy w Europie twierdzili, że będzie to impreza dekady.

— Czy wiesz, jaki jest czynsz za miejsce w jednej z sal wystawowych? Musiałabym wydać na to ostatnie sou.

Michelle i Christophe jedli lunch w małej kawiarni koło biura. Michelle podniosła twarz do słońca i zamknęła oczy. Christophe zerknął na przyjaciółkę

I zobaczył, jak jest zmęczona. Opowiedziała mu o Monku McQueenie, wiedział więc, że nie jest wolna, a mimo to odwiedzał ją co najmniej raz w tygodniu. Michelle często siedziała do późnej nocy na rue de Berri. Sprawdzala księgi handlowe i starała się, żeby jej skromne fundusze wystarczyły na zaspokojenie wszystkich potrzeb. Kiedy Christophe zapraszał Michelle na obiad, ona upierała się, by zjedli w jej mieszkaniu. Już w czasie pierwszej wizyty zrozumiał przyczynę. Obiad się gotował, a Michelle zniknęła w pokoju dzieciennym. Zjawiała się dopiero wtedy, gdy jedzenie było prawie gotowe. Tak bardzo ceniła chwile spędzane z Cassandrą.

Michelle otworzyła oczy i zobaczyła, że Christophe przygląda się jej.

— Przepraszam. Nie jestem ostatnio zbyt towarzyska.

Popatrzyła na swoje dłonie, na cienkie, błękitne żyłki pod delikatną skórą. Michelle wiedziała, że nie dba o siebie, choć nie lubiła się do tego przyznawać. Straciła zbyt dużo na wadze i źle się odżywiła. Często wpadała we wściekłość. Miała tak dużo pracy, że nie starczało jej czasu na załatwienie wszystkich spraw. Najgorsze było to, że obowiązki odrywały ją od Cassandry. Zdawała sobie sprawę, że nigdy tego nie nadrobi.

Christophe rozumiał cierpienie Michelle.

— Już niedługo — pocieszył ją. — Wszystko jest gotowe, a wystawa wkrótce się zacznie.

Michelle musnęła paznokciem krawędź kieliszka.

— Boję się, Christophe. Po raz pierwszy od chwili, w której to się zaczęło, jestem naprawdę przerażona.

— I tak musiałabyś wydać fortunę, żeby zapłacić za reklamy w gazetach — przekonywał ją.

— Teraz zresztą wszyscy patrzą w inną stronę. Warto zapłacić za stoisko na wystawie.

— Tak czy inaczej, muszę szybko podjąć decyzję — powiedziała Michelle. — Mam czas do jutra.

— Pocałowała go w policzek. — Dziękuję, przyjacielu. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

— Odwagi, Michelle. Odwagi.

Michelle wróciła do fie St.-Louis dopiero po północy. W domu było ciemno i cicho. Tak jak zawsze, udała się najpierw do pokoju dziecinnego. Ku jej zdziwieniu, Cassandrą nie spała. Na widok matki zaszczębiotała radośnie. Michelle podniosła córkę i chodziła po pokoju, kołysząc ją łagodnie. Zaczęła opowiadać dziewczynce o wystawie, o spodziewanych korzyściach, a także o ryzyku. Była to wielka szansa, jeśli jednak czek natychmiast nie chwyci, straci wszystko.

— Powiedz, kochanie, co powinnam zrobić? — spytała, patrząc w poważne, błękitne oczy Cassandry.

Cassandrą uśmiechnęła się radośnie, z entuzjazmem potrząsnęła piąstkami, potem westchnęła i szybko zasnęła. Michelle nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Oczywiście. Co za głupie pytanie!

Następnego dnia wynajęła miejsce na wystawie i zaczęła się rozglądać za balonem, napędzanym gorącym powietrzem. Skoro i tak będzie wydawać pieniądze, powinna to robić w wielkim stylu.

W Nowym Jorku Hugh O'Neill zapukał do drzwi Rose Jefferson.

— Sądzę, że cię to zainteresuje — powiedział.

Rose spojrzała na niego z ciekawością i wzięła list. Przysłał go kierownik „Globalu” z Paryża.

Chwalił się, jak wspaniale urządził stoisko spółki na międzynarodowej wystawie.

— Najciekawsze jest na końcu.

Rose przeleciała kilka akapitów i uśmiechnęła się.

— No, no. Michelle postanowiła wypłynąć na szerokie wody.

Wyjęła teczkę z korespondencją z Francji. Spojrzała na cyfry i oceniła przybliżoną wysokość czynszu Michelle na wystawie.

— Nie ma zbyt dużego pola manewru.

Hughowi O'Neillowi wydało się, że usłyszał żal w głosie przyjaciółki. To

nierozważne — powiedział do siebie. Rose zawarła tę umowę, bo wszystko przemawiało

na jej korzyść. Teraz, kiedy była już bliska sukcesu, miał wrażenie, że przestało ją to cieszyć.

— To jeszcze nie koniec, Hugh — powiedziała Rose, jak gdyby zgadując jego myśli. — Bez względu na to, co się zdarzy, muszę przyznać, że Michelle nie brakuje śmiałości. Nie wiem, czy na jej miejscu chciałabym postawić wszystko na jedną kartę — przerwała na chwilę. — Ile ma jeszcze czasu na spłatę długu?

— Trochę więcej niż pięć miesięcy.

— Przynajmniej na papierze — pokręciła głową. — Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, Hugh.

— To cudowne! — powiedziała Michelle rozglądając się.

Wzdłuż Champs Elysees wzniesiono imponujące hale ze szkła i stali, w których przedsiębiorcy z całego świata mieli zaprezentować swoje towary. Przywieziono diamenty z Południowej Afryki, egzotyczne rośliny z Brazylii, najnowocześniejsze maszyny ze Stanów Zjednoczonych, warsztaty tkackie z Tajlandii, ogromne wazy z brązu z Indii i rzeźby z kości słoniowej z afrykańskich kolonii.

— Gdyby co roku organizowano coś takiego, świat zorientowałby się, że handel jest lepszy od wojny — stwierdził Christophe.

Michelle zgodziła się z tą uwagą. Spacerując wzdłuż stoisk, dostrzegła mały balon, unoszący się nad największym pawilonem. Widniał na nim napis: CZEKI PODRÓŻNE „GLOBALU” — JEDNA WALUTA DLA WSZYSTKICH! Michelle ruszyła szybko ku swojemu stoisku, mijając dwóch żandarmów, którzy jej zasalutowali.

— Do czego ci oni potrzebni? — spytał Christophe.

Michelle wskazała szufladę kasy za biurkiem, wypełnioną różnymi europejskimi banknotami. Kolejka klientów sięgała prawie do sąsiedniego stoiska.

— Ależ to jest wystawa, a nie bazar! — zaprotestował Christophe.

— Czyżby? — odrzekła Michelle, unosząc brwi. — Tak się składa, że regulamin nie zabrania wystawcom sprzedawania towarów.

Christophe rozejrzał się.

— Nikt inny tego nie robi.

— Nie dlatego, że jest to zabronione — odparła Michelle. — Większość wystawców nie wpadła na ten pomysł albo uznali, że jest to niemożliwe. Dzięki temu zwraca mi się przynajmniej część wygórowanego czynszu.

Christophe spojrział jeszcze raz na kolejkę klientów.

— Jakie masz wpływy?

— Powiem tylko, że opróżniamy kasę trzy razy dziennie.

— Do diabła! Przepraszam za niedyskretne pytanie. Jeśli to potrwa dłużej, będziesz musiała wydrukować więcej czeków.

Michelle uśmiechnęła się lekko. Christophe nie wiedział, jaki procent pobierali Rothschild i Lazard od każdego czeku realizowanego w ich bankach. Prowizja bankierów redukowałą zysk Michelle do minimum. Wystawa skończy się w tym

miesiącu. Michelle obliczyła, że nawet jeśli osiągnie wysokie zyski ze sprzedaży, zabraknie jej pół miliona dolarów na spłatę długu. W ciągu czterech miesięcy będzie musiała zdobyć brakującą sumę.

Michelle spędzała długie godziny przy swoim stoisku, spotykając się z biznesmenami z całego świata, ale zwiedzała również wystawę. Chodziła od pawilonu do pawilonu i przyglądała się, na co ludzie wydają pieniądze i w jaki sposób płacą. Zauważyła, że większość zagranicznych klientów kupowała upominki dla przyjaciół i krewnych. Kilka dni przed zamknięciem wystawy popyt był największy.

Szkoda, że nie zabierają do domu czeków podróżnych.

Właściwie dlaczego? Bo nikt nigdy im tego nie zaproponował!

Michelle popędziła do domu i zaczęła przeglądać notatki. Po pierwszej wojnie światowej wielu ludzi emigrowało z Europy do Ameryki. Na ogół przywozili ze sobą jedynie walutę swojego kraju. Niewiele banków przyjmowało liry, drachmy i franki, dlatego nowo przybyli często padali ofiarą spekulantów, którzy sprzedawali im dolary po zawyżonym kursie. Nie miała wątpliwości, że takie praktyki wciąż się zdarzają.

Po zamknięciu wystawy ogłosiła w całym Paryżu, że „Global” będzie sprzedawał dolarowe чеки podróżne za dowolną walutę europejską, po cenie o dwa procent niższej od paryskiego kursu. Po tygodniu biuro na rue de Berri pękało w szwach. Franki, które od wielu pokoleń leżały schowane w materacach, ujrzały nagle światło dzienne i chętnie wymieniano je na чеки podróżne. Wkrótce Michelle otworzyła w mieście dwa dodatkowe biura, a jej personel pracował dziesięć godzin dziennie. Zakupione чеки dolarowe turyści i imigranci mogli spieniężyć w dowolnym biurze „Globalu” w Stanach Zjednoczonych.

— Myślę, że Rose Jefferson nie przewidziała tego posunięcia — zauważył pewnego razu przy kolacji Christophe.

— Tym gorzej dla niej — odrzekła Michelle. — „Global” nie może przecież pozwolić sobie na to, by nie honorować własnych papierów wartościowych!

— Trzeba to uczcić — rzekł Christophe, wołając kelnera.

— Nie, jeszcze nie — odrzekła Michelle. — Najpierw muszę zwrócić pożyczkę. Christophe chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Nie trzeba było przypominać Michelle, że zostało jej mniej niż trzydzieści dni na spłatę długu.

13 listopada wieczorem Michelle osobiście odwiedziła każdą placówkę i sprawdziła dzienne wpływy.

— Jutro z samego rana wyślijcie wszystko do banku — poinstruowała kierowników.

Byli zdziwieni. Zawsze zaczynali od przekazania pieniędzy do banku. O dziesiątej rano Michelle zjawiła się w biurze Emila Rothschilda.

— Co za przyjemny początek dnia — powiedział bankier. — Cieszę się, że cię widzę, Michelle.

— Możesz zmienić zdanie, kiedy usłyszysz, z czym przychodzę.
— Dla ciebie, Michelle, wszystko.
— Dobrze, Emilu, ale nie mów, że cię nie ostrzegałam. Kiedy Michelle wytłumaczyła bankierowi, o co chodzi, zbladł.
— Ależ Michelle, to niemożliwe!
— Sprawdź księgi, Emilu — odrzekła spokojnie Michelle. — Nie zapomnij uwzględnić dzisiejszych przelewów.
Bankier wezwał głównego księgowego, który po kilku minutach przyniósł mu księgę rachunkową. Rothschild zwilżył koniuszki palców i przerzucił strony.
— *Bon Dieu!*
— Chcę natychmiast przesłać wszystko na rachunek w Morgan Bank w Nowym Jorku.
— Wszystko! Z czego będziesz żyła?
— Emilu, proszę!
Bankier spojrzał na nią uważnie.
— Niech będzie — powiedział i wydał księgowemu dyspozycje. — Czy mogę poczęstować cię kawą?
— Chyba potrzebuję czegoś mocniejszego.
O ósmej rano Erie Gollant odwiedził Rose w Talbot House.
— Co za miła niespodzianka — powiedziała ciepło Rose. — Co wyciągnęło cię tak wcześnie z łóżka?
— Telefon od Morgana — odrzekł Gollant, Wręczył Rose kartkę z zapisanymi cyframi.—Podali mi te liczby. Czy wiesz, dlaczego ktoś miałby nam nagle przysłać ponad milion dolarów?
Zaintrygowana Rose sprawdziła cyfry.
— Nie mam pojęcia.
Nagle przypomniała sobie datę.
— Pieniądze przyszły z Paryża?
— Z banku Rothschilda.
Rose i Erie popatrzyli na siebie, dochodząc jednocześnie do tego samego wniosku.
— To niemożliwe — wymamrotał Erie.
— Masz cholerną rację — odrzekła Rose. Dokument wypadł jej z ręki. — Czy możesz w to uwierzyć? Michelle dopięła swego. Spłaciła dług.
Ericowi wydawało się, że Rose się zachmurzyła. Przygotowywał się na najgorsze.
— Udało jej się! —wykrzyknęła Rose, a potem zaczęła się śmiać. —Niech mnie diabli, pokazała nam wszystkim, co potrafi!

38.

W marcu 1924 roku Emil Rothschild, Pierre Lazard i Michelle spotkali się na uroczystym obiedzie w słynnej „La Tour d'Argent”. Podawano specjalność zakładu: kaczkę przyrządzoną na pięć różnych sposobów.

— Za madame Jefferson—powiedział Lazard—która, naśladując amerykańskiego kongresmana, włożyła czek podróżny do portfela każdego, nawet najbiedniejszego europejskiego podróżnika! Michelle z wdziękiem przyjęła gratulacje. Od spłacenia pożyczki minęło już półtora roku. Czas ten upłynął jej w nerwowej atmosferze. Była prawie bez grosza. Rothschild i Lazard zaproponowali kredyt, ona nie chciała jednak skorzystać z ich oferty. Nauczyła się jednej kardynalnej zasady: Nigdy nie dopuszczaj nikogo, nawet zaprzyjaźnionego bankiera, do swoich interesów. Wielu bogaczy zbankrutowało, gdyż nie byli w stanie spłacić pożyczki, która na początku wydawała się zupełnym drobiazgiem.

Zaraz po wystawie Michelle zabrała się do roboty. Pracowała w soboty i święta, a zyski przeznaczala na reklamę. Po sześciu miesiącach jej rezerwy gotówkowe osiągnęły rekordowy poziom. We francuskiej prasie pojawiały się artykuły o Michelle. Pisano o jej bohaterskiej postawie w czasie wojny, a także o bliskich związkach z jedną z najbogatszych rodzin amerykańskich.

Z tej ostatniej sprawy Michelle mogła się tylko śmiać. Od czasu spłaty pożyczki tylko raz otrzymała wiadomość od Rose. Zgodnie z umową adwokaci Rose przysłali Michelle dokumenty przekazujące jej wyłączną kontrolę nad czekami podróżnymi „Globalu” w Europie. Do dokumentów załączony był krótki liścik — gratulacje od Rose utrzymane w suchym tonie. Rose musiała przełknąć gorzką pigułkę, ale zachowała się z klasą. Porażkę umiała przyjąć z wdziękiem. Ogromną radość sprawiały Michelle listy od Mońka. Pisał, że na Wall Street dużo Mię mówi o jej sukcesie. W każdym zdaniu Michelle dostrzegała dumę Mońka z jej

osiągnąć. Pragnął cieszyć się triumfem razem z nią, ale nie mógł jeszcze przyjechać do Francji. Musiał najpierw pozatławić wszystkie sprawy w magazynie *Q*, tak aby personel redakcyjny mógł się zająć wydawaniem gazety podczas jego nieobecności. Michelle z niecierpliwością czekała na ten dzień, a tymczasem prowadziła interesy. W lutym, kiedy upłynął termin wynajmu, kupiła budynek na rue de Berri, potroiła liczbę pracowników i umieściła wszystkie biura pod jednym dachem.

— Co zamierzasz teraz robić? — zapytał Emil Rothschild, kiedy czekali na następne danie. Michelle spojrzała przez okno na statki pływające po Sekwanie.

— Myślałam o rozszerzeniu przedsiębiorstwa.

Typowo galijskie westchnienie Pierre'a Lazarda zdradzało, co sądzi o ludzkim szaleństwie.

— Daj spokój, Michelle. Zrobiłaś znakomity początek. Po co podejmować niepotrzebne ryzyko?

— To nie będzie ryzyko, jeśli mi pomożecie.

Obaj finansiści zainteresowali się nagle kaczką na swoich talerzach.

— Szaleństwo — wymruczał Pierre Lazard.

— To niedobry okres na ekspansję — zgodził się Rothschild. — Sytuacja jest zbyt niepewna.

Michelle podniosła kieliszek i roześmiała się.

— Czy zawsze jesteście tak ponurzy, kiedy pojawia się okazja zarobienia pieniędzy? — Zaczęła wyjaśniać: — Z waszą pomocą udało mi się zamienić Paryż w turystyczną stolicę Europy. Każdy Amerykanin słyszał o rue de Berri. Niejednokrotnie turysta zjawia się w moim biurze natychmiast po przyjeździe do miasta. Nie chcę tego zmieniać, ale zamierzam rozszerzyć usługi „Globalu”. Otworzę stoiska, w których nasi klienci będą mogli odbierać pocztę i wysyłać listy. Dzięki temu zaoszczędzę na reklamie. — Przerwała, bo właśnie podawano następne danie. — Niedawno dowiedziałam się, ile zeszłego lata Amerykanie wydali w Paryżu, a także w całej Europie. Jest to, panowie, ponad pięćdziesiąt milionów dolarów.

Michelle zauważyła, że obaj bankierzy przestali nagle wpatrywać się w talerze.

— Pięćdziesiąt milionów dolarów — powtórzyła. — Skąd się wzięły te pieniądze? Tylko dwa procent tej sumy przechodzi przez listy kredytowe, którymi posługują się turyści. Im to wystarcza. Lubią się chwalić w snobistycznym towarzystwie, że korzystają z usług takich bankierów jak Morgan albo Harjes. Lwia część zysków pochodzi jednak od ludzi, z którymi ci bankierzy nie chcą mieć do czynienia: od studentów i zwykłych turystów.

Rothschild spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Od studentów?

— Nie kręć nosem, Emilu — zbeształa go. — Dziesiątki tysięcy studentów przyjeżdżają każdego roku do Europy. Wizyta na starym kontynencie zamieniła się w inicjacyjny rytuał. Członkowie klasy średniej zaczynają zaś odkrywać, że w Europie można robić świetne interesy.

— W jaki sposób zamierzasz rozszerzyć przedsiębiorstwo w Paryżu? — spytał Rothschild.

— Nie chodzi o Paryż. Finansista spojrział na nią pytająco.

— Mówię o całej Europie — powiedziała Michelle. — Chciałabym powtórzyć nasz sukces w Bordeaux, Nicei i na Riwierze. Jednocześnie zamierzam zrobić to samo w każdej europejskiej stolicy. — Oczy Michelle błyszczały z podniecenia.

— Właśnie dlatego was potrzebuję. Negocjacje z niemieckimi, szwajcarskimi, włoskimi i hiszpańskimi bankami zabrałyby mi długie miesiące. Traciłabym cenny czas, nie mówiąc już o pieniądzech. Jeśli jednak wasze banki mnie poprą, to wszyscy szybko podejmą decyzję.

Lazard spojrział na Rothschilda. Michelle widziała, jak bankierzy porozumiewają się bez słów. Ich banki miały oddziały w europejskich stolicach i cieszyły się wystarczającym prestiżem, by przyciągnąć innych kontrahentów. Michelle czekała na odpowiedź.

— Jaką zawarlibyśmy umowę? — spytał ostrożnie Rothschild.

— Proponuję, żeby we Francji wasza prowizja się nie zmieniła — powiedziała Michelle. — Jeśli jednak chodzi o resztę Europy, będę wam płacić tylko za pośrednictwo: wy przekonujecie banki, a ja dobijam z nimi targu. Po podpisaniu umowy dostaniecie wynagrodzenie.

— Michelle, Michelle — sprzeciwił się Pierre Lazard. — Jeśli mamy zostać partnerami, musimy mieć udział w zyskach.

— Partnerzy uczestniczą w zyskach tylko wtedy, gdy dzielą się ryzykiem

— powiedziała stanowczo Michelle. — W tym wypadku tylko ja ryzykuję. Nie proszę o pożyczkę. Potrzebuję jedynie waszych kontaktów i doświadczeń.

Znała obu mężczyzn wystarczająco dobrze, by odgadnąć, o czym teraz myślą. Obaj zarobili dzięki niej mnóstwo pieniędzy. Jeśli pomnoży się tę sumę przez sześć lub siedem krajów i trzysta albo czterysta banków, to wynik będzie oszałamiająco wysoki. Doszła do wniosku, że bankierzy nie oddadzą bez walki reszty Europy.

— Moglibyśmy pobierać za granicą niższy procent—zapropozował Rothschild.

— To przecież dzięki nam zawarłabyś umowy z zagranicznymi bankami.

— Nonsens!

Odwróciła się, słysząc znajomy głos. Stał nad nią Monk McQueen, opierając się o poręcz jej krzesła. Niewiele brakowało, a Michelle rzuciłaby mu się na szyję.

Monk przedstawił się, choć zarówno Rothschild, jak i Lazard sporo o nim słyszeli. Ukłonił się Michelle i przytrzymał jej dłoń odrobinę dłużej, niż nakazywała grzeczność.

— Panowie, usłyszałem przypadkiem waszą rozmowę. Nie chciałbym osłabiać pozycji przetargowej uczciwych biznesmenów, muszę jednak przyznać, że oferta pani Jefferson jest bardzo rozsądna, i to do tego stopnia, że jeśli jej nie przyjmiecie, to osobiście pójde z nią do Morgana. Zapewniam was, że nie odrzuci okazji zarobienia paru dolarów tylko za to, że zaprosi kilku przyjaciół do jednego pokoju.

— Monsieur McQueen — odrzekł Lazard. — Wiemy, że jako wydawca cieszy się pan znakomitą reputacją. Jednakże omawiane przez nas kwestie finansowe mogą mimo wszystko pozostawać poza pana możliwościami.

Monk wzruszył ramionami.

— Mowa tu o prowizji nie przekraczającej dwustu tysięcy dolarów. Morgan weźmie mniej, bo już powiedział swoim ludziom, że chciałby się zająć czekami podróżnymi.

Bankierzy odwrócili się w kierunku Michelle.

— Czy to prawda? — spytał Emil Rothschild.

— Tak — odrzekła spokojnie Michelle. — Nie sądziłam jednak, że warto poruszać ten temat.

Monk niedbale wręczył Pierre'owi Lazardowi egzemplarz magazynu *Q*.

— Oto następny numer naszej gazety. Na pierwszej stronie zamieściliśmy wywiad z Morganem.

— To rzuca oczywiście nowe światło na całą sprawę — powiedział Lazard, wręczając czasopismo koledze. — Nie mam nic przeciwko panu Morganowi, uważam jednak, Michelle, że współpraca dobrze nam się układała i moglibyśmy ją kontynuować.

— Miło mi to słyszeć, Pierre.

Michelle była uradowana, ale jednocześnie pożerała ją ciekawość: nie miała pojęcia, skąd Monk się tu wziął. Spełniły się wreszcie jej marzenia.

Emil Rothschild przeczytał artykuł, zawołał kelnera i zamówił butelkę najlepszego szampana z legendarnej piwniczki lokalu.

— Myślę, że to odpowiednia okazja — rzekł wspaniałomyślnie. — Uzgodnienie odpowiedniej cyfry jest przecież zwykłą formalnością.

— Panowie, trudno mi się z tym nie zgodzić — odparła Michelle. Kiedy kelner nalał wszystkim wina, podniosła kieliszek. — Za nowe perspektywy... — Spojrzała na Mońka. — ... i za przyjaciół, z którymi możemy się nimi podzielić!

— Kiedy przyjechałeś?

Stali naprzeciwko siebie w sypialni Michelle z rękami opuszczonymi, tak jak gdyby bali się dotknąć.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć — wyszeptła Michelle. Poglądziła go po policzku.

— Lepiej uwierz — odrzekł Monk i delikatnie ją pocałował. Michelle zadrżała, kiedy poczuła na szyi jego usta.

— Boże, już zapomniałam, jakie to uczucie! — westchnęła.

Cofnęła się i powoli rozpięła guziki sukienki, która opadła na podłogę. Zdjęła jedwabną koszulkę, wzięła Mońka za rękę i położyła ją na swojej piersi.

— Nigdy cię już nie wypuszczę — powiedziała.

— Nie zamierzam odejść — odparł.

Michelle westchnęła i objęła Monka za szyję, przyciskając jego głowę do swoich piersi. Kochali się delikatnie, jak gdyby nie mogli uwierzyć, że to nie sen.

Później Monk ujął w dłonie twarz Michelle i wytarł łzy z jej policzków.

— Czemu płaczesz? — spytał, zaglądając jej w oczy.

— Zawsze płaczę, nie pamiętasz? Nawet za pierwszym razem... — Michelle odwróciła się, bo nie mogła znieść jego zatroskanego spojrzenia. — Tak bardzo cię kocham. Zawsze będę cię kochała. Monk wstał z łóżka o świcie i poszedł do sąsiedniego pokoju. Odchylił kołdrę i przyjrzał się śpiącej Cassandrze. Długo stał nad nią w niemym podziwieniu. Słuchał miarowego oddechu córki, napawał się jej widokiem.

Zawsze będziesz mogła na mnie liczyć. Obiecuję, że nikt nigdy nie skrzywdzi ani ciebie, ani twojej matki.

Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył, że Michelle przygotowała już śniadanie: kawę, bułeczki, masło i dżem.

— Jest podobna do ciebie — wymruczał, całując ją w szyję.

— Jeśli urośnie tak duża jak ty, nigdy jej nie nakarmimy. Roześmieli się serdecznie.

— Czy mówiłeś poważnie zeszłej nocy? — spytała Michelle. — Naprawdę możesz zostać?

— Oczywiście. Gazeta poradzi sobie beze mnie. Od czasu do czasu będę tam przyjeżdżał i sprawdzał, co się dzieje. Nie zamierzam jednak opuszczać ciebie i Cassandry. Nie wiesz nawet, ile kosztowało mnie rozstanie.

Michelle położyła rękę na jego dłoni.

— A Rose? Co będzie, jeśli się dowie? Wszystkie nasze obawy...

— Minęły już prawie cztery lata, Michelle. Twoje wdowieństwo musi się wreszcie skończyć. Nikt nie wie, że Cassandra nie jest córką Franklina. Nasza miłość nie wzbudzi podejrzeń.

Widział, że na twarzy Michelle radość miesza się ze smutkiem.

— To najlepsze, co możemy dla nas zrobić — rzekł. — Bóg jeden wie, że to o wiele więcej niż dawniej.

Przez pewien czas jedli w milczeniu, potem Michelle nagle zachichotała.

— Czy mówiłeś poważnie, że pójdziesz do Morgana?

— Pewnie. Widziałaś miny Rothschilda i Lazarda?

Roześmieli się. Później Michelle zaczęła wypytywać Monka o Nowy Jork.

— Niewiele się zmieniło, poza tym, że „Global” dużo zarabia na przekazie pieniężnym i rozwija się we wszystkich kierunkach jednocześnie. Inwestuje zyski w kopalnie, wytwórnie papieru, linie okrętowe — co tylko chcesz.

— W takim razie na pewno o mnie zapomniała — powiedziała Michelle. Monk pokręcił głową.

— Wszyscy sądzili, że twoje przedsięwzięcie związane z czekiem podróżnym zakończy się fiaskiem. Zamiast tego odniosłaś wspaniały sukces.

— Czyżbym słyszała w twoim głosie niepokój? — dokuczała mu Michelle. Monk zachował powagę.

— Gospodarka tu i w kraju jest mało stabilna. Nie mam do niej zaufania. Pełno jest spekulacji na giełdzie, w Niemczech szaleje inflacja. Kiedy dojdzie do katastrofy, nie chcę, żebyś razem z Cassandrą na tym ucierpiała.

— Chcesz powiedzieć, że powinnam się zastanowić, czy warto rozszerzać przedsiębiorstwo? — spytała powoli Michelle.

— Nie. Zakładaj nowe biura, ale szybko spłacaj długi. Dzięki temu nikt ci niczego nie zabierze. Michelle zastanowiła się przez chwilę, a potem spojrzała z uśmiechem na Mońka.

— Czy dlatego właśnie wróciłeś? Widzisz coś, czego nie dostrzegają inni, i chcesz mnie ostrzec?

— Wróciłem, bo kocham ciebie i Cassandrę — odrzekł Monk, uśmiechając się szeroko, a potem dodał: — We trójkę postawimy Europę na głowie!

Jeśli Michelle obawiała się czegoś w związku z przyjazdem Mońka, to tylko tego, jak przyjmie go Cassandrą. Niepotrzebnie się martwiła. Cassandrą od razu i bez zastrzeżeń przyłgnęła do ojca. Michelle musiała się zajmować interesami, ale Monk kontaktował się tylko sporadycznie z nowojorskim biurem i pisał artykuły o europejskich finansach, mógł więc bez żadnych przeszkód spędzać czas z córką.

W końcu czerwca w apartamencie w fie St.-Louis opuszczono żaluzje i zakryto meble, żeby ochronić je przed kurzem. Monk kupił ogromnego mercedesa, w którym starczało miejsca również na bagaż. W mniejszym samochodzie miała podróżować szwajcarska opiekunka i dyrektor naczelny, który pracował dla Michelle.

Najpierw zatrzymali się w Genewie, gdzie Michelle postanowiła założyć swoją szwajcarską filię. Wprowadzili się do willi nad jeziorem. Monk uczył Cassandrę pływać i zabierał ją na żeglarskie wycieczki po Jeziorze Lemańskim. W tym samym czasie Michelle starannie przygotowywała pierwszą zagraniczną operację finansową. Po czterech miesiącach nawet sceptyczni Szwajcarzy musieli przyznać, że odniosła sukces. Dziwili się, dlaczego sami nie zauważyli, że na amerykańskich turystach można zrobić znakomity interes. Nawet frank szwajcarski ustępował przed wszechmocnym dolarem. Amerykanów spotykało się wszędzie — na alpejskich szlakach narciarskich i w ekskluzywnych sklepach w Zurychu. Kupcy chętnie przyjmowali czeki podróżne. Papiery wartościowe „Globalu”, honorowane przez banki szwajcarskie, były dla nich równie dobre, jak miejscowa waluta.

Jesienią rodzina znalazła się we Włoszech. Michelle zamierzała założyć placówki w Rzymie, Wenecji i Mediolanie. Kiedy podróżowali po Italii, Monk pokazywał Cassandrze cuda starożytnych miast. Następnej wiosny dziewczynka

obchodziła w weneckiej gondoli czwarte urodziny i bawiła się z dziećmi rolników na wzgórzach Toskanii.

Zimą podróżowali po południowej Europie, zaczynając od Aten i wysp na Morzu Egejskim, a kończąc na Hiszpanii i Portugalii. Kiedy Michelle załatwiła sprawy w Madrycie i Lizbonie, spędzili kilka tygodni w Algarve, Zatrzymali się na krótko w Paryżu, upewniając się, że na rue de Berri wszystko jest w porządku, a potem ruszyli na północ. Amsterdam był pierwszym przystankiem w całorocznej podróży, która miała ich zaprowadzić aż do Skandynawii.

— Nigdy ci chyba nie mówiłem, że moja matka była Szwedką — powiedział Monk, kiedy stali na pokładzie promu z Kopenhagi do Malmö.

— Tylu rzeczy o panu nie wiem, panie McQueen—drażniła się z nim Michelle. Monk objął ją.

— Mamy dużo czasu. Na pewno zdążysz się wszystkiego dowiedzieć—odrzekł. Michelle od pierwszej chwili polubiła Sztokholm, który podobnie jak Paryż szczylił się swoją przeszłością. Zamiast imponujących, wspaniałych budowli można było jednak znaleźć w tym mieście ciepło i kameralny urok.

— Wygląda na to, że wszyscy przygotowują się do święta — zauważył Monk, kiedy wychodzili z dworca na Starym Mieście.

Tak się złożyło, że przybyli do Sztokholmu w przeddzień Nocy Walpurgii, święta przesilenia wiosennego. Monk i Michelle położyli Cassandrę do łóżka, a potem wmieszali się w tłum i spacerowali po parkach, w których płonęły ogromne ogniska. Wszyscy ludzie śpiewali i tańczyli. Po posiłku mężczyźni zaczęli przygotowywać rytualnego drinka. Na dnie kufła umieszczano mały, srebrny pieniądz i zalewano go słodką, gorącą kawą, aż zniknął. Potem dolewano wódki, dopóki moneta znów się nie pojawiła. Michelle była przerażona, widząc, ile trunku wypijano w każdej kolejce. Pomimo okrzyków zachęty ze strony widzów, mężczyźni padali jeden po drugim. Na nogach został tylko Monk. Widzowie zaczęli klaskać, kiedy wychylił ostatni kufel.

— Nie miałam pojęcia, że możesz tyle wypić! — krzyknęła Michelle w drodze do hotelu.

— Jestem wszechstronnie utalentowany — odrzekł poważnie Monk. Otworzył drzwi i wyszedł na kamienny balkon, z którego rozciągał się widok na Kungstradgarden i zamek królewski.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — spytała niespokojnie Michelle, widząc, że po policzkach Mońka spływają łzy.

— Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy — wyszeptał. Przerwał, a potem dodał: — Chciałbym ci coś powiedzieć. Do tej pory nie miałem odwagi tego zrobić.

Serce Michelle zaczęło bić mocniej. Powie, że musi wyjechać!

— Michelle, czy zostaniesz moją żoną?

Michelle patrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom.

— Tak, tak, tak! — krzyczała, obejmując Mońka za szyję. Przytulali się do siebie ze łzami w oczach.

— Zachowuję się jak wariat—powiedział Monk, ocierając łzy. — Daj mi jedną sekundę, dobrze? Michelle patrzyła, jak Monk wchodzi do pokoju. Nagle rozległ się huk. Kiedy wbiegła do sypialni, ujrzała, że Monk leży, chrapiąc, na łóżku, które zawało się pod jego ciężarem.

— Ach, ty cudowny, niemożliwy człowieku! — wyszeptła, ściągając z niego ubranie.

Później położyła się i przytuliła go. Nie spała prawie przez całą noc, pogrążona w słodkich marzeniach. Cassandra będzie wreszcie miała ojca, a ona — męża. Męża... Zanim w końcu zasnęła, wiedziała już, co zrobi następnego dnia.

Kiedy Monk się obudził, czuł się tak, jak gdyby dostał wczoraj młotkiem po głowie. Pomimo wypitego alkoholu myślał jasno. Zauważył, że Michelle gdzieś wyszła, przeszedł się po mieszkaniu i odkrył, że jest sam. Najprawdopodobniej Michelle i Cassandra udały się na śniadanie.

Wracał właśnie do sypialni, kiedy pojawił się służący, niosąc nowy, szary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat. Poinformował Monka, że pomoże mu się ubrać, bo za godzinę powinien być na dole. Monk zachichotał i powiedział służącemu, że skoro tak, to niech go ogoli.

Później zszedł na dół za służącym. Minęli jadalnię hotelową i wyszli na taras. Wszędzie widać było świeże, wiosenne kwiaty. Monk odetchnął głęboko i zauważył mały balkon, pokryty dzikim winem, w pobliżu którego stała harfa.

— Idealne miejsce na ślub — powiedział do służącego.

W tym momencie przypomniał sobie, o co poprosił Michelle poprzedniego wieczoru. Rozejrzał się w panice i ujrzał ją w drzwiach. Miała na sobie prostą białą suknię i sznur pereł. W ręku niosła mały bukiet. Obok stała Cassandra, również ubrana na białe, i patrzyła na niego z szelmowskim uśmiechem.

— Och, Boże!

Zanim się zorientował, co się dzieje, kierownik hotelu poprowadził go w kierunku balkonu.

— Nie musi się pan niczym przejmować, sir — powiedział. — Mam obrączki. Madame zajęła się wszystkim.

Monk przełknął ślinę. Nagle pojawił się pastor, harfiarz wziął do ręki instrument, a koło niego stanęła Michelle.

— Zeszłej nocy mówiłeś poważnie, prawda?

— Oczywiście — odrzekł szybko Monk.

— To dobrze, bo i tak nie pozwoliłabym ci się z tego wymigać.

Nigdy przedtem nie był tak szczęśliwy. Sądził kiedyś, że życie niczym go już nie zaskoczy, teraz jednak ciekawiał prawdziwe cuda, o jakich nawet mu się nie śniło.

Po powrocie do Paryża Monk oficjalnie załatwił sprawę adopcji.

— Chciałabym powiedzieć jej prawdę — rzekła Michelle.

— Pewnego dnia dowie się o wszystkim — obiecał Monk. — Jednakże Rose zawarła z tobą tę umowę tylko dlatego, że byłaś żoną Franklina i matką jego dziecka. Jeśli Cassandra ma odziedziczyć to, co zbudowałaś, Rose nie może się dowiedzieć, że Franklin nie jest jej ojcem.

— W takim razie Cassandra pozna prawdę dopiero po śmierci Rose.

— Tak byłoby najlepiej — odrzekł Monk.

W życiu rodziny niewiele było jednak ciemnych chmur. Monk nie musiał chodzić do biura, mógł więc spędzać z córką dużo czasu. Michelle załatwiała interesy, a Monk zajmował się nauką Cassandry. Zanim dziewczynka skończyła siedem lat, mówiła biegle po angielsku, francusku, włosku i hiszpańsku. Jej ciekawość doprowadzała czasem Monka do szału. Pewnego dnia poszła za ojcem do biura, przepisała historyjkę o Syrence z Kopenhagi Jana Christiana Andersena i dołączyła ją do artykułu, który Monk przygotowywał dla magazynu *Q*.

Czeki podrózne cieszyły się ogromną popularnością. Do 1928 roku zyski ze sprzedaży przekroczyły siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. W końcu Michelle zaczęła uchodzić za jedną z najbogatszych kobiet w Europie.

— Tylko nie inwestuj tu niczego — poradził Monk, jadąc z Michelle do Berlina. Jako kobieta interesu Michelle wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała współpracować z Niemcami. Nie zapomniała jednak o dawnych czasach. W ciągu ostatnich czterdziestu lat Niemcy dwa razy najechali i okupowali jej ojczyznę. Michelle miała we krwi strach i podejrzliwość.

— Kryzys zacznie się właśnie tutaj — prorokował Monk.

Jadł lunch z Michelle i Cassandrą w jednej z kawiarni na Kurfurstendamm.

— Wszystko przez ten cholerny traktat wersalski — powiedziała Michelle.

— Po wojnie ponizyliśmy ich, a oni nigdy nie wybaczyli nam tego wstydu. Mimo to niemieccy bankierzy, głównie Żydzi, ubiegali się o względy Michelle.

Bardzo chcieli robić z nią interesy i zapewniali, że ten „mały kapral”, jak nazywali Hitlera, jest w rzeczywistości nikim.

— Niemcy to cywilizowani ludzie — powiedział finansista Abraham Warburg.

— Pani pieniądze będą tu równie bezpieczne, jak gdziekolwiek indziej w Europie.

— Nie chodzi mi o moje pieniądze, Herr Warburg — odrzekła Michelle.

— Niepokoję się tym, co was spotka, jeśli się mylicie co do Hidera. Bankier zawahał się i ściszył głos.

— Pani McQueen, jeśli, Boże broń, dojdzie do jakiejś katastrofy, to pani pomoc stanie się w przyszłości jeszcze cenniejsza.

Michelle to wystarczyło. Opowiedziała Monkowi o słowach Warburga i uzyskała jego poparcie.

W czerwcu 1929 roku „Global” miał już biura w Berlinie, Monachium, Frankfurtach i Hamburgu.

Pomimo inflacji, błyskawicznie sprzedawano czeki podrózne.

— Nikt nie chce marki — zauważył Monk. — Niemcy niszczą własną walutę, inwestując w dolary.

Michelle nigdy jeszcze nie pracowała tak ciężko. Miała już dosyć.

— Wracajmy do domu — wyszeptała, kiedy leżeli w łóżku w legendarnym hotelu „Kempiński”.

— To smutny kraj, a poza tym nie chcę, żeby Cassandra ciągle prowadziła cygańskie życie.

Powinna pójść wreszcie do prawdziwej szkoły i mieć przyjaciół.

— Nowy Jork czy Paryż? — spytał Monk, znając z góry odpowiedź.

— Nie Nowy Jork, kochanie. Jeszcze nie.

Fala upałów latem 1930 roku pobiła wszelkie rekordy. Na Manhattanie dochodziło nawet do bójek, kiedy ludzie w kwaśnych humorach stali w kolejce do sklepów sprzedających elektryczne wentylatory.

Harry Taylor nie potrzebował wentylatora. W jego apartamencie na Piątej Alei była klimatyzacja. Jednakże w nocy ograniczano dostawę energii elektrycznej i apartament zamieniał się w piec. Harry'ego potwornie bolała głowa i dopiero po dłuższej chwili zauważył, że filipiński służący stara się go obudzić.

— Czego chcesz, do diabła?!

Zamiast okrzyku, z ust Harry'ego wydobył się jęk. Wciąż czuł smak whisky. Światło raziło go w oczy, a głowa pękała z bólu.

— Kazał mi pan przypomnieć, że o godzinie dwunastej powinien pan się zjawić w sali konferencyjnej „Globalu” — powiedział służący doskonałą angielszczyzną.

Harry patrzył na jego nieprzeniknioną twarz.

— Która godzina?

— Dziesięć po jedenastej.

— Boże... Wyjdź i poczekaj, aż wezmę prysznic. Przygotuj mi ubranie. Coś porządnego!

Harry spojrział na blondynkę, leżącą w łóżku obok niego. Skąd się tu wzięła? Co ważniejsze: kim jest?

Powlókł się do łazienki i odkręcił prysznic. Zamknął oczy, a ciepła woda jak balsam obmywała jego zmęczone ciało. Potem bez żadnego powodu zaczął nagle płakać.

Osiem lat wcześniej, kiedy Rose Jefferson pojechała do Europy na spotkanie z Michelle, Harry Taylor uznał, że podjęła błędną decyzję. Skutki tej decyzji okazały się katastrofalne. Zamiast po cichu wykupić Michelle, Rose oddała jej wszystko, co Harry uważał za swoją własność.

— Nie martw się — pocieszała go Rose. — Kiedy odzyskam to terytorium, będziesz kontynuował dzieło Franklina. Pokierujesz „Globalem” w Europie, tak jak kiedyś na Środkowym Zachodzie. Obiecuję!

Harry uwierzył jej. Z zapałem zabrał się do pracy. Po dwóch latach podwoiła się liczba biur „Globalu”, które sprzedawały przekazy pieniężne. Zyski były coraz większe. Rose wydawała je na ciężarówki, rozwożące towary po kraju i statki pływające po całym świecie. Kupowała również inne spółki, zamieniając „Global” w przemysłowego giganta.

Harry nie otrzymał jednak nagrody, której się spodziewał. Kiedy Rose dowiedziała się, że Michelle zawarła umowę z francuskimi bankierami, nie chciała o tym rozmawiać. Zdaniem Harry’ego Rose powinna zagrozić Rothschildowi i Lazardowi, że przestanie robić z nimi interesy, jeśli będą popierać Michelle.

— Nie bądź głupi — ucięła Rose. — Nie możemy ich zastraszyć, i to właśnie dlatego, że robimy z nimi interesy!

W miarę upływu czasu Harry Taylor zaczął dochodzić do wniosku, że nic nie pozostało z jego marzeń. Ostatecznie stracił nadzieję, kiedy Michelle zwróciła Rose pożyczkę wraz z oprocentowaniem. Harry posiadał wspaniałe garmtury, piękny dom, należał do najlepszych klubów, a mimo to był dla Rose tylko zwykłym pracownikiem.

Zdesperowany, cztery razy oświadczał się Rose. Ona jednak stanowczo odmawiała. Kiedy powiedział, że najwyraźniej jest dla niej wystarczająco dobry do łóżka, ale nie do tego, by dzielić z nią życie, zabroniła mu wstępu do Talbot House.

Słowa, które przy tej okazji wypowiedziała Rose, bardzo zraniły Harry’ego. W małym światku bogatych nowojorczyków uważano zawsze Harry’ego za przyszłego męża Rose. Kiedy Rose zaczęła samotnie pokazywać się na imprezach towarzyskich, nieobecność Harry’ego stała się tematem plotek.

— Biedny Harry. Cóż on pocnie, kiedy Rose pozbędzie się go na dobre? Słyszac takie komentarze, Harry starał się robić dobrą minę do złej gry. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Rose i „Global” poradzą sobie bez niego. Teraz ogarnęło go przerażenie, że straci wszystko. Zaczął pracować jeszcze pilniej. Tylko w wolnych chwilach marzył o zemście. Nie chciał jednak mścić się na Rose.

Doszedł do wniosku, że Michelle ukradła mu coś, co było jego własnością. Obserwował każdy jej ruch, czekając na najmniejszy błąd, który mógłby wykorzystać. Jednakże wszystkie przedsięwzięcia Michelle kończyły się sukcesem.

Patrzył więc bezradnie, jak Michelle święci kolejne triumfy. Pewnego dnia wstał z łóżka, przejrzał się w lustrze i odkrył, że czas pozostawił na nim swoje ślady. Zamiast zwycięstw ponosił same porażki. Na twarzy, która kiedyś tak podobała się kobietom, pojawiły się zmarszczki. Sportowa sylwetka zaokrągliła się od alkoholu i dobrego jedzenia. Najgorsze było to, że przepadły marzenia Harry’ego. Zniknęły gdzieś niczym dym ze świecy.

Kiedy tylko myślał o swoich marzeniach, z oczu płynęły mu łzy.

Harry Taylor wyszedł z łazienki, połknął aspirynę i ubrał się. Potem wszedł do biblioteki, usiadł za biurkiem i spojrzał na grubą teczkę.

Została mi jeszcze ostatnia karta. Jedyne szansa uratowania wszystkiego.

Ostrożnie otworzył akta i przeczytał kilka pierwszych stron, dochodząc z ulgą do wniosku, że napisane przez niego słowa brzmią pewnie i przekonująco. Opracowywał ten plan przez długie lata, od dnia, w którym Michelle zwróciła „Globalowi” dług. Jeśli uda się go zrealizować, to Michelle raz na zawsze straci wszystkie udziały w firmie. Plan był tak doskonały, że nawet Rose, która miała jedyną kopię dokumentu, nie znajdzie w nim żadnego błędu.

Zrozumie wreszcie, że trzeba powstrzymać Michelle. Ktoś musi przeciwstawić się tej kobiecie. Czy znajdzie lepszego kandydata niż ja?

Rose obiecała, że zapozna się z tym materiałem jak najszybciej. Wychodząc z mieszkania, Harry był pewny, że tym razem dopisze mu szczęście. Przyjęcie urodzinowe stwarza idealną okazję, żeby dać szansę własnym marzeniom.

Przez ciężkie, dębowe, podwójne drzwi biura dochodziły odgłosy przyjęcia. Kiedy indziej Rose byłaby poirytowana hałasem. Dziś jednak cieszyła się z tego.

Rose odepchnęła akta przysłane przez Harry'ego. Żałowała, że równie łatwo nie może odsunąć od siebie przykrych wspomnień.

Niech cię diabli, Harry! Czemu znów muszę o tym myśleć?!

Kiedy zawierała umowę z Michelle, była przekonana, że rywalka nie może odnieść sukcesu. Później patrzyła z niedowierzaniem i gniewem, jak wszystko, czego dotknęła Michelle, zamienia się w złoto. Na początku sądziła, że ta kobieta ma po prostu szczęście, kiedy jednak przyszły następne sukcesy, zrozumiała, że Michelle wiele się nauczyła i wyciągnęła z tych lekcji właściwe wnioski.

Prasa, która ogłosiła przedtem zwycięstwo Rose, zaczęła zmieniać ton komentarzy. Idąc w ślad za magazynem *Q*, dziennikarze chwalili osiągnięcia, śmiałość i bystrość Michelle. Na Wall Street nie gratulowano już Rose. Zaczęto kwestionować jej taktykę, która najwyraźniej zawiodła. Rose Jefferson popełnia błędy. Nie jest nieomylna.

Rose słuchała plotek z rosnącą furją, nie mogła jednak ich uciszyć. Sam Hugh O'Neill sporządził umowę z Michelle. Rose zaaprobowała kontrakt i była przekonana, że Michelle wpadnie w pułapkę. Kiedy otrzymała zwrot długu, sama znalazła się w potrzasku. Teraz nie znajdowała w umowie żadnej luki. Mogła tylko śledzić kolejne sukcesy Michelle.

Czuła dla rywalki niechętny podziw, była jednak wściekła z powodu popełnionego błędu.

Wyładowywała gniew na ludziach, którzy nie mogli się bronić. W latach dwudziestych „Global” zamienił się w nienasyconą maszynę do robienia pieniędzy. Rose bezlitośnie atakowała firmy, które pragnęła włączyć do swego imperium.

Bieżące interesy pochłaniały całą jej energię, ale mimo to nie traciła z oczu Michelle. Sukces bratowej zrobił na niej duże wrażenie, zniknął jednak dawny gniew. Rose nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało, wiedziała jednak dokładnie, kiedy jej uczucia dla

Michelle zaczęły się zmieniać. Przełom nastąpił w chwili, w której dowiedziała się o ślubie Mońka i Michelle.

To mogła być moja miłość. Była moja. Wolalam jednak ją wykorzystać, zniszczyć, kadziłam, ze sama sobie poradzę.

Inna kobieta pogardzałaby mężczyzną, którego mogła kiedyś mieć na każde skinienie, ale me Rose. Kiedy dowiedziała się o małżeństwie Michelle, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Rose postulate dłonią w akta przysłane przez Harry'ego. Musiała przyznać, że pomysł jest znakomity. Ta śmiałość i intuicja przypominały jej dawnego Harry'ego Plan przewidywał zawarcie sojuszu pomiędzy „Globalem”, Cookami i brytyjskimi bankami stworzenie nowego czeku podróznego, honorowanego przez wszystkich współników, i rzucenie wyzwania monopolowi Michelle w Europie. Jednakże Harry tak bardzo pragnął pognębić Michelle, że zapomniał o dwóch podstawowych faktach Po pierwsze, co roku Michelle przysyłała „Globalowi” wiele milionów dolarów Po drugie, dzięki Michelle firma stała się znana w Europie i nawiązała cenne kontakty Jeśli nawet Harry zdawał sobie z tego sprawę, to nie napisał o tym w raporcie. Wciąż uznawał Michelle za wroga, który zajął jego miejsce. Rose uznała, że ta obsesja zaślepiła Harry'ego.

Nadszedł czas, żeby iść na przyjęcie.

— Wszystkiego najlepszego, Stevenie!

Rose stanęła na palcach i pocałowała dwudziestodwuletniego syna w oba policzki. Pracownicy zaśpiewali „Sto lat” i zaczęli składać życzenia solenizantowi

Jest taki przystojny! — pomyślała Rose, podziwiając syna.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że Steven spełnia wszystkie pokładane w nim nadzieje. Ten wysoki chłopak miał gęste, czarne włosy matki i błękitne oczy ojca W jego opalonej twarzy rzucała się w oczy agresywnie wysunięta szczęka i wysokie kości policzkowe. Uczył się w Exeter, a później ukończył z wyróżnieniem "studia w Harvardzie na wydziale handlu i administracji. Przez ostatnie lata nabywał doświadczenia w różnych oddziałach „Globalu”.

Rose często marzyła o tej chwili. Zawsze umiała znaleźć czas dla Stevena i starała się usunąć wszystkie zagrożenia, stojące mu na drodze. Nic nie mogła zarzucić synowi. Nie ukradła go żadna kobieta, nie przydarzył mu się żaden wypadek Był doskonały pod każdym względem.

— Gratuluję, Rose — powiedział Harry, podchodząc do niej z kieliszkiem szampana w ręku. —

Na pewno jesteś z niego bardzo dumna.

Rose poczuła od Harry'ego alkohol.

— Piłeś wczoraj?

— Nie — rzucił lekko. — Miałem dużo pracy.

— Nie wątpię — odrzekła kwaśno.

Kiedy Rose patrzyła na Harry'ego, ogarniała ją litość. Dawniej widziała w tym człowieku ideał mężczyzny. Teraz był rdkim.

— Czy zdążyłaś przeczytać akta? — zapytał Harry.

— Tak. To jednak nie jest właściwy czas ani miejsce na dyskusję.

— Oczywiście — odrzekł. — Porozmawiamy po przyjęciu.

Steven czuł, jak rozłożysta, rudowłosa dziewczyna przytuliła się do jego ramienia, nie odrywał jednak oczu od matki, która szła ku niemu, przyjmując po drodze komplementy i gratulacje.

Niewątpliwie była piękna i pewna siebie. Czasami jednak się myliła.

Pragnął, żeby matka dostrzegła w nim to, co chciała widzieć. Mimo iż nie był tym zachwycony, pamiętał jednak, jaki los spotkał mężczyzn, którzy odważyli się jej przeciwstawić: ojca, wuja, a ostatnio Harry'ego Taylora. Zarówno w życiu prywatnym, jak i w interesach matka nie umiała wybaczać. To właśnie Steven podziwiał w niej najbardziej.

Rose była zaledwie o kilka kroków od syna, kiedy Steven odwrócił się do rudowłosej i powiedział leniwie:

— Chciałbym się z tobą pieprzyć.

Oczy dziewczyny zabłyśły. Potem na jej ustach pojawił się zuchwały uśmiech.

— Kiedy zechcesz, kochanie.

— Steven!

Rose stanęła pomiędzy synem i rudowłosą kobietą, w której rozpoznała jedną z sekretarek.

— Gotów jesteś przyjąć prezent? — drażniła się z nim. Steven roześmiał się.

— Daj spokój, mamó. Rose klasnęła w dłonie.

— Proszę wszystkich o uwagę! Chciałabym coś ogłosić. — Kiedy zapadła cisza, powiedziała: — Miło mi was poinformować, że w dniu dzisiejszym firma „Global Enterprises” wita swojego nowego, najmłodszego wiceprezesa, mojego syna, Stevena. — Rose podniosła rękę, uciszając oklaski, — Steven pojedzie wkrótce do Europy, żeby dopilnować interesów i znaleźć sposób na rozbudowę przedsiębiorstwa.

W sali rozległy się szepty. Wszyscy wiedzieli, że Harry Taylor pracował nad jakimś planem związanym z europejskimi interesami „Globalu”. Kiedy teraz spojrzeli na niego, ujrzeli mężczyznę w średnim wieku, który z pobladłą twarzą patrzył na Rose.

— Nie możesz... — powiedział ochryple Harry. Rose rzuciła okiem na Harry'ego i przerwała mu.

Wiem, że będziesz wobec Stevena równie lojalny, jak wobec mnie. Dziękuję. Wszyscy zaczęli klaskać, a kiedy zrozumieli, co się wydarzyło, oklaski stały się jeszcze głośniejsze. Harry Taylor został odsunięty w cień. Palczkę przejął młody mężczyzna, który teraz, przyglądał się chłodno publiczności. Wszyscy ruszyli ku Stevenowi, żeby złożyć mu gratulacje.

Rose nachyliła się do Stevena i zdjęła z jego kłapy różowe konfetti.

— Dobrze się bawiłeś, kochanie? — spytała, siadając z powrotem na krześle. Steven założył nogę na nogę, żeby ukryć erekcję. Dwadzieścia minut temu miał

się spotkać z rudowłosą. Na wezwanie matki udał się jednak posłusznie do jej biura.

— Cudownie. Prezent był wspaniały. Udało ci się zadziwić wszystkich.

— Wybrałam po prostu właściwy moment — zauważyła Rose. — Poza tym miałam szczęście. Nie wystarczy talent i ciężkapraca. Potrzebne jest jeszcze szczęście

Steven przypomniał sobie Harry'ego Taylora.

— A także bezwzględność, mamó.

— Zaskoczyłam cię? — spytała Rose.

— Oczywiście. Nie uprzedziłaś mnie, co zamierzasz zrobić.

— Widziałeś przecież raport Harry'ego.

— No tak, to powinno dać mi do myślenia — przyznał Steven.

— Harry wciąż pragnie walczyć z Michelle — powiedziała Rose. — Nie rozumie, że czasy się... zmieniły.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś zaniepokojona jej sukcesami? Spojrzała uważnie na syna.

Najwyraźniej starał się sprowokować ją do mówienia.

Rose się to spodobało.

— Zaniepokojona? Prawdę mówiąc, osiągnięcia Michelle nigdy mnie nie irytowały. Zrobiła to, co zrobiła, i musimy pogodzić się z rzeczywistością. Interes jest interesem.

Magiczne słowo — pomyślał Steven. — Interes. Wszystko ma swoją cenę.

— Chcesz, żebym namówił ją do zawarcia partnerskiego układu, korzystnego dla obu stron.

Rose roześmiała się, słysząc, jak syn dobiera słowa, ale kiedy odpowiedziała jej ton był poważny.

— Na każdym czeku Michelle widnieje nazwa „Globalu”. Widziałeś księgi. Nasze europejskie zyski potrożyły się w ciągu ostatnich pięciu lat. Jeśli uda ci się ją przekonać, że powinna z nami współpracować, obie strony, jak powiedziałaś, skorzystają na tym.

Przynajiesz się więc do błędu, mamo.

Steven myślał o czasach, kiedy Michelle mieszkała w Talbot House. Dokuczał jej wówczas, dręczył i straszył. Matka nie przypominała sobie tych incydentów, on jednak o nich pamiętał. Michelle z pewnością niczego nie zapomniała. To będzie interesujące spotkanie.

— Co moglibyśmy zaoferować Michelle? — zastanowił się głośno.

— Ogólnoświatową sieć transportu. Umowy z kolejami europejskimi. Tysiąc barek, pływających po europejskich rzekach, zwłaszcza Renie. — Rose przerwała. — Dwa tysiące agentów i biur, które mogłyby się zająć papierkową robotą.

— I które nie sprzedają teraz ani jednego czeku, bo ona ma własne placówki. Oczy Rose zabłyśły.

— Właśnie. Ktoś powinien jej wyjaśnić, że pomnożyłaby zyski, gdyby współpracowała z istniejącymi biurami, zamiast budować lub wynajmować nowe. Poza tym jest jeszcze kwestia komunikacji. Nie będzie musiała inwestować w telefony, telegrafy i kable, bo my je już mamy.

— Reklama—wymruczał Steven.—Mogłaby na niej zaoszczędzić całą fortunę. Rose usadowiła się wygodnie.

— Oboje wiemy, o co chodzi. Postaraj się, żeby ona również zrozumiała. Steven postukał papierosem o srebrną popielniczkę.

— A jeśli nie?

— Liczę na to, że Michelle nie będzie się sprzeciwiać. Na początku lepiej trzymaj się od mej z daleka. Porozmawiaj z jej bankierami, Rothschildem i Lazardem. To biznesmeni. Znają się na rzeczy. Niech wykonają za ciebie część roboty.

— Potrzebuję czasu na przygotowanie planu, chyba że już jakiś opracowałaś.

— Dam ci czas. Nasi ludzie w Europie od samego początku obserwowali Michelle. Udziela ci wszelkich informacji.

Za odpowiednią cenę.

— Jeśli chciałbyś zbadać jej księgi, to również da się załatwić. *Nie wątpię!*

— Natychmiast zabiorę się do pracy — powiedział Steven.

— Pamiętaj o jednym — rzekła Rose, podsuwając synowi policzek do pocałowania. — „Global” może zrobić na tym świetny interes. Jeśli odniesiesz sukces, będzie to tylko twoja zasługa.

Uwierz mi, mamo, doskonale o tym wiem!

Przyjęcie się skończyło, Rose jednak dobrze wiedziała, gdzie znajdzie Harry'ego. Na jego biurku pełno było papierów. Rękawy miał podwirdęte, tak jak zawsze, gdy pracował.

— Cześć, Rose.

Na widok tego uśmiechu i śnieżnobiałych zębów Rose miała przez chwilę wrażenie, że siedzi przed nią dawny Harry. Zaprażyła go objąć, żalując, że nigdy już nie powrócą tamte dni. Przestraszyła się tego odruchu, gdyż nie należała do kobiet, które żyją przeszłością.

— Przyszłaś rzucić mi jakiś ochłap?

— Nie bądź taki, Harry. To do ciebie nie pasuje.

— Mogłaś to inaczej załatwić. Nie musiałaś mnie poniżać.

— Nie pogodziłbyś się z tym. Byłeś ślepy, Harry. Twój raport przesłonił ci rzeczywistość.

Kłóciłbyś się ze mną w dzień i w nocy. To dopiero byłoby naprawdę poniżające.

Harry usadowił się wygodnie, uderzając gumką ołówka o zęby.

— Trudno mi uwierzyć, że tak łatwo się poddałaś. Rose spojrzała na niego ostro.

— Okoliczności się zmieniły. Albo o tym nie wiedziałaś, albo postanowiłaś zignorować fakty.

— Masz na myśli nasze europejskie zyski.

— Między innymi.

— To jałmużna w porównaniu z tym, co zarobiliibyśmy po wprowadzeniu nowego instrumentu finansowego i zepchnięciu Michelle do obrony.

— Nie, Harry. To moje ostatnie słowo. Pogódź się z tym. Zapadła cisza.

— Czy chcesz, żebym pomógł Stevenowi? — spytał Harry. — Jeżeli chodzi o Michelle, jestem przecież ekspertem.

Rose uśmiechnęła się lekko.

— Nie sądzę.

— Tak myślałem. Pozostaje więc tylko jedno pytanie. Co mam teraz robić?

— Sądzę, że pozostaniesz na stanowisku prezesa „Globalu” w Ameryce Północnej. Harry patrzył na nią i przypominał sobie dawne czasy. Nie myślał jednak o chwilach spędzonych z Rose.

Wspominał Londyn, miasto, w którym tak zmyślnie

i gładko zadał cios Franklinowi Jeffersonowi. Pamiętał sir Thomasa Ballantine'a, zasuszonego

starszaka w ciemnym pokoju. Przez te wszystkie lata Harry ani razu nie skontaktował się z

prezesem Cooków. Wiedział jednak, że sir Thomas wciąż żyje. i nadal kieruje ogromną brytyjską

spółką turystyczną. Być może nadszedł czas, żeby przypomnieć mu o jego obietnicy.

— Zostać—powtórzył Harry. — W tych okolicznościach nie oczekujesz chyba natychmiastowej

odpowiedzi.

-- Oczywiście, że nie. Proszę cię jednak, nie podejmuj pochopnych decyzji. Harry roześmiał się, ale nie mógł ukryć goryczy. Dziękuję, Rose. Wezmę to pod uwagę.

Wiosną 1931 roku Steven Talbot popłynął do Europy na statku „Queen Mary”. Przez kilka miesięcy po przyjęciu urodzinowym badał europejskie operacje Michelle. Rose dotrzymała obietnicy i dostarczyła Stevenowi najświeższe dane. Wkrótce zrozumiał, jak ogromne zadanie go czeka. Michelle nie tylko sprzedawała każdego dnia czeki podróżne za sumę paru milionów dolarów, ale rozbudowała przedsiębiorstwo. Włosi podróżujący do Hiszpanii, biznesmeni jadący z Francji do Grecji, duńscy studenci, którzy spędzali wakacje w Portugalii — wszyscy kupowali czeki „Globalu”.

Steven rozpoczął dochodzenie w Paryżu. Natychmiast wezwał do siebie agentów „Globalu”, dla których jego przyjazd był prawdziwym szokiem. Kiedy Steven dostrzegł ich zdenerwowanie, przejrzał dokładnie księgi rachunkowe. Wkrótce wysłał depeszę do Rose, w której informował, że co miesiąc paryscy agenci przywłaszczają sobie co najmniej piętnaście procent dochodów firmy. Rose nakazała ścigać złodziei, ale zanim nadeszła jej odpowiedź, Steven sam podjął decyzję. Zagroził winnym więzieniem, obiecał jednak, że jeśli będą go słuchać, nic im się nie stanie. Od tej pory francuscy pracownicy „Globalu” nie oglądali się już na Nowy Jork. Słuchali tylko Stevena. Steven uznał, że może wykorzystać agentów „Globalu” jeszcze w inny sposób. Przez wiele dni obserwował główne biuro Michelle na rue de Berri i był zdumiony, widząc, ilu ludzi do niego przychodzi. Nie dowiedział się jednak niczego nowego. Doszedł wówczas do wniosku, że musi porozmawiać z personelem Michelle. Steven wiedział, że nie nadaje się do tego zadania. Nigdy nie układały mu się stosunki z pracownikami, a poza tym nie znał francuskiego. Bał się również, że Michelle to odkryje. W tej sytuacji polecił kilku agentom „Globalu”, żeby zaprzyjaźnili się z pracownikami z rue de Berri. Chciał się dowiedzieć, czy lubią pracować dla Michelle, ile zarabiają, o czym plotkują w biurze — potrzebował wszystkiego, co mogło się przydać. Z apartamentu w „Meurice” Steven wysłał zaproszenia do bankierów i polityków, z którymi „Global” robił interesy. Gościł ich w najlepszych restauracjach, poił szampanem i wraz z nimi podziwiał urodę młodych dziewcząt. Wszyscy wychwalali jednak Michelle.

— Ona stała się symbolem, monsieur—powiedział wylewnie jeden z ministrów. — Madame McQueen to idealna Francuzka: jest piękna, inteligentna, odnosi sukcesy. Przypomina Coco Chanel albo waszą mademoiselle Earhart. Oprócz tego jest oczywiście francuską bohaterką. Wkrótce zrobicie z niej następną Joannę d'Arc! — pomyślał Steven.

Raporty agentów „Globalu” nie były lepsze. Ludzie Michelle pracowali ciężko, ale nie narzekali. Po raz pierwszy w tym kraju Michelle przyznawała pracownikom udział w zyskach firmy i premie za wysoką sprzedaż. Steven doszedł do wniosku, że żadna siła nie zdoła osłabić pozycji Michelle we Francji.

Dlaczego o mnie wypytuje?

To pytanie nie dawało Michelle spokoju. Kiedy dowiedziała się, że Steven jest w Paryżu, wciąż stawało jej przed oczami okrutne, milczące dziecko z Talbot House. Pamiętała, z jaką bezwzględnością poniżał ją i dręczył. Dopiero po kilku latach udało jej się zapomnieć o tym koszmarze. Teraz bez żadnej wcześniejszej zapowiedzi przybył do Paryża. Michelle nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

W końcu zdecydowała się porozmawiać o tym z Emilem Rothschildem. Steven odwiedził go, spotkał się jednak z lodowatym przyjęciem.

— Wiem, co możesz zrobić—powiedział bankier po wysłuchaniu przyjaciółki. — Oto nazwisko prywatnego detektywa, z którego usług czasem korzystam. Jest ustosunkowany i dyskretny. Jeśli chcesz wiedzieć, co robi Talbot, to znalazłaś odpowiedniego człowieka.

Następnego dnia Michelle spotkała się z detektywem — spokojnym, nie rzucającym się w oczy człowiekiem o wyglądzie urzędnika. Zgodził się przyjąć zlecenie i wydał Michelle instrukcje.

— Proszę pokazać wszystkim pracownikom zdjęcie tego człowieka. Jeśli zauważą go w którymś z biur, niech zadzwonią do mnie natychmiast.

Tydzień później Michelle otrzymała pierwszy raport. Rzeczywiście, Steven odwiedzał placówki sprzedające czek podróżne. Z informacji, które zdobył detektyw wynikało, że Steven zachowywał się jak zwykły amerykański turysta^ który wymienia na franki przekazy pieniężne „Globalu”. Nie zadawał żadnych pytań, nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Podsyciło to tylko podejrzenia Michelle.

Wkrótce Michelle dowiedziała się, że Steven spędza wiele czasu z agentami „Globalu” i chodzi na przyjęcia z finansistami i członkami rządu. W tej sytuacji znów spotkała się z Emilem Romschildem, który obiecał, że posłucha, co mówi się w tych kręgach.

Michelle zastanawiała się, czy nie powinna spotkać się ze Stevenem. Niewykluczone, że tylko w ten sposób mogła uzyskać odpowiedź na swoje pytania. Jednakże za każdym razem opuszczała ją odwaga. Na samą myśl o spotkaniu czuła strach.

— On wyjechał, madame.

— Co takiego? Jest pan pewien?

— Monsieur Talbot wyprowadził się z „Meurice” dziś rano o jedenastej — poinformował ją detektyw, zaglądając do notatek. — Udał się bezpośrednio na dworzec kolejowy, gdzie wsiadł w pociąg do Amsterdamu. Poczekalem, aż pociąg odjedzie. Nie wysiadł.

Michelle poczuła ulgę.

— Ale dlaczego...? Detektyw wzruszył ramionami.

— Możemy bezpiecznie przyjąć, że monsieur Talbot osiągnął już w Paryżu to, co chciał, i nie miał powodu, by zostać dłużej.

Po co on tu przyjechał?

Po wyjściu detektywa Michelle zastanawiała się nad tym pytaniem. Spojrzała na plan podróży Stevena, który udało się zdobyć detektywowi, i postanowiła zaalarmować swoje biura w innych europejskich stolicach. Miała przeczucie, że pewnego dnia ich ścieżki znów się skrzyżują. Chciała być na to przygotowana.

— *Maman!*

Odwróciła się, słysząc, że Cassandra wpada do pokoju. Dziewczynka wyglądała jak młody żrebak, Michelle widziała jednak, że w tym szkolnym mundurku chodzi przyszła prawdziwa piękność. Błękitne oczy Cassandry błyszczały z podniecenia, kiedy objęła matkę.

— Wiesz, co się stało, *maman*?! — krzyknęła. — Siostra Agnes powiedziała, że pojedziemy do St. Paul-de-Vence i obejrzymy wystawę impresjonistów.

— Cudownie, *chérie*— odrzekła Michelle, śmiejąc się z podekscytowania córki. Nie mogłaby mieć bardziej udanego dziecka. Dziesięcioletnia Cassandra władała już czterema językami. Uwielbiała literaturę i sztukę, chętnie uprawiała sport. Zakonnice twierdziły, że cieszyła się w szkole dużą popularnością. Inne dziewczynki uznawały jej zdolności przywódcze. Michelle tak bardzo cieszyła się córką, że czasami nie potrafiła poradzić sobie z poczuciem winy.

Kiedy Cassandra skończyła pięć lat, zaczęła wypytywać o ojca. Michelle była na to przygotowana. Pokazała córce zdjęcia Franklina i wyjaśniła, że ojciec był wspaniałym człowiekiem, który zginął na wojnie. Opowiedziała, gdzie urodził się i dorastał Franklin; mówiła również o jego siostrze. Michelle rozplakała się na widok zdjęcia, na którym byli Franklin i Monk.

— Nie płacz, *maman* — pocieszyła ją Cassandra. — Tata jest teraz z aniołami. Mijały lata.

Cassandra nie wspominała o Franklinie. Nawet kiedy Monk krzyczał na nią, nigdy nie odpowiadała, że nie jest jej prawdziwym ojcem. Kochała Monka całym sercem, a ta miłość wzbogacała ich oboje.

— Może pojedę z wami do St. Paul-de-Vence — powiedziała Michelle. Cassandra skrzywiła się.

— *Maman*, to przecież wycieczka szkolna. Potrafię sama zadbać o siebie. Cóż za niewinna pewność siebie — pomyślała Michelle. Wzięła Cassandrę w ramiona.

— Masz zupełną słuszność. Jesteś teraz młodą damą i na pewno będziesz umiała odpowiednio się zachować.

Michelle zadrżała, patrząc, jak córka wychodzi z pokoju. Nagle była bardzo zadowolona, że Steven Talbot wyjechał bez słowa.

Steven szybko przekonał się, że w innych europejskich stolicach „Global” radzi sobie tak samo jak w Paryżu. Personel spółki nie pracował zbyt pilnie i nie dbał o reputację przedsiębiorstwa.

Pracownicy Michelle mieli natomiast poczucie własnej wartości. Cieszyli się pełnym zaufaniem pracodawcy. W Kopenhadze, Madrycie, Amsterdamie i Rzymie to na nich spoczywał cały ciężar prowadzenia bieżących

operacji. Kiedy Steven pisał raporty dla matM, zastanawiał się, czy przełamanie monopolu Michelle jest w ogóle możliwe. Ta kobieta wszędzie odnosiła sukcesy. Steven spodziewał się, że tak samo będzie w Berlinie.

Wyczuł pewną zmianę, kiedy tylko pociąg z Paryża zatrzymał się w Munster, na granicy niemieckiej. W czasie podróży Steven wszędzie zauważał symptomy duchowego bezwładu. Europa, podobnie jak Ameryka, znalazła się w szponach kryzysu. Pomiedzy bogaczami a biedakami istniała ogromna przepaść. We Francji, Włoszech, Niderlandach i Skandynawii ludzie chodzili smutni i zrezygnowani.

Steven przypuszczał, że Niemcy są zupełnie spustoszone. Szybko zorientował się, że w kraju panuje bieda i szaleje ogromna inflacja. Nie wierzył własnym oczom, kiedy po raz pierwszy ujrzał dobrze ubraną młodą kobietę z taczkami pełnymi banknotów. Z ciekawości poszedł za nią do piekarni i patrzył, jak starannie ułożyła pieniądze na kontuarze i otrzymała w zamian dwa bochenki chleba. Piekarz policzył banknoty, a kobieta pomacała chleb, sprawdzając, czy jest świeży. Potem pożegnali się i kobieta wyszła.

Stevena uderzyła nie tyle śmieszność tej transakcji, co powaga, z jaką została przeprowadzona. Półki w piekarni były prawie puste, a jednak piekarz trzymał dwa bochenki, jak gdyby sprzedawał naprawdę znakomity towar. Kobieta dokładnie oglądała chleb, jak gdyby miała jakiś wybór. Oboje na pewno wiedzieli, że to tylko gra, duma nie pozwalała im jednak przyznać się do tego. Steven zapamiętał sobie tę chwilę. Setki razy widział podobne sceny na ulicach Berlina, a jego podziw i szacunek dla Niemców stale wzrastały. niesprawiedliwe odszkodowania wojenne rujnowały gospodarke tego kraju, jednakże mieszkańcy nie upadali na duchu. Ci pariasi Europy stawili czoło wrogim sąsiadom, nie spodziewając się ani pomocy, ani litości.

Nigdy nie przyjęliby litości — pomyślał Steven, jedząc obiad w małej, eleganckiej restauracji na Kurfurstendamm. — Potrzebują jednak pomocy

— Herr Talbot?

Steven spojrział na młodego mężczyznę, stojącego przed jego stolikiem.

— Tak?

— Proszę wybaczyć, *mein Herr*, że przeszkadzam w obiedzie. Nazywam się Kurt Essenheimer. Jedna z naszych spółek pracuje dla „Globalu”. Chciałem złożyć panu uszanowanie i powitać pana w Berlinie.

Steven ocenił, że Essenheimer ma mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Był wysokim blondynem o chudej twarzy i wodnistych oczach polarnego wilka.

— Może się pan do mnie przyłączy?

— Ach, Herr Talbot, to bardzo miłe z pana strony. Czekam jednak na przyjaciół.

— W takim razie niech pan przyniesie tu swojego drinka. Chyba że nie chce pan leraz rozmawiać o interesach.

— Nie mam nic przeciwko temu, panie Talbot.

Essenheimer strzelił palcami i natychmiast pojawił się kelner, niosąc duży kieliszek ginu.

— Gin — oświadczył Essenheimer. — Jedyne angielski wynalazek, który przyczynił się do szczęścia ludzkości. *Prosit!*

Steven podniósł kieliszek, przyglądając się Essenheimerowi. Kiedy Niemiec mu się przedstawił, przypomniał sobie to nazwisko. Essenheimerowie byli jedną z największych przemysłowych rodzin w Niemczech, rywalizującą z Kruppami. Steven pamiętał, że byli właścicielami różnych zakładów przemysłowych — kopalni węgla kamiennego i hut. Zajmowali się również transportem i z tego względu zaczęli współpracować z „Globalem”. Steven przebywał w Berlinie dopiero trzy dni, a jednak z jakiegoś powodu Essenheimer już zdążył go odnaleźć. Był tym zaintrygowany.

— Rozumiem, że przeprowadza pan inspekcję waszych placówek w Europie

— powiedział Essenheimer.

— Wieści szybko się tu rozchodzą. Essenheimer wybuchnął śmiechem.

— Herr Talbot, w porównaniu z Ameryką Europa jest bardzo mała. Szybko docierają do nas informacje z Paryża. Obracamy się przecież w tych samych kręgach.

— Pochlebia mi pan — odrzekł Steven. — Z drugiej strony, biorąc pod uwagę liczne interesy, prowadzone przez firmę „Essenheimer A.G.”, dziwię się, że w ogóle o nas pamiętacie.

— To prawda, że w obecnej chwili nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego

— odrzekł Essenheimer. — Jeśli jednak dojdziemy do porozumienia, to może rozszerzymy współpracę.

— Niewykluczone.

- Zgodził się pan na rozmowę o interesach—rzekł Essenheimer.—Oczywiście niczego ze sobą nie przyniosłem, bo nie wiedziałem, że się spotkamy. Przeglądałem jednak ostatnio kwartalny raport dotyczący naszej współpracy. Jeśli jest pan tym zainteresowany, to pamiętam cyfry.

Kelner przyniósł Stevenowi porcję gotowanego szczupaka.

— Chciałbym je usłyszeć.

Młody Niemiec robił na Stevenie coraz większe wrażenie. Essenheimer mówił swobodnie, ale zdecydowanie. Przytaczał taryfy, tonaż, obroty, wydatki i zyski. Steven starał się nie okazywać zdziwienia, zastanawiał się jednak, jak to możliwe, że ten zniszczony kraj przynosi „Globalowi” więcej pieniędzy niż Francja i Włochy razem wzięte.

— Jestem pod wrażeniem — powiedział Steven, kiedy kelner sprzątnął ze stołu. Essenheimer wzruszył ramionami.

— Poradziliśmy sobie całkiem nieźle. Moglibyśmy się jednak zająć wieloma innymi rzeczami. Steven poczęstował go cygarem.

— Niech pan to wyjaśni.

Z przyjemnością.

Essenheimer wspomniał, że niemiecka sieć kolejowa i autostrady uległy poważnym zniszczeniom w czasie wojny.

— Oczywiście trwa odbudowa kraju, ale dużo jeszcze zostało do zrobienia. Inflacja bardzo utrudnia prowadzenie interesów. Potrzebujemy ludzi śmiało patrzących w przyszłość, którzy byliby gotowi inwestować w Niemczech. Rzecz jasna, udzielimy im odpowiednich gwarancji. Jest jednak coś jeszcze. Jak pan wie, Niemcy posiadają ogromne bogactwa naturalne: węgiel, rudy żelaza, drewno. Jeśli chodzi o inne surowce, jesteśmy uzależnieni od dostaw z zewnątrz. Brak nam kauczuku, boksytów, diamentów przemysłowych, a przede wszystkim ropy naftowej. Po wojnie straciliśmy niemal wszystkie kolonie, nie mamy marynarki handlowej i nie możemy budować okrętów, bo zabrania nam tego traktat wersalski. W tej sytuacji istnieje tylko jedno rozwiązanie. Niemcy potrzebują pośrednika, który zdobędzie wszystko, czego im potrzeba, i zagwarantuje dostawę.

Essenheimer spojrział uważnie na Stevena.

— Na tym właśnie mogłaby polegać nasza współpraca.

Steven obracał w rękach kieliszek i patrzył, jak brandy pozostawia na nim ciemne smugi. Domyślił się, że Niemiec starannie wyreżyserował to spotkanie — rzekomy przypadek, temat rozmowy, wszystkie szczegóły. Miał wrażenie, że pozostaje trzy kroki w tyle za Kurtem Essenheimerem i wcale mu się to nie podobało.

— Jeśli uważacie „Global” za odpowiedniego partnera, to czemu nie skontaktowaliście się z nami wcześniej?

— Nasza sytuacja jest bardzo delikatna, Herr Talbot — odrzekł Essenheimer.

— Po pierwsze, jesteśmy teraz w okresie przejściowym. Feldmarszałek von Hindenburg się starzeje. Bez wątplenia, po następnych wyborach na czele Niemiec stanie nowy kanclerz. Po drugie, „Essenheimer A.G.” nie ma żadnych kontaktów w Nowym Jorku. Jest pan pierwszą osobą, która złożyła nam wizytę, od kiedy pańska matka przed wojną nawiązała stosunki handlowe z Niemcami. Po trzecie i najważniejsze, pozostaje kwestia Frau McQueen.

— Michelle? Essenheimer skinął głową.

— Pozwoli pan, że będę mówił szczerze. Pańska matka jest niezwykłą kobietą. Popelniła jednak błąd, wystawiając na szwank przyszłość firmy w Europie. Potem odwróciła się od nas i oddała wszystko pani McQueen. W ten sposób dodała drugi błąd do pierwszego.

— Jak to? — zapytał zimno Steven.

— Tacy ludzie jak ja nie będą robili interesów z Frau McQueen, a jednak to właśnie ona reprezentuje „Global”.

— Dziwię się, że nie zwróciliście się do Michelle i nie zaproponowaliście jej współpracy. Interes to interes.

— Frau McQueen odniosła w Niemczech spory sukces — zgodził się Essenheimer.

— Posunięcie, o którym pan wspomniał, byłoby naturalne. Frau McQueen nie chce jednak robić w Niemczech dużych interesów. Ma tu na przykład tylko trzy biura:

jedno w Berlinie, a pozostałe w Monachium i we Frankfurcie. Jednakże czeki podróżne są w Niemczech cenne jak złoto. Każdego dnia ludzie stoją po nie w kolejkach. Jeśli nie udaje im się załatwić sprawy, zapisują się na następny dzień. Frau McQueen mogłaby otworzyć w Niemczech jeszcze kilkanaście biur i zarabiać trzy razy więcej niż teraz.

Steven udawał obojętność, chociaż wiedział, że w ten sposób Michelle pozbawia Nowy Jork dużych zysków.

— Na czym polega problem?

— Frau McQueen związała się blisko ze społecznością żydowską—powiedział Essenheimer. — Współpracuje z Warburgiem. Zatrudniła żydowskich adwokatów, księgowych i doradców. To oni wpływają na jej decyzje. To przez nich Frau McQueen nie zauważa, co naprawdę dzieje się w Niemczech. W rezultacie, doszliśmy do wniosku, że nie możemy robić interesów z panią McQueen.

— Rozumiem — odparł niezobowiązująco Steven. Essenheimer uśmiechnął się.

— Fakty są jednak takie, że wkrótce w tym kraju zapanuje nowy porządek i Frau McQueen będzie musiała liczyć się z Niemcami. W przeciwnym razie czekają ją przykre niespodzianki.

O czym on, do diabła, mówi? — zastanawiał się Steven.

Nie wątpił, że pozycja Michelle w Europie jest bardzo silna. Nie udało mu się odkryć niczego, co zmusiłoby rywalkę do podjęcia negocjacji. Przekonał się na własne oczy, jak wiele Rose jej oddała. Teraz Essenheimer sugerował, że Michelle można było jakoś podejść.

— Mówi pan o nowym porządku, nowym kanclerzu — powiedział Steven. — Co pan ma na myśli?

— Właśnie to, Herr Talbot — odrzekł Essenheimer rozglądając się.

Steven spojrział w tym samym kierunku i zobaczył, jak szef sali i kelnerki witają grupę gości.

— Czy chciałby pan poznać człowieka, który jest przyszłością Niemiec?

— Kto to taki?

— Wkrótce to nazwisko będzie na ustach wszystkich. Adolf Hitler.

Steven sądził, że Berlin będzie tylko jednym z przystanków w drodze do Paryża. Jednakże po tym pierwszym wieczorze został jeszcze dwa miesiące. W tym czasie gruntownie zmienił poglądy na świat.

Był oczarowany Hitlerem. Przenikliwe spojrzenie tego mężczyzny robiło na nim ogromne wrażenie. Czuł, że przebywa w obecności kogoś naprawdę wielkiego. Hitler słuchał uważnie, jak Essenheimer wyjaśnia, kim jest Steven. Wkrótce również inni, Goebbels, Bormann, Himmler, zaczęli zadawać Stevenowi pytania. Steven nie mówił po niemiecku, Essenheimer pełnił więc rolę tłumacza.

Bardzo interesowała ich Ameryka. Chcieli wiedzieć, jak kryzys wpłynął na kraj,

czy Roosevelt w dalszym ciągu cieszy się dużą popularnością. Zadawali mnóstwo pytań dotyczących „Globalu”. Szczególne wrażenie zrobiła na nich informacja o flocie, którą zbudowała jego matka w ostatnim dziesięcioleciu. Od ogólników przeszli do szczegółów. Interesowało ich, jakie ładunki przewoził „Global”, do kogo, skąd i po jakiej cenie. Jaki jest tonaż statków firmy? Jak radzą sobie z celnikami w rozmaitych krajach? Steven odpowiadał najlepiej jak umiał. Jeśli nie znał jakichś faktów lub cyfr, chętnie to przyznawał, dodając, że bez problemu może uzyskać wszystkie informacje. Często spoglądał na Hitlera, lecz mężczyzna, który był najwyraźniej *primus inter pares*, patrzył tylko na niego w milczeniu.

Kiedy temat został wyczerpany, Steven rozejrzał się i stwierdził, że w restauracji poza nimi nie było nikogo. Kelnerzy zniknęli, z kuchni nie dobiegały żadne dźwięki. Nagle Hitler wstał. Wymienił z Essenheimerem uścisk dłoni, poklepał go po ramieniu i wymruczał mu coś do ucha. Potem ujął w obie dłonie rękę Stevena i strzelił obcasami. Jeden po drugim goście zaczęli znikać w mroku.

— Wywarł pan na wszystkich dobre wrażenie, Herr Talbot — powiedział Essenheimer, idąc do baru po butelkę brandy. — Bardzo dobre wrażenie.

— To niesamowity człowiek — wyszeptał Steven, pijąc brandy. — Jest w nim jakiś magnetyzm... Nie umiem tego wyjaśnić.

Essenheimer pochylił się ku niemu.

— Herr Talbot, Hitler to ktoś wyjątkowy. Niektórzy twierdzą, że potrafi zajrzeć człowiekowi w duszę. Może to tylko poetycka przenośnia, aleja w to wierzę. Wydaje mi się, że pan również w to wierzy.

Steven skinął głową,

— Spodobał się pan Hitlerowi — mówił Essenheimer. — Od tej pory może się pan bez przeszkód kontaktować z każdym członkiem partii narodowosocjalistycznej. Natychmiast otrzyma pan odpowiedź na każde pytanie. Wszystkie środki, jakie mamy, są do pana dyspozycji.

— Partia narodowosocjalistyczna? Nigdy o niej nie słyszałem. Essenheimer roześmiał się i poklepał Stevena po plecach.

— Usłyszysz pan, przyjacielu. Pewnego dnia cały świat o niej usłyszy.

Następnego dnia Essenheimer przyjechał po Stevena do hotelu. Przy obiedzie w bawarskiej restauracji, po wypiciu bruderszaftu, wyjaśnił główne idee partii nazistowskiej i opowiedział o jej historii. Kiedy skończył, Steven był jeszcze bardziej niż przedtem zafascynowany Hitlerem. Ten człowiek odniósł poważną ranę, przybył do kraju, gdzie wszyscy z niego kpili, prześladowali i wtrącili do więzienia, a mimo to osiągnął taką władzę!

— To dopiero początek, Stevenie — zapewnił go Essenheimer. — Sam osądź. Wydawało się, że Essenheimer zna wszystkich w Berlinie. Steven brał udział w polowaniu z ludźmi, którzy zajmowali się odbudową niemieckiego przemysłu ciężkiego, i jeździł konno z generałami, mówiącymi o nowej wojskowej potędze,

która pozwoli zapomnieć o hańbie traktatu wersalskiego. Jadł obiad z bankierami, którzy wyjaśniali, dlaczego wkrótce w Niemczech nastąpi ożywienie gospodarcze, i odwiedził nazistowską kwaterę główną w Monachium jako honorowy gość, polecony przez samego Hitlera. To nie obcowanie z bogaczami i wpływowymi politykami oszołomiło Stevena. Przyzwyczał się do tego w Talbot House. W Niemczech miał wrażenie, że spotyka wreszcie ludzi, którzy umieją wyrazić jego uczucia. Doskonale rozumiał ideę rasy panów, opisaną w *Mein Kampf*. Na każdym kroku dostrzegał zjawiska potwierdzające te przekonania. Zrozpaczeni ludzie bez pracy, zwykli mężczyźni i kobiety, widzieli w Hitlerze ostatnią nadzieję. Zdradzeni przez kajzera i polityków Republiki Weimarskiej, garnęli się do człowieka, który mógł przywrócić im honor i godność.

Dzięki Hitlerowi i partii nazistowskiej Steven będzie mógł stworzyć własne, tajne imperium, niezależne od „Globalu”. Nie miał złudzeń co do Rose. Matka była silna i energiczna. Na pewno rzuci synowi kilka okruczeństw i dojdzie do wniosku, że to mu powinno wystarczyć. Póki będzie żyła, nie wypuści firmy z rąk. Steven pamiętał o ojcu i przyrzekł sobie, że nigdy nie podporządkuje się Rose.

Zanim jednak zacznie walczyć z matką, musi załatwić pewną sprawę. Steven nie wątpił, że nowi przyjaciele chętnie mu w tym pomogą.

Steven i Kurt Essenhaimer stali się nierozłączni. W eleganckich willach zażywali morfinę i opium, podawane zamiast deseru przez panie z wyższych sfer. Potem jeździli do wziętych kabaretów i nocnych klubów, w których wisielczy humor był w dobrym tonie. Pod wpływem Kurta Steven odrzucił wszelkie zahamowania w domach publicznych. Poznał, jaką przyjemność daje krępowanie kobiety i upajanie się jej bezradnością. Dwie Murzynki były przez tydzień jego niewolnicami. Pewnego razu w czasie orgii ujrzał ze zdumieniem, jak Kurt zabawia się jednocześnie z młodą dziewczyną i chłopcem. Kurt powiedział mu później:

— Stevenie, drogi przyjacielu, ja nikogo nie dyskryminuję!

Ta szaleńcza zabawa mogłaby trwać w nieskończoność, Steven wiedział jednak, że wkrótce nastąpi przełom.

— Stevenie, musimy ułożyć plany — powiedział pewnego ranka Essenhaimer. - Powinniśmy zastanowić się nad moją, twoją... naszą przyszłością.

Siedzieli w oranżerii, w willi wynajętej przez Stevena, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów.

— Zdążyłeś już nas poznać — rzekł Essenhaimer, kładąc rękę na poręczy krzesła. — Co o tym wszystkim myślisz?

Steven spojrzał mu prosto w oczy.

— Sądzę, że możemy współpracować. Nasze dyskusje uprzytomniły mi jedno: niemiecki przemysł potrzebuje surowców. „Global” posiada statki, jest więc w stanie zagwarantować dostawę. Trzeba by jednak założyć w całej Europie sieć fikcyjnych korporacji, które realizowałyby dostawy i płaciły za nie.

— Dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, Michelle nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć. Jest Francuzką. Nienawidzi Niemców. Jeśli pozna nasze plany, zrobi wszystko, by nam przeszkodzić. Kurt skinął głową.

— A drugi powód?

— Nie mogę zagwarantować, że uzyskamy poparcie mojej matki. Kurt gwizdnął przez zęby.

— Mimo to chciałbyś działać na własną rękę.

— Tak—odrzekł Steven. — Chcesz pewnie zapytać, czy dysponuję cxiowiednimi środkami. Możesz na to liczyć. — Przerwał. — Musimy jednak rozwiązać kilka problemów. —Wyjaśnił, dlaczego Rose Jefferson wysłała go do Europy.—Opowiem jej, co ustaliłem i podam cyfry. „Global” tak bardzo pozostał w tyle za Michelle, że w negocjacjach bylibyśmy słabszą stroną. Matka nie zechce się z tym pogodzić. Wtedy zaproponuję rozwiązanie: mogę przecież zbudować prężną firmę „Global Europe”, tak jak to przedtem zrobiła Michelle. Kiedy odniosę sukces, porozmawiamy z Michelle na równych prawach.

— Nie zamierzasz chyba z nią negocjować! — zaproponował Kurt.

— Naturalnie, że nie — odrzekł niecierpliwie Steven.—Matka nie musi jednak o tym wiedzieć. Kurt Essenhimer zaczął doceniać pomysł Amerykanina. Ten śmiały plan miał szanse powodzenia. Essenhimer nie był jednak głupcem. Niemcy muszą jakoś zapłacić Stevenowi.

— Stevenie, nie chciałbym cię urazić ani kwestionować twojej wiary w narodowy socjalizm — powiedział ostrożnie. — Twoja oferta jest dla nas bardzo cenna. Na pewno moglibyśmy jako przyjaciele zaproponować coś w zamian.

— Oczywiście, Kurt — odrzekł uprzejmie Steven. — Możecie mi pomóc zniszczyć Michelle. Kurt Essenhimer nie wierzył własnym uszom. Aż do tej pory był przekonany, że trzyma wszystkie karty w ręku. Teraz przekonał się, że ten Amerykanin wie dokładnie, czego chce.

— Nie jestem pewien, o co ci chodzi — powiedział ostrożnie Essenhimer.

— Sądzę, że wiesz — odrzekł Steven. — Michelle zagarnęła coś, co było moją własnością. Chcę to odzyskać. Nasza współpraca powinna mi ułatwić osiągnięcie celu. Tak jak mówiłeś, Kurt, Niemcy stają się coraz potężniejsze. Jeśli ktoś nie jest z nimi, wystąpi w końcu przeciwko nim. Nie ma wątpliwości, po której stronie opowie się Michelle. Kiedy narodowy socjalizm urośnie w siłę, niektóre firmy, zapewne żydowskie, zostaną zamknięte. Proponuję, żebyście dodali do tej listy biura „Globalu” sprzedające czeki podróżne. Oczywiście państwo nie zechce utracić tak dobrego podatnika, dlatego przekaże te placówki... nie komu innemu, jak firmie „Global Europe”. Wraz ze wzrostem potęgi Niemiec sytuacja Michelle będzie coraz

trudniejsza. W końcu wszystkie jej biura wpadną, jedno po drugim, w moje ręce. Kiedy stanę się naprawdę silny, otworzą się przed nami wspaniałe perspektywy.

— Rozumiem, że to się może udać w Niemczech — przyznał Kurt. — Jeśli jednak chodzi o resztę Europy...

— Kurt, Kurt — zbeształ go Steven. — Hider zawarł już porozumienie z Mussolinim, z Włochami nie będzie więc kłopotów. Franco jest naturalnym sprzymierzeńcem, co oddaje mi Hiszpanię. Wojna załatwi resztę.

— Wojna... jaka wojna?

— Powinieneś uważniej przeczytać *Mein Kampf* — rzekł chłodno Steven. — Czy naprawdę sądzisz, że Hitlerowi chodzi tylko o władzę w Niemczech?

Kurt Essenheimer pojął, że ten na pozór niewinny, niedoświadczony Amerykanin jest o wiele groźniejszy, niż sądził.

— Stevenie — powiedział pojednawczo. — Zapewniam cię, że możemy rozwiązać wszystkie problemy. Przysięgam, że sukcesy Niemiec przyniosą ci korzyści.

Steven wezwał służącego i kazał mu przynieść szampana.

— Przygotowałem butelkę, gdyż spodziewałem się, że będziemy mieli co świętować.

Obaj mężczyźni wzniesli toast.

— A przy okazji — powiedział Kurt, jak gdyby przypomniał sobie właśnie jakiś nieważny szczegół. — Parę dni temu przyszła z Londynu wiadomość, która mogłaby cię zainteresować.

— Naprawdę?

— Czy znasz niejakiego Harry'ego Taylora? Zdaje się, że jest waszym prezesem do spraw Ameryki Północnej.

— Harry należy już do przeszłości — odrzekł Steven. — Jego kariera się skończyła.

— Cieszę się, że to słyszę. Kiedy twój nieżyjący wuj, Franklin Jefferson, starał się zawrzeć umowę z bankami brytyjskimi, pan Taylor zdradził jego zamiary sir Thomasowi Ballantine'owi od Cooków.

— Powiedz mi coś więcej — powiedział cicho Steven.

Kurt Essenheimer streścił raport przysłany przez informatorów. Przedtem miał zamiar wykorzystać tę wiadomość jako kartę atutową. Teraz doszedł do wniosku, że najważniejsze jest zdobycie zaufania Stevena Talbota.

— Widzę, że nie jesteś zdziwiony — zauważył Essenheimer, kiedy skończył. — Wiedziałeś więc o wszystkim albo przynajmniej podejrzewałeś.

Steven zawahał się. Wiadomość go oszołomiła. Czy to możliwe, że Franklin poniósł klęskę, ponieważ został zdradzony? Jeśli tak, to Harry wspaniale zatarł za sobą ślady. W przeciwnym razie Rose Jefferson zażądałaby jego głowy.

Och, mamo, jakże byłaś głupia!

— Nie, nic nie wiedziałem — odparł. — Czy to pewna informacja?

— Absolutnie. Inaczej nie wspominałbym o tym.

— Czy mógłbyś zdobyć dowody?

Spróbuję. Dla przyjaciół wszystko, Stevenie.

Na Lower Broadway wiał chłodny marcowy wiatr. Długa mroźna zima 1931 /32 roku jeszcze się nie skończyła. Bezdomni koczowali wokół ognisk, a finansiści na próżno wypatrywali światełka w mroku wielkiego kryzysu. Rose Jefferson należała do tych, którzy nie stracili nadziei.

W wieku czterdziestu jeden lat Rose kierowała gałęzią przemysłu, która nie tylko nie podupadła, ale nawet pomnożyła zyski w czasie kryzysu. Wciąż trzeba było przecież przewozić towary, a po bankructwach banków wielu przestraszonych Amerykanów uważało przekaz pieniężny za bezpieczną formę oszczędzania. Każdego dnia ogromne sumy napływały do biur „Globalu” w całej Ameryce.

W przeciwieństwie do wielu innych przedsiębiorstw, „Global” nie chwalił się działalnością dobroczynną. Niewielu z czterech milionów bezrobotnych wiedziało, że Rose walczyła ze wszystkich sił przeciwko ustawie, podnoszącej do niebotycznego poziomu cła importowe. Mówiła też przy każdej okazji, że jeśli handel upadnie, ucierpi na tym przemysł, co z kolei doprowadzi do wzrostu bezrobocia.

Kiedy prezydent podpisał ustawę, Rose obrała inną strategię. Dzięki pochlebstwom i namowom udało jej się doprowadzić do tego, że państwo zainwestowało dwieście trzydzieści milionów dolarów w budownictwo i trzysta milionów w budowę dróg. Kiedy podróżowała pomiędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem, dostrzegała wyniki swoich wysiłków. Tysiące ludzi, którzy wegetowali dawniej w przytułkach, budowało teraz nowe placówki handlowe i drogi.

Nawet najbliżsi współpracownicy byli zdumieni i zaintrygowani sukcesami Rose.

— To żadna tajemnica, Hugh—powiedziała Rose do adwokata. — Jeśli chcesz poznać odpowiedź, jedź ze mną.

O'Neill nie spodziewał się, że Rose zaprowadzi go na grób Franklina Jeffersona.

— Myślę, że w końcu zrozumiałam, co Franklin czuł do tego kraju—powiedziała. — Tacy ludzie, jak dziadek i ja, widzieli tu tylko okazję zrobienia fortuny. Wykorzystywaliśmy każdą szansę. Franklin był inny. Wiedział, że człowiek nie

może zagarnąć zbyt wiele, bo doprowadzi do bankructwa siebie i cały kraj. On miał sumienie, Hugh. Kiedy przeciwstawiał się łamistrajkom, walczył ze wszystkim, w co wierzyłam. Rose uklękła i położyła bukiet na grobie.

— Nie rozumiałam wówczas Franklina. Nie chciałam uwierzyć, że się ze mną nie zgadza. Byłam zbyt przestraszona, żeby to zaakceptować. Wiele przeze ranie wycierpiał. To, co teraz robię, jest zaledwie jałmużną w porównaniu z tym, co on by osiągnął.

— Nie bądź zbyt skromna—powiedział łagodnie O'Neill.—Gdyby nie ty, nikt nie zmusiłby rządu do podjęcia wielu potrzebnych działań.

Kiedy w następnym tygodniu Rose Jefferson została prezesem Komitetu Pomocy Bezrobotnym, Hugh O'Neill żałował, że Franklin nie dożył tej chwili.

Rose stała przy oknie, z którego rozciągał się widok na Lower Broadway, i drżała z zimna.

Ostatnie cyfry wskazywały, że Michelle radzi sobie w Europie równie dobrze, jak Rose w Ameryce. To wyjaśniało, dlaczego Steven przysłał taki raport. Podeszła do biurka i jeszcze raz przejrzała maszynopis. Kiedy dotykała kartek, czuła się blisko syna. Czasami tak za nim tęskniła, że miała ochotę wsiąść na najbliższy statek do Europy.

Nie mogę tego zrobić. Powierzyłam mu odpowiedzialne zadanie i nie powinnam się wtrącać.

Steven mógł być dumny z pracy, którą wykonał. Jeśli jego plan się powiedzie, spółka „Global Europe” stanie się jednym z europejskich gigantów przewozowych. Wówczas będzie można negocjować z Michelle z pozycji siły. Rose nie wątpiła, że Steven świetnie sobie poradzi na stanowisku prezesa firmy.

Wzięła więc długopis i napisała Stevenowi, że akceptuje plan.

„Jestem z ciebie dumna, kochanie — pisała. — Przyjedź szybko do domu, abyśmy mogli omówić szczegóły. Bardzo za tobą tęsknię. Kocham cię. Mama”.

Rose usiadła wygodnie i zrobiło się jej cieplej. Nagle miała wrażenie, że marcowy /ima wcale nie jest taka straszna.

— Pokonaliśmy pierwszą przeszkodę — oświadczył Steven, wręczając list Kurtowi Essenheimerowi. — Matka się zgodziła.

— Stevenie, to fantastyczne!

— To dopiero początek—ostrzegł Steven.—Teraz zacznie się prawdziwa praca. Trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce na kwaterę główną. Essenheimer zaproponował oczywiście Berlin i obiecał, że pomoże wszystko zorganizować.

— Praca w Berlinie byłaby najlepszym wyjściem — przyznał Steven. — Jest to jednak zbyt niebezpieczne. Nie zapominaj, że Michelle ma tu swoich ludzi. Nnwiązała liczne kontakty za pośrednictwem Warburga. Jeśli zacznie się domyślać,

co robimy, i jeśli jej ludzie opowiedzą, że stale widują mnie w Berlinie, stracimy wszystko. Essenheimer zgodził się z tym i obaj mężczyźni wynajęli pomieszczenia biurowe w Bernie.

— Potrzebujemy zaufanych ludzi — rzekł Steven.—Każdego musisz osobiście sprawdzić.

— Zostaw to mnie—powiedział Essenheimer.—Partia da nam, kogo zechcemy.

— Jak sprowadzić ich do Szwajcarii? Nie będą mieli kłopotów z pozwoleniem na pracę?

Essenheimer uśmiechnął się.

— Nie, jeśli przybędą tu jako pracownicy ambasady. To następna dobra strona Bema.

W czasie pobytu Essenheimera w Niemczech Steven spotkał się z kilkoma pomniejszych bankierami. Każdy z nich chciał robić interesy z tym młodym Amerykaninem, którego fundusze, wysyłane z Berlina, wydawały się nieograniczone. Adwokaci banków zgodzili się występować jako nominalni dyrektorzy kilkunastu fikcyjnych spółek i nie pisnęli ani słowa, kiedy przedmiot działalności tych firm scharakteryzowano niejasno jako „import—eksport”.

Kiedy tylko Essenheimer sprowadził pracowników, Steven, który wynajął willę na przedmieściu, wysłał dyskretne zaproszenia do kilku dyplomatów. Po kilku miesiącach attaches handlowi z Egiptu, Syrii, Iranu, Południowej Afryki, Konga, Argentyny, Brazylii i Chile byli już stałymi gośćmi. Wkrótce czołowi przemysłowcy tych krajów, znęcani perspektywą zysków, zaczęli przybywać do stolicy Szwajcarii.

Steven szukał potencjalnych dostawców, tymczasem Kurt Essenheimer zaczął kupować od niemieckiej marynarki handlowej statki transportowe po śmiesznie niskich cenach.

Kiedy okręty, zarejestrowane w Panamie, podnosiły kotwicę, Steven nadzorował całą operację ze szwajcarskiego biura. Ciągłe miał się na baczności, choć Essenheimer zapewniał, że sprawdził dokładnie cały personel. Nawet on nie był jednak nieomylny.

Tego lata Kurt Essenheimer złożył w Bernie nie zapowiedzianą wizytę. Znalazł Stevena w restauracji w towarzystwie bardzo ładnej, ciemnowłosej dziewczyny Anny Kleist, która pracowała dla jednej z fikcyjnych spółek. Essenheimer westchnął, patrząc na pociągłą twarz i cygańskie oczy dziewczyny. Jaka szkoda! Kiedy zaprosili go do stolika, odmówił uprzejmie i powiedział, że musi porozmawiać ze Stevenem na osobności.

— Interesy, Fraulein—powiedział, a potem mrugnął do niej. —Przyrzekam, że nie zatrzymam go długo.

Essenheimer zaprowadził Stevena do stolika szefa sali.

— Widzę, że zaprzyjaźniłeś się z panną Kleist. Steven uśmiechnął się.

- Nie tak bardzo, jak bym chciał.

— To dobrze. — Essenheimer wręczył Stevenowi akta z emblematem gestapo. — Naprawdę nazywa się Anna Baumann.

Steven zacisnął usta. Otworzył dossier i zaczął czytać.

— Czym jest organizacja Białej Róży?

— To grupa malkontentów: studenci, komuniści i Miku radykalnych księży, którzy przeciwstawiają się partii. Współpracują z wywiadem brytyjskim i francuskim. Oczywiście gestapo ich obserwuje. Kiedy zgarnęliśmy przywódcę, znaleźliśmy to.

Wręczył Stevenowi kilka dokumentów, które, ku jego przerażeniu, opisywały operacje szwajcarskich spółek, zawarte przez nie umowy, omawiane szczegóły i planowane terminy przybycia statków. Steven dojrzał tam również własne nazwisko.

— Skąd ona to wzięła? — wyszeptał z gniewem. Essenheimer wrzucił ramionami.

— Nasz przyjaciel naprawdę nie potrafił nic powiedzieć, choć staraliśmy się go do tego skłonić. To profesjonaliści. Każdy z nich zna tylko człowieka, od którego dostaje informację. Później zostawia wiadomość w umówionym miejscu, tak że nigdy nie wie, kto ją odebrał.

Steven spojrzał na piękną, młodą dziewczynę, którą próbował uwieść.

— Mam nadzieję, że natychmiast się jej pozbędziesz. Essenheimer podniósł rękę.

— Nie tak szybko. Nasz przyjaciel powiedział, że wkrótce nadejdzie następna przesyłka. Nie chcę, żeby śliczna Anna Kleist zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Niech zabierze to, co chce, i wyśle. Będziemy ją śledzić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pójdziemy za przesyłką i zgarniemy wszystkich, którzy się nią zainteresują. — Essenheimer przerwał. — To jednak znaczy, że będziesz musiał udawać. Potrafisz to zrobić, Stevenie?

Steven spojrzał na dokumenty i wzdrygnął się. Gdyby tak dostały się w ręce matki...

— Och, oczywiście. Zabawię ją, a wy w tym czasie zróbcie, co trzeba. Przez następne kilka tygodni Steven nadal zalecał się do dziewczyny. Zabierał ją

do opery i teatru. Pewnego dnia wybrali się na przejażdżkę do podnóża Alp. Kiedy urządzili piknik nad wodospadem, Steven pomyślał, że łatwo mógłby ją zabić.

Pewnego popołudnia Essenheimer zadzwonił z ambasady i poprosił Stevena o natychmiastowe spotkanie. Steven wszedł tylnym wejściem i zszedł do piwnicy. W wybetonowanym pomieszczeniu ujrzał Annę Kleist, nagą, przywiązaną do krzesła, zlaną potem i pobrudzoną wymiocinami. Stojący obok gestapowiec w grubych, gumowych rękawiczkach trzymał w ręku przewody pod napięciem.

— Powiedziała wszystko — oświadczył Essenheimer, gasząc papierosa. — Oni zawsze mówią. Teraz zgarniamy pozostałych. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

— Co się z nią... z nimi stanie? — spytał Steven, na którym widok i panujący smród zrobiły nieprzyjemne wrażenie. — Nie możecie jej tu zabić.

— To prawda, ale kiedy z powodów zdrowotnych wróci do Niemiec, wyślemy ją nu odpoczynek

— odrzekł zimno Essenheimer. — Do miejsca zwanego Dachau.

Sprawa Anny Kleist wstrząsnęła Stevenem. Od zniknięcia dziewczyny z Berna, aż do nadejścia pierwszej dostawy miedzi, złota i boksytów, trzymał się z dala od biura. Pracował dniami i nocami. Analizował operacje Michelle i przygotowywał raport dla matki. Na dwa dni przed powrotem do Stanów Zjednoczonych był już gotowy.

Przyjaciele zorganizowali dla Stevena przyjęcie pożegnalne w klubie „Zig-Zag”, niezwyklej berlińskim kabarecie dla transwestytów. Wystrój wielkiej sali przywoził na myśl opowieści z tysiąca i jednej nocy. Kelnerki były przebrane za hurysy, a o skandalicznym programie artystycznym mówiło się w całej Europie.

— Co o tym myślisz? — spytał Essenheimer. W jednej ręce trzymał cygaro, drugą obejmował dziewczynę. Przyglądał się, jak artystki przedstawiają własną wersję *Ali Baby i czterdziestu rozbójników*.

— Tylko wy mogliście wystawić coś takiego — odrzekł Steven. Odciągnął przyjaciela od dziewczyny i zaprowadził go w róg za barem.

— Kiedy powiesz Hitlerowi, że jesteśmy gotowi?

— Przekazałem wiadomość Bormannowi. Obiecał, że Hitler spotka się ze mną w przyszłym tygodniu, kiedy tylko wróci z Berchtesgarden.

Steven poczuł dławienie w gardle, lekkie wahanie przed ostateczną decyzją, znane każdemu awanturnikowi.

— Wszystko przygotowaliśmy, Stevenie — powiedział Essenheimer. — Najtrudniejsze będą nie szczegóły, lecz twoja nieobecność. Będzie nam ciebie brakowało.

— Postaram się wrócić jak najszybciej — przyrzekł Steven.

Obaj mężczyźni nie zwracali uwagi na głośną muzykę. Spojrzeli sobie w oczy i z powagą wymienili uścisk dłoni.

— Chodźmy — powiedział Essenheimer. — Jutro wyjeżdżasz, dzisiaj się więc upijemy. Jeśli czegoś zapragniesz, Stevenie, wystarczy jedno słowo.

Steven miał właśnie zamiar wmieszać się w tłum, ale nagle złapał Niemca za ramię.

— Kto to?

Po drugiej stronie pokoju przeciskała się ku wyjściu młoda kobieta o orientalnych rysach twarzy, ubrana w czerwono-białe kimono. Jej czarne włosy były upięte w japońskim stylu. Miała idealnie owalną twarz o ledwo zarysowanych kościach policzkowych, a także czerwone pełne usta i oczy koloru jadeitu.

Kobieta musiała poczuć wzrok Stevena, bo nagle spojrzała prosto na niego. Uśmiechnęła się lekko. Nagle zniknęła wśród gromady Japończyków.

— Niestety, nawet ja nie mogę ci jej podarować — powiedział Essenheimer. — To Yukiko Kamaguchi, córka jednego z największych japońskich magnatów przemysłowych. Hisahiko Kamaguchi kontroluje porty, huty i zakłady petrochemiczne. Mamy nadzieję namówić go do współpracy. Słyszałem, że przebywa w Berlinie.

Steven cały czas patrzył za Yukiko.

— Zapomnij o niej, przyjacielu — poradził Essenheimer. — Jutro wyjeżdżasz. Ona też wkrótce wróci z ojcem do domu.

— Człowiek może nigdy w życiu nie spotkać takiej kobiety — rzekł Steven w zamyśleniu. — Jeśli jednak raz ją zobaczy, to już o niej nie zapomni.

Steven opuścił Niemcy na pokładzie „Siegfrieda”, flagowego okrętu linii Brema—Hansa. W czasie sześciodniowej podróży uważnie przeglądał swoje notatki. Rose obserwowała Michelle od czasu spłacenia długu i na pewno zna większość cyfr. Steven miał zamiar powiedzieć matce, że dochody „Globalu” w Europie nie są zbyt duże. Musiał ją przekonać, że mimo to należy kontynuować operację. Dopóki Rose nie wie, jakie są rzeczywiste zyski firmy na kontynencie, niewidzialne imperium Stevena będzie kwitło.

Tak jak się spodziewał, w porcie czekał na niego samochód z kierowcą. Steven zdziwił się jednak, kiedy szofer zabrał go bezpośrednio do jednej z najwykwintniejszych nowojorskich restauracji, „Côte Basque”.

— Steven!

Ominął kelnera, schylił się do matki i pozwolił jej się pocałować w oba policzki. Oczy Rose błyszczały.

— Wyglądasz wspaniale!

— Dziękuję, mamó. Ty również wyglądasz świetnie.

Przyjazd syna sprawił Rose ogromną radość. Zauważyła z satysfakcją, że głowy starszych kobiet odwracały się ku temu młodemu mężczyźnie, a ich córki nie mogły oderwać od niego oczu. Pobyt w Europie dobrze zrobił Stevenowi.

— Bardzo się cieszę z twoich postępów, kochanie—mówiła Rose, kiedy kelner nalewał szampana.

— *Salut!*

— *Salut*, mamó.

— Mam nadzieję, że nie wybierasz się wkrótce z powrotem do Europy.

— Muszę załatwić tutaj kilka spraw — odrzekł Steven. — Obawiam się jednak, że czeka mnie jeszcze dużo pracy po drugiej stronie oceanu.

— Cóż, miło dla odmiany mieć cię w domu. Steven roześmiał się.

— Co słyhać w „Globalu”? Kiedy czytałem twoje listy, odnosiłem wrażenie, że chciałaś mi coś powiedzieć, ale nie mogłaś się na to zdobyć.

Na twarzy Rose pojawił się bolesny grymas.

— Harry odszedł.

— Odszedł? Chcesz powiedzieć, że go zwolniłaś.

— Nie, kochanie. Po prostu odszedł. Pewnego dnia nie pokazał się w pracy. Wkrótce wydział płac poinformował mnie, że Harry kazał wypłacić sobie odprawę i sprzedał papiery wartościowe. Nawet nie zostawił nowego adresu.

— Zwariował! Co będzie robił?

— Nie wiem. Może wrócił do Chicago.

— Wygląda na to, że sam poderżnął sobie gardło — rzekł Steven. — Był bardzo dobry, ale poradzimy sobie bez niego.

— Przykro mi, że odszedł po tak długim czasie bez podania przyczyn i bez pożegnania — powiedziała cicho Rose.

Rose musiała jednak przyznać, że nie jest to cała prawda. Od kiedy pozwoliła Stevenowi dogadać się z Michelle, Harry przestał interesować się spółką. Pracował coraz gorzej. Zawsządy przychodziły na niego skargi i Rose musiała w końcu zareagować. Zostawiła wiadomość dla Harry'ego z prośbą o telefon, on jednak nie zadzwonił. Kiedy usłyszała, że odszedł, nie chciała w to uwierzyć. W końcu gniew minął, ustępując miejsca dotkliwemu poczuciu straty. Wiedziała, że to z jej winy oddalili się z Harrym od siebie. Nie mogła zapomnieć o pierwszych, cudownych latach, kiedy rozkwitła za sprawą Harry'ego. Nigdy nie miała bliższego przyjaciela.

— Nie martw się, mamu—powiedział Steven. —Zostanę tak długo, jak zechcesz. Rose z wdzięcznością uściskała jego dłonie.

— Dziękuję, ale wzięłam na siebie obowiązki Harry'ego. Powinieneś się skoncentrować na Europie. Liczę na ciebie.

Steven uśmiechnął się.

— Nie rozczaruję cię, mamu.

Przez następne trzy lata Steven Talbot podróżował przez Atlantyk, koncentrując się na jednym celu. Z europejskich biur „Globalu” wyrzucono bezlitośnie starych pracowników i przyjęto nowych, którzy byli lojalni tylko wobec Stevena. „Global” obniżał ceny i zawierał coraz więcej kontraktów, a Steven nawiązywał kontakty z rządami europejskimi. Rose była pod wrażeniem, kiedy na dorocznym spotkaniu w Nowym Jorku zobaczyła cyfry.

— Nawet ja nie przypuszczałam, że tak dobrze sobie poradzisz! *To dopiero połowa, mamu.*

Steven przedstawił Rose sfalszowane księgi. W rzeczywistości europejskie zyski były trzy razy wyższe. Szwajcarskie spółki Stevena posiadały obecnie prawie taką flotę jak „Global”.

Nawet w Stanach Zjednoczonych Steven wykorzystywał każdą sposobność zdobycia nowych kontrahentów. Często podróżował pomiędzy Nowym Jorkiem a Waszyngtonem. W eleganckich ambasadach spotykał się z finansistami, przemysłowcami i członkami rządów takich krajów, jak Argentyna, Brazylia, Afryka Południowa i Nigeria. Uścisk dłoni pieczętował kontrakty o wartości wielu milionów dolarów. Potem Steven szedł do ambasady niemieckiej. W bezpiecznym pomieszczeniu w podziemiach łączył się z Kurtem Essenheimerem i mówił przyjacielowi, że wkrótce spełnią się marzenia Trzeciej Rzeszy o gwarantowanej dostawie surowców.

18 czerwca 1936 roku wybuchła wojna domowa w Hiszpanii. Steven chętnie czytał gazety, ciesząc się z każdego zwycięstwa faszystów. Sprowadzone przez niego ropa naftowa, kauczuk i cenna ruda posłużyły do stworzenia niezwyciężonej maszyny wojennej. Jesienią, kiedy Steven oświadczył, że ma zamiar jechać do Europy, Rose uśmiechnęła się nieśmiało.

— Może nie będziesz musiał.

— Co masz na myśli?

— Właśnie dostałam kablogram od Michelle. Przybędzie dzisiaj do Nowego Jorku. Chce się ze mną spotkać w bardzo ważnej sprawie. — Objęła syna. — Dobrze wiem, o co jej chodzi!

Oczywiście, nie mogła zignorować twoich osiągnięć. Myślę, że zamierza zaproponować nam fuzję.

42.

Rzeczywiście, to sprawy „Globalu” sprowadziły Michelle do Stanów Zjednoczonych jesienią 1936 roku, jednakże Rose Jefferson nie odgadła prawdziwych powodów jej przybycia.

Tragedia rozpoczęła się 30 stycznia 1933 roku, kiedy Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec. Partia, uznawana przez wielu ludzi za gromadę nieudaczników i wyrzutków, zyskała szerokie poparcie. Od tej chwili pozycja nazistów stawała się coraz silniejsza. W gazetach i w radiu bez przerwy obrzucano obelgami prawdziwych i urojonych wrogów. Uczciwi ludzie tracili pracę w urzędach państwowych i uniwersytetach, a na ich miejsce zatrudniano bezmyślne, nieczułe automaty. Krytykowano z nienawiścią intelektualistów i liberałów, a zwłaszcza Żydów.

— To zamienia się w koszmar—powiedział do Michelle jej niemiecki bankier, Abraham Warburg.—Nasi ludzie nie chcą się jednak obudzić. Twierdzą, że jesteśmy bardziej niemieccy niż sami Niemcy, tak jak gdyby sądzili, że jeśli powtórzą to wiele razy, wszyscy im uwierzą. Pokręcił głową z rozpaczą.

Siedzieli w uroczej restauracji nad jeziorem, w berlińskiej dzielnicy Wansee. Po wodzie pływały łabędzie, jedząc chleb rzucany przez gości. W tej spokojnej okolicy Michelle dostrzegała jednak pierwsze oznaki przemocy. Przy stolikach siedzieli oficerowie SS w czarnych mundurach i błyszczących butach oraz dobrze ubrani mężczyźni z nazistowskimi odznakami w klapach. Na widok Michelle i Warburga w ich oczach pojawiał się twardy błysk. Potem głośno wypowiadali jakiś żart, niekiedy obsceniczny. Michelle i bankierowi zależało na prywatności, rozmawiali więc po angielsku.

— Wasi ludzie muszą zrozumieć, że powinni wyjechać póki czas—powiedziała Michelle.

— Robię, co w mojej mocy — odrzekł Warburg. — Większość z nich nie chce jednak porzucać domów i krewnych.

— Za wszelką cenę musimy pomóc tym, którzy chcą wyjechać.

Boże, nie upłynęło jeszcze dwadzieścia lat, a ja znów walczę z Niemcami. To szaleństwo!

— Coraz trudniej dostać wizę — powiedział Warburg.

— Wiem. Sądzę jednak, że znalazłam pewien sposób.

Michelle szybko przedstawiła swój pomysł. Założy w Paryżu agencję turystyczną, organizującą wycieczki do różnych miejsc we Francji.

— Naziści nie zorientują się, co naprawdę robimy — wyjaśniła. — Ci ludzie będą mieli autentyczne dokumenty i ustaloną trasę. Tyle tylko, że nigdy nie wrócą. Kiedy znajdą się we Francji, pojedą, dokąd zechcą. Przygotuję wszystko.

Warburg był podekscytowany.

— To bardzo pomysłowe. Wielu z nich nie ma jednak pieniędzy, a nie możesz przecież reklamować wycieczek po śmiesznie niskich cenach, bo wzbudzisz podejrzliwość nazistów.

Michelle wzruszyła ramionami.

— Kto mówi o pieniądzach? Każda osoba dostanie w naszym biurze bilet oraz czeki podróżne wystawione na dolary amerykańskie. Ludzie ci będą przypominać prawdziwych turystów, jeśli nie zechcą wywieźć wszystkiego, co posiadają.

Warburg zastanowił się.

— To może się udać — powiedział w końcu. — Trzeba jednak starannie zaplanować wszystkie szczegóły.

— Przyślij mi ludzi, którym ufasz bez zastrzeżeń, a resztę zostaw mnie. Jesienią 1933 roku rozpoczął się exodus. Michelle dokładnie sprawdziła swoich pracowników i zwolniła pod byle pretekstem wszystkich sympatyków nazistów, ale z taką odprawą, by uniknąć konfliktów. Zatrudniła ludzi przysłanych przez Warburga, a kiedy upewniła się, że wiedzą, co mają robić, wróciła do Paryża. Denerwowała się bardzo, ponieważ pierwsze grupy były bardzo małe. Wkrótce jednak rozeszła się wieść o paryskich wycieczkach. Na ironię zakrawał fakt, że od tego właśnie zaczęły się problemy.

Michelle nigdy przedtem nie organizowała takich wycieczek, nie zdawała więc sobie sprawy, jakiej pomocy będą potrzebować „goście”. Pierwsze grupy składały się z zamożnych inżynierów, prawników i lekarzy. Ci ludzie dzięki pieniądзом i zawodowym umiejętnościom szybko odnaleźli się w nowym otoczeniu. Później Michelle musiała jednak zaopiekować się setkami robotniczych rodzin przerażonych nową sytuacją, osamotnionych i prawie bez grosza.

Zdała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy, i zwróciła się do Emila Rothschilda.

— Co takiego zrobiłaś? — spytał bankier, siadając w fotelu.

— Cóż, ktoś musiał się tym zająć — odrzekła cierpko Michelle.

— Bez względu na twoje motywy, uprawiasz nielegalny przerzut ludzi. To prawda, że francuska biurokracja jest krótkowzroczna, ale wkrótce jakiś urzędnik na pewno odkryje, iż niektórzy przybysze nigdy nie opuszczają Francji.

Doprawdy, Emilu! To przecieżdrobiazg, biorąc pod uwagę liczbę podróżnych, którzy każdego dnia przekraczają granicę.

— Tak to na pozór wygląda — odrzekł Rothschild. — Zastanów się jednak. Co się stanie, jeśli jeden z przesiedleńców wyśle kartkę lub list do Niemiec i opowie przyjaciółom o wspaniałym psikusie, spletanym niemieckim władzom? Oboje wiemy, że Niemcy otwierają korespondencję. Co się stanie, jeśli jakiś wścibski dozorca zainteresuje się nagle, dlaczego w mieszkaniu, zajmowanym do tej pory przez jedną rodzinę, mieszkają teraz dwie? Co będzie, jeśli policja z jakiegokolwiek powodu zatrzyma twoich ludzi? Ich wizy turystyczne zdążą już stracić ważność. Nie będą mieli innych dokumentów. Co powiedzą? Do kogo się zwrócą? Tylko do ciebie. Wówczas władze zbadają dokładnie całą sprawę.

Logika bankiera przygnębiła Michelle, nie chciała jednak się poddać.

— Masz rację, Emilu — rzekła. — Nie zdawałam sobie sprawy, w co się wplątuje. Teraz jednak nie mogę się zatrzymać. Potrzebuję pomocy, żeby nie dopuścić do takich incydentów. Tak czy inaczej, jestem odpowiedzialna za tych ludzi. Staram się zatrudniać ich w mojej firmie, ale przecież wielu z nich nie mówi nawet po francusku! Emilu, masz kontakty wśród francuskich Żydów. Wykorzystaj je! Wyjaśnij wszystkim, co się dzieje!

— Czy wiesz, na co narażasz siebie i Cassandrę? Wszystkie twoje osiągnięcia mogą pójść na marne. Jeśli rząd pozna prawdę, wytoczy ci proces.

— Nie odważą się! — odpowiedziała z błyskiem w oczach.

— W najlepszym razie urzędnicy podatkowi zbadają księgi „Globalu”, a biuro imigracyjne sprawdzi wszystkich twoich pracowników. Dziennikarze dowiedzą się

o całej sprawie, a wówczas informacja dotrze do Niemców. Nawet jeśli poradzisz sobie z tutejszymi władzami, Berlin zlikwiduje po prostu wycieczki po niemieckiej stronie granicy. Michelle zastanowiła się nad słowami bankiera. Wiedziała, że Emilem Rothschildem kieruje troska, a nie tchórzostwo.

— Jestem gotowa podjąć ryzyko—odpowiedziała cicho. — Czy pomożesz mi? Bankier miał poważną minę.

— Powinni ci za to przyznać drugi medal.

Kiedy w 1934 roku do Francji napływali nowi niemieccy „turyści”, Michelle spędzała coraz więcej czasu poza biurem, starając się zapewnić im przyszłość. Emil Rothschild dotrzymał słowa. Wykorzystał swoje kontakty i znalazł setki ludzi, gotowych przyjąć uchodźców. Ci z kolei skontaktowali się z zaufanymi przyjaciółmi

i krewnymi. W ten sposób sieć stawała się coraz większa. Pod koniec roku tysiące uchodźców zdążyło znaleźć pracę w małych firmach, przeważnie żydowskich. Prawie zawsze przedstawiano nowo przybyłych jako kuzynów lub dalekich krewnych, którzy przyjechali pomóc rodzinie. Jednakże Michelle na tym nie poprzestała. Wraz z Podziemną Radą Pomocy Uchodźcom, w skład której wchodził Emil Rothschild, Pierre Lazard i inni wybitni Żydzi francuscy, wyszukiwała sympatyków ich organizacji, którzy byli w stanie

załatwić dowody tożsamości, pozwolenia na pracę, a w poszczególnych przypadkach nawet nowe świadectwa urodzenia. Mimo to liczba uchodźców w maju 1935 roku była tak ogromna, że trzeba było znaleźć inne rozwiązania.

— Musimy jakoś przetrzymać tych ludzi za granicę — oświadczył Pierre Lazard na posiedzeniu rady. — Do Hiszpanii, Portugalii, Anglii, krajów skandynawskich, gdziekolwiek.

— Problem polega na tym, że w tych krajach nie mamy takich kontaktów i wpływów jak tu — zauważył Rothschild.

— Nie — odrzekła Michelle. — Ale może gdzie indziej nam się poszczęści.

Największym zmartwieniem Michelle nie była groźba wpadki ani ciężka, mozolna praca.

Najbardziej dokuczała jej nieobecność męża.

Monk wrócił do Stanów Zjednoczonych, aby zająć się sprawami magazynu Q, a także po to, by wziąć udział w opracowywaniu antykrzysowych programów rządowych. Z listów męża Michelle dowiedziała się, że Biały Dom słucha uważnie jego rad. Monk pracował dzień i noc w nadziei, że gospodarka amerykańska stanie wreszcie na nogi. Słowa nie mogły jednak zastąpić dotyku i zapachu ukochanego mężczyzny. Monk odwiedzał je często, Michelle wiedziała jednak, że Cassandra czeka z niecierpliwością na te chwile. Dziewczynka w tym wieku bardzo potrzebuje ojca. Michelle wiele razy wyjaśniała Cassandrze, dlaczego Monk musiał wyjechać. Jednego dnia córka akceptowała wyjaśnienia, a następnego znów zadawała pytania. Sprawę pogarszało to, że Michelle nie miała czasu zajmować się dzieckiem.

Kiedy wreszcie spotkali się w czasie Święta Dziękczynienia, Michelle opowiedziała Monkowi o planie ratowania uchodźców. Monk zdawał sobie sprawę, że żona żyje w ciągłym napięciu.

— Najgorsze jest to, że nie mamy miejsca dla nowo przybyłych — wyjaśniła Michelle.

— Co proponujesz?

— Chcielibyśmy przewieźć ich do Ameryki. To jedyna nadzieja. Monk gwizdnął cicho.

— To niełatwe zadanie. Bezrobocie jest bardzo wysokie, dlatego poważnie ograniczono imigrację.

— Wiem. Znasz jednak ludzi w Waszyngtonie...

— Oczywiście, jeśli jednak tym się zajmę, to będę miał jeszcze mniej czasu dla ciebie i Cassandry. Michelle powstrzymała łzy.

— Gdyby chodziło o coś innego, nigdy bym cię nie prosiła. Monk ujął w dłonie twarz żony i pocałował ją.

— Jesteś wspaniałą kobietą. Michelle uśmiechnęła się smutno.

— Nie. Nie zamierzam przed tobą udawać odważnej, kochanie. Chcę, żebyś mnie przytulił, pocałował i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

W czasie krótkiego pobytu w Paryżu Monk zorientował się, że Cassandra potrzebuje go jeszcze bardziej niż żona. Michelle miała ochotę opowiedzieć córce o programie pomocy uchodźcom, wiedziała jednak, że nie powinna tego robić. Czternastoletnie dziewczynki lubią zwierzać się przyjaciółkom ze wszystkich sekretów. W ten sposób wieść mogłaby dotrzeć do niepowołanych uszu.

Spróbuję jej wyjaśnić, dlaczego nie mogę zostać — pomyślał Monk.

— Czemu wyjeżdżasz, tato? — spytała Cassandra. Siedzieli w kawiarni, w której kilka lat temu Monk i Michelle cieszyli się swoją miłością.

Od czego zacząć? — zastanawiał się Monk.

— Czy widzisz tych ludzi, pączuszkę? — wskazał siedzących przy stoliku mężczyzn w średnim wieku, którzy zamówili karafkę wina i ledwo go spróbował, cały czas grali w domino.

— Mhm.

— Jak sądzisz, czemu siedzą tutaj w środku dnia? Cassandra wzruszyła ramionami.

— Nie pracują.

— Dlaczego?

— Nie mają pracy.

— Słusznie. W Europie i w Ameryce są tysiące takich mężczyzn. Chcieliby pracować, żeby utrzymać rodzinę, ale nie mogą znaleźć pracy.

— Wiem — powiedziała Cassandra znudzonym tonem. — Nazywa się to kryzysem.

— Właśnie. Nazywa się to również głodem, biedą, smutkiem i cierpieniem. Mężowie i ojcowie wyjeżdżają, gdzie tylko mogą, czasami bardzo daleko, w poszukiwaniu pracy.

— Ale my nie jesteśmy biedni — odrzekła ze złością Cassandra. — Nie musisz wracać do Nowego Jorku. — Potem dodała chytrze: — Albo zabierz mnie ze sobą.

Monk nie dał się wciągnąć w pułapkę.

— Nie, nie jesteśmy biedni. Czy nie sądzisz jednak, że powinniśmy pomóc ludziom, którzy nie mają takiego szczęścia?

— Ojcowie wszystkich moich koleżanek ze szkoły sąw domu—rzekła Cassandra. Niezawodna logika czternastolatki! Monk nie wiedział, co odpowiedzieć.

W końcu zrozumiał, z czym codziennie musiała borykać się Michelle.

— Pączuszkę, chcę, żebyś posłuchała mnie uważnie — powiedział spokojnie, trzymając ją za rękę. — Ty, twoja matka i ja powinniśmy być wdzięczni losowi. Być może nie wszystko układa się po twojej myśli, widzisz jednak, że powodzi nam się o wiele lepiej niż większości ludzi.

Cassandra niechętnie skinęła głową.

— Z tego względu mamy obowiązki wobec innych. Twoja matka i ja musimy robić to, co uważamy za słuszne. Przyjdzie kiedyś dzień, w którym ty również będziesz musiała postąpić zgodnie z sumieniem. Przykro mi, Cass, ale nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

Cassandra spuściła wzrok i zaczęła przebierać nogami. Kiedy się w końcu odezwała, głos jej drżał.
— To znaczy, że mimo wszystko wyjedziesz.

Monk po świętach wrócił do Waszyngtonu. Od razu zaczął działać. Starał się pozyskać dla swego projektu senatorów i kongresmanów, zasiadających w komitetach imigracyjnych. Praca była niewdzięczna i pochłaniała wiele czasu, Monk jednak tym się nie zniechęcał. Tysiące niemieckich Żydów skorzystało z nowych możliwości, stworzonych przez amerykańskich prawodawców, i przyjechało do Stanów Zjednoczonych. Była to zaledwie drobna część ludzi, którzy pragnęli wyjechać z Niemiec. Pozostali mogli mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia nadejdzie ich kolej. Czas uciekał. Kiedy w 1936 roku Michelle odwiedzała berlińskie biura, za każdym razem przekonywała się, że naziści wprowadzili właśnie nowe ograniczenia w podróżowaniu. Ze względu na restrykcyjne prawo walutowe i długi okres oczekiwania na wizy wyjazdowe, opuszczenie kraju było prawie niemożliwe dla zwykłego obywatela. Wielu ludzi nie mogło skorzystać z biletów zarezerwowanych przez Michelle. Wkrótce dla każdego stało się oczywiste, że agencja turystyczna ponosi straty. Michelle rozumiała, że gdyby kontynuowała swoją działalność, Niemcy zaczęliby coś podejrzewać.

— Wiedzieliśmy, że pewnego dnia do tego dojdzie — rzekł Abraham Warburg, kiedy Michelle pozamykała berlińskie biura.

— Tak wiele jest jeszcze do zrobienia! Warburg poklepał ją po dłoni.

— Zrobimy, co się da. Wykonałaś wspaniałą robotę, Michelle. Pomogłaś tysiącom ludzi. Nigdy o tym nie zapomnę.

— Powinieneś wyjechać, przyjacielu—powiedziała Michelle.—Sytuacja stała się nie do zniesienia.

— Właśnie dlatego muszę zostać—odrzekł Warburg. — Naziści mnie nie ruszą, przynajmniej na razie. Zawdzięczam to moim szwajcarskim przyjaciołom. —Przerwał. — Natknąłem się na coś, o czym powinnaś wiedzieć. Chodzi o „Global”.

Michelle była zaciekawiona.

— W ostatnich miesiącach często słyszałem plotki o „Essenheimer A.G.". Michelle rozpoznała tę nazwę.

— To jeden z największych koncernów zbrojeniowych w Trzeciej Rzeszy, prawda? — spytała.

— Tak. Jest jednak jeszcze coś. Zgodnie z moimi informacjami, „Global” został głównym dostawcą sprowadzającym do Niemiec wszystko, czego potrzeba do prowadzenia wojny.

Michelle była wstrząśnięta.

— Rose nigdy nie zadawałaby się z nazistami!

Nie chodzi o Fräulein Jefferson — odrzekł Warburg. — Mówię o Stevenie

Talbotcie, szefie „Global Europe”. — Wręczył Michelle grube akta. — Proszę, przeczytaj i sama wyciągnij wnioski.

Informatorzy Warburga zajmowali najróżniejsze stanowiska w imperium Essenheimera. Michelle wyczuła, że ci przerażeni ludzie mówili prawdę. Jednakże żaden dokument nie łączył niemieckiego koncernu ze Stevenem Talbotem.

— Mamy tylko plotki—powiedziała Michelle. — Wierzę w każde słowo, ale to jeszcze nie dowód.

— Wszystko otoczone jest ścisłą tajemnicą — odrzekł Warburg. — Gdyby gestapo dowiedziało się, co ci ludzie mi powiedzieli... — Nie musiał kończyć.

— Czy któryś z twoich informatorów, pracujących dla Essenheimera, ma dostęp do dokumentów?

— Oczywiście, ale, jak mówiłem...

— Abrahamie, musisz ich przekonać, żeby zdobyli dowody. Trzeba powstrzymać Stevensa!

— To będzie bardzo trudne.

— Musi nam się udać! — upierała się Michelle. — Wywieziemy z Niemiec tych ludzi.

Stworzyliśmy przecież kanały przerzutowe, o których władze nic nie wiedzą. Trzeba je wykorzystać!

Bankier zastanowił się.

— Może masz rację. Czy pomyślałaś jednak o ryzyku?

— Oczywiście, wiem, co im grozi. Możemy jednak...

— Nie mówię o nich, Michelle, lecz o tobie. Jeśli wyślę do ciebie tych ludzi, a Steven Talbot, Essenheimer lub gestapo dowiedzą się o naszych planach, zabiją cię. Uwierz mi, Michelle. Stawka jest tak wysoka, że naziści nie cofną się przed niczym.

— Właśnie dlatego prawda musi wyjść na jaw — powiedziała Michelle. — Przyślij ich do mnie, Abrahamie. Powiedz, żeby zabrali ze sobą coś, co mogłabym wykorzystać. Resztą zajmę się sama! Wczesną wiosną Michelle musiała zamknąć swoje biura w Niemczech i wróciła do Paryża.

Codziennie chodziła na pocztę główną i sprawdzała, czy nie nadeszła wiadomość od Abrahama Warburga. Po kilku tygodniach Michelle zaczęła się niepokoić. Jej przyjaciel prowadził niebezpieczną grę. Najmniejszy błąd mógł doprowadzić do katastrofy. Michelle starała się przekonać samą siebie, że Abraham będzie działał tak szybko, jak pozwoli sytuacja.

Coś się stanie w najmniej oczekiwanym momencie — myślała.

Michelle nawet nie przeczuwała, jak prorocze będą to słowa.

— *Maman! Maman!* Obudź się! Przestraszona Michelle usiadła.

— Co się stało, *chérie*?

— To chyba włamywacz — wyszeptwała Cassandra. — Usłyszałam, jak ktoś dobiera się do zamka.

— Zostań tutaj.

Cassandra cofnęła się, widząc, że matka wyjmuje pistolet z szuflady.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała cicho Michelle. — Nie wychodź z pokoju.

Zamknawszy za sobą drzwi, podeszła do głównego wejścia. W świetle księżycy widziała, jak porusza się klamka. Ukryła się za drzwiami i wstrzymała oddech, kiedy intruzi wchodzili do domu. Potem szybko zatrzasnęła drzwi i przycisnęła pistolet do pleców najbliższej stojącego człowieka.

— Nie ruszaj się! — wyszeptała groźnie.

Zapaliła światło i zamarła. Ujrzała przed sobą młodą kobietę w ciąży, z dzieckiem na ręku.

— Odwróć się — powiedziała Michelle do mężczyzny.

— Przysyła nas Abraham — rzekł nerwowo młody mężczyzna. — Nie zamierzamy zrobić pani nic złego.

— Kim pan jest?

— David Jacobi — wyjąkał mężczyzna. — To moja żona, Rachel.

— Jeśli przysyła was Abraham, to dlaczego nie otrzymałam wcześniej żadnej wiadomości? — zapytała Michelle. — I dlaczego staraliście się włamać?

David Jacobi spojrział na nią ze smutkiem.

— Było nas sześcioro, proszę pani. Udało nam się przekroczyć granicę, ale Niemcy skontaktowali się z francuskimi władzami. Powiedzieli, że jesteśmy szpiegami i sabotażystami. Policja nas wysłedziła. Tylko Rachel i mnie udało się uciec. Kiedy w końcu przybyliśmy do Paryża, nie wiedzieliśmy, czy policja tu na nas nie czeka.

— Co się stało z pozostałymi? Głos Davida Jacobiego załamał się.

— Przewieziono ich z powrotem do granicy i oddano w ręce gestapo. Michelle zrobiło się niedobrze.

— *Maman*, co się stało?

W drzwiach salonu stanęła oszołomiona i przestraszona Cassandra.

— To moja córka, Cassandra—powiedziała Michelle. Podeszła do dziewczynki i rzekła cicho: — Chcę, żebyś zabrała Rachel i dziecko do sypialni dla gości. Pokaż jej wszystko i pomóż, jeśli będzie czegoś potrzebowała. Potem idź do kuchni i przynieś trochę jedzenia.

— Kim są ci ludzie? — spytała Cassandra. — Co tu robią w środku nocy? Michelle nie mogła uwierzyć, że to jej córka wypowiada te gniewne słowa. *Mój Boże, w twoim wieku walczyłam z Niemcami!*

Michelle opanowała się. Porównanie było niesprawiedliwe. Cassandra poznała w życiu tylko bogactwo i przywileje.

Niewykluczone—pomyślała Michelle—że chroniłam ją przed rzeczywistością, bo pamiętałam, co sama przeżyłam. Nikt nie może jednak uciec przed światem...

— Proszę, Cassandro — powiedziała łagodnie. — Zrób to. Później wszystko wyjaśnię.

— Jasne, *maman* — powiedziała Cassandra, kręcąc głową. Podeszła do Rachel Jacobi i wzięła od niej torbę.

Kiedy David Jacobi umył się, Michelle poczęstowała ich brandy i czekała na dalsze wyjaśnienia.

— Czy sądzicie, że droga ucieczki nie jest już bezpieczna? — spytała.

— Nikt nie wytrzyma przesłuchania na gestapo — odpowiedział Jacobi, patrząc w kieliszek. Michelle zadrżała.

— Czy... czy mieli ze sobą jakieś dokumenty? Mężczyzna pokręcił głową. Nadzieje Michelle wzrosły.

— Przywieźliście coś?

Jacobi sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zapieczętowany list.

— Od Abrahama.

— To wszystko?

— Madame McQueen — powiedział. — Pracowałem w dziale prawniczym u Essenheimera. Nie miałem dostępu do informacji, o które chodziło Abrahamowi. Istnieją trzy, a może nawet cztery zestawy ksiąg. Wszystkie dokumenty są dokładnie strzeżone. Jeśli ktoś chce przejrzeć jeden z kontraktów, musi mieć specjalne upoważnienie. Niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto nie zwróci dokumentu do wieczora. — David Jacobi przerwał. — Zaryzykowałem wszystko, żeby otrzymać pewne materiały. Wzbudziło to jednak podejrzania przełożonych. Właśnie dlatego Abraham wyprawił nas z kraju. — Spojrzał błagalnie na Michelle. — Dużo wiem o Essenheimerze i „Globalu”. Proszę, madame McQueen, niech pani mnie wysłucha. Niech mnie pani zabierze do ludzi, którzy położą kres temu szaleństwu.

— Jutro — odrzekła łagodnie Michelle. — Mamy dużo czasu.

Tutaj!

Michelle odwróciła się i podbiegła do Mońka.

— Boże, ależ za tobą tęskniłem! — jęknął Monk, chowając twarz w jej włosach.

— I ja za tobą.

Michelle przytuliła się do męża, nie pozwalając mu odejść.

— Kogo my tu mamy?

Monk spojrzał na Cassandę, stojącą nieśmiało z boku. Od ich ostatniego spotkania dziewczynka tak urosła, że była teraz wyższa od Michelle. Monk patrzył z ojcowską dumą na wspaniałą, wełniany kostium Cassandry, którego błękitny kolor pasował do jej oczu i długich jasnych włosów. Dorastanie w Paryżu ma swoje dobre strony.

— Chodź do mnie, kochanie — wyszeptał.

W następnej chwili cała trójka obejmowała się z płaczem, a inni pasażerowie uśmiechali się na ich widok.

— Chodźmy—powiedział w końcu Monk, ocierając łzy. — Pojedziemy do domu. Monk przeprowadził je przez kontrolę celną i kazał zapakować bagaż do

ogromnego cadillaca. Wszyscy usiedli z przodu, a Monk pełnił rolę przewodnika po Manhattanie.

— Tu jest cudownie! — wykrzyknęła Cassandra, podziwiając pomniki architektury.

Monk roześmiał się i przewiózł je po mieście. Sunęli po Szóstej Alei i kręcili się po Central Parku, aż wreszcie przybyli na Upper West Side. Monk zaparkował przed mujezycznym budynkiem.

Nad drzwiami frontowymi widniał zielono-biały baldachim.

— Oto nasz dom — oświadczył.

Cassandra nigdy przedtem nie widziała tak ogromnego budynku mieszkalnego jnk Carlton Towers. Ten zbudowany na przełomie wieków budynek miał ponad

sześćdziesiąt pięter i przypominał z zewnątrz wielki zamek, lśniący w świetle poranka. Kiedy weszli do środka, Cassandra poczuła się zagubiona. Minęli wielki marmurowy hol i musieli jechać dwiema windami, żeby dostać się do mieszkania. Drzwi otworzyła tęga Murzynka.

— Ach, Abilene — westchnął Monk, wciągając do środka walizki. — To moja żona, Michelle, i moja córka, Cassandra. Miłe panie, oto kobieta, bez której zupełnie bym się pogubił, Abilene Lincoln.

— Witamy w Towers — powiedziała Abilene, obejmując Cassandrę. — Na pewno będzie wam tu wygodnie.

Cassandra ostrożnie weszła do środka i rozejrzała się. Zawsze uważała, że mieszkanie matki w Ile St.-Louis jest wspaniałe, nie wytrzymało jednak porównania z tym apartamentem. Ogromne okna salonu wychodziły na zielony park, a na ścianach pełno było półek z książkami. W rogu stał adapter, otoczony setkami płyt z najprzeróżniejszą muzyką — od opery do jazzu.

— Gabinet jest tam — powiedział Monk, wskazując podwójne, francuskie drzwi. — Dalej znajduje się kuchnia. Sypialnie są na górze.

Cassandra zakreśliła się na palcach, a jej spódnica uniosła się, odsłaniając długie, zgrabne nogi.

— Tu jest wspaniałe! Mogłabym tu zostać na zawsze.

Abilene Lincoln złowiła spojrzenie Monka i powiedziała do Cassandry: — Czy chciałabyś spróbować najlepszych bananów na północ od linii Mason—Dixon?

— Mason—Dixon? Kto to taki? Abilene roześmiała się.

— Dziewczyno, musisz się wiele nauczyć. Chodź, pozwólmy mamie i tacie przyzwyczaić się do siebie.

Po wyjściu córki Monk wziął Michelle za rękę.

— Jest prawie tak piękna jak ty—powiedział cicho.—Nigdy nie spodziewałem się...

— Cóż to, brakuje ci słów? — dokuczała mu Michelle.

Monk patrzył na ukochaną kobietę i starał się zapamiętać każdy szczegół. Poczul, jak budzi się w nim pożądanie, miał jednak wrażenie, że oddziela go od żony jakaś niewidzialna bariera.

— Czy coś się stało, kochanie?

— Z nami wszystko w porządku. Chodzi... o coś innego.

Michelle wzięła głęboki oddech i opowiedziała, jak Abraham Warburg natrafił na niezwykłą informację dotyczącą „Essenheimer A.G.” i Stevena Talbota. Podała mężowi wszystkie szczegóły i wyjaśniła, jaką rolę odgrywa Steven w nowych Niemczech.

Monk był zszokowany. Oburzało go, że Amerykanin o takiej reputacji i takich wpływach jak Steven mógłby pracować dla Niemców. Z wyjątkiem kilku niemądrych jednostek, jak Henry hord, Amerykanie śmiali się z nazistów. Niektórzy z nich,

w tym Monk, zauważali, jak niebezpieczny jest fanatyzm Hitlera i ostrzegali przed nim rodaków. — Problem polega na tym, że nie mogę przedstawić Rose żadnych dowodów — zakończyła Michelle. — Nie wolno mi jednak pozwolić, żeby Steven w dalszym ciągu zaopatrywał Rzeszę. Muszę ją więc przekonać.

— Czy naprawdę nic na niego nie masz? — spytał Monk. — Żadnego dokumentu z jego podpisem, zeznania, naocznego świadka?

— Nie. Nie udało się niczego wynieść z biur spółki.

— Poinformowałaś już Rose o swoim przyjeździe?

— Spotkam się z nią jutro rano. Monk usiadł koło żony.

— Czemu nie powiadomiłaś mnie wcześniej, Michelle? Mam w Europie wielu przyjaciół, którzy mogliby nam pomóc. Do diabła, sam bym przyjechał!

— Właśnie dlatego nic ci nie powiedziałam, kochanie. Tylko Rose jest w stanie nam pomóc. Jeśli mi uwierzy...

— A jeśli nie?

— Będziemy musieli powstrzymać Stevena w inny sposób.

Następnego ranka Michelle ledwie zdążyła wypić filiżankę kawy, a już kierowca Mońka czekał przed domem, by zabrać ją na Lower Broadway. Pogłaskała Cassandrę po policzku i wyszła. Ciekawe, jak bym się teraz czuła, gdybym mieszkała w tym mieście—zastanawiała się w samochodzie.

Paryż był wprawdzie jej domem, ale w porównaniu z Nowym Jorkiem wydawał się niemal bezbarwny. W tym mieście wszystko mogło się zdarzyć. Rzeczywistość zmieniała się tu jak w kalejdoskopie. Michelle pamiętała jednak o poniżeniach, które Bpotykały ją w Talbot House. Nie zapomniała o drwiącym śmiechu Amelii Richardson i innych przyjaciółek Rose.

Nic mi już nie robią. Nowy Jork nie należy tylko do nich. To może być również moje miasto.

Kiedy samochód zbliżał się do dzielnicy finansowej, Michelle myślała o Rose. Przypominała sobie, jak w przeszłości starała się ją o coś przekonać — incydent ze Stevenem, kilka spraw dotyczących Franklina. Za każdym razem Rose nie chciała uwierzyć bratowej. Czemu teraz miałoby być inaczej?

Bo stawka jest zbyt wysoka!

Przy budynku „Globalu” czekał na Michelle odźwierny, który zaprowadził ją do biura Rose.

— Michelle, miło cię widzieć. Wyglądasz cudownie.

Rose wyszła zza biurka i uścisnęła dłoń Michelle. Wyglądała jednocześnie oficjalnie, juk i bardzo kobieco w beżowej spódnicy i zielonej bluzce. Michelle miała wrażenie, że z wiekiem Rose złagodniała. Zniknął gdzieś dawny temperament i władcze spojrzenie.

— Cieszę się, że cię widzę, Rose — powiedziała Michelle. Rose wskazała kawę i ciastka.

— Czy mogę cię czymś poczęstować?

Michelle podziękowała i usiadła na kanapie koło biurka.

— Jak się miewa Cassandra? — spytała Rose. — Mam nadzieję, że wreszcie ją poznam.

— Na pewno będzie zachwycona. Zapadła niezręczna cisza.

— Michelle — rzekła Rose. — Ani dla ciebie, ani dla mnie nie jest to łatwe spotkanie. W przeszłości dochodziło między nami do wielu nieporozumień, wierzę jednak, że teraz zaczniemy wszystko od nowa. Twoje sukcesy wywarły na mnie ogromne wrażenie i chyba się domyślam celu tej wizyty. Poprosiłam Stevena, żeby był do naszej dyspozycji. Może go zawołamy?

— Stevena...?

Przez chwilę Michelle sądziła, że Rose wie o wszystkim.

Nie, to nie w tym rzecz. Ona mówi o tym, co się kryło za podróżą Stevena do Europy...

Oczywiście! Steven nie pojechał do Europy z własnej inicjatywy. Rose go wysłała, żeby przyjrzał się poczynaniom Michelle. Ale w jakim celu? Żeby ją wykupić? Zaproponować fuzję? Tak czy inaczej Michelle była pewna, że Rose nic nie wie o współpracy Stevena z Niemcami.

— Uważam, że nie powinniśmy zapraszać Stevena — powiedziała Michelle.

— Przyjechałam właśnie ze względu na niego.

— Sądząc po twoim tonie, czeka nas przykra rozmowa — wymruczała Rose.

— Spodziewałam się czegoś innego.

— Uwier mi, Rose, mnie również jest przykro.

— Cóż, mów, co masz do powiedzenia.

Michelle przedstawiła swoje argumenty. Starła się nie oskarżać Stevena. Sugerowała, że był on tylko nieświadomym pionkiem w rękach nazistów. Ku zdziwieniu Michelle, Rose ani razu jej nie przerwała. Wzdrygnęła się tylko, kiedy usłyszała, że Michelle wymieniła imię Stevena obok nazwisk nazistów.

— W Niemczech dzieją się straszne rzeczy — powiedziała spokojnie Rose.

— Ty zaś twierdzisz, że mój syn zaopatruje nazistowską machinę wojenną.

— Gdybym nie uwierzyła moim informatorom, nie byłoby mnie tutaj—odrzekła Michelle. — Jest mi równie ciężko o tym mówić, jak tobie słuchać.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Porozmawiaj ze Stevenem. Poproś, żeby powiedział ci prawdę.

— Prawda jest taka, że Steven zbudował firmę „Global Europe”. Wysłałam go do Europy, mając nadzieję, że pewnego dnia połączycie siły. Myślałam, że właśnie dlatego przyjechałaś.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam. Gdyby istniało inne rozwiązanie... Rose podniosła rękę.

Proszę, nie bawmy się w sentymenty. Wypytam Stevena o szczegóły

niemieckich operacji. Jeśli jednak udowodni, że nic go nie łączy z nazistami, będziesz mu winna przeprosiny.

Michelle nic nie powiedziała. Nigdy w życiu nie przeprosi Stevena Talbota.

— Dziękuję, Rose, że mnie wysłuchałaś.

Rose pokiwała głową i odprowadziła ją do wyjścia.

— Dopiero kiedy się starzejemy, zaczynamy żałować pewnych rzeczy

— powiedziała. — Uczymy się również, jak nie popełniać dwa razy tego samego błędu. Sądzę, Michelle, że wkrótce osiągniesz ten etap.

Steven Talbot żył w ciągłym strachu, kiedy dowiedział się o przyjeździe Michelle do Nowego Jorku. Nic nie dawał po sobie poznać, jednakże nocami przeglądał księgi rachunkowe, szukając desperacko jakiegoś fałszywego kroku, który zdradziłby wszystko. Siedząc w biurze i czekając na wezwanie Rose, żałował, że nie jest niewidzialny i nie może podsłuchać rozmowy obu kobiet.

Kiedy drzwi się otworzyły, Steven skoczył na równe nogi.

— Szybko poszło — powiedział lekkim tonem. — Co słychać u Michelle? Rose przyglądała mu się w milczeniu.

— Ona twierdzi, że jesteś dostawcą nazistów — powiedziała bez ogródek.

— Czy to prawda?

Steven zarumienił się, a potem udał, że stara się opanować gniew.

— Nie, mam, to nieprawda.

— Chciałabym w to wierzyć — rzekła Rose. — Wciąż jednak nie rozumiem, czemu Michelle cię oskarża. Co ma do zyskania?

Steven wykorzystał okazję.

— Udowodnię ci, że ona kłamie. — Nacisnął guzik interkomu. — Hattie, czy mogłabyś przynieść tu wszystkie księgi „Global Europe”? Tak, wszystkie — dodał.

— Ona kłamie — powtórzył Steven. — Liczby mówią prawdę.

Kilka minut później sekretarka wraz z czterema pomocnicami wniosła do pokoju pudła z księgami i teczkami. Steven wskazał biurko.

— Postaw to tam.

Kiedy sekretarki ułożyły dokumenty na biurku, Rose powiedziała:

— Przynieście nam kawę i kanapki. To będzie długi dzień.

Osiemnaście godzin później, o czwartej nad ranem, Rose przetarła oczy, odsunęła filiżankę zimnej kawy i zamknęła ostatnią księgę. Steven siedział po przeciwnej stronie stołu i przyglądał się jej uważnie. Zdumiała go zimna krew i koncentracja Rose. Matka pracowała w zupełnej ciszy, odzywając się tylko wtedy, gdy prosiła o wyjaśnienie.

— Niech diabli wezmą Michelle! — powiedziała cicho. Steven odetchnął z ulgą.

— Przepraszam, że to trwało tak długo. Wykonałeś wspaniałą robotę, Stevenie. Wybacz, że w ciebie wątpiłam.

Steven wzruszył ramionami.

— Co teraz zrobimy?

— Idź do domu i prześpij się — odrzekła zdecydowanie Rose. — Muszę się spotkać z Michelle. Cassandra stała na balkonie w mieszkaniu Mońka i patrzyła, jak nad Central Parkiem wstaje świt. Późno poszła do łóżka, nie mogła jednak zasnąć. Miała wrażenie, że to wielkie miasto nigdy nie zapada w sen.

Zegar dziadka wybił szóstą. Z kuchni dolatywał kuszący zapach smażonego bekonu i naleśników. Cassandra właśnie zamierzała sięgnąć po sok pomarańczowy, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi.

— Otworzę! — zawołała do Abilene.

W korytarzu stała jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Cassandra kiedykolwiek widziała. Miała na sobie niebieską spódnicę, marynarkę i białą, jedwabną bluzkę z szylkretową broszką. Tylko pasmo siwych włosów zdradzało jej wiek. Cassandra stała z otwartymi ustami. Zabrakło jej słów. Kobieta wydawała się równie zdziwiona, ale kiedy przyjrzała się Cassandrze, jej wzrok złągodniał.

— Ty na pewno jesteś Cassandra — powiedziała.

— Tak...

— Mam na imię Rose. — Przerwała, a potem dodała: — Jestem twoją ciotką. Rose przeszła przez próg, nie odrywając oczu od Cassandry. Przygotowała się na szybką, decydującą konfrontację; była wściekła na Michelle za niesprawiedliwe oskarżenie syna. Zapomniała jednak o wszystkim na widok tej uroczej, zaspanej dziewczynki w różowej koszuli nocnej.

Ma włosy i wzrost Franklina, ale to wszystko — pomyślała Rose.

Duże, błękitne oczy i jasne włosy podkreślały urodę Cassandry. Wyczuwało się w niej dziecięcą niewinność i upór. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że ta dziewczynka zamieni się wkrótce w młodą kobietę. Rose ogarnął nagle żal, że nie ma więcej dzieci. Zwykle starała się unikać tych hałaśliwych i rozkapryszonych istot, Cassandra była jednak wyjątkowa. Dziewczynka wyróżniała się nie tylko urodą. To nieoczekiwane spotkanie głęboko poruszyło Rose.

— Przepraszam... ale cię nie znam — powiedziała Cassandra rumieniąc się. Rose roześmiała się.

— Mogłabym powiedzieć to samo. Mam jednak nadzieję, że uda nam się to zmienić.

— Bardzo bym tego chciała! — powiedziała z zapałem Cassandra.

Znała Rose tylko z dwóch zdjęć, które zawsze stały obok fotografii ojca. Kiedy Cassandra wypytywała o ciotkę, matka udzielała wymijających odpowiedzi. Dziewczynka wyczuła, że Michelle nie lubi mówić o Rose, dlatego nie poruszała więcej tego tematu. Była jednak zaciekawiona.

— Cassandro!

Odwróciła się i zobaczyła za sobą Michelle w długim szlafroku.

— *Maman*, zobacz, kto przyszedł.

— Wiem, *chérie*. Dzień dobry, Rose. Wczesnie dziś wstałaś. — Michelle odwróciła się do Cassandry. — Muszę porozmawiać z twoją ciotką. Abilene przygotowała już śniadanie. Cassandra zrozumiała aluzję, ale nie miała ochoty wychodzić. Impulsywnie podeszła do Rose i pocałowała ją w policzek.

— Chętnie wybrałabym się na zakupy! — wyszeptała i wybiegła.

— Zrobiłaś na niej wrażenie! — powiedziała Michelle.

Rose patrzyła za Cassandrą, muskając dłonią miejsce, w które dziewczynka ją pocałowała.

— Na to wygląda — odrzekła powoli.

— Chcesz kawy? Rose pokręciła głową.

— Wiem, że jest wczesnie i przepraszam, że tak wpadam. Pracowałam jednak przez całą noc i chciałam się z tobą natychmiast zobaczyć.

— Możemy porozmawiać tutaj — rzekła Michelle, wskazując gabinet Mońka. Rose poszła za nią, czując wilgotny, piżmowy zapach, typowy dla kobiety, która przed chwilą się kochała. Ona sama dawno już tego nie robiła. Zbyt dawno.

— Michelle, musisz mi wyjaśnić, dlaczego oskarżyłaś Stevena. To wszystko nieprawda. Osobiście przejrzałam księgi. Firma „Global Europe” w nic się nie wplątała. Michelle otuliła się szlafrokiem.

— Rose, pracownicy „Essenheimer A.G.” ryzykowali własne życie, żeby zdobyć te informacje. Nie byli w stanie przywieźć żadnego dokumentu. Nie mieli jednak powodu, by kłamać. Ostrzegli nas!

— Czy naprawdę oczekujesz, że uwierzę w oskarżenia ludzi, których nigdy nie widziałam?

— Wiesz dobrze, że cyfry i dokumenty można sfałszować! Steven wplątał się w coś okropnego i nie mogę sama go powstrzymać. W ten czy inny sposób zdobędę dowody. Wtedy wszystko będzie zależało od ciebie!

Rose spojrzała na Michelle i uśmiechnęła się smutno, gdyż ujrzała w niej samą siebie sprzed wielu lat.

— Szkoda, że sprawy tak się ułożyły. Miałam nadzieję, że przyjechałaś, bo wpadłaś na ten sam pomysł, co ja.

Rose wyjaśniła, dlaczego wysłała Stevena do Europy.

— Myślałam, że po zbudowaniu „Global Europe” sama dojdiesz do wniosku, że powinniśmy połączyć siły—powiedziała Rose. — Wiem, że w przeszłości źle cię traktowałam. Nie proszę o przebaczenie. To jednak nie znaczy, że mamy się obwiniać przez resztę życia. Sądziłam, że możemy zacząć od nowa.

— Nie miałam pojęcia... — odparła Michelle. — Jeśli tak, to dlaczego Steven umie nie odwiedzić? *Bo w głębi duszy mnie nienawidzi. Nigdy nie chciał realizować twego planu, /uilełalo mu tylko na tym, żeby wprowadzić w życie własne potworne zamiary.* Rose wstała.

— Teraz to chyba nie ma znaczenia, nie sądzisz? Życzę ci szczęścia, Michelle. Masz piękną córkę, którą na pewno kochasz, tak jak ja Kocham Stevena. Proszę, pamiętaj o tym, jeśli jeszcze kiedyś będziemy ze sobą rozmawiać.

Steven Talbot nie posłuchał rady matki. Wrócił do apartamentu na Park Avenue tylko po to, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. O dziewiątej złapał ekspres do Waszyngtonu, a przed obiadem był już w ambasadzie niemieckiej.

— I cóż? — spytał Kurt Essenheimer, obejmując Stevena w prywatnej jadalni ambasadora.

Steven zawahał się, a potem uśmiechnął się drwiąco.

— Nie znalazła nic. Ani jednego cholernego dowodu.

— Jesteś pewien?

— Tak jak tego, że stoję tu przed tobą.

— Nie wiesz nawet, jak się martwiłem — powiedział Essenheimer zmęczonym głosem. — Prawie nie zmrużyłem oka. W każdej chwili spodziewałem się telegramu z wiadomością, że wszystko skończone.

Steven przypomniał sobie długie godziny spędzone w biurze i badawczy, nieufny wzrok matki.

— Przetraliśmy najgorsze — powiedział, napełniając kieliszki. — Wciąż jednak mamy problem z Michelle. Ona nie popuści. Wróci do Europy i będzie zadawać pytania. Co gorsza, jestem pewien, że przyłączy się do niej mąż.

— Musimy ich powstrzymać — stwierdził spokojnie Essenheimer. — Nie ma innego rozwiązania. To przedsięwzięcie jest zbyt ważne dla nas i dla Trzeciej Rzeszy. — Spojrzał na Stevena. — Masz jakiś pomysł, prawda?

Steven skinął głową.

— Nawet kilka. Potrzebuję jednak twojej pomocy.

— Wystarczy, że poprosisz.

W pociągu Steven myślał o Michelle, przypominając sobie wszystko, co o niej wie. To dziwne, że przez tyle lat nie mieli z Franklinem dzieci, a potem...

Nie dawało to Stevenowi spokoju. Bez wątpienia dziecko było kluczem do rozwiązania obecnych problemów.

— Po pierwsze — powiedział Steven — musimy odnaleźć naszego starego przyjaciela, Harry'ego Taylora.

Proszę, Cassandra, nie rób nam trudności. Michelle miała wrażenie, że dzisiejszego dnia wszystko przychodzi jej opornie. Była już pierwsza. „Normandie” odpływała po południu, a ona dopiero zaczęła się pakować. Cassandra w niczym nie pomagała, dąsała się tylko, że musi opuścić Nowy Jork.

— Czemu wyjeżdżamy tak wcześnie? — pytała, powstrzymując łzy.

— Musisz wrócić do szkoły. I tak miałaś długą przerwę.

— Czemu nie mogę przenieść się tutaj? Monk posadził Cassandrę.

— Nie chcę, pączusku, żebyś wyjeżdżała, ale powinnaś się uczyć, a mama musi zająć się pracą. Przyjadę do was za miesiąc, przed Świętem Dziękczynienia. Ten czas upłynie tak szybko, że ani się obejrzysz.

Trochę uspokojona Cassandra wyszła z pokoju, a Michelle zorientowała się, że to nie wszystko, co Monk miał w tej sprawie do powiedzenia.

— Może jednak poczekaś na mnie? Nie chcę, żebyś samotnie walczyła ze Stevenem.

— Proszę, Monk. Nie zamierzam pozwolić, żeby Steven nadal to robił.

— I tylko ty jesteś w stanie mu przeszkodzić? Michelle, proszę cię tylko, żebyś zaczekała.

Zgadzam się: Stevena trzeba powstrzymać. Możemy jednak osiągnąć cel, nie podejmując takiego ryzyka.

— Niewykluczone. Nie ma jednak na to czasu.

Monk zorientował się, że żadne argumenty nie przekonają Michelle. Postanowił ją trochę uspokoić.

Dobrze — powiedział. — Przyrzeknij mi jedno: nie wybierzesz się do Niemiec aż do mojego przyjazdu. W Paryżu będziesz bezpieczna. Warburg przyśle ci wszystkie niezbędne informacje. Nie chcę, żebyś jechała do Berlina.

Michelle miała łzy w oczach, widząc, jak bardzo Monk kocha ją i Cassandrę.

— Dobrze. Obiecuję, że nie opuszczę Paryża, dopóki nie przyjedziesz. Potem jednak...

— Potem będziemy pracować razem — dodał Monk, gładząc ją czule po policzku. — Dojdziemy do sedna sprawy.

Michelle skinęła głową, obejmując mocno męża. Tak będzie lepiej. Cztery lub pięć tygodni to nie tak długo. Dla niej i Cassandry Paryż jest najbezpieczniejszym miastem na świecie.

Hotel mieścił się w ogromnym budynku z granitu, jaki zawsze można znaleźć w pobliżu głównej stacji kolejowej w europejskiej stolicy. W „King's Arms” koło dworca Paddington zatrzymywali się zwykle niezbyt zamożni biznesmeni. Było tam dwieście małych pokoi, pub i wiele sklepów.

Dawniej Harry Taylor nawet by nie spojrzął na „King's Arms”, nie mówiąc już o zamieszkaniu w takim miejscu. Teraz nie miał wyboru.

— Dzięki, kolego.

Harry wręczył funta gońcowi hotelowemu, który miał tyle lat, że mógłby być jego ojcem. W zamian dostał ćwiartkę ginu, trochę lodu, który kosztował więcej niż gin, oraz czyste kieliszki.

— Czy będzie pan jeszcze czegoś potrzebował, sir?

— Nie teraz. Może później zjem obiad.

— Mamy bardzo smaczną pieczeń z tłuczonymi ziemniakami. Na myśl o angielskiej pieczeni Harry'emu zrobiło się niedobrze.

— Dam ci znać.

Harry napił się, zanim zdążył usiąść w wygodnym fotelu przy oknie. Patrzył na ponurą, umazaną sadzą, przeszkloną bramę dworca Paddington. Nigdy nie było tu cicho. Wczesnym rankiem tłum znikał, zawsze było jednak słychać przejeżdżające pociągi. Kiedy nocami rozlegał się hałas, drżał cały budynek od piwnic aż po dach. Na początku Harry sądził, że tego nie wytrzyma. Później jednak odkrył, że przyzwyczał się do podniszczonego pokoju z farbą odpadającą od ścian i wytartym dywanem. Przywykł również do wielu innych rzeczy.

Po ponizającej scenie na przyjęciu urodzinowym Stevena próbował udawać, że nic się nie zmieniło. Inni ludzie nie podjęli jednak tej gry. Urzędnicy, którzy dawniej bez żadnych zastrzeżeń słuchali Harry'ego, teraz zaczęli kwestionować jego polecenia. Kierownicy pomijali jego biuro i wysyłali sprawozdania bezpośrednio do Rose. Po kilku miesiącach Harry nie mógł dłużej ignorować faktu, że stał się w firmie osobą niepotrzebną. Wkrótce zaczął wychodzić z pracy o czwartej, a zaraz potem udawał się do jednego z barów hotelowych.

Pewnego wieczoru podchmielony Harry doszedł do wniosku, że czas stąd wyjechać. Następnego ranka z upartą, pijacką determinacją poszedł do działu płac, wypełnił formularz i powiedział zdziwionemu kasjerowi, żeby wypisał mu czek. Potem udał się do brokera i sprzedał po cenie rynkowej wszystkie papiery wartościowe. W końcu poszedł do banku Chase i kazał przesłać pieniądze z konta do banku Barclays w Londynie.

Następnego dnia zwolnił apartament na Park Avenue i zarezerwował kabinę na statku „Constitution”, który nazajutrz odpływał do Southampton. Zjadł ostatni posiłek w „Oyster Bar” i wznosił toast pożegnalny.

Po przybyciu do Londynu wprowadził się do „Ritza” i poszedł na spacer pod biurowiec Cooków. Stał na rogu ulicy, patrząc z uśmiechem na ogromny znak na szczycie budynku. Cookowie, albo raczej sir Thomas Ballantine, byli winni Harry'emu przysługę. Jeśli zachowa ostrożność, czeka go olśniewająca kariera. Harry nie spieszył się. Poszedł do „Savile Row” i kazał sobie uszyć trzy garnitury. Koszule i krawaty kupił w „Turnbull & Aser”, a u Llewelyna nabył ręcznie robione buty. Pośrednik znalazł Harry'emu piękne mieszkanie w „Mayfair”. W końcu Harry kazał zrobić sobie wizytówki. Dopiero wtedy umówił się na następne popołudnie z sir Thomasem Ballantine'em.

Pokój, w którym sir Thomas spotkał się z Harrym, był równie ciemny jak dawniej. Ballantine również się nie zmienił, chociaż jeszcze bardziej niż kiedyś przypominał egipską mumię.

— Czego pan sobie życzy, panie Taylor?

Harry powiedział niefrasobliwym tonem, że osiągnął już w „Globalu” wszystko, co chciał, i pragnie teraz zbadać nowe horyzonty. Na Lower Broadway miał dostęp do wielu informacji, na pewno mógłby się więc przydać Cookom.

— Doprawdy? — zapytał sucho sir Thomas. — Pozwolę sobie poinformować pana, panie Taylor, że nie lubię zdrajców. Skorzystałem kiedyś z pana usług za odpowiednim wynagrodzeniem. Jeśli o mnie chodzi, nie mamy o czym mówić. Ani teraz, ani w przyszłości. Żegnam pana.

Harry zamierzał protestować, ale nagle do pokoju weszli dwaj dobrze zbudowani mężczyźni.

— Pokażcie panu Taylorowi drzwi.

Od tej pory Harry pogrążał się coraz bardziej. Kiedy odwiedził lady Patrycję l'urmington, mając nadzieję, że dzięki niej uda mu się wejść do londyńskiego towarzystwa, przekonał się, że przyjaciółka wyszła za mąż i spodziewa się dziecka. I jawni znajomi Harry'ego zmienili się. Ci, którzy go pamiętali, nie mieli już wpływów.

Harry usiłował wkraść się w łaski ludzi, którzy potrafiliby mu otworzyć drzwi *włata finansów i handlu. Wydawał wspaniałe przyjęcia w „Cafe Royal”, grał w klubach „Mayfair” i zalecał się do córek wpływowych dygnitarzy — dziewcząt, które mogłyby być jego córkami. Udało mu się zaciągnąć kilka z nich do łóżka, »zybko się jednak przekonał, że one się tylko bawiły, porównując go z młodszymi kochankami.

Harry nie miał również szczęścia, kiedy próbował odnawiać dawne kontakty w świecie finansowym. Wszyscy byli grzeczni, ale dawali niedwuznacznie do /lo/.umienia, że w Londynie nie ma dla niego miejsca.

- Co zrobiłeś, że tak wkurzyłeś sir Thomasa? — spytał jeden z nich. Obawiam się, Harry, że wieści się rozeszły. Ten staruch wyraźnie oświadczył, że kn/dy, kto cię zatrudni, bardzo mu się narazi.

Po kilku miesiącach Harry zaczął panikować. Tracił pieniądze na giełdzie, mając nadzieję, że zdoła wygrać dużą sumę. Jego kapitał topniał. Zrezygnował z mieszkania w „Mayf air” i przeniósł się z powrotem do „Ritza”. Mieszkał tam aż do chwili, w której nie stać go było na zapłacenie miesięcznego rachunku. Od tej pory przeprowadzał się do coraz gorszych hoteli, aż pewnego dnia znalazł się w „King's Arms”.

Czuł się jak sparaliżowany, kiedy myślał o swoim upadku. Pokrzepiając się ginem, zastanawiał się nad tą tragedią. Nie przypisywał jednak winy sobie, lecz zewnętrznym okolicznościom. Rozumiał, że postępowaniem Rose kierowały względy rodzinne. Steven był jej jedynym synem, nie mogła więc postawić go na drugim miejscu. Harry nie winił jej za to. Ale Michelle... Wszystko zaczęło się od tej małej Francuzeczki, która powinna ponieść sromotną porażkę, a nie osiągnąć sukces na europejską skalę. Zazdrościł jej wszystkiego. Kiedy o niej myślał, ogarniał go gniew, potęgowany przez poczucie bezsilności.

Harry opróżnił butelkę ginu, przyniesioną przez starego portiera, wziął kilka szylingów i poszedł do pubu. Zamówił zapiekankę i gorzkie piwo. Miał nadzieję, że zdąży się upić, zanim zabraknie mu pieniędzy. Przełykał właśnie ostatni kęs, kiedy zauważył, że ktoś się do niego przysiadł.

— Cześć, Harry. Dawno cię nie widziałem.

Spojrzał na uśmiechniętego młodzieńca i miał wrażenie, że widzi ducha: był to Steven Talbot. Cassandra McQueen niechętnie opuszczała Nowy Jork. Uwielbiała to miasto, a poza tym zostawiła w nim ojca. Przypominała sobie cudowne czasy dzieciństwa, kiedy podróżowali we trójkę po Europie. Ojciec był dla dziewczynki przyjacielem, bliskim człowiekiem, dzięki któremu czuła się kochana i bezpieczna. W jego towarzystwie również matka stawała się łagodniejsza. Po powrocie do Paryża Cassandra powiesiła nad biurkiem kalendarz i skreślała dni do powrotu ojca. Nie mogła się już doczekać tej chwili. Niepokoiła się również o matkę. Michelle pracowała dniami i nocami. W mieszkaniu ciągle zjawiali się goście — wystraszeni mężczyźni i kobiety, mówiący po niemiecku i po polsku, a także w języku, który, jak się dowiedziała Cassandra, zwał się jidysz. Zostawali czasem na kilka nocy, a potem odjeżdżali. Matka twierdziła, że to przyjaciele jej przyjaciół z Niemiec.

Wracając ze szkoły, Cassandra postanowiła, że wstąpi na lody. Patrzyła, jak madame Delamain nakłada na talerzyk waniliowe kulki, i opowiadała wesoło o wydarzeniach w Ile St-Louis.

Madame Delamain prowadziła również piekarnię, a jej mąż był miejscowym rzeźnikiem. Znała Cassandrę od dziecka i uwielbiała plotki.

— *Alors, ma petite, jeszcze kilka dni, n'est-ce pas?* Cassandra uśmiechnęła się i skrzyżowała palce.

— Nie martw się — madame Delamain postukała się w czoło. Uważała się za nieomyłne medium i lubiła opowiadać o swoich wyczynach każdemu, kto tylko chciał słuchać. Cassandra słyszała już o wszystkim.

— *Merde!* — wykrzyknęła madame Delamain. — Co to za idiota?

Długi czarny citroen zatrzymał się przed lodziarnią, a jego silnik warczał głośno.

— Niech się pani nie martwi, madame — powiedziała Cassandra. — Zobaczę, kto to jest.

Wyszła na chodnik i natychmiast oślepiło ją popołudniowe słońce. Podniosła rękę, żeby osłonić oczy, i usłyszała, jak drzwi samochodu się otwierają.

— *Bonjour, mademoiselle McQueen* — wyszeptał gardłowy głos. Czyjeś ręce chwyciły Cassandre za ramię i wciągnęły do samochodu.

— Nie! — krzyknęła, kopiąc ze wszystkich sił.

Kidnaper zaklął, kiedy but Cassandry trafił go w kolano. Chwycił dziewczynę za włosy i rzucił na podłogę samochodu.

— *Vite, allez!*

Citroen ruszył z piskiem opon. Zanim zniknął za rogiem, madame Delamain zdążyła jeszcze zobaczyć, jak czyjaś ręka zatrząskuje drzwi samochodu.

Po drugiej stronie miasta, w modnej dzielnicy Opera, Steven Talbot raczył się typowo paryskim obiadem. Zaczął jeść o dwunastej, a teraz, o wpół do piątej, właśnie kończył. Oprócz niego przy stole siedziało pięć osób: dwaj mężczyźni, którzy reprezentowali francuskie banki i z upodobaniem grali na wyścigach, oraz trzy piękne dwudziestoparoletnie damy. Dwie z nich były ich kochankami. Trzecia spijała z ust Stevena każde słowo i miała najwyraźniej ochotę zaprzyjaźnić się z tym bogatym, przystojnym i młodym Amerykaninem.

Steven spojrział na zegarek i poprosił o rachunek. Pomimo protestów, bardziej grzecznych niż szczerych, sam uregulował należność i zaproponował blondynce spacer po rue du Faubourg St-Honoré. Wystawy u Cartiera, Hermesa i Chanel bardzo podobały się dziewczynie.

Szczęśliwym trafem hotel Stevena, „Meurice”, znajdował się przy tej samej ulicy.

Michelle pracowała w bibliotece, kiedy usłyszała charakterystyczną syrenę francuskiego samochodu policyjnego. Ten dźwięk przyciągnął jej uwagę, gdyż rzadko się go słyszało w fle St.-Louis. Mówiło się, że jest to jedna z najbezpieczniejszych dzielnic Paryża.

— Jakiś detektyw chce się z panią widzieć—oświadczyła pokojówka Ernestine. Inspektor Savin. Michelle spojrzała na papiery leżące na biurku i odrzekła spokojnie:

— Zaraz przyjdę.

Kiedy usłyszała, że pokojówka zamyka drzwi, zebrała wszystkie dokumenty. Włożyła je do skrytki w biblioteczkę, przejrzała się w lustrze i zaczerpnęła głębokiego oddechu. Czyżby władze francuskie odkryły, że pomaga uchodźcom?

Inspektor Armand Savin był wysokim, bardzo muskularnym mężczyzną w średnim włoku. Miał gęste, siwe włosy, a jego oczy obserwowały świat raczej z podejrzliwością

niż ze współczuciem. Michelle od razu wiedziała, że inspektor należy do ludzi, których niełatwo wyprowadzić w pole.

— Przepraszam za najście, pani McQueen — powiedział Savin, pokazując Michelle legitymację.—Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co się dzieje z pani córką? Michelle była oszołomiona.

— Z Cassandrą? Jest przecież tutaj... Ernestine?

— Nie, madame—odpowiedziała pokojówka. —Nie wróciła jeszcze ze szkoły.

— Powinna już tu być — zaczęła Michelle. — Na pewno zdarzył się wypadek!

— Madame, czy wysyłała pani kogoś po córkę? — spytał spokojnie Savin.

— Nie! Cassandra sama wraca do domu. Co się stało?

— Mech mnie pani uważnie wysłucha, madame. Mamy podstawy sądzić, że pani córka została porwana...

— Nie!

— Madame, proszę mnie posłuchać! Zdarzyło się to niecałe dwadzieścia minut temu, przed lodziarnią pani Delamain. Ona widziała wszystko i natychmiast do nas zadzwoniła. Kidnaperzy mają nieznaczną czasową przewagę. Jeśli wie pani o czymś, co mogłoby nam pomóc, proszę mi natychmiast powiedzieć. Każda minuta jest na wagę złota!

— Nic nie wiem! — krzyknęła Michelle. — Czemu ktoś miałby uprowadzić Cassandrę?

— Właśnie tego chcę się dowiedzieć, madame. Czy otrzymała pani jakieś telefony lub listy z pogrozkami? Czy zauważyła pani obcych w sąsiedztwie? Czy pani córka wspominała, że ktoś ją zaczepiał w drodze do domu?

— Nie, nie, nie! — krzyczała Michelle.

Armand Savin stracił nadzieję. Gdyby ktoś groził tej kobiecie lub jej córce, miałby od czego zacząć. Jednakże w tej sytuacji, bez rysopisu kidnaperów, dysponując jedynie opisem typowego francuskiego samochodu, niewiele mógł poradzić. Twarz Savina nie zdradzała zdenerwowania ani wątpliwości. Wiedział, że od niego zależy, czy matka wpadnie w rozpacz, czy też będzie z nim współpracować.

— Co ma na sobie pani córka, madame? Michelle patrzyła na policjanta jak na wariata.

— Moje dziecko zniknęło, a pan interesuje się modą?

— Madame—powiedział zdecydowanie Savin. —W tym momencie moi ludzie przesłuchują panią Delamain. Inni rozmawiają w szkole z nauczycielami pani córki. Jeszcze inni dzwonią do jej przyjaciół i kolegów, żeby dowiedzieć się, czy wydarzyło się dzisiaj coś niezwykłego. Mój kierowca czeka, żeby zawieźć rysopis i zdjęcie pani córki do Ile de la Cite. Im szybciej to się stanie, tym wcześniej rozprowadzimy zdjęcie po całym Paryżu. —Przerwał.—Może wówczas ktoś zobaczy pani córkę i powiadomi nas o tym.

Michelle patrzyła na policjanta nieruchomo.

— Dlaczego? — wyszeptała. — Dlaczego?

— Nie mam pojęcia, madame. Może pani podsunie nam jakąś wskazówkę. Najpierw musimy się jednak dowiedzieć, jak była ubrana pani córka. Proszę nam pomóc.

45.

W czasach rzymskich Paryż nosił nazwę „Lutetia”, stąd też wzięło się współczesne określenie „miasto światła”. Pod Paryżem rozciąga się jednak inne miasto: katakumby, wijące się przez 188 mil wśród starych kopalń wapienia, kryjówek łajdaków i świętych i ostatnie miejsce spoczynku sześciu milionów dusz.

Właśnie tam w czasie prześladowań święty Denis, patron Francji, celebrował msze dla wiernych. Podczas Czarnej Zarazy w 1348 roku, kiedy w Paryżu więcej było umarłych niż żywych, niedobitki szukały ratunku w katakumbach. W późniejszym okresie przemytnicy wykorzystywali podziemne przejścia, żeby ominąć inspektorów celnych, którzy nie odważali się zapuszczać w tunele. Gaston Leroux upamiętnił katakumby w *Upiorze w operze*, a Wiktor Hugo opisywał je w *Dzwonniku z Notre Dame*. Tylko najodważniejsi Paryżanie mieli odwagę się w nie zapuścić. Łatwo było się zgubić w świecie wiecznej ciemności, a wówczas jedynie cudem udawało się odnaleźć drogę powrotną. W katakumbach ukrywali się złodzieje, mordercy, narkomani i szaleńcy, strzegący zazdrośnie swych terytoriów. Dla nich każdy intruz był łatwą ofiarą. Dziewięćdziesiąt stóp pod centrum Paryża siedział skulony Harry Taylor. Pieczarę oświetlały cztery lampy naftowe. W ścianach tkwiły szczątki pradawnych morskich stworzeń, a na ziemi wałały się kości. Czuć było zapach starych grzybów — najwyraźniej jakiś przedsiębiorczy cataphile uprawiał tu słynne champignons de Paris.

Harry Taylor był zziębnięty i nieszczęśliwy. Miał wprawdzie ciepłą kurtkę, posłanie, koce, żywność i lekarstwa, jednakże wilgoć dawała mu się we znaki. Na wszelki wypadek zaopatrzył się również w broń.

Kolo niego, w spiworze, spała Cassandra McQueen. Harry spojrzął na zegarek i otworzył małą apteczkę. Znajdował się w niej zestaw do udzielania pierwszej

pomocy oraz strzykawki z morfiną. Osiem godzin temu, kiedy dwóch Niemców przytrzymało dziewczynkę w samochodzie, Harry zrobił jej pierwszy zastrzyk. Przyszła pora na drugi. Harry schylił się nad śpiącą dziewczynką. Wyglądała niewinnie i bezbrinnie. Kiedy na nią patrzył, przed oczami stawała mu Michelle.

Do diabła! — pomyślał.

Nie zamierzał wykorzystywać dziecka, żeby zemścić się na tej kobiecie! Zdawał sobie sprawę, że wpłatał się w coś, czego do końca nie rozumiał. Wiedział również, jak nisko upadł. Zastanowił się, czy następna dawka narkotyku jest rzeczywiście potrzebna. Co się jednak stanie, jeśli zaśnie, a Cassandra zbudzi się i ucieknie? Nigdy nie odnajdzie dziewczynki w tym labiryncie. Wszystko będzie stracone.

Harry wbił igłę w szczupłe ramię Cassandry. Oddałby wszystko za drinka, ale to oczywiście było wykluczone. Wrócił na swoje miejsce, upewnił się, że ma pistolet pod ręką, i owinał się kocem. Musiał wytrzymać tylko czterdzieści osiem godzin. Cały czas powtarzał sobie, że następna życiowa szansa warta jest takiej ceny.

W londyńskim pubie Steven Talbot przedstawił Harry'emu prosty i skuteczny plan. Harry pojedzie na wakacje do Paryża i wmisza się w tłum turystów. Potem zaczeka, aż Steven da znać, że nadeszła odpowiednia chwila. W wyznaczonym dniu Harry i dwaj mężczyźni, których tożsamością nie powinien się przejmować, porwą Cassandrę z ulicy i zawiozą do kryjówki w katakumbach.

— Wszystko będzie tam na ciebie czekało — zapewnił go Steven. — Musisz tylko zaopiekować się dziewczynką, a ja się zajmę okupem.

— Okupem? Powiedziałeś przecież...

— To jest porwanie, Harry — powiedział cierpliwie Steven. — Policja będzie się spodziewała, że ktoś zażąda okupu. Musimy przyprzeć Michelle do muru. Oświadczymy jej, że jeśli nie sprzeda swojej firmy „Globalowi” po ustalonej przez nas cenie, nigdy już nie ujrzy Cassandry. Kiedy tylko otrzymam dokument, uwolnisz dziewczynkę.

Harry sięgnął po kieliszek ginu i opróżnił go jednym haustem. Palce mu drżały.

— Nic z tego — westchnął. — To się nie uda... zbyt niebezpieczne.

— Chyba nie rozumiesz — odrzekł chłodno Steven. — Nie masz wyboru.

— Akurat! Mogę po prostu stąd wyjść.

— Prosto do więzienia.

Harry spojrzał na niego z przerażeniem.

— Czy naprawdę sądzisz, że przyszedłem do ciebie bez odrobienia pracy domowej? Szybko cię odnalazłem, Harry. Jeszcze szybciej dowiedziałem się o wygodnej umowie, którą zawarłeś z sir Thomasem Ballantine'em. Jak sądzisz, co zrobiłaby Rose, gdyby dowiedziała się, że wbiłeś nóż w plecy jej drogiemu bratu?

Harry oblizał spierzchnięte wargi.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie bierz mnie za głupca, Harry — powiedział cicho Steven. — Myślisz, że źle z tobą? Obiecuję, że kiedy Rose dowie się o wszystkim, będzie jeszcze gorzej.

Harry wiedział, że Steven Talbot nie blefuje. Patrzył zimno na Harry'ego, a w jego oczach migotały iskierki okrutnej radości.

— Co z tego będę miał?

— Micheile sprzeda mi firmę. Nie matka, lecz ja przejmę kontrolę nad czekami podróznymi. Kieruję już jednak przedsiębiorstwem „Global Europe”, nie mam więc zbyt wiele czasu. Potrzebuję człowieka, który zajmie się czekami. Będziesz dla mnie pracował, Harry. Podbijesz Europę, tak jak chciałeś.

Harry'emu kręciło się w głowie. Steven wyciągnął rękę i poklepał go po plecach.

— Prześpij się, Harry. Spotkamy się jutro o tej samej porze. Z nikim o tym nie rozmawiaj. Jeśli to zrobisz, przysięgam, że cię zabiję.

Po Miku godzinach od uprowadzenia Cassandry McQueen poszukiwania rozpoczęły się na dobre. W radio podano rysopis zaginionej dziewczynki. Na pierwszych stronach gazet ukazały się artykuły o porwaniu, a także zdjęcie Cassandry. Policjanci otrzymali sporządzone naprędce ulotki, które mieli rozdawać w czasie pełnienia służby. Detektywi przeszukiwali domy publiczne, jaskinie gry, nocne kluby i bary. Sam minister spraw wewnętrznych wydał instrukcję: Należy zrobić wszystko, żeby odnaleźć Cassandrę McQueen.

Michelle chodziła po mieszkaniu. Nie mogła uwierzyć, że cały jej świat stanął nagle na głowie. Dwaj uzbrojeni mężczyźni strzegli frontowych drzwi. Dwaj detektywi założyli podsłuch w telefonie, mając nadzieję, że Medya porywacze zadzwonią, uda się ich namierzyć. Trzeci detektyw pochylał się nad magnetofonem, a czwarty metodycznie przeszukiwał pokój Cassandry.

Michelle zamknęła się w sypialni. Patrzyła przez okno na Sekwanę, wysyłając modlitwy ku księżycowi ukrytemu za chmurami. Kto mógł coś takiego zrobić? Dlaczego? Michelle знаła odpowiedź, niestety, nie mogła zwierzyć się inspektorowi Savinowi.

Rose opowiedziała Stevenowi o swoich podejrzeniach. On z kolei zaalarmował Niemców... W zamian za Cassandrę chce czegoś, co tylko ja mogę im dać. Dziewczynka z pewnością jest bezpieczna, bo w przeciwnym razie nie mieliby karty przetargowej.

Kiedy Michelle o tym myślała, wpadała we wściekłość, ale jednocześnie budziła się w niej nadzieja.

Dam im wszystko, jeśli nie skrzywdzą Cassandry. Kiedy jednak córka wróci do domu...

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Savin, a za nim starszy dżentelmen o czcigodnym wyglądzie, w którym Michelle rozpoznała lekarza.

— Poprosiłem doktora Latoura, żeby tu przybył — wyjaśnił Savin. — Może potrzebuje pani czegoś na sen?

Michelle objęła Latoura.

— Dziękuję, ale dobrze się czuję.

Savin przyjrzał się jej krytycznie. Michelle panowała nad sobą pomimo zmęczenia i ostrego przesłuchania, któremu została poddana.

— Naprawdę myślę, że powinna pani odpocząć—powiedział delikatnie Latour. — Przyniosłem łagodny środek nasenny...

— Nie! — odrzekła z naciskiem Michelle. — Chcę być zupełnie przytomna. . . W każdej chwili coś się może wydarzyć, prawda, inspektorze?

Savin schylił głowę.

— Z drugiej strony, sen dobrze pani zrobi — wyjaśnił.

Michelle odwróciła się, ale wcześniej Savin dostrzegł w jej spojrzeniu zdecydowanie i oczekiwanie.

Wie coś, o czym nie mówi.

Armand Savin zadzwonił na dół i powiedział kierowcy, żeby przyniósł trochę kawy. Zamierzał obserwować dokładnie Michelle. Czeka go bardzo długa noc.

Dziewczynka poruszyła się tylko raz, chwytając za opaskę na oczach. Dokuczało jej zimno i wilgoć. Kiedy odwróciła się, ktoś wziął ją za ramię. Poczowała ukłucie. W tym momencie Cassandra miała wrażenie, że umiera.

* * *

Następnego ranka Michelle żałowała, że nie posłuchała rady doktora Latoura. Czowała się tak, jak gdyby ktoś ją pobił. Widząc przygnębienie Ernestine, zorientowała się, że nie ma żadnych wiadomości. Spojrzała przelotnie na gazety i odrzuciła je.

— Depesza przysłała dziś rano, madame — powiedziała poważnie Ernestine, wręczając kopertę.

— Dziękuję.

Od razu wiedziała, kto jest autorem. Zasmucony i wściekły Monk obiecywał, że przyplynie najbliższym statkiem do Francji. Michelle wciąż pamiętała, jak prosił cichym głosem, żeby nie wyjeżdżała bez niego z Nowego Jorku. Czy to zmieniłoby sytuację? Czy Monk byłby w stanie zapobiec porwaniu? Wątpliwości nie dawały Michelle spokoju.

Właśnie przygotowywała sobie drugą filiżankę kawy, kiedy usłyszała hałas w salonie. Wszedł inspektor Savin, kręcąc głową.

— Dzień dobry, madame — powiedział. — Przepraszam za najście, ale minister spraw wewnętrznych czeka na zewnątrz.

— Minister?

— Chcę się upewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Michelle zwróciła uwagę na pogardliwy ton Savina. Nie potrzebował, żeby wścibscy politycy wtrącali się do śledztwa. Michelle współczuła Savinowi. Niech wejdzie. Zajmę się tym.

Inspektor Savin uśmiechnął się z wdzięcznością i wpuścił do środka tęgiego, łysiejącego ministra, który wyciągnął ręce do Michelle.

— Madame, jestem niepokieszony! — wykrzyknął.

Michelle nie patrzyła jednak na niego. Za ministrem stał Steven Talbot.

— Steven!

— Cześć, Michelle. Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Oczy Michelle zabłyśły.

— Co tu robisz?

— W zeszłym tygodniu przyjechałem do Paryża — powiedział spokojnie Steven. — Kiedy tylko usłyszałem, co się dzieje, skontaktowałem się z matką. Kazała mi zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Pan minister był tak przejęty, że postanowił osobiście się tu zjawić i sprawdzić, jak przebiega dochodzenie.

Michelle kręciło się w głowie. Wysłuchiwała ministra, a potem odezwała się do Stevena.

— Kiedy przyjechałeś do Paryża?

— Powiedziałem przecież, że w zeszłym tygodniu. W czasie porwania jadłem lunch z przyjaciółmi. Uwierz mi, Michelle, przejmuję się tą tragedią tak samo jak ty.

Michelle z trudem opanowała gniew. Patrzyła podejrzliwie na Stevena. Zjawił się tu z wygodnym alibi.

Wiedziała, że zarówno minister, jak i inspektor Savin byli zdziwieni jej wrogością wobec Stevena.

— Dziękuję za troskę, Stevenie — powiedziała zimno. — Proszę, podziękuj Rose w moim imieniu. Jak widzisz, policja robi, co może.

Michelle szybko przetłumaczyła ostatnie zdanie ministrowi, który rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Oczywiście, niczego innego nie oczekiwałem”.

— Proszę, Michelle — powiedział Steven wychodząc. — Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, zadzwoń do mnie. Mieszkam w „Meurice”.

Po wyjściu gości inspektor Savin spojrzał uważnie na Michelle.

— Są między wami jakieś animozje? — zapytał.

— To zdarzyło się dawno temu, w Nowym Jorku, i nie ma nic wspólnego z obecną sytuacją.

— Na pewno, madame?

— Na pewno.

Inspektor wzruszył ramionami. Obydwoje wiedzieli, że jej nie uwierzył.

O czwartej po południu, dokładnie dwadzieścia cztery godziny po porwaniu, dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie w dwóch różnych dzielnicach Paryża.

Na Faubourg St.-Honoré dobrze ubrany mężczyzna o ciemnej cerze wszedł do biura banku Rothschild & Fils. Wręczył sekretarce zapieczętowaną kopertę i powiedział, że sprawa jest bardzo pilna i poufna. Sekretarka zaniósła kopertę Emilowi Kothschildowi i natychmiast wybiegła, aby powiedzieć mężczyźnie, że bankier chce z nim porozmawiać. Posłaniec jednak zniknął.

Madame Delamain właśnie zamierzała zamknąć sklep, kiedy ktoś zadzwonił do lodziarni.

— Przepraszam, monsieur, ale..

— To nie potrwa długo—powiedział mężczyzna o ciemnych oczach.—Słuchaj uważnie, bo w przeciwnym razie *la petite filie* umrze. Wiesz, o kim mówię?

Przeżrana madame Delamain skinęła głową.

— Zamkniesz sklep o zwykłej porze. Potem przygotujesz ciasto i zanieziesz je madame McQueen.

Pod ciastem umieścisz to.

Wręczył jej zapieczętowaną kopertę.

— Ale policja... — zaprotestowała.

- Policja cię zna - syknął mężczyzna.-Jesteś dobrą samarytanką i przysłaś pocieszyć nieszczęśliwą matkę. Powiedz madame, że upiekłaś wspaniałe ciasto. Powiedz jej również, że ma dokładnie wykonać wszystkie instrukcje. Jeśli tego me zrobi lub jeśli ty popełnisz jakiś błąd, *la petite* umrze!

— Cześć, Emilu.

— Michelle! Cieszę się, że dzwonisz. Dobrze się czujesz?

— Tak. Prawdę mówiąc, otrzymałam wiadomości, które budzą pewne nadzieje.

— Ja również.

— Czy moglibyśmy jutro o tym porozmawiać?

— Chyba powinniśmy.

— Dobranoc, Emilu.

— Dobranoc, *ma chirie*. Odwagi.

Nazajutrz Michelle wstała o czwartej rano. Włożyła luźne, wygodne ubranie, które przygotowała zeszłego wieczoru, i poszła cicho do kuchni. Słyszała chrapanie detektywa i ciche pogwizdywanie Ernestine. Otworzyła drzwi i zeszła po ciernych wąskich, krętych schodach prowadzących do wejścia dla dostawców. Zadrżała, kiedy poczuła chłód nadchodzącego poranka.

To szaleństwo!

Była to jednak jedyna szansa. List, ukryty pod ciastem, zawierał instrukcje zwięzłe i szczegółowe. Autor dawał jasno do zrozumienia, że jeśli Michelle chce odzyskać Cassandrę, musi dokładnie je wykonać. Michelle me przyszło nawet do głowy, że mogłaby powiedzieć o wszystkim inspektorowi Savmowi. Życie Cassandry

znalazłoby się wówczas w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Ominęła śmietnik, przeszła koło drewnutni i rozejrzała się. Przed domem stał wóz policyjny.

Kierowca spał. Michelle upewniła się, że nikogo więcej nie widać, a potem pobiegła szybko wzdłuż ulicy, cały czas kryjąc się w cieniu.

Paryskie metro nie jeździło o tej porze, Michelle знаła jednak lokal na bulwarze St. Michel, gdzie nocni taksówkarze pili kawę i calvados przed powrotem do domu.

Zaproponowała potrójną opłatę każdemu, kto zabierze ją na Denfert-Rochereau, i wkrótce taksówka mknęła już przez puste ulice. Przyjechali na plac, gdzie znajdowała się jedna z głównych stacji metra. Michelle zeszła do podziemnego przejścia dla pieszych i stanęła przed zamkniętą na kłódkę metalową bramą.

— Co teraz zrobimy?

Serce podeszło Michelle do gardła.

— Nie chciałem cię przestraszyć — powiedział Emil Rothschild, obejmując przyjaciółkę.

— Właśnie odebrałeś mi kilka lat życia—zbeształa go Michelle.—Przyniosłeś pieniądze?

Bankier, którego ściągnięta twarz świadczyła o nie przespanej nocy, wręczył Michelle grubą paczkę owiniętą w biały papier.

— Milion franków — powiedział. — Co się teraz stanie? Michelle uśmiechnęła się z przymusem.

— Muszę zejść do katakumb. Rothschild zbladł.

— Nie, to niemożliwe! Na miłość boską, Michelle, tam na dole jest prawdziwy labirynt. Możesz się zgubić...

— Podali mi dokładne wskazówki.

— Będziesz zupełnie sama!

— Tak musi być, Emilu. Nie mam wyboru.

— Nie mogę ci na to pozwolić — powiedział uparcie bankier. — Powinniśmy wezwać policję.

— Wiesz przecież, co się wówczas stanie. Kidnaperzy wybrali katakumby, bo będą mogli obserwować moje przybycie. Od razu się zorientują, że ktoś za mną idzie.

— To potworne!

Michelle włożyła pieniądze do torebki.

— Muszę iść, Emilu. Zrobiłeś to, co trzeba. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mogła.

Pocałowała go lekko w policzek i odeszła nie odwracając się.

Proszę, niech Cassandre nic się nie stanie—modliła się, a serce biło jej mocno.

Głośny dzwonek telefonu wyrwał Armanda Savina z lekkiego snu.

— *Oui?*

— Inspektor Savin? Tu Steven Talbot. Savin natychmiast otrzeźwia!

— O co chodzi, panie Talbot?

— Nie jestem całkiem pewien, inspektorze. Właśnie wychodziłem z mieszkania przyjaciela, kiedy zobaczyłem, jak Michelle, to znaczy madame McQueen idzie na Ntucję metra Denfert-Rochereau. Pomyślałem...

— Niech pan nie odkłada słuchawki, monsieur Talbot.

Savin wstał i pobiegł do sypialni Michelle. Zaklął na widok pustego łóżka. Szybko wrócił z powrotem do telefonu.

— Kiedy ją pan widział, monsieur?

— Jakies pięć minut temu. Dzwonię do pana z budki telefonicznej na stacji.

— Metro jest zamknięte — powiedział Savin raczej do siebie niż do Talbota.

— Czy widział pan, dokąd poszła?

— Do podziemnego przejścia dla pieszych, inspektorze. Coś tu jest nie tak, prawda? *Masz słusność, mon ami.*

Wczorajsza reakcja Michelle na widok Stevena Talbota wiele powiedziała inspektorowi. Sprawdził nawet, czy Amerykanin rzeczywiście jadł obiad w podanym miejscu i czasie. Alibi się zgadzało, to jednak nie uspokoiło Savina. Stosunki między Michelle McQueen a Stevenem Talbotem nie układały się najlepiej. Savin był przekonany, że miało to coś wspólnego z porwaniem. Postanowił sprawdzić, gdzie Steven Talbot spędził noc. To rzeczywiście niezwykle zbieg okoliczności, że zauważył Michelle McQueen na Denfert-Rochereau. Może zbyt niezwykle.

— Czy chce pan, żebym za nią poszedł, inspektorze? — spytał Steven Talbot.

— Nie—odrzekł zdecydowanie Savin. — Proszę zostać na miejscu, dopóki nie przyjadę.

Natychmiast wyruszam.

— Ale inspektorze...

— Niech pan robi, co mówię — Savin odłożył słuchawkę. *Jakie, do diabła, są jej zamiary?*

Savin starał się znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale reszta była dla niego jasna. W jakiś sposób porywaczom udało się przysłać list z instrukcjami i żądaniem okupu. Savin usiłował przypomnieć sobie, kto przebywał w mieszkaniu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Jedynymi cywilami byli gospodyni Ernestine, doktor Latour i kobieta z piekarni, madame Delamain. Savin natychmiast wykluczył pierwsze dwie osoby. Gospodyni nigdzie nie wychodziła, a Latour, bez względu na okoliczności, nie naraziłby zdrowia pacjentki. Kurierem mogła być tylko madame Delamain.

Przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha, Savin starał się włożyć marynarkę. Kiedy połączono go z komisariatem, zażądał, aby wysłano dwa radiowozy na Denfert-Rochereau.

— Powiedźcie policjantom, żeby na mnie poczekali — powiedział i dodał:

— Niech wezmą broń.

Denfert-Rochereau... Metro jest przecież zamknięte, ta kobieta nie idzie więc na stację ani do tunelów kolejowych. Co jeszcze się tam znajduje? Kierowca Savina obudził się, słysząc głośne stukanie w szybę.

— Denfert-Rochereau! — wykrzyknął Savin. — Co tam jest? Zaspany detektyw miał wrażenie, że jego szef postradał zmysły.

— Metro!

— Idiota! Detektyw ziewnął.

— Są tam również katakumby. Mój syn wciąż prosi, żebym mu je pokazał.

— Otóż to!

Savin chwycił radiotelefon i połączył się z komisariatem. Dwie minuty później podano mu nazwisko geologa z Generalnej Inspekcji Kopalń, agencji miejskiej nadzorującej katakumby od osiemnastego wieku.

— Znajdźcie jej adres i natychmiast wyślijcie po nią samochód! — warknął Savin. — Tak, teraz! Jeśli ktoś będzie robił trudności, odeślijcie go do ministra spraw wewnętrznych. Chcę, żeby zjawiała się na Denfert-Rochereau za pół godziny. — Odwrócił się do kierowcy. — Na co czekasz? — burknął.

Gdyby na stalowych drzwiach nie widniał znak, opisany w Uście, Michelle nie zwróciłaby na nie uwagi. Brama wyglądała tak, jak gdyby była zamknięta na amen. Kiedy jednak Michelle popchnęła mocno drzwi, uchyliły się nieznacznie, tworząc wąską szczelinę, przez którą mogła się prześlizgnąć.

Michelle zrobiła dwa kroki w kompletnej ciemności i krzyknęła, kiedy dotknęła stopą czegoś miękkiego. Uklękła i namacała szorstkie płótno. Szybko rozpięła torbę i wyjęła z niej dużą, silną latarkę. Do rączki przypięta była mapa.

Dzięki Bogu!

Przy świetle latarki poczuła się raźniej. Starła się nie zwracać uwagi na dźwięki dochodzące z ciemności: plusk wody kapiącej ze stalaktytów, pisk szczurów i stworzeń, których nawet nie chciała oglądać. Przyglądała się uważnie mapie. Zgodnie z obietnicą porywaczy, mapa była na tyle szczegółowa, że Michelle mogła odnaleźć drogę w labiryncie. Rozejrzała się i ruszyła do przodu.

Marsz był powolny i trudny. Przed każdym zakrętem Michelle dokładnie studiowała mapę. Kamienne podłoże pod jej stopami było gładkie jak szkło. Od czasu do czasu musiała się czołgać przez wąskie tunele. Ogarniała ją coraz większa klaustrofobia.

Cassandra... Myśl tylko o Cassandrze.

Straciła poczucie czasu. Miała wrażenie, że posuwa się bardzo wolno, nie mogła jednak iść szybciej. Dwa razy niewiele brakowało, a skręciłaby w niewłaściwą stronę. Od tej chwili przez cały czas trzymała mapę w świetle latarki.

Kiedy podeszła do ostatniego zakrętu, dostrzegła światło, odbijające się na wilgotnej skale. Przecisnęła się przez wąski korytarz i weszła do pieczary o ścianach koloru piasku. Wśród lamp naftowych stał człowiek w ciemnym kapturze.

— Kim jesteś...?

Michelle krzyknęła i pobiegła do przodu. Nie dbała o to, że mężczyzna trzymał pistolet i kazał jej się cofnąć. Obok niego w śpiworze leżała dziewczynka, która odwróciła twarz w kierunku Michelle. Jej oczy zasłaniała opaska. To była Cassandra.

Steven bez problemu odnalazł pieczarę. Nauczył się trasy na pamięć. To on kazał Hurry'emu Taylorowi sporządzić mapę. Szedł drogą, którą kilka minut temu przebyła Michelle i wkrótce znalazł się w grocie. Michelle pochylała się nad Casandrą, trzymając na kolanach głowę córki. Dziewczynka jęknęła.

— Powiedziałem ci przecież, że masz jej wstrzyknąć morfinę — rzekł Steven.

Michelle patrzyła na niego zdumiona.

— Steven! —Potem dotarł do niej sens jego słów. —Morfinę... Co o tym wiesz? Kim on jest?

Michelle wskazała tajemniczą postać z pistoletem.

— Na miłość boską, Harry, zdejmij ten śmieszny kaptur! —powiedział Steven.

— Harry?

Michelle nie rozumiała, co się dzieje. Miała wrażenie, że cały świat stanął na głowie.

— Ty porwałeś Cassandrę?

— Sprytny jesteś, Stevenie! —krzyknął Harry, zdejmując kaptur. —Obiecałeś, że ona nigdy się nie dowie, kto to zrobił!

Michelle osłupiała na widok Harry'ego. Patrzyła to na jednego, to na drugiego mężczyznę i ogarniał ją gniew.

— Co wy, na miłość boską, wyprawiacie?!

— Czemu jej nie powiesz, Harry? — zaproponował Steven, przysuwając się do światła. — Tylko się pospiesz. Policja na pewno jest niedaleko.

— Daj nam po prostu kontrakt — warknął Harry.

— Kontrakt? O czym ty mówisz? Chcieliście tylko pieniędzy! — Wręczyła Harry'emu paczkę. — Dalej, otwórz. One tam są!

Harry z wściekłością rozdarł opakowanie.

— Co to ma znaczyć, do diabła?! Nie chcieliśmy pieniędzy! Miałaś nam oddać firmę!

— Nie wiem, o co ci chodzi.

W Michelle obudziła się nadzieja, kiedy Steven wspomniał o policji. Jeśli rzeczywiście policjanci się zbliżali, to musiała zająć tych mężczyzn rozmową i wykorzystać ich nieporozumienie.

— Cóż, wygląda na to, że nastąpiła zmiana planów — powiedział Steven.

— Co chcesz przez to powiedzieć?!

— Harry, Harry—zbeształ go Steven.—Ona nas przechytrzyła. Widziała nasze twarze. Nawet ty powinienes zrozumieć, że nie możemy jej wypuścić.

— Nic nie napisaliście o kontrakcie! —krzyknęła Michelle.—Chcieliście tylko pieniędzy!

Cassandra uniosła głowę i jęknęła:

— *Mamon...*

— Już dobrze, kochanie. Jestem przy tobie. Wkrótce będziemy bezpieczne. Oszołomiony Harry patrzył na Stevena.

— Jeśli jednak nie możemy ich wypuścić...

— Właśnie, Harry. Musisz je zabić. Harry pokręcił gwałtownie głową.

— Nie mogę! Nie takie były nasze plany! Obiecywałeś, że nikomu nie stanie się krzywda!

— We Francji za porwanie idzie się na gilotynę — powiedział cicho Steven.

— Jeśli ich nie zabijesz, czeka cię śmierć.

Patrząc w bezlitosne oczy Stevena, Harry zrozumiał, że od samego początku o to mu właśnie chodziło. Uwierzył przedtem Stevenowi tylko dlatego, że znalazł się w pułapce. Był zbyt przerażony, żeby zadawać pytania i słuchać głosu sumienia.

— Wiedziałeś, że to się tak skończy — wymruczał Harry, podnosząc broń.

— Chciałeś, żeby mnie zobaczyła, tak abym musiał ją zabić.

— Obie, Harry — poprawił Steven. — Obie muszą umrzeć.

Harry zaczynał widzieć swoją przyszłość w coraz ciemniejszych barwach. Nigdy nie otrzyma następnej szansy. Wtrąca go do mrocznej celi, w której będzie musiał czekać na egzekucję. Ogarnęło go przerażenie. Nigdy do tego nie dopuści. Ucieknie raczej na koniec świata.

Harry wstał.

— Zwiewam stąd. Możesz robić, co chcesz.

— Nie bądź głupcem! Nie wyjdiesz stąd żywy!

— To ty zawiadomiłeś policję — powiedział ochryple Harry. — Wiedzą, gdzie nas szukać. Zjawia się tu jednak dopiero wówczas, kiedy zabiję Michelle... i Cassandrę. Wtedy mnie wydasz i zostaniesz bohaterem. Policja ci uwierzy. Czemu nie? Jestem przecież przegranym pijakiem. Właśnie dlatego wybrałeś mnie do tej roboty.

Steven skoczył i złapał Harry'ego za rękę, w której trzymał broń. Obaj mężczyźni upadli na twarde, wapienne podłoże, walcząc o pistolet. Michelle wykorzystała szansę. Chwyliła Cassandrę i podniosła ją z jękiem.

— Proszę, *chérie*, musisz iść. Chodź, Cassandra! Michelle ruszyła po śliskiej podłodze, obejmując córkę.

— Jeszcze trochę, kochanie, proszę...

Kiedy rozległ się głośny strzał, pomyślała na początku, że to wybuchła jedna / lamp. Miała wrażenie, że czyjaś ogromna ręka popycha ją do przodu. Upadła na wilgotną, kamienną posadzkę. Czowała ostre pieczenie w kręgosłupie.

— Cassandra! — krzyknęła słabo. Drapała palcami skałę, starając się dosięgnąć córki.

Kiedy pistolet wypalił, Steven i Harry przestali nagle walczyć. Steven pierwszy przyszedł do siebie. Udało mu się wykręcić rękę Harry'ego, tak że lufa skierowana była teraz w pierś przeciwnika.

— Zegnaj, Harry — mruknął Steven, patrząc w przerażone oczy Harry'ego i naciskając spust.

Krew ochlapała Stevena. Odepchnął od siebie Harry'ego. Kiedy ucichło echo wystrzału, Steven usłyszał krzyk dziewczynki i dobiegające z oddali męskie głosy. Wstał i ruszył ku Cassandrze, aby roztrzaskać jej głowę o skałę.

Huk wystrzału przerwał narkotyczne otępienie Cassandry. Dziewczynka zawołała matkę i starała się do niej zbliżyć. Wzdrygnęła się, kiedy namacała ręką jakiś gorący przedmiot.

— *Maman!*

Cassandra starała się zerwać z oczu opaskę. Nagle przygniótł ją jakiś ciężar. Poczula na policzku ciepły oddech. Ktoś złapał dziewczynkę za włosy i przycisnął jej twarz do skały, aż prawie straciła przytomność.

Nie mogę umrzeć... nie umrę.

Cassandra wyciągnęła rękę w kierunku gorącego przedmiotu, którego przed * chwilą dotykała. Krzyknęła, kiedy zacisnęła dłoń na lampie naftowej. Ostatnim desperackim wysiłkiem skoczyła w bok, uniosła wysoko lampę i uderzyła prześladowcę.

Kątem oka Steven dostrzegł niebezpieczeństwo, zaskoczył go jednak gwałtowny ruch Cassandry. Wyciągnął rękę, ale było już za późno. Szkło pękło, a płonąca nafta zalała mu twarz.

Steven krzyknął z bólu i odtrącił Cassandrę. Tarzał się, wrzeszczał i próbował ugasić ogień. Kiedy nadeszli policjanci prowadzeni przez inspektora Savina, ujrzeli z przerażeniem klęczącego mężczyznę, który odchyłał głowę do tyłu jak w modlitwie, a jego twarz była prawie niewidoczna za ścianą płomieni.

Część piąta

46.

Na początku czuła tylko zapachy — maści, środka dezynfekującego, alkoholu. Potem dotarły do niej wrażenia dotykowe. Miała na sobie sztywny strój, drażniący delikatną skórę na piersiach. Szorstka, wykrochmalona pościel ocierała się nieprzyjemnie o nagie ramiona. Cassandra otworzyła oczy i natychmiast je zmrużyła, oślepią blaskiem słońca. Spojrzała na białą poręcz łóżka, potem przeniosła wzrok na prosty drewniany krzyż wiszący na ścianie.

— Cassandra... pączuszk.

Dziewczynka łkała cicho. Cieszyła się, że może płakać, gdyż przed chwilą sądziła, że oślepla.

Kiedy odwróciła głowę, ujrzała ojca siedzącego przy łóżku.

— Wszystko będzie dobrze, pączuszk. Nie martw się.

— Mama...

Głos Cassandry był słaby, ale musiała zadać to pytanie. Spróbowała usiąść, a Monk pomógł jej delikatnie. Podniósł do ust córki kubeczek z wodą.

— Gdzie ja jestem?

— W szpitalu. Jesteś bezpieczna i zdrowa. Spałaś jak susel.

Cassandra uśmiechnęła się, lecz słowo „spałaś” przypomniało jej o koszmarze. Pamiętała zimną i wilgotną posadzkę, cienie tańczące na ścianach, męskie głosy, lampę oświetlającą kroplę na końcu igły.

— Już po wszystkim — powiedział Monk. — Jesteś bezpieczna. Cassandra rozejrzała się po sali.

— Gdzie jest *mamon*? Monk przestał się uśmiechać.

— Gdzie ona jest?

— Lekarze zaopiekowali się nią. Wyzdrowieje.

Cassandra zauważyła jednak, jak przygaszony jest wzrok Mońka i domyśliła się prawdy.

Kiedy zajrzała pielęgniarka, zobaczyła, że duży, łagodny mężczyzna i drobna,

jasnowłosa dziewczynka przytulają się do siebie, jak gdyby byli ostatnimi ludźmi na świecie. Pielęgniarka pamiętała o otrzymanych poleceniach, odwiedziła jednak trzech innych pacjentów, zanim w końcu wezwała detektywa.

W innym skrzydle szpitala Steven Talbot leżał bez ruchu w takim samym łóżku. Jego ręce i twarz spowijał bandaż. Był przytomny, ale oczy miał zamknięte. Całą siłą woli walczył z bólem, który przenikał go do kości. Oprócz bólu Stevena dręczył również strach. Nie wiedział, co inni ludzie myślą o wydarzeniach w katakumbach. Nagle usłyszał czyjś głos.

— Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nawet w czasie wojny.

— Dziwię się, że jeszcze żyje — odrzekł drugi mężczyzna.

— Głupiec, sam poszedł za porywaczami. Bohater, ale głupiec.

— Savin chce z nim porozmawiać, kiedy tylko odzyska przytomność. Steven usłyszał prychnięcie drugiego mężczyzny.

— Do diabła z Savinem! Ten facet ma ważniejsze sprawy na głowie niż składanie zeznań.

— Savin chce wiedzieć, czy on będzie mógł mówić.

— Mówić? Z pewnością. Nie wiem tylko, co się stanie, kiedy przejrzy się w lustrze. On już nie ma twarzy...

Głosy umilkły, a Steven usłyszał cichy trzask zamka. Leżał nieruchomo, czując zimno na twarzy i dłoniach. *On już nie ma twarzy...* Właśnie wtedy zaczął krzyczeć.

Monk stracił nadzieję, kiedy zobaczył krew na fartuchu chirurga. Lekarz wziął go pod ramię i zaprowadził do pustego biura. Zanim się odezwał, zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

— Był to wyjątkowo złośliwy rodzaj pocisku. Kula eksplodowała i rozprysła się po trafieniu w cel. Uszkodziła pacjentce kręgosłup i serce, a także przebiła jedno płuco. Tylko siła woli trzyma pańską żonę przy życiu.

Monk zwiesił głowę.

— Jakie są jej szanse?

— Niestety, nie umiem powiedzieć, monsieur.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Oczywiście.

Kiedy leżała w łóżku, wydawała się bardzo mała. Monk nieśmiało wyciągnął rękę i dotknął policzka Michelle. Dopiero kiedy poczuł jej oddech, uwierzył, że żona wciąż żyje.

Och, Michelle, wróć do mnie!

Monk stracił poczucie czasu. Kiedy znów podniósł głowę, była już noc. Przez ciche szpitalne korytarze poszedł do pokoju Cassandry. Porozmawiał z pielęgniarką, upewnił się, że córka dobrze się czuje i posiedział z nią przez chwilę. Potem udał się

do kaplicy. Monk nie był religijny, pamiętał jednak z dzieciństwa pewną modlitwę. Modlił się teraz i płakał, bo nic więcej nie miał żonie i córce do zaoferowania. Później wyszedł, kupił kwiaty od Cyganki i przyniósł je do pokoju Michelle. Trzymał ją za rękę i pragnął uwierzyć, że nawet jeśli go nie widzi i nie słyszy, to i tak czuje zapach kwiatów i wie o jego obecności.

Patrzył, jak księżyc wychodzi zza chmur, a jego światło pada na twarz Michelle. Nawet nie drgnęła. Nie obchodził jej księżyc. Odeszła.

Monk uściskał mocniej dłoń żony. Nie, wciąż była ciepła. Właśnie miał cofnąć rękę, kiedy poczuł, że Michelle odwzajemnia uścisk. Otworzyła oczy.

— Cassandra...?

Monk przysunął się do niej.

— Dobrze się czuje. Obie będziecie zdrowe. Michelle wyciągnęła rękę i otarła mu łzy.

— Nie wolno ci płakać — wyszeptała. — Musisz być silny dla Cassandry. — Skrzywiła się z bólu.

— A także dla mnie.

— Jestem tu dla ciebie, Michelle.

Długo milczała. Kiedy Monk już myślał, że znowu straciła przytomność, odezwała się zniecka:

— Zimno mi, kochanie. Proszę, przytul mnie. Monk ukląkł przy łóżku i delikatnie objął żonę.

— Kocham cię, Monk. Zawsze będę cię kochać. Proszę, bądź silny.

— Będę, kochanie. Przysięgam.

Długi, powolny dreszcz wstrząsnął ciałem Michelle. W ostatniej chwili otworzyła szeroko oczy i uniosła głowę. Potem opadła na łóżko. Zanim odeszła, zdążyła się jeszcze uśmiechnąć do Mońka.

— Przykro mi, mademoiselle — powiedział inspektor Savin. — Jednakże wszystko, co możesz powiedzieć, bardzo nam ułatwi śledztwo.

Oczy Cassandry były suche, ale słone łzy wciąż paliły jej policzki. Teraz już wiedziała. Mama nie żyje. Monk jej powiedział. Została śmiertelnie postrzelona, gdy starała się wynieść córkę z pieczary. Umarła tego samego ranka, kiedy Cassandra odzyskała przytomność.

Muszę teraz jej pomóc, tak jak ona mi pomogła. Mama nie może mówić. Muszę to zrobić za nią.

— Czy widziałas twarze porywaczy? — spytał detektyw.

Cassandra pamiętała, że nagle znalazła się w samochodzie, ktoś ją uderzył, a ona walczyła ze wszystkich sił.

— Nosił czarny kaptur...

Uklucie igły, utrata przytomności, koszmar. - Byłam nieprzytomna...

— Wiemy — powiedział łagodnie Savin. — Może jednak pamiętasz, co się działo tuż przed przybyciem policjantów?

— Nic nie widziałam. Słyszałam *maman*.

— Czy wymieniła jakieś imię?

— Harry... Powiedziała „Harry”.

Savin spojrział na Mońka. Twarze obu mężczyzn stężały.

— Czy powiedziała coś jeszcze, Cass? — spytał z naciskiem Monk.

— Nie pamiętam — wyszeptała Cassandra. — Był straszny hałas. Ktoś się na mnie rzucił. Złapałam jakiś gorący przedmiot... i uderzyłam go.

— W porządku—rzekł szybko detektyw. — To wszystko, co musimy wiedzieć. Proszę, postaraj się odpocząć. Później możemy porozmawiać.

— Nie chcę odpoczywać! — krzyknęła Cassandra. — Boję się zamknąć oczy. Monk, proszę!

— W porządku, pączusku — pocieszył ją. — Nie musisz spać. Obiecuję, że pielęgniarka nie da ci żadnej tabletki, jeśli nie będziesz chciała. Zajmę się teraz paroma sprawami... — poczuł, że córka ściska go mocniej — ...ale wrócę. Nigdy cię nie opuszczę, Cass. Przrzekam.

Kiedy wyszli z pokoju, Monk McQueen gryzł zębami cygaro. Zapalił je dopiero na balkonie. Detektyw uważnie obserwował Mońka. Kilka godzin temu ten mężczyzna patrzył na śmierć żony. Teraz był świadkiem cierpienia córki. Monk McQueen żył w tym momencie tylko gniewem. Savin zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma.

— Cassandra nic więcej nie wie — powiedział Monk. — Ci ludzie dali jej tyle morfiny, że prawie ją zabili.

— „Ci ludzie”? — spytał Savin.

— Wspólnicy Harry'ego Taylora.

— Proszę mi o nim opowiedzieć.

Monk zrobił to, a kiedy skończył, Francuz był już pewien, że Harry Taylor jest człowiekiem, którego poszukują.

— Mamy więc motyw. — Savin wręczył Monkowi kartkę papieru. — Oto lista rzeczy znalezionych w katakumbach. Jest tu bilet na prom, na którym widnieje nazwisko Harry'ego. Musiał pokazać paszport, żeby go kupić.

— Albo jest głupcem, albo nie spodziewał się, że zostanie złapany.

— Czy byłby w stanie wymyślić i przeprowadzić tak skomplikowany plan? Monk pokręcił głową.

— Już nie. Był alkoholikiem. Nie wiem, co robił w Londynie, ale w Nowym Jorku stoczył się na dno.

— Wkrótce dostaniemy wiadomość z Londynu. Scotland Yard z nami współpracuje. — Savin przerwał. — Jeśli jednak, jak pan mówi, Taylor nie mógł działać w pojedynkę, to kto mu pomagał?

— Czemu nie zapyta pan o to Stevena Talbota! Savin wzdrygnął się, widząc wściekłość Amerykanina.

— To nie takie proste, *mon ami* — Savin wyjął cygaro z dłoni Mońka i zgasił je. — Chodźmy. Obaj mężczyźni szli szybko ku wschodniemu skrzydłu szpitala. Kiedy przekroczyli próg oddziału poparzeń, Monk poczuł kwaśny odór. Ten zapach przypominał mu dawne czasy, pola bitewne, na których palili się ludzie.

Zanim weszli do prywatnego pokoju Stevena, Savin chwycił Mońka za łokieć.

— Niech pan na razie nic nie mówi. Najpierw musimy ocenić sytuację. Kiedy Monk wszedł do środka, zrozumiał ostrzeżenie Savina. Przy łóżku Stevena stała Rose Jefferson.

Monk McQueen nigdy jeszcze nie widział Rose w takim stanie — zagubionej, oszołomionej i przerażonej. Nie panowała nad sobą. Oskarżenia przeciwko Stevenowi Talbotowi uwięzły Monkowi w gardle.

— Och, Monk, tak mi przykro...

Objął ją i poczuł, jak dotyka jego twarzy szczupłymi, twardymi palcami. Rose Jefferson schudła, a jej oczy przepęłniał smutek i przerażenie. Za Rose stał minister spraw wewnętrznych i jakiś mężczyzna, do którego Savin odnosił się z takim szacunkiem, że mógł to być tylko szef francuskiej policji.

— Próbował ją uratować — mówiła Rose. — Steven narażał życie, żeby je obie ocalić... Jest bohaterem, Monk.

Monk poczuł dławienie w gardle, ale zdobył się na cierpliwość, pamiętając o radzie Savina. Detektyw rozmawiał cicho z obydwojema urzędnikami. Monk mógł tylko zgadywać, co było tematem rozmowy.

— Jak się czuje Steven?

— Żyje.

Monk spojrział na zabandażowaną postać, a potem odwrócił wzrok, bojąc się, że Rose dostrzeże wściekłość w jego oczach.

— Madame — powiedział poważnie minister. — Inspektor Savin ma prośbę. Jeśli lekarze się zgodzą, pragnie porozmawiać z pani synem.

— Nie zgadzam się — odrzekła natychmiast Rose. — Mój Boże, czy nie widzicie, w jakim on jest stanie? Ledwo odezwał się do mnie...

— Chcę... chcę mówić.

Ten zboląły szept mógł równie dobrze pochodzić od człowieka łamanego kołem. Rose natychmiast pochyliła się nad synem.

— Michelle...? Co z nią?

Savin zignorował pełne wyrzutu spojrzenie Rose i zbliżył się do rannego mężczyzny.

— Monsieur Talbot, jestem inspektor Savin. Czy pan mnie słyszy?

— Tak.

— Proszę powiedzieć, co się stało.

Oczywiście, powiem ci. W obecnych okolicznościach musisz zachowywać się tak, jak fidybys mi wierzył.

— Powiniennem pana posłuchać, inspektorze... poczekać, a nie śledzić Michelle... nie mogłem ryzykować...

Słowo po słowie Steven opowiedział oniemiałym słuchaczom, jak poszedł za Michelle do katakumb, natknął się na Harry'ego Taylora z bronią w ręku i ujrzał nieprzytomną Cassandrę.

— Staralem się go powstrzymać... pistolet wypalił. Michelle krzyknęła. Nie mogłem jej pomóc... nie mogłem wypuścić broni. Zabiłem Harry'ego...

Rose wtrąciła się, zanim Savin zdążył ją powstrzymać.

— Nie zabiłeś Harry'ego, kochanie. On uciekł.

Steven nie mógł w to uwierzyć. Pamiętał, jak przyłożył lufę do piersi Harry'ego, nacisnął spust i usłyszał wystrzał. Harry żyje! Jego opowieść będzie zupełnie inna...

Starał się opanować strach. Musi natychmiast wszystko opowiedzieć. Nikt nie zakwestionuje zeznania ofiary. Sprawa zostanie zatuszowana. Matka tego dopilnuje.

— Chciałem podejść do Cassandry... pomóc jej. Na pewno myślała, że to Harry. Potem gorąco, ból... nic oprócz bólu i ognia...

— Dosyć! — przerwał ostro jeden z lekarzy. — Niech wszyscy wyjdą z pokoju. Siostró, środek przeciwbólowy!

Potrzeba było dwóch lekarzy, żeby odciągnąć od syna płaczącą Rose Jefferson. Monk McQueen spojrział na Savina. Obaj wiedzieli, że nawet spowiedź na łożu śmierci nie wywarłaby na słuchaczach większego wrażenia.

— Co teraz będzie? — spytał Monk na korytarzu.

— A jak pan sądzi? Sprawa jest zupełnie jasna. Poszukamy Harry'ego Taylora. Jeśli go znajdziemy, zostanie oskarżony o porwanie i morderstwo.

— Chyba nie uwierzył pan w to, co usłyszeliśmy!

Savin odciągnął Monka od pielęgniarki, która patrzyła z przestraszeniem w jego kierunku.

— W ani jedno słowo—odrzekł cicho. —Monsieur Talbot kłamie. Tylko idiota albo ktoś, kto zna dobrze tę część katakumb, odważyłby się pójść za Michelle McQueen. W przeciwnym razie natychmiast by się zgubił. Ja zaś nie uważam monsieur Talbota za idiotę. Po drugie: Dlaczego zaatakował uzbrojonego mężczyznę, skoro wiedział, że policja jest już w drodze? Nawet gdyby Harry Taylor był bardzo kiepskim strzelcem, z tak bliskiej odległości na pewno by trafił.

— Razem wszystko zaplanowali — wyszeptał Monk. — Steven wiedział, że znajdzie tam Harry'ego i Cassandrę...

— To tylko przypuszczenie, *mon ami*. Nie mamy żadnego dowodu.

— Zdobędziecie dowody, kiedy znajdziecie Harry'ego Taylora.

— Jeśli go znajdziemy — poprawił Savin. — Nie ma pan pojęcia, jak zdradzieckie są te katakumby.

Wiemy, że Taylora trafiła kula. Niewykluczone, że umrze z odniesionych ran.

Możliwe również, że natknie się na jakichś bandytów, a wówczas nikt nigdy już go nie zobaczy.

Nie, panie McQueen. Jest mało prawdopodobne, że uda nam się odnaleźć Harry'ego Taylora żywego lub umarłego.

— Zamierza więc pan uwierzyć Stevenowi na słowo? Savin rozłożył ręce.

— Cassandra McQueen może nam podać tylko nazwisko Harry'ego. Nie widziała ani nie słyszała niczego, co rzuciłoby cień na Stevena Talbota. Walczyła z nim wprawdzie, ale mogła przecież szamotać się ze swoim obrońcą. Nie wierzę w to, nie mamy jednak żadnego świadka, który mógłby zakwestionować zeznanie monsieur Talbota — Savin przerwał. — Proszę mi wierzyć, panie McQueen, wiem, co pan czuje. Widział pan jednak, jacy wielcy dygnitarze zgromadzili się w tamtym pokoju. Już uniewinnili Stevena Talbota. Nic nie mogę zrobić. Nawet gdybym odnalazł Harry'ego Taylora, to czy jego opowieść coś by znaczyła w tych okolicznościach?

Monkowi zrobiło się niedobrze, wiedział jednak, że Francuz ma rację.

— Nie ujdzie mu to na sucho—powiedział cicho Monk. —Zabrał moją miłość, moje życie. Torturował moje dziecko. Steven Talbot zapłaci za to.

Cztery dni później Monk zabrał Cassandrę do domu. Kiedy tylko weszli do mieszkania, oboje zrozumieli, że nie mogą tu zostać. Wciąż wyczuwali obecność zmarłej. Śmiech Michelle rozbrzmiewał we wszystkich kątach. Słyszeli jej głos w dzwonach Notre Dame i w okrzykach dzieci ścigających się na rowerach po wąskich, brukowanych ulicach Ile St.-Louis.

Tej nocy Cassandra miała koszmarne sen i obudziła się z krzykiem. Następnego ranka oboje przenieśli się do „Ritza”. Monk sam wrócił do mieszkania i z pomocą Ernestine spakował rzeczy.

— Dokąd pojedziecie, monsieur? — spytała nieśmiało Ernestine.

— Jak najdalej stąd. Do domu... do Ameryki.

Włożyli do skrzyń obrazy i cenne przedmioty, które kolekcjonowała Michelle, przykryli meble i zapakowali rzeczy zmarłej, aby oddać je na cele dobroczynne. Potem Monk zajął się najtrudniejszą sprawą. Przez wiele godzin przeglądał finansowe dokumenty Michelle. Odłożył na bok papiery dotyczące czeków podróży. Umil Rothschild i Pierre Lazard pomogą mu uporządkować wszystkie szczegóły. Analizował przede wszystkim materiały przysłane z Berlina przez Warburga—listy, oświadczenia i notatki dotyczące współpracy Stevena z nazistami. Był oszołomiony, widząc, ile informacji zdołała zebrać Michelle. Każda linijka rozdzierała mu serce. Właśnie dlatego żona musiała umrzeć. Cassandra była tylko pionkiem.

— Skończę to za ciebie — powiedział głośno Monk. — Poznam całą prawdę i doprowadzę sprawę do końca. Obiecuję ci, kochanie...

Monk zadrżał. Wstał, oparł się o okno i wykrzyknął głośno pytanie, które dręczy każdego człowieka po stracie bliskiej osoby:

— Dlaczego?!

Michelle McQueen pochowano na najstarszym paryskim cmentarzu, Père-Lachaise. Na pogrzeb przyszedli wszyscy: zarówno dygnitarze rządowi, którzy prowadzili

interesy z Michelle, jak i sklepikarze, u których robiła zakupy. Oplakiwali Michelle pracownicy „Globalu” i bankierzy, którzy pomogli jej założyć finansowe imperium. Burmistrz Saint Eustace przekazał medale matki Cassandrze, która miała wrażenie, że przeżywa koszmary sen, w którym jest zarówno obserwatorem, jak i uczestnikiem.

Śmierć matki wydawała się Cassandrze czymś nierealnym. Dziewczynka chciała zrozumieć, co się stało, zaczęła więc zadawać pytania. Poprosiła Mońka, żeby opowiedział jej wszystko o Harrym Taylorze. Słuchała uważnie, starając się pojąć, co opętało tego człowieka. Z jakiego powodu skrzywdził ludzi, których kochała.

— Chciał pieniędzy — powiedział Monk. — Chodziło mu tylko o pieniądze. Po raz pierwszy Cassandra wyczuła, że ojciec nie mówi prawdy.

— Opowiedz mi o Stevenie.

Monk wyjaśnił dziewczynce, w jaki sposób Steven znalazł się w katakumbach. Tym razem fałsz był jeszcze bardziej oczywisty. Ojciec powtarzał to, co powiedział przedtem inspektorowi Savinowi. Wtedy również nie wierzył we własne słowa. Czyżby Steven Talbot nie był takim bohaterem, za jakiego uchodził? Czy miał coś wspólnego ze śmiercią matki?

Cassandra wiedziała, że Monk nic więcej jej nie powie. Nie prosiła o to. Współczuła ojcu całym sercem. Da mu czas na żałobę, poczeka, aż dojdzie do siebie.

Pewnego dnia dowiem się prawdy.

Zaraz po pogrzebie Monk wrócił z Cassandrą do „Ritza”. Ernestine zaopiekowała się dziewczynką, a on spotkał się z Abrahamem Warburgiem.

— Michelle była bardzo odważną kobietą—powiedział z szacunkiem niemiecki bankier. — Pomogła tysiącom ludzi. Nigdy o tym nie zapomnimy.

Monk zauważył, że Warburg jest nie tylko smutny, ale i zaniepokojony.

— Proszę się nie martwić o dokumenty, które Michelle trzymała w domu. Oddałem je do depozytu w hotelu. Chciałbym, żebyśmy jutro przejrzyli te papiery. Wielu rzeczy nie rozumiem.

— Oczywiście — zgodził się Warburg. — Trzeba wszystko podsumować.

— Do cholery, to jeszcze nie koniec! Musimy prowadzić dalej to, co zaczęła Michelle! Warburg zamrugał.

— Kto miałby to robić? Z całym szacunkiem, Herr McQueen, ale nie może pan zająć jej miejsca.

— Nie mam takiego zamiaru. Z pewnością znajdą się ludzie, którzy wiedzą, co trzeba zrobić.

— Owszem — odrzekł powoli bankier. — Szczegóły są jednak bardzo skomplikowane. Ogromne sumy przeszły przez wiele rąk. Michelle stworzyła labirynt, w którym pogubiliby się nawet księgowi gestapo.

— Nie zamierzam się do niczego wtrącać. Obiecuję, że na waszą pracę... na jej pracę zawsze będą pieniądze. — Monk przerwał. — Czy może mi pan dać słowo, że sprawą zajmą się odpowiedni ludzie?

— Ma pan moje słowo — powiedział Abraham Warburg.— Nawet moje życie, jeśli zajdzie taka potrzeba...

Koło Opery, w ciemnym biurze firmy „Rothschild & Fils”, Monk odbył drugie spotkanie.

— Interesy idą nieźle — oświadczył Pierre Lazard. — Pytanie tylko, co dalej.

— Michelle sporządziła dwie kopie testamentu: jedna jest u was, a druga u adwokata — powiedział Monk. — Sądzę, że nic złego się nie stanie, jeśli teraz przeczytamy testament. Bankierzy zgodzili się. Nikt się nie zdziwił, że Michelle zapisała Cassandrze cały majątek. Jednocześnie zastrzegła, że Monk lub wybrani przez niego ludzie powinni prowadzić operacje dotyczące czeków podróźnych. Część zysków należy przeznaczyć na utrzymanie (Tassandry, a resztę złożyć na fundusz powierniczy. Córka ma dostać te pieniądze i przejąć kontrolę nad firmą, kiedy ukończy dwadzieścia jeden lat.

— To dopiero za sześć lat — zauważył Emil Rothschild.

— Czy możemy później wrócić do tego tematu?

— Oczywiście — zapewnił go Rothschild. — Jakie ma pan plany, jeśli można spytać?

— Sam chciałbym wiedzieć.

Monk, zmęczony, poszedł do baru „Ritza”. Wypił dwa kieliszki calvadosu i zadzwonił do Ernestine, żeby się upewnić, czy Cassandra czuje się dobrze. Gospodyni powiedziała, że dziewczynka zjadła trochę sałatki, a potem zasnęła. Wdzięczny za ten drobny dar losu, Monk zjawił się w apartamencie Rose Jefferson pięć minut później.

Wciąż nosiła czarny strój, który miała na pogrzebie Michelle. Kiedy nadstawiła mu policzek do pocałunku, Monk zauważył cienkie, błękitne żyły na jej szyi.

— Jak się czujesz, Monk?

— Tak dobrze, jak to możliwe w tych okolicznościach.

— A Cassandra?

— Da sobie radę.

Bez pytania Rose wręczyła mu kieliszek brandy.

— Co zamierzasz?

— Zabiorę dziewczynkę do Nowego Jorku. Tutaj nie ma nic do roboty.

— Nienawidzę tego kraju! — powiedziała ostro Rose. — Zabrał mi Franklina. Niewiele brakowało, a straciłabym również Stevena.

Monk nie mógł wyrzec ani słowa.

— Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale naprawdę bardzo mi jest przykro / . powodu Michelle — dodała. — Mogłyśmy naprawić przeszłość, przynajmniej do pewnego stopnia. Chciałam to zrobić, Monk. Było to dla mnie ważne. Teraz wszystko przepadło. Stracone okazje... długo się o nich nie zapomina. Chyba w ten właśnie sposób przekonujemy się, jak bardzo nam na nich zależało.

Monk zmusił się, żeby zapytać:

— Jak się ma Steven?

Rose wyprostowała się i odrzekła bezbarwnym głosem:

— Tutejsi lekarze robią, co się da. Nauczyli się w czasie wojny, jak postępować z poparzonymi pacjentami. Potem pojedziemy do Szwajcarii. Operacje plastyczne będą się ciągnęły latami... ale on już nigdy nie będzie taki jak dawniej, nigdy.

— Czy policja dowiedziała się czegoś o Harrym? Rose spojrzała na niego pustym wzrokiem.

— Jeszcze nie. Kiedyś jednak go znajdą. Znam dobrze tego człowieka, Monk. Harry'emu Taylorowi zawsze udaje się utrzymać na powierzchni. On gdzieś tam jest. Pewnego dnia ktoś go zobaczy.

Rose nie powiedziała, że wyznaczyła sto tysięcy dolarów nagrody za głowę Harry'ego.

Wiadomość już rozeszła się wśród przestępczego świata. Na człowieka, który sprowadzi żywcem amerykańskiego uciekiniera, czekała fortuna.

— Wiem, Monk, że nie przyszedłeś, żeby mnie pocieszać — rzekła Rose.

— Musimy omówić parę spraw. Rozmawiałeś pewnie z adwokatem Michelle. Domyślam się, jaka była jej ostatnia wola.

Monk opowiedział Rose o testamencie.

— Kontroluję więc czeki podróżne — zakończył. —Prawdę mówiąc, nie wiem, czy sobie poradzę. Cassandra będzie mnie potrzebowała.

— Monk, bardzo chciałabym pomóc tobie i Cassandrze... jeśli mi tylko pozwolisz — powiedziała Rose.

— Co proponujesz?

— Pozwól mi zająć się czekami. To, co stworzyła Michelle, należy się Cassandrze. Nie zamierzam jej niczego odbierać. Zadbam tylko, by właściwie opiekowano się spadkiem po Michelle—uśmiechnęła się do niego. —Wiem, że nie masz powodów, by mi ufać. Świat się jednak zmienia, Monk. Ja się zmieniałam. Sam sporządź umowę. Wyznacz najostre warunki. Zaproponuj mi takie wynagrodzenie, jakie uważasz za stosowne. Wszystko podpiszę. — Rose przerwała. — Chcę wam tylko pomóc.

Monk dolał sobie brandy. Nie miał ani zdolności, ani czasu, żeby zająć się finansowym imperium Michelle. Musiał skoncentrować się na Niemczech, by pomóc Warburgowi organizować kanały przerzutowe. Być może jeden z tysięcy uchodźców przyniesie informację, która zdemaskuje Stevena Talbota.

Czy mógł sobie pozwolić na odrzucenie propozycji Rose? To przecież ona wymyśliła przekaz pieniężny. Miała w małym palcu europejskie finanse. Co ważniejsze, Rose uważała, że jest coś winna Michelle — może przeprosiny. Już choćby z tego powodu dotrzyma obietnicy.

— Możemy spróbować — powiedział Monk. — Wkrótce Hitler rozpocznie wojnę. Nie chcę, żeby praca Michelle poszła na marne.

— Zostanę w Europie, dopóki się nie dowiem, co będzie ze Stevenem

— powiedziała Rose. — Na pewno poczuję się lepiej, kiedy się czymś zajmę

— wyciągnęła rękę do Mońka, a on ją przyjął z wahaniem. — Oboje jesteśmy zagubieni — wymruczała Rose. — Proszę, nie rańmy się więcej.

47.

Monk McQuin nie wiedział, co począć. Przed wyjazdem z Paryża musiał się upewnić, że czekami podróżnymi zajmują się odpowiedni ludzie, a wszystkie interesy załatwiane są równie sprawnie jak dawniej. Oznaczało to długie spotkania z Rose Jefferson, Rothschildem, Lazardem i wieloma francuskimi prawnikami. Niekiedy Monk miał wrażenie, że nie starcza mu na wszystko czasu.

Najgorsze było to, że zostawiał Cassandrę samą na długie godziny.

Ernestine wprowadziła się do „Ritza” i opiekowała się jego córką, a mimo to dziewczynka była bardzo blada i straciła na wadze. Prawie nie wychodziła z hotelu, a kiedy szła z ojcem na obiad, skubała w milczeniu jedzenie. Monk nie umiał do niej dotrzeć. Ukryła się we własnym świecie, z dala od bólu i strachu.

Pewnego dnia, kiedy Monk zastanawiał się, jak może pomóc Cassandrze, dziewczynka usiadła koło niego.

— Proszę, weź mnie do domu.

— Pączuszkule, nie mogę — odrzekł Monk. — Muszę tu zostać jeszcze przynajmniej dwa tygodnie.

Nie ma zresztą wcześniej żadnego statku.

— Jest inne rozwiązanie.

Cassandra pokazała mu reklamę w gazecie. Monk nasunął okulary na nos.

— Nie mówisz poważnie.

— Owszem — odrzekła uparcie.

— Jeśli nawet uda mi się kupić bilet, musiałabym podróżować sama.

— Już kiedyś podróżowałam sama. Poza tym wyjdzie po mnie Abilene. Monk pokręcił głową.

— Nie wiem. Podróż będzie długa i ciężka.

— Chcesz powiedzieć, że to niebezpieczne.

— To również — przyznał Monk.

- Nie—odparła zdecydowanie Cassandra.—Ta podróż sprawi mi przyjemność. Proszę, czy nie widzisz, co się ze mną dzieje? Ciebie przez cały czas nie ma.

Ernestine robi, co może, żeby mnie czymś zająć, ale kiedy tylko wychodzę z hotelu, przypominam sobie *mamon*. To były nasze ulice, nasze sklepy... nasze miasto. Już tak nie jest. Przeszłość nigdy nie wróci.

Słyszając błagania Cassandra, Monk przypomniał sobie, jak szczęśliwa była w Nowym Jorku. Może ona ma rację?

Następnego ranka Monk zadzwonił do Rose i wyjaśnił, czego potrzebuje.

— Możesz uważać sprawę za załatwioną—odrzekła. — Prawdę mówiąc, w tym samym czasie przyjadą dwie osoby, które powinieneś poznać.

Trzy dni później Monk i Cassandra pojechali ekspresem do Marsylii. Kiedy wysiedli z taksówki koło portu lotniczego, ujrzeli coś, co przyciągnęło tysiące gapiów. Przed nimi widniał srebrzysty, smukły samolot o opływowych kształtach, z emblematem firmy Pan-American. Pod kabiną pilota złotymi literami była wypisana nazwa samolotu: „Yarikee Clipper”.

— Jest wspaniały — powiedziała entuzjastycznie Cassandra.

— Podróż przyszłości — oświadczyła Rose. — Lot z Marsylii do Port Washington potrwa dwadzieścia siedem godzin. Na pokładzie stworzono luksusowe warunki. Jest tam oddzielna kabina pasażerska, jadalnia, a nawet salonik dla pań.

Cassandrze zabłyśły oczy.

— Jaką trasą polecimy?

— Stąd do Lizbony, potem na Azory, a wreszcie przez Atlantyck.

— Myślałem, że linia zostanie otwarta dopiero za osiemnaście miesięcy — rzekł Monk.

— Zgadza się — odpowiedziała Rose. — To promocyjny lot. Monk odciągnął Rose na bok.

— Czy jesteś pewna, że to bezpieczne? Nic jej się nie stanie?

— Monk, już od wielu lat samoloty latają przez Atlantyck. Dwunastoosobowa załoga obsługuje dwudziestu dwóch pasażerów. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Widząc radość na twarzy córki, Monk zapomniał o wątpliwościach.

— Będziesz wysyłać do mnie depeszę na każdym postoju?

— Oczywiście!

— I zaraz po przybyciu do Nowego Jorku?

Cassandra położyła mu rękę na policzku. Pamiętał, że Michelle często robiła tak samo.

— Wracaj szybko do domu—wyszeptwała. — Niczego więcej nie pragnę. Wróc szybko.

— Obiecuję, pączusku.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham, Cass.

Kiedy „Yankee Clipper” wystartował z warkotem silników, Monk zapomniał o zmartwieniach. W drodze powrotnej do Paryża Rose przedstawiła mu dwóch przyjaciół i współpracowników: Hugh'a O'Neilla i Erica Gollanta.

— Proponuję, żeby to oni zajęli się czekami podróżnymi w Europie—powiedziała Rose. — Hugh i Eric wiedzą wszystko o przekazie pieniężnym. Eric zostanie w Paryżu i zatroszczy się o sprawy finansowe, a Hugh będzie rozwiązywał problemy w pozostałej części Europy. Wciąż ma irlandzki paszport. Irlandia jest tradycyjnie neutralna, nie przewiduję więc kłopotów na żadnej granicy. Monk był zadowolony. Obaj mężczyźni cieszyli się znakomitą reputacją. Rose najwyraźniej starała się okazać Monkowi, że zamierza dotrzymać słowa: będzie tylko administratorką i nikiem więcej.

W niecały tydzień uzgodnili warunki umowy. Monk wezwał wszystkich europejskich kierowników i wyjaśnił im zmiany w przedsiębiorstwie. Potem wyruszył do Berlina.

— Ani O'Neill, ani Gollant nic nie wiedzą o prawdziwej działalności agencji turystycznej — powiedział Monk Abrahamowi Warburgowi w czasie spotkania w Wansee, w gotyckiej rezydencji bankiera. — Musi pan znaleźć w Paryżu godnych zaufania ludzi, którzy zajmą we Francji miejsce Michelle.

— Emil Rothschild i Pierre Lazard już to zrobili — odrzekł Warburg. — Nadal zamierzają opiekować się uchodźcami. Mam również lojalnych współpracowników w Niemczech.

— Musimy zdobyć dowody przeciwko Talbotowi. Czas ucieka, Abrahamie. Naziści są coraz silniejsi. Jeśli szybko nie powstrzymamy Stevena, wkrótce będzie za późno.

Niemiec umieścił laskę pomiędzy kolanami i chwycił oburącz srebrną gałkę.

— Niewykлучzone, że już jest za późno, Herr McQueen. Naziści opanowali rząd i przemysł.

Źródła informacji kurczą się z każdym tygodniem. Sytuacja jest tragiczna. Nasi informatorzy żyją w ciągłym strachu.

— Musimy coś zrobić — powiedział uparcie Monk. — Steven i ci dranie zabili Michelle i powinni za to wisieć!

Warburg położył rękę na ramieniu Amerykanina.

— Boleję nad tą tragedią razem z panem. Musi pan jednak zrozumieć sytuację... Monk doskonale rozumiał. Ta wiedza nie uspokajała jednak jego frustracji ani pragnienia zemsty.

Trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Musiał poczekać, aż dopisze mu szczęście lub Steven popełni błąd. Kiedy ta chwila nadejdzie, wykorzysta okazję.

Monk wrócił do Paryża w przeddzień odpłynięcia z Hawru statku „Constitution”. Po raz pierwszy od śmierci Michelle znalazł się w mieście sam.

Chodził po ulicach Ile St.-Louis, gdzie spacerował kiedyś z Michelle. Po drodze zaglądał do ulubionych antykwariatów i galerii sztuki. Idąc bulwarami nad Sekwaną omijał stoiska z używanymi książkami. Widział brytyjskich i amerykańskich turystów, przeglądających ukradkiem „nieprzyzwoite” francuskie powieści. Przeszedł się po pchlim targu, pełnym straganiarzy i złodziei, a później udał się do wiekowego,

cichego Marais, gdzie Michelle opowiadała mu o rewolucji francuskiej. O świcie znalazł się w halach i patrzył, jak na rynek przyjeżdżają ciężarówki z owocami, warzywami, mięsem i rybami z najbardziej egzotycznych zakątków świata.

Rankiem miasto ożywiło się. Na drugim brzegu Sekwany Monk wszedł do kawiarni, w której dawno temu, w czasie pierwszego pobytu w Paryżu, spotkał Michelle. Nic się tu nie zmieniło. Cynkowy bar, małe stoliki i plecione krzesła wyglądały tak samo jak kiedyś.

— *Bonjour, monsieur.*

Monk podniósł głowę i ujrzał tego samego starego kelnera, który dawno temu obsługiwał jego i Michelle.

— *Café au lait, s'il vous plait.*

— Tylko jedną, monsieur? Czy madame się do pana nie przyłączy? Wówczas po raz pierwszy od śmierci Michelle Monk schylił głowę pod ciężarem własnych łez.

Szwajcarskie góry Jura, wznoszące się na wysokość siedemnastu tysięcy stóp, tworzą naturalną granicę pomiędzy Szwajcarią a Niemcami. Wiosną górskie doliny rozkwitają, a wiatr niesie ze sobą zapach polnych kwiatów.

U podnóża gór, na równinie, która rozciągała się aż do najbliższej wioski, Jarlsburga, znajduje się klinika Hoffmana, jeden z najznakomitszych ośrodków chirurgii plastycznej na świecie. Wokół trzech budynków szpitalnych stoją domki dla pacjentów. W klinice może przebywać jedynie dwadzieścia osób, a każdy przypadek zostaje wcześniej dokładnie zbadany. Jeśli żadna operacja nie jest w stanie przywrócić pacjentowi zdrowia, nie przyjmuje się go do kliniki. W wypadku Stevena Talbota lekarze doszli do wniosku, że po długich zabiegach jest szansa na sukces. Steven Talbot siedział na werandzie, a białe, bawełniane płótno chroniło jego twarz przed słońcem. Z oddali dochodziło porykiwanie krów i dźwięk dzwoneczków. Steven słyszał również samochód jadący w kierunku kliniki. Po raz pierwszy od kilku miesięcy jego serce zaczęło mocniej bić. Jeśli ktoś chciał wjechać samochodem na teren kliniki, to potrzebował specjalnego zezwolenia. Na mercedesie powiewał dyplomatyczny proporczyk nazistowskich Niemiec. Z samochodu wysiadł mężczyzna w długim skórzanym płaszczu. Widząc postać na werandzie, pomachał ręką i wykrzyknął coś na powitanie. Steven Talbot nie mógł odpowiedzieć, gdyż miał zabandażowane usta.

Kurt Essenheimer wbiegł po schodach i wyciągnął ręce do starego przyjaciela. Steven rzucił mu szkolną tabliczkę. Napisał na niej: „Musisz przede wszystkim pamiętać, że nie wolno ci mnie dotykać, a ja nie mogę się odzywać. Będę wszystko zapisywał, ale słyszę cię dobrze, nie staraj się więc mówić do mnie jak do idioty”.

— Dobrze cię znowu widzieć, przyjacielu — powiedział Essenheimer.

— Czyżby? Przecież jeszcze mnie nie widziałeś. Chciałbyś? Essenheimer bez wahania skinął głową. Napatrzył się na wiele rzeczy w nowych

Niemczech, w takich miejscach jak Dachau i Buchenwald. Widział już tyle okropności, że nawet się nie wzdrygnął, kiedy Steven Talbot uniósł bandaż.

— Ta mała suka świetnie się spisała, prawda? — napisał na tabliczce. — Wykonała tak znakomitą robotę, że zdaniem lekarzy leczenie potrwa długie lata. Jeszcze się jednak spotkamy. Przyrzekłem to sobie, Kurt. Kiedy do tego dojdzie...

Kreda skruszyła się w palcach Stevena. Pozostały kawałek rzucił na podłogę. Essenheimer zadrżał. Przemoc nie była dla niego niczym nowym, bał się jednak obsesji, która owładnęła Stevenem Talbotem.

Steven wziął następny kawałek kredy i zaczął pisać.

— Pomyśl, przyjacielu, o tych wszystkich latach spędzonych w Szwajcarii. Co za nuda! Będziemy jednak zajęci, prawda? To może i lepiej. Nie zamierzam przyjmować żadnych gości poza tobą i twoimi wysłannikami. A także matką. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Powiedz, co się wydarzyło.

Weszli do środka. Kurt Essenheimer usiadł przy kamiennym kominku i zaczął opowiadać. Mówił przez kilka godzin. Stwierdził, że ich wspólna praca przyniosła owoce. Surowce napływają do Niemiec z całego świata. Kontakty handlowe sięgają aż do przylądka Horn i Malajów.

— Wygląda na to, że wszystko układa się po naszej myśli — napisał Steven.

— Tak. Jest tylko jedna sprawa, naprawdę niezbyt ważna.

— O co chodzi?

Essenheimer wyjaśnił, że po śmierci Michelle Monk McQueen zaczął zadawać zbyt wiele pytań.

— Jesienią McQueen spotkał się z tym Żydem, Warburgiem. Później odwiedził wydawców głównych europejskich gazet. Od tej pory kilku reporterów zaczęło węszyć w Berlinie. Tak się składa, że jeden z nich bardzo szanuje partię i Hitlera. Jak nas poinformował, McQueen zamierza udowodnić, że zaopatrujesz Niemcy za pośrednictwem „Głóbalu”. Śmieszne, prawda? McQueen nigdy nie przeniknie przez nasz system bezpieczeństwa.

Steven nie podzielał rozbawienia Essenheimera. Dobrze znał McQueena.

— Gdzie jest teraz McQueen?

— W Ameryce, razem z adoptowaną córką. Nic nie może nam zrobić. Steven przeszedł kilka kroków, a potem zaczął pisać.

— Nie powinieneś lekceważyć McQueena. Jest bystry, pomysłowy i dysponuje potężnymi środkami. Nie możemy pozwolić sobie na nieostrożność tylko dlatego, że przebywa teraz trzy tysiące mil stąd.

— Oczywiście, że nie, Stevenie — zapewnił go szybko Essenheimer. — Wiesz, że mamy w Ameryce sympatyków. Nie spuszczać go z oka.

Stevena nie do końca to uspokoiło. W tym momencie McQueen był tylko natrętem. Później jednak mógł się stać naprawdę groźny. Doszedł więc do wniosku, że trzeba sporządzić awaryjny plan na wypadek, gdyby ów dziennikarz coś zaważył.

Musiał jednak porozmawiać z Essenheimerem o czymś ważnym, czego potrzebował z Londynu.

Essenheimer był przerażony żądaniem Stevena.

— Jeśli spróbujemy to zdobyć, możemy stracić najcenniejszego agenta w Londynie. Kreda kruszyła się o tablicę, kiedy Steven pisał odpowiedź.

— Führer zawsze dawał mi wszystko, czego potrzebowałem.

— Czemu jednak ta informacja jest aż tak ważna?

— Jest ważna! Nie muszę się przed tobą tłumaczyć! Po prostu przekaz waszemu człowiekowi moje instrukcje.

Essenheimer pokręcił głową. Nie warto się spierać. Musi jednak uświadomić Stevenowi sytuację.

— Najpierw trzeba przekonać wywiad. Dopiero potem skontaktujemy się z naszym człowiekiem. Powinieneś również wiedzieć, że to on sam zdecyduje, kiedy i jak może działać.

— Rozumiem. To, czego potrzebuję, nie ucieknie.

— Dobrze, Stevenie. Czego więc potrzebujesz?

„Jestem przekonany, że zbudowaliśmy w Europie pokój... honorowy pokój”.

— Akurat! — warknął Monk i wyłączył radio. Siedział wraz z Cassandrą w salonie w Carlton Towers. Słuchali radia BBC, transmitującego przemówienie premiera Neville'a Chamberlaina, wygłoszone po powrocie z Monachium. Chamberlain twierdził, że ułagodzenie Hitlera było znakomitym posunięciem, tak jak gdyby uważał oddanie dyktatorowi jednej trzeciej Czechosłowacji za oszałamiający sukces.

— Czy to znaczy, że wybuchnie wojna? — spytała Cassandra.

Wyjrzała przez okno na Central Park, cały w jesiennej czerwieni i złocie. Ten cudowny widok nie skłaniał do myśli o wojnie.

— Niewykluczone, pączuszk — odrzekł Monk. — Im więcej Hitler dostaje, tym więcej chce. Pewnego dnia ktoś mu będzie musiał powiedzieć: dosyć.

Przypomniał sobie Abrahama Warburga i zastanowił się, co teraz czuje ten szlachetny człowiek. Wiosną 1938 roku, po aneksji Austrii, Monk namawiał go do opuszczenia Niemiec. Naziści znacjonalizowali bank Warburga, splądrowali jego posiadłości, a nawet zarekwirowali dom, powołując się na rzekome „zaległości podatkowe”. Warburg nie chciał jednak wyjechać.

„Niemcy — napisał Monkowi — znajdują się na krawędzi moralnej zagłady. Nie mogę opuścić ludzi, których czeka katastrofa”.

Monk starał się przekonać Warburga, że wkrótce on sam może zginąć, bankier jednak postanowił pozostać i walczyć.

Monk spojrział na Cassandrę, która siedziała z podwiniętymi nogami, wydymając wargi.

— O co chodzi, kochanie?

— Wszyscy mówią o wojnie, nawet w szkole. Niektórzy uważają, że Hemingway i 1 udzie walczący w Hiszpanii byli bohaterami. Są też tacy, którzy twierdzą, że Ameryka nie powinna angażować się w następną wojnę europejską. Tak właśnie o niej mówią: „następna”.

Monk spróbował zmienić temat. Wystarczy, że Michelle spędziła na wojnie młode lata. Nie pozwoli, żeby to samo spotkało Cassandrę.

— Jak ci idzie nauka? Cassandrą rozpromieniła się.

— W college'u zamierzam skoncentrować się na ekonomii. Monk uniósł brwi.

— Chcę być równie dobra jak *maman*. Pragnę, żeby była ze mnie dumna. Kiedy tylko Cassandrą wróciła do Nowego Jorku, wiedziała, że postąpiła słusznie. Na Manhattanie czuła się w swoim żywiole. Tu niczego się nie bała i nie musiała bez przerwy oglądać się za siebie. Abilene troskliwie się nią opiekowała, a miłość Mońka była dla niej ogromną pociechą.

Jednakże nawet po dwóch latach wciąż pamiętała o paryskim koszmarze. Wystarczył pewien szczególny zapach czy dźwięk, nagły chłód, krzyk dziecka w parku, a Cassandrą od razu drżała. Była zła na siebie za tę bezbronność i zasypywała ojca pytaniami.

— Dlaczego policja nie odnalazła Harry'ego Taylora? — spytała. — Dokąd on uciekł?

— Najprawdopodobniej nikt nigdy go nie odnajdzie—odrzekł Monk. — Wiesz przecież, jak niebezpieczne są katakumby. Kiedy ktoś się w nich zgubi, prawie nigdy nie znajduje drogi powrotnej. Poza tym wiemy, że Harry został ranny...

Monk nie chciał mówić o bandytach. Wierzył wraz z inspektorem Armandem Savinem, że Harry stał się ich ofiarą.

— Opowiedz mi o nim.

Monk zawahał się, a potem pomyślał, że jeśli Cassandrą ma sobie kiedyś poradzić z tą tragedią, to musi dowiedzieć się wszystkiego. Opowiedział jej, jak do Nowego Jorku przybył bystry, młody pracownik „Globalu”, którego później zgubiła ambicja. Monk wspomniał również, jaką rolę w historii Harry'ego odegrali inni. Opowiedział o niełatwym życiu Michelle w Nowym Jorku i długiej waśni pomiędzy nią a Rose.

— Teraz już wiem, czemu ty i *maman* tak rzadko o niej mówiliście—wyszeptała Cassandrą.

— Rose zadała twojej matce wiele bólu.

— Wydała mi się jednak bardzo miłą, wspaniałomyślną kobietą—zaprotestowała Cassandrą, pamiętając, że to Rose Jefferson pomogła jej wrócić do Ameryki, a od tamtej pory dzwoniła kilka razy w tygodniu.

— W głębi duszy taka właśnie jest — powiedział cicho Monk. — Czasami czynimy zło i sądzimy, że nasze postępowanie jest usprawiedliwione. Dopiero później dochodzimy do wniosku, że nasze motywy były głupie lub naiwne

i wyrządziliśmy tylko krzywdę innym ludziom. Twoja matka i Rose zostałyby pewnego dnia przyjaciółkami. Pokażę ci, co mam na myśli.

Monk poszedł do gabinetu i przyniósł dziennik, który Michelle prowadziła od przyjazdu do Nowego Jorku. Ostatnią stronę zapisała kilka dni przed śmiercią.

— Przeczytaj to uważnie. Pamiętaj, że czasy i ludzie się zmieniają. Myślę, że

Rose zrozumiała własne błędy i pragnęła je naprawić. Nie zdążyła pogodzić się z twoją matką i sądzę, że teraz chce pomóc tobie.

Cassandra była zarówno zafascynowana, jak i wzburzona historią opisaną przez Michelle. Z wypiekami na twarzy czytała o nadziejach i marzeniach matki. Potem znajdowała fragmenty, które sprawiały jej ból i zastanawiała się, jak mogła wytrzymać takie cierpienia.

Ona osłoniła przecież córkę własnym ciałem i uratowała jej życie.

Niektóre uwagi dotyczące Rose rozgniewały Cassandré, im dłużej jednak czytała, tym bardziej była przekonana, że matka skrycie podziwiała Rose i wiele się od niej nauczyła. Okazała się pojętną uczennicą: w odpowiedniej chwili umiała przeciwstawić się Rose i nie pozwoliła odebrać sobie tego, co z trudem stworzyła.

Dzięki dziennikowi Cassandra dużo się dowiedziała o kobiecie, która odgrywała istotną rolę w życiu matki. Kiedy zapytała Monka, co się stało z wielką firmą Michelle, odpowiedział:

— Ona należy do ciebie, pączuszk. Przejmiesz ją za cztery lata, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat. Dwaj najlepsi pracownicy Rose zajmują się teraz przedsiębiorstwem. Uwierz mi, wraz z Rose obserwujemy każdy ich ruch.

Cassandra zastanowiła się, a potem zapytała:

— Co ze Stevenem? Wiem, że w przeciwieństwie do innych nie uważasz go za bohatera.

— Steven jest bardzo daleko i nigdy nie wróci.

— Czy miał coś wspólnego ze śmiercią *maman*?

— Nie wiem, pączuszk.

Cassandra widziała, że ojciec cierpi i nie poruszała więcej tego tematu. Przynajmniej na razie.

Cassandra zamieniła trzy pokoje na drugim piętrze apartamentu w Carlton Towers w swoje prywatne królestwo. W szafach pełno było nowych strojów, a na ścianach wisiały kolekcjonowane przez matkę dzieła sztuki. Na półkach postawiła kilka zdjęć i pamiątek i po pewnym czasie mogła na nie patrzeć bez bólu.

Amerykańska szkoła wyrwała Cassandré z odrętwienia. Wprawdzie nie do końca rozumiała wszystkie zwyczaje, szybko jednak odkryła, jak wspaniale czuje się dziewczyna, którą zauważają młodzi mężczyźni. Dokuczała Monkowi, który zachowywał się z rezerwą, kiedy odwiedzali ją koledzy.

— Wychodzę do pracy—powiedział Monk, gdy jeden z chłopców odprowadził Cassandré do domu.

Zegar dziadka wybił północ.

— Mogę iść z tobą?

Cassandra uwielbiała zwariowaną atmosferę panującą w redakcji magazynu *Q*. Kiedy Monk zabrał ją tam po raz pierwszy, szybko zaprzyjaźniła się z całym personelem.

— Biura redakcji są teraz puste, pączuszk — powiedział Monk. — Muszę po prostu przejrzeć nocne depeche z Europy. To nudne. Poza tym potrzebujesz snu.

Obydwoje wiedzieli, że Monk zamierza sprawdzić, czy nie przyszły jakieś wiadomości od Abrahama Warburga. Wkrótce po śmierci Michelle Monk wyjaśnił córce, czym zajmowała się matka. Cassandra była zdumiona, kiedy dowiedziała się, ilu ludziom Michelle uratowała życie, jak się poświęcała dla bezradnych uchodźców.

Ja nimi pogardzałam — przypomniała sobie Cassandra. — Chciałabym jej powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro. Może gdybym o wszystkim wiedziała...

Cassandra nie rozmyślała jednak zbyt długo o przeszłości. Zapisła się do klubów i organizacji, które widziały zagrożenie ze strony Niemiec hitlerowskich i kłóciła się z ludźmi, którzy twierdzili, że nie dojdzie do wojny.

On już w niej uczestniczy—pomyślała Cassandra, patrząc na wychodzącego ojca.

Na niewidzialnych frontach, w świecie tajnych agentów, zdrajców i najemnych zabójców, również podejmowano przygotowania do wojny. Sir Dennis Pritchard nic nie wiedział o tych ludziach, a mimo to stał się jednym z ich celów.

Ogród za gabinetem na Harley Street był dla niego oazą spokoju, w której mógł się schronić po wyjściu z sali operacyjnej. Musnął palcem delikatne płatki róży. Był już październik, ale utrzymywała się wyjątkowo ciepła pogoda.

— Dzień dobry, sir Dennisie.

Przestraszony Pritchard odwrócił się i zobaczył wysokiego, jasnowłosego, młodego mężczyznę w beżowym płaszczu, który stał na chodniku z rękami w kieszeniach. Mówił z miękkim irlandzkim akcentem.

— Do diabła, skąd pan się tu wziął? Moja pielęgniarka jeszcze nie przyszła.

— Doktorze Pritchard, przyszedłem w sprawie pewnych dokumentów. — Mężczyzna położył na stoliku kartkę papieru. — Dokładniej mówiąc, chodzi o kartę medyczną tej osoby.

Pritchard zmarszczył brwi, kiedy przeczytał nazwisko.

— Czy to jakiś żart? Ten człowiek nie żyje od wielu lat.

— Ma pan jednak jego kartę, doktorze? Pritchard wstał.

— Sądzę, że powinien pan wyjść, zanim wezwę policję.

— Jestem pewien, że pan ją ma — upierał się mężczyzna. — Widzi pan, pozwoliłem sobie przejrzeć dokumenty w pańskim biurze. Niestety, nie znalazłem tego, co mnie interesuje. Wtedy pomyślałem: Zaraz, zaraz, taki sumienny gość jak Dennis na pewno przechowuje gdzieś starą kartę medyczną. Sprawdziłem więc wynajmowany przez pana magazyn, ale również nic nie znalazłem. Znaczy to, że trzyma pan te dokumenty w jakimś naprawdę szczególnym miejscu, prawda?

- Wynoś się stąd! — krzyknął sir Dennis.

Szybkim ruchem mężczyzna wykręcił lekarzowi rękę.

— W Londynie jest wielkie zapotrzebowanie na chirurgów, doktorze. Szkoda by było pozbawiać to miasto najlepszego z nich.

Pritchard skrzywił się, kiedy intruz jeszcze mocniej wykręcił mu rękę.

— Z pewnością dokument jest gdzieś tutaj — stwierdził spokojnie mężczyzna. — Zanim powie pan coś, co mogłoby mnie zdenerwować, wejdziemy do środka i zadzwonimy. — Wepchnął Pritcharda do biura. — Proszę zwrócić uwagę, jaki numer wykręcam.

Pritchard był przerażony, kiedy zorientował się, że mężczyzna dzwoni do jego domu.

— Teraz niech pan słucha.

— Dennis! Dennis, czy to ty? Kochanie, co się dzieje? Przyszli tu jacyś mężczyźni... Pritchard zacisnął oczy, kiedy usłyszał krzyk żony.

— Moi koledzy nie skrzywdzą twojej pięknej żony, Dennisie. Chyba że dokument jest dla ciebie ważniejszy niż ona.

Pritchard wciąż myślał o tym, co się dzieje w jego domu.

— Mam go! — wyszeptał. — Jest schowany...

— Przynieś, Dennis, przynieś.

Pritchard podszedł do szafki koło biurka, za którą ukryty był sejf. Drżącymi palcami wybrał szyfr. Kiedy drzwi się otworzyły, sięgnął do środka i wyjął grubą, błękitną teczkę.

Mężczyzna przejrzał dokumenty, jak gdyby szukał czegoś konkretnego, i uśmiechnął się.

— Dobrze się pan spisał, doktorze. Teraz dotrzymam słowa i dopilnuję, żeby nic się nie stało pańskiej żonie. Powinien pan jednak zaraz do niej pójść. Może potrzebować środka uspokajającego.

— Kim pan jest? — spytał ochryłym głosem Pritchard.

— Człowiekiem, który znów cię odwiedzi, jeśli pójdziesz na policję albo opowiesz komuś o całej sprawie. Zapomnij o tym incydencie. Kiedy ktoś będzie ci zadawał pytania, udawaj głupka.

Dokumenty zaginęły. Żyj długo i szczęśliwie, Dennisie. Szczerze ci tego życzę.

Mężczyzna z irlandzkim akcentem zniknął równie szybko, jak się pojawił. Pojechał pociągiem na przystań promową, a stamtąd zamierzał wrócić do domu przez Morze Irlandzkie. Berlin powinien być zadowolony. Od osiemnastu miesięcy Niemcy żądali, żeby zajął się Pritchardem. Irlandczyk miał jednak ważniejsze sprawy na głowie niż dokuczanie cywilowi z Harley Street. Zastanawiał się jednak, czemu medyczna karta człowieka, który zmarł ponad dwadzieścia lat temu, jest taka ważna.

Rose Jefferson należała do tych nielicznych Amerykanów, którzy doszli do wniosku, że druga wojna światowa jest nieunikniona. Jesienią 1938 roku jeździła często do Waszyngtonu, konsultując się z ministrami skarbu i obrony narodowej, u nawet z samym prezydentem Rooseveltem. Nazwa firmy „Global Interprises”

odpowiadała rzeczywistości: przedsiębiorstwo było światowym imperium przemysłowo-finansowym. Rząd dobrze wiedział, że statki, koleje i fabryki kontrolowane przez Rose przydadzą się całemu narodowi w przyszłej wojnie. Jeszcze ważniejsza była finansowa potęga „Globalu”.

Zanim Rose rozpoczęła rozmowy z waszyngtońskimi dygnitarzami, zasiadała już w wielu komitetach, które modyfikowały amerykańską strategię i politykę wraz ze zmianą sytuacji w Europie. Po okropnościach nocy kryształowej 9 listopada 1938 roku, kiedy banda nazistów plądrowała sklepy żydowskie i maltretowała ich właścicieli, Rose opowiedziała się za zniesieniem ograniczeń imigracyjnych dla niemieckich Żydów. Z przerażeniem stwierdziła, że zdaniem niektórych członków gabinetu Roosevelta był to tylko odosobniony incydent. Rose zaproponowała Monkowi, żeby razem spróbowali wywieźć z Europy żydowskich pracowników „Globalu”, zaczynając od Niemiec.

— Zdążyliśmy cię wyprzedzić — powiedział Monk.

Nie był pewien, jak zareaguje Rose, dlatego aż do tej pory nic jej nie powiedział o programie pomocy uchodźcom, realizowanym przez Michelle i Abrahama Warburga. Rose była zdumiona i oszołomiona. Od razu wpadła na pewien pomysł.

— Możemy zatrudniać w „Globalu” nowych pracowników i wysyłać ich tu na „przeszkolenie”. Monkowi spodobała się inicjatywa Rose. Napisał o wszystkim Abrahamowi Warburgowi, który natychmiast podchwycił ten pomysł.

Latem 1939 roku, wbrew radom współpracowników, Rose udała się w ostatnią podróż do Europy. Zamierzała odwiedzić wiele miejsc, ale najpierw udała się do kliniki Hoffmana w Szwajcarii. Kiedy zrozumiała, jak ciężkie są obrażenia Stevena, chciała sprowadzić syna do Nowego Jorku. Była przekonana, że Stany Zjednoczone przodują pod względem medycyny i w żadnym innym miejscu Steven nie otrzyma lepszej opieki. Jednakże wszyscy amerykańscy specjaliści, którzy zapoznali się z przypadkiem Stevena, powiedzieli jej to samo: Szwajcaria, a zwłaszcza klinika Hoffmana, odnosi największe sukcesy w chirurgii plastycznej.

Rose niechętnie pojechała do Jarlsburga i przygotowała wszystko. Kiedy Steven mógł podróżować, zawiozła go do Szwajcarii. W czasie ich ostatniego spotkania twarz syna była spowita bandażami. Teraz nie miała pojęcia, czego się spodziewać.

Dyrektor Joachim Hoffman z szacunkiem powitał Rose.

— Zrobiliśmy postępy — zapewnił ją. — Od początku mówiłem jednak, że nic nie zastąpi czasu, który jest najlepszym lekarzem.

— Czy mogę go zobaczyć? Czy mogę go naprawdę zobaczyć?

— Nie radzę — odrzekł stanowczo Hoffman.—Steven wie, że ma do przebycia długą drogę. Pani jednak spodziewałaby się widoku znajomej twarzy. Proszę lepiej poczekać, dopóki nie skończymy. — Hoffman zaprowadził ją do jednego z domków dla gości. — Zostawię panią teraz. Jeśli syn nie zechce odsłonić twarzy, to bardzo proszę, niech go pani do tego nie zmusza. Oboje musicie uzbroić się w cierpliwość.

Nagle Rose poczuła się jak sparaliżowana. Co ma powiedzieć Stevenowi? Czy może go dotknąć? Pocałować?

— Cześć, mamó.

Jego głos był ochrypły. Stał w czapce na ganku, a biały bandaż przesłaniał mu twarz. Kiedy zszedł po schodach, wyciągnęła do niego rękę. Steven złapał matkę za nadgarstki.

— Nie wolno ci dotykać mojej twarzy. Rose powstrzymywała łzy.

— Rozumiem, kochanie — wyszeptała. Steven podał jej ramię.

— Może się przejdziemy? To najpiękniejsza pora dnia. Słońce właśnie chowa się za górami.

Prowadził ją po ścieżce ku małemu, sztucznemu jezioru, wokół którego stały ławki.

— Powinnaś mnie uprzedzić, że przyjeżdżasz — powiedział.

— Myślałam... że sprawię ci niespodziankę.

— I sprawiłaś.

Rose zauważyła, że syn mówi z trudem. Od czasu do czasu światło padało na bandaż pod takim kątem, że prześwitywały spod niego kawałki czerwonego ciała.

— Dobrze się czujesz? — spytał Steven.

— Tak. A ty?

— Wyzdrowieję, mamó. Będę taki jak przedtem. Rose pocieszyło zdecydowanie w jego głosie.

— Opowiedz mi o „Globalu”... i Nowym Jorku. Niewiele wiadomości dochodzi tu ze świata.

Na początku Rose mówiła z wahaniem. Uderzyło ją opanowanie Stevena. Krok po kroku opowiedziała synowi wszystko, co pragnął wiedzieć. Opowiadała o „Globalu”, o Nowym Jorku, nowych klubach i sztukach wystawianych na Broadwayu. Mówiła o Monku McQueenie, zawartej z nim umowie i komitetach, w których zasiadała w Waszyngtonie.

— Opowiedz mi o Waszyngtonie — poprosił cicho Steven. — To fascynujące. Rose mówiła długo, aż zapadł zmrok i pojawiły się robaczki świętojańskie.

— Bez przerwy gadam i nie daję ci dojść do głosu—zbesztala samą siebie Rose.

— Nie powinienem mówić zbyt wiele — odrzekł Steven. — Skóra musi się zagoić, w przeciwnym razie...

— Oczywiście — odparła pospiesznie.

— Dokąd teraz jedziesz, mamó?

— Najpierw do Berlina. Potem do Rzymu, Amsterdamu i Paryża. Zamykamy wszystkie biura, które sprzedają czeki podróżne. Monk i ja zgodziliśmy się, że nasi pracownicy w Europie narażają się na zbyt duże ryzyko.

Steven zachichotał.

— Rozsądne posunięcie. Co z Harrym Taylorem? Czy nikt go nie widział?

— Nie. Jeśli o mnie chodzi, Harry Taylor umarł w katakumbach i poszedł prosto do piekła. Nigdy mu nie wybaczę. Nigdy!

Steven słyszał plotki o nagrodzie, którą matka wyznaczyła za schwytanie zbiega. Spodziewał się, że pewnego dnia przeczyta w gazecie o aresztowaniu Harry'ego. Wraz z Kurtem Essenheimerem opracował plan awaryjny, aby upewnić się, że Harry nie zdaży niczego powiedzieć policji. Steven żył jednak w ciągłej niepewności. Teraz doszedł do wniosku, że jeżeli mimo wysokiej nagrody cały europejski świat przestępczy nie zdołał znaleźć Harry'ego, to nikt tego nie dokona.

Steven wyciągnął rękę do matki.

— Daj mi trochę czasu, mamó. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

— Dam ci wszystko, czego potrzebujesz — wyszeptwała Rose.

Już to zrobiłaś — pomyślał Steven, odprowadzając Rose do samochodu. Wyobrażał sobie minę Kurta, kiedy mu opowie o szczegółach amerykańskiej polityki. Kiedy Rose wsiadała do auta, Steven zapytał niedbale:

— Spotkałaś się może z Cassandrą? Pytanie zdziwiło Rose.

— Tak. Prawdę mówiąc, widzimy się często. To wspaniała młoda dama. Franklin byłby z niej bardzo dumny.

— Na pewno — wymruczał Steven.

Stał na balkonie i patrzył, jak limuzyna odjeżdża krętą, górską drogą. Odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno, aż usłyszał echo własnego śmiechu.

Matka była bardzo głupia. Na biurku Stevena w salonie leżała karta medyczna Franklina, podpisana przez sir Dennisa Pritcharda.

Tak, mamó, jesteś głupsza niż sadziłem.

4

Trzeciego września 1939 roku wybuchła wreszcie „dziwna wojna”. Niemieckie U-booty zatopiły brytyjski statek „Athena” koło wybrzeża Irlandii, co przyspieszyło wypowiedzenie wojny przez Wielką Brytanię i Francję.

— Dzięki Bogu, że zabraliśmy stamtąd naszych ludzi — powiedział Monk do Cassandry. — Hitler zrobi w Europie jatkę.

Jego ponura przepowiednia się sprawdziła. Jesienią 1940 roku Francja, Belgia, Holandia, Dania i Norwegia upadły pod ciosami niezwyciężonej niemieckiej maszyny wojennej. Cassandra płakała, oglądając w kronice filmowej zdjęcia żołnierzy niemieckich maszerujących pod Łukiem Triumfalnym. Nie rozumiała postawy Amerykanów wobec wojny.

— Czy oni nie rozumieją, co się dzieje? — pytała. — Jeśli nic nie zrobimy, Wielka Brytania będzie następna.

Monk podzielał jej uczucia. Dniami i nocami pisał artykuły, w których domagał się, by Ameryka przystąpiła do wojny. Przeciwstawiały mu się jednak potężne osobistości — były prezydent Herbert Hoover, Henry Ford i Charles Lindbergh opowiadali się za izolacjonizmem i nieangażowaniem się w „europejską wojnę”.

Cassandra ze wszystkich sił pomagała ojcu. Tłumaczyła artykuły Mońka na inne języki.

Francuskie, niemieckie, włoskie i hiszpańskie kopie rozsyłano po całej okupowanej Europie, gdzie przedrukowywano je w podziemnych gazetach.

— Na co jeszcze czekają Stany Zjednoczone? — pytała Cassandra, kiedy w przestworzach rozgrywała się bitwa o Anglię.

— Czekamy, aż stanie się coś strasznego i nie będziemy już mogli ignorować rzeczywistości — odrzekł Monk.

Siódmego grudnia 1941 roku spełniła się jego przepowiednia. Trzysta sześćdziesiąt japońskich samolotów zaatakowało Pearl Harbor. Dla Stanów Zjednoczonych skończyły się dni oczekiwania.

Głębokie zasy otaczały szwajcarskie sanatorium. W chacie Stevena w kominku płonął ogień. Kurt Esseneimer zauważył, że w całym pokoju rozstawiono naczynia z wodą, co nadawało wilgotność powietrzu i zapobiegało wysychaniu skóry Stevena.

— Czy jesteś absolutnie pewien, że trzeba to zrobić? — spytał Esseneimer. Przyjechał tego popołudnia po długiej, męczącej podróży przez Alpy. Steven przypomniał Kurtowi rozmowę sprzed pięciu lat, dotyczącą Mońka McQueena. Dyskusja przeciągnęła się do późnej nocy. Esseneimer miał wątpliwości.

— To oczywiście jest wykonalne, Stevenie. Bardzo dużo jednak ryzykujemy, zwłaszcza teraz, kiedy wojna wkroczyła w krytyczną fazę. Jeśli informacja, wyniesiona przez „zdrajcę”, trafi w niepowołane ręce, może to położyć kres wszystkim naszym osiągnięciom.

— Jeśli niczego nie zrobimy i tak czekają nas kłopoty — odparł z ciemności Steven. — McQueen nigdy nie przestanie węszyć. Cały czas stara się udowodnić, że współpracuję z Rzeszą. Do tej pory środki bezpieczeństwa nie zawiodły i mieliśmy ogromne szczęście. Nie wymknęła się nam żadna Anna Kleist. Kiedy jednak Hitler walczy na dwa fronty, niektórzy ludzie mogą dojść do wniosku, że Niemcy nie wygrają tej wojny. Będą próbowali zdobyć jakieś zabezpieczenie na wypadek ciężkich czasów i zwrócą się do McQueena. — Steven przerwał. — Jest jeszcze jedna sprawa. Dopóki Stany Zjednoczone zachowywały neutralność, mógłbym co najwyżej zostać oskarżony o prowadzenie nieczystych interesów. Wszyscy by mnie krytykowali, matka starałaby się położyć kres mojej działalności, ale w zasadzie byłbym bezpieczny. Teraz wybuchła wojna, Kurcie. Kolaboruję z wrogiem. Zdradziłem własny kraj, a obaj wiemy, jaka kara spotyka zdrajców. Obaj mężczyźni patrzyli na tańczące płomienie.

— Nie mamy wyboru, Kurt. Wiemy, że McQueen zrobi wszystko, aby dokończyć to, co zaczęła Michelle. Musimy go powstrzymać.

Esseneimer zapalił papierosa i wrzucił zapałkę do ognia.

— Dobrze. Uruchamiamy plan awaryjny. Potrzebujemy jednak czasu. Jest teraz luty. Powiedzmy, trzy miesiące?

Steven chciał już zaoponować, ale zdał sobie sprawę, ile pracy czeka Kurta. On sam nie prosiłby o mniej.

— Dobrze. Trzy miesiące. Mam nadzieję, że będziesz mnie na bieżąco informował. Pamiętaj: niczego nie możemy pozostawić przypadkowi. Niczego.

Sto dni później, w maju 1942 roku, młody mężczyzna z ciemnymi, krótkimi włosami, o sprężystym kroku oficera skręcił na główną handlową ulicę Zurychu, Bahnhofstrasse. Przyjrzał się błyszczącym szyldom i znalazł ten, którego szukał: „Międzynarodowa Służba Pomocy Uchodźcom”.

Oficer wiedział, że biuro tej organizacji mieści się na szóstym piętrze i że zajmuje się ona między innymi działalnością humanitarną, łącząc ze sobą rodziny, które rozdzieliła wojna. Pod tą fasadą ukrywało się jednak tajne przedsięwzięcie: biuro było częścią podziemnej siatki, rozciągającej się od Nowego Jorku do Zurychu

i obejmującej tysiące miast, osiedli i wiosek w całej okupowanej Europie. Organizacja płaciła szwajcarskim inspektorom celnym, którzy w zamian nie przyglądali się zbyt dokładnie wizom. W Niemczech dawała pieniądze lub złoto biurokratom, wydającym Żydom pozwolenia na opuszczenie kraju. Zaopatrywała w fundusze ruch oporu, aby bojownicy mogli kupić to, czego nie potrafili odebrać wrogowi.

Oficer pomyślał, że Służba Pomocy Uchodźcom jest jedną z najpotężniejszych broni, jaką wymyślili alianci. Powstała dzięki wysiłkom i pomysłowości dwóch ludzi: Mońka McQueena w Nowym Jorku i Abrahama Warburga w Zurychu.

— Przykro mi, ale Herr Warburg tu nie pracuje—powiedziała ładna sekretarka. — Może zwróci się pan do któregoś z naszych administratorów.

Oficer wyjął z aktówki cienką wiśniową teczkę. Widniała na niej woskowa pieczęć z dwugłowym orłem i nazistowską swastyką.

— Proszę to dać Warburgowi—powiedział, rzucając teczkę na biurko. — Niech mu pani powie, żeby nie marnował mojego czasu.

Sekretarka, która była Żydówką, wzdrygnęła się, słysząc jego lodowaty ton. Spotykała już takich ludzi w Berlinie.

— Proszę poczekać.

Oficer usadowił się wygodnie i włożył papierosa do cygarniczki. Zdążył wypalić połowę, zanim wróciła sekretarka.

— Czy mógłby pan pójść ze mną?

Sekretarka wprowadziła go do biura z oknem wychodzącym na ulicę. Pokój był prawie pusty. Na biurku nie było niczego poza telefonem. W rogu stała podniszczona szafka.

— Miło mi pana poznać, Herr Warburg — powiedział oficer do odwróconego tyłem mężczyzny. Kiedy Warburg się odwrócił, oficer zauważył, że pieczęć na teczce została złamana

— Kim pan jest? — spytał cicho Warburg.

— Pułkownik Gunter von Kluge z biura Inspektora Generalnego Ministerstwa Finansów w Berlinie. Oto moje dokumenty.

Warburg starannie obejrzał papiery. Jako doświadczony bankier umiał odróżnić falsyfikaty od oryginałów. Te były prawdziwe.

— Czym mogę panu służyć?

Von Kluge ruchem głowy wskazał teczkę.

— Czy to nie oczywiste?

— Znajduje się pan w biurze pomocy uchodźcom, pułkowniku. Przyniesione przez pana dokumenty mówią o transakcjach, w których uczestniczy jakiś Amerykanin, nazwiskiem Talbot, i o dostawach towarów dla Niemiec. Naprawdę, wydaje mi się, że przyszedł pan pod niewłaściwy adres.

Von Kluge usiadł na twardym, drewnianym krześle i niedbale założył nogę na nogę. -- Czy wie pan, że w zeszłym tygodniu gestapo aresztowało trzech ludzi? Podał Warburgowi nazwiska i z przyjemnością dostrzegł ból w oczach starego

człowieka. — Zabrano ich do Buchenwaldu. Sądzę, że już nie żyją. Czy wie pan dlaczego, Herr Warburg? Dlatego, że starali się ukraść dokument, który panu przyniosłem.

Warburg czuł, że na czole zbiera mu się pot.

— Wiem, czym się pan zajmuje wraz z Monkiem McQueenem — mówił von Kluge. — Widzi pan, moim zadaniem była ochrona informacji, których poszukiwali wasi ludzie. Teraz jestem jednak gotów udostępnić panu wszystko.

— Kim pan jest? — spytał Warburg.

— Realistą. Tak samo jak pan. Hitler popełnił fatalny błąd, kiedy w zeszłym roku zaatakował Rosję. Teraz Niemcy potrzebują jeszcze większych dostaw. Jeśli dam panu dowody, że Steven Talbot handluje z Rzeszą, będziecie mogli go powstrzymać i zacisnąć pętlę na szyi Führera. O to przecież panu chodzi, nieprawdaż, Herr Warburg?

— Dlaczego pan to robi?

— Nie zamierzam umierać razem z Niemcami, proponuję więc transakcję: informacje o Talbocie w zamian za bezpieczny przejazd do Ameryki i milion dolarów.

— To absurd!

— To naprawdę tanio! — odparł von Kluge. — Och, jeszcze jedna sprawa. Ubiję interes tylko z samym McQueenem tu, w Zurychu — Niemiec przerwał. — Czy przedyskutujemy tę sprawę, Herr Warburg?

Bankier powoli usiadł za biurkiem. To wystarczyło von Klugemu.

Trzy godziny później von Kluge i Abraham Warburg wyszli z biura i udali się do Szwajcarskiego Banku Kredytowego. Wynajęli tam sejf depozytowy i dostali dwa klucze. Schowali w sejfie materiały przyniesione przez von Klugego.

Von Kluge wyciągnął rękę po klucz Warburga.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to aż do przyjazdu McQueena zatrzymam oba klucze.

Rozstali się zaraz po opuszczeniu banku. Von Kluge szybko zawrócił i dostrzegł w tłumie czarny kapelusz Warburga. Łatwo było śledzić bankiera, nietrudno też było odgadnąć, dokąd zmierza: do ambasady amerykańskiej.

Von Kluge wszedł do budki telefonicznej i poprosił telefonistkę, by połączyła go z kliniką Hoffmana w Jarlsburgu. Pierwsza część planu została zrealizowana bez żadnych kłopotów. Steven Talbot na pewno będzie zadowolony.

Cassandra od razu wyczuła, że coś się stało. Jadła z Monkiem śniadanie na tarasie wśród róż, geranium i bluszczu. W tym spokojnym otoczeniu podekscytowanie Monka rzucało się w oczy.

— O co chodzi? — spytała wesoło, całując go w policzek.

— Wiadomości wieczorne. Wygląda na to, że Hitler porwał się na coś, co go przerasta, kiedy zaatakował Rosję. Sowieci przeszli do ofensywy.

Cassandra potrząsnęła głową, strącając z twarzy kosmyk jasnych włosów. Wiedziała, że Monk jej nie okłamuje. Nie mógłby tego zrobić. Po prostu nic mówi wszystkiego.

— Czy było coś jeszcze w tej depeszy?

— Nic aż tak sensacyjnego.

Cassandra postanowiła nie drążyć tego tematu, przynajmniej na razie. I tak prędzej czy później dowie się wszystkiego.

Jednakże od tego dnia atmosfera w domu nigdy już nie była taka sama. Tajemnicza sprawa coraz bardziej pochłaniała Mońka. Spędzał dużo czasu w Waszyngtonie. Przyjeżdżał do domu tylko po to, żeby się przebrać. Cassandra starała się uzyskać od ojca jakieś wyjaśnienie, Monk jednak zrećźnie unikał jej pytań.

Pewnego ranka, po szczególnie niespokojnej nocy, Cassandra obudziła się nagle. Nie wiedziała, czy sprawił to silny poranny wiatr czy męskie głosy. Wyślizgnęła się nago z łóżka i nadstawiła uszu. Głosy zamilkły, ale słyhać było, jak ktoś przesuwając krzesło na tarasie. Monk wrócił z Waszyngtonu i jadł śniadanie. Cassandra przemyła twarz wodą, umyła zęby i włożyła starą, wygodną, flanelową koszulę nocną.

— Nareszcie. Już najwyższy czas...

Zamarła z otwartymi ustami, kiedy po wyjściu na taras zobaczyła obcego mężczyznę. Był wyższy i starszy od niej; miał około dwudziestu pięciu lat. Dostrzegła kręcone, kasztanowe włosy i zielone oczy koloru morza. Mężczyzna był przystojny, chociaż miał kiedyś złamany nos, a na jego policzku widniała cienka, ukośna blizna.

— Cześć — w głosie gościa dziewczyna usłyszała przyjemne zdziwienie. — Nazywam się Nicholas Lockwood.

— Cassandra McQueen — wyjąkała.

— Monk wiele mi o pani opowiadał.

— Widzę, że zdążyliście się już poznać. — Monk wyszedł na taras, niosąc tacę z kawą i ciastkami.

— Wczesnie wstałaś, pączuszk.

— Nie mogłam zasnąć — wymamrotała Cassandra i zarumieniała się, słysząc, że zwraca się tak do niej przy obcym. Rumieniec jeszcze się pogłębił, kiedy zauważyła, że Lockwood się uśmiecha.

Stała na palcach, pocałowała Mońka i wyszeptała:

— Kto to jest?

— Może wypijesz z nami kawę — zaproponował Monk.

Usiadła i poczuła, jak koszula opina się na jej piersiach. Od razu przypomniała sobie, że jest pod spodem zupełnie naga. Dyskretnie sięgnęła po szlafrok.

— Poznałem Nicholasa w Waszyngtonie — rzekł Monk, nalewając wszystkim kawę. — Pracuje w Departamencie Stanu.

Ścisłe biorąc była to prawda. Monk nie powiedział jednak, że szefem Lockwooda jest generał „Dziki Bill” Donovan, założyciel Biura Służb Strategicznych (Office of Strategic Services, czyli OSS). OSS pełniło jednocześnie rolę najmłodszej amerykańskiej agencji wywiadowczej i oddziału komandosów. Lockwood był jednym z jego najlepszych pracowników.

— W przyszłym tygodniu wybieram się z Nicholasem do Europy. — Dokąd? — zapytała natychmiast Cassandra.

— Do Zurychu—odrzekł Lockwood. — Mieści się tam biuro Międzynarodowej Służby Pomocy Uchodźcom. Wielu znanych pisarzy i wydawców, których Niemcy bardzo pragnęliby schwytać, uciekło do Szwajcarii. Trudno wydostać ich stamtąd oficjalnymi kanałami. Jeśli jednak przybędą do Stanów Zjednoczonych, gdyż magazyn *Q* potrzebuje ich usług...

— To wspaniały pomysł — powiedziała Cassandra.

Lockwood cieszył się, że Cassandra tak gładko przelknęła to kłamstwo. Kiedy kazano mu towarzyszyć McQueenowi do Europy, otrzymał bardzo niejasne instrukcje: „Upewnij się, że McQueen przywiezie to, po co jedzie”. O co jednak chodziło? Lockwood miał wrażenie, że nawet jego przełożeni nie są tego pewni. Wyglądało jednak na to, że sprawa jest wystarczająco ważna, by powierzyć misję Lockwoodowi.

— Kiedy wyjeżdżacie? — spytała Cassandra.

— Za pięć dni — odrzekł Monk i spojrzął na Lockwooda. — Powinniśmy więc zająć się szczegółami.

Kiedy dwaj mężczyźni wstali, Cassandra powiedziała:

— Miło mi było pana poznać, panie Lockwood. Może się jeszcze spotkamy. Uśmiechnął się do niej.

— Mam taką nadzieję.

— Przypomnę panu kiedyś o tej obietnicy — drażniła się z nim.

— Liczę na to.

Podróż z Nowego Jorku na Azory w samolocie wynajętym przez Mońka, ale opłaconym przez Departament Stanu, trwała ponad siedemnaście godzin. Nicholas Lockwood zamierzał wyciągnąć od McQueena całą prawdę o misji, jednakże przeszkodziły mu w tym dwie rzeczy: sen starszego mężczyzny i Cassandra.

Nicholas cały czas myślał o Cassandrze. Umawiał się z wieloma pięknymi kobietami, ale żadna z nich nie miała tego uroku, jak córka McQueena. Luźna nocna koszula nie mogła ukryć niewątpliwej urody dziewczyny. Nicholasa fascynowała również jej otwartość. Nie było w niej wystudiowanej obojętności, typowej dla bogatych kobiet w Waszyngtonie i w Nowym Jorku. Troszczyła się o Mońka, interesowała jego pracą i przejmowała tragedią, która objęła pół świata. Nicholas słyszał o porwaniu Cassandry i tragicznej śmierci jej matki. Sam doświadczył w życiu różnych dramatów, podziwiał więc charakter i siłę woli dziewczyny, która umiała poradzić sobie z tym wszystkim.

W czasie postoju na Azorach Nicholas i Monk jedli owoce i pili kawę w barze na lotnisku.

Człowiek z OSS długo czekał na taką okazję.

— Czy skontaktuje się pan z ludźmi z Zurychu zanim tam przyjedziemy, parne McQueen?

Monk wziął kawałek pomarańczy. Nicholas znowu próbował go wysondować. McQueen nie mógł go za to winić, ale nie odważył się wyjawić Lockwoodowi prawdy. Nawet minister obrony narodowej nie wiedział wszystkiego. Monk

powiedział mu tylko, że istnieje szansa odcięcia Trzeciej Rzeszy od surowców, niezbędnych do prowadzenia wojny. Nie wspomniał, że może się to skończyć ruiną dla rodziny Jeffersonów. *Co się stanie z Rose?*

Jeśli informacje, przekazane przez niemieckiego oficera, von Klugego, były choć w połowie tak sensacyjne, jak twierdził Warburg, Rose i „Global” czeka katastrofa. Ciekawe, czy Steven Talbot kiedykolwiek pomyślał, że pewnego dnia może stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Nie uprzedzaj wypadków — powiedział do siebie Monk. — Powoli.

Spojrzał na Nicholasa.

— Przede wszystkim dajmy spokój tym formalnościom. Mów mi Monk. Jeśli chodzi o Zurych, wszystko jest przygotowane. Musimy tylko odebrać przesyłkę i wrócić do domu.

W takim razie po co mnie ze sobą wzięłeś? I co to za przesyłka?

— Panie McQueen... Monk — powiedział Nicholas. — Nie chcę cię urazić, ale OSS nie prowadzi usług pocztowych. Jeśli spodziewasz się kłopotów, chciałbym być przygotowany.

Monk uśmiechnął się. Podejmując się tej misji, spotkał się z wieloma oficerami OSS i wybrał spośród nich Nicholasa. Od razu się polubili. Już w Waszyngtonie nabrali do siebie zaufania i szacunku. Monk doceniał niezależność i pomysłowość Nicholasa, ale dostrzegał w nim również wrażliwego człowieka, który ceni sobie przyjaźń.

— Nie ma chyba na świecie bezpieczniejszego miasta niż Zurych — powiedział Nicholasowi. — Kiedy dostaniemy to, po co przybyliśmy, podejmiesz takie środki bezpieczeństwa, jakie uznasz za stosowne.

Nicholas wiedział, kiedy należy zrezygnować. Miał zaletę nietypową dla młodych ludzi: cierpliwość.

Samolot zabrał ich aż do Lizbony. Dzięki dokumentom Czerwonego Krzyża obaj mężczyźni przekroczyli francuską granicę i wjechali do Vichy. Dwa dni później wsiedli do pociągu, który jechał przez okupowaną Europę prosto do Szwajcarii. Podróż była męcząca i nudna, a mimo to Monk uznał, że bezpośrednio ze stacji powinni się udać do biura Międzynarodowej Służby Pomocy Uchodźcom.

— Lepiej, żebym sam się spotkał z kierownictwem — powiedział Monk, kiedy wchodzili do budynku.

Zanim Nicholas zdążył zaprotestować, do poczekalni wpadł Abraham Warburg. Bankier wziął Nicholasa pod rękę i zaprowadził do pustego biurka.

— Jeden z moich ludzi zachorował — wyjaśnił. — Proszę, niech się pan rozgości. To na pewno nie potrwa długo.

Monk poszedł za bankierem do biura i po raz pierwszy znalazł się twarzą w twarz z człowiekiem, który mógł zrujnować jedną z najbogatszych rodzin w Ameryce.

— Herr McQueen — powiedział Niemiec, wyciągając rękę. — Miło mi pana poznać. Dużo o panu słyszałem.

— Ja o panu również — odrzekł kwaśno Monk.

— Przywiózł pan bez wątpienia wymagane dokumenty.

Bez słowa Monk wręczył von Klugemu kopertę. W środku znajdował się list od ministra obrony narodowej, gwarantujący Niemcowi bezpieczny przejazd do Stanów Zjednoczonych, a także czek na milion dolarów, wystawiony na osobisty rachunek Mońka.

— Doskonale — wymruczał von Kluge.

— Pańska kolej — rzekł Monk.

Niemiec zamaszystym gestem otworzył teczkę i wręczył dokument McQueenowi.

— Tak jak obiecałem, mamy tu cyfry dotyczące ostatniej dostawy.

Monk przeklinał cicho, czytając umowy. Aż do tej pory nie dowierzał von Klugemu. Wszystko układało się zbyt dobrze. Monk bardzo chciał dobrać się do Stevena, ale nie liczył na tego niemieckiego oficera. Teraz przekonał się, że bystry i skrupulatny Steven popełnił w końcu błąd: podpisał dokument, który może zaprowadzić go na szubienicę.

— Sądę, że jest pan zadowolony, panie McQueen. Monk skinął głową.

— Jeśli tak, to mam dla was niespodziankę. Niemiec wyjął klucz do skrzynki depozytowej.

— Wiedziałem, że nie wrócę do Niemiec, dlatego przywiozłem ze sobą jeszcze kilka rzeczy, które mogą was zainteresować. Umieściłem je w banku po przeciwnej stronie ulicy. Pójdę teraz po nie, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

— Oczywiście, Herr von Kluge. Interesuje nas wszystko, co pan przywiózł. Von Kluge wykonał bezbłądny, wojskowy zwrot w tył i wyszedł. Nie zauważył młodego mężczyzny, który przyglądał mu się badawczo, ukrywając się za gazetą.

— Cóż, dostał pan to, o co panu chodziło — powiedział Warburg.

Monk spodziewał się, że w chwili zwycięstwa ogarnie go euforia, lecz czuł tylko pustkę. Abraham Warburg rozumiał, że dla przyjaciela czas próby dopiero się rozpoczyna.

— Steven był niezwykle pomysłowy — powiedział Monk. — Gdyby nie von Kluge, nic nie moglibyśmy mu zrobić. — Przerwał. — Czy domyśla się pan, co jeszcze przywiózł von Kluge? Warburg pokręcił głową.

— Cokolwiek to będzie, na pewno spodoba się Waszyngtonowi.

Prosto z biura Służby Pomocy Uchodźcom von Kluge udał się do Szwajcarskiego Banku Kredytowego po przeciwnej stronie ulicy. Nie podszedł jednak do urzędnika obsługującego depozyty. Stał w kolejce do kasy za mężczyzną, który postawił teczkę przy lewej nodze. Klient załatwił sprawę i odszedł—bez teczki. Von Kluge porozmawiał z głównym kasjerem o otwarciu konta i również odszedł, lecz z teczką mężczyzny.

Chwilę później von Kluge ruszył w kierunku biura Warburga. Znow nie zwrócił uwagi na przyglądającego mu się młodego człowieka. Kiedy ich oczy się spotkały,

Nicholas Lockwood uśmiechnął się uprzejmie i odwrócił wzrok. Tych kilka cennych sekund wystarczyło, by Niemiec schował teczkę za dużym, doniczkowym bluszczem przed drzwiami biura Warburga.

Dokąd on idzie? — zastanawiał się Lockwood, widząc, jak von Kluge wraca tą samą drogą. — Może czegoś zapomniał. A może działo się coś złego?

To właśnie podpowiadała Lockwoodowi intuicja. Dostrzegł pot na czole von Klugego i zauważył, że Niemiec przyspiesza kroku. Prawie biegł. Nicholas wstał z krzesła i ruszył za von Klugem, on jednak wsiadł do windy i nacisnął guzik.

Lockwood wbiegł do biura Warburga.

— Facet, który tu przyszedł, czego chciał?

Monk i Abraham Warburg spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— O czym ty mówisz? — spytał Monk. — Wyszedł i jeszcze nie wrócił.

— Akurat! Był tu minutę temu. Przeszedł koło mnie, niosąc teczkę.

— Panie Lockwood — powiedział spokojnie Warburg. — Zapewniam pana, że tego dżentelmena tu nie ma. Wyszedł..

Nicholas wypadł z biura Warburga i rozejrzał się gorączkowo. *Myśl! Przypomnij sobie! Przechodzi koło ciebie. Niesie teczkę... Nie wchodzi jednak do biura. Potem wraca prawie biegiem.*

— Niech wszyscy stąd wyjdą! — krzyknął Nicholas. Kiedy zjawił się Warburg, Nicholas chwycił go za ramię.

— Każ swoim ludziom wyjść!

— Ale...

— Zrób to!

Nicholas dostrzegł, że Monk skinął głową. Warburg kazał pracownikom opuścić biuro.

— Gdzie ją położyłeś, draniu! — wyszeptał.

Wtedy ujrzał kawałek wiśniowej aktówki, wystający zza doniczki. Zamarł. Z teczki wystawał kawałek drutu.

— To bomba!

Wybuchła panika. Nicholas popędził do biura i ujrzał, jak Monk wkłada dokumenty do aktówki.

— Nie ma czasu!

Monk zdążył jeszcze złapać pozostałe dokumenty, zanim Nicholas wypchnął go za drzwi. Wraz z innymi pracownikami biura przeciskali się do wyjścia.

— Bez względu na to, co się stanie, zawieź to...

Eksplozja sprawiła, że Nicholas nie usłyszał ostatnich słów Monka. Posypały się kawałki drewna i szkła. Nicholas skoczył ku Monkowi, starając się go osłonić. Nie zdążył. Wybuch był dopiero początkiem. Później rozszalał się pożar.

Nigdy przedtem Monk nie przeżył takiego bólu. Włosy mu płonęły. Słyszał trzask ogniu. To paliło się jego ubranie. Każdy oddech sprawiał Monkowi ból, a mimo to

przez cały czas starał się chronić cenną zawartość aktówki. Potem przygniotło go coś ciężkiego. Monk upadł na kolana. Zabrakło mu tchu. W ostatniej chwili jeszcze mocniej przycisnął do siebie aktówkę.

Nicholas wstał. Był oszołomiony, ale nie ranny. Kiedy zobaczył, co się dzieje, rzucił się ku Monkowi i usiłował ugasić ogień. Wybuch zniszczył pokój i nie sposób było przedrzeć się przez falę płomieni. Nicholas mógł uratować siebie i Mońka tylko w jeden sposób: musiał się dostać do drzwi przeciwpożarowych. Chwycił Mońka za kołnierz.

Wydawało mu się, że marsz nigdy się nie skończy. Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Co gorsza, wszędzie unosiły się chmury dymu. Chcąc zaczerpnąć oddechu, Nicholas musiał za każdym razem schylać się i zasłaniać usta chusteczką. Ostatnim wysiłkiem rzucił się całym ciężarem na drzwi przeciwpożarowe i wyciągnął Mońka na małą metalową platformę.

Tylko mi nie umieraj!

Monk oddychał ciężko, a jego cera przybrała popielaty odcień. Nicholas schylił się nad McQueenem i właśnie miał zamiar zrobić mu sztuczne oddychanie, kiedy usłyszał jego głos.

— Teczka... tylko dla Rose. Musisz to zrobić... Powstrzymaj Stevena. Nicholas usłyszał syreny wozów strażackich.

— Trzymaj się, Monk!

— Dla Rose...

Okno nad nimi wyleciało w powietrze i Lockwood przykrył głowę rękami, chroniąc się przed spadającymi odłamkami szkła. Kiedy podniósł wzrok, oczy Mońka były szeroko otwarte i nieruchome.

Nicholas wyjął teczkę z dłoni Mońka. Wahał się przez chwilę, nie chcąc zostawiać martwego człowieka.

Dla Rose...

Włożył aktówkę pod ramię i zbiegł po schodach.

Brzozowe gałązki trzeszczały w ogniu, a ich aromat przypominał jabłkowy zapach calvadosu.

Była godzina dziewiąta i Steven Talbot słuchał radia. Nie zwrócił uwagi na wiadomości zagraniczne, skoncentrował się jednak, gdy czytano informacje krajowe.

Mówiono przede wszystkim o pożarze w Zurychu, który zniszczył trzy górne piętra budynku na Bahnhofstrasse. Dziewięć osób poniosło tragiczną śmierć, w tym wybitny amerykański wydawca Monk McQueen i Abraham Warburg, dyrektor Międzynarodowej Służby Pomocy Uchodźcom. Świadkowie opowiadali o eksplozji poprzedzającej pożar. Władze sprawdzały, czy nie nastąpił wyciek gazu.

Steven podniósł kieliszek w milczącym toąście. Udało się. Za jednym zamachem pozbył się McQueena i tego wścibskiego Żyda, Warburga. Von Kluge osobiście skonstruował bombę i przyrzekł, że ani jedna kartka nie przetrwa wybuchu. Tym właśnie niepokoił się Steven. Przekonał Kurta Essenheimera, że ani McQueen, ani

Warburg nie połkną fałszywej przynęty. To znaczyło, że trzeba przedstawić bankierowi prawdziwy dokument z podpisem Stevena, a potem pozwolić, by McQueen również go zobaczył. Ryzyko było ogromne, ale opłaciło się. Nazistowskie Niemcy w dalszym ciągu będą dostawać cenne surowce. Zyski zasilał tajne konto Stevena.

Teraz mogę wrócić do domu.

Steven Talbot przejrzał się w lustrze. Robił to kilkadziesiąt razy dziennie. Jego cera była gładka, czerwona i bez zarostu, niczym jabłko. Po obu stronach twarzy, od policzka do szczęki, widniały ukośne blizny po operacji, których nigdy się nie pozbędzie. Hoffman i jego ekipa zrobili, co mogli. Po pięciu latach dali Stevenowi nową twarz. Była to jednak twarz rodem z dziecięcego koszmaru. — Nadszedł czas zapłaty — powiedział głośno Steven. Wyobraził sobie Cassandre i jej cierpienie po stracie ojca.

— Zabrałem ci Mońka — wyszeptał. — Teraz zabiorę resztę.

50.

Nikt nie powitał Nicholasa Lockwooda, kiedy pewnego czerwcowego popołudnia wysiadł z samolotu w Waszyngtonie. Przełożeni spodziewali się go w pracy dopiero następnego dnia. Nicholas pojechał pociągiem do Penn Station i spacerował po Times Square. Czuł się jak obcy przybysz w tajemniczym królestwie, pełnym światła, śmiechu i piosenek. Na ulicach widziało się wielu żołnierzy, ale mimo to panowała atmosfera karnawału. Przed sklepami „Toots Shor's” i „21” ustawily się kolejki. Zanim zapadł zmierzch, w „Stork Club” i „Larue's” był już tłok. W tawernach na Trzeciej Alei szafy grające śpiewały: „Chwal Pana i ładuj broń”.

Oszołomiony Nicholas rozglądał się wokół siebie. Myślał o wycieńczonych, przerażonych uchodźcach, uciekających do Hiszpanii, aroganckich urzędnikach z Vichy i zimnych, brutalnych niemieckich wartownikach, strzegących granicy szwajcarskiej. Pamiętał również Zurych... gdzie zginął uczciwy, odważny człowiek, a on nie zdołał temu zapobiec.

Nicholas minął Central Park, w którym angielskie nianie odkładały właśnie robótki i wołały swoich podopiecznych. Spojrzał na lśniący dach Carlton Towers i wyobraził sobie mieszkającą tam młodą kobietę. Teraz została sama. Mała teczka, którą trzymał, nagle bardzo mu zaciężała. Nie miał wyboru. Musiał spotkać się z Cassandrą. Kiedy Nicholas przeczytał dokument, za który Monk oddał życie, wiedział, co powinien zrobić.

Była równie piękna jak przedtem, twarz miała jednak bledszą, a duże oczy spoglądały ze smutkiem na Nicholasa. W spojrzeniu dziewczyny Nicholas dostrzegł pytanie i nieme oskarżenie.
— Proszę wejść.

Zaprowadziła go na taras, gdzie kiedyś jedli razem śniadanie.

— Kiedy się pani dowiedziała? — spytał Nicholas.

Cassandrą spojrziała na latarnie oświetlające park.

— W dniu śmierci ojca. Wpadł tu Jimmy Pearce, redaktor pracujący u ojca. Kiedy go zobaczyłam, od razu się domyśliłam. — Cassandrą spojrziała na Nicholasa. — Czy cierpiał?

Nicholas pokręcił głową.

— Kim pan jest? — spytała nagle Cassandrą. — Nigdy o panu nie wspominał. Nic nigdy o panu nie mówił.

Nicholas wyciągnął rękę do Cassandry, wzdrygnęła się jednak pod jego dotknięciem.

— Wiem, że to marna pociecha, ale udało mu się osiągnąć cel.

— To znaczy co? Nicholas zawahał się.

— Nie wolno mi zdradzić szczegółów. Mogę tylko powiedzieć, że było to bardzo, bardzo ważne. Dziewczyna spojrziała na niego z gniewem.

— Wszyscy mówicie to samo! Jimmy dzwonił codziennie do Waszyngtonu i wypytywał ludzi z Departamentu Stanu, ale wyglądało na to, że nikt nic nie wie. Na miłość boską, ojciec walczył już na wojnie. Czy nie mogliście zostawić go w spokoju?

Cassandrą wiedziała, że to niesprawiedliwe słowa, nie dbała jednak o to. Czy obcy człowiek mógł ją zrozumieć?

— Mam prawo poznać prawdę — powiedziała.

— Owszem. Przrzekam, że dowie się pani wszystkiego. — Nicholas przerwał. - Czy widziała się pani z ciotką?

— Z Rose? Tak, przyszła, kiedy tylko usłyszała wiadomość. Była bardzo miła. Powiedziała, że gdybym czegoś potrzebowała...

— Potrzebuje pani czegoś?

— Tak. Odpowiedzi.

— Byłem razem z nim, kiedy to się stało. Próbowałem go uratować, ale nie zdołałem. Może gdybym zrobił coś jeszcze... nigdy się tego nie dowiem.

Cassandrą widziała, że Nicholas szuka odpowiednich słów i stara się coś jej powiedzieć bez pogwałcenia otrzymanych rozkazów.

— Przepraszam — rzekła Cassandrą. — On był dla mnie wszystkim. Mimo to nie mogę się dowiedzieć, dlaczego umarł.

Nicholas otworzył teczkę i wyjął skórzaną papierošnicę Mońka, jego zegarek i kilka innych osobistych drobiazów.

— Postanowiłem to oddać pani teraz. Reszta przybędzie razem z ciałem. Dotknął ręką aktówki. Potrzebował całej siły woli, żeby nie wyjąć dokumentu, który przywiózł z Zurychu.

— Muszę już iść. Zadzwonię do pani z Waszyngtonu. Kiedy wrócę...

— Nie — przerwała Cassandrą.—Proszę nie przychodzić, jeśli nie będzie mógł tui pan powiedzieć, co się naprawdę stało.

Nie miałem innego zamiaru — powiedział cicho.

Kiedy Lockwood jechał pociągiem do Waszyngtonu, trzymał aktówkę na kolanach.

Teraz wszystko zależy ode mnie. Muszę zdecydować, co powinienem zrobić.

Nicholas długo się nad tym zastanawiał, nie znajdował jednak odpowiedzi.

Nicholas Lockwood rzadko myślał o przeszłości. Nie pamiętał swoich rodziców. Dopiero kiedy skończył kilkanaście lat, dowiedział się od księży z sierocińca, że pierwsze lata życia spędził w katolickim przytułku dla porzuconych dzieci.

Ośmioletniego Nicholasa przeniesiono później do innej instytucji, prowadzonej przez księży.

Wiedział wówczas wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że nigdy nie zostanie zaadoptowany. Młode żony poszukiwały małych dzieci, a nie chłopców przyglądających się im w milczeniu podejrzliwym wzrokiem. Nicholas trzymał się na uboczu. Nie przyłączył się do żadnej bandy, ale zawsze był gotów bronić pięściami swoich praw.

Gdyby nie wrodzona inteligencja, w wieku czternastu lat Nicholas znalazłby się na ulicy i musiałby zarabiać na życie pracą fizyczną. Księża zwrócili jednak uwagę na tego silnego, milczącego chłopca, obdarzonego zdolnościami przywódczymi. Nicholas wyróżniał się zarówno na boisku, jak i w nauce i był pierwszym chłopcem z sierocińca, który otrzymał stypendium, które pozwoliło mu na podjęcie studiów w Notre Dame.

Uniwersytet ukształtował zarówno charakter Nicholasa, jak i umysł. Notre Dame stało się jego domem. Uehonorował swoją uczelnię, zdobywając pierwsze miejsce w konkursie bokserskim i wiele nagród za osiągnięcia w matematyce. Kiedy wydawca roczników uniwersyteckich zapytał Nicholasa, jaką wartość najbardziej ceni, odparł bez wahania: lojalność.

Ktoś musiał zwrócić uwagę na tę wypowiedź. Kilka tygodni przed ukończeniem studiów wezwano Nicholasa do biura dziekana. Czekał na niego mężczyzna, który przedstawił się jako Mr. Brown. Miał około trzydziestu lat, nosił świetnie skrojony garnitur i promieniował pewnością siebie. Postukał dłonią w grubą teczkę, która leżała przed nim na biurku.

— Czy naprawdę tak wysoko ceni pan lojalność?

— Tak.

Mr. Brown przyglądał mu się przez dłuższy czas.

— Wybuchnie wojna — powiedział w końcu. — Nie będzie ona przypominała dawnych wojen. W związku z tym potrzebujemy ludzi o niezachwianej lojalności. Czy stać pana na taką lojalność, panie Lockwood?

Nicholas dokładnie się zastanowił, zanim odpowiedział:

— Tak.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

— Tak sądziłem. Chciałbym opowiedzieć panu o małej instytucji zwanej Biurem Służb Strategicznych.

Zaraz po ukończeniu studiów Nicholas Lockwood znalazł dla siebie nowy dom. OSS miało siedzibę w Waszyngtonie, ale szkolenie odbywało się w różnych miejscach na terenie całego kraju. Lockwood zgłębiał sekrety kryptografii w Hoggy

Bottom, skakał ze spadochronem nad górami Adirondack, a w Wirginii ćwiczył strzelanie i sztuki walki. Ufał swoim kolegom, a oni polegali na nim. Od czasu do czasu zjawiał się Mr. Brown, śledził jego postępy i zachęcał do pracy.

Aż do tej pory Nicholas polegał tylko na sobie, teraz jednak zaczął traktować tego spokojnego, dyskretnego mężczyznę jak ojca. W czasie wolnym od ćwiczeń Brown rozmawiał z nim o ludziach rządzących krajem.

— Jesteś ich narzędziem, Nicholasie. Zawsze musisz pamiętać, że zadanie, które wykonujesz, ma określony cel. Właśnie na tym opiera się twoja przysięga lojalności. Powinieneś również wiedzieć o jeszcze jednej, bardzo ważnej sprawie. Czasami nikt nie będzie mógł wydać ci rozkazów. Będziesz musiał działać na własną rękę. Sam zdecydujesz, czego w tych okolicznościach wymaga lojalność.

Jadąc ekspresem w kierunku stolicy, Nicholas myślał o tych słowach. Powinien oddać teczkę wraz z zawartością przełożonym z OSS. To jego obowiązek. Nie mógł jednak zapomnieć o Monku i jego ostatnim życzeniu. Umierający człowiek powierzył mu tajemnicę, która mogła zbulwersować cały kraj i doprowadzić do ruiny jedną z najbogatszych rodzin amerykańskich. Nie jest również wykluczone, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, skoro w grę wchodzi tak wpływowi ludzie. Czemu więc Monk prosił, żeby Nicholas przekazał dowody matce Stevena Talbota, która łatwo mogła je zniszczyć?

Sam zdecydujesz, czego w tych okolicznościach wymaga lojalność.

Konduktor ogłosił, że za kilka minut pociąg przyjedzie na Union Station. Patrząc na światła Kapitolu, Nicholas podjął decyzję. Monk dorastał razem z Rose Jefferson. Nikt nie znał jej tak dobrze, jak on.

Ja również muszę ją poznać.

Nicholas postanowił, że dowie się wszystkiego o Rose Jefferson.

Trzy tygodnie po śmierci Mońka McQueena Steven Talbot wrócił do domu.

— Dobry wieczór, Albany. Czy matka jest w domu?

Steven zachichotał, widząc przerażoną minę służącego. Dawno już zauważył, że I udzie nie mogą się opanować na widok jego twarzy. Na początku dziwią się, a potem c/ują strach i obrzydzenie.

— Pan Steven?

— To ja, Albany — powiedział Steven, przechodząc przez próg. — Oto moja nowa twarz.

— Czemu nie uprzedził pan nas o przyjeździe? Wysłalibyśmy szofera...

— Trwa wojna, Albany. Lot przez Atlantyk jest teraz ryzykowny. Oczywiście, sir, oczywiście.

Jeśli zaczeka pan chwilę, pójdę po pannę Jefferson.

Steven wziął głęboki oddech i rozejrzał się. Z tym miejscem wiązało się tyle wspomnień.

Oglądając Nowy Jork zza szyby taksówki, Steven doszedł do wniosku, iż w mieście niewiele zostało takich domów jak Talbot House. Inne rezydencje zmieniono w konsulaty, muzea albo, co gorsza, w pensjonaty. Niewątpliwie utrzymanie Talbot House bardzo drogo kosztowało. Steven przyrzekł sobie jednak,

że nigdy nie sprzeda rodzinnej siedziby. Ten dom należał kiedyś do ojca Stevena, a wkrótce on sam stanie się jego właścicielem.

— Steven!

Rose stała na balkonie, zaciskając kurczowo palce na balustradzie. Dostrzegła tylko czubek głowy Stevena. Od powrotu ze Szwajcarii cały czas zastanawiała się, jak wygląda twarz syna pod bandażem. Steven spojrział w górę.

— Cześć, mamó.

Rose zadrżała i bezwiednie cofnęła się. Twarz syna wyglądała jak groteskowa, różowa maska, naciągnięta niezbyt starannie.

Patrz śmiało. Nie wytrzeszczaj oczu. Zejdź na dół i powitaj go w domu...

— Nie wyglądasz na uszczęśliwioną moim widokiem — zauważył Steven.

— Ależ skąd! — roześmiała się nerwowo Rose. — Po prostu nie spodziewałam się ciebie...

Wyciągnęła nieśmiało rękę i dotknęła policzka Stevena.

— Wszystko w porządku, mamó. Jestem zdrowy.

Przycisnął jej rękę do policzka. Rose wzdrygnęła się. Cera Stevena przypominała w dotyku gładki plastik.

Och, synu, co ty z sobą zrobiłeś?

— Chodźmy — powiedziała Rose. — Na pewno jesteś głodny. Gdybym tylko wiedziała... Ale to nieważne. Możesz się do nas przyłączyć. Każę Albany'emu podać dodatkowe nakrycie.

Steven poszedł za matką do biblioteki. Zauważył, że choć przekroczyła pięćdziesiątkę, wciąż była atrakcyjną kobietą. Trzymała się prosto, nosiła dumnie głowę, choć w jej czarnych włosach pojawiły się siwe nitki. Nic dziwnego, że połowa Waszyngtonu bała się jej, a druga połowa się przed nią płaszczyła.

Dlaczego jest taka zdenerwowana?

— Czy będziemy mieli towarzystwo przy obiedzie? — spytał Steven. — Jeśli to ktoś z Kapitolu, to może powinienem się umyć...

Steven zamarł, kiedy wszedł do jadalni. Przy długim stole z wiśniowego drzewa siedziała Cassandra McQueen.

Była to trzecia wizyta Cassandry w Talbot House w ciągu ostatnich trzech tygodni. Po śmierci Mońka Rose dzwoniła do niej codziennie. Chociaż miała Abilene, a Jimmy Pearce i inni pracownicy magazynu *Q* często ją odwiedzali, Cassandra była wdzięczna Rose za zainteresowanie. Spędzały ze sobą długie godziny na rozmowach o człowieku, który bardzo wiele znaczył dla nich obydwu. Opowieści Rose były dla Cassandry niespodzianką: dowiedziała się o młodszej miłości Mońka do Rose, o tym, jak ojciec pomagał przyjacielce w czasie małżeństwa z Simonem i jak ostatecznie go odrzuciła.

— Nigdy nie popełnij takiego błędu — ostrzegła ją Rose. — Nie odrzucaj miłości. Nie licz na to, że możesz bez niej żyć albo że znów ją odnajdziesz.

Idąc do Talbot House, Cassandra była przekonana, że Rose pragnie tylko

wynagrodzić jej krzywdy, które wyrządziła kiedyś Michelle. Myślała tak aż do chwili, w której w jadalni zjawił się Steven Talbot.

— Cassandra, co za niespodzianka!

Steven uśmiechnął się, zauważywszy strach młodej kobiety. Powrót do domu sprawił mu większą przyjemność, niż się spodziewał.

— Steven...

Koło Stevena pojawił się Albany, niosąc drinka. Steven podniósł do światła kryształowy kieliszek.

— Dzięki Bogu, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak trudno jest dostać w dzisiejszych czasach dobrą whisky. Wasze zdrowie!

Obie kobiety wzięły kieliszki, ale żadna nie odwzajemniła toastu.

— Lepiej już pójdę — powiedziała Cassandra, odsuwając krzesło. Zrobiło jej się duszno i zaczęła drzeć, jak gdyby Steven przyniósł ze sobą zimną, wilgotną ciemność katakumb.

— Chyba nie ze względu na mnie — odrzekł Steven. — Nie skończyłaś obiadu.

— Słyszałeś o Monku? — spytała Rose. Steven skinął głową.

— Tak. Tragiczna historia.

— Owszem — powiedziała cicho Rose. — To było bardzo trudne dla Cassandry. Dla nas obu. Stałyśmy się sobie bliskie...

— Cudownie! — rzekł ironicznie Steven.

— Stevenie!

Oparł się wygodnie, masując skronie palcami.

— Mamo, jak byś zareagowała, gdybym powiedział, że Cassandra nie jest naszą krewną?

— Odrzekłabym, że jesteś przemęczony i nie wiesz, co mówisz — ucięła Rose.

— A gdybym udowodnił ci, że wuj Franklin nie mógł być jej ojcem? Widelec Cassandry spadł, kiedy uderzyła pięścią w stół.

— Jak śmiesz!

— Nietrudno to wytłumaczyć — Steven wyjął z kieszeni dokument i wręczył go Rose. Wzrokiem przewiercał Cassandrę na wylot. — Oto karta medyczna Franklina. Wymienione są tu choroby, na które cierpiał w dzieciństwie... w tym świnka. Czy wiesz, Cassandra, czym może skończyć się świnka? Bezpłodnością! Franklin Jefferson był bezpłodny. Nie jest twoim ojcem. Nie mógł mieć dzieci.

— To nieprawda!

Rose wzięła Cassandrę za rękę.

— Skąd to masz, Stevenie?

— Kiedy byłem w Europie, dotarły do mnie niepokojące plotki o Michelle i jakimś mężczyźnie — odrzekł Steven. — Najwyraźniej Michelle znalazła sobie kochanka, kiedy jeszcze była żoną Franklina. Wiedziałem wprawdzie, o kogo chodzi, nie nic nie mówiłem, bo nie miałem dowodów. Wracając do Ameryki, zatrzymałem ule w Londynie i przekonałem Pritcharda, żeby pozwolił mi rzucić okiem na kartę

medyczną Franklina. Kiedy zobaczyłem, że wuj chorował na świnkę, a badania Pritcharda wykazały jego bezpłodność, zrozumiałem, że plotki były prawdziwe.

— Kłamiesz! — wykrzyknęła Cassandra.

— Nie! — wrzasnął Steven. — To ty żyłaś w kłamstwie, a my wszyscy musieliśmy to znosić. Nie należysz do rodziny, podobnie jak ta dziwka, twoja matka!

Cassandra rzuciła w Stevena ciężką karafką z wodą. Nie wycelowała dokładnie. Naczynie przeleciało ponad ramieniem Stevena, a potem rozbiło się o podłogę.

— To nie zmienia faktu, że Monk McQueen był twoim prawdziwym ojcem — dodał cicho Steven.

— Dosyć! — Rose wstała i spojrzała na syna. — Musimy porozmawiać!

— Oczywiście, mamo.

Steven patrzył, jak Rose podeszła do Cassandry, objęła ją i powoli wyprowadziła z pokoju. Kiedy wyszły, musnął palcami twarz. Cassandra dostała za swoje.

Rose Jefferson z trudem nad sobą panowała. Kazała zdumionemu Albany'emu sprowadzić samochód i wyszła z Cassandrą na werandę.

— Przepraszam — wyszeptała Cassandra. — Nie chciałam tego zrobić. On jednak mówił te straszne rzeczy...

— Szszsz, nie martw się — próbowała ją uspokoić Rose. — Marcus odwiezie cię do domu. Możesz być pewna, że zajmę się tą sprawą!

Kiedy samochód odjechał, Rose wróciła do domu. Nie miała wątpliwości, że dokument, który wręczył jej Steven, jest autentyczny. Rozpoznała pismo i podpis Pritcharda. Ale bezpłodność!

Rose przypomniała sobie czasy dzieciństwa. Rzeczywiście, Franklin miał świnkę. Pamiętała, że lekarze byli zaniepokojeni przedłużającą się chorobą. Kiedy tylko Franklin wyzdrowiał, wszyscy o tym zapomnieli. Czy to możliwe, że Franklin nigdy nie dowiedział się o swojej bezpłodności... że nikt o tym nie wiedział?

Skąd mielibyśmy wiedzieć? Zawsze był taki zdrowy i silny. Kto mógłby podejrzewać?

Teraz jednak trzeba się zająć innymi sprawami. Rose poszła szybko do biblioteki i zamknęła za sobą drzwi.

— Dlaczego to zrobiłeś?

Steven spojrzał na nią znad kieliszka.

— Wierzysz mi? — Kiedy Rose nie odpowiedziała, rzekł: — Wierzysz, prawda? Świetnie.

Przykro mi, że rozwiąłem twoje złudzenia, zwłaszcza że bardzo zaprzyjaźniłaś się z Cassandrą.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — przypomniała Rose bezbarwnym tonem.

— To przecież oczywiste. Pretensje Michelle do „Globalu” opierały się na tym, że była żoną Franklina. Kiedy umarła, zostawiła spadek dziecku. Cassandra nie jest jednak ich córką, można więc unieważnić testament. „Global Europe” przejmie kontrolę nad czekami podróżnymi.

- A ty zamierzasz nadal prowadzić tę firmę.

Ironiczny ton matki zdziwił Stevena.

— Oczywiście.

— Nic z tego.

Kostki lodu zagrzecgotały, kiedy Steven odstawił kieliszek.

— Co takiego?!

— Dobrze słyszałeś.

Rose przygotowała się na to, co nieuniknione. Bez pośpiechu opowiedziała synowi wszystko, co wiedziała o jego kontaktach z nazistami. Steven był zszokowany. Matka przytaczała nazwy fikcyjnych spółek, podawała liczbę statków, opisywała ładunki i dostawców. Wspomniała o Kurcie Essenheimerze i wymieniła kwotę, którą zarobił jej syn.

Steven był przerażony. Zastanawiał się gorączkowo, skąd się matka o tym dowiedziała. Zurych! To musiała być właściwa odpowiedź. Pomimo zapewnień agenta, pożar w biurze Międzynarodowej Służby Pomocy Uchodźcom nie zniszczył wszystkiego. Ocalała teczka, którą Steven zwabił Mońka do szwajcarskiej stolicy. Rose przekonała się o jego winie i wszczęła dochodzenie.

Steven miał ochotę kłamać, wypierać się wszystkiego. Kiedy spojrzął na matkę, od razu wiedział, że jest już za późno.

— Zdradziłeś nie tylko kraj i firmę, Stevenie — rzekła Rose. — Zdradziłeś również mnie. Czy wiesz, co się stanie z „Globalem”, jeśli ludzie dowiedzą się

o twojej działalności? Boże, kiedy pomyślę, co ci opowiadałam o polityce Waszyngtonu i różnych decyzjach... Czy powiedziałaś wszystko Essenheimerowi?

Milczenie Stevena było wystarczającą odpowiedzią. Rose z trudem powstrzymywała łzy.

— Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

Steven czuł, jak skóra na jego twarzy napina się boleśnie, tak jak zawsze, gdy ogarniała go wściekłość.

— Dlaczego? — powtórzył. — Masz śmiałość mnie o to pytać? Dorastałem przecież w tym domu i patrzyłem, jak intrygujesz i spiskujesz dla większej chwały „Global Enterprises”! Dla „Globalu” zniszczyłaś męża, mojego ojca. Nie pozwoliłaś nikomu stanąć na twojej drodze. Zabiłaś własnego brata, tak jak gdybyś sama utrzeliła mu w głowę. Dobrze zrozumiałem tę lekcję, mamó. Miałem przecież najlepszego nauczyciela: ciebie! Owszem, robiłem interesy z Essenheimerem i innymi. Chciałem, żeby firma „Global Europe” rosła w siłę. Ty zrobiłabyś to samo. Proszę, oszczędź mi świętoszkowatych uwag. Nie pasują do ciebie.

— Mylisz się, synu — wyszeptała Rose.

- Spójrz na siebie, mamó — powiedział szyderczo Steven. — To ty uczyniłaś mnie tym, kim jestem. Ty nauczyłaś mnie wszystkiego. Tylko władza się liczy. Teraz nim władzę!

Czyżby?

— Tak! Nikt nie musi o niczym wiedzieć. Naziści przegrają wojnę, a my tymczasem zarobimy miliony. Stworzyłem niewidzialne imperium. Po wojnie będziemy silniejsi niż kiedykolwiek przedtem.

— Co z Cassandrą? — spytała Rose. — Czy jest dla niej miejsce w twoich wielkich planach?

— Nie. Nasi adwokaci tego dopilnują.

Rose wyprostowała się i położyła obie dłonie na stole.

— Wysłuchałam cię, a teraz moja kolej. Podjęłam już decyzję. Niech mi Bóg wybaczy, że nigdy nie zauważyłam, co się z tobą dzieje. Muszę się z tym pogodzić i będę za to płacić do końca życia. Jednakże ty również powinieneś odpokutować. Zdradziłeś kraj, Stevenie, będziesz więc teraz mu służył. Załatwię dla ciebie misję. Zostaniesz wysłany daleko od Niemiec, „Globalu” i Cassandry. Myślę o Japonii. Jeśli zaś chodzi o twoje imperium, to zburzę je cegła po cegle. Miałeś rację w jednej sprawie: nikt nigdy nie dowie się, co zrobiłeś. Nie pozwolę jednak, żeby ten koszmar trwał dalej.

Czerwona twarz Stevena wykrzywiła się z gniewu.

— Nie odważysz się! Nie możesz!

— Owszem, mogę — odpowiedziała chłodno Rose.

— A jeśli coś mi się stanie? Jestem jedynym dziedzicem! Twoją krwią!

— Krwią, tak. Kim jednak jesteś w duszy? Jeśli zaś chodzi o spadkobierców, Stevenie, to mam jeszcze Cassandrę. Owszem, wygląda na to, że Michelle ukryła przede mną prawdę. Nie miała jednak wyboru. Bała się, że zareaguję dokładnie tak, jak sugerujesz i odbiorę jej wszystko. Nie zrobię tego, Stevenie. Spadek po Michelle należy teraz do Cassandry — Rose przerwała. — Zamierzam cię wydziedziczyć, Stevenie. Nigdy już ci nie zaufam. Możesz zapomnieć o „Globalu”.

Kilka godzin później Rose siedziała samotnie na ciemnej werandzie. Wszyscy wraz ze Stevenem poszli już spać. Sprawdziła to. Miała teraz wrażenie, że słyszy, jak krew kipi w jej żyłach.

Klamka od drzwi prowadzących do ogrodu poruszyła się. W mroku pojawiła się jakaś postać.

— Pan Lockwood?! — zawołała Rose. Nicholas podszedł do światła z kamienną twarzą.

— Rozmawiała pani z nim?

— Tak.

— Ico?

— Powiedziałam, że wiem o wszystkim i że wraz z Essenheimerem są skończeni. Dopilnuję, żeby wstąpił do wojska i nigdy więcej nie miał nic wspólnego z „Globalem”.

Nicholas milczał.

— Tego właśnie pan chciał, prawda?

— Tak.

Na początku zdrada Stevena Talbota nie mieściła się Nicholasowi w głowie, silnie

poczucie lojalności nakazywało mu zignorować prośbę Mońka, oddać dokument przełożonym i patrzeć, jak Steven Talbot ponosi zasłużoną karę. Powstrzymały go jednak ostatnie słowa Mońka. *Czy chciał, żebym dał ten dokument Rose Jefferson, bo nigdy nie przestał jej kochać?*

Monk ożenił się jednak z Michelle, ta odpowiedź nie miała więc sensu.

Nie powiedział „4oj”. Powiedział „zawieś”.

Nicholas wyczuł, że jest na tropie czegoś istotnego. Czemu umierającemu człowiekowi miałyby zależeć na przeprowadzeniu tak subtelnego rozróżnienia? *Bo nie był pewien, czy może zaufać Rose Jefferson!*

Rose powinna zobaczyć dowody zdrady Stevena, ale to Nicholas musi się upewnić, że Rose położy kres szaleństwu syna.

— Czy wywiązałam się z mojej części umowy, panie Lockwood?—spytała Rose.

— Tak.

— Czy dotrzyma pan słowa?

— Powiedziałem przełożonym, że pożar zniszczył przesyłkę, po którą Monk pojechał do Zurychu. Nie mają powodu, żeby mi nie wierzyć. Zamierzam jednak ukryć te dokumenty w bezpiecznym miejscu. Jeśli coś mi się stanie, gwarantuję, że znajdą się w Waszyngtonie.

— Spodziewałam się tego—odparła Rose. — Zaufam panu. Nie jest pan szantażystą.

— Nic pani nie wspomniała o pewnej sprawie — rzekł cicho Nicholas. — Czy Steven przyznał się, że wiedział o bombie w Zurychu i zaplanował zabójstwo Mońka?

Rose odwróciła wzrok.

— Nie potrafiłam go o to zapytać. Widzi pan, jestem przekonana, że jeśli Steven zadawał się z takimi ludźmi jak Kurt Essenheimer, to jest również zdolny do popełnienia morderstwa. Nie wiem, co miałabym na to poradzić... mogę jedynie z tym żyć. — Rose spojrzała na Nicholasa Lockwooda. — Jeśli przyszedł pan, żeby innie zupełnie dobić, to proszę.

Po wyjściu Lockwooda Rose poszła na górę, ale nie do łóżka, lecz do biura. Usiadła za rzeźbionym australijskim biurkiem i oparła głowę na splecionych palcach. Przez krótką chwilę litowała się nad sobą.

Całe życie starałam się chronić i rozbudowywać moje królestwo. Czy postępowałam ile? Czy powinnam się raczej zająć innymi, ważniejszymi sprawami?

Postanowiła, że nie podda się rozpaczy. Miała pięćdziesiąt dwa lata. Nie mogła zmienić dawnych decyzji ani cofnąć czasu. Postanowiła więc, że musi coś zrobić ze Stevenem. I to natychmiast.

Tak jak przyrzekła Lockwoodowi, odetnie zaopatrzenie nazistowskim Niemcom. Osobiście zajmie się wszystkim. Nic nie splami dobrego imienia „Globalu”. Jeśli ludzie Stevena będą chcieli z nią walczyć, zmiażdży ich.

Ani zdecydowanie, ani bezwzględność nie pomogły jednak Rose w rozwiązaniu drugiego problemu. Intuicja podpowiadała jej, że Steven maczał palce w zabójstwie

Mońska. Czy to jednak wszystko? Czy Steven nie zaplanował również innych „wypadków”?^J Przypomniała sobie porwanie Cassandry i śmierć, albo zamordowanie, Michelle Czyżby Steven tak bardzo pragnął kontrolować „Global Europe” i ukryć sojusz z nazistami, że zabił jedyną osobę, która mogła ujawnić jego knowania? Przed oczami Rose stanęła nienaturalna, okaleczona twarz syna. Przeszedł ją dreszcz.

Boję się... Boję się własnego syna!

Mały kluczyczek zazgrzytał w zamku, kiedy Rose otwierała szufladę. Wyjęła cienką, skórzaną teczkę i otworzyła ją na zaznaczonej stronie.

Muszę wiedzieć, czy miał coś wspólnego z porwaniem Cassandry i śmiercią Michelle. Nie spocznię, póki się nie upewnię. Jeśli tak, należy chronić Cassandrę. Harry, biedny Harry, którego nigdy nie znaleziono... On jest kluczem. Trzeba go odnaleźć. Tylko on wie, co naprawdę wydarzyło się w katakumbach...

Rose wiedziała, do kogo powinna się zwrócić.

Zegar na korninku wybił godzinę drugą. Jeszcze jedna rzecz została do zrobienia. Rose przeczytała ostatnią stronę testamentu. Sporządziła go tego szczęśliwego dnia, kiedy Steven zaczął pracować w spółce. W dniu urodzin Rose uczyniła syna jedynym' spadkobiercą fortuny „Globalu”.

Rose podniosła pióro, gotując się do tego, by wykreślić jego nazwisko. Stalówka zadrżała. Jej ręka zaczęła tak gwałtownie dygotać, że atrament rozlał się po całej stronie. Pióro upadło na dokument, a Rose z płaczem ukryła twarz w dłoniach.

Cassandra często wspominała tę scenę: przybycie Stevena do Talbot House, widok jego okaleczonej twarzy, złośliwe słowa, które zapadły w pamięć dziewczyny i zapuściły zdradzieckie korzenie.

To nieprawda! To nie może być prawda! — myślała Cassandra, leżąc w ciemności w swoim pokoju. Dręczyło ją jednak pewne pytanie: Dlaczego Rose do niej nie zadzwoniła? Czyżby uwierzyła Stevenowi?

Czy ja mu uwierzyłam?

Nie dawało to Cassandrze spokoju. Czy rzeczywiście Monk był jej ojcem? Jeśli tak, to dlaczego wraz z Michelle ukrywał przed nią prawdę? Zanim zapadła w niespokojny sen, wiedziała już, od czego powinna zacząć poszukiwania.

Charles Portman był niskim, łysiejącym mężczyzną o miękkich dłoniach i ciepłym uśmiechu, odsłaniającym dwa rzędy idealnie równych, drobniutkich /ębów. Adwokat od wielu lat współpracował z MonMem i sporządził jego lenlament. Wkrótce po śmierci Mońka oświadczył, że Cassandra jest jego jedyną upudkobierczynią.

— Wiem, jaki to dla paru trudny okres — powiedział Portman. — Dzielnie się pani trzyma.

Cassandra uśmiechnęła się słabo. Wcześniej zadzwoniła do adwokata i zapytała, czy Monk nie zostawił jakichś dokumentów i czy mogłaby je zobaczyć. Portman obiecał, że sprawdzi.

Za chwilę wręczył Cassandrze kopertę. - Mieliśmy szczęście. Sąd spadkowy odblokował wczoraj skrzynkę depozytową Mońka. Było w niej trochę papierów wartościowych, które później możemy jWłejrzeć. Znaleźliśmy również to.

Cassandra odwróciła kopertę i zauważyła swoje imię. Monk na pewno sam to napisał. Rozpoznała pochylę „r” z jego maszyny do pisania.

— Nie mam pojęcia, co to takiego — powiedział Portman. — Jeśli pani chce, może pani przeczytać dokument w sali konferencyjnej.

Siedząc samotnie przy ogromnym stole, Cassandra trzymała list, jak gdyby bała się go otworzyć. W końcu zebrała się na odwagę, rozerwała kopertę i wygładziła pomięte kartki. Kiedy przeczytała pierwsze trzy słowa, poczuła dławienie w gardle: „Moja ukochana córko...”

List miał około dwudziestu lat; krawędzie kartki były wystrzępione. Czarny atrament zbladł z upływem czasu. Jednakże bez wątpienia było to pismo Mońka.

„Nie wiesz nawet, jak trudno nam było ukrywać przed tobą prawdę. Istniały jednak ważne powody i mamy nadzieję, że postarasz się je zrozumieć. Nigdy nie chcieliśmy cię skrzywdzić, pączusku, nigdy...”

Monk niczego nie przemilczał. Opowiedział, jak w dawnych, ciężkich czasach został kochankiem Michelle.

„To nie dlatego, że nie zależało jej na Frariklinie. Po prostu bardzo potrzebowała wówczas naszej miłości”.

Monk opisywał trudną prawniczą batalię, do której doszło, kiedy Michelle przedstawiła kodycył Franklina. Mówił o ostatecznej decyzji sądu, przyznającej Michelle prawo do zarządzania czekami podróznymi.

„Nie chodziło jej o siebie, lecz o ciebie...”

Słowa Mońka udzieliły odpowiedzi na wszystkie pytania, które Cassandra zadawała sobie w różnych okresach życia: Dlaczego Michelle tak rzadko mówiła o Franklinie, czemu zachowała niewiele zdjęć pierwszego męża, dlaczego trzymała się z dala od Rose.

Cassandra odłożyła list. Teraz rozumiała wszystko. Czuła przyjemne ciepło, kiedy myślała, że mężczyzna, którego tak kochała, był jej prawdziwym ojcem. Żadna miłość nie przywróci mu życia, mogła go jednak wreszcie opłakiwać tak jak powinna.

Kiedy przywieziono z Zurychu ciało Mońka, Cassandra poszła po nie do portu. Razem z Jimmym Pearce'em zajęła się przygotowaniem do pogrzebu. Później odwiedziła Rose w Talbot House.

— Nie wiesz nawet, jak mi wstyd za Stevena — powiedziała Rose. — Nie powinnaś się jednak martwić. Steven wkrótce wyjedzie...

Cassandra dostrzegła głęboki smutek Rose. W tym domu musiało wydarzyć się coś strasznego. Zastanawiała się, czy ta rozmowa nie może poczekać. Po krótkim wahaniu wręczyła Rose list Mońka.

— Czemu mi to pokazałaś? — spytała Rose, kiedy skończyła czytać.

— Chciałam, żebyśmy obie znały prawdę. Steven nie mylił się. Monk był moim ojcem.

— Czy nie obawiasz się, że mogłabym wnieść sprawę do sądu i zażądać, by czeki podrózne znalazły się pod moją kontrolą?

— Nawet gdybyś nie uwierzyła Stevenowi, na pewno postanowiłabyś zbadać całą sprawę — odrzekła Cassandra. — Prędzej czy później stanęłabyś przed takim samym dylematem. Czy naprawdę chcesz mi odebrać spadek po matce?

Pytanie wydawało się bardzo proste, Rose wiedziała jednak, że będzie to jedna / . najważniejszych decyzji w jej życiu. Przypomniała sobie, jak Michelle, siedząc naprzeciwko niej z nabrzmiałym brzuchem, oświadczyła, że nosi dziecko Franklina. Wykorzystała ciężę, żeby zatrzymać przedsięwzięcie.

Czyjasamazachowatabym się inaczej w takich okolicznościach? Czy w przeszłości nie postępowałam podobnie? Jeśli wygram z Cassandrą, kto na tym skorzysta po mojej śmierci? Tylko ona mi pozostała.

— Walczyłam z twoją matką — powiedziała Rose. — Mówiłam ci kiedyś, co sędzę o powtarzaniu starych błędów. — Podeszła do Cassandry i objęła ją. — Nie zrobię tego.

Mońka McOueena pochowano na małym cmentarzu na Long Island, koło wioski Quogue, w której spędzał wakacje. Rose i Cassandrą wysiadły z srebrzystego rolls-royce'a i szły ramię w ramię obok setek innych żałobników. Na pogrzeb przybyli dziennikarze, politycy i finansisci, którzy pragnęli oddać Monkowi ostatnią posługę. Kiedy Rose podeszła do grobu, spojrzała na morze.

Zbyt wiele pogrzebów—pomyślała.—Pochowałam zbyt wielu porządnych ludzi.

Położyła na trumnie jedną białą różę i cofnęła się. Wysłuchiwała słów Cassandry, która po raz pierwszy oznajmiła całemu światu, że Monk był jej prawdziwym ojcem.

Da sobie radę — pomyślała z dumą Rose. — Dopilnuję tego.

Gdyby nie wojna, wiadomość o prawdziwym pochodzeniu Cassandry wywołałaby prawdopodobnie większe zainteresowanie. Dziewczyna bez trudu wymknęła się reporterom, a tych, którzy do niej dzwonili, odsyłała do swojego adwokata

— Tajemnicza z pani kobieta — powiedział Charles Portman z żartobliwym niezadowoleniem, kiedy spotkał się z Cassandrą przed oficjalnym odczytaniem testamentu. — Zupełnie jak pani ojciec. Już to powinno wystarczyć, żebym domyślił się wszystkiego. Przez te wszystkie lata niczego jednak nie podejrzewałem.

Cassandrą uśmiechnęła się i zerknęła na stos dokumentów.

— To tylko wygląda tak strasznie — powiedział Portman. — Testament jest właściwie prosty. Monk pozostawił pani niemal wszystko, co posiadał. Zapisał niewielką sumę Abilene. Jimmy Pearce w dalszym ciągu będzie prowadził magazyn *Q* Pani zostaje największym udziałowcem i przejmuje sześćdziesiąt procent akcji gazety; resztę podzieli się wśród pracowników. Oczywiście jest pani również właścicielką apartamentu w Carlton Towers i wszystkich osobistych rzeczy Mońka.

Portman przeciągnął ołówkiem wzdłuż kolumny cyfr.

— Znaczy to, że ma pani trochę ponad dwa miliony dolarów. — Oparł się wygodnie i splótł ręce na brzuchu o okazałych rozmiarach. — Czy na pewno nie chce nwu, żebym porozmawiał z Rose Jefferson?

Kiedy Cassandrą pokazała Portmanowi list Mońka, adwokat spotkał się z Rose. Potem powiedział Cassandrze, że jest zadowolony z wyniku rozmowy. _____ Nie — odrzekła Cassandrą.

— Jak się pani czuje?

Cassandra uśmiechnęła się.

— Lepiej.

Była to prawda. Powoli opuszczało ją odrętwienie spowodowane śmiercią ojca, tak jak chłód stopniowo opuszcza zmarzniętego człowieka, który grzeje się przy ognisku. Cassandra powtarzała sobie, że zawsze miała ojca, a teraz może się pocieszać wspomnieniami. Chętnie przypominała sobie ostatnie chwile spędzone z nim przed wyjazdem do Europy. Monk cieszył się, był pewny siebie i wyglądało na to, że niczego nie żałował.

— Co ma pani zamiar robić? — spytał Portman. Nietrudno było odpowiedzieć na to pytanie.

— Dokładnie to, czego chciałby ojciec.

Następnego dnia Cassandra poszła do redakcji magazynu *Q*, żeby spotkać się z Jimmym Pearce'em i zarządem gazety. Spotkanie odbyło się w biurze Mońka, w którym nic się nie zmieniło. Cassandra miała wrażenie, że znalazła się w sanktuarium i czuła się nieswojo, kiedy Pearce prowadził ją do stołu. Nastrój był poważny, tak jak gdyby wesoła, koleżeńska atmosfera, panująca zwykle w redakcji, należała już do przeszłości.

— Nie zasłużyłam na przywilej zajęcia tego miejsca — powiedziała Cassandra, dotykając poręczы krzesła Mońka.

— Ty tu teraz rządzisz — przypomniał jej Jimmy Pearce.

— Nie jestem jednak Monkiem. Wiem, że on odszedł, i tęsknię za nim tak samo jak wy.

Popatrzyła na mężczyzn siedzących pod ścianą z założonymi rękami. Nie było w nich radości i energii. Wyglądali na zagubionych i przegranych.

— Przyjrzyjcie się sobie samym — powiedziała Cassandra kręcąc głową. — Wydaje się wam, że świat się skończył. Czy tak właśnie zamierzacie go opłakiwać? Chcecie, żeby wszystko, w co wierzyli i dla czego żyli, poszło na marne? A może spodziewaliście się, że dodam wam animuszu, powiem każdemu z osobna, czym się powinien zająć? Nie zrobię tego. Nie mogę się równać z żadnym z was. Nie zamierzam jednak siedzieć beczynn timer przyglądać się, jak po śmierci ojca magazyn się rozpada.

— Cass, to niesprawiedliwe — zaprotestował Jimmy Pearce. — Jesteśmy tu jedną rodziną.

— Właśnie! W ciężkich czasach rodzina musi trzymać się razem. Czy sądzicie, że pochwaliliby waszą postawę? To miejsce zamieniło się w mauzoleum!

Mężczyźni spojrzeli na siebie zakłopotani. Cassandra wstała i podeszła do redaktora naczelnego.

— Jimmy, przynieś mi trochę pudeł, żebyśmy mogła spakować rzeczy taty. Wy tymczasem zastanówcie się, czy będziemy dalej pracować, czy też może ten magazyn również umarł.

Cassandra patrzyła ze smutkiem, jak mężczyźni wychodzą. Ze łzami w oczach

otworzyła oszkloną szafkę i zaczęła układać książki na biurku. Zdejmowała ze ścian zdjęcia i dyplomy, starając się nie patrzeć na nie. Bała się wspomnień. Kiedy ktoś zapukał do drzwi, powiedziała nie odwracając się:

— Proszę.

Weszli wszyscy pracownicy, od redaktora naczelnego do kopistów.

— Chcielibyśmy pomóc, jeśli się zgodzisz — powiedział Pearce. Cassandra rozpromieniła się.

— Postanowiliśmy, że od tej pory to będzie twoje biuro — mówił Pearce. — Spodziewamy się, że będziesz przychodzić do pracy tak jak my wszyscy. Tak właśnie postąpiłby Monk.

Ktoś otworzył butelkę wina. Wznosząc toast, Cassandra wiedziała, że wszystko się ułoży.

Kiedy Cassandra wróciła do Carlton Towers, czekała na nią Abilene.

— Ma pani gościa — powiedziała, mrugnawszy do niej.

— Kto to taki?

— Czemu pani sama nie sprawdzi?

Zaintrygowana Cassandra weszła do gabinetu Mońka. Pokój był pusty, dostrzegła jednak jakiś cień na balkonie. Otworzyła więc drzwi.

— Pan Lockwood!

Odwrócił się do niej, a w jego zielonych oczach błyszczała radość.

— Cześć, Cassandra. Cieszę się, że cię widzę.

Cassandra zakreśliła się w głowie. Po ich ostatnim spotkaniu nie spodziewała się już ujrzeć Nicholasa Lockwooda. Nie mogła jednak o nim zapomnieć. Kiedy przypomniała sobie, co powiedziała wtedy Lockwoodowi, przeszedł ją dreszcz.

— Czemu pan tu przyszedł?

— Chciałem złożyć pani kondolencje.

— Pogrzeb odbył się kilka dni temu, panie Lockwood. Nie zauważyłam pana.

— Byłem tam — Nicholas położył teczkę na stole. — Mam pani wiele do powiedzenia, jeśli zechce pani posłuchać.

Serce Cassandry mocno biło.

— Interesuje mnie tylko prawda, panie Lockwood.

Nicholas wyjaśnił, w jakich okolicznościach poznał Mońka w Waszyngtonie.

— Wiedziałem jedynie, że jest wydawcą. Nie miałem pojęcia, czemu rząd się nim interesuje, dopóki nie pokazał mi tego.

Nicholas wyjął dokumenty dotyczące kanału przerzutowego, zorganizowanego przez Mońka i Abrahama Warburga.

— Ojciec powiedział mi o wszystkim — rzekła cicho Cassandra. Nicholas uniósł brwi.

— Jeśli tak, to wie pani chyba, że pani matka uratowała życie tysiącom ludzi. Po jej śmierci sprawą zajął się Monk, a pomagała mu Rose Jefferson.

Rose o tym wiedziała? — Cassandra była oszołomiona.

Nicholas skinął głową.

— Teraz ona wszystkim kieruje.

— Czy właśnie dlatego Niemcy zabili ojca w Zurychu? — spytała Cassandra. — Chcieli go powstrzymać?

— Tak sądzi Waszyngton. Rząd nie wie jednak wszystkiego.

Nicholas wyjął dokumenty, z których wynikało, że Steven Talbot współpracował z nazistowskimi Niemcami.

— Od wielu lat Monk słyszał pogłoski, że Steven jest jednym z głównym dostawców Rzeszy, nie mógł jednak niczego udowodnić. Kiedy w końcu nadarzyła się okazja, pojechał do Zurychu. Powiedział rządowi tylko to, że ma dostęp do informacji, która może zmienić losy wojny. Monk cieszył się znakomitą reputacją, dlatego Waszyngton mu uwierzył. Zostałem wysłany, żeby go ochraniać.

Smutek Lockwooda wzruszył dziewczynę. Nicholas Lockwood nie wybaczył sobie śmierci Mońka. Cassandra wstydziła się gniewnych słów, które rzuciła mu w czasie ostatniego spotkania. Kiedy przeczytała dokumenty, dowodzące współpracy Stevena z nazistami, zrobiło jej się zimno.

— Czy Steven jest odpowiedzialny za śmierć ojca?

— Nie ma na to dowodów.

— Ale pan w to wierzy.

— Jestem tego pewien.

Cassandra była oszołomiona. Jeśli to Steven zamordował Mońka... Przypomniała sobie, jak walczyła o życie w katakumbach. Niewiele brakowało, a zabiłaby człowieka, który, jak wszyscy później twierdzili, starał się ją uratować. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego nikt nie zadał oczywistego pytania: Jeśli Steven Talbot starał się jej pomóc, to kto ją zaatakował?

— Cassandra, dobrze się czujesz? Cassandra chwyciła go za ramię.

— Czy Rose wie o Stevenie?

— Wie wszystko.

— W takim razie dlaczego go nie aresztowano?

— Zawarłem z nią układ. Powiedziałem, że przekażę te dokumenty rządowi, jeśli nie wyrzuci Stevena z „Globalu”, nie pozbędzie się go z Nowego Jorku i nie zlikwiduje wszystkich interesów z Niemcami.

— Ale dlaczego?! — wykrzyknęła Cassandra. — Steven jest mordercą!

— Policja w Zurychu w dalszym ciągu nie ma pojęcia, kto zabił pani ojca. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek rozwiązali tę zagadkę. Zabójca już od dawna przebywa w Niemczech.

Niewykluczone, że pewnego dnia go znajdziemy, ale nie uda nam się to, póki trwa wojna.

Cassandra usiadła na krześle, nie wiedząc, co ma o tym myśleć. Czy kiedykolwiek będzie mogła spojrzeć Rose prosto w oczy?

Jak gdyby odgadując jej myśli, Nicholas powiedział:

— Nie proszę, żeby wybaczyła pani Stevenowi. Zrobię wszystko, żeby odnaleźć człowieka, który zabił pani ojca, i udowodnić, że działał z rozkazu Stevena. Nie powinna pani jednak obwiniać Rose. Ta kobieta nie miała pojęcia o zamiarach syna.

— Jeśli nic nie możemy zrobić, to dlaczego mi pan o tym mówi? — spytała Cassandra.

— Przyrzekłem pani ojcu, że doprowadzę tę sprawę do końca. Mógł powiedzieć, żebym przekazał te dokumenty rządowi, a wówczas Rose i Steven byłiby skompromitowani. Monk wiedział jednak, że Rose ma wszędzie ogromne wpływy i z tego względu jest najlepszą bronią przeciwko Stevenowi. Zmusił matkę, by zwróciła się przeciwko synowi.

— Czy naprawdę pan sądzi, że ona to robi? W oczach Lockwooda ujrzała stanowczość.

— Wciąż mam dowody — powiedział. — Chciałbym wierzyć, że nigdy ich nie wykorzystam, ale jeśli będzie trzeba...

Cassandra nie miała wątpliwości, że nie jest to pusta groźba.

— Lepiej już pójdę — powiedział Nicholas. — Przykro mi, że musiała pani właśnie teraz dowiedzieć się wszystkiego. Czuję jednak, że jestem to winien Monkowi... i pani.

— Nicholas! — zawołała Cassandra. — Chcę, żebyś został. Odwrócił się, zdziwiony.

— Dlaczego?

— Musimy kontynuować dzieło ojca i Abrahama Warburga.

— Miałem nadzieję, że pani to powie.

5

W lutym 1943 roku alianci zaczęli zdobywać przewagę na froncie. Wojska amerykańskie i australijskie wyparły Japończyków z południowej Nowej Gwinei, a Guadalcanal na Wyspach Solomona wpadł w ręce amerykańskiej piechoty morskiej. Lotnictwo zatopiło dwadzieścia jeden japońskich transportowców w bitwie o Archipelag Bismarcka.

Siedząc w redakcji magazynu *Q*, Cassandra czytała chciwie każdą depezę

o zwycięstwie aliantów. Zajął biuro Mońka, ale centrum redakcji przeniosło się na drugą stronę korytarza, gdzie pracował Jimmy Pearce i jego personel. Cassandra cieszyła się, że w biurze znów zapanowała dawna atmosfera. Tłumaczyła artykuły na obce języki i spędzała w pracy tyle samo czasu, co inni pracownicy. Jedyna różnica polegała na tym, że praca Cassandry nie kończyła się po opuszczeniu biura.

Kiedy Nicholas przyjechał z Waszyngtonu, Cassandra była już gotowa.

— Skoro Abraham Warburg nie żyje, z kim się skontaktujemy?

— Zaczniemy od urzędników, którym udało się przeżyć — odrzekł Nicholas. — Twój ojciec i Warburg sami ich wybierali, wiemy więc, że są godni zaufania. Za ich pośrednictwem nawiążemy kontakty z podziemiem w okupowanej Europie

i w Niemczech. Musimy się również dowiedzieć, z kim Warburg prowadził interesy w Szwajcarskim Banku Kredytowym i w jaki sposób pieniądze docierały do Niemiec. Przekonałem moich przełożonych, żeby pozwolili mi się tym zająć. Monk i Abraham dostarczali Waszyngtonowi niezwykle ważnych informacji z Europy. Rząd oddałby wszystko, żeby to trwało nadal. Jeśli jednak mam tu zostać, nasza praca musi przynosić wyniki.

— Przyniesie — obiecała Cassandra.

Po trzech miesiącach Nicholas i Cassandra zorganizowali na nowo pomoc finansową, zasilając zarówno ruch oporu w Europie, jak i organizacje pomagające uchodźcom. Często pracowali razem do późna w nocy, zastanawiając się nad skomplikowanymi szczegółami, związanymi z przekazami pieniężnymi, wizami

i transportem. Cassandrę coraz bardziej pociągał ten spokojny, wrażliwy mężczyzna, który nagle pojawił się w jej życiu. Kiedy Nicholas przebywał w Waszyngtonie, bardzo za nim tęskniła. Jej serce biło mocniej, gdy widziała, jak Nicholas wysiada z pociągu na Grand Central Station. Podziwiała w tym człowieku pewność siebie i spokój, którego bardzo teraz potrzebowała. Wkrótce do Ameryki zaczęły docierać ponure informacje o obozach koncentracyjnych i masowych rzeziach ludności, zwłaszcza żydowskiej. Tylko przy Nicholasie Cassandra była w stanie zapomnieć o tym koszmarze.

Na początku Nicholas nie chciał nic mówić o sobie. Cassandra rozumiała, że nie wolno mu opowiadać o pracy w OSS, nie wierzyła jednak, że reszta jego życia jest również objęta tajemnicą.

— To nie w porządku, że tyle o mnie wiesz, a ja nie wiem o tobie prawie nic — powiedziała.

— Jestem po prostu zwykłym facetem — odparł lekko Nicholas.

— Pozwól, że sama się o tym przekonam — rzekła Cassandra.

— To mogłoby być niebezpieczne.

— Dlaczego?

— Mógłbym się w tobie zakochać.

Cassandra zarumieniła się. Była to jednak prawda. Zauważyła, jak Nicholas na nią patrzy. Jego ręka spoczywała niekiedy na jej dłoni odrobinę za długo.

Mijały tygodnie, a Cassandra coraz częściej starała się spędzać z Nicholasem wolne chwile.

Jeździli na przejażdżki po Central Parku, spacerowali po Greenwich Village i patrzyli, jak starzy mężczyźni grają w szachy na Washington Square. Dziewczyna słuchała uważnie, jak Nicholas opowiada jej o sobie.

— Pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, rozpocznę nowe życie - powiedział, kiedy przechadzali się nad rzeką Hudson i obserwowali załadunek statków.

Cassandra wzięła Nicholasa pod ramię i spojrzała na niego. *Czy w tym nowym życiu znajdzie się miejsce dla mnie?*

W marcu Nicholas coraz częściej wyjeżdżał do Waszyngtonu. W czasie jego nieobecności Cassandra spędzała długie godziny w pracy, tak aby później mieli więcej czasu dla siebie.

Pewnego dnia usłyszała dzwonek do drzwi. Kiedy otworzyła, ujrzała przed sobą Rose.

— Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha — powiedziała Rose.

— Przepraszam... Po prostu myślałam, że to ktoś inny.

— Niejaki pan Lockwood?

Cassandra zarumieniła się, a Rose dodała szybko:

— Nie chciałam ci dokuczyć, Cassandro. Słyszałam, że ostatnio często się widujecie. — Rose przerwała. — Czy właśnie dlatego nie odpowiadałaś na moje telefony?

Cassandra zaprosiła Rose do środka i odparła:

— Nie tylko dlatego.

— Rozumiem. Nicholas opowiedział ci o Stevenie. Cassandra skinęła głową.

— Czy powiedział ci również, że nie wiedziałam o jego działalności?

— Tak. O nic cię nie obwiniam.

— Odniosłam inne wrażenie — powiedziała Rose. — Wiem, co robisz z Nicholasem i jestem z ciebie bardzo dumna. Nie powinnaś jednak zapominać

•o „Globalu”. Jesteś jego częścią, Cassandro. Chciałabym, żebyś tam przychodziła.

— Nie wiem, czy mogę — zaczęła Cassandra.

— Myślę, że powinnaś — odezwał się głos za jej plecami. Cassandra odwróciła się i wpadła w ramiona Nicholas.

— Czemu nie zadzwoniłeś i nie uprzedziłeś, że przyjedziesz? — zbeształa go. Nicholas odwrócił się z uśmiechem do Rose.

— Miło mi panią widzieć, pani Jefferson.

— Cześć, Nicholas — Rose otuliła się sobolowym futrem. — Mam nadzieję, że wkrótce oboje wpadniecie do mnie na obiad.

— Dziękuję, ale to chyba niemożliwe — powiedział Nicholas. — Czeka mnie długa podróż...

Późnym wieczorem siedzieli przed kominkiem w bibliotece. W pokoju unosił się zapach brzozywych gałązek, a na szybach osiadł szron.

— Waszyngton wysyła mnie na Pacyfik—powiedział Nicholas, patrząc w ogień.

— Kiedy?

— Pojutrze.

— Tak szybko! Nic się nie da zrobić? Mamy przecież tyle pracy.

— Niestety, nie. Chciałbym, żeby można było to zmienić. Cassandra wiedziała, że Nicholas mówi szczerze.

— Czy wiesz, dokąd pojedziesz?

— Najpierw na Hawaje. Potem... — Wzruszył ramionami, wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. — Waszyngton ma zamiar zaniknąć szwajcarski kanał przerzutowy. OSS znalazło inne sposoby finansowania ruchu oporu. Dużo jednak zrobiłaś, Cass. Monk byłby z ciebie bardzo dumny.

— W nagrodę zabierają mi ciebie. Czy nie wiesz, że cię Kocham, Nicholas? Wypowiedziała te słowa, zanim zdążyła się zastanowić, tak jakby nagle wyjęła

z ukrycia skarb. Nicholas położył jej rękę na policzku, potem pogładził po włosach i szyi. Ich usta spotkały się. Przytuliła się mocno do niego i odchyliła głowę, kiedy pocałunki spadały na jej szyję jak ciepły deszcz.

— Pierwszego ranka — wyszeptał. — Właśnie wtedy zakochałem się w tobie. Nigdy nie przestałem cię kochać.

Kochaj mnie, Nicholas.

Zapomnieli o całym świecie, trzymając się w objęciach. Nicholas delikatnie zdjął jej ubranie. Zadrzała, czując jego język na piersiach, a potem na całym ciele.

Czas i miejsce przestały się liczyć. Cassandra miała wrażenie, że znalazła się w nieznanym świecie, pełnym światła i ciepła, w którym każda sekunda przynosiła nowe cudowne odkrycia. Drżała i wzdychała, czując coraz większą rozkosz. Cassandra wygięła ciało w łuk, kiedy wszedł w nią powoli. Przez chwilę leżeli nieruchomo. Potem bez pośpiechu zaczął się poruszać, aż ogarnęła ich niewysłowiona rozkosz.

— Kiedy dostanę od ciebie jakąś wiadomość?

— Napiszę, jak tylko będę mógł. Przyrzekam.

Leżeli nago przed kominkiem. Obydwoje byli mokrzy od potu, a w powietrzu wciąż się unosił zapach miłości. Cassandra postanowiła, że nie będzie płakać, ale mimo to w oczach miała łzy.

— Dopiero cię odnalazłam, a już muszę cię stracić.

— Nigdy mnie nie stracisz. Wrócę do ciebie.

Cassandra odwróciła się do Nicholasa i położyła rękę na jego piersi.

— Przypomnę ci kiedyś o tej obietnicy—powiedziała, powtarzając słowa, które wypowiedziała w czasie ich pierwszego spotkania.

Nicholas zrozumiał tę aluzję i uśmiechnął się.

— Liczę na to.

Nicholas odjeżdżał z Grand Central Station, gdzie tak często czekała na niego Cassandra. Dopiero kiedy pociąg ruszył, uwierzył naprawdę w swój wyjazd. Cassandra płakała wraz z innymi kochankami, żonami i matkami, a potem szła samotnie po zaśnieżonych ulicach.

Nie pozwolę, żeby wojna go zabrała. Nie utracę go tak jak ojca.

Następnego ranka Cassandra zadzwoniła do Rose i powiedziała, że jest gotowa podjąć pracę w „Globalu”. Zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby ta okropna sytuacja wreszcie się skończyła.

Ponieważ magazyn *Q* w dalszym ciągu był najlepiej zorientowany w świecie amerykańskiej finansjery, Cassandra wiedziała, że dla niektórych ludzi wojna stała się rogiem obfitości. Pewni biznesmeni, na przykład Rose, po prostu musieli zarabiać pieniądze.

— Pracujemy pełną parą — powiedziała Cassandrze Rose, oprowadzając ją pierwszego dnia po różnych działach spółki.

Przedstawiła Cassandrę ludziom, którzy zajmowali najwyższe stanowiska w firmie, i poinformowała ich, że od tej pory Cassandra jest jej osobistą sekretarką.

— Czasami warto zaczynać od zera — wyjaśniła. — W twoim wypadku to Jednak nie wchodzi w grę. Chcę, żebyś miała ogólne spojrzenie na całą operację I dowiedziała się dokładnie, co robimy.

Cassandra była oszołomiona. Dla przybysza z zewnątrz „Global” był jeszcze jednym tajemniczym, anonimowym kolosem. Jednakże w głównym biurze na Lower Broadway wrzała gorączkowa praca. Ogromna centrala koordynowała wysiłki tysięcy ludzi w całym kraju i pozostałej części wolnego świata. Dniem i nocą przewożono towary przez Stany Zjednoczone. Wagony towarowe, ciężarówki i statki transportowały wszystko, od czołgów do mundurów. Zakłady przemysłowe, kontrolowane przez Lower Broadway, pracowały na trzy zmiany, zatrudniając tysiące kobiet. Co tydzień w gazetach ukazywały się reklamy „Globalu”. Firma poszukiwała wykwalifikowanych menedżerów i techników, oferowała przeszkolenie i obiecywała pensję nie gorszą niż u konkurentów. Tylko czeki podróżne i przekazy pieniężne nie przynosiły zysków.

Dopiero po kilku tygodniach Cassandra przyzwyczała się do gorączkowego tempa pracy na Lower Broadway. Wyglądało na to, że Rose prawie nie potrzebuje snu. Cassandra wstawiała o piątej rano, a o szóstej przyjeżdżała po nią Rose. Na początku dziewczyna tylko słuchała i obserwowała. Dzięki Hughowi O'Neillowi i Ericowi Gollantowi, z którymi szybko się zaprzyjaźniła, poznała priorytetowe plany spółki. Wykorzystując doświadczenia z magazynu *Q*, Cassandra tłumaczyła na obce języki różne dokumenty—instrukcje obsługi i poufne dyrektywy, przeznaczone dla biur w Ameryce Południowej i Szwajcarii. Rose miała dużo pracy, a mimo to przyglądała się postępom Cassandry, pomagała jej, doradzała i zachęcała.

Kiedy Cassandra nabrała pewności siebie, zaczęła sama współpracować z głównymi doradcami Rose. Dzięki nim poznała Rose od zupełnie innej strony. Pewnego dnia znalazła w dokumentach wzmiankę o fundacji, o której nigdy przedtem nie słyszała. Kiedy powiedziała o tym Ericowi Gollantowi, pokazał jej księgi.

— Pewne rzeczy Rose chce zatrzymać dla siebie, radzę więc, żebyś z nią o tym nie rozmawiała—powiedział.—Zorganizowała tę fundację na początku wojny, aby pomóc żonom naszych pracowników, którzy zaciągnęli się do wojska. Fundacja pomaga również wdowom i dzieciom pracowników „Globalu”, którzy zginęli.

Kiedy Cassandra przejrzała księgi, odkryła setki zapomóg i funduszy stypendialnych dla pracowników „Globalu” i ich rodzin. Tysiące dolarów przeznaczono na szkolenie inwalidów wojennych. Duże sumy przekazywano organizacjom dobroczynnym, takim jak Czerwony Krzyż. Pewnych sekretów Rose Jefferson nie zdradzała nawet zaufanym współpracownikom. Obiecała Nicholasowi Lockwoodowi, że zniszczy podziemne imperium Stevena, i dotrzymała słowa. Wezwała ambasadorów krajów, z którymi Steven robił interesy, i oświadczyła, że ich kontrakty tracą ważność. Dyplomaci byli oburzeni na tę amerykańską impertynentkę, która sądziła, że może dyktować ich krajom politykę handlową. Rose przekonała większość z nich, że rzeczywiście jest w stanie to zrobić. Zaproponowała im nowe kontrakty, warte o wiele więcej niż umowy z Niemcami. Tych, którzy się sprzeciwiali, przykładowo ukarała. Rose wiedziała, jakie statki przewożą towary dla Niemców, przekazała więc te informacje odpowiednim ludziom w Waszyngtonie. Wkrótce potem nastąpiły tajemnicze eksplozje w domach

towarowych, składach paliw i elewatorach zbożowych. Alianckie łodzie podwodne atakowały te statki. Strzelano do samolotów przewożących diamenty przemysłowe i cenne metale.

Waszyngtońscy urzędnicy wraz z prezydentem chcieli wiedzieć, skąd pochodzą informacje Rose, ona jednak udzielała wymijających odpowiedzi. Stwierdziła, że jej dane są zawsze dokładne, a reszta nie ma znaczenia. Ludzie z Waszyngtonu byli zirytowani, liczył się jednak tylko sukces operacji.

Rose dotrzymała również innej obietnicy złożonej Nicholasowi Lockwoodowi. 4 lutego 1945 roku otrzymała wiadomość, że generał MacArthur zajął Manilę. Dzień później nadeszło zdjęcie przedstawiające generała w otoczeniu świty. Był tam również Steven Talbot — główny doradca MacArthura do spraw odbudowy handlu. Rose czuła ból, patrząc na fotografię wygnanego syna. W tym momencie życzyła Nicholasowi Lockwoodowi takiego samego cierpienia.

30 czerwca 1945 roku, dwie minuty po północy, trzy japońskie torpedy trafiły ciężki amerykański krążownik „Indianapolis”, który w ciągu dwunastu minut zatonął w Oceanie Indyjskim.

Marynarka natychmiast uznała całą sprawę za tajemnicę wojskową.

Siedem dni później nad Hiroszimą kapitan Paul Tibbets junior dał swojemu bombardierowi rozkaz zrzucenia ładunku. W mgnieniu oka całe miasto zamieniło się w popiół, a świat zbliżył się o krok do zagłady.

8 sierpnia, dzień po zrzuceniu bomby atomowej na Nagasaki, spokojny mężczyzna o cichym głosie zjawił się w biurze „Globalu”. Powiedział, że chce się widzieć z Cassandrą, a kiedy wprowadzono go do biura, pokazał legitymację FBI.

— Panno McQueen, czy zna pani Nicholasa Lockwooda? Cassandra zbladła.

— Tak. Tak, znam.

— Lepiej niech pani usiądzie.

Agent federalny opowiedział Cassandrze o zatonięciu „Indianapolis”. Zginęło sześciuset marynarzy. Niektórzy utonęli, inni dostali porażenia słonecznego, jeszcze innych zaatakowały rekiny. Zidentyfikowano wszystkich trzystu szesnastu rozbitków, którzy przeżyli. Nie było wśród nich Nicholasa Lockwooda, który płynął na pokładzie „Indianapolis” w misji rządowej.

53.

Rankiem 2 września 1945 roku na niebie nie było ani jednej chmurki. Złote promienie słońca tańczyły na wodach Zatoki Tokijskiej. Na redzie stało kilkanaście okrętów wojennych, a ich działa wycelowane były w zrujnowane miasto. Na statku „Missouri” marynarze w białych mundurach biegali po pokładzie; jedni rozwijali czerwony dywan, inni ustawiali stoły i krzesła i pokazywali kamerzystom, gdzie mogą umieścić sprzęt. W bocianim gnieździe, koło porporczyków powiewających na wietrze, marynarze z lornetkami wypatrywali japońskiej delegacji. Steven Talbot poprawił czapkę, chroniąc oczy przed słońcem. Miał w armii amerykańskiej rangę porucznika. Był to jednak tytuł raczej honorowy niż oficjalny.

— Jeśli mamy współpracować, musimy się jakoś do pana zwracać — powiedział Stevenowi MacArthur. — „Porucznik” to brzmi niezłe.

Steven też tak uważał i szybko się do tego przyzwyczaił. Ani razu nie widział prawdziwej walki, sądził jednak, że zasłużył na ten przywilej.

Kiedy na początku 1942 roku zameldował się w kwaterze głównej MacArthura w Honolulu, wciąż nie przyszedł do siebie po ciosie, który zadała mu matka. Rose nie chciała nawet rozmawiać z synem. Steven nie wiedział, skąd pochodziły jej informacje, nie odważył się również skontaktować z Kurtem Essenheimerem, aby nie skompromitować się jeszcze bardziej.

Nie chciał uwierzyć, że Rose naprawdę zamierza go wydziedziczyć i wysłać na wojnę. Kiedy mijały miesiące, a z Nowego Jorku nie przychodziła żadna wiadomość, zdał sobie sprawę, że matka mówiła poważnie. Najgorsze było to, że nie mógł jej powstrzymać.

Dziewicze piękno hawajskiej przyrody, które leczyło ciała i dusze zmęczonych żołnierzy, pogłębiło tylko wściekłość i frustrację Stevena. Musiał mieszkać w kwaterze dla oficerów i utrzymywać się ze skąpej wojskowej pensji. Przyzwyczaił się do wydawania rozkazów, a teraz musiał słuchać oficerów, których uważał za głupców.

Stevenowi udało się przetrwać ten ciężki okres. Pracując w biurze MacArthura, miał dostęp do wiadomości, które nigdy nie dochodziły do zwykłych cywilów. Niemcy wciąż walczyli, ale przewaga aliantów była coraz większa. Naziści mieli kłopoty z zaopatrzeniem. Nie mogli nigdzie dostać surowców. Zatapiano ich statki transportowe. Steven domyślił się, że Rose dotrzymała słowa: niszczyła niewidzialne imperium syna.

Kiedy Amerykanie zaczęli wypierać Japończyków, Steven przepłynął Pacyfik razem z MacArthurem. Jako główny doradca do spraw odbudowy przemysłu i handlu, ujrzał na własne oczy zniszczenia, które pozostawiły za sobą wojska japońskie. W przeciwieństwie do większości Amerykanów dostrzegał jednak również osiągnięcia wroga. Na Filipinach, w Indonezji i Malezji Japończycy przejęli zakłady przemysłowe i błyskawicznie przekształcili je w fabryki zbrojeniowe. Wykorzystali bogactwa naturalne, których nie umiała docenić miejscowa ludność, stworzyli sieć kolejową i zmodernizowali urządzenia portowe. Nocami Steven analizował japońskie dokumenty, dotyczące wykorzystania bogatych złóż mineralnych południowo-wschodniej Azji. Duże wrażenie zrobiła na nim organizacja życia, którą narzuciły japońskie władze wojskowe na podbitych terenach. Doszedł do wniosku, że w przyszłości trzeba będzie się liczyć z tym narodem. Tam, gdzie inni widzieli tylko zniszczenia i barbarzyństwo, dostrzegał przezorność, determinację i przenikliwość. A także szansę dla siebie.

Steven sporządzał plany odbudowy Manili, Singapuru i innych wielkich miast. Przedstawiał MacArthurowi projekty odbudowy całych gałęzi przemysłu, proponował również tworzenie nowych fabryk. Generał był tym tak zainteresowany, że polecił doradcy, aby zastanowił się, co można by zrobić w Japonii po nieuniknionej kapitulacji. Steven już od dawna o tym myślał. Całymi nocami analizował oficjalne japońskie depesze, pracowicie robił notatki i uczył się na pamięć nazwisk głównych przemysłowców. Niektórzy z tych ludzi umrą, zanim Japonia zdąży skapitulować. Inni znikną, bojąc się sądów wojennych. Garstka jednak pozostanie. On będzie musiał ich odnaleźć.

W wolnym czasie Steven uczył się japońskiego i poznawał japońskie zwyczaje. Pomagali mu jeńcy wojenni, którzy znali angielski. Inni oficerowie cieszyli się, słysząc o bombardowaniach japońskich miast. Steven martwił się, że Tokio ulegnie całkowitej dewastacji. 30 sierpnia 1945 roku, kiedy wojska amerykańskie wylądowały w Jokohamie, otrzymał odpowiedź: japońska stolica została zrównana z ziemią. Zwycięzcy nie zadowolili się jednak kapitulacją. Postanowili zniszczyć japoński przemysł i handel, aresztować i uwięzić wielkich przemysłowców. Zdaniem Waszyngtonu, ludzie kierujący gigantycznymi japońskimi *zaibatsu*, czyli koncernami, ponosili taką samą odpowiedzialność za wojnę jak generałowie. Teraz odpowiedzą przed sądem za swoje zbrodnie.

Kiedy Steven patrzył, jak generał MacArthur odczytuje warunki kapitulacji, a japońscy dygnitarze podpisują protokoły, wiedział już, co musi zrobić. Przekona MacArthura, żeby odrzucił waszyngtońskie dekrety.

Jeszcze nie wysechł atrament na akcie kapitulacji, kiedy generał MacArthur powierzył Stevenowi prowadzenie nowo powstałego biura. Zadaniem tej placówki było zbadanie sytuacji japońskiego przemysłu, ustalenie, którzy przemysłowcy ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie wojenne, a także zorganizowanie amerykańskiego nadzoru nad japońską gospodarką. MacArthur wybrał Stevena, gdyż widział, z jaką zręcznością młody porucznik radzi sobie w południowo-wschodniej Azji. Za jednym pociągnięciem pióra Steven Talbot został także mianowany dyrektorem do 'spraw gospodarczych.

Biuro mieściło się w budynku Dai Ichi, dwa piętra nad kwaterą MacArthura. Steven starannie wybrał pracowników i wymagał od nich ciężkiej pracy. Rewidenci, księgowi i adwokaci wraz z japońskimi tłumaczami podróżowali po całym kraju, szukając dowodów przeciwko szefom japońskiego biznesu. Steven został w Tokio i zajął się osobiście największymi koncernami. Przedstawił MacArthurowi raport, w którym stwierdzał, że japońskie spółki zachowywały się w czasie wojny dokładnie tak samo, jak firmy niemieckie, amerykańskie czy brytyjskie.

— Obaj o tym wiemy, zgadza się z nami również większość amerykańskich biznesmenów — powiedział MacArthur Stevenowi.

Pokazał mu ostatnie wydanie *Newsweeka*. Autorzy artykułów przewidywali, że trzydzieści tysięcy japońskich biznesmenów straci pracę, a dla ćwierć miliona nie będzie miejsca w nowym systemie ekonomicznym.

— Osobiście uważam, że to wszystko bzdury — powiedział MacArthur. — Będziemy mieli szczęście, jeśli chociaż kilka tysięcy z nich uda nam się wpisać na czarną listę. Sam pan jednak widzi: Waszyngton żąda krwi. Nie zadowolony się postawieniem oficerów przed sądem. Chce się dobrać do cesarza i potentatów przemysłowych.

Generał spojrzął na swego dyrektora.

— Musi pan znaleźć kilku kozłów ofiarnych — oświadczył.

Steven przewidział żądania Waszyngtonu. Trzeba było się im podporządkować. To on jednak miał zdecydować, którzy przemysłowcy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Była to karta, którą Steven zamierzał bardzo starannie rozegrać.

Steven uważnie czytał nadsyłane raporty. Szukał człowieka, który nie tylko przetrwał wojenną zawieruchę, ale w dodatku cieszył się takim prestiżem, że inni chętnie podporządkują się jego kierownictwu. Praca była mozolna i często przynosiła rozczarowania. W sprawie każdego wielkiego przemysłowca armia prowadziła własne śledztwo. Steven wiedział, że jeśli nie wyprzedzi wojska i nie zmieni lub nie zniszczy najbardziej obciążających materiałów, to nigdy nie znajdzie odpowiedniego człowieka. Nie pozwoli mu na to ciężka ręka wojskowej sprawiedliwości.

Pewnego wieczoru, kiedy właśnie zamierzał dać za wygraną, natrafił na znajome nazwisko: Hisahiko Kamaguchi. Steven był pewien, że słyszał kiedyś o tym człowieku, nie pamiętał jednak gdzie i kiedy. Szybko przejrzał akta, mając nadzieję, że coś mu przyjdzie do głowy.

Hisahiko Kamaguchi kierował zakładami przemysłowymi „Kamaguchi”, założonymi w 1853 roku, kiedy komandor Perry wpłynął do Zatoki Tokijskiej. Do jego imperium należały huty, stocznie, fabryki tekstylne i zakłady samolotowe. Dział elektromczny produkował wszystko, od radarów do odbiorników radiowych, a wydział farmaceutyczny prowadził zaawansowane badania nad syntetycznymi narkotykami. Z tych względów wojskowe śledztwo musiało objąć Kamaguchiego. Raporty były szczegółowe, ale wszystkie kończyły się w ten sam sposób: nie ma żadnych dowodów, że Kamaguchi związał się z japońskimi militarystami. A jednak... Steven wiedział, że znalezienie dowodów jest tylko kwestią czasu. Czy powinien pierwszy odnaleźć Kamaguchiego? Czy to możliwe, że znalazł wreszcie odpowiedniego człowieka? Zapomniał o wątpliwościach, kiedy rzucił okiem na fragment raportu dotyczący rodziny przemysłowca. Hisahiko Kamaguchi stracił żonę w czasie bombardowania Tokio. Wojnę przeżyła tylko córka. Oczy mu się zamglily, kiedy przeczytał imię Yukiko. Przedwojenny Berlin, przyjęcie w nocnym klubie. Zobaczył wówczas piękną Japonkę, a Kurt Esseneimer roześmiał się i powiedział:

— Zapomnij o niej. To Yukiko Kamaguchi. Nie masz szans...

W przeciwieństwie do większości okupacyjnych administratorów, Steven Talbot starał się poznać Tokio i jego mieszkańców. Inni oficerowie woleli przebywać w biurach i klubach, Steven wykorzystywał zaś każdą okazję, by chodzić po mieście.

W ciągu kilku miesięcy tokijskie śródmieście zamieniło się w amerykańską kolonię. Amerykanie wyróżniali się wzrostem i kolorem skóry. Na ulicach pełno było fordów, chevroletów i jeepów, a w kinach grano ostatnie przeboje z Hollywood. Na skrzyżowaniu Hibiya, niedaleko kwatery głównej, ruchem kierował amerykański żołnierz i japoński policjant. Za żołnierzami biegały dzieci, śpiewając *Haru ga lata*, czyli „nadeszła wiosna”. W zatłoczonych autobusach i tramwajach Amerykanie wywoływali lekką panikę, ustępując miejsca nie przyzwyczajonym do tego Japonkom. Tokijski romans napisany przez amerykańskiego korespondenta, opowiadający o śmierci jego japońskiej żony, od razu stał się bestsellerem w obu językach.

Japońska prowincja wyglądała jednak zupełnie inaczej. Gospodarkę ogarnął zastój.

Odnalezienie w tym spustoszonej kraju Hisahiko Kamaguchiego okazało się zadaniem niezwykle trudnym. W aktach podany był adres na przedmieściu, z nazwą ulicy, która już nie istniała. Biura firmy „Kamaguchi” w centrum Tokio zamieniły się w ruiny. Główne zakłady w Jokohamie spotkał podobny los.

Znajomi Kamaguchiego niewiele mogli pomóc. Zamknięci w areszcie domowym przemysłowcy nie mieli pojęcia, gdzie przebywa Kamaguchi. To samo mówili jego dawni pracownicy. Steven miał wrażenie, że Kamaguchi zniknął z powierzchni ziemi razem ze swoim imperium.

Steven nie chciał się poddać. Bardziej niż kiedykolwiek był przekonany, że Kamaguchi posiada klucz do niezwykłego sekretu przemysłowej Japonii. Starannie przeanalizował każde słowo o tym nieuchwytnym człowieku. Słuchał nagrań i czytał dokumenty, szukając jakiegoś drobiazgu, który naprowadziłby go na ślad. Miał już

zamiar zrezygnować, kiedy zauważył, że zdaniem dwóch przyjaciół Kamaguchiego przemysłowiec był gorliwym sintoistą. Steven przejrzał tokijskie rejestry pogrzebowe. Jeśli szef *zaibatsu* żyje, to na pewno odwiedzi grób żony.

Świątynia sinto na obrzeżach Tokio znajdowała się w małej dolinie, wśród drzew wiśni, z których już dawno opadły kwiaty. Dzwon był prawie niewidoczny w zimowej mgle. W budynku z drewna i kamienia słyhać było uroczysty śpiew kapłanów. Steven nie mógł czekać na Hisahiko Kamaguchiego w świątyni, zaparkował więc samochód w pobliskiej uliczce i usadowił się wygodnie. Powracał tam codziennie, dopiero po dziesięciu dniach zauważył kobietę. Miała na sobie niebieską wojskową kurtkę, obszerne spodnie i filcowe buty. Na głowie nosiła wełnianą chustkę, zakrywającą również nos i usta. Mimo to Steven był pewien, że widzi przed sobą Yukiko Kamaguchi.

— Dzień dobry.

Odwróciła się powoli, jak gdyby nie dziwił jej fakt, że spotyka tu kogoś o tak wczesnej porze, a w dodatku cudzoziemca. Jej ciemne oczy obserwowały go badawczo. Yukiko zdjęła wystrzępione rękawiczki i odsłoniła twarz.

— Jest pan bardzo cierpliwy, panie Talbot — powiedziała po japońsku. Steven był zaskoczony, że go rozpoznała. Zauważył również, że w przeciwieństwie do innych ludzi, spotykających go po raz pierwszy, Yukiko nie zwróciła uwagi na jego twarz pokrytą bliznami. Nie czuła odrazy ani litości. Bez wątpienia widziała już gorsze rany.

— Bardzo trudno panią znaleźć, panno Kamaguchi — odrzekł po japońsku. Była równie piękna jak dawniej. Schudła, nosiła zniszczone ubranie, ale w jej oczach wciąż płonął ogień. Steven doszedł do wniosku, że Yukiko Kamaguchi jest do niego podobna: da sobie radę w każdych okolicznościach.

— Nie czekał pan przecież tyle czasu, żeby się ze mną zobaczyć — powiedziała Yukiko.

— Mimo to nasze spotkanie sprawiło mi wielką przyjemność — odparł Steven. Yukiko zignorowała komplement.

— Nie przyszedł pan tu po to, żeby ze mną pogawędzić. Ojciec zastanawiał się, czy powinien się z panem spotkać. Zapytał mnie, czego pan chce i doszedł do wniosku, że chodzi o coś ważnego. Znalazł go pan przecież, chociaż nie udało się to najlepszym detektywom.

— Nie wiedzieli, gdzie patrzeć.

— A pan wie, gdzie, panie Talbot?

— W przyszłość — odrzekł cicho Steven. Yukiko w milczeniu poprowadziła go do świątyni.

W środku było bardzo zimno. Steven zdjął zabłocone buty i szedł za Yukiko. Powietrze pachniało jaśminem, a gdzieś z tyłu dźwięk dzwonek zlewał się z pieśnią kapłanów. Yukiko poruszała się pewnie w ciemności i weszła do małego pokoju, gdzie węglowy piecyk dawał odrobinę światła i jeszcze mniej ciepła. Przed

piecykiem siedział po turecku Hisahiko Kamaguchi. Na zdjęciach, które widział Steven, wyglądał na wyższego. Dłonie Kamaguchiego były niezwykle szczupłe, a jego cera miała niezdrowy, żółtawy odcień. Pomimo oczywistego medożywienia, spojrzenie przemysłowca nie utraciło dawnej przenikliwości i energii. Yukiko wskazała Stevenowi miejsce koło ojca, a sama usiadła w pobliżu.

— Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

— Jest pan wytrwały — odparł Kamaguchi, a jego głos przypominał szelest suchych jesiennych liści, włożonych pomiędzy kartki książki. — Na pewno pan zmarzył, siedząc codziennie w samochodzie.

— Niewygoda jest niczym w porównaniu z nagrodą. Hisahiko Kamaguchi spojrzał w zamyśleniu na Stevena.

— Jakiej nagrody pan się spodziewa? Czyżby generał MacArthur tak bardzo chciał się ze mną zobaczyć, że wyznaczył cenę za moją głowę?

— Sir, generał MacArthur pragnąłby z panem porozmawiać, podobnie jak wielu innych przedstawicieli armii. Nie dlatego jednak tu przybyłem.

Kamaguchi splótł dłonie.

— Nie, nie dlatego. Być może tylko syn Rose Jefferson mógł mnie odnaleźć, ale nawet on potrzebowałby pomocy, żeby mnie uwięzić. Przyszedł pan tu z innego powodu, panie Talbot. Proszę mi powiedzieć, co słyhać u naszego przyjaciela, Kurta Essenheimera? Czy przeżył upadek Berlina?

Steven zmrużył oczy. Nie miał pojęcia, skąd Kamaguchi dowiedział się o jego związkach z Kurtem.

— Nie miałem wiadomości od Kurta. Nie wiem, czy żyje.

— Sądzę, że tak — odrzekł Kamaguchi z taką pewnością siebie, że Steven natychmiast mu uwierzył. — A pan, panie Talbot, przyjechał do Japonii. Rodzina się pana wyrzekła, ale, jak każda rodzina, znalazła dla pana bezpieczne schronienie. Jest pan doradcą najpotężniejszego człowieka w Japonii, poszukuje pan jednak słabego starca. Dlaczego, panie Talbot?

Steven poczuł, jak napina mu się skóra na policzkach. Rozgniewała go chytryść Kamaguchiego, lekceważenie, z jakim mówił o tajemnicach Stevena, jego arogancja i sarkazm.

— Sądzę, że obaj mamy coś do zaoferowania.

— Panie Talbot, został pan wydziedziczony. Kiedyś był pan potężnym człowiekiem. Gdyby los chciał inaczej, pańska potęga by wzrosła. Cóż może pan teraz zaoferować?

— Mogę was ochraniać. Mogę strzec sekretu, o którym władze okupacyjne nic nie wiedzą, przynajmniej na razie.

Hisahiko Kamaguchi zakaszał, schylił się i złapał się za żołądek. Yukiko natychmiast podeszła do ojca i zakryła mu usta chusteczką. Kiedy chowała ją do kieszeni, na ręce miała krew.

— Potrzebuje pan opieki lekarskiej — powiedział Steven. — Z przyjemnością się tym zajmę.

Kamaguchi słabo machnął dłonią.

— Mówi pan o tajemnicy. Wojna zrodziła wiele tajemnic. Skąd pan wie, że akurat ta jest coś warta?

Steven spojrział na Yukiko. Dziwił się, że ojciec pozwalał córce przysłuchiwać się rozmowie. Tradycyjnie japońska kobieta nie uczestniczyła w dyskusjach o interesach.

— Widzę, że zna pan nasze zwyczaje — zauważył Kamaguchi. — Mimo to może pan mówić swobodnie w obecności mojej córki.

— Przepraszam za moją arogancję — powiedział Steven do Yukiko, która tylko się ukloniła. — Tajemnice — mówił dalej. — Pełno ich w Japonii. Większości okupanci nigdy nie poznają. Niektóre mogą jednak wyjść na jaw, gdyż dotyczą takich osobistości jak pan. Aby strzec tych sekretów, popełniano czyny, które wielu ludzi uznałoby za niemoralne i nielegalne. Panie Kamaguchi, przez moje biurko przechodziły różne dokumenty. Pomimo bombardowań i waszych wysiłków, udało nam się uratować sporo zapisków. Te informacje nie są zbyt pochlebne. Na ogół są wręcz obciążające. Gdyby je ujawniono, wielu wpływowych ludzi czekałoby śmierć. Nie interesuje mnie rola, którą w czasie wojny odgrywali japońscy przemysłowcy. Zwycięzcy uważają zwykle takich ludzi za oportunistów lub głupców i pragną ich ukarać. Fascynuje mnie natomiast plan „Feniks”.

Steven przerwał na chwilę, ale wyglądało na to, że jego słowa nie robią żadnego wrażenia na Kamaguchim.

— W zachodniej mitologii feniks jest ptakiem, który odradza się z własnych popiołów — powiedział przemysłowiec. — To ciekawa opowiadka, ale nie ma żadnego znaczenia dla Japończyka.

— Może nie dla wszystkich Japończyków — odparł Steven. — Z pewnością jednak znaczy coś dla pana i innych ludzi, którzy opracowali plan awaryjny na wypadek klęski Japonii. Pozwoli pan, że rozwinę tę myśl. Pierwsze wzmianki o nim pojawiają się w 1943 roku. Projekt „Feniks”, opracowany przez pana i sfinansowany przez największe japońskie firmy wraz z zakładami „Kamaguchi”, przewidywał stworzenie specjalnego funduszu, który można by wykorzystać, gdyby doszło do najgorszego. Ten fundusz, składający się wyłącznie ze złotych sztabek, ukryto gdzieś w Japonii, w tak bezpiecznym miejscu, że nikt nigdy go nie odnajdzie. Złoto jest przeznaczone wyłącznie na jeden cel: odbudowę japońskiego przemysłu po okupacji. Hisahiko Kamaguchi am” drgnął.

— Panie Talbot, naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

Steven kontynuował dalej swój wywód, jak gdyby nie usłyszał słów Kamaguchiego.

— Zaczekała mnie tajemnica otaczająca plan „JReniks”. Wzmianki o projekcie znalazłem tylko w dziennikach pańskich rodaków. Niestety, tego rodzaju dokumenty nie interesowały ekipy śledczej, która badała przede wszystkim księgi finansowe. W dokumentach wojskowych i w królewskich archiwach nic się nie mówi o planie. Myślę, że jedynie pięć lub sześć osób wie o istnieniu „Feniksa”. Ci ludzie starannie się ukryli. Wybrali takie kryjówki, w których okupanci nigdy nie będą ich szukać.

Przypuszczam, panie Talbot, że rozwiązał pan zagadkę.

— 7 grudnia 1941 roku wojska japońskie zaatakowały Pearl Harbor. Zgodnie z księgami pańskiej firmy, tego samego dnia zakłady „Kamaguchi” przekazały towarzystwu ubezpieczeniowemu „Nukazawa” informację o rudowcu, który zatonął koło Jokohamy. „Hino Maru” spoczął na dnie na głębokości stu stóp. Statek nie zagrażał innym jednostkom, pływał już ponad trzydzieści lat i nie przewoził żadnego ładunku, firma ubezpieczeniowa wypłaciła więc odszkodowanie. Na tym sprawa by się zakończyła, gdyby nie jedna rzecz: „Hino Maru” nie był pusty. W ładowni statku znajdowały się złote sztaby o wartości co najmniej pięciu milionów dolarów. Oto japoński feniks, panie Kamaguchi.

Chłodny powiew przeszedł po pokoju. Palce Hisahiko Kamaguchiego drżały, kiedy dokładał węgla do piecyka.

— „Hino Maru” — wyszeptał, tak jak gdyby wypowiadał imię dawnej kochanki. — Czym on dla pana jest, panie Talbot?

— W obecnej chwili niczym. Nietrudno byłoby jednak wydobyć ten statek.

— Po co to panu?

— Sądzę, że ten okręt to żyła złota. Nic wam jednak z niego nie przyjdzie, jeśli wyjawię władzom, co naprawdę przewoził.

— Zrobiłby pan to, panie Talbot? Czy jest pan aż tak zdesperowany?

— Potrzebuję „Hino Maru” nie mniej niż wy. Osobno nic nie zdziałamy. Razem odniesiemy sukces.

— Nie ma pan żadnych praw do „Hino Maru” — powiedziała Yukiko. Kiedy się odwrócił, ujrzał w jej dłoni mały czarny pistolet. — Nigdy go pan nie dostanie.

— Są inni... — zaczął Steven.

— Nie ma! — odrzekła ostro Yukiko. — Taki człowiek jak pan nikomu by się nie zwierzył. Nikt nie wie, że pan tu przybył. Nikt nigdy nie dowie się o pańskim odkryciu.

— W takim razie pani ojciec i ja poniesiemy klęskę.

— To niezupełnie tak, panie Talbot — powiedział cicho Hisahiko Kamaguchi.

— Nie wydostanie pan złota bez mojej pomocy... Kamaguchi podniósł rękę.

— Nie o to chodzi. Widzi pan, panie Talbot, 6 sierpnia byłem w Hkoszynie. Należałem do tych szczęściarzy, którzy przebywali z dala od epicentrum wybuchu. Dotięgło mnie jednak promieniowanie. Bez względu na to, co się stanie z „Hino Maru”, ja tego nie doczekam. Moja córka jednak przeżyje. Jeśli i pan chce żyć, panie Talbot, to musi pan przekonać Yukiko, a nie mnie.

Steven Talbot nie zwracał uwagi na chłód ani na to, że bolały go pośladki od twardości na twardej, szorstkiej macie. Patrzył tylko na Yukiko.

Steven zaczął od Berlina — opowiedział, jak poznał Kurta Essenheimera i jak postanowił pomagać Trzeciej Rzeszy. Wyjaśnił, że opracował plan sprowadzania ułowców do Niemiec, który realizował aż do ostatecznego fiaska w Zurychu. Opowiedział Yukiko o spotkaniu z Rose, o ultimatum matki i o tym, jak wysłała go do

Japonii. W końcu przyznał, że teraz, kiedy wojna się skończyła, nie może wrócić do domu. Rose Jefferson zabroniła mu pojawiać się w Stanach Zjednoczonych.

Yukiko słuchała uważnie. Wciąż miała się na baczności, a mimo to ten okaleczony Amerykanin zrobił na niej duże wrażenie. Przed spotkaniem starała się zebrać informacje o Stevenie Talbocie. Wyglądało na to, że mówił prawdę. Jego słowa zgadzały się z tym, czego się dowiedziała. Ten człowiek pragnął zemsty za wszelką cenę. Yukiko zrozumiała wreszcie, dlaczego ojciec postanowił wysłuchać Stevena Talbota. Niewykluczone, że Steven im się przyda.

— W jaki sposób mógłby pan nam pomóc, panie Talbot, przyjmując, że uda się panu po cichu wydobyć „Hino Maru”?

— Nikt nie wie, ile czasu potrwa okupacja — odrzekł Steven. — Niektórzy waszyngtońscy dygnitarze mówią o co najmniej pięciu latach. Oficerowie chcieliby zamienić Japonię w państwo wasali, amerykańską bazę, i utrwalić na zawsze ten stan rzeczy.

Steven dostrzegł, że Yukiko ogarnął gniew, kiedy usłyszała, jaki los czeka jej ojczyznę.

— Oznacza to ni mniej, ni więcej, że japoński przemysł znajdzie się pod ścisłą kontrolą — mówił Steven. — Amerykanie będą wam dyktować, co macie produkować i ile. Istnieją już plany wprowadzenia restrykcji walutowych i ograniczenia japońskich inwestycji za granicą. Nawet jeśli wydobędziecie pod naszym nosem złoto z „Hino Maru”, nie uda wam się wywieźć go z kraju.

— A pan może to zrobić?

— Tak. Mam do dyspozycji biuro MacArthura. Wywiezienie złota z Japonii to niełatwe zadanie, ale z pewnością wykonalne. Szwajcarzy zapłacą nam za nienajlepszą cenę, w amerykańskich dolarach, i za niewielką opłatą ulokują depozyt, gdzie zechcemy. Adwokaci, z którymi pracowałem, zarejestrują fikcyjne spółki. Niki się nie domyśli, kto jest ich prawdziwym właścicielem.

— Co będą robić te spółki, panie Talbot?

— Po pierwsze, dokonamy dużych inwestycji w Japonii: kupimy placówki handlowe, zakłady przemysłowe i działki budowlane. Po drugie, zbudujemy za granicą mnóstwo fabryk. Wszystko, nad czym pracujecie: inżynieria, farmacja, elektronika, przeniesie się za granicę wraz z waszymi inżynierami i naukowcami. Okupanci nie pozwolą teraz Japonii na odbudowanie bazy przemysłowej, ale później, kiedy Stany Zjednoczone zajmą się innymi problemami, będziecie mieli większe pole manewru. Wtedy sprowadzimy do kraju to, co zbudujecie za granicą.

— Widzę, że starannie przemyślał pan swój plan, panie Talbot — powiedziała Yukiko. — Czego oczekuje pan w zamian?

Steven oblizał wargi.

— Chcę pięćdziesięcioprocentowego udziału we wszystkich przedsięwzięciach, łącznie ze złotem. Potrzebujecie kogoś, kto będzie działał w waszym imieniu Obecnie, a być może jeszcze przez długi czas, nie możecie pozwolić, żeby was/r nazwisko wiązano z tymi interesami.

Przyznaję, że niewiele wiem o elektronice

i inżynierii. Moją specjalnością są pieniądze. Dysponując środkami z „Hino Maru”, możemy stworzyć na Pacyfiku organizację finansową, która pewnego dnia będzie konkurować z „Global Enterprises”.

— Gdzie, pana zdaniem, powinniśmy najpierw zainwestować? — spytał Hisahiko Kamaguchi, przerywając długie milczenie.

Steven uśmiechnął się, a jego usta były wiśniowoczerwone jak u klauna.

— Tam, gdzie się to zaczęło: na Hawajach. Jest w tym pewna logika, nie sądzi pan?

Hisahiko Kamaguchi i Yukiko mieli się na baczności, Steven umiał jednak odpowiedzieć na każde pytanie. Zdumiała ich pomysłowość i śmiałość tego planu. W końcu doszli do wniosku, że ma szanse powodzenia.

— Pozostało więc tylko jedno pytanie — powiedział Steven. — Czy jesteśmy partnerami?

Yukiko spojrzała na ojca i skinęła głową. Zdecydowała, że postawi na tego Amerykanina.

— Skarb na „Hino Maru” nie należy tylko do nas — rzekła. — Są jeszcze inni. Nie znają pana tak jak my. Nie mają żadnego dowodu, że dotrzyma pan słowa. Trzeba ich przekonać.

Steven był na to przygotowany.

— Powiedźcie im, że przekonam generała MacArthura, by nie wytaczał cesarzowi procesu za zbrodnie wojenne.

Yukiko otworzyła szeroko oczy i westchnęła przeciągle. Tak jak każda Japonka bardzo niepokoiła się tym, co Amerykanie zrobią cesarzowi. Wszyscy wiedzieli, że wielu alianckich dygnitarzy chciało powiesić Hirohito i jego generałów. Hitier popełnił samobójstwo, ale władca kraju kwitnącej wiśni został Ich więźniem.

— Może pan to zrobić?

— MacArthur mi ufa. Jeśli przekonam go, że w naszym interesie leży zostawienie w spokoju Jego Wysokości, to niewykluczone, że uda mu się wpłynąć na Waszyngton. Będzie to niełatwa i na pewno niepopularna decyzja, ale chciałbym spróbować. Trudno o lepszy dowód mojej dobrej woli.

Yukiko milczała. Sąd zwykłych śmiertelników nad boską osobą cesarza byłby dwiętokradztwem. Japończycy nigdy nie doszliby do siebie po takim poniżeniu. Czy Amerykanin rzeczywiście mógłby zapobiec tej potworności? Jeśli tak, to nie żądał za (o zbyt wiele).

— Wierzę, że się panu powiedzie — powiedziała Yukiko. Spojrzała na ojca i dostrzegła nieznaczące skinięcie głową. — Otrzyma pan równy udział w skarbie i „Hino Maru” i we wszystkich naszych przedsięwzięciach.

— Czy uda wam się przekonać innych do współpracy? — spytał Steven. Panie Talbot — odparła Yukiko beznamiętnym tonem. — Jeśli uratuje pan cesarza, to żadna siła na ziemi nie powstrzyma nas od wypełnienia zobowiązań.

Chłodna pewność YuMko uradowała Stevena. Przymierze będzie przynosić plony przez długie lata. Właśnie takiej broni potrzebował przeciwko kobiecie, która sądziła, że może go przekreślić paroma słowami i jednym pociągnięciem pióra.

54.

Rzecznik prasowy Pentagonu przytaczał mnóstwo faktów, nie umiał jednak powiedzieć Cassandrze, co się stało z porucznikiem Nicholasem Lockwoodem.

— Bardzo mi przykro — rzekł elegancki oficer o różowej twarzy, wskazując Cassandrze niewygodne krzesło. — Szkoda, że nie uprzedziła mnie pani o tej wizycie. Nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości o poruczniku Lockwoodzie.

— Dzwoniłam do pana — przypomniała Cassandra.

Spojrzała na kartkę na biurku oficera i rozpoznała swój błękitny papier listowy.

— Wysyłałam również telegramy i listy.

Oficer kręcił się niespokojnie, siedząc przed tą piękną blondynką o bladej twarzy i zatroskanym spojrzeniu. Widział już zbyt wiele takich spojrzeń. Tęsknił za dniem, kiedy wreszcie opuści to biuro.

— Czy może mi pan przynajmniej powiedzieć, jak idą poszukiwania? Gdzie szukacie?

Oficer bębnił palcami po stole. Marynarka była bardzo wrażliwa na punkcie U.S.S. „Indianapolis”. Ten statek przewoził bombę atomową, którą później zrzucono na Hiroszimę. Po jego zatonięciu rozbitkowie podzielili się na grupy. Przeżyli tylko ci, którym udało się dostać do szalup ratunkowych.

— Bardzo chciałbym pani pomóc—odrzekł szczerze mężczyzna.—Nie mamy Jednak informacji, które wskazywałyby na to, że porucznik Lockwood żyje. Dokładnie przeszukaliśmy wyspę w pobliżu miejsca katastrofy. Usiłowaliśmy zidentyfikować cywilne i wojskowe statki, które przepływały w okolicy. Żaden z nich nie zabierał na pokład rozbitków.—Oficer zawahał się.—Wiem, że to bardzo trudne. Czasami trzeba jednak zrezygnować...

Oczy Cassandry zabłyśły.

— Gdyby nie żył, posłuchałabym pańskiej rady. On jednak żyje!

Oficer westchnął. Taką samą niezachwianą pewnością widział na twarzach matek,

sióstr, żon i narzeczonych. Zauważył, że młoda kobieta nie nosiła ślubnej obrączki. Napewno długo jeszcze nie dążyła do wygranej. Nie rwała nawet wspomnień, tylko marzenia.' utwór wstał.

— Przykro mi. Dam pani znać, kiedy tylko dowiemy się czegoś

Czego się spodziewałam? - pomyślała Cassandra, przechodząc wśród umundurowanych mężczyzn przez labirynt Pentagonu. Naprawdę wierzyła, że kiedy przyjdzie do Pentagonu, w cudowny sposób odnajdzie Nicholasa

Od parumiesięcy „Global” i magazyn *Q* pomagały Cassandrze w poszukiwaniach Jimmy Pearce i inni ludzie korzystali z kontaktów, które mieli na Kapitolu

— Nie poddamy się — obiecał Pearce. — Nie upadaj na duchu. Promienie słońca oświetlały wesoło Arlington w stanie Wirginia. Szofer

ogromnego czarnego packarda zawiózł Cassandrę do Waszyngtonu. We wspałym hotelu „Willard portier zaprowadził ją do restauracji, z której widać było Kapitol. Rose Jefferson odłożyła gazetę.

— Żadnych wiadomości?

Cassandra pokręciła głową. Rose wezwała kelnera i zamówiła dwa kieliszki wytrawnego martini oraz sałatkę z krabów.

— Rozmawiałam z szefem CIA - powiedziała, mając na myśli nowo utworzoną Centralną Agencję Wywiadowczą, w którą przekształciło się Biuro Służb Strategicznych. - Powiedział, że jeszcze nie zrezygnowali z Nicholasa. Jego słowa brzmiały: „Agencja dba o swoich ludzi”.

Cassandra spojrzała na nią z wdzięcznością. Kiedy tylko Rose dowiedziała się o zaginięciu Nicholasa, wszczęła poszukiwania. Dzwonki telefonów rozbrzmiewały w całym Waszyngtonie.

Nie mogła jednak dowiedzieć się niczego o Nicholasie Lockwoodzie. Nikt nic nie wiedział, tak jak gdyby Nicholas zapadł się pod ziemię

Obie kobiety piły wino w milczeniu, a kiedy podano sałatki, Cassandra stwierdziła, że nie ma apetytu.

— Nie zrezygnujesz z poszukiwań, prawda? — powiedziała Rose

— Nigdy.

— Nie możesz jednak tak po prostu zniknąć. Wojna się skończyła. Wszystko się zmieniło. Stałaś się częścią „Globalu”. Potrzebuję cię.

Nie po raz pierwszy Cassandra słyszała te słowa. Wiedziała, że zaniedbała swoje obowiązki. Rose przewidywała, że spółkę czeka wspała przyszłość. Zwiększy się liczba podróżnych. Żadna waluta nie mogła równać się z dolarem, dlatego Europa była śmiesznie tania dla Amerykanów.

Czeki podróżne, które Michelle tak zręcznie wprowadziła na rynek, staną się kopalnią złota.

— Któż ma lepsze kwalifikacje niż ty, żeby się tym zająć? — spytała Rose — I moje nazwisko budzi szacunek. Tylko ty możesz zastąpić Michelle. Ja jestem zbyt zapracowana.

Cassandra wiedziała, że to prawda. Rose sprzedawała imperium kolejowe. inwestowała w produkcję samolotów. Statki „Globalu”, na których kiedyś opierało się transatlantyckie zaopatrzenie, oddawano do rozbiórki, a skandynawskie stocznie

otrzymywały zamówienia na nowe ogromne tankowce. Tymczasem przekazy pieniężne przynosiły coraz większe zyski, gdyż Amerykanie, wolni od wojennych ograniczeń, zaczęli więcej wydawać.

— Pracuję teraz nad kilkoma sprawami — powiedziała Rose, odsuwając nie dokończoną sałatkę.
— Chcę, żebyś się do mnie przyłączyła.

Cassandra zauważyła nagły smutek Rose. W pewnym sensie Rose należała do tysięcy matek, których synowie nie powrócili z wojny. Steven Talbot wciąż przebywał w Japonii i pracował w okupacyjnej kwaterze głównej MacArthura. Nigdy nie wróci do domu. Właśnie dlatego Rose chciała ją mieć przy sobie. Ktoś musiał wypełnić tę pustkę.

Jak gdyby odgadując myśli Cassandry, Rose zmieniła temat. Wkrótce obie kobiety wyszły z restauracji, zostawiając na jednym z krzeseł gazetę. Rose zdążyła ją przejrzeć, a Cassandra nawet nie rzuciła na nią okiem. Żadna z nich nie zauważyła krótkiej notatki na dziesiątej stronie, dotyczącej operacji wydobywczej w Zatoce Jokohamskiej. Rzecznik prasowy marynarki stwierdził, że ruch w porcie stanie się dwa razy większy, kiedy tylko usunie się z dna rudowiec „Hino Mara” i odda się go na złomowisko.

Wyspa tworzyła zaledwie małą plamkę na Oceanie Indyjskim. W czasie przyływu woda zalewała rafy i połowę plaży. Trudno było wtedy stwierdzić, gdzie kończy się zielona woda, a zaczynają zarośla i nieliczne drzewa.

Nicholas Lockwood wyszedł nagi z oceanu. Trzy razy opłynął atol dookoła. Nazwał tę wyspę Crusoeville. Znał już wszystkie prądy wokół niej — wiedział, które z nich są silne, a które przynoszą ze sobą ryby. Nicholas zawsze łowił ryby w pobliżu brzegu. Nurkował i przebijał włócznią ofiarę, a potem szybko uciekał z wody. W żadnym morzu nie pływają tak krwiożercze rekiny, jak w Oceanie Indyjskim. Po zatonięciu „Indianapolis” Nicholas zobaczył, do czego są zdolne.

Wypatroszył i oczyścił granika, a potem ułożył go na rozżarzonych węglach. Przykrył rybę liśćmi bananowca i patrzył na niezmierną pustkę oceanu. W powietrzu panował dziwny spokój.

Błękitne niebo zlewało się z nieruchomym oceanem. Była to jednak złudna cisza.

Wyciągnął nóż, jedyne narzędzie, które miał przy sobie, gdy wpadł do wody, i wyrył kolejne nacięcie na pniu palmy, do połowy zagrzebanym w piasku. Było już na nim dwieście trzydzieści karbów, a każdy z nich oznaczał jeden dzień. Znaczyło to, że dzisiaj jest 2 kwietnia 1946 roku. Nicholas wiedział, że nie jest to całkiem dokładna data. Nie miał pojęcia, ile czasu płynął i kiedy znalazł się na brzegu. Tak czy inaczej, musi się stąd zabrać.

Wstał. Pod jego skórą, opaloną na ciemny brąz, przeżyły się muskuły. Urosła mu broda, a włosy spływały w nieładzie na ramiona. Nie było widać, że kiedyś żył w cywilizowanym świecie. Miał teraz głodne oczy drapieżnika, w których zobaczyć można było tylko jedno pragnienie: przeżyć za wszelką cenę.

Wiedziony tym pragnieniem, Nicholas znalazł atol, wyzdrowiał, zbudował szałas

i nauczył się znajdować żywność w oceanie. Kiedy odzyskał siły, zaczął szukać materiału, z którego mógłby zbudować kanoe lub tratwę. Nie miał młotka, gwoździ ani lin. Znalazł jednak młode palmy, których pnie związał dzikimi pnączami, a ster zrobił z kawałka o"ryfującego drzewa.

Jedząc śniadanie, spojrzął na płytki zbiornik, który zbudował z koralu. Znajdowało się w nim kilkanaście różnych ryb. Niektóre z nich miały bardzo soczyste mięso i były tak pożywne, że wystarczyło kilka kęsów, żeby się nasycić. Nicholas obliczył, że zapas jedzenia i wody wystarczy na dwa tygodnie... jeśli ryby przeżyją w przenośnym rybniku, nie będą się nawzajem zjadać i nie straci ich w czasie sztormu.

Właśnie sztormy martwiły go najbardziej. Na Oceanie Indyjskim kwiecień jest porą cyklonów. Wszędzie wokół atolu dostrzegał ślady tajfunów i liczył się z tym, że w najgorszym razie cała wyspa może zniknąć pod wzburzonymi falami. To wyjaśniało, dlaczego atol nie był zaznaczony na żadnej żeglarskiej mapie. Dla nawigatorów wyspa Crusoeville po prostu nie istniała.

Nicholas odkręcił ostrze noża i z rękojeści wyjął mały kompas, którego igła wskazywała północ. Należał do kilkunastu ludzi na pokładzie „Indianapolis”, którzy znali kurs statku. Jak daleko jednak zdryfował? W którym kierunku? Jak długo płynął? Nicholas uważał, że powinien zmierzać na północ. Cyklony powstawały zwykle na wschodzie i kierowały się na południowy zachód. Jeśli zejdzie im z drogi, ma szansę dotrzeć na Malediwy albo nawet na Cejlon. Jeśli pozostanie tutaj, umrze.

Wrzucił więcej kamieni do ognia i przykrył je wilgotnymi liśćmi bananowca. Koło ogniska wznosił kopczyk, przypominający trochę grób. Jeśli ktoś tu przybędzie, może odnajdzie pod nim plaketkę identyfikacyjną Nicholasa. W ten sposób ludzie się dowiedzą, że tu dotarł.

Nicholas naciągnął na siebie wystrzępione spodnie. Wciągnął na pokład osłonę z liści palmowych, która miała ochronić go przed bezlitosnym słońcem. Włożył ryby do pojemnika z drzewa palmy kokosowej. Nie oglądając się wstecz, odepchnął tratwę od brzegu i zaczął wiosłować w kierunku szczeliny w rafie. Crusoeville uratowała mu życie i dała jeszcze jedną szansę. Nie zamierzał jej zmarnować.

Wydobycie „Hino Maru” było pierwszą i, jak stwierdził Steven, najłatwiejszą częścią całej operacji. Na papierze listowym generała MacArthura napisał list do kierownika portu w Jokohamie i kazał mu wydobyć wrak, tak aby amerykańskie statki wojenne mogły bezpiecznie zawijać do japońskich doków. Kiedy podsunął rozkaz MacArthurowi do podpisu, wyjaśnił, że port w Jokohamie rozładuje ruch w porcie tokijskim. MacArthur pogratulował Stevenowi pomysłu. Jedenaście dni później wydobyto „Hino Maru” i przetransportowano wrak do suchych doków. Japońscy pracownicy stoczni zgromadzili się wokół statku z latarkami w rękach. Oddano maszyny do naprawy, a kadłub wyrzucono na złom. Ze statku wyjęto kilka dużych zbiorników, które następnie zniknęły gdzieś pomiędzy stoczną a złomowiskiem. Na złom oddawano tak wiele żelaza, że nikt nie zauważył ich braku.

Zbiorniki zabrano na prowincję, gdzie sam Hisahiko Kamaguchi nadzorował operację przecinania metalu i wydostania złota. Potem sprawą zajęli się inni. Pod osłoną nocy przetopiono złoto i wiano do form, w których kiedyś odlano wielkie dzwony wiszące w japońskich świątyniach. Później złoto pokryto cienką warstwą metalu i ozdobiono odpowiednimi napisami. Postronny obserwator mógłby dojść do wniosku, że ma przed sobą kilka zwykłych świątynnych dzwonów. Steven modlił się, żeby żaden amerykański miłośnik japońskiej kultury nie zechciał ich wypróbować.

Później nastąpiła najbardziej ryzykowna część przedsięwzięcia. Do Japonii napływało mnóstwo amerykańskich surowców, ale niewiele towarów opuszczało kraj. Kilkanaście różnych agencji sprawowało nadzór nad zezwoleniami eksportowymi i każda z nich miała prawo cofnąć licencję. Steven opracowywał różne plany, ale wszystkie odrzucał. Miał już ochotę zrezygnować, kiedy Yukiko przedstawiła mu pewnego dygnitarza z Birmy.

— W czasie japońskiej okupacji zagrabiono ze świątyń w moim kraju wiele dzieł sztuki — powiedział Birmańczyk. — Skradziono między innymi pięć cennych dzwonów świątynnych, które były bardzo ważne dla mojego narodu. Słyszałem, panie Talbot, że to właśnie pan może przekonać generała MacArthura, aby oddano nam ten narodowy skarb.

Steven miał właśnie zamiar spławić grubego Birmańczyka, kiedy Yukiko wzięła go na bok i wyjaśniła, co należy zrobić.

— To jedyny sposób — powiedziała z naciskiem. Steven był przerażony ryzykiem.

— Czy możemy mu zaufać? — spytał, wskazując Birmańczyka.

— Nie musimy — odrzekła chłodno Yukiko. — Dostał dużo pieniędzy. Jednakże dla pewności pojedę z nim.

Następnego dnia Steven przedstawił Birmańczyka MacArthurowi i pokazał oficjalne dokumenty, które birmański dygnitarz zabrał do Japonii.

— Jest oczywiste, sir, że te dzwony mają ogromną wartość religijną i zostały zrabowane w Birmie przez Japończyków. Gdybyśmy je zwrócili, odnieśliśmyby ogromny sukces propagandowy. MacArthur umiał manipulować prasą, chętnie więc się zgodził. Poszedł jednak o krok dalej i urządził wielką ceremonię z udziałem reporterów, w trakcie której przekazano oficjalnie dzwony przedstawicielowi Birmy. Steven drżał ze zdenerwowania. Kiedy dzwony znalazły się w końcu na pokładzie statku płynącego do Rangun, nie mógł uwierzyć, że nikt nie zadał oczywistego pytania: Skoro Birmańczycy są buddystami, to dlaczego przywiązują taką wagę do dzwonów ze świątyni sinto?

Kiedy tylko skarb z „Hino Maru” zniknął za horyzontem, Steven Talbot rozpoczął ostatnią rozgrywkę, która nieodwołalnie związała go z Japonią.

Od początku okupacji dobrze wiedział, że Waszyngton pragnie, by Japonia drogo /apłuciła za zbrodnie wojenne. Najgłośniejsze domagali się tego współpracownicy prezydenta, a zwłaszcza podsekretarz stanu Dean Acheson. Stevenowi udało się

przekonać MacArthura, że aresztowanie cesarza i postawienie go przed sądem byłoby poniżeniem, z którym Japończycy nigdy się nie pogodzą.

— Z całym szacunkiem pozwolę sobie przypomnieć panu generałowi, co stało się w Nadrenii po pierwszej wojnie światowej.

MacArthur dostrzegł analogię. Jako młody oficer sił okupacyjnych osobiście się przekonał, że trudno jest kontrolować pokonany naród, jeśli pozbawi się go cesarza, którego mógłby czcić i szanować. W miarę upływu czasu naciski Waszyngtonu stawały się jednak coraz silniejsze.

— Jest tylko jeden sposób, żeby uniknąć linczu — powiedział Steven Hisahiko Kamaguchiemu.

— Musicie namówić cesarza, żeby wykonał pierwszy ruch.

— Ma się poddać?

Stan Kamaguchiego bardzo się pogorszył. Stary Japończyk patrzył teraz z niedowierzaniem na Amerykanina. Dopuszczał tego cudzoziemca do największych tajemnic, ale mimo to zawsze miał go na oku. Nic nie świadczyło o tym, że Steven Talbot knuje zdradę. Nawet Yukiko, której ufał bardziej niż sobie samemu, czuła niechętny respekt dla Talbota. Niestety, wyglądało na to, że Amerykanin nie rozumie japońskich zwyczajów, a na domiar złego zdradził się ze swoją ignorancją w najtrudniejszej, najbardziej krytycznej chwili.

— Panie Talbot, obiecał pan, że cesarza nie spotka żadne poniżenie—powiedział Kamaguchi. — Oddanie się w ręce wroga nie posłuży temu celowi.

— Nie w tym rzecz — odparł Steven. — Ludzie z Zachodu nie przywiązują takiej wagi do zachowania twarzy, jak pański naród. Może przecież wyglądać na to, że to MacArthur poddał się cesarzowi.

Hisahiko Kamaguchi zakaszłał chrapliwie.

— Czy to możliwe? — westchnął.

— Sądzę, że tak.

— Co za pomysł! Czy on naprawdę chce się ze mną spotkać?

Echo głosu Douglasa MacArthura rozbrzmiewało w całej ambasadzie, wprawiając w popłoch pomocników i sekretarki.

— Proszę zamknąć drzwi i wyjaśnić mi wszystko! — rozkazał generał. Steven szybko opowiedział, jak wielki kanclerz z cesarskiego ministerstwa spraw wewnętrznych skontaktował się z nim typową, okrężną drogą i przekazał, że Jego Cesarska Wysokość pragnie się spotkać z naczelnym dowódcą.

— Najwyższy czas, żeby zauważył moją obecność — powiedział zapalczywie MacArthur. — Co pan odpowiedział?

— Odpowiedziałem, że takie spotkanie mogłoby być pożyteczne — odrzekł ostrożnie Steven.

— Musiałoby się jednak odbyć albo tutaj, albo w pańskim biurze na Dai Ichi.

— Bystra replika — pochwalił generał. — Jak pan sądzi, czemu składają nam teraz taką propozycję?

— Japończycy czytają nasze gazety i słuchają amerykańskich wiadomości. Wiedzą, że Waszyngton żąda, aby wreszcie zajął się pan cesarzem.

— Chce pan powiedzieć, że jeśli spotkam się z Hirohito, to pokażę całemu światu, kto tu rządzi.

— Chodzi o coś więcej, generale. Trudno będzie Waszyngtonowi postawić przed sądem człowieka, któremu uściskał pan dłoń.

MacArthur sięgnął po fajkę, którą rzadko palił, ale chętnie wykorzystywał jako rekwizyt. Dzięki niej zyskiwał czas na zastanowienie się.

— Myślę, że prezydent Truman myli się co do Hirohito. Potrzebujemy go. Jego naród go potrzebuje. Bez cesarza nie damy sobie rady. Nie wierzę jednak, że wszyscy chętnie się zadowolą grzecznymi przeprosinami za Pearl Harbor.

— Cesarz nie zamierza ograniczyć się do przeprosin — powiedział Steven. — Nie przychodzi prosić o życie. Poczucie honoru nie pozwoliłoby mu na to. Postępując zgodnie ze starym kodeksem honorowym Busido, pragnie ofiarować własne życie w zamian za życie innych. Całkiem dosłownie, odda swój los w pańskie ręce. Gdyby tylko Waszyngton mógł zrozumieć wagę tej chwili...

Steven wyczuł, że dowódca jest pod wrażeniem przywileju, który przypadł mu w udziale.

— Proszę powiedzieć wielkiemu kanclerzowi, że spotkam się z cesarzem pojutrze o wpół do jedenastej w ambasadzie — rzekł MacArthur. — Wartownicy powinni przestrzegać protokołu obowiązującego w czasie wizyty głowy obcego państwa. Jeszcze jedno: spotkanie odbędzie się w cztery oczy. Żadnej świty, żadnych ochroniarzy, sekretarek, prasy. Pana również tam nie będzie, panie Talbot.

— Panie generale, jeśli wolno mi zaproponować...

— Już pan to zrobił. Proszę dopilnować, żeby wykonano moje rozkazy. Skoro już o tym mowa, niech pan połączy mnie z Trumanem.

Steven ani drgnął.

— To wszystko! — powiedział ostro MacArthur.

— Co z tłumaczem, panie generale? MacArthur zamrugał, a potem roześmiał się.

— Dobrze, Talbot, zgoda. W spotkaniu będzie uczestniczył pan oraz jedna osoba wybrana przez cesarza. Muszę przyznać, że nie traci pan głowy.

Steven uśmiechnął się.

Dwa dni po rozmowie z MacArthurem, dwadzieścia dziewięć minut po dziesiątej, Steven Talbot zapalił kolejnego japońskiego papierosa, wyjętego z paczki ozdobionej cesarskim emblematem. Stojąc przed werandą ambasady, przyglądał się nienagannie •krojonym mundurom wartowników. Dostrzegł również starannie zamieciony podjazd i zaciągnięte zasłony we wszystkich oknach. Pracownikom kazano trzymać Mię z daleka. Steven miał wrażenie, że cała ambasada zamarła w oczekiwaniu.

Minutę później brama się otworzyła. Rolls-royce z 1930 roku zajechał dostojnie

przed ganek. Kiedy tylko cesarz wysiadł z samochodu, natychmiast pojawił się MacArthur. Steven miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Napotkał spojrzenie cesarza, ale nie mógł nic wyczytać z jego oczu. Zauważył, że MacArthur bębni palcami po nodze —nieomylna oznaka zniecierpliwienia. W tym momencie Steven miał ochotę wziąć cesarza pod ramię i zaprowadzić go na górę po schodach.

Obaj mężczyźni stanęli w końcu naprzeciw siebie: wysoki, władczy amerykański generał i wyprostowany, drobny człowiek-bóg, dwadzieścia lat młodszy od swojego rozmówcy.

— Miło mi pana powitać, sir — huknął MacArthur.

Mógł to być efekt oświetlenia, Steven był jednak przekonany, że cesarz uśmiechnął się, kiedy ucisnął dłoń MacArthura i uklonił się.

— Może wejdziemy? — zaproponował generał.

Trzydzieści minut później drzwi gabinetu otworzyły się. Obaj dostojnicy wyszli, a za MacArthurem podążał Steven. Generał i cesarz rozmawiali prawie bez przerwy. Sto dwudziesty czwarty cesarz, dziedzic dynastii, która rządziła przez ostatnie 2648 lat, oświadczył, że jest gotów oddać własne życie, jeśli alianci oszczędzą jego naród. MacArthur nie odmówił. Nic nie powiedział. Gniew ogarnął Stevena, kiedy patrzył, jak Hirohito wsiada do samochodu. Przez długie godziny uczył MacArthura japońskich zwyczajów. Był przekonany, że generał zrozumie doniosłość gestu cesarza. Steven poczuł nagle, że generał kładzie mu rękę na ramieniu.

— Wysłuchałem go—powiedział. —Nie mówiłem wiele, ale go wysłuchałem. Wie pan co, Talbot? Urodziłem się demokratą, wychowano mnie na republikanina, jestem jednak zasmucony, kiedy patrzę na upadek niegdyś tak wielkiego człowieka.

Były to najśodsze słowa, jakie Steven kiedykolwiek słyszał.

Tak jak zawsze, spotkali się w świątyni, z dala od ciekawskich spojrzeń i plotkarskich języków.

Obaj mężczyźni chronili się przed chłodem, usiadłszy blisko piecyka.

— Dokonał pan wielkiej rzeczy, panie Talbot—powiedział Hisabiko Kamaguchi. — Szkoda, że pańskie czyny nigdy nie przejdą do historii.

Przemysłowiec zakaszłał, a na jego ustach pojawiła się krew. Steven czuł ogromny szacunek dla tego człowieka. Pomimo choroby popromiennej uparcie trzymał się życia i czekał, aż ostatni kawałek skomplikowanej układanki znajdzie się na swoim miejscu.

— Przysięgam, że pewnego dnia zrealizują się pańskie marzenia — powiedział Steven. — Yukiko jest już na Hawajach...

Kamaguchi podniósł rękę.

— Nie chcę słyszeć o przyszłości. Najbardziej boli mnie to, że nigdy jej nie poznam. Powierzyłem panu niezwykle ważne zadanie, panie Talbot — Kamaguchi spojrzał na Stevena przekrwionymi oczyma. — Zaufałem panu. Ma pan przed sobą wiele pracy. Czy jest pan gotowy?

— Tak.

— Proszę więc zrobić to, co trzeba — powiedział Hisahiko Kamaguchi, wyciągając ręce. Steven Talbot wyjął z kieszeni kajdanki i zamknął stalowe obręcze na chudych nadgarstkach Kamaguchiego. Pomógł mu wstać i opuścili razem świątynię.

Wiał silny wiatr, kiedy szli w kierunku jeepa. Steven podziwiał odwagę więźnia. Od paru miesięcy przekazywał MacArthurowi i jego ekipie śledczej fałszywe dokumenty. Wynikało z nich, że Kamaguchi jest zagorzałym militarystą, który wykorzystał swoje wpływy, by uzbroić Japonię i popchnąć kraj do wojny. Wkrótce okupanci uznali Kamaguchiego za najgroźniejszego japońskiego przestępcę wojennego. Jednocześnie Steven starał się przekonać MacArthura, że to nie cesarz, lecz ludzie tacy jak Kamaguchi ponoszą za wszystko odpowiedzialność. MacArthur mu uwierzył.

Hisahiko Kamaguchi musiał teraz zapłacić cenę, którą wcześniej zaakceptował.

5

Dwunastoletni chłopiec był wysoki i kanciasty. Jego szeroka twarz miała kolor melasy. Czarne jak smoła włosy przykrywał czerwony turban o tym samym odcieniu, co przepaska na biodrach. Przez cały dzień łowił ryby. Na swojej *dohey* miał już otola różowego, delfina, barakudę i dwa małe rekiny. Właśnie zamierzał wracać do domu, do Małe, stolicy Malediwów.

Ustawił żagiel, pragnąc szybciej przyłączyć się do innych łodzi, wracających z północnego wschodu. Uważnie obserwował prądy, kiedy jego oczom ukazał się niezwykle widok. Z daleka wyglądało to jak ogromne, pływające gniazdo mew.

Chłopiec był zaintrygowany. Wahał się. Od archipelagu odpychał go silny prąd. Gdyby wiatr ucichł, łódź mogłaby zostać zniesiona na pełne morze. Chłopiec wierzył jednak w swoją siłę. Zmienił ustawienie żagla, który natychmiast złapał wiatr.

Z odległości dwudziestu jardów zorientował się, że rzekome gniazdo jest w rzeczywistości tratwą, pokrytą śmierdzącymi liśćmi i ptasimi odchodami. Kiedy podpłynął bliżej, zauważył krew na dziobach mew, grzebiących wśród liści. Chlusnął na mewy wiadrem wody i chmura białego ptactwa uniosła się ku niebu. Przerzucił linę przez gnijące drewno, przymocował tratwę do *dohey* i ostrożnie wszedł na śliskie, palmowe pnie.

Dostrzegł coś, co wyglądało jak surowe mięso. Kiedy odchylił okrycie, zamarł. Pod brązowymi liśćmi bananowca leżał nieprzytomny mężczyzna, a na jego plecach widniały rany.

Chłopiec zaniósł delikatnie mężczyznę na pokład *dohey* i przykrył go brezentem. Sprawdził wiatr i prąd, a potem skierował łódź ku wyspom.

Kiedy płynął koło falochronu, w porcie błyszcząły czerwone, żółte i zielone światła. Cała wioska wyszła na powitanie chłopca, który pokazał ludziom rozbitka. Matka dokładnie zbadała nieprzytomnego żeglarza. Sądząc po oparzeniach, kolorze

jego paznokci i ust, musiał płynąć sześć dni bez żywności i wody. Allah był miłosierny. Zwykle po trzech dniach oddawał nieszczęśników morzu.

Matka chłopca kazała zanieść mężczyznę do swojej bambusowej chaty i natarła go maścią z rekiniej wątroby. Zdjęła z szyi rozbitka naszyjnik i udała się na drugą stronę Male, do małej misji, w której zakonnice opiekowały się trędowatymi. Kiedy wyszła matka przełożona, kobieta opowiedziała jej o wszystkim i pokazała plakietkę identyfikacyjną. Zakonnica odczytała nazwisko.

— Żyje?

— Tak.

Zakonnica przeżegnała się.

— Zaraz wyślę dwie siostry.

Wezwała je szybko i wyjaśniła, co muszą zrobić. Sama udała się do baraków, w których mieszkały zakonnice. W tej odległej placówce, gdzie wszystko wytwarzano z naturalnych produktów, tylko dwa przedmioty przypominały o istnieniu zewnętrznego świata: krótkofalówka i benzynowy generator.

Zadzwoił telefon. Cassandra włączyła nocną lampkę i zmrużyła oczy.

— Panna McQueen?

— Tak... — odrzekła Cassandra zaspanym głosem.

— Panna Cassandra McQueen?

— Kto mówi?

— Przepraszam, że panią niepokoję. Tu dyżurny oficer z Centrum Marynarki w San Francisco. Nasz dowódca kazał mi panią powiadomić, że odnaleźliśmy porucznika Nicholasa Lockwooda.

— Co takiego?

— Tak, proszę pani. Trzy tygodnie temu dopłynął na Malediwy...

— Trzy tygodnie temu! Dlaczego czekaliście...

— Bardzo panią proszę. Kiedy go odnaleźliśmy, nie był w najlepszej formie. Przewieźliśmy pana Lockwooda do Sydney. Lekarze stwierdzili, że wyzdrowieje. Leci właśnie do San Francisco. Będzie tam pojutrze.

— Niech się nigdzie nie wybiera, dopóki nie przyjadę! Dyżurny oficer roześmiał się.

— Porucznik Loekwood spodziewał się, że pani to powie. Chce wiedzieć, gdzie może panią znaleźć.

— Powiedźcie mu, żeby mnie szukał w hotelu „Stanford Court” na Nob Hill. W apartamencie dla nowożeńców.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Czy dobrze słyszałam, proszę pani? W apartamencie dla nowożeńców?

— Jest tylko jeden. Na pewno trafi.

Przez chwilę Cassandra siedziała na łóżku z wilgotnymi dłońmi i mocno bijącym »nrce.

Żyje! Boże, on żyje!

Minutę później do pokoju wpadła Abilene, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Na łóżku leżały walizki, a Cassandra pakowała do nich ubrania, które pośpiesznie wyjmowała z szuflad i szafek.

— Może mi pani powie, co się stało? — spytała Abilene, biorąc się pod boki. Cassandra podbiegła do służącej i uścisnęła ją. Bez słowa wskazała zdjęcie w srebrnej ramce, stojące na nocnym stoliku. Abilene podeszła do szafy i wyjęła następne walizki. W apartamencie w „Stanford Court” wszędzie dostrzegano róż i błękit, czarny lakier i orientalne motywy. Na stole w jadalni przygotowano dwa nakrycia. W barku stał szampan, a w lodówce czekały przekąski. W sąsiednim pokoju znajdowało się szerokie łóżko, nad którym unosił się baldachim z niebieskiego szyfonu, wyszywany srebrną nicią. Po zapadnięciu zmroku ta nić wyglądała jak promień księżycy.

Cassandra jeszcze raz obejrzała wszystko i przechadzała się nerwowo, zmieniając od czasu do czasu ustawienie popielniczki lub kwiatów. Zaraz po przyjeździe zadzwoniła do szpitala w Presidio, powiedziano jej jednak, że porucznik Lockwood już wyszedł. Oczekiwanie dłużyło się nieznośnie. Od czasu do czasu schodziła więc na dół, nie mogąc wytrzymać w pokoju. Spacerowała wokół budynku, a potem wracała do hotelu. Portier kręcił tylko głową. Najgorsze myśli przychodziły Cassandrze do głowy. Nicholas nie został zdemobilizowany. Ciężko się rozchorował, a w szpitalu ją okłamano. Poszedł się napić z kolegami i zapomniał o niej. Przejechał go samochód.

Wróciwszy do apartamentu, Cassandra przejrzała się w lustrze.

— Nie martw się. Wyglądasz prześlicznie.

Odwróciła się i krzyknęła zdumiona. W drzwiach stał Nicholas. Ubrany był w nowy, źle dopasowany garnitur. Jego cera miała kolor starego drzewa tekowego, przekrwione oczy były zapadnięte. W ręku trzymał kilkanaście róż. Ich długie, wilgotne łodygi plamiły mu marynarkę. Poruszał się powoli, jakby nie był pewien własnego ciała. Cassandra podbiegła i przytuliła się do niego. Czuła na piersiach płatki róż; ich zapach uderzał jej do głowy.

— Jesteś cały i zdrowy — szeptała Cassandra, głaszcząc jego ramiona, skronie i gęste, kasztanowe włosy przyprószone siwizną. Nicholas ujął w obie dłonie twarz Cassandry i wytarł jej łzy.

— Wiedziałem, że znów cię zobaczę, Cass — wyszeptał. — Przez cały czas byłem pewien, że wrócę do ciebie.

Cassandra zauważyła, że Nicholas przygląda się jej tak, jak gdyby nie wierzył, że jest już bezpieczny. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do łóżka.

— Kochanie, nie wiem, czy mogę...

Przycisnęła palec do jego ust i jednym ruchem zdjęła sukienkę. Stała przed nim zupełnie naga.

— Pozwól mi cię kochać — wyszeptała. — Nic nie musisz robić. Nie bój się niczego...

Przez następne dwa dni „Stanford Court” był dla Cassandra i Nicholasa całym światem. Rozkoszowali się słynną hotelową kuchnią, spędzali długie godziny na tarasie, napawając się słońcem i morskim powietrzem, a potem wracali do sypialni.

Ta pełna odkryć namiętna „podróż” przejmowała Cassandrę zachwytem i przestraciem. Kiedy gładziła ciało Nicholasa, miała wrażenie, że znajduje się w innym świecie. Uczyła się sprawiać mu przyjemność, a także drażnić go, aby nadać miłości bardziej pikantny smak. Przejmował ją jednak dreszcz, kiedy dotykała długich, głębokich blizn na plecach kochanka i gdy widziała, jak utyka. Lekarz zapewniał, że z czasem Nicholas zupełnie wyzdrowieje.

Kiedy tylko nadeszły papiery demobilizacyjne, Cassandra i Nicholas pojechali pociągiem na wschód. Przez cztery dni obserwowali zmieniający się za oknami krajobraz, a nocami kochali się w takt kołysania pociągu.

— Co zamierzasz teraz robić? — spytała Cassandra, kiedy zbliżali się do Nowego Jorku.

— Żyć z tobą.

Były to najprostsze, najcudowniejsze słowa, jakie Cassandra kiedykolwiek słyszała. Nie chciała wszystkiego zepsuć, ale już od dawna miała ochotę zadać mu pewne pytanie.

— Co z twoją pracą? Nicholas uśmiechnął się.

— Masz na myśli OSS? Skończyłem z tym. Zrobiłem, co do mnie należało. - Oparł się wygodnie na pluszowym fotelu. — Będę teraz potrzebował czulej, troskliwej opieki.

— Też tak sądzę — wyszeptała Cassandra.

Wrócili razem do Carlton Towers, tak jak gdyby robili to przez całe życie. Abilene powitała Nicholasa uściskami, pocałunkami i znakomitym, południowym lodzeniem, aby „nabrał trochę ciała”.

Kiedy zadzwoniła Rose, Cassandra była w tak dobrym humorze, że natychmiast przyjęła zaproszenie na obiad.

— Dobrze cię widzieć, Nicholasie—powiedziała Rose.—Nie wiesz nawet, jak inurtwiłyśmy się o ciebie.

— Cassandra opowiedziała mi o tym, co zrobiłaś — odparł Nicholas. — Cieszę się, że nie zapomnieliście o mnie.

Lockwood obserwował eleganckich ludzi, jedzących obiad w „Waldorfs Pcncock Alley”.

Przypomniał sobie tratwę, dryfującą bezradnie po oceanie, gnijące mięso ryb, które ssał, aby wykorzystać każdy gram słodkiej wody. Miał wrażenie, że /durzyło się to dawno temu. Czasami zaś czuł, że stało się to wczoraj...

— Jakie są wasze plany? — spytała Rose, kiedy podano lunch.

— Nie mamy żadnych planów — odparła z zadowoleniem Cassandra. Nie wracasz chyba do służby, Nicholasie?

Nigdy w życiu.

— Człowiek z twoim doświadczeniem musi się jednak czymś zająć.
W Cassandrze obudziła się czujność. Rose z pewnością do czegoś zmierzała.
— Dlaczego? — spytał Nicholas.
— Po prostu musi — odrzekła Rose. — Nie jesteś przecież próżnującym, przystojnym playboyem.
Roześmiał się.
— Pani Jefferson, czemu nie wyłoży pani kart na stół? Rose nawet nie mrugnęła.
— Chciałabym, żebyś pracował dla „Globalu” jako szef służby bezpieczeństwa
— powiedziała obojętnie.
Cassandra była zszokowana. Zupełnie się tego nie spodziewała. Rose zawsze jednak lubiła sprawiać niespodzianki.
— Interesująca propozycja—odparł niedbale Nicholas. —Na czym polega praca?
— Nicholas!
Lockwood ścisnął Cassandrę za rękę.
— Hej, nie zaszkodzi przecież posłuchać.
Cassandra nie rozumiała, dlaczego Nicholas nie zadowala się tym, co mają. Niczego im przecież nie brakowało. Z pewnością nie potrzebowali pieniędzy. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni są tacy. Dlaczego ciągle szukają nowych wyzwań, zamiast cieszyć się z tego, co przyniesie los?
— To naprawdę proste — mówiła Rose. — Reorganizuję „Global”. Wojna się skończyła, na pierwszy plan wysuną się więc sprawy zasadnicze: przekazy pieniężne i czeki podróżne. Mam w związku z tym dalekosiężne plany. Obawiam się jednak, że od razu pojawią się kłopoty: kradzieże i fałszerstwa. Trzeba zorganizować system bezpieczeństwa.
— Wygląda na to, że potrzebujesz ludzi z wydziału do spraw fałszerstw
— wymruczał Nicholas.
— Twoje doświadczenie bardzo by się nam przydało — odparła Rose. — Znasz ludzi w Waszyngtonie i jesteś bystry — uśmiechnęła się niewinnie.
— Muszę się zastanowić — powiedział Nicholas. — Spojrzał na Cassandrę.
— Co o tym myślisz, kochanie?
Cassandra posłała mu groźne spojrzenie, sięgnęła po kraba i przełamała go z głośnym trzaskiem. Po lunchu Cassandra miała zamiar iść na zakupy. Teraz jednak pragnęła tylko porozmawiać z Nicholasem i przemówić mu do rozumu.
— Później pogadamy — rzekł zdecydowanie. — Powinnaś najpierw ochłonąć. Cassandra odwróciła się z wściekłością i ruszyła w kierunku Piątej Alei.
Nicholas patrzył za nią ze smutkiem. Musiał poznać prawdziwe zamiary Rose. Zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres „Globalu” na Lower Broadway.
Nicholas, co za miła niespodzianka! —Rose wyszła zza biurka i powitała go

ciepło. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że ty i Cass zdążyliście już przedyskutować moją propozycję!

— O co pani naprawdę chodzi, pani Jefferson? — zapytał spokojnie Nicholas. Twardy ton Nicholas zaskoczył Rose. Już od dawna nikt nie odważył się mówić do niej w ten sposób. Było to nowe wyzwanie.

— Niepokoję się o Cassandrę. Ty również powinienes.

— Dlaczego?

— Wiesz pewnie, że dotrymałam słowa, jeśli chodzi o Stevena. Lockwood skinął głową. Uważnie obserwował karierę Stevena u boku MacArthura.

— Nie kontaktowałam się z synem, od kiedy kilka lat temu wyjechał na Hawaje

— mówiła Rose. — Nie spodziewam się od niego żadnych wiadomości. Kiedy będziesz miał dzieci, Nicholasie, zrozumiesz, co to znaczy. Jak wiesz, Steven jest moim jedynym synem, jedynym dziedzicem. Mam pięćdziesiąt pięć lat. Nie wyjdę już za mąż i nigdy nie urodzę dziecka. Nie mam nikogo, komu mogłabym pozostawić firmę, z wyjątkiem Cass — przerwała. Po chwili odezwała się łagodniejszym tonem:

— Ona bardzo się zmieniła, Nicholasie. Ciężko pracowała. Byłbyś dumny z jej postępów. Powinna kontynuować dzieło Michelle. Trzeba ją jednak do tego zachęcić.

— Czy właśnie dlatego proponujesz mi pracę?

— W twoich ustach brzmi to bardzo złośliwie. Prawda jest taka, że masz odpowiednie kwalifikacje. Jeśli jeszcze się na czymś nie znasz, szybko się nauczysz. Najważniejsze jest jednak to, że mogę ci zaufać. Byłeś w stanie mnie zniszczyć, ale nie zrobiłeś tego. Nic więcej nie muszę o tobie wiedzieć.

— To nie wszystko — rzekł Nicholas. — Wciąż coś ukrywasz. Rose wzięła głęboki oddech.

— Masz rację, ale w pewnym stopniu sam za to odpowiadasz. To przecież ty powiedziałeś, że Steven mógł brać udział w zamordowaniu Mońka i Michelle. Muszę poznać prawdę i nikt poza tobą nie może mi w tym pomóc. Jeśli mój syn miał coś wspólnego ze śmiercią Michelle, to na pewno dawno temu zaplanował, że pozbędzie się każdego, kto zagrażałby jego dziedzictwu. Niewykluczone, że Monk dowiedział się o tym. W tej sytuacji Steven miałby ważne powody, żeby uciszyć również jego. Tylko w jeden sposób możemy poznać prawdę. Musisz znaleźć Harry'ego Taylora.

— Wszyscy myślą, że Harry Taylor nie żyje — powiedział Nicholas. — Ty jesteś innego zdania.

— A ty nie? — odparła Rose. — Możesz sobie na to pozwolić? Jeśli Steven kiedyś zabijał, niewykluczone, że znowu spróbuje.

Ta myśl zmroziła Nicholas.

— Tak więc propozycja pracy...

— Była szczerą. Nikt jednak, nawet Cassandra, nie może wiedzieć, co naprawdę robisz. Jako szef służby bezpieczeństwa „Globalu” będziesz mógł podróżować po całym świecie bez wzbudzania podejrzeń. Przyznam ci środki, jakimi nie dysponuje żadna policja. Jeśli Harry Taylor żyje, znajdziesz go. W przeciwnym wypadku odnajdziesz jego grób. Masz do tego ważne powody, Nicholasie. Kochasz Cassandrę.

Nicholas musiał się z nią zgodzić.

— Jedno pytanie. Czy nie powinniśmy powiedzieć o wszystkim Cassandrze? Sądzę, że zrozumie. Rose pokręciła głową.

— Cass długo dochodziła do siebie po tragedii w katakumbach. Jeśli pozna prawdę, koszmar powróci. Robię to dla mej, Nicholasie, ale myślę również o sobie. Musiałam pogodzić się z faktem, że mój syn popełnił wiele przestępstw. Został już ukarany za niektóre z nich. Jeśli jest mordercą, muszę o tym wiedzieć.

Kiedy Nicholas wszedł do apartamentu, zobaczył Cassandrę siedzącą w salonie wśród toreb i pudełek ze sklepów na Piątej Alei. Dziewczyna nie wyglądała jednak na zadowoloną.

— Byłam wściekła. Nie martw się. Jutro wszystko zwrócę.

— Dlaczego? Na pewno od dawna nie pozwoliłaś sobie na takie zakupy. Zaslugujesz na to.

Cassandra przyjrzała mu się uważnie.

— Przyjmujesz propozycję Rose, prawda? Nicholas skinął głową i powiedział jej połowę prawdy.

— Muszę się czymś zająć, Cass. Nie zostałem stworzony do pracy za biurkiem. Lubię wyzwania i nowe doświadczenia. Najbardziej podoba mi się jednak to, że będziemy pracować razem. Długo na mnie czekałaś. Zaniedbałaś wiele spraw. Czas wrócić do pracy.

— Widzę, że Rose nie traciła czasu. Przekonała cię, że powinnam się zająć czekami podróżnymi

— powiedziała z goryczą Cassandra.

— Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty — rzekł Nicholas. — Będę równie szczęśliwy, jeśli postanowisz zostać w domu. Czy jednak ciebie to zadowoli?

Może gdybym była twoją żoną.

Kiedy jednak o tym pomyślała, zrozumiała, że nawet to by nie wystarczyło. Rose miała słuszość: część „Globalu” należała do Cassandry. Z tego powodu umarła jej matka.

Cassandra odgarnęła z czoła długie jasne włosy i westchnęła teatralnie:

— Nicholasie Lockwood, potrafisz być uparty. Czy wiesz o tym? — zawahała się, — ja zaś jestem samolubna. Podejdź tutaj, powiedz, że kochasz mnie do szaleństwa i robisz to wszystko tylko dla mnie.

W tym momencie Nicholas wiedział, że wygrał. Nie będzie musiał przekonywać Cassandry.

Dziewczyna zrozumie, gdyż go kocha.

Kiedy M. A. Pecorella odszedł na emeryturę, Nicholas został szefem wydziału inspekcyjnego „Globalu”. Odziedziczył po swoim poprzedniku pięć tysięcy teczek z danymi fałszerzy, złodziei, broniących ich adwokatów i bankierów, którzy zgadzali się ochraniać nielegalne interesy.

Nicholas wyjaśnił Cassandrze, że te teczki stanowią tarczę „Globalu”. Gdyby nie one, spółka padłaby ofiarą wszelkiego rodzaju kryminalistów — drobnych złodziei, starających się zrealizować czeki podróżne

skradzione nieszczęsnym turystom, oraz fałszerzy-artistów, których umiejętności kosztowałyby firmę miliony.

Nicholas często jeździł do Waszyngtonu, gdzie wymieniał informacje z FBI i tajnymi służbami. Od czasu do czasu towarzyszyła mu Cassandra, która wraz z Rose opracowywała plany, dotyczące sprzedaży czeków podróжных w Europie.

— Wydział bezpieczeństwa stworzono dopiero po zamordowaniu Lincolna — wyjaśnił Cassandrze jeden z agentów, oprowadzając ich po prywatnym muzeum tajnych służb. — Naszym głównym zadaniem było zawsze ściganie fałszerzy.

Cassandrę zdumiała liczba przestępców, którzy starali się podrobić amerykańskie banknoty. Świadectwem ich pomysłowości były pieniądze, matryce, prasy drukarskie oraz próbki barwników i atramentów, wystawione w gablotach.

— Przypuszczam, że kiedy ich złapiecie, idą na długo do więzienia—powiedziała. Agent uśmiechnął się.

— Niech pani nikomu o tym nie mówi, ale nie taka jest nieoficjalna polityka tajnych służb. Przekonujemy ich raczej, żeby pracowali dla nas. Jeśli są dobrzy, wykorzystujemy ich umiejętności. Niektórzy z tych facetów potrafią rozpoznać fałszywy dokument, którego nie wykryją nawet nasi najlepsi specjaliści.

Cassandra szybko zrozumiała, jak ważna jest praca Nicholasa i jak ogromne zaufanie okazała mu Rose. Stojąc na czele wydziału inspekcyjnego, Nicholas miał nieograniczony dostęp do wszystkiego, co działo się w spółce. Podlegało mu sześćdziesięciu detektywów, on jednak dawał im wolną rękę. Cassandra doszła do wniosku, że Nicholas jest urodzonym przywódcą, który umie zyskać szacunek podwładnych.

Cieszyła się, że Nicholas nie odziedziczył po swoim poprzedniku żadnych poważniejszych problemów. Mimo iż spędzał dużo czasu na Lower Broadway, rzadko musiał odwoływać obiad lub kolację. Kiedy w Carlton Towers zwolniło się mieszkanie, Nicholas natychmiast wykorzystał okazję. Z pomocą Abilene Cassandra urządziła kupiony przez niego apartament. Mogła wreszcie spędzać z Nicholasem dużo czasu, przy zachowaniu wszelkich pozorów przyzwoitości.

Najprostsze drobiazgi sprawiały Cassandrze radość—uwielbiała oglądać wystawy z męską odzieżą, planować wspólne weekendy, przygotowywać drinki przed przybyciem Nicholasa. Czuła, że odnalazła wreszcie spokój. Po tym wszystkim, co przeszła wcześniej, nauczyła się go cenić.

Wiosną 1947 roku, kiedy Nicholas pracował w „Globalu” już prawie dwanaście miesięcy, Rose była zadowolona zarówno z planów dotyczących czeków podróжных, jak i z postępów Cassandry.

— Jak oboje wiecie — powiedziała Rose Cassandrze i Nicholasowi przy obiedzie — „Global” znów zaczął się liczyć w Europie jako firma przewozowa. Musimy zająć się teraz czekami podróжными. Kluczem jest armia. W wojskach okupacyjnych służą dziesiątki tysięcy amerykańskich żołnierzy, którzy długo jeszcze pozostaną w Europie. Chcę, żeby operacje bankowe, organizowane przez naszą linę, zaspokajały wszystkie ich potrzeby. Będzie to urozmaicenie naszej działalności.

Nicholas spojrział na Cassandrę.

— Cóż za skromne życzenie, Rose.

— Największe banki w kraju naciskają na rząd, pragnąc dostać dla siebie intratny wojskowy kontrakt — odrzekła cierpko Cassandra. — Mamy taką samą szansę jak one.

Rose skinęła głową z aprobatą.

— Musimy zaatakować na dwóch frontach: w Waszyngtonie i w Europie. Hugh i Erie spróbują załatwić sprawę w departamentach wojny, skarbu i stanu. Nicholas, chcę, żebyś pojechał ze mną i z Cassandrą do Europy. Chase, Morgan i inne banki niczego nie osiągnęły, bo armia nie wierzyła, że cywile poradzą sobie z żołnierzami. Musimy przekonać generała Drapera, który kieruje w Niemczech wydziałem gospodarczym, że damy sobie radę — Rose przerwała. — A poza tym będziesz miał okazję spotkać się z naczelnikami europejskich policji. Nigdy nie wiadomo, kiedy ich współpraca może się przydać.

Nicholas Lockwood złowił spojrzenie Rose. Dobrze wiedział, o co jej chodzi i jak sprytnie zamaskowała prawdziwy cel podróży.

Na początku czerwca cała trójka przybyła do Londynu. Cassandrę przeraził widok zniszczonego miasta. Wiele słynnych londyńskich budynków przetrwało wojnę, jednakże bomby i pociski V-2 dokonały poważnych spustoszeń.

— Trzeba cudu, żeby to miasto znów stanęło na nogi! — krzyknęła.

— Jeśli uda się zrealizować Plan Marshalla, cud nastąpi — odparła Rose. Cassandra zdążyła się już przyzwycząić do stylu pracy Rose i nie zaskoczył jej

napięty rozkład zajęć. Uczestniczyła w długich spotkaniach z amerykańskimi oficerami, którzy dowodzili tysiącami żołnierzy i cywilów, stacjonujących w mieście. Tymczasem Nicholas skontaktował się z wysokimi urzędnikami w Scodand Yardzie, zajmującymi się fałszerstwami.

— Nie musi się pan martwić, że któryś z naszych chłopców podrobi wasze czeki podróżne — powiedział Lockwoodowi wąsaty inspektor Rawlins. — Wiemy, kim oni są i jak ich znaleźć.

Poza komisariatem policji dochodziło do innych, bardziej dyskretnych spotkań. Nie rozmawiano wówczas o fałszerzach. Nicholas Lockwood wypytywał o Harry'ego Taylora i poprosił Rawlinsa o informacje.

— Panuje tu zupełny chaos — wyjaśnił Rawlins. — Zaginęło tysiące ludzi, a codziennie przyplływają nowe statki z uchodźcami. Mówimy zresztą o człowieku, który najprawdopodobniej nie żyje od wielu lat.

— Wiem o tym, inspektorze. Mimo to byłbym wdzięczny za każdą informację. To sprawa osobista.

Rawlins spojrział w zamyśleniu na młodego mężczyznę.

— Lubilem McQueena. Staraliśmy się kiedyś razem dobrać do Taylora. Bardzo dobrze, panie Lockwood. Jutro rano otrzyma pan akta. Poproszę moich ludzi, żeby mieli oczy otwarte. Jak mogę się z panem skontaktować?

Nicholas wręczył mu kopię planu podróży.

— Może pan do mnie dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy. Rawlins uniósł brwi, kiedy dostrzegł nazwisko Cassandry.

— Czy to możliwe, że Taylor wciąż ją ściga?

— Nie on, inspektorze, ale ten sukinsyn, który go wykorzystał.

— Zadzwonię — obiecał Rawlins.

Tuż przed wyjazdem do Paryża Cassandra dostała ataku nerwowego. Po raz pierwszy od śmierci matki miała wrócić do tego miasta. Tej nocy przypominała sobie przeszłość.

— O nic się nie martw — wyszeptał Nicholas, mocno ją tuląc do siebie. — Będę przy tobie. Nic ci się nie stanie, obiecuję.

Cassandra pragnęła mu uwierzyć, kiedy jednak następnego ranka ujrzała francuskie wybrzeże, przejął ją dreszcz.

Po południu Cassandra i Rose przyjęły dwóch gości: Emila Rothschilda i Pierre'a Lazarda.

— Słyszeliśmy, że przyjeżdżacie i postanowiliśmy pierwsi was odwiedzić. Dawni przyjaciele matki oczarowali Cassandrze. Ujęły ją pełne ciepła historyjki, które opowiadali o Michelle.

— Nie chciałbym być wścibski, mademoiselle—powiedział Rothschild. — Czy mamy jednak sądzić, że teraz, kiedy wojna się skończyła, zamierza pani odnowić dawne serdeczne znajomości, nawiązane przez pani matkę?

— Naturalnie — odrzekła Cassandra.

Następnego ranka, zapewniwszy Nicholasa, że da sobie radę, odbyła pielgrzymkę na cmentarz Pere Lachaise. Ucieszyła się, widząc, że nawet w czasie wojny ktoś opiekował się grobem.

Cassandra podejrzewała, że zajęli się tym Rothschild i Lazard.

Długo stała przed prostym krzyżem i przypominała sobie cudowne chwile spędzone z matką. Strach powoli mijał. Michelle nauczyła Cassandrze kochać to miasto. Nigdy nie wyprze się tej miłości.

Po pierwszym spotkaniu z Emilem Rothschildem i Pierre'em Lazardem Cassandra i Rose doszły do wniosku, że organizacja, którą we Francji stworzyła Michelle, znów może rozprawiać czeki podróżne w Europie. Bankierzy zamieścili już ogłoszenia, prosząc o kontakt dawnych pracowników „Globalu”. Do Paryża nupływały listy i telegramy.

— Odzyska pani osiemdziesiąt procent dawnego personelu — przepowiedział Rothschild. — Może nawet więcej. To bardzo lojalni ludzie.

Czytając stare teczki personalne, Cassandra miała ochotę się z tym zgodzić. Pracownicy szanowali Michelle. Czy taki sam szacunek będą okazywać jej córce? Jak gdyby czytając w myślach dziewczyny, Rothschild rzekł:

— Jest pani córką Michelle. Francuzi przywiązują dużą wagę do tradycji, zwłaszcza w obecnych czasach.

Po załatwieniu wstępnych szczegółów Cassandra, Rose i Nicholas zjedli wspaniały obiad pożegnalny z bankierami w „La Tour d'Argent”. Nicholas wyszedł wcześniej, twierdząc, że musi załatwić pewną sprawę.

— Tylko wróć szybko — dokuczała mu Cassandra. — Nasz pociąg odjeżdża z samego rana.
— Dobrze.

Nicholas nie musiał iść zbyt daleko. Udał się na Ile de la Cité po drugiej stronie Sekwany. Szedł w cieniu majestatycznego Pałacu Sprawiedliwości, dopóki nie znalazł się przy frontowej bramie. Wartownik sprawdził jego dokumenty i zadzwonił na górę.

Nicholas widział kiedyś zdjęcie Armanda Savina. Człowiek, który właśnie schodził ze schodów, wyglądał starzej: jego twarz porwana była zmarszczkami. Francuz nosił się z godnością, jak przystoi policjantowi w randze komisarza. Nicholas wiedział, że Savin działał w ruchu oporu. Jego wyczyny doprowadzały Niemców do wściekłości i zyskały mu zaszczytny przydomek Białego Lisa.

— Witam, panie Lockwood — powiedział serdecznie Savin.

— Cieszę się, że zechciał się pan ze mną zobaczyć, komisarzu.

— Interesuje mnie wszystko, co wiąże się z Michelle McQueen.

Savin zaprowadził gościa na górę do biura, w którym zgromadzono raporty policyjne.

— Chodzi o porwanie? Savin skinął głową.

— To wszystko, co mamy. Proszę mi powiedzieć, dlaczego interesuje się pan tą sprawą.

Nicholasowi zależało na współpracy Armanda Savina, niczego więc nie ukrywał. Opowiedział o misji, którą powierzyła mu Rose Jefferson, i wyjaśnił, jak zamierzają wypełnić.

— Trudne zadanie — zauważył Savin. — Minęło wiele lat, a na całym świecie panuje straszny chaos. Czy naprawdę pan wierzy, że Harry Taylor przeżył wojnę?

— Rose Jefferson tak sądzi. Intuicja podpowiada mi, że ona się nie myli.

— Intuicja to kij o dwóch końcach, przyjacielu. Czasami sprawia, że człowiek widzi miraż.

— To prawda. Rose wspomniała jednak o paru szczegółach, które z pewnością odnajdę w pańskich raportach. Jeśli mogę rzucić okiem...

— Oczywiście.

Nicholas nie mówił zbyt dobrze po francusku, był jednak przekonany, że rozpozna to, czego szuka.

— Wiemy, że Taylor kazał Michelle przygotować okup w wysokości miliona franków — powiedział, wodząc palcem po stronie. — Dyrektor banku zeznał, że osobiście przekazał jej tę sumę. — Przerzucił kilka stron. — Później, kiedy pańscy ludzie przybyli do katakumb, pieniądze zniknęły... wraz z Harrym Taylorem.

Nicholas spojrział na Savina. — Gdyby Taylor zdołał wydostać się z katakumb

i miał ze sobą pieniądze, wystarczyłyby mu one na długo. Przypuśćmy, że przeżył. Dokąd skierowałby się najpierw ranny uciekinier?

— Do lekarza — powiedział cicho Savin. — Takiego, który za odpowiednią opłatę wyleczy pacjenta bez zadawania pytań. — Przerwał. — Zdaje pan sobie sprawę, że odnalezienie tego człowieka nie będzie łatwe.

— Ale możliwe.

Francuz wzruszył ramionami.

— Jeśli bogowie okażą nam życzliwość...

Tak jak wszyscy, Cassandra widziała przedtem zdjęcia tego miasta. W kronikach filmowych pokazywano nocne naloty na Niemcy i bohaterskie wyczyny alianckich pilotów. W świetle dziennym rzeczywistość przypominała koszmar.

Legendarny berliński hotel „Kempiński” przetrwał jakoś bombardowania. Kierownik zapewnił Rose, Cassandrę i Nicholasa, że mogą bezpiecznie pić wodę.

— Naprawiono wodociągi — powiedział. — Amerykanie tego dopilnowali. Nicholas otrzymał wojskowy samochód z kierowcą i spędzał dużo czasu

w głównej kwaterze wojskowej. Ciągłe braki w zaopatrzeniu doprowadziły do powstania czarnego rynku. Podrabiano kartki żywnościowe i dokumenty. Wojskowy kontrwywiad nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzi. Chcąc otrzymać kontrakt na operacje bankowe, Rose zgodziła się wypożyczyć Nicholasa generałowi Draperowi. W ten sposób Nicholas uzyskał dostęp do policyjnych teczek niemieckich fałszerzy. Te informacje mogły w przyszłości okazać się bezcenne.

W czasie nieobecności Nicholasa Rose i Cassandra jeździły po mieście. Trudno było znieść niektóre widoki. Dzieci, głównie sieroty, szukały jedzenia wśród ruin. Na ulicach i w suterenach starzy ludzie umierali z powodu chorób i niedożywienia. Dwunastoletnie dziewczynki sprzedawały się żołnierzom za papierosy i racje żywnościowe.

Przyczynił się do tego mój syn — pomyślała Rose. — Czyżby nie wiedział, jakim ludziom pomaga? Niestety, odpowiedź na to pytanie była oczywista. Steven zdawał sobie z tego sprawę, bo sam do nich należał.

Patrząc na berlińskie ruiny, Rose miała coraz większą ochotę na kontrakt, jednakże generał Draper, szef wydziału gospodarczego, okazał się trudnym człowiekiem. Generał nie miał dobrego zdania o kobietach. Niewiele bardziej cenił bankierów. O kontrakt ubiegało się sześć instytucji finansowych. W tej sytuacji Draper czuł się jak król.

— Jak zamierzasz go przekonać, że powinien zawrzeć umowę z „Globalem”? spytała Cassandra. Rose uśmiechnęła się i postukała w teczkę, którą jej przyniósł Nicholas. Zawierała ona dokumenty, opisujące karierę Drapera od czasów studiów w West Point,

— Patrz uważnie, Cassandro. Czasami linia prosta nie jest najkrótszą drogą pomiędzy dwoma punktami.

Rose odkryła, że Draper uważał siebie za doskonałego strzelca i chełpił się myśliwskimi trofeami. Kiedy dowiedziała się o tym, poprosiła kierownika hotelu „Kempiński” o zorganizowanie polowania na dziki.

— Ależ Frau Jefferson, w Berlinie nie ma dzików — odrzekł kierownik.

— Proszę mi więc powiedzieć, gdzie mogę je znaleźć i niech pan to wszystko załatwi.

Przynajmniej wasze lodówki będą pełne.

Trzy dni później kierownik poinformował Rose, że może zorganizować niewielką wyprawę w lesie za Norymbergą. Rose odwiedziła generała Drapera i spróbowała jeszcze raz go przekonać, że „Global” jest najlepszym partnerem.

— Musi pani zrozumieć, pani Jefferson — odparł Draper. — Inni również są zainteresowani kontraktem.

— Oni siedzą na tyłkach w Waszyngtonie — odrzekła Rose. — Chce pan pozwolić, żeby wszystko spieprzyli? Nie lepiej współpracować z kimś, kto naprawdę wykona dobrą robotę? Draper uśmiechnął się z wyższością.

— I to pani jest taką osobą, czyż nie tak?

— Lubi pan sport, generale?

— Swego czasu trochę polowałem.

— Załóżmy się — zaproponowała Rose. — Zorganizowałam polowanie na dziki koło Norymbergi. Tylko pan i ja będziemy w nim uczestniczyć. Jeśli ustrzelę jakiegoś dzika przed panem, zarekomenduje pan „Global” Waszyngtonowi.

— A jeśli pani przegra? — zapytał Draper.

— „Global” wycofa podanie. Pozbędzie się pan wówczas kłopotu.

Draper musiał się uśmiechnąć. Za tydzień ta kobieta przestanie mu wreszcie zawracać głowę.

— Podoba mi się pani pomysł.

Trzy dni później Rose, Cassandra i Draper wraz ze swoją świtą udali się do Norymbergi. Draper czule głąskał remingtona 360.

— Jakiej broni pani używa, pani Jefferson?

Ze skórzanej pochwy Rose wydobyła kuszę myśliwską! trzy groźnie wyglądające strzały. Draper ze zdumienia otworzył usta.

— Trzeba dać szansę dzikowi, generale — odpowiedziała i zniknęła w lesie. Draper tropił zwierzyne jak wytrawny myśliwy.

— Jest na przesiece — wyszeptał do pomocnika. — Ten sukinsyn na pewno śpi w legowisku.

Generał skradał się po cichu, aż dostrzegł plamę czarnej sierści. Wycelował i dwa razy wystrzelił. Potem wybiegł na polanę i ujrzał leżącego na boku dzika o wadze sześciuset funtów. W pobliżu na skale siedziała Rose Jefferson.

— Na szczęście jest pan dobrym strzelcem, generale — powiedziała. — W przeciwnym razie mógłby mnie pan trafić. Niestety, trochę się pan spóźnił.

— O co, do diabła, pani chodzi?

Rose wskazała strzałę tkwiącą w głowie dzika.

— Następnym razem lepiej się panu powiedzie.

— Czy naprawdę pierwsza go trafiłaś? — wyszeptała Cassandra, idąc za niezadowolonym generałem.

— Na to przecież wygląda, prawda? — odrzekła niewinnie Rose. Nie wracała więcej do tego tematu.

Generał Draper nie lubił przegrywać, ale zawsze dotrzymywał słowa. Po niecałym tygodniu Rose dostała kopię rekomendacji, którą przesłał do Pentagonu.

— Teraz mogę wracać do domu — oświadczyła.

Cała trójka siedziała przy ostatnim obiedzie w hotelu „Kempiński”. Cassandra jadła niewiele, a mówiła jeszcze mniej. Postanowiono, że dziewczyna uda się do Paryża i otworzy biuro na rue de Berri. Cassandra była wdzięczna Rose za zaufanie, miała jednak wątpliwości. Wprawdzie Emil Rothschild i Pierre Lazard postarają się jej pomóc, ale Nicholas nie powiedział, że pojedzie razem z nią.

Rose zauważyła posępny nastrój Cassandry i uśmiechnęła się. Kiedy zamówili deser, rzekła:

— Mam dla ciebie małą niespodziankę. Nicholas pracował bardzo ciężko, ale wygląda na to, że jeszcze nie skończył. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanie z tobą w Europie.

Cassandra o mało nie zakrztusiła się winem.

— Kiedy podjęliście taką decyzję?

— Kilka dni temu.

— Kilka dni?

— Hej, to miała być niespodzianka — zaprotestował Nicholas. Cassandra pocałowała Rose w policzek.

— Dziękuję! — wyszeptała.

— Tylko ci go wypożyczam — ostrzegła Rose.

— Możesz go nigdy nie odzyskać!

Cassandra przeprosiła i poszła do toalety. Nicholas patrzył na nią i czuł się nieswojo.

— Nie lubię jej okłamywać — powiedział nagle.

— Chronisz ją — poprawiła Rose. — Poza tym uzgodniliśmy, że nie powinna wiedzieć o Harrym.

—Przerwała. —Cassandra cię potrzebuje. Pasujecie do siebie.

Nicholas patrzył na Cassandrę, jak szła wśród stolików.

— Tak bardzo do siebie pasujemy, że mamy przed sobą sekrety.

— Już niedługo, Nicholas. Wkrótce odnajdziesz Harry'ego. Jestem tego pewna. W Wiedniu zbliżysz się do celu.

Stolica Austrii była miastem zrujnowanym, pełnym szpiegów, agentów, różnego rodzaju donosicieli i handlarzy. Jeśli ktoś handlował informacją, me mógł wybrać lepszej siedziby.

Właśnie dlatego zamieszkał tu Simon Wiesenthal.

Lockwood szedł po zniszczonych schodach do Wiedeńskiego Centrum I Hikumentacji, pokazał legitymację kompetentnemu młodemu mężczyźnie i udał się

do prywatnych pokojów Wiesenthala. Lockwood wiedział, że Wiesenthala więziono w obozach koncentracyjnych, spodziewał się więc, że spotka człowieka wyglądającego jak duch. Ujrzał jednak wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę o mocnym uścisku dłoni i bystrym spojrzeniu.

— Nie jestem pewien, jak mógłbym panu pomóc — rzekł Wiesenthal, kiedy Lockwood opowiedział o Harrym Taylorze i jego tajemniczym zniknięciu w paryskich katakumbach. — Ten człowiek nie jest przecież przestępcą wojennym. Nic o nim nie wiemy. Niewielu mamy informatorów i musimy rozważnie korzystać z ich usług.

— Rozumiem — odrzekł Lockwood. — Przrzekam, że otrzyma pan fundusze wielokrotnie przewyższające koszty tego dochodzenia.

— To hojna propozycja — przyznał Wiesenthal. — Jednakże moi ludzie nie pracują dla pieniędzy.

— Czy słyszał pan kiedyś o Michelle Lecroix, lepiej znanej pod nazwiskiem Michelle McQueen?

— Kobieta, która pracowała z Abrahamem Warburgiem? Lockwood skinął głową.

— Setki Żydów w Palestynie i na całym świecie czczą jej pamięć, panie Lockwood.

— Harry Taylor przyczynił się do jej śmierci. Gdyby Michelle żyła, osiągnęłaby o wiele więcej.

Harry Taylor wie, kto ją zabił. Był tam. Tylko on może oddać mordercę w ręce sprawiedliwości. Niech pan to zrobi dla niej, panie Wiesenthal. Nie dla mnie. Nie dla pieniędzy.

Wiesenthal długo patrzył przez okno.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć — rzekł w końcu.

56.

Steven Talbot wynurzył się nagi z basenu. Po trzech tygodniach, spędzonych na wyspach, był opalony na ciemny brąz. Pływanie, jazda konna i żeglowanie pozwalały mu zachować młodzieńczą sylwetkę. Okaleczona twarz Stevena zagoiła się na tyle, na ile było to możliwe. Wciąż starał się jednak nie wystawiać do słońca czerwonej, nienaturalnie gładkiej twarzy. Zawsze nosił farmerski kapelusz z szerokim rondem.

Na tyłach domu znajdował się niezwykle tropikalny ogród. Rosły w nim karłowate palmy, koralodrzew, różowe, żółte i białe uroczyny oraz kilkanaście odmian orchidei. Steven wytarł się, włożył lekki bawełniany szlafrok, który podał mu służący, i usiadł naprzeciwko Yukiko.

— Jak wyglądają cyfry?

— Lepiej niż pół roku temu. O wiele lepiej.

Steven rzucił okiem na dokumenty. Zyski były oszałamiające, biorąc pod uwagę fakt, że dopiero niecałe trzy lata temu przybył z Yukiko na Hawaje. A to przecież dopiero początek.

Wszystko oczywiście umożliwiło złoto. Steven bez problemu przewiózł dzwony przez hawajską kontrolę celną. Znalazłszy się na wyspie, nawiązał kontakty z osobistościami, które pamiętały go z krótkiego pobytu w Honolulu, zanim odpłynął z generałem MacArthurem. Po wyspie krążyły plotki o współpracy Stevena z MacArthurem i sprawowanej przez niego władzy. Steven natychmiast wkręcił się do wąskiego kręgu starych, bogatych rodzin i zakupił posiadłość, która podupadła w ciężkich czasach. Szukał bezpiecznego schronienia, a Cobbler's Point idealnie odpowiadał jego celom. Dopiero kiedy w posiadłości zjawili się skośnoocy służący oraz piękna Japonka, która zachowywała się jak pani domu, ludzie zaczęli się dziwić.

Yukiko zdawała sobie sprawę z milczącej dezaprobaty, a nawet wrogości lokalnych mieszkańców. Pogardzała Amerykanami, którzy tak łatwo zapominali

0 historii swego kraju. Fortuny właścicieli plantacji trzciny cukrowej i ananasów wyrosły dzięki pracy japońskich robotników, którzy od 1885 roku uciekali z Japonii przed głodem i nędzą. Zarabiali dziewięć dolarów miesięcznie i sześć dolarów na jedzenie. Całe rodziny tłoczyły się w domach bez kuchni i łazienek. W 1909 roku, kiedy zastrajkowało siedem tysięcy japońskich robotników, Związek Plantatorów Trzciny Cukrowej umieścił wszystkich buntowników w obozach dla „uchodźców”.

Steven wiedział, że na Hawajach wyzysk stał się tradycją. Zauważył również, że tutejsi Japończycy z dumą kultywują poczucie więzi plemiennej i mawiają z upodobaniem *wareware Nihonjin*, „jesteśmy Japończykami”. Spodziewał się więc, że japońska społeczność na Hawajach zaakceptuje Yukiko.

— Zastanów się — ostrzegła go. — Generał MacArthur narzucił Japonii konstytucję przyznającą kobietom równe prawa, ale serca japońskich mężczyzn się nie zmienny.

Yukiko miała słuszość. Niektórzy przywódcy japońskiej społeczności uznawali ją za dziwkę cudzoziemca i nie chcieli mieć z nią do czynienia, dopóki nie zaakceptują jej inni Japończycy.

— Do diabła, jak możemy skłonić ich do współpracy?! — spytał Steven.

— Prędzej czy później wyjdziemy z impasu — odrzekła enigmatycznie Yukiko. — To tylko kwestia czasu. Bądź cierpliwy, Stevenie.

Ta chwila nadeszła, kiedy tokijski trybunał zbrodni wojennych skazał na śmierć generała Tojo i jego współpracowników, w tym Hisahiko Kamaguchiego.

— Impas został przełamany — rzekła Yukiko. — Teraz wszyscy wiedzą, że trzeba naprawić krzywdę wyrządzoną mojemu ojcu.

Kilka dni później Yukiko jeszcze raz odwiedziła japońską społeczność. Wkrótce w Cobbler's Point pojawili się pierwsi japońscy pracownicy i zaczęli pracować na terenie posiadłości. Inni zbudowali niewielką odlewnię, przygotowali kilka pieców

i zabrali się do wytapiania złota ze świątynnych dzwonów. Chcąc zaspokoić ciekawość sąsiadów, Steven poinformował Towarzystwo Historyczne w Honolulu, że postanowił przywrócić dawną świetność jednemu ze skrzydeł domostwa i rekonstruuje filigranowe żaluzje oraz bramę rzeźbioną w metalu. Sąsiedzi mogli tylko przyklasnąć temu projektowi.

Przedstawiciele Szwajcarskiego Banku Kredytowego z Zurychu zbadali złote sztabki. Chemicy i metalurzy oświadczyli, że złoto jest czyste w 99,9 procent i wytłoczyli próbę na każdej sztabie. Przesyłkę ubezpieczono i przetransportowano na pokład japońskiego frachtowca płynącego pod panamską banderą. W marcu 1947 roku na koncie szwajcarskiej spółki „Pyramid Holdings” znalazło się pięć milionów dolarów.

— Teraz zaczynamy — powiedziała Yukiko Stevenowi.

Tradycja nie pozwalała Japonce wtrącać się do handlowych decyzji mężczyzny. Jednakże Yukiko była jedynaczką; jej matka umarła, zanim zdążyła urodzić syna. Hisahiko Kamaguchi miał postępowe poglądy i starał się rozwijać talent córki. Dopilnował, by Yukiko otrzymała staranne wykształcenie. Szczególną wagę

przywiązywał do matematyki, księgowości i handlu. Kiedy inne dziewczynki uczyły się prowadzić dom, Yukiko poznawała historię zakładów „Kamaguchi”. Dowiedziała się, że przedsiębiorstwo wyprzedziło konkurentów dzięki cierpliwości i sprytowi, zawierało sojusze z pozycji siły i bezlitośnie niszczyło wrogów. Teraz wykorzystywała tę wiedzę, realizując mistrzowski plan Stevena Talbota.

Po sześciu miesiącach spółka „Pyramid Holdings” kontrolowała bank w Hongkongu, filipińską linię okrętową i malajski koncern produkcji drzewnej, który był właścicielem dziesięciu tysięcy akrów lasu. Steven i Yukiko mieli udziały w indonezyjskich zakładach petrochemicznych, prowadzili negocjacje z brokerami w Singapurze i dostawcami w Tajlandii, uzyskiwali najlepsze ceny od handlarzy złotem z Macao i kupowali za śmieszne pieniądze amerykańskie samoloty z demobilu.

Steven kupił dziesięć tysięcy akrów ziemi na wyspie Lanai i konkurował z ananasowym imperium Jima Dole'a. Dzięki tej plantacji Steven mógł sprowadzać na Hawaje część zysków z Dalekiego Wschodu, które następnie szybko inwestował w ziemię. Hojnie finansował różnego rodzaju towarzystwa i przekazywał spore sumy na działalność dobroczynną. Zapraszał do siebie oficerów wojsk okupacyjnych, którzy zatrzymywali się na Hawajach i chętnie dyskutowali o amerykańskiej polityce w Japonii.

— Potrzebujemy doświadczonych administratorów, którzy przejęliby rozbite przez nas stare rodzinne koncerny — poskarżył się jeden z dygnitarzy. — Problem polega na tym, że Amerykanie nie chcą inwestować w tym kraju.

— Może powinniście poszukać japońskich inwestorów — zasugerował Steven. Urzędnik prychnął.

— Chętnie byśmy to zrobili. Ci faceci nie mają jednak złamanego jena. Po wyjeździe dygnitarza Steven powiedział do Yukiko:

— Zadzwoń do przyjaciół ojca. Nadeszła odpowiednia chwila.

Yukiko spojrzała na Stevena, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy wyglądającej jak maska. Znała wielu mężczyzn, którzy bez skrupułów realizowali własne cele. Należał do nich jej ojciec. Ludzie, którzy za kilka tygodni przyjadą do Cobbler's Point, byli ulepieni z tej samej gliny. Steven różnił się jednak od nich wszystkich. Kierowało nim tylko jedno uczucie: nienawiść.

Yukiko powiedziała kiedyś o tym ojcu i wyjaśniła, co ją niepokoi: Steven Talbot wiele obiecywał, skąd jednak wiadomo, że dotrzyma słowa?

— Pomyśl, jakim jest człowiekiem — poradził ojciec. — Nie da się zasypać przepaści między matką a synem. Stał się wyrzutkiem i to go z nami wiąże.

Yukiko zrozumiała ojca. Spodziewała się, że po przyjeździe na Hawaje Steven /użąda, żeby z nim sypiała. On jednak nigdy o to nie poprosił. Ich sypialnie znajdowały się na przeciwległych krańcach domu. Na początku Yukiko sądziła, że Steven znalazł sobie kochankę lub zadawała się towarzystwem prostytutek. Tak jednak nie było. Przekonała się o tym, kiedy zaczęła go śledzić. Uważnie obserwowała Stevena. Pragnęła znaleźć w nim jakąś słabość, którą

mogłaby wykorzystać, aby związać go ze sobą. Steven zachowywał się jednak wobec Yukiko z uprzedzającą grzecznością. Interesował się jarjońskimi zwyczajami i wiedział wystarczająco dużo, by rozumieć, że nigdy ich nie zgłębi. Zauważył, że dziewczyna stara się go subtelnie uwieść, nie reagował jednak na jej wysiłki. Yukiko miała wrażenie, że Steven nie potrzebuje bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem. Doszła do wniosku, że powinna się go obawiać.

Słońce stało wysoko ponad horyzontem. Wiatr ucichł. Kiedy Steven schronił się w domu przed upałem, służący wręczył mu błękitną kopertę. Za dostarczenie listu zapłaciła armia amerykańska, a adresem zwrotnym było więzienie w Norymberdze.

Steven przeczytał list i patrzył na horyzont. Wciąż kierował spojrzenie na jakiś odległy, niewidzialny punkt, kiedy wręczył kartkę Yukiko i powiedział:

— Mamy pewien kłopot.

W jesiennym powietrzu unosił się zapach sosnowych igieł. Żywica, spływająca z drzew, przylepiała się do ubrania. Podchodząc do ponurej bramy więzienia, Steven czuł, jak podeszwy butów przyklejają się do asfaltu.

— Steven Talbot chce się zobaczyć z więźniem. Wartownik sprawdził nazwisko.

— Tędy, sir.

Steven przekroczył za kapralem stalową bramę. Kiedy znalazł się w środku, znikło światło dzienne.

Długo myślał, czy powinien udać się w tę podróż. Razem z Yukiko zastanawiali się, jakie mogą być skutki takiej wyprawy.

— To ryzyko — powiedział. — Jeśli go jednak nie podejmiemy, nigdy się nie dowiemy, dlaczego Kurt Essenhaimer chciał się ze mną skontaktować.

— Nie powinien tego robić — odrzekła z gniewem Yukiko. — Niewykluczone, że władze zaczną coś podejrzewać.

Steven wzruszył ramionami.

— Wielu ludzi przed wojną widziało nas razem w Berlinie. Gdyby kogoś to zaniepokoiło, już byśmy o tym wiedzieli.

W więzieniu było zimno. Woda kapłała z sufitu na betonową podłogę. Zaprowadzono Stevena do pokoju z dużym lustrem, biurkiem i dwoma krzesłami.

Zamknął oczy i przygotował się na nadchodzącą chwilę.

Gdy je otworzył, ujrzał przed sobą mężczyznę, który wyglądał jak duch, a nie jak Kurt Essenhaimer. Twarz przyjaciela była żółta i wychudzona, palce kościste, a paznokcie miały siny odcień. Poruszał się powoli jak starzec, a jego ręce drżały, kiedy przytrzymał się oparcia krzesła.

— Kurt...

— Dziękuję, że przyjechałeś — powiedział Kurt Essenhaimer. — Dawno się nie widzieliśmy. — Usiadł i oparł brodę na splecionych palcach.

— Cieszę się, że cię widzę, Kurt.

— Ja cieszę się jeszcze bardziej, stary przyjacielu.

— Dobrze cię tu traktują? Essenheimer wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Monotonia przytępia zmysły. Nuda jest najgorszym wrogiem, prawdziwym zabójcą. — Uśmiechnął się słabo. — Jeszcze gorszym niż rak.

Steven zbladł.

— Nic nie wiedziałem. Przykro mi. Przyjechałbym wcześniej... Essenheimer machnął ręką.

— Nie mogłeś wiedzieć. Dokonujesz wielkich rzeczy, przyjacielu, chociaż ostatnio nie słyszę zbyt często twojego nazwiska.

Steven zmrugał oczyma. Od kiedy przeprowadził się do Honolulu, zadbał o to, by jego nazwisko nie pojawiało się w dziennikach finansowych ani w kronice towarzyskiej.

Niemiec odwrócił się plecami do lustra.

— Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Ten Żyd, Wiesenthal, samozwańczy łowca nazistów, zaczął węszyć.

Steven poczuł krople potu nad górną wargą.

— Nie pyta o ciebie. Chce Harry'ego Taylora. Jeśli dobrze rozumiem, płaci mu twoja matka.

Steven myślał gorączkowo, starając się zrozumieć, o co w tym chodzi.

— Czy możesz mi powiedzieć coś więcej?

— Niestety nie, przyjacielu.

Steven odsunął od siebie dręczące wątpliwości. Zostało im jeszcze kilka minut.

— Jak długo, Kurt?

— Kilka miesięcy...

Obaj mężczyźni popatrzyli spokojnie na siebie. Myśleli o dawnych czasach. Mieli wówczas wspólne nadzieje i marzenia, pokonywali te same przeszkody. Klucz zabrzączał w zamku. Kurt Essenheimer wstał.

— Dziękuję za wizytę, Stevenie.

— Do widzenia, Kurt.

Steven patrzył, jak Essenheimer idzie z wysiłkiem ku drzwiom. Strażnik wziął Kurta za łokieć. Przyjaciel zniknął, nawet się nie obejrzał. Po chwili pojawił się drugi żołnierz, żeby wyprowadzić Stevena.

— Wzruszające — powiedział Steven, kręcąc głową. — Ten mężczyzna umiera, n pragnie tylko spotkać się z człowiekiem, z którym jadł obiad ponad dziesięć lat temu.

— Miał szczęście, sir — odrzekł żołnierz. — Od kiedy tu jestem, nikt go nie odwiedził. Nikogo już chyba nie obchodzi.

— Pewnie ma pan rację — rzekł cicho Steven.

— Wierzysz mu? — spytała Yukiko.

Szła ze Stevenem po plażę; zielonkawa woda uciekała spod ich palców. Tydzień temu Steven wrócił z Niemiec i każdej nocy budził się z krzykiem. Był wściekły, że

nie może pomóc Kurtowi, po raz ostatni pocieszyć przyjaciela. Przynależ sobie, że wykorzysta informację Essenheimera i w ten sposób uczci jego pamięć.

— Tak, wierzę—powiedział w końcu Steven.—Matka może szukać Harry'ego Taylora tylko z jednego powodu. Jest przekonana, że zamordowałem Michelle i chce posłużyć się Harrym, żeby tego dowieść.

— Czy ma jakiś dowód, że Taylor żyje?

— Jeszcze nie. Dysponuje jednak ogromnymi środkami i ludźmi na całym świecie. Jeśli Harry przeżył, na pewno go odnajdzie. Wiesz, co to by dla nas znaczyło.

YuMko wiedziała. Za kilka tygodni dawni partnerzy ojca, szefowie japońskich *zaibatsu*, przyjadą na Hawaje. Praca Stevena przynosiła efekty, które wkrótce pozwolą na odbudowanie ogromnych koncernów. W ten sposób dla Japonii zapłonie nowa pochodnia. Kiedy Yukiko o tym myślała, wyobrażała sobie twarz ojca w jej świetle.

— Musisz zabić Rose.

Słowa te wypowiedział Steven, wydawało się jednak, że wyszeptał je wiatr.

— Wiem — odrzekła Yukiko.

W ostatnich trzydziestu latach w biurze Rose na Lower Broadway prawie nic się nie zmieniło. Wciąż stały tam te same meble, które pamiętały jeszcze czasy dziadka. Jedynym nowym dodatkiem był olejny obraz Thorntona Montgomery'ego, który Rose niechętnie zgodziła się powiesić na ścianie kilka lat temu. Na kredensie widniały upominki od królów, prezydentów, premierów, u nawet od papieża.

Mam pięćdziesiąt siedem lat. Odeszło tak wielu ludzi, a ja wciąż tu jestem...

Oczy Rose spoczęły na zdjęciach stojących na szafce z drzewa różanego. I'biografie przedstawiały wyłącznie Cassandrę i Nicholasa. Oto siedzą naprzeciwko siebie w wagonie restauracyjnym Orient Expressu. Trzymają się za ręce na skałach Sardynii, z Morzem Śródziemnym w tle.

Obejmują się w Central Parku. Te pamiątki były dla Rose bezcenne, bo widziała w nich swoją przeszłość.

Kiedy Rose patrzyła na te fotografie, ogarniał ją spokój. Okazało się, że podjęła n!uszną decyzję, namawiając Cassandrę do pracy w Europie. W jej listach, które przysyłała z rue de Berri, wyczuwało się pośpiech i podniecenie. Bardziej trzeźwe raporty przychodziły od Emila Rothschilda i Pierre'a Lazarda. Energia i umiejętności ('assandry robiły na bankierach duże wrażenie. Przepowiadali, że dziewczyna poradzi sobie równie dobrze, jak Michelle. Rose cieszyła się z tego. Mogła wreszcie /upomnieć o dawnych urazach.

— Znów marzysz?

— Wejź, Hugh. Nie zwracaj uwagi na zgrzybiałą staruszkę.

Hugh O'Neill uśmiechnął się. Rose Jefferson daleko było do tego. Wciąż miała ładną mowę i ciemne, gęste włosy. Kiedy chciała, potrafiła wszystkich rozśmieszyć albo zadziwić przenikliwością i bystrością. Rozumiał to jej nowy krawiec, Oleg Cassini. (Irunatowy kostium podkreślał dyskretny, lecz niewątpliwy autorytet tej kobiety.

W spojrzeniu Rose dostrzegało się jednak coś jeszcze. Był to ból po ranach, które nigdy się nie zagoją.

— Nie patrz na mnie z taką litością, Hugh — ostrzegła Rose. — Cieszymy się lepiej, że Steven potraktował mnie poważnie. — Uśmiechnęła się ze smutkiem. — Jefferson hodujący ananasy. Któż by w to uwierzył? Powinniśmy być zadowoleni, że zajął się czymś pożytecznym. Hugh O'Neill zawahał się i czekał, aż Rose powie coś więcej. Kiedy tego nie zrobiła, on również postanowił milczeć. Dowiedział się o wizycie Stevena u Kurta Essenheimera w Norymberdze. Te odwiedziny nie miały jednak znaczenia, bez względu na ich cel. Gdyby Rose się o nich dowiedziała, zdenerwowałaby się tylko, a tego nie chciał.

Po wojnie nowojorska socjeta i biznesmeni niecierpliwie oczekiwali na powrót Stevena Talbota. Wszyscy byli przekonani, że po zakończeniu świetnej kariery wojskowej Steven znów zacznie pracować w „Globalu”. Kiedy tak się nie stało, w ruch poszły języki. O'Neill usiłował sterować plotkami. Rozpuścił wiadomość, że w rodzinie rozgorzał spór o powojenną strategię firmy. Ku przygnębieniu matki, Steven postanowił działać na własną rękę. Oczywiście prędzej czy później się pogodzą. Po prostu syn chce się sprawdzić.

Finansiści kiwali mądrze głowami, a matki młodych panien cieszyły się po cichu, że Steven Talbot nie ozdobi ich salonów twarzą „przypominającą obrazy Picassa”, jak stwierdziła wesoło jedna z dziewcząt z Park Avenue.

— Opowiedz mi o banku Ho-Ping — rzekła Rose.

— To niewielki bank. Jego majątek wynosi około dziesięciu milionów dolarów, ulokowanych głównie w posiadłościach ziemskich — odrzekł O'Neill. — Udzielił kilku pożyczek spółkom okrętowym za odpowiednim zabezpieczeniem. Przedsiębiorstwo zarządzane jest sprawnie, choć niezbyt pomysłowo.

Rose zmarszczyła brwi.

— Jak to się stało, że jest na sprzedaż?

— Rzecz przedstawia się następująco. Właścicielem Ho-Ping jest spółka „Pyramid Holdings” z Zurychu. Dyrektorzy zachowują anonimowość, Szwajcarski Bank Kredytowy poinformował mnie jednak, że chcą sprzedać Ho-Ping. Oczywiście, Szwajcarów nie interesują powody.

— Rozsądni ludzie — wymruczała Rose. — Co o tym sądzisz?

— Zamierzasz wprowadzić na dalekowschodni rynek czeki podróżne. Jeśli wykorzystasz do tego Ho-Ping, nie zdenerwujesz żadnego z taipanów. Później za pośrednictwem banku możesz kupować inne koncerny w południowo-wschodniej Azji. Przeszkolimy w Nowym Jorku najlepszych pracowników Ho-Ping, a potem wyślemy ich z powrotem jako instruktorów. Sądzę, że za pięć lat czeki podróżne będą miały silną pozycję na Dalekim Wschodzie.

— Ile żąda „Pyramid”?

— Ceny aktywów. Myślę, że powinniśmy się potargować. Rose uśmiechnęła się.

— Załatw wszystko.

— Zurych poprosił o coś jeszcze w imieniu spółki „Pyramid”. Dyrektorem

Ho-Ping jest Japończyk, od którego zależy zawarcie umowy sprzedaży. Chciałby się z tobą spotkać.

— To niemożliwe. Mam tu zbyt wiele pracy.

— Wiem, że nad czymś ostatnio pracowałaś—powiedział O'Neill.—Nie mam jednak pojęcia, o co chodzi.

— Dowiesz się w odpowiednim czasie.

— Posłuchaj, Rose. Już od dawna nie wyjeżdżałaś z kraju ani nawet z miasta. Czemu sobie na to nie pozwoliłaś?

— Czy wiesz, ile czasu trwa podróż do Hongkongu?

— Nie popłyniesz łodzią. Ho-Ping załatwi ci samolot. Wyjedziesz najwyżej na dwa tygodnie.

Rose zaczęła się zastanawiać. Rzeczywiście, dawno już nie widziała niczego nowego, nie poznała nowych zapachów i smaków.

— Czy mogę poinformować Ho-Ping, że przyjeżdżasz?

— Dobrze — zgodziła się Rose. — Z kim właściwie mam się spotkać?

— Nazywa się Wataru Fukushima. Hugh O'Neill usiadł, zadowolony z siebie.

— Daj spokój, Rose. To będzie świetna zabawa. Może nawet go przekonasz, żeby spuścił z ceny. Później Hugh'a O'Neilla długo dręczyły te żartobliwe słowa. Miał wrażenie, że zakpił z życia przyjaciółki, pełnego poświęcenia, lojalności i przywiązania.

Kiedy Wataru Fukushima otrzymał telegram z „Globalu”, pobiegł natychmiast ze sklepu do biura. Rodzina Fukushima od trzech pokoleń była związana z *zaibatsu* Kamaguchi. Dziadek Wataru miał mały sklep z artykułami żelaznymi i udało mu się podpisać kontrakt z zakładami „Kamaguchi”. Po śmierci dziadka kontrakt odziedziczył ojciec, który rozbudował sklep i przekazał go Wataru.

Związki pomiędzy *zaibatsu* a kontrahentem, takim jak Fukushima, mogłyby wprawić w osłupienie obserwatora z zewnątrz. Dla Fukushimy Kamaguchi był klientem, finansistą i dostawcą.

Fukushima pełnił natomiast rolę wytwórcy i sprzedawcy gotowego produktu. Kamaguchi dyktował, czego potrzebuje, ile i na kiedy. Piikushima robił wszystko, żeby spełnić wysokie wymagania Kamaguchiego i wywiązać się w terminie ze swoich zobowiązań.

Ten system leżał u podstaw skomplikowanej sieci japońskiego biznesu. Sam Fukushima nie byłby w stanie konkurować z innymi producentami, pozostającymi pod opieką *zaibatsu*. Kamaguchi zaspokajał wszystkie potrzeby Fukushimy i gwarantował, że będzie kupował jego towary. Ten związek opierał się na zaufaniu, honorze i odpowiedzialności.

Wataru Fukushima uznał, że Hisahiko Kamaguchi padł ofiarą morderstwa, śmierć tego człowieka umocniła jedynie związki Fukushimy z *zaibatsu*. Wataru

czekał cierpliwie na dzień, w którym będzie mógł wypełnić swój obowiązek. Czas oczekiwania skończył się, kiedy Yukiko Kamaguchi wezwała go do Honolulu.

Yukiko oświadczyła, że Wataru Fukushima zostanie teraz dyrektorem banku, obdarzonym wszelkimi pełnomocnictwami. Oczywiście, nie będzie z nich korzystał. Dwa razy w miesiącu pojedzie do Hongkongu, pokaże się w biurze, podpisze kilka dokumentów i poinformuje pracowników, że znów musi wyjechać w interesach. Potem wróci do sklepu z artykułami żelaznymi.

— Wkrótce dostanie pan telegram z informacją, że pewna kobieta odwiedzi pana w sprawie sprzedaży banku. Proszę się wówczas ze mną skontaktować i przygotować się do spotkania — powiedziała Yukiko Kamaguchi.

Siedząc w ciasnym biurze wśród teczek z dokumentami, Wataru Fukushima czekał na połączenie z Honolulu. Kiedy rozmawiał z Yukiko, głos mu drżał, ale nie ze strachu. Fukushima cieszył się, że nadszedł wreszcie czas zemsty.

W No wym Jorku była godzina piąta po południu. Rose wcześniej skończyła pracę, gdyż następnego dnia zamierzała wyjechać. Nalała sobie martini i otworzyła teczkę. Wśród papierów leżała cienka aktówka z brązowej skóry. Nie było na niej żadnego napisu. W dokumencie było dużo skreśleń. Każdą stronę Rose wystukała osobiście na swoim starym remingtonie. Nie istniały żadne kopie.

Nikomui nie powiedziała o tym projekcie. Zgodziła się na podróż do Hongkongu, gdyż pragnęła w nowym otoczeniu jeszcze raz przemyśleć wszystkie problemy. Była przekonana, że jej plan zrewolucjonizuje świat finansów. Za jego sprawą pieniądze staną się przestarzałym środkiem płatniczym i zajmą miejsce w muzeum obok greckich i rzymskich monet.

Tamyśl niezwykle ekscytowała Rose. Dawniej to by jej wystarczyło, teraz jednak chciała podzielić się z kimś swoim pomysłem. Potrzebowała wsparcia i akceptacji innych ludzi.

Wiedziała, że dla samotnego człowieka nawet sukces ma gorzki smak.

Pokażę to Cassandrze. Chcę, żeby drżała z radości, widząc narodziny czegoś nowego. Musi zrozumieć, jak bardzo jej potrzebuję.

Nie mogła jednak wysłać paczki do Paryża, nawet pod opieką kuriera „Globalu”. Ten materiał był zbyt ważny.

Może po powrocie z Hongkongu, kiedy dopracuję wszystkie szczegóły, a Cassandra mnie odwiedzi...

Rose miała jednak ochotę dać natychmiast Cassandrze te dokumenty, choćby nawet w symboliczny sposób. Istniało pewne rozwiązanie. Wracając do domu, Rose wstąpiła na chwilę do Carlton Towers. Porozmawiała z Abilene, a potem weszła do gabinetu Cassandry i otworzyła sejf, który zainstalował Nicholas. Kiedy włożyła teczkę do środka, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Dokumenty będą tu bezpieczne.

Rose jechała przez Stany Zjednoczone w prywatnym wagonie, dołączonym do pociągu. W San Francisco powitał ją prezes spółki „Pan-American” i odprowadził do samolotu, lecącego najpierw do Honolulu, a potem przez Pacyfik.

Rose zamarła, kiedy usłyszała o międzylądowaniu w stolicy Hawajów.

— Czy postój będzie długi?

— Nie, proszę pani. Pilot tylko zatankuje paliwo i weźmie zaopatrzenie. Czy wolałaby pani spędzić więcej czasu na Hawajach?

Rose uśmiechnęła się słabo.

— Nie, dziękuję. Nie zależy mi na tym.

Tak jak większość ludzi, Rose Jefferson nie zdawała sobie sprawy, jak ogromny jest Pacyfik. Błękitny przestwór, upstrzony zielonymi wysepkami otoczonymi białą rafą koralową, był dziki i tajemniczy, oszałamiający i kuszący.

Samolot zatrzymał się na Tahiti i w królestwie Tonga, a potem skręcił na północ, ku Wyspom Solomona i Guam. Podróż podzielała Rose na wyobraźnię. Miała przed sobą tysiące mil kwadratowych czystego piękna, które pewnego dnia przyciągnie miliony turystów. Gdziekolwiek udadzą się podróżni, będą mogli korzystać z usług „Globalu”.

Rose, która do tej pory cieszyła się lotem, nagle nie mogła się doczekać, aż znajdzie się w Hongkongu. Doszła do wniosku, że powinna również odwiedzić inne kraje Dalekiego Wschodu

— Tajlandię, francuski Wietnam, Malaje i Indonezję. Miała wrażenie, że przywiezie do domu z tej podróży o wiele więcej, niż się spodziewała.

Samolot wylądował punktualnie na wyspie Guam. Wataru Fukushima powitał Amerykankę z całym szacunkiem, do jakiego go zobowiązano. Osobiście odprowadził Rose do samolotu należącego do banku i upewnił się, że jest jej wygodnie. Troskliwi stewardzi w mundurach zrobili na Rose duże wrażenie. Nie wiedziała, że wybierał ich osobiście sam Wataru Fukushima.

Nad Pacyfikiem zapadał zmierzch, kiedy samolot znalazł się na pasie startowym.

— Kiedy dolecimy do Hongkongu, panie Fukushima? — spytała Rose.

— Za kilka godzin, pani Jefferson.

— W takim razie zdrzemnę się, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Fukushima zajął się pasażerką, upewnił się, że zasnęła, a potem udał się na

medytację do kabiny. Kiedy do Hongkongu została tylko godzina lotu, napił się sake ze swoimi ludźmi i poczęstował pilotów ryżowym winem. W oddali pojawiły się niewyraźne kontury miasta. Samolot obniżył lot i widać było już górę wyrastającą / . morza. Wataru Fukushima wrócił na swoje miejsce i zaczął się modlić.

Chwilę później, kiedy samolot kołował nad lotniskiem, silniki przestały pracować. Zaniepokojeni kontrolerzy obserwowali wirujące śmigła. Przez radio nadawano komunikaty i ostrzeżenia.

Samolot zatoczył łuk, jak gdyby pilot usiłował poderwać maszynę. Potem runął na ziemię niczym spętany ptak i roztrzaskał się na pasie startowym. Wybuch słychać było w całej Królewskiej Kolonii.

58.

Pierwsze wiadomości o katastrofie w Hongkongu przyszły ósmego października o trzeciej rano czasu paryskiego. Informację przekazano do ministerstwa transportu, a urzędnik, który dostrzegł na Uście ofiar nazwisko Rose Jefferson, natychmiast zaalarmował policję. Dyżurny oficer poczekał na kopię teleksu z Hongkongu, a potem wysłał dwóch ludzi do rezydencji Cassandry McQueen na He St.-Louis.

— Co się dzieje? — spytała Cassandra sennym głosem, kiedy Nicholas wstał z łóżka, żeby otworzyć drzwi.

— Zaraz wrócę — obiecał.

Nicholas spojrział na posępną twarz policjanta i od razu wiedział, że coś się stało. Kiedy przeczytał teleks, zrobiło mu się czarno przed oczami. Nie Rose! To niemożliwe. Rose jest przecież niezniszczalna! Nicholas zadzwonił do komisariatu i poprosił sierżanta, żeby pozwolił zostać obu policjantom.

— Kiedy prasa dowie się o katastrofie, złączą się tu dziennikarze.

Oficer dyżurny zgodził się. Policjanci zajęli stanowiska przy drzwiach, a Nicholas zadzwonił do francuskiej spółki lotniczej. Za godzinę będzie na nich czekał samolot do Londynu. Później polecą do Nowego Jorku przez Gander na Nowej Fundlandii.

— Nicholas, co się stało?

Cassandra stała boso w szlafroku, przecierając oczy. Nicholas wziął ją za rękę i mocno uściśnął.

— Doszło do wypadku. Rose... możliwe, że ona...

Następne siedemdziesiąt dwie godziny minęły jak w koszmarnej śnie, choć Cassandra prawie nie zmrużyła oka w czasie podróży przez Adantyk. Dopiero kiedy poczuła się wyczerpana, usnęła na ramieniu Nicholasa.

Dramat zaczął się na lotnisku Idlewild. We wszystkich wejściach tłoczyli się

dziennikarze. Na szczęście Jimmy Pearce pomógł Nicholasowi przeprowadzić Cassandrę przez tłum. Dziewczyna szła ze spuszczoną głową, nie zwracając uwagi na pytania i zasłaniając oczy przed fleszami.

W mieszkaniu w Carlton Towers panowała ciężka atmosfera, spowodowana tragedią. Czekali tam Hugh O'Neill, Eric Gollant i inni pracownicy „Globalu”. Kiedy Cassandra zniknęła w łazience, adwokat wręczył Nicholasowi teleks.

— Właśnie przyszła depesza od brytyjskiej policji z Hongkongu. Zidentyfikowali Rose. Zabrało to tyle czasu, bo ciała były zwęglone.

— Cassandra nie musi o tym wiedzieć — rzekł krótko Nicholas. Dziewczyna jednak była uparta.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje — rzekła, wróciwszy z łazienki.

Erie Gollant przemówił pierwszy. Wiadomość o śmierci Rose Jefferson poraziła społeczność finansistów. Składano kondolencje i spekulowano, kto zostanie spadkobiercą. Nikt jednak nie podjął żadnych wrogich kroków przeciwko „Globalowi”. Nikt nie odważył się wyciągnąć wniosku, że „Global” otrzymał śmiertelną ranę.

— Z prawnego punktu widzenia zarząd jest upoważniony do zajmowania się zwykłymi operacjami — dodał Hugh O'Neill. — Zrobiliśmy, co trzeba. Musieliśmy jednak odłożyć wszystkie poważniejsze negocjacje. Najpierw powinniśmy się zapoznać z testamentem Rose. Kiedy przyszła kolej na Nicholasa, oświadczył ku ogólnemu zdziwieniu, że następnego dnia uda się do Hongkongu.

— Po co? — spytała Cassandra. — Ciągłe powtarzałeś, że policja w Hongkongu robi wszystko, co w jej mocy, żeby ustalić przyczynę katastrofy.

— Jestem szefem bezpieczeństwa „Globalu”. Muszę tam pojechać. Wszyscy zauważyli jego cierpienie.

— To nie twoja wina — powiedziała Cassandra, wyciągając do niego rękę. - Głupia maszyna się zepsuła. Coś się przepaliło. Nicholasie, nie powinieneś się obwiniać!

— Sam muszę się o tym przekonać.

— Pozwól mi przynajmniej jechać z tobą — prosiła Cassandra.

— To nie najlepszy pomysł—oświadczył Hugh O'Neill.—Wkrótce przejmiesz przedsiębiorstwo. Powinnaś tu zostać. W oczach opinii publicznej jesteś teraz „Globalem”. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale trzeba dbać o pozory.

Cassandra chciała zaoponować. Miała w oczach łzy, kiedy widziała, że Nicholas i lerpi. Pragnęła być przy nim.

— Ile czasu potrwa twoja nieobecność? — spytała w końcu.

— Dziesięć dni, najwyżej dwa tygodnie. Cassandra zamknęła oczy.

— Potrzebuję cię tutaj, Nicholasie.

Kiedy nic nie odpowiedział, zorientowała się, że podjął już decyzję. Po spotkaniu Nicholas odciągnął na bok Hugh'a O'Neilla.

— Chcę przejrzeć wszystkie dokumenty Rose dotyczące banku Ho-Ping — powiedział. — Interesuje mnie każdy świstek, nawet rękopisy. Daj mi również swoje notatki, wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

— Nick, nie myślisz chyba, że katastrofa nie była przypadkiem?

— Nie wiem, co myśleć! Był to jednak ostatni projekt Rose. Od niego więc zacznę! Zaraz po przybyciu do Hongkongu Nicholas spotkał się z szefem wydziału do spraw kryminalnych i pojechał do hangaru, w którym przechowywano szczątki samolotu, by je poddać ekspertyzie.

— Co macie, inspektorze?

Urzędnik, ubrany w szorty khaki, wełniane skarpetki i ciężkie buty z kangurzej skóry, wskazał wrak.

— Moi chłopcy przeczesali wszystko — powiedział. — Znaleźliśmy parę rzeczy, które mogą pana zainteresować.

Inspektor postukał w poczerniały, pogięty kawałek aluminium.

— Ten fragment znajdował się na prawym skrzydle, koło obwodów hydraulicznych. Proszę zauważyć, jaki jest nadpalony.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że bezpośrednio przed katastrofą pilot mógł wypuścić gaz.

— Po co?

Niebieskie oczy inspektora usiłowały przewiercić Nicholasa na wylot.

— Mieliliśmy nadzieję, że pan nam to powie.

Inspektor pokazał inne części wraku, które budziły podejrzenia. Nicholas poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

— Co wiecie o samolocie? Inspektor otworzył grubą księgę.

— Samolot był w doskonałym stanie. Departament lotnictwa cywilnego poinformował nas, że maszyna spędziła w powietrzu niecałe dwa tysiące godzin. Przed lotem skontrolowano jej stan techniczny. Inspekcja została przeprowadzona przez naszych ludzi, to znaczy przez Brytyjczyków, a nie przez lokalne władze.

— Co z załogą?

— Ich dokumenty były w porządku. Pilot przeleciał trzy tysiące godzin. Drugi pilot prawie tyle samo. Stewardzi służyli w innych liniach lotniczych. Nikt nie miał za sobą kryminalnej przeszłości.

Nicholas przeglądał dokumenty.

— Wszyscy byli Japończykami?

— Tak, zwróciliśmy na to uwagę — wymruczał inspektor. — Udaliśmy się do banku Ho-Ping. Starali się nam pomóc, co nas nie zdziwiło, skoro ich dyrektor był na pokładzie. Żadne prawo nie zabrania jednak bankowi z Hongkongu zatrudniania japońskich pilotów i stewardów. Prawdę mówiąc, niewielu ich tu zostało po wojnie. Fukushima postanowił zatrudnić rodaków. To zrozumiałe.

— Wszystko wydaje się zrozumiałe — powiedział Nicholas — z wyjątkiem drobnych anomalii, o których pan wspominał. Co właściwie chce mi pan dać do zrozumienia, inspektorze?

— Widzi pan, panie Lockwood, te anomalie nie stanowią jeszcze dowodu nieczystej gry.

— Ale?

— Ale świadczą o tym, że pilot mógł celowo uszkodzić samolot. Nicholas patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Dlaczego?

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Pan pewnie również nie. Chciałbym jednak pana o coś zapytać. Chłopcy z waszej marynarki na Pacyfiku mają za sobą ponure doświadczenia z japońskimi pilotami-samobójcami. Kamikadze kierowali samoloty prosto na wasze okręty.

Pragnęli wypełnić świętą misję. Czyżby ten pilot realizował tak ważny cel, że poświęcił nie tylko siebie, ale załogę i swego pracodawcę?

— Nie jest wykluczone, że rozkazano mu zniszczyć samolot — rzekł cicho Nicholas.

W następnym tygodniu Nicholas Lockwood badał interesy prowadzone przez bank Ho-Ping. Minister finansów kolonii wydał nakaz udostępniający Nicholasowi księgi banku. Rewidenci analizowali liczby, a Lockwood sprawdzał dokładnie pracowników. Zbadał przeszłość Wataru Fukushima, nie mógł jednak odgadnąć, dlaczego ten skromny mężczyzna, który otworzył bank dzięki posiadanemu sklepowi / artykułami żelaznymi, miałby pragnąć śmierci Rose Jefferson. Za Ho-Ping kryli się jednak inni ludzie, którzy rozgniewali Nicholasa. Z Zurychu przybyli szwajcarscy właściciele „Pyramid Holdings”. Złożyli kondolencje i z typową szwajcarską fachowością uporządkowali bałagan, pozostawiony przez Fukushimę. Nie mogli jednak, albo nie chcieli, opowiedzieć Nicholasowi o „Pyramid”.

— Jeśli nie złożą pan skargi przeciwko korporacji w szwajcarskim sądzie - powiedzieli — to musi pan pogodzić się z faktem, że był to po prostu tragiczny wypadek.

Żaden argument nie przekonał niewzruszonych Szwajcarów. Frustracja stała się nie do zniesienia. Serce i sumienie podpowiadały Nicholasowi, że Rose Jefferson została zamordowana. Tylko jedna osoba mogła skorzystać na jej śmierci: Steven Talbot.

To jednak nie ma sensu — myślał Lockwood. — Dawno temu Rose wyrzuciła Slevena z „Globalu”... To wszystko nie ma sensu!

Lockwood wiedział jednak, że myśli człowieka ogarniętego żądzą zemsty wędrują różnymi dziwnymi torami.

Tak jak obiecał, Nicholas zabrał ze sobą ciało Rose. Przywiózł również wiadomości, na które czekała Cassandra i wszyscy pracownicy „Globalu”.

To był wypadek — powiedział Cassandrze, Hughowi O'Neillowi i ludziom / gromadzonym w biurze O'Neill na Lower Broadway. — Policja w Hongkongu

i władze lotnictwa cywilnego sądzą, że musiał istnieć jakiś defekt w systemie hydraulicznym. W sali zapadła cisza. Wszystkie spojrzenia skierowały się na Cassandrę.

— Co teraz? — zapytała.

— Dysponujemy kopią oficjalnego raportu — powiedział O'Neill. — Mamy potwierdzenie od Nicholasasa. Zajęliśmy się przygotowaniem do pogrzebu. Cassandra, jeśli mogłabyś zostać, to odczytamy teraz testament Rose.

Adwokat dodał:

— Nicholasie, ty również zostań.

Kiedy inni wyszli, O'Neill podszedł do ściennego sejfu. Cassandrze sprawiała przykrość myśl, że miałaby zyskać na czyjejś śmierci. Spadek po Rose przyniesie ze sobą jednak pewne obowiązki, które będzie musiała zaakceptować.

Hugh O'Neill przyniósł plik dokumentów, przewiązanych czerwoną wstążką. Dotknął starych, pomarszczonych stron.

— Znając Rose, wszystko będzie na samym końcu — powiedział, poprawiając okulary. —

Upewnijmy się jednak...

Ostrożnie przeczynał strony i kiwał głową z miną człowieka, który wie dokładnie, czego się spodziewać.

— Materiały korporacyjne, zapisy na dobroczynność, pieniądze dla muzeów i fundacji, wszystko w pełnym porządku.

Nagle uderzył pięścią w stół.

— To niemożliwe! — wyszeptał. — Nie o to jej przecież chodziło. Te... te kartki są poplamione atramentem. Ona chciała to zmienić!

Steven Talbot siedział przy basenie o fantazyjnym kształcie, otoczonym kwiatami i palmami. Na końcu basenu woda spływała w dół po zastygłej lawie. Na stoliku leżało dwadzieścia czasopism z całego świata. Od śmierci Rose Jefferson upłynęły trzy tygodnie, ale jej nazwisko wciąż pojawiało się w nagłówkach gazet. Steven wziął nożyczki i starannie wyciął następny artykuł. Zapisał datę i włożył wycinek do teczki.

— Wkrótce przyjadą.

Yukiko stała za nim. Już od dłuższego czasu obserwowała, jak pogłębia się obsesja Stevena. Kiedy matka żyła, Steven prawie nigdy o niej nie mówił. Teraz, po śmierci, cały czas o niej myślał.

— Musisz mi wybaczyć te drobne dziwactwa—powiedział Steven, koncentrując się na pracy.

Tylko o to mu chodziło: chciał się jej pozbyć.

Steven nigdy nie wspominał o ludziach, którzy oddali życie, aby Rose Jefferson mogła umrzeć.

Byli dla niego tylko środkiem do osiągnięcia celu. Yukiko знаła jednak ich wszystkich. Długo im wyjaśniała, co i dlaczego trzeba zrobić. Wiedziała, że będą ich oplakiwać wdowy, sieroty i pogrążone w smutku matki.

Ci mężczyźni wypełnili swój obowiązek i złożyli ostatni hołd pamięci Hisahiko

Kamaguchiego. Zginęli z honorem. Teraz przyszła kolej na Stevena. Tajemnica jego przeszłości była bezpieczna. Firma „Global Enterprises” znalazła się w rękach młodej, niedoświadczonej kobiety, z którą Steven łatwo się upora. Japończycy przybyli na Hawaje. Steven musi oddać im to, co do nich należy. Każdy dolar powinien wrócić do Japonii, gdzie powstaną nowe *zaibatsu*, nowa przeszłość. Steven wstał, słysząc dźwięk dzwonka. Położył rękę na policzku Yukiko.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział. — Uwierz mi.

Yukiko zadrżała. Na pewno wydarzyło się coś złego, bo nigdy przedtem Steven jej nie dotknął. Pamiętał ich twarze z okupacyjnych dokumentów. Każdego z tych ludzi podejrzewano o zbrodnie wojenne. Gdyby detektywi wykonali należycie swoje zadanie, ci mężczyźni zostaliby powieszani. Steven dopilnował jednak, żeby zamiast nich stracono Hisahiko Kamaguchiego.

Pięciu Japończyków w szarych garniturach, białych koszulach i ciemnych krawatach podziękowało Yukiko za gościnę. Nie mówili o interesach, dopóki nie podano herbaty.

— Panowie—powiedział Steven, wstając i podchodząc do ogromnego okna, za którym rozciągał się Pacyfik. — Jak pokazują liczby, wartość złota z „Hino Maru” wzrosła do ponad trzydziestu milionów dolarów. Posiadamy instytucje finansowe, okręty, magazyny, ziemię i kopalnie na Dalekim Wschodzie. Zgodnie z umową, przyszedł czas, żeby przekazać zyski waszym *zaibatsu*.

— Steven przerwał i Uśmiechnął się.— Nastąpiła jednak zmiana planu.

Zignorował podniecone szept. Spokojnie wręczył Yukiko i każdemu gościowi pojedynczy dokument.

— To niemożliwe — powiedziała powoli Yukiko.

— Czy to prawda, panie Talbot? — spytał jeden z Japończyków. Steven odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

— Tak! Ta suka nigdy nie zmieniła testamentu. „Global Enterprises” należy do mnie! Steven napawał się zaskoczeniem Japończyków. W przeciwieństwie do większości mieszkańców Zachodu, umiał czytać w pozornie niewzruszonych twarzach Azjatów. Byli bardzo podekscytowani. Mógłby przysiąc, że słyszy, jak mocno biją ich serca.

— Stevenie... to niewiarygodne — powiedziała Yukiko.

— To prawdziwy triumf! — wykrzyknął jeden z Japończyków. — Nie potrzebujemy już trzydziestu lat, lecz połowy tego czasu, a może jeszcze mniej.

Yukiko czuła, jak porywa ją fala entuzjazmu. Nawet ojciec nie spodziewał się takiego zwycięstwa. Wszystkie poświęcenia były warte tej ceny. Nie zawiodła ludzi, którzy jej zaufali.

— Stevenie, możemy teraz wykorzystać fundusze „Globalu”, żeby powiększyć „Pyramid” — powiedziała. — Mamy kontrakty „Globalu”, jego potęgę finansową, prestiż — wszystko!

Steven patrzył na nią poważnie.

— Możemy również zrobić coś innego.

Widział, że Yukiko przestaje się uśmiechać, a Japończycy spoglądają na niego podejrzliwie.

— Co masz na myśli?

— „Global” przejmie „Pyramid”. Jeśli o was chodzi, jesteście teraz równie goli, jak w dniu narodzin.

Nigdy przedtem Steven nie czuł się tak wspaniale, jak w chwili, w której wypowiedział te słowa.

Yukiko patrzyła na niego i przypomniała sobie, jak z uporem maniaka wycinał artykuły z gazet.

Od jak dawna wiedział o testamencie? Czyżby jego obsesja była udawana? Czy byłam aż tak ślepa?

Pytania nie dawały Yukiko spokoju, aż zrobiło jej się niedobrze.

— Stevenie, nie możesz tego zrobić.

— Naprawdę? Kto mnie powstrzyma? Byłem wam potrzebny, bo nie mogliście sobie pozwolić na podpisywanie czeków i rachunków. Zadawano by wam wówczas kłopotliwe pytania. To ja stworzyłem „Pyramid”. Spółka powstała jedynie dzięki mojej pomysłowości. Oczywiście, na dokumentach w Zurychu figuruje tylko mój podpis.

Zauważył, że osłupienie słuchaczy ustępuje miejsca wściekłości.

— Jeśli sądzą, że możecie mnie powstrzymać, to przypomnę wam, że wiem dokładnie, jak zamordowaliście moją matkę. To oczywiście tylko poszlaki, ale wystarczą do wszczęcia dochodzenia. Myślę, że rząd Stanów Zjednoczonych zgodzi się współpracować z „Global Enterprises”, żeby ustalić, co spowodowało śmierć jednej z najwybitniejszych amerykańskich obywaterek.

Steven wiedział, że ma ich w ręku. Jako oficer wojsk okupacyjnych widział na wielu twarzach wyraz rezygnacji i klęski.

Właściciele *zaibatsu* udali się do willi wynajętej przez Yukiko.

— Czy możesz to wyjaśnić? — zapytał jeden z nich. — Czy Amerykanin mówi poważnie?

Yukiko wciąż nie mogła w to uwierzyć. Jeśli Steven dotrzyma słowa, to nie ma takiego grobu, w którym zmieściłaby się jej hańba.

— Mówi poważnie. Nie popełnijcie błędu. Nie umiem niczego wyjaśnić. Ucieszył się, kiedy usłyszał o śmierci matki, ale tego należało się spodziewać. Właśnie o to mu chodziło. Wszyscy tego chcieliśmy.

— Co z telefonami, telegramami, posłańcami? — spytał inny mężczyzna. — Ktoś musiał się z nim skontaktować.

— Przysięgam, że nie opuścił wyspy — odrzekła Yukiko. — Jeździł do Honolulu, ale nie częściej niż dawniej. Nie było kurierów, telegramów, żadnych szczególnych telefonów. Niewykłuczone, a nawet bardzo możliwe, że „Global” skorzystał z usług kancelarii adwokackiej w Honolulu, żeby po cichu się z nim skontaktować. Uwierzcie mi, nikt się tego nie spodziewał, a najmniej on sam.

— Zaufaliśmy ci—odrzekł kwaśno jeden z Japończyków. — Nie spodziewaliśmy się, że do tego dojdzie. Ty jednak powinnaś to przewidzieć.

Yukiko zraniło to oskarżenie, nie próbowała się jednak bronić. Zawiodła zaufanie tych ludzi, tak samo jak Steven. Musi za to zapłacić.

— Wszyscy wiedzieliśmy, że Stevena wyrzucono z „Globalu” — powiedziała.

— Mieliśmy niewątpliwe dowody. Właśnie dlatego uznaliśmy go za idealne narzędzie. To Rose Jefferson nas oszukała przez swoją słabość lub niedopatrznie.

— Nie — odrzekł inny mężczyzna. — Złożyliśmy naszą przyszłość w ręce Stevena Talbota, a on ukradł nam wszystko. Rozumował poprawnie: nie możemy odzyskać tego, co się nam należy. W niczym mu nie zagrażamy.

Yukiko ogarnął gniew.

— Musi istnieć jakieś rozwiązanie!

— Nie ma żadnego. Nie pozwolimy, żebyś dłużej narażała nas na ryzyko. Jest czas na atak i czas na wycofanie się. To chyba oczywiste, co powinniśmy zrobić.

— Zaczynamy więc od początku — rzekła z goryczą Yukiko. — Z prochu i popiołów.

— Z jedną różnicą — dodał Japończyk. — Nie jesteś już członkiem naszego stowarzyszenia.

Yukiko odwróciła się do niego.

— Nie odważycie się mnie pominąć. Mój ojciec...

— Wszyscy szanujemy pamięć Hisahiko Kamaguchiego. To nie my, lecz ty ją zbezczeszczyłaś.

Teraz musisz odpokutować.

— Zapominacie, że resztki zakładów „Kamaguchi” wciąż należą do mnie

— odpowiedziała ostro Yukiko.

— Nie. Amerykanie nie pozwolą, żeby córka człowieka, którego powiesili za zbrodnie wojenne, miała jakiegokolwiek udziału w przyszłym *zaibatsu*. Pomożemy Amerykanom zlikwidować zakłady „Kamaguchi”. Po pewnym czasie to, co z nich zostanie, wpadnie w nasze ręce. W ten sposób uczymy pamięć twojego ojca.

— A co ze mną? — wyszeptała Yukiko. Twarz Japończyka była bez wyrazu.

— Nie mamy ci nic do zaoferowania. Nie ma dla ciebie miejsca wśród nas. Nie możesz wrócić do Amerykanina. Nie możesz wrócić do Japonii. Nie wiemy, gdzie odnajdziesz spokój. Za karę będziesz musiała kroczyć po tej niepewnej drodze.

Jadąc w ciemności do Cobbler's Point, Yukiko przypominała sobie, jak dawno Icemu w świątyni wycelowała pistolet w Stevena Talbota, aby obronić Hisahiko Kiimaguchiego, *Powinłam wówczas nacisnąć spust. Wystarczyłaby jedna sekunda i nigdy nie doszłoby do tego wszystkiego.*

Tak jak zawsze, rezydencja była jasno oświetlona, kiedy jednak Yukiko weszła do śrwłka, od razu wyczuła, że w domu nie ma nikogo. Zauważyła służącego i zapytała, gdzie może znaleźć pana.

— W ogrodzie—odpowiedział służący, najwyraźniej przestraszony i oszołomiony. — Już zabrałem bagaże na lotnisko.

Yukiko przeszła przez tylny dziedziniec i zobaczyła Stevena stojącego nad oceanem.

— Będzie mi brakowało zapachu morza w nocy. — Steven Talbot odwrócił się do niej. — Czy naprawdę sądziłaś, że wyjadę bez pożegnania?

— Mógłbyś być ostrożniejszy. A jeśli przyjechałam cię zabić?

— Nic byś na tym nie zyskała. Ty zaś nie kiwniesz palcem, jeśli nie spodziewasz się zysków.

— Dlaczego, Stevenie?

W świecie księżycy jego okaleczona twarz wyglądała jak biała maska.

— Pozwól, że odpowiem ci pytaniem: Gdybym znalazł się na twojej łasce, czy nie wykorzystałabyś takiej szansy?

Yukiko wiedziała, że jej wahanie powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć.

— Naturalnie, że tak — rzekł Steven. — Jesteśmy do siebie podobni. W końcu jedno z nas zniszczyłoby drugie. Ja pierwszy wykorzystałem okazję.

— Nie wiesz nawet, co mi zrobiłeś — odparła Yukiko.

— Oczywiście, że wiem. Miałem powody. Nie boję się ludzi z *zaibatsu*. Długo jeszcze nie będą mogli się pozbierać. Ty jednak to inna sprawa. Musiałem się zabezpieczyć przed twoją zemstą. Posłużyłem się więc nimi i osiągnąłem cel: sprawili, że stałaś się wyrzutkiem. Przeżyjesz, Yukiko, ale nie będziesz w stanie mi zagrozić.

Steven otworzył rzeźbioną skrzynię. Na mahoniowych podstawkach spoczywały dwa rytualne miecze do seppuku.

— Twój ojciec podarował mi je tuż przed śmiercią—rzekł Steven. — Pamiętam, jak mówił, że jeśli zrobi się to zręcznie, ból jest krótki. Zapomniałem go zapytać, czy kobiety mogą posłużyć się tymi mieczami, aby odzyskać honor.

Bez słowa Steven przeszedł koło Yukiko, tak jak gdyby jej nie było.

59.

Jeszcze zanim Nicholas przywiózł do domu ciało Rose, Hugh O'Neill gorączkowo poszukiwał drugiego testamentu albo przynajmniej kodycyłu. Przejrzał wszystkie dokumenty w Talbot House i w Dunesragu. Wypytywał służbę w obu domach, ale nawet starzy służący, jak Albany, nie umieli mu pomóc.

— Wystarczy, Hugh — powiedziała Cassandra, kiedy pod koniec tygodnia adwokat spotkał się z nią na Lower Broadway.

— Cassandro, czy zdajesz sobie sprawę, czym to się może skończyć?

— Och, tak, Hugh. Doskonale rozumiem sytuację.

Cassandra rozejrzała się. Biurko Rose wyglądało dokładnie tak, jak w dniu, w którym wyruszyła na wschód. Krzesło, odziedziczone po dziadku, wydawało się czekać na właścicielkę.

Tylko objęcia i pocałunki Nicholas'a łagodziły smutek Cassandry. Przytulała się do niego w czasie zimnych nocy. Dopiero kiedy miną! szok, mogła znowu spojrzeć w przyszłość.

— Niewykluczone, że Rose nigdy nie chciała, abym po mej dziedziczyła - rzekła Cassandra.

— Nonsens! — powiedział z naciskiem O'Neill.

— A Steven?

O'Neill zaczerpnął głębokiego oddechu.

— Skontaktowałem się z jego adwokatem w Honolulu, tak jak wymaga prawo, nic otrzymałem jednak odpowiedzi.

— Czy adwokat wie, gdzie jest Steven?

— Nie wie albo nie chce powiedzieć.

Cassandra wstała i wyjrzała przez okno na Lower Broadway.

— Chcę ją pochować, Hugh. Nie należy odkładać pogrzebu. Rose na to nie /usłużyła. —

Odwróciła się do prawnika. — Wiem, że to Steven powinien się tym zająć. Jeśli jednak on nie może albo nie chce pochować matki, zrobię to za niego.

Uroczystość odbyła się w małym kościele episkopalnym w wiosce Prestwick koło Dunescragu. Spokój mieszkańców zakłócił przyjazd setek dygnitarzy z całego kraju. Przyszli wszyscy baronowie z Wall Street, a także członkowie rządu, którzy wychwalali służbę publiczną Rose. Po mszy Cassandra szła za karawanem do Dunescragu, gdzie pochowano Rose Jefferson pomiędzy dziadkiem a bratem. Zanim spuszczone trumnę, Cassandra położyła na niej jedną białą lilię.

— Żegnaj, Rose.

Cassandra szła w kierunku samochodów, mając u boku Nicholas i Hugh O'Neill. Wzdłuż drogi, za szpalerem policjantów, stali reporterzy i kamerzyści, wykrzykując pytania i robiąc zdjęcia żałobnikom. Pytali głównie o Stevena Talbota. Dlaczego nie przyszedł na pogrzeb? Czy ktoś wie, co się z nim dzieje? Czy został spadkobiercą Rose Jefferson? Na razie Hugh O'Neill trzymał w sekrecie warunki testamentu, ludzie zaczęli się jednak zastanawiać, kto teraz stanie na czele imperium Rose: Steven Talbot czy Cassandra McQueen.

Kiedy Cassandra i Hugh wsiadali do samochodu, zaczepił ich dobrze ubrany młody mężczyzna.

— Jestem Joseph Thompson z firmy „Stewart i Delamont” — powiedział.

— Zatrudnił nas pan Talbot. Cassandra zbladła.

— Gdzie on jest?

Adwokat uśmiechnął się do mej, ale zwrócił się do Hugh O'Neill.

— Pan Talbot chciałby się z panem zobaczyć.

— Nie odpowiedział pan na pytanie panny McQueen — odrzekł sucho O'Neill.

— Gdzie jest Steven?

— Tam, gdzie powinien. W biurze „Globalu”.

Steven Talbot siedział za biurkiem matki i z rozkoszą rozglądał się wokół siebie. Przez całe życie marzył o dniu, w którym to biuro stanie się jego własnością. Nie musi już dłużej czekać.

Roześmiał się cicho, przypominając sobie przerażone twarze pracowników, kiedy rankiem zjawił się w biurze. Specjalnie czekał aż do dnia pogrzebu. Urzędnicy zajmujący najwyższe stanowiska w firmie przebywali teraz w Dunescragu, Steven mógł więc bez przeszkód spacerować po budynku spółki i napawać się swoją własnością. Później wysłał adwokata po Hugh O'Neill i wydał instrukcje, by mu nie przeszkadzano.

— Przyszedł pan O'Neill, sir.

Sekretarka mówiła przez interkom, a mimo to Steven usłyszał drzenie w jej głosie.

— Niech wejdzie.

Kiedy wszedł O'Neill, Steven ujrzał przed sobą zmęczonego, zniechęconego człowieka.

— Cześć, Hugh.

— Steven. Szkoda, że nie przyszedłeś na pogrzeb. Czy adwokaci cię nie powiadomili?

— Zrobili to – odrzekł chłodno Steven. – Chciałbym zobaczyć kopie testamentu.

O'Neill posłał Stevenowi gniewne spojrzenie, wściekłość ustąpiła jednak szybko miejsca poczuciu klęski. Steven uważnie przeczytał testament. Wyobrażał sobie jak przygnębiony musiał być O'Neill, kiedy odczytywał dokument Cassandrze

— Chce jak najszybciej zwołać posiedzenie rady nadzorczej. Powiedzmy, pojutrze.

— Steveme, jest wieś spraw, o których mcmewiesz. Naprzykład czeldpoaróżne

— Wiem wszystko o pracy Cassandry — powiedział bez ogródek Steven — Pozwól, że pokażę ci, co zamierzam zrobić.

Poprosił sekretarkę, żeby przysłała kogoś ze służby bezpieczeństwa. Kiedy przyszedł funkcjonariusz, powiedział:

— Spakujcie wszystkie osobiste rzeczy panny McQueen i zmieńcie zamek w drzwiach jej biura. Natychmiast!

Ochroniarz zawahał się i zerknął na Hugh'a O'Neilla.

— To ja, a nie on, wydaję panu rozkazy! — warknął Steven. — Praca ma być wykonana za pół godziny, inaczej pan również wyleci.

Ochroniarz wyszedł.

Steven otworzył operacyjną księgę Rose, przegląd wszystkich bieżących i przyszłych projektów spółki. Uniósł głowę i powiedział:

— To wszystko, Hugh.

Godzinę później zadzwonił do Cassandry. Wiedziała już od Hugh'a O'Neilla że Steven wyrzucił ją z biura, a nawet pozbawił prawa wstępu do budynków „Globalu” Rozwścieczona chciała natychmiast zobaczyć się ze Stevenem, O'Neill doradzał jednak ostrożność.

— Poczekaj, dopóki się nie dowiesz, o co mu chodzi.

Cassandra była przekonana, że zna zamiary Stevena. Na sam dźwięk jego głosu dostawała gęsiej skórki.

Przyjechała do „Globalu” punktualnie o pierwszej. Natychmiast zauważyła, że urzędnicy jej unikają. Bez pukania weszła do biura Rose.

Steven podniósł głowę i patrzył, jak Cassandra przygląda się jego oszpeconej twarzy.

— Podziwiasz swoje dzieło? — zapytał. Cassandra ani drgnęła.

— Próbowałeś mnie zabić. Zamordowałeś moją matkę i chciałeś, żebym ja również umarła.

— Gdyby nie Harry, już byś nie żyła. A zresztą wszystko jedno. Jesteś ukończona, Cassandra. Od tego momentu nie masz już nic wspólnego z „Globalem”.

— Mam czekać podróźnie— odrzekła Cassandra.— Postawiłam już na nogi biuro w Paryżu. Wkrótce uruchomię pozostałe europejskie placówki.

— Czyżby? Upoważnia cię do tego jakiś kontrakt?

— Nie, ale...

— Właśnie. Co będziesz rozprawdzać, jeśli nie masz nawet czeków? Co chcesz przez to powiedzieć?

Steven uśmiechnął się.

— Dziś rano zadzwoniłem do Biura Grawersko-Drukarskiego i odwołałem twoje zamówienie.

— Nie miałeś prawa!

— Co ty powiesz?! Czeki są własnością „Globalu”. Po śmierci Rose „Global” to ja.

— Moja matka zawarła z Rose umowę. Czeki podróżne należały do niej, a teraz do mnie.

— Pozwól, że odświeżę twoją pamięć—powiedział niedbale Steven, przerzucając poźółkłe strony.

— Jest tu napisane, że Rose nie zamierza walczyć o czeki, gdyż zawiera z Michelle umowę. Rose stwierdza jednak wyraźnie, że podjęła tę decyzję, gdyż Michelle nosi dziecko Franklina. Oboje wiemy, że matka się myliła. Michelle oszukała Rose. Umowa jest nieważna, Cassandra.

Dziewczyna wyrwała mu dokumenty.

— To nic nie znaczy — odpowiedziała z gniewem. — Czek podróżny zawdzięcza swój sukces mojej matce. Rose o tym wiedziała. Przejęła firmę tylko na pewien czas, dopóki ja nie nabiorę doświadczenia.

— Tak ci się tylko wydaje—odrzekł Steven.—Nie sądzę, żeby sędzia się z tobą zgodził.

— Nie groź, że wniesiesz sprawę do sądu, Stevenie — ostrzegła Cassandra.

— Wiem wszystko o twoich kontaktach z Kurtem Essenheimerem i nazistami. Mam nazwiska, daty, miejsca, wszystko!

Steven roześmiał się.

— Nic ci to nie da. Czy naprawdę myślisz, że ktoś ci uwierzy?

— Postaram się, żeby uwierzyli! Porozmawiam z Hughiem O'Neillem...

— Zapominasz o czymś, Cassandra — przerwał łagodnie Steven. — Hugh O'Neill pracuje teraz dla mnie,

Salon w domu Hugh'a O'Neilla pasował do obecnej pory roku. Przy kominku stała choinka, na której migotały lampki, błyszczały kolorowe bombki i ozdoby. Jednakże ani drzewko, ani urok świąt nie poprawiły nastroju zgromadzonych.

— Wciąż twierdzę, że Cassandra powinna zakwestionować testament Rose

— upierał się Nicholas Lockwood. — To oczywiste, że Rose po wojnie wyrzuciła Stevena z „Globalu”. Nigdy nie chciała, żeby odziedziczył firmę!

— Intencje są nieważne — odrzekł Hugh O'Neill zmęczonym głosem.

— Sąd zwróci uwagę na to, co jest zapisane w testamencie. Nikt zresztą nie wie, co zaszło pomiędzy Rose a Stevenem. Krąży wiele plotek, ale nikt nie zna prawdy.

O'Neill dołał sobie whisky.

— Do diabła, nam samym zależało na ukryciu prawdy! Po wojnie Rose zainwestowała w odbudowę Europy. Co by ludzie pomyśleli, gdyby dowiedzieli się, że Steven współpracował z nazistami?

— Cóż za ironia losu! — mówił adwokat, patrząc w kieliszek. — Kiedy Rose

likwidowała na całym świecie operacje Stevena, niszczyła tym samym wszystkie dowody.

— Na pewno żyją jacyś ludzie, którzy brali w tym udział—protestował Nicholas.

— Co z tego? Nie oczekujesz chyba, że będą zeznawać. Zależy im na ukryciu prawdy nie mniej niż Stevenowi.

— Niech diabli wezmą Rose! Gdyby nie jej niedbałość, nie doszłoby do tego!

— Przestańcie! — Cassandra spojrzała na obu mężczyzn. — Takie kłótnie są bezcelowe.

W przeciwieństwie do Nicholasa i Hugh'a O'Neilla Cassandra rozumiała, że takiej kobiecie jak Rose, która osiągnęła sukces za cenę samotności, trudno było wydziedziczyć rodzzonego syna.

Często wyobrażała sobie Rose z piórem w ręku, jak waha się, widząc nazwisko Stevena. Na pewno pamiętała wówczas o karygodnych występkach syna, a jednak zabrakło jej sił.

Nie przebaczyła mu. Chciała, żeby ktoś inny zajął jego miejsce. Ja nie byłam jeszcze gotowa, a Rose sądziła, że ma dużo czasu, by mnie wszystkiego nauczyć...

Cassandra podeszła do Hugh'a O'Neilla i uścisnęła go za rękę. Kiedy opowiedziała mu o zamiarach Stevena, natychmiast napisał rezygnację. Razem opuścili budynek.

Zastanawiała się teraz, czy postąpiła słusznie. O'Neillowi pozostał niecały rok do emerytury.

Ostatnio nie czuł się zbyt dobrze. Cieszył się, że kiedy odejdzie na ten zasłużony odpoczynek, będzie mógł wreszcie zająć się wnukami i swoim hobby. Kiedy powiedziała o tym O'Neillowi, adwokat odrzekł:

— Nie pozwolę, żeby okradł cię taki drań jak Steven. To będzie trudna walka, ale zamierzam ci pomóc.

Cassandra zadawała sobie pytanie, czy ma prawo go o to prosić.

— Nie zamierzam się poddać — powiedziała obu mężczyznom. — Nie chcę jednak, Hugh, żebyś samotnie prowadził walkę. Zaangażuj tylu ludzi, ilu trzeba.

Adwokat uśmiechnął się słabo.

— Zatrudnię najlepszych.

^ Niepewna mina adwokata przygnębiła Nicholasa. Musiał jakoś zmobilizować O'Neilla, sprawić, że da z siebie wszystko w tej ostatniej bitwie. Istniał tylko jeden sposób. Prawda zrani Cassandrę, ale Nicholas czuł, że nie ma wyboru.

— To, co wam za chwilę powiem — rzekł powoli — powinno pozostać między nami.

Przeniósł spojrzenie z O'Neilla na Cassandrę. Obydwoje byli najwyraźniej zuintrygowani.

— Niewykluczone, że Rose została zamordowana. — Podniósł rękę. — Zanim zuczniecie zadawać pytania, wysłuchajcie mnie. Wiem, co stwierdza raport policji z Hongkongu, i wiem, że to prawda, bo wszystko sprawdziłem. Zrobiłem to jednak dlatego, że nie miałem dowodów, więc nie mogę nikogo oskarżyć. Potrzebuję czasu, żeby dokładniej zbadać sprawę.

Cassandra pierwsza otrząsnęła się z szoku.

— Podejrzewasz kogoś, Nicholasie. Nie mówiłbyś nam o tym, gdyby było inaczej.

— Sądzę, że ślady prowadzą do Stevena.

— Nie mówisz poważnie! — wykrzyknął O'Neill. — Steven przebywał na Hawajach, kiedy doszło do katastrofy.

— Gdzie był przedtem? Co go łączy z „Pyramid Holdings”? Jakie są jego powiązania z Fukushima i bankiem Ho-Ping?

— Nie odkryłeś przecież żadnych powiązań!

— Nie zdążyłem. Potrzebuję czasu.

— Czy jesteś tego pewien, Nicholasie?

— Na tyle pewien, że moim zdaniem powinnaś wnieść sprawę do sądu — powiedział Nicholas. — Wiem, że walka będzie trudna, ale mamy dużo siły i jeszcze więcej argumentów. Postaram się znaleźć dowody, które raz na zawsze zniszczą Stevena.

— Jeśli to Steven odpowiada za śmierć Rose, zrobię wszystko, aby przygwoździć tego drania! — oświadczył O'Neill, patrząc na Nicholasa rozognionym wzrokiem.

— Wciąż trudno mi w to uwierzyć — powiedziała Cassandra. — Steven miałby zaplanować śmierć własnej matki...

Potem przypomniała sobie katakumby. Owszem, mogła w to uwierzyć. Jak gdyby odgadując jej myśli, Nicholas dodał:

— Pamiętaj, czym zajmował się Steven z Essenheimerern. Pomyśl, ile szkody może wyrządzić, kierując „Globalem”.

Niestety, przepowiednia Hugh'a O'Neilla sprawdziła się. Kiedy tylko Cassandra wniosła sprawę do sądu, zaatakowała ją prasa. Dzierinikarze pytali Cassandrę, czy prowadzi osobistą wendetę przeciwko Stevenowi Talbotowi.

— Fakty mówią same za siebie — oświadczyła. — Michelle McQueen, moja matka, zbudowała przedsiębiorstwo rozprowadzające czeki podróżne w Europie. Rose Jefferson to zaakceptowała. Zgodziła się, żeby w przyszłości przejęła kontrolę nad europejskimi operacjami. Miała ważne powody, żeby nie zapisać synowi pozostałej części „Globalu”. Poznacie je, kiedy tylko przedstawimy dowody.

Pierwszego dnia procesu Hugh O'Neill oświadczył, że Steven współpracował z nazistami. Oskarżenia, zaprzeczenia i groźby następowały jedno po drugim. Steven Talbot wyniośle zaprzeczył oskarżeniom i stwierdził, że Cassandra McQueen pokazała właśnie swoją prawdziwą naturę.

— Nie mam pojęcia, gdzie panna McQueen i jej doradcy zdobyli te tak zwane dowody ani kto je sfabrykował. Postanowiła jednak zignorować pewne fakty.

Steven przedstawił raport francuskiej policji, dotyczący wypadków w katakumbach, oraz artykuły, w których nazywano go bohaterem, gdyż zaryzykował własne życie i został oszpecony, starając się uratować młodą dziewczynę.

— Powiedziała, że jestem nazistą — rzekł spokojnie. — Panowie, sądzą, że nic więcej nie musicie wiedzieć o Cassandrze McQueen.

Zdecydowana postawa Stevena zrobiła wrażenie na wszystkich. Cassandra straciła sympatię prasy, a przypisywane Stevenowi bohaterstwo postawiło go

w zupełnie nowym świetle. Reporterzy pisali o jego znakomitej karierze wojskowej i przeprowadzali wywiady z MacArthurem, który bez wahania opowiedział się po stronie Stevena. Nie sposób było powstrzymać tej fali

Cassandra ukrywała się w Carlton Towers jak w fortecy. Rzadko odważała się wychodzić z domu, gdyż nie wiedziała, gdzie mogą czatować na nią dziennikarze. Dostawała listy z obelgami i odbierała telefony z pogrozkami. W końcu Hugh O'Neill załatwił dziewczynie ochronę policyjną. Zapewniło to jej wprawdzie bezpieczeństwo, ale jednocześnie czuła się jak w więzieniu.

Bardziej niż o siebie Cassandra martwiła się jednak o O'Neill'a. Pracował przez długie godziny i nadzorował trzech młodszych współpracowników. Każdego dnia ludzie radzili mu, żeby zrezygnował ze sprawy. Twierdzili, że Steven Talbot zniszczy go i zrujnuje finansowo, jeśli wytoczy sprawę o zniesławienie. Cassandra starała się pomóc O'Neillowi, to jednak na nim spoczywał cały ciężar batalii. Niepokoiła się o jego zdrowie.

W lutym 1949 roku nadeszły jeszcze gorsze wiadomości. Sędzia postanowił, że na procesie będą rozpatrywane dokumenty, które zdaniem O'Neill'a dowodziły współpracy Stevena z nazistami.

— Nie mają one związku ze sprawą, panie O'Neill—oświadczył sędzia —Nie przedstawił pan świadków, którzy mogliby potwierdzić te informacje. Niech pan lepiej poszuka dowodów.

— Nicholas jest naszą ostatnią nadzieją - powiedział Hugh Cassandrze.

- Zadzwoń do niego i powiedz, że musi jak najszybciej wyciągnąć królika z kapelusza.

Cassandra i O'Neill sądzili, że Nicholas przebywa w Zurychu i stara się rozwiązać zagadkę „Pyramid Holdings”. Mylili się.

St. Julian's to mała wioska rybacka nad zatoką na zachodnim krańcu Malty. Po wojmie życie na wyspie było bardzo tanie, pieniądze Harry'ego Taylora starczyły więc na długo. Miał duży, wygodny dom z balkonem na jednej z krętych uliczek St. Julian's. Wczesnym rankiem lubił patrzeć na kolorowe łodzie rybackie wracające z połowem. Później szedł do przystani i kupował świeże ryby.

Dziś jednak Harry Taylor nie cieszył się spokojnym porankiem. Stał na pokładzie promu płynącego do Trypolis, libijskiego miasta, leżącego siedemdziesiąt pięć mil na południe. Miał ze sobą tylko ubranie, torbę i pas z pieniędzmi.

Żaden dawny znajomy nie rozpoznałby teraz Harry'ego. Miał siwe włosy, skórę ogorzałą od słońca, a pod oczami zmarszczki. Bardzo się zmienił, ale to najwyraźniej nie wystarczyło.

Kilka dni temu, w restauracji, w której zwykle jadł obiad, zauważył nowego gościa, młodego Europejczyka lub Amerykanina o twardym, zawziętym spojrzeniu myśliwego. Kiedy mężczyzna wyszedł, Harry porozmawiał z właścicielem, który powiedział, że przybysz o niego wypytywał. Maltańczycy cenią prywatność i niechętnie udzielają informacji obcym. Mężczyzna niczego się nie dowiedział.

Było to niewielką pociechą dla Harry'ego. Od opuszczenia katakumb ciągle uciekał. Nigdy nie ufał Stevenowi, choć zaangażował się w jego szaleńczy plan. Kiedy dowiedział się, dokąd zabiorą Cassandrę i gdzie ma się dokonać rzekoma wymiana, zbadał dokładnie zdradzieckie tunele i przygotował drogę ucieczki.

Nie uratowałby się jednak, gdyby nie pieniądze, które wyniósł z katakumb. Dotykając piersi, Harry wyczuwał bliźnię w miejscu, z którego lekarz wyjął kulę i kawałki strzaskanej kości. Operacja była niezwykle bolesna, gdyż Harry nie zgodził się na znieczulenie. Obawiał się bowiem, że lekarz może go obrabować lub zawiadomić policję. Trzydzieści godzin po ucieczce z katakumb Harry dotarł aż do Charenton.

Wątpił, czy udałoby mu się prześlizgnąć przez policyjną obławę, gdyby nie miał szczęścia i pieniędzy. Dogadał się z szyprem barki, którego interesowały zyski, a nie wyjaśnienia, i w końcu znalazł się w Marsylii. Miastem rządzą Korynccy, choć mieszkali tu Algierczycy i inni przybysze z pomocnej Afryki. Był to prawdziwy tygiel, w którym uciekinier mógł złapać oddech, a jeśli miał odpowiednie umiejętności, mógł nawet wynająć swoje usługi jednemu z setek gangów. Harry nie był jednak mordercą, choć tak pisały o nim gazety. Wiedział za to dużo o pieniądzach, akcjach, obligacjach i innych instrumentach finansowych. Łamaną francuszczyzną rozgłosił, że jest gotów służyć każdemu, kto potrzebuje doradcy finansowego. Po trzech miesiącach zaczął go ostentacyjnie ubrać dandys, który oświadczył, że chciałby się pozbyć paru obligacji. Harry zabrał się do pracy.

Zanim wybuchła wojna, interesy Harry'ego kwitły. Sprzedawał udziały w nie istniejących afrykańskich spółkach kolejowych, akcje nieczynnych kopalń w Afryce Południowej i ładunki tuńczyka, który zgnił jeszcze przed opuszczeniem portu. Jego ofiarami byli lekarze i prawnicy, szukający łatwego zarobku. Harry nie miał nic przeciwko temu, że żyje ich kosztem.

W tym czasie nosił trzy różne nazwiska, założył sieć spółek i miał do dyspozycji sześć paszportów, czekających na niego w różnych miejscach. Jego reputacja przyciągała innych specjalistów od biurowych przestępstw — informatorów, defraudantów i, co najważniejsze, fałszerzy. Sztuka fałszerska zafascynowała Harry'ego. Zrozumiał, jak trudno jest wyprodukować papier o odpowiedniej fakturze. Poznał sekrety farb i tuszów, podziwiał skomplikowaną pracę grafików wytwarzających fałszywe akcje. Stał się jednym z trybików w ogromnej maszynie. Opracowywał projekty fikcyjnych akcji, wymyślał im pochodzenie i określał, na jakim rynku powinno się je sprzedawać. Potem jego współpracownicy zabierali się do roboty, a w końcu wszyscy czerpali przyzwoite zyski z iluzji, która stwarzała bardzo rzeczywiste franki, marki, funty i liry.

Harry odniósł sukces, ale nigdy nie czuł się bezpieczny. Kiedy dowiedział się o kalectwie Stevena, uznał, że jest w tym pewna sprawiedliwość. Wiedział jednak, że poszukują go teraz dwie osoby. Rose pragnie odnaleźć Harry'ego, gdyż jest przekonana, że to on opracował plan porwania Cassandry. Steven musi podjąć poszukiwania jego, gdyż tylko on wie, co naprawdę wydarzyło się w katakumbach.

Harry dokładnie przyglądał się nieznanym twarzom. Słuchał uważnie plotek o przybyszach, którzy zadawali dużo pytań i proponowali pokaźne sumy w zamian za informacje. W rzadkich spokojnych chwilach Harry myślał o Rose i szczęśliwych latach młodości. Nie robił tego jednak często, bo zawsze przypominała mu się wówczas straszna noc w katakumbach, kiedy Michelle McQueen została zamordowana. Harry wiedział, że pewnego dnia będzie musiał za to odpokutować.

Pierwsza wiadomość o obcym przybyszu nadeszła od fałszerzy. W Marsylii pojawiła się nowa twarz, nie policjant, ale ktoś potężniejszy, poruszający się swobodnie w przestępczym świecie, człowiek, którego niełatwo zastraszyć. Właśnie on wypytywał o Harry'ego Taylora.

Harry nie czekał. Przyjrzał się temu mężczyźnie, spakował swoje rzeczy, zabrał z kryjówek w mieście wszystkie dokumenty i przekroczył szwajcarską granicę. Kilka godzin później Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom.

Harry wiedział, że nie powinien kontynuować w Szwajcarii przestępczej działalności. Miał dużo pieniędzy i nie chciał wchodzić w zatarg z władzami szwajcarskimi. Prześladowca nie dawał mu jednak spokoju. Harry dostrzegł go kilka razy na ulicach Lozanny i przeklinał swojego pecha. Dlaczego ten człowiek tropił go przez te wszystkie lata? Kto mu płacił: Steven Talbot czy Rose Jefferson? Niekiedy Harry miał ochotę stawić czoło prześladowcy, ale za każdym razem nie pozwalał mu na to instynkt samozachowawczy.

Po wojnie spędził kilka lat w Rzymie. Mieszkał w zniszczonym mieście, dopóki obcy znów się nie pojawił. Przeniósł się wówczas na Capri, a potem żeglował po Morzu Śródziemnym, mając nadzieję, że zgubi pościg. Po osiemnastu miesiącach spędzonych na Malcie Harry niemal uwierzył, że mu się to udało.

Oparł się teraz o balustradę i patrzył, jak promienie słońca odbijają się na dachówkach jego domu. Jeśli prześladowca jest tam teraz, to znajdzie tylko trochę ubrań, proste meble, rondle i garnki.

— Niech cię diabli! — wymruczał Harry.

Harry był zmęczony ucieczką. Pragnął mieć dom, w którym nie będzie musiał bez przerwy oglądać się za siebie. Kiedy rozległ się dźwięk syreny promowej, Harry postanowił, że tym razem ucieknie jeszcze dalej. Europa jest za mała. Musi się zgubić w jakimś odległym, egzotycznym kraju. W przeciwnym razie prześladowca znów wpadnie na jego trop.

Nicholas Lockwood stał na balkonie i patrzył, jak prom wypływa z portu. Zmiał z wściekłością telegram. Informacja od Simona Wiesenthala była prawdziwa. Wyczuwał obecność Harry'ego Taylora. W obecnej sytuacji musiał jednak zrezygnować z pościgu. Wezwano go do Nowego Jorku.

Nicholas wrócił do pokoju i zaczął się pakować. Nie miał złudzeń. Nie wierzył, że uda mu się wykryć jakiś związek pomiędzy firmą „Pyramid” a Stevenem Talbotem. Z pewnością istnieje powiązanie, chroni je jednak niewątpliwie tajemnica handlowa. To niepowodzenie nie miałoby znaczenia, gdyby udało mu się znaleźć Harry'ego

Taylor. Zeznania tego człowieka zaprowadziłyby Stevena na gilotynę. Nicholasowi zabrakło jednak czasu. Tego towaru nie mógł kupić za żadne pieniądze.

Steven Talbot stał na schodach gmachu sądu na Manhattanie, a poły jego płaszcz powiewały na marcowym wietrze. Dziennikarze zasypywali go pytaniami.

Steven podniósł rękę.

— Proszę, panowie. Chciałbym złożyć krótkie oświadczenie. Był to długi, niesmaczny i bezsensowny proces. Cassandra McQueen zachowała się jak złodziejka i sąd to potwierdził. Świadczy o tym wyrok. Szkoda, że panna McQueen nie miała tyle przyzwoitości, by zaakceptować ostatnią wolę mojej matki. W ten sposób obrzuciła ją błotem.

— Czy zażąda pan odszkodowania?! — krzyknął dziennikarz.

— Nie chcę niczego od panny McQueen — odrzekł Steven. — Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta.

— Co zamierza pan zrobić z czekami podróznymi?

— Wkrótce się, panowie, dowiecie — uśmiechnął się zagadkowo.

Po drugiej stronie Manhattanu Hugh O'Neill leżał w szpitalu im. Roosevelta. Był półprzytomny. Dostrzegał tylko niewyraźne kontury otaczających go przedmiotów. Słabo uściśnął dłoń Cassandry.

— Jestem przy tobie, Hugh.

Cassandra przebywała w szpitalu przez ostatnie trzy dni, od kiedy O'Neill dostał w biurze ataku serca. W sądzie zastąpili go młodszy współpracownicy i to oni przynieśli wiadomość o wyroku.

— Niezbyt dobrze się spisaliśmy — wyszeptał O'Neill.

— Byłeś wspaniały — powiedziała Cassandra, powstrzymując łzy.

— Wszystko na próżno. Nie doszłoby do tego, gdybym sprawdził testament. Powinienem o tym pamiętać. Ja jednak zapomniałem... To ja sprowadziłem na ciebie wszystkie kłopoty.

— Proszę, nie mów tak! Nikt nie jest temu winny.

Hugh O'Neill ledwo ją słyszał. Przed oczami miał ciemność.

— Znasz Rose...

Cassandra pochyliła się ku niemu, a po policzkach spływały jej łzy. Traciła przyjaciela i nic nie mogła na to poradzić.

— Tak, znam Rose.

— Nie... nie o to chodzi. Rose była taką kobietą... zawsze chowała coś w zanadrzu, ostatnią sztuczkę... Rose nad czymś pracowała... nad czymś specjalnym. Nawet ja o niczym nie wiedziałem. Przed wyjazdem do Hongkongu... Znajdź to... To na pewno bardzo ważne...

— Tak, Hugh. Znajdę, przyrzekam. Oboje to obejrzymy, zgoda?

Hugh O'Neill uśmiechnął się słabo i uściśnął jej dłoń. Cassandra długo trzymała przyjaciela w objęciach, aż w końcu weszła pielęgniarka i delikatnie zamknęła mu oczy.

Światło z okien rezydencji padało na Piątą Aleję. Przechodnie zerkali z zazdrością i sądzili, że odbywa się tam wspaniałe przyjęcie. Była to jednak tylko iluzja. Nikt nie towarzyszył Stevenowi Talbotowi. Po powrocie do rodzinnego domu zabronił służącym gasić światła.

Steven uwielbiał buszować nocą po Talbot House. Każdy z trzydziestu pokoi budził żywe wspomnienia. Kochał tę ogromną rezydencję, obrazy, rzeźby, perskie dywany i orientalne porcelanowe wazy kolekcjonowane przez Rose. Cieszył się, że dom należy teraz do niego i nikt nigdy mu go nie odbierze.

Wracając do gabinetu, Steven nie myślał o Rose, lecz o ojcu. Ta posiadłość była jego prezentem ślubnym dla narzeczonej, kobiety, która w końcu zwróciła się przeciwko niemu, zniszczyła go.

To samo chciałaś zrobić ze mną, mamo. Nie udało ci się.

Żałował, że ojciec nie doczekał tej chwili.

Usiadł za biurkiem i wyjął teczeki personalne. Lubił pracować w nocy. Czekają go bardzo przyjemne zadanie: musiał oczyścić „Global” z przyjaciół i kumpli Rose. Szkoda, że O'Neill złożył rezygnację. Steven wolałby sam go wylać. Był jednak jeszcze Erie Gollant, główny księgowy, oraz inni lojalni wobec Rose pracownicy. Wkrótce spadnie wiele głów.

Steven otworzył teczkę Nicholasa Lockwooda i przyglądał się zdjęciu kierownika wydziału inspekcyjnego. Doszedł do wniosku, że Nicholas to człowiek z charakterem.

Szefowie policji również przysłali rekomendacje, chwając osiągnięcia Lockwooda w zwalczaniu fałszerzy. Ten mężczyzna dobrze znał swoją robotę.

Kilka dokumentów z teczek Lockwooda szczególnie zainteresowało Stevena. Pierwszym z nich był raport dotyczący katastrofy w Hongkongu. Widać było, że Lockwood starannie przeanalizował wyniki śledztwa prowadzonego przez policję i zarząd lotnictwa. Steven przeczytał z zadowoleniem, że detektyw „Globalu” zgodził się z ich ustaleniami. Znaczyło to, że sprawa jest naprawdę zamknięta.

Dwie notatki, sporządzone własnoręcznie przez Rose, przemawiały przeciwko Lockwoodowi. Związek Nicholasa i Cassandry intrygował Stevena. Lockwood był przystojnym mężczyzną, który wiele podróżował i żył na wysokiej stopie. Na pewno nie brakowało mu pięknych kobiet. Nicholas Lockwood miał wprawdzie osobne mieszkanie, ale wszystko wskazywało na to, że był kochankiem Cassandry.

Coś tu się nie zgadza. On nie należy do ludzi, którzy bez żadnego powodu związaliby się z jedną kobietą.

Steven nalał sobie drinka i zastanawiał się nad tą zagadką. Istniało tylko jedno rozwiązanie.

Wszyscy spodziewali się, że po śmierci Rose Cassandra przejmie „Global”. Ta młoda, niedoświadczona kobieta nie miała jednak pojęcia o zarządzaniu przedsiębiorstwem. Lockwood się na tym znał. Gdyby został jej mężem, Cassandra musiałaby prosić go o pomoc. Taki wytrawny gracz jak Lockwood szybko odsunąłby żonę na boczny tor, a ona nawet by tego nie zauważyła.

Cóż, nietrudno sprawdzić tę teorię.

lockwood spodobał się Stevenowi. W przyszłości będzie potrzebował kogoś

o takim doświadczeniu i bezwzględności. Musi się jednak upewnić co do jego lojalności. W tym celu zapyta go o Cassandrę. Steven postanowił, że sprawi Lockwoodowi niespodziankę i wymieni również inne nazwisko.

Po drugiej stronie Central Parku w apartamencie w Carlton Towers również paliło się światło. Po śmierci Hugh'a O'Neilla Cassandra cierpiała na bezsenność. Nie chciała zażywać środków nasennych. Nie obawiała się koszmarów, pragnęła jednak jasno myśleć. W obecnej sytuacji bardzo tego potrzebowała.

Cassandra przeszła koło sypialni i zobaczyła na łóżku Nicholasa. Tak łatwo byłoby położyć się koło niego i rozkoszować się ciepłem ukochanego mężczyzny. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić, dopóki nie rozwiąże zagadki Hugh'a O'Neilla.

Rose pracowała nad czymś specjalnym... nawet ja o niczym nie wiedziałem.

Co to było? Cóż to za tajny projekt, o którym nie mógł się dowiedzieć nawet zaufany adwokat? *Jeśli Rose nie zdradziła mu sekretu, to w jaki sposób mogę poznać prawdę?*

Cassandra weszła do salonu i spojrzała na wygasły kominek. Nie myślała o trudnych ostatnich miesiącach, lecz o tym, jak pracowała razem z Rose. Najpierw przypomniawszy sobie miejsca, a potem fragmenty rozmów. Wyobrażała sobie twarz Rose i wypowiedziane przez nią słowa. Teraz Cassandrze zostały tylko wspomnienia. Steven wyrzucił ją z „Globalu”; była to jego pierwsza oficjalna decyzja. Nie miała dostępu do notatek i dokumentów, w których być może kryła się odpowiedź.

Pomyśl...

Cassandra przypomniawszy sobie jedną z najistotniejszych cech charakteru Rose. Ta kobieta zawsze lubiła tajemnice. Niechętnie opowiadała innym ludziom o nowych koncepcjach i pomysłach. Pracowała w samotności, a wszystkie dokumenty chowała w prywatnych sejfach w „Globalu” lub w Talbot House.

Nie mam więc do nich dostępu.

— Cass, czemu nie spróbujesz się przespać?

Abilene, już w szlafroku, trzymała w dłoniach filiżankę gorącej czekolady.

— Wypij. To pomoże.

Cassandra podziękowała i z rozkoszą napiła się gorącego napoju.

— Myślisz o pani Rose, prawda? — powiedziała Abilene.

— Tak. Szkoda, że nie mogłam jeszcze raz się z nią spotkać... przed wypadkiem. Dlaczego zawsze przychodzi nam to do głowy, kiedy jest już za późno?

— Wiem, co masz na myśli — szepnęła Abilene. — Ona również miała ci coś do powiedzenia.

Cassandra spojrzała na nią z ciekawością.

— Chodzi mi o to, że pani Rose przysłała tu w dniu wyjazdu. Coś ze sobą przyniosła, ale nie powiedziała, co to jest.

Cassandra skoczyła na równe nogi.

lylko się nie podniecaj — ostrzegła siebie samą.

Podeszła do ściennego sejfu i spojrzała na stalową płytę. Rose znała szyfr.

Wstrzymując oddech, wybrała odpowiednie cyfry, otworzyła drzwi i opróżniła sejf. Na samym wierzchu leżała teczka z brązowej skóry, która nie była jej własnością. Cassandra zdziwiła się, patrząc na rozchwiane pismo i odręczne notatki na marginesach. W końcu zdała sobie sprawę, że Rose musiała sama sporządzić ten dokument. Kiedy przeczytała pierwszą stronę, zrozumiała dlaczego.

Do świtu zdążyła trzy razy przeczytać zawartość teczki. Potrafiłaby nawet powtórzyć z pamięci obszerne fragmenty. Istniała więc tajemnica. Nikt o tym nie wiedział, gdyż Rose nie zrobiła żadnych kopii. Cassandra usiadła na krześle. Kręciło jej się w głowie. Steven nawet nie podejrzewał, że nie dostał wszystkiego.

Znów otworzyła teczkę na pierwszej stronie i wzięła do ręki ołówek. Potrzebowała broni przeciwko Stevenowi i dostała ją od Rose. Realizacja tego planu potrwa długie lata. Jeśli Steven dowie się o wszystkim, zanim będzie gotowa, to bez wahania ją zmiążdży.

Cassandra mogła sobie wyobrazić, jak zareaguje Nicholas. Będzie wściekły, i to nie bez powodu. Cassandra poprosi go przecież, żeby ją zdradził.

Siedzieli na tarasie, podziwiając Central Park cały w wiosennych kolorach. Nastrój przy stole był jednak ciężki, niczym przed nadchodzącą burzą z piorunami.

— Czy wiesz, o co mnie prosisz? — spytał w końcu Nicholas.

Przed nim leżała brązowa teczka. Przeczytał dokument, zdumiony śmiałością i pomysłowością Rose. Potem Cassandra opowiedziała mu, jak zamierza zrealizować plan. Kiedy Nicholas poznał cenę, jaką miał za to zapłacić, nie chciał słuchać dalej.

— Wiem — odpowiedziała czule, biorąc go za rękę. Nicholas pokręcił głową.

— To szaleństwo, Cass. Chcesz, żebym zniszczył wszystko, co zbudowaliśmy, żebym cię zostawił, nie oglądając się za siebie. Chcesz, aby cały świat uwierzył, że nigdy mnie nie obchodziłaś.

— Musisz przekonać Stevena, że mu nie zagrażam. Kiedy w to uwierzy, zostawi mnie w spokoju. Musisz dać mi czas, abym mogła dokończyć to, co zaczęła Rose.

— Jak mogę to zrobić? — wyszeptał Nicholas. — Sama powiedziałaś, że realizacja tego planu zajmie długie lata. Przez ten czas będę skazany na bezczynność!

— Tylko ty możesz mi pomóc. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele kosztuje mnie ta prośba? Proszę, błagam, postaraj się zrozumieć.

Nicholas przywykł do podejmowania niełatwych decyzji, żadna z nich nie była jednak tak trudna. *Żadnej kobiety tak bardzo nie kochałem...* Cassandra odgadła jego myśli.

— Nicholasie, musisz mnie teraz kochać bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ta ostatnia prośba przeważała.

— Trzeba wybrać miejsce, w którym będziemy się spotykać — powiedział powoli. — Jakiś odległy zakątek.

— W Connecticut — wyszeptała Cassandra. — Jest tam chata nad jeziorem,

z dala od miasta. W zimie możemy jeździć na łyżwach, a latem będziemy patrzeć, jak świetliki latają nad trzcinami...

Nagle Nicholas porwał Cassandrę w ramiona i ukrył twarz w jej włosach.

— Będę za tobą tęsknić!

— Kochaj mnie, mój miły, tak abym zapamiętała...

Nicholas Lockwood spodziewał się telefonu od Stevena. Wiedział, że Steven dokładnie przegląda teczki personalne i sprawdza, którym pracownikom może zaufać. Do tej pory powinien już się zorientować, że kierownik wydziału inspekcyjnego wiedział

o „Globalu” prawie tyle, co Rose. Znaczy to, że Rose obdarzyła Nicholasa dużym zaufaniem. Czy Steven uwierzy, że Lockwood tak szybko zapomniał o dawnej szefowej?

Nie było to jedyne pytanie, które niepokoiło Nicholasa, kiedy szedł do biura Stevena.

Niewykluczone, że w dokumentach Rose są jakieś wzmianki o poszukiwaniach Harry'ego Taylora oraz o kontaktach Lockwooda z Monkiem McQueenem i Abrahamem Warburgiem. Jeśli Steven o tym wie, Nicholas natychmiast otrzyma wymówienie. Wówczas Cassandra nie dostanie żadnych informacji z „Globalu”.

Nicholas przygotował się na najgorsze, kiedy nowa sekretarka Stevena zaanonsowała jego przybycie.

— Siadaj, Lockwood. Zaraz się tobą zajmę.

Nicholas domyślił się, o co chodzi Stevenowi, który siedział za biurkiem

i udawał, że przegląda dokumenty. Demonstrował swoją władzę, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma na głowie pilniejsze sprawy niż przyszłość Lockwooda. Nicholas oparł się wygodnie, założył nogę na nogę i odprężył się.

— Ma pan za sobą imponującą karierę — rzekł w końcu. — Lubi pan tę pracę? Nicholas skoncentrował się.

— Tak, sir.

— Proszę mi opowiedzieć o Harrym Taylorze.

Pytanie zaskoczyło Nicholasa, ale natychmiast się opanował. Steven uważnie go obserwował.

— Niewiele mam do powiedzenia, sir. Nie odnalazłem go.

— To prawda. Chcę jednak wiedzieć, dlaczego go pan szukał.

— Prosiła mnie o to pani Jefferson.

— Czy podała jakieś powody?

— Nie, sir. Przypuszczałem, że to sprawa osobista. Pan Taylor zniknął dawno temu. Pani Jefferson prosiła, żebym wykorzystał swoje kontakty w Europie i spróbował się rozejrzeć. Dała jasno do zrozumienia, że dochodzenie nie powinno mi przeszkadzać w innych obowiązkach. Miało ono drugorzędny charakter.

Steven podniósł srebrny nożyk do papieru i trzymał go koniuszkami palców.

— Dokąd pana zaprowadziło to drugorzędne dochodzenie?

— Obawiam się, że niezbyt daleko. Moi ludzie w Anglii i we Francji poszukiwali i Taylora.

Widziano go podobno w Lozannie, a potem w Rzymie. Później ślad się urwał.

Nicholas przerwał. — Zanim zdążyłem zrobić coś więcej, pani Jefferson zginęła.

— Rozumiem. Wie pan, panie Lockwood, że w firmie wiele rzeczy się zmieniło. Czy te zmiany panu odpowiadają?

— Jeśli pyta mnie pan, czy chciałbym zachować pracę, odpowiedź brzmi: tak.

— Chcę, żeby został pan na dawnym stanowisku. Jest pan dobry w swoim fachu.

— Dziękuję, sir. Steven zmrużył oczy.

— Mam jednak pewien problem. Przyjaźnił się pan z Cassandrą. Wzruszające spotkanie w San Francisco, wygodny przypadek, że mieszkacie w tym samym budynku — wygląda to na romans.

— No dobrze, rznąłem ją—odrzekł chłodno Nicholas. — Na czym polega problem? Steven nie mógł ukryć zdziwienia.

— Widział pan, co Cassandra próbowała osiągnąć w sądzie. Uważam, że jeśli mój pracownik kontaktuje się z tą kobietą, to działa przeciwko mnie. Czy sprawia to panu jakieś kłopoty, panie Lockwood?

Nicholas ani drgnął.

— Żadnych.

— Tak po prostu? Niech pan da spokój, Lockwood, żyliście przecież ze sobą.

— Prosił pan, żebym dokonał wyboru. Rozumiem, że chce pan dokładnie poznać moje stanowisko. W porządku. Odpowiedziałem, że podoba mi się ta praca i chciałbym ją zatrzymać. Oto moje wyjaśnienie. Może pan je przyjąć albo odrzucić.

Steven uśmiechnął się, zadowolony, że nie pomylił się co do Lockwooda.

— Jest pan większym sukinsynem, niż sądziłem. Nicholas wstał.

— Osądzanie innych niewiele kosztuje. Stać na to każdego dupka.

Przez chwilę Nicholas sądził, że posunął się za daleko, ale Steven roześmiał się.

— No dobrze, Lockwood. Zasłużyłem na to. Niech pan robi, co uważa pan za stosowne.

Kiedy Nicholas wychodził, zawołał:

— A przy okazji, chcę, żeby w dalszym ciągu szukał pan Harry'ego Taylora! Tylko bardzo dyskretnie, rozumie pan. Wszystkie informacje proszę przekazywać innie, nikomu innemu. Następnego dnia Nicholas przebywał w biurze, kiedy usłyszał hałas. Drzwi otworzyły się tak raptownie, że aż zabrzęczały szklane szybki.

— Przepraszam, panie Lockwood. Powiedziałam jej, że nie można panu przeszkadzać rzekła zdenerwowana sekretarka, kiedy Cassandra przemknęła koło niej.

— W porządku, Ethel—odrzekł spokojnie Nicholas.—Zajmę się tym. Dziękuję.

— Co to, do diabła, znaczy?! —krzyknęła Cassandra, rzucając gazetę na biurko Nicholas.

Otworzyła *New York Timesa* na stronie z wiadomościami gospodarczymi. Informacją dnia było to, że Nicholas Lockwood należy do nielicznych szczęściarzy, których nie objęła czystka w „Globalu”.

— Czy to prawda? Zamierzasz dla niego pracować?!

— Cassandra, proszę, mów ciszej. Ludzie mogą usłyszeć...

— Nie obchodzi mnie to! Chcę wiedzieć, czy tu zostajesz.

— Tak — odparł Nicholas. Dziewczyna była zszokowana.

— Wprost nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą powiedziałeś. Nie po tym wszystkim...

— Nie powinnaś mnie winić—odrzekł chłodno Nicholas. — Mam tu przed sobą przyszłość. Jeśli nie potrafisz tego zaakceptować...

— Nie potrafię i nie zaakceptuję — odparła podniesionym głosem Cassandra. Rzuciła mu gazetę na kolana. — Gratuluję! Na pewno świetnie sobie poradzisz.

Odwróciła się na pięcie i opuściła biuro. Nicholas wstał i wyrztał za nią. Kątem oka dostrzegł Stevena Talbota, który przyglądał mu się z rozbawieniem.

0

Eric Gollant poczuł ulgę, kiedy posłaniec przyniósł mu wreszcie wymówienie. Wiedział, że praca dla Stevena Talbota byłaby niewyobrażalnym piekłem. Na kilka tygodni przed sześćdziesiątymi urodzinami Erie nie miał nic przeciwko temu, żeby przejść na emeryturę. W miarę upływu czasu jego włosy stawały się coraz rzadsze, za to portfel był coraz grubszy. Pieniądze wystarczały na skromne potrzeby rodziny oraz na pobłażanie kaprysom dzieci. Nic nie sprawiało Ericowi większej przyjemności niż widok dzieci. To u nich szukał pocieszenia i ciepła, kiedy myślał o starym przyjacielu Hughu O'Neillu.

Idąc po Lexington Avenue ku Empire State Building wiosną 1950 roku, Erie zastanawiał się, dlaczego Cassandra chciała się z nim zobaczyć. Po zdradzie Nicholasa Lockwooda stała się samotniczką. Erie współczuł Cassandrze. Utraciła dwóch ludzi, na których liczyła: Hugh'a O'Neill'a i Nicholasa Lockwooda. Erie naprawdę lubił Lockwooda. Nie chciało mu się wierzyć, że ten człowiek opuścił Cassandrę.

Co za łajdak! — pomyślał Erie z niesmakiem i wściekłością.

Pomyślał również, że dostrzega w tłumie wielu Lockwoodów — młodych mężczyzn z poważnymi minami, którzy wcześniej się starzeją i czczą fałszywych bożków.

Jimmy Pearce wcisnął na rozczochrane, rude włosy irlandzką czapkę w kratkę. Kiedy zmierzał do wyjścia, pracownicy wkładali mu do kieszeni kartki papieru, u każdy z nich krzyczał: „Pilne!”. W końcu Jimmy wyszedł na ulicę i wprawi w ruch swoje długie nogi.

Zaskoczył go telefon od Cassandry. Po zwycięstwie Stevena i odejściu Nicholasa Lockwooda Jimmy nie miał od niej żadnych wiadomości. Zadzwoił kilka razy, żeby sprawdzić, czy Cassandra dobrze się czuje. Zaproponował nawet, żeby przysłała do

magazynu *Q* i czymś się zajęła, zamiast siedzieć beczynn timer, ale ona grzecznie odmówiła. Nie chciała jednak rozmawiać o swoich planach.

Przechodząc przez Madison, Pearce zastanawiał się, czemu Cassandra umówiła się z nim w Empire State Building. Jako chodząca encyklopedia nowojorskich lokali Pearce był pewien, że może się tu znajdować jedynie trzeciorzędna kawiarnia. To nie było w stylu Cassandry.

Pięciopokojowy apartament znajdował się w południowo-wschodnim skrzydle budynku. Widać było brudne kawałki linoleum, nie domyte okna i ściany z zaciekami.

— Jezu, ten karciany stół i krzesła świetnie tu pasują! — wymruczał Jimmy Pearce.

— Czy na pewno dobrze trafiliśmy? — spytał Erie Gollant,

— Jestem pewien, że to miejsce nigdy się do niczego nie nadawało.

— Dziękuję, panowie, za wasze szczere uwagi.

Cassandra, ubrana w granatowy kostium i białą jedwabną bluzkę, weszła do pokoju, a spod jej obcasów unosiły się małe kłęby kurzu.

— Prawdę mówiąc, poprosiłam, żeby przyniesiono tutaj te meble—powiedziała, wskazując rozklekotany stół i krzesła. — W przeciwnym razie musielibyśmy siedzieć na podłodze.

— Wspaniale! — odparł Pearce. — Szkoda, że nie przyniosłem koszyka z jedzeniem.

Urządzilibyśmy piknik.

— Cieszę się, że was widzę — rzekła Cassandra, obejmując przyjaciół, a jej błękitne oczy błyszczały z podekscytowania. Jej wygląd zdziwił obydwu mężczyzn. Przybrała trochę na wadze.

— Dobra, moja kolej — powiedział Jimmy. — Co to za miejsce?

— Tanie.

— Tyle wiem. Co jeszcze?

— Moje nowe biuro. Albo raczej: nasze nowe biuro.

— No tak — rzekł niepewnie księgowy. — Słuchamy cię uważnie.

— Obaj wiecie, czym jest karta kredytowa — powiedziała Cassandra.

— Tak. Świetnym sposobem na bankructwo — odparł redaktor.

— Dziękuję za zaufanie — rzuciła kąśliwie Cassandra. — W rzeczywistości karty kredytowe znajdują się w obiegu dłużej, niż sądzicie.

Cassandra wyjaśniła, że na przełomie wieków niektóre hotele zaproponowały stałym klientom karty, którymi mogliby płacić za pokój i obsługę. Przed 1914 rokiem kilka domów towarowych wydawało metalowe karty, wyglądające jak plakietki identyfikacyjne, a w latach dwudziestych spółki naftowe wydrukowały karty honorowane w ich stacjach benzynowych.

— Jedyń timer skutkiem były długi—przypomniał jej Erie. —Kupowanie akcji na kredyt przyczyniło się do krachu w 1929 roku. Potem, w czasie kryzysu, opracowywano różne plany spłat bezgotówkowych i ratalnych. Po drugiej wojnie światowej rząd ograniczył jednak kredyty.

— Te karty i spłaty ratalne funkcjonowały tylko w jednym sklepie lub firmie — zaproponowała Cassandra. — Co by się stało, gdyby ludzie mogli korzystać z tej samej karty w wielu różnych sklepach?

Cassandra widziała, że przyjaciele zastanawiają się nad jej słowami. Żałowała, że pomysł jest aż tak prosty.

— Do czego zmierzasz, Cassandro? — spytał Erie, czyszcząc okulary. Cassandra rozpoznała ten gest. Zначył on, że księgowy jest gotów poważnie zastanowić się nad całą sprawą.

— Steven sądzi, że dostał wszystko—mówiła.—Jednakże Rose pracowała nad projektem, o którym nikomu nie powiedziała. Nikt nie wie o jego istnieniu. Szczegółów jest niewiele, Rose sądziła jednak, że ten projekt zrewolucjonizuje nasz system finansowy. Przejrzałam jej notatki i sądzę, że miała rację. — Cassandra przerwała.—Zanim powiem coś więcej, chcę podkreślić, że nie powinniście się czuć do niczego zobowiązani. Jeśli uznacie, że pomysł jest bezwartościowy, nie wspomnę

0 nim więcej. W przeciwnym wypadku poproszę was o pomoc, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem. Tak czy inaczej, mam zamiar zrealizować te plany.

- Echo słów Cassandry rozbrzmiewało w pustym apartamencie. — Myślicie pewnie, że oszalałam. Może i tak. Muszę jednak wyrównać rachunki ze Stevenem.

Eric chrząknął.

— Obaj wiemy, co czujesz, Cassandro. O czym mówisz?

— O „United States Express” — rzekła cicho Cassandra. — Czyli USE.

- Położyła po dwie teczki przed każdym z nich. — Po lewej stronie znajdują się oryginalne notatki Rose. Po prawej znajdziecie moje uzupełnienia. Zostawiam was.

Nie wyjaśniając niczego więcej, Cassandra zniknęła. Poszła na kawę do pobliskiego lokalu.

Oczekiwanie dłużyło się nieznośnie, Cassandra wiedziała jednak, że musi dać Pearce'owi i Gollantowi czas na zapoznanie się z propozycją, dyskusję

1 podjęcie decyzji. Spojrzała na zegarek. Trzydzieści minut powinno wystarczyć.

Wracając celowo zwolniła kroku. Bardzo chciała, żeby przyjaciele dostrzegli w tym planie to samo, co ona, żeby ogarnął ich zapał na widok nowych horyzontów. Nie wiedziała, czy znajdzie siłę, żeby pogodzić się z odmową.

Siedzieli tam, gdzie ich zostawiła. W milczeniu podała im kawę, ale ze /denerwowania rozlała ją na podłogę.

— Cóż, przynajmniej nikt nie zauważy różnicy — wymamrotała.

— Zauważą, kiedy każesz wyczyścić to miejsce.

Cassandra spojrzała podejrzliwie na Pearce'a, który uśmiechał się łobuzersko.

- Jimmy?

— To świetny pomysł! — wykrzyknął. Cassandra spojrzała na Erica Gollanta.

Pozwól, że przemówię jako adwokat diabła — rzekł poważnym tonem, ale w jego oczach pojawiły się szelmowskie iskierki. — Chciałbym podkreślić, że od Mtnego początku czeka nas masa roboty. Będziemy musieli się uporać z poważnymi pohlcmami logistycznymi.

Spojrzał uważnie na Cassandrę.

— Czy na pewno tego chcesz?

— Nigdy nie byłam niczego tak pewna! Erie westchnął.

— Nici ze spokojnej emerytury.

Następnego dnia firma „United States Express” została zarejestrowana jako spółka w stanie Nowy Jork. Od tej pory nazwę i inicjały USE chroniły prawa autorskie i patentowe.

— Będziesz potrzebowała znaku firmowego — powiedział Jimmy.

— Już coś wymyśliłam — odrzekła Cassandra, pokazując mu popiersie średniowiecznego wojownika.

Po załatwieniu formalności cała trójka wróciła do Empire State Building, żeby uzgodnić szczegóły.

— Najpierw musimy ustalić, o jaką kartę właściwie nam chodzi — powiedział księgowy.

Jimmy wzruszył ramionami.

— Oczywiście, o kartę kredytową. Erie podniósł ostrzegawczo palec.

— Nie tak szybko. Jeśli proponujemy klientom kartę kredytową, to USE będzie udzielała kredytu. Nie jestem pewien, czy Cassandrze właśnie o to chodzi.

— W żadnym razie — odrzekła zdecydowanie. — Problem z kartą kredytową polega na tym, że instytucja, która ją wydaje, przejmuje na siebie długi klienta. Jeśli klient nie zapłaci na czas albo w ogóle zrezygnuje, firma ma kłopoty. W wypadku karty płatniczej należy na bieżąco regulować rachunki.

— Skoro tak, to musimy ostrożnie wybierać klientów — powiedział Jimmy. — Ludzie, którzy kupują droższe towary, takie jak radia lub pralki, potrzebują czasu na uregulowanie rachunku. Jednakże komiwojażerowie i biznesmeni mogą płacić od razu, zwłaszcza jeśli przyznano im diety podróżne.

— Bardzo dobrze, Jimmy — rzekł Erie. — W ten sposób minimalizujemy ryzyko, bo możemy ściągnąć pieniądze od firmy, a nie od prywatnej osoby.

— Będziemy więc wydawać zwykłą kartę płatniczą — odparła Cassandra bardziej do siebie niż do przyjaciół. Popatrzyła na nich. — Naszymi klientami zostaną biznesmeni, którzy — podniosła w górę trzy palce — podróżują, mieszkają w hotelach i jadają w restauracjach.

Spojrzeli na siebie.

— Teraz już wiemy, kogo musimy przekonać do naszych kart — rzekł Jimmy. — Zabierzmy się do roboty!

Cyfry nie kłamały. Jak na samotną dwudziestodwuletnią kobietę Cassandra McQueen była bogata. Wartość apartamentu w Carlton Towers przekraczała sto tysięcy dolarów. Udziały w magazynie *Q* wynosiły pięć razy tyle.

— To nie wystarczy — oświadczył Erie. Cassandra zamrugwała.

— Co masz na myśli?

Adwokat przeciągnął wypięłgnowanym paznokciem wzdłuż kolumny cyfr w księdze rachunkowej.

— Wydajesz na życie dywidendy, które przynoszą ci akcje magazynu *Q*. Nie możesz zastawić tych udziałów, jeśli nie masz innego źródła dochodu.

Spojrzał na nią z oczekiwaniem.

— Nie mam — zapewniła Cassandra.

— Mieszkanie jest splecone, mogłabyś więc wziąć pożyczkę hipoteczną w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Potrzebujemy jednak o wiele większej sumy.

— Czy nie mogłabym sprzedać akcji *Q7* Erie schylił głowę.

— Owszem, mogłabyś. Prawdę mówiąc, bez trudu znalazłabyś nabywców: *Time*, *Newsweek*, ludzie Hearsta i oczywiście Katherine Graham. Jednakże nabywca mógłby zrobić z *Q*, co tylko zechce.

— Chodzi ci o to, że zmieniłby się format, styl pisma i tym podobne sprawy?

— Niewykluczone również, że obecni pracownicy dostaliby wypowiedzenia.

— Bez Jimmy'ego i jego ekipy to nie będzie ten sam magazyn! Ci ludzie pracują w *Q* od wielu lat. Erie nie odezwał się. Najwyraźniej powiedział już wszystko.

— Nie mogę im tego zrobić — rzekła w końcu Cassandra. — Ojciec zatrudnił tych ludzi, bo to właśnie oni nadawali gazecie niepowtarzalny charakter. Jeśli wprowadzę jakieś zmiany, zniszczę magazyn. Co będzie, jeśli sprzedam udziały pracownikom? W ten sposób wszystko pozostanie bez zmian — zastanawiała się przez moment.

— Jest to pewne rozwiązanie — przyznał Erie. — Jednakże pół miliona dolarów to mnóstwo pieniędzy. Nie jestem pewien, czy Jimmy i jego ludzie zdołają tyle zebrać. — Zawahał się. — Nawet jeśli im się to uda i będą chcieli kupić akcje, powinnaś zastanowić się nad następnym problemem. Kiedy sprzedasz *Q*, stracisz źródło dochodu. Karta USE wygląda znakomicie na papierze. Czeka nas jednak długa, mozolna praca. Wydasz ogromne sumy, będziesz się zastanawiać, na co to wszystko idzie i dlaczego do twojej kieszeni nie wraca ani jeden cent. Jeśli, Boże broń, coś się nie uda, to możesz zostać bez grosza.

Po tych słowach Cassandra poczuła się przygnębiona. Wiedziała, że brutalna szczerść księgowego wynika z życzliwości. Ujrzała jednak nagle czarną przepaść, w której znika jej dom i stały dochód.

— Ile potrzebuję, Ericu? Jakie jest niezbędne rrunimum? Księgowy uśmiechnął się ze smutkiem.

— Prawie wszystko, co posiadasz. Nie można bardziej ograniczyć wydatków. Cassandra dokładnie przeanalizowała cyfry. Czynsz, wyposażenie biura,

zaopatrzenie, telefony, pensje pracowników, reklama, transport — koszty wyniosą 550 tysięcy dolarów w ciągu trzech lat.

— Nie uwzględniasz żadnych zysków! — krzyknęła Cassandra.

— Będziesz miała szczęście, jeśli po roku poniesiesz niewielkie straty—odrzekł Erie. — Być może za dwa lata straty się zmniejszą. Po trzech, jeśli wytrwamy tak długo, powinniśmy wyjść na zero.

— Czy wiesz, że do twarzy by ci było we włosiennicy, z głową posypaną popiołem?

— Cassandro, staram się tylko... Położyła mu rękę na ramieniu.

— Żartuję. Mówisz prawdę i jestem ci za to wdzięczna. Nie musimy jednak rozstrzygać wszystkiego naraz. Porozmawiajmy najpierw z Jimmym i dowiedzmy się, czy pracownicy zechcą kupić magazyn Q.

— Postanowiłaś zaryzykować?

— Tak. Eriku, nie mam wiele do stracenia. Jeśli nie wykorzystam szansy stworzonej przez Rose, nie tylko ja będę gorzko tego żałować. Na mnie jednak spadnie odpowiedzialność.

— Boję się, Nicholasie.

Cassandra stała na ganku chatki nad jeziorem. W dali, obok wodospadu, widniał stary, opuszczony młyn. Zapadał zmrok. Słysząc było rechotanie żab i trzepot skrzydeł ważek, unoszących się nad stawem. Blask słońca przenikał chmury, tworząc na wodzie złoty dywan.

Cassandra usłyszała, jak Nicholas podchodzi do niej z tyłu. Położył jej ręce na ramionach i delikatnie musnął palcami szyję. Dopiero po raz drugi spotkali się w Connecticut, z dala od wścibskich spojrzeń. Cassandra bardzo ceniła te chwile i chętnie je później wspominała.

— Poradzisz sobie — wymruczał Nicholas.

Żałował, że nie umie sprawić, by Cassandra zapomniała o niepokoju i niepewności. Zaryzykowała prawie wszystko, co posiadała. Nicholas nie spał po nocach i martwił się, bo nie mógł być przy niej, gdy naprawdę go potrzebowała.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała Cassandra, jak gdyby odgadła jego myśli. — Jeśli wydarzy się najgorsze i poniosę porażkę...

— To przynajmniej wiesz, że masz mnie.

Cassandra objęła go. Właśnie na takie słowa czekała. Zapamięta je na długo. Nie miała teraz nic oprócz nich.

Jimmy'emu Pearce'owi bardzo spodobał się pomysł sprzedaży akcji pracownikom magazynu Q, przyznał jednak, że trudno będzie im zebrać tak dużą sumę.

— Pozwól, że porozmawiam z ludźmi i zobaczę, co się da zrobić—powiedział. Zajął to długie miesiące. Wszyscy chcieli kupić udziały w gazecie. Pearce zaproponował, żeby każdy pracownik mógł nabyć tylko sto akcji i miał dziewięćdziesiąt dni na zebranie pieniędzy.

— Tylko nielicznych stać byłoby obecnie na większą inwestycję — wyjaśni Cassandrze. — Nie spodobałoby się to jednak pozostałym. W rezultacie zaczęłyby się zawiść, która na dłuższą metę okazałaby się równie szkodliwa, jak oddanie magazynu w obce ręce.

Cassandra zgodziła się, ale niecierpliwiła ją zwłoka. Wzięła pożyczkę pod zastaw mieszkania w Carlton Towers, a za uzyskane pieniądze odnowiła biuro w Empire State Building. Potem kupiła niezbędne meble i sprzęt. Spędzała popołudnia z Erikiem Gollantem w Central Parku. Razem zastanawiali się, jakich ludzi powinni zatrudnić i gdzie ich znaleźć.

— Weź przykład z Mońka — rzekł księgowy. — Twój ojciec poświęcał dużo czasu na znalezienie odpowiednich pracowników i dobrze im płacił. Nikt nie pracuje lepiej od człowieka, który wie, że pracodawca go ceni.

Cassandra przypomniała sobie żony i wdowy, które kiedyś zatrudniła we Francji Michelle.

— Trudno mi się z tym nie zgodzić.

Do września załatwili ostatnie formalności i zatrudnili pracowników.

— To chyba wszystko — powiedziała nerwowo Cassandra, rozglądając się po lśniącym, odnowionym biurze.

Było Święto Pracy i tak jak zwykle mieszkańcy Manhattanu wyjechali z miasta do domków na wsi lub nad wodą. Opustoszały Nowy Jork przypominał Cassandrze Paryż w sierpniu, którym władali turyści.

— Mam nadzieję, że jesteś gotowa — powiedział Jimmy Pearce. Cassandra spojrzała posepnie na rozkład zajęć i pokręciła głową. Przez całe lato

niepokoił ją pewien poważny problem. Nie zdoła namówić restauratorów i hotelarzy do przyjmowania kart „United States Express”, jeśli nie przekona ich, że z kart będą korzystał stali klienci, a dzięki nowemu pomysłowi zwiększą się zyski. Firma USE zajmie się ściąganiem pieniędzy od klientów, weźmie dziesięć procent prowizji, a resztę przekaże restauracjom i hotelom.

Jimmy Pearce zaproponował, że pomoże Cassandrze, wykorzystując swoje stosunki w świecie biznesu.

— Sprawię, że restauratorzy i hotelarze zgromadzą się w jednej sali, aby wysłuchać twojej propozycji. Będą jednak chcieli zobaczyć listę klientów.

— Przysłowiowy problem jajka i kury — jęknęła Cassandra. — Oni żądają listy k klientów, a potencjalny klient pragnie wiedzieć, gdzie może korzystać z naszej karty.

— Właśnie dlatego musimy najpierw znaleźć klientów — powiedział Erie (iollant. — W przeciwnym razie nikogo nie przekonamy.

Następnego ranka zabrali się do pracy. Cassandra patrzyła, jak kilkanaście maszynistek wystukuje pierwsze z pięciu tysięcy listów do kierowników działów sprzedaży wytypowanych przez Erica Gollanta. Kiedy posłańcy dostarczyli korespondencję, Cassandra zaczęła dzwonić. Jeśli ktoś okazał choćby najsłabsze zainteresowanie, zapraszała go na obiad.

Wydamy trochę dolarów na jedzenie — zauważył Erie. — Pomyśl jednak:

takie spotkanie w interesach to właśnie okazja, przy której w przyszłości ci ludzie będą mogli posłużyć się kartą. Poza tym odpiszemy sobie tę kwotę od podatku.

Minęły dwa miesiące. Cassandra mogłaby przysiąc, że zdażyła w tym czasie poznać wszystkie lokale na Manhattanie. Szybko zrozumiała, że niektórych ludzi trzeba będzie po prostu odwiedzić w biurach.

— Ilu z nich przyrzekło, że weźmie kartę?—zapytała. Było Święto Dziękczynienia i Cassandra cieszyła się, że może wreszcie odpocząć.

— Trzystu dziesięciu — oświadczył Erie.

— Staraliśmy się przecież! — jęknęła Cassandra.

— Nieźle jak na początek.

— Czy to wystarczy?

Księgowy wiedział, że Cassandra myślała o spotkaniu z nowojorskimi restauratorami i hotelarzami, które odbędzie się w przyszłym tygodniu.

— Musisz ich przekonać. To przecież dopiero początek.

— Słusznie.

Cassandra marzyła o wannie z gorącą wodą, w której mogłaby się cała zanurzyć.

Jimmy Pearce dotrzymał słowa: do sali konferencyjnej w hotelu «Roosevelt» przyszło ponad tysiąc osób. Cassandra rozpoznała zaledwie kilkanaście nazwisk na liście gości.

— Kierownicy „Waldorfa”, „Plaža” i innych ekskluzywnych hoteli otrzymali zaproszenia, ale wcale się ich nie spodziewałem — wyjaśnił Jimmy. — To potworni snobi. W tym momencie ich nie potrzebujemy. Później sami do nas przyjdą.

Cassandra rozumiała, o co chodzi Jimmy'emu. Firmy nie pozwalały pracownikom nocować w najlepszych hotelach. Nie chciały również fundować im obiadów w najlepszych nowojorskich restauracjach. W sali konferencyjnej zjawili się właściciele lokalów, w których podawano zwyczajne obiady.

Kiedy zjedzono przekąski i podano kawę, Cassandra weszła na podium. Miała na sobie prążkowany, wełniany kostium z aksamitnymi mankietami i kołnierzykiem. Większość mężczyzn rozmawiała wesoło, inni przeglądali jakieś dokumenty. Cassandrę irytowała ich obojętność.

Niech to diabli!

Odsunęła notatki i postukała w mikrofon, przykuwając natychmiast uwagę zgromadzonych.

— Panowie, dziękuję za przybycie — powiedziała uprzejmie. — Chciałabym wyjaśnić, w jaki sposób firma „United States Express” zamierza w tym roku włożyć wam do kieszeni większą ilość gotówki.

Mówiła bez przerwy przez godzinę. Wyjaśniła, że karty uproszczą księgowość, a USE przekaże pieniądze kontrahentom, kiedy tylko otrzyma pokwitowania. Z dumą podała liczbę kierowników działów sprzedaży, którzy wpisali się już na listę klientów USE. Przewidywała, że w przyszłości sprzedawcy również będą używać kurty USE. Przedstawiła gościom Erica Gollanta oraz dyrektora jednego z największych

nowojorskich banków, który zgodził się firmować kartę. Nie powiedziała jednak, że gwarancja bankowa obowiązuje tylko pod warunkiem, że USE ma na koncie fundusze, z których można pokryć straty.

— Dziesięć procent to trochę drogo! — zawołał jeden z restauratorów. — Czy możemy negocjować? — krzyknął inny.

— To wcale nie jest drogo, biorąc pod uwagę gwarancje i usługi proponowane przez USE — odparła Cassandra. — Ubiję jednak z wami interes. Jeśli w ciągu jednego roku wasze zyski z karty przekroczą pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to porozmawiamy o prowizji.

Kątem oka Cassandra zauważyła, że Erie wzdrygnął się.

— W jaki sposób poradzicie sobie z oszustami? — spytał kierownik hotelu dla biznesmenów.

— Jeśli ktoś ukradnie kartę i posłuży się nią bez wiedzy i zgody właściciela, USE postara się znaleźć sprawcę. Ani klient, ani wasza firma nie poniesie żadnych strat. USE pokryje wszystkie koszty.

Kierownik roześmiał się.

— Niezła gwarancja. Czy mogę to mieć na piśmie?

— Oczywiście — odparła. — Jesteśmy przecież niezłą firmą. Cassandra zauważyła posępną minę Erica.

Po prezentacji dziewczęta w sukniach koktajlowych i czarnych rajstopach chodziły pomiędzy stołami, wręczając każdemu gościowi kartę USE oraz pieczętkę do stemplowania kwitów.

— Wystarczy, że wrzucicie pieczętkę do czerwonego pudełka — powiedziała Cassandra. — USE zwróci ją wam wraz z kwitami, kiedy tylko rozpoczniemy kampanię reklamową.

— A jeśli nie jesteśmy zainteresowani? — zapytał jakiś mężczyzna. Cassandra uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Po prostu wrzucicie pieczętkę do niebieskiego pudełka. Zanim to jednak zrobicie, przyjrzyjcie się, co robią wasi konkurenci.

Słychać było szuranie krzesel, kiedy goście zaczęli wymieniać opinie. Cassandra pomyślała z ulgą, że ma to już za sobą. Zeszła z podium, wmieszała się w tłum, ścisnęła dłonie i wypowiadała słowa zachęty. Nie zauważyła Nicholasa Lockwooda, ukrytego za zasłoną po przeciwnej stronie sali.

— Może są daltonistami.

W głosie Cassandry rozbrzmiewała gorycz. Ogromna sala była pusta. Kelnerzy zdejmowali ze stołów brudne obrusy i ustawiali krzesła. Przy wielkim stole koło podium Cassandra i Erie liczyli pieczętki w obu skrzynkach. Cassandra straciła nadzieję, kiedy tylko podniosła czerwone pudełko. Było tak lekkie, że mogła je unieść w jednej ręce.

— Jaki jest werdykt? Dwieście dwadzieścia.

— Mogło być gorzej — stwierdził filozoficznie Erie.

Cassandra usiadła koło podium. Wydała fortunę na pocztę, telefony, produkcję pieczętek i kart, obiady z kierownikami działów sprzedaży oraz dzisiejsze spotkanie. Jakie osiągnęła wyniki? Kilkaset lokali i dwa tysiące ludzi, którzy mogą używać kart, ale nie muszą. Erie miał słuszość: wydała dużo pieniędzy, a zyskała niewiele.

— Nie powinnaś tak myśleć — powiedział księgowy, siadając koło Cassandry. — Świetnie sobie poradziłaś. To przecież dopiero początek. Teraz musisz udowodnić zainteresowanym, że potrafisz dotrzymać obietnicy.

Cassandra zadarła głowę i popatrzyła na sufit.

— Powinnaś zrobić coś więcej. Nie wiem, dlaczego nie udało mi się ich przekonać, ale faktem jest, że poniosłam porażkę.

— Masz za sobą pierwszy krok. O to przecież nam chodziło. To klienci ich przekonają, a nie ty. Cassandra uśmiechnęła się słabo.

— Jasne. — Wstała i rozejrzała się. Widok pustej sali nie poprawił jej nastroju. — Wyjadę do chatki na weekend — powiedziała. — Przyrzekam, że wrócę w poniedziałek.

Erie skinął głową.

— Świetny pomysł.

Cieszył się, że Cassandra znalazła w Connecticut miejsce, w którym mogła wypocząć. Na wszelki wypadek zostawiła mu numer telefonu. Erie miał nadzieję, że Cassandra wkrótce odzyska siły. Będzie ich potrzebowała w następnych miesiącach.

61.

Na pozór przez ostatni rok w „Globalu” nic się nie zmieniło. Przekazy pieniężne i czeki podróżne wciąż odnosiły sukcesy na rynkach krajowych i zagranicznych. Ciężarówki i statki „Globalu” przewoziły towary na całym świecie. Firma powiększyła udziały w przedsiębiorstwach naftowych, farmaceutycznych i chemicznych, co zapewniło jej przewodniczenie w ponad dwudziestu radach nadzorczych.

Dyrektorzy instytucji dobroczynnych, muzeów i fundacji stypendialnych odetchnęli z ulgą, gdyż dostawali od „Globalu” coraz większe sumy. Matrony z Park Avenue, organizujące bale dobroczynne, były uradowane hojnymi datkami Stevena Talbota. W męskich klubach na Manhattanie tylko nowi przybysze zwracali uwagę na pokrytą bliznami twarz Stevena. Społeczność finansistów zaakceptowała spadkobiercę Rose.

Wbrew pozorom, w firmie zachodziły fundamentalne zmiany. W ciągu dwunastu miesięcy Steven Talbot sprzedał większość taboru kolejowego „Globalu” i zawarł krótkoterminowe umowy wynajmu lokomotyw i wagonów. Pozbył się również ogromnych magazynów, które Franklin Jefferson kupił w 1920 roku. Pod koniec roku „Global” stał się finansowym gigantem. Firma dysponowała kapitałem, którego zazdrościła jej cała Wall Street.

Prawie wszyscy wyżsi urzędnicy zatrudnieni przez Rose otrzymali wypowiedzenia, z wyjątkiem dwóch starych wiceprezesów. Kiedy wezwano ich do biura Stevena, byli pewni, że utracą posady.

— Chcę, żebyście się zajęli czekami podróżnymi i przekazami pieniężnymi — powiedział Steven.

— Zadowala mnie obecny stan rzeczy. Nie chcę żadnych zmian. Czy to jasne?

Obaj panowie, którzy byli ekspertami od kolejnictwa, szybko skinęli głowami. Po opuszczeniu gabinetu poszli do klubu na drinka.

— Nie znam się na czekach podróżnych. A ty?

— Żartujesz? Po śmierci Michelle McQueen O'Neill i Gollant prowadzili te operacje. Nigdy nawet nie używałem czeku podróznego.

— Do diabła, czego on od nas oczekuje?!

— To chyba oczywiste. Niczego!

Była to prawda. Kiedy Steven Talbot rzucił okiem na księgi rachunkowe, od razu się zorientował, skąd pochodzą zyski przedsiębiorstwa. Wiedział, że nie należy niczego zmieniać w interesie, który przynosi takie dochody. Przekazy pieniężne i czeki podrózne potrzebowały strażników, a nie śmiałych, twardych innowatorów. Dwaj starzy faceci, którym zależy na zachowaniu pracy i pensji, świetnie sobie z tym poradzą.

Firma cieszyła się znakomitą reputacją, Steven mógł więc zatrudnić najlepszych pracowników. Proponował im pensje, jakich nie oferowała żadna inna spółka. Jednakże ludzie, którzy zrobili na Stevenie największe wrażenie, nigdy nie zobaczyli biura na Lower Broadway.

Ci wyjątkowi rekruci posiadali podobne cechy. Byli młodzi, energiczni, pragnęli się wykazać i nie mieli żadnych skrupułów. Steven zwrócił na nich szczególną uwagę. Wymagał bezwzględnej lojalności i posłuszeństwa. Płacił im astronomiczne pensje, a w zaciszu Dunescragu uczył ich sztuki finansowej walki. Przede wszystkim jednak upewnił się, że nikt nigdy nie powiąże tych ludzi z „Globalem”. Steven wiedział, że prędzej czy później ktoś zechce zbadać jego przeszłość. Trop powinien się urywać na nich.

Każdemu ze swych poruczników Steven powierzył inne zadanie i kazał przysiąc, że dochowają tajemnicy. Później wysłał ich na wschód, do Tokio, Hongkongu, Dżakarty, Manili i Singapuru. Korzystając z funduszy fikcyjnych korporacji, zarejestrowanych w Panamie i Szwajcarii, mężczyźni zakładali banki i kupowali domy maklerskie. Wkrótce ludzie zaczęli plotkować o nowych źródłach kapitału, zasilających młode, borykające się z trudnościami gospodarki krajów Dalekiego Wschodu.

Steven z wielką pieczołowitością przygotowywał haczyk. Odlał go ze złota, wydobytego z „Hino Maru”, a oszlifował dzięki ogromnym zyskom z inwestycji. Gdyby nie słabość starej kobiety, musiałby się podzielić tymi piemędzmi z właścicielami *zaibatsu*. Teraz należało przygotować przynętę. Gdzieś tam czaiły się grube ryby. Steven wyczuwał, jak ostrożnie krążą wokół niego. Nie wątpił, że w końcu połkną przynętę. Znał szefów *zaibatsu* bardzo, bardzo dobrze...

Właśnie szykował się do obiadu, kiedy wszedł służący z listem, który przyniósł posłaniec. Steven poprawił ciemny krawat i przejrzał się w lustrze. Dzisiejszego wieczoru wybierał się na obiad z jedną z najatrakcyjniejszych nowojorskich debiutantek, uroczą, dziewiętnastoletnią dziewczyną. Odkrył, że wiele kobiet przejawia subtelną skłonność opisywaną w starych legendach i baśniach: zauroczenie piękności bestią.

Otworzył kopertę i przeczytał dwustronicowy raport Lockwooda, dotyczący

małego zebrania zorganizowanego przez Cassandrę w hotelu „Roosevelt”. Lockwood uznał, że była to groszowa operacja. Doszedł do wniosku, że koszty i nieudolne zarządzanie zniszczą firmę „United States Express” w ciągu niecałego roku. Nie ma się czym martwić. Steven uśmiechnął się i położył dokument w szufladzie obok drugiego raportu z niemal identyczną oceną. Ufał Lockwoodowi, nie powiedział mu jednak, że wśród gości był jeszcze jeden agent. W ten sposób chciał wystawić Nicholasa na próbę. Teraz był tak zadowolony, że postanowił dać podwyżkę szefowi wydziału inspekcyjnego.

Yukiko Kamaguchi doszła do wniosku, że Tokio nigdy już nie będzie takie jak dawniej.

Amerykane wydali miliony na odbudowę miasta i pozostawili w nim niezatarte ślady.

Japończycy, chętnie akceptujący wszystko, co amerykańskie, nie przewidzieli takiego rezultatu.

Yukiko zastanawiała się, ilu z nich naprawdę zauważyło zmianę.

Amerykańska okupacja miała jednak pewien dobry skutek, który niewielu ludzi doceniało i rozumiało. Stany Zjednoczone narzuciły Japonii nową konstytucję, przyznając kobietom te same prawa, co mężczyznom. Za pomocą kilkudziesięciu słów Ameryka przekreśliła tysiąc lat dyskryminacji. Yukiko dostrzegała ironiczną wymowę tego faktu. Musiała się ukrywać, nie mogła więc skorzystać z nowego prawa. Jeszcze nie.

Nazajutrz po spotkaniu z szefami *zaibatsu* Yukiko opuściła Honolulu. Wiedziała, że ludzie, których zawiodła, nie pozwolą jej wrócić do Japonii. Musiała wślizgnąć się do kraju, zanim zdąży się przygotować.

Na Hawajach dysponowała kontem bankowym, z którego płaciła pracownikom i pokrywała codzienne wydatki. Pozostałymi sprawami zajmował się Steven. Za jego plecami Yukiko zgromadziła jednak niewielki kapitał. Wymyślała fikcyjne zakupy, za które rzekomo musiała zapłacić gotówką i po pewnym czasie zebrała kilka tysięcy dolarów. W Japonii była to fortuna. Kiedy Yukiko wróciła do kraju, wynajęła skromne, jednopokojowe mieszkanie na przedmieściu Tokio. Żyła wśród robotników, z dala od ciekawskich spojrzeń i wścibstwa obcych.

Całymi dniami wędrowała po Tokio i przyglądała się miastu. Wszyscy mówili o odbudowie, o nowych fabrykach, które powstawały w miejscu starych zakładów. Na obrzeżach miasta słychać było ogłuszający hałas. Tokio odradzało się z popiołów. Yukiko nie mogła jednak rzucić się w wir interesów: jeśli szefowie *zaibatsu* dowiedzą się o tym, zrobią wszystko, by ją zniszczyć.

Nawet oni nie będą w stanie zatrzymać tej fali.

Japonia rozpoczęła wojnę, gdyż brakowało jej ziemi. Yukiko często słyszała, jak Amerykanie podziwiają uprzejmość Japończyków. Czy mieszkańcy ogromnego kraju mogli coś wiedzieć o życiu wśród tłumu sąsiadów? Przegrana wojna oznaczała coś więcej niż narodową hańbę. Japonia nigdy nie zdobędzie przestrzeni, której bardzo potrzebowała.

Znaczy to, że wzrosną ceny nieruchomości. Jeśli właściciel działki zacznie coś budować, cena jego ziemi natychmiast pójdzie w górę.

Yukiko Kamaguchi nie знаła się na gospodarce ziemskiej ani na budownictwie, udała się jednak do Centralnego Rejestru Tokijskiego i dowiedziała się, które tereny są na sprzedaż. Na większości działek odbudowa jeszcze się nie zaczęła. Jednakże tam, gdzie inni widzieli tylko ruiny, Yukiko dostrzegła lśniące pałace.

Teraz musiała pokonać najpoważniejszą przeszkodę. Nie mogła niczego kupić na własne nazwisko. Kiedy złoży podpis na oficjalnym dokumencie, wytropią ją szefowie *zaibatsu*. Yukiko przewidziała to i jesienią 1950 roku wysłała telegram do Cobbler's Point, wzywając do Japonii Jiro Tokuyamę.

Kamerdyner Stevena został na Hawajach nie tylko po to, by zajmować się posiadłością. Yukiko kazała mu czekać na powrót pana. Steven jednak nie wrócił i nie przysyłał żadnych wiadomości. Jiro Tokuyama spakował się i opuścił Cobbler's Point, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Była to mała, lecz satysfakcjonująca zemsta.

Po powrocie do Tokio Jiro Tokuyama wprowadził się do małego mieszkania niedaleko Yukiko. Następnie otworzył rachunek bankowy i złożył na nim sześćset dolarów amerykańskich, wyjaśniając, że zarobił je na Hawajach. Później kamerdyner udał się do adwokata, aby zarejestrować spółkę.

— Jak chciałby pan nazwać nowe przedsiębiorstwo? — spytał adwokat. Jiro Tokuyama uśmiechnął się uprzejmie.

— Niech to będzie jakaś liczba.

Adwokat zadzwonił do Biura Nazw i dowiedział się, że następną wolną liczbą jest 4780.

Kilka dni później spółka „4780” kupiła za kilkaset dolarów działkę o powierzchni czterdziestu tysięcy stóp kwadratowych, na której pełno było pękniętych cegieł i pogniętego metalu. Kiedy Jiro Tokuyama posłusznie podpisał dokument, Yukiko udała się do świątyni sinto, w której kiedyś ukrywał się jej ojciec. Tam zapaliła kadzidło i szepnęła duchowi ojca, że zaczęła wyrównywać rachunki.

Dysponując listą klientów i lokali, Cassandra była gotowa do następnego kroku. Chciała zainicjować operację tuż przed Świętem Dziękczynienia, zanim rozpocznie się najgorętszy sezon handlowy. Hotele i restauracje robiły świetne interesy pomiędzy końcem października a Nowym Rokiem. Cassandra pragnęła, żeby USE również na tym skorzystał.

Wraz z Jimmym Pearce'em, znalazła idealne miejsce na produkcję kart: nie rzucające się w oczy, bezpieczne i leżące w pobliżu Empire State Building. Był to pusty budynek, który nie został rozebrany, gdyż władze uznały, że ma historyczną wartość.

— Tu jest wspaniale! — krzyknęła Cassandra, stojąc na rogu Piątej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Patrzyła na nieduży budynek z czerwonej cegły z ozdobnymi kratami w oknach i ciężkimi drzwiami z brązu.

— Kiedyś mieścił się tu Morski Bank Oszczędnościowy — wyjaśnił Jimmy. — Powstał na przełomie wieków i zbankrutował w czasie kryzysu.

Następnego dnia Cassandra podpisała z Towarzystwem Historycznym długoter-

minową umowę wynajmu. Zgodziła się niczego nie zmieniać ani na zewnątrz, ani w środku budynku i zobowiązała się, że po pewnym czasie przywróci mu dawną świetność.

— Czy znasz kogoś w głównym komisariacie policji? — spytała Jimmy'ego, kiedy wychodzili z gmachu Towarzystwa Historycznego.

— Kilka osób. Dlaczego?

— Zanim wrócę z Waszyngtonu, chcę, żeby założono tu najlepszy system alarmowy. Zapytaj kilku detektywów, czy nie zgodziliby się podjąć dodatkowej pracy. Musimy dokładnie sprawdzić każdego z naszych pracowników.

Cassandra wysiadła z pociągu w Waszyngtonie, a potem pojechała taksówką do Biura Grawersko-Drukarskiego. Wnętrze biura przypominało fabrykę. Strażnik zaprowadził Cassandrę do sali, gdzie grawerzy wytwarzali matryce dla różnego rodzaju papierów — od znaczków za jeden cent do certyfikatów za milion dolarów.

— Proszę bardzo, panno McQueen — powiedział dyrektor, wręczając jej lśniącą, metalową płytkę o długości ośmiu cali, szerokości czterech cali i półcalowej grubości. — Pod mikroskopem dokładniej zobaczy pani szczegóły.

Cassandra odgarnęła włosy z czoła i przycisnęła oczy do dwóch soczewek. Zaskoczyła ją kunsztowność wykonania.

Obramowanie płytki przypominało rybią łuskę. W obu górnych rogach widniały kotwice. Pod nimi dużymi literami wydrukowano słowa: „UNITED STATES EXPRESS”. Na środku znajdował się profil rycerza, śmiało i zdecydowanie patrzącego w przyszłość. Cassandra wybrała ten symbol, gdyż pierwszy opis „karty kredytowej” pochodzi z wieków średnich. Rycerze nosili pierścienie, na których były wyryte specjalne insygnia. Zamiast płacić gotówką, pieczętowali rachunek pierścieniem, a później kupiec przedstawiał ten dokument skarbnikowi.

Na karcie płatniczej filigranowe łuski będą czarne, litery białe, a ornament błękitny. Na samym środku znajdzie się nazwisko i numer posiadacza karty. Pod spodem zostanie umieszczona data wydania i termin ważności karty. Biały pasek po przeciwnej stronie karty to miejsce na podpis klienta.

— Cudowne! — wyszeptała Cassandra.

— Dziękuję, panno McQueen — odrzekł grawer. — Proszę mi wierzyć, że wykonanie tego nietypowego zlecenia sprawiło nam ogromną przyjemność. Natychmiast wyślemy produkt do Nowego Jorku.

Po powrocie Cassandra zaczęła poszukiwać drukarzy, którzy zajmą się produkcją kart. Do października sprawdzono wszystkich pracowników i utworzono dział produkcyjny i rytowniczy. Cassandra mogła się wreszcie skupić na ostatniej, ale za to kluczowej sprawie.

— Oto nasze dzieło — powiedział Jimmy Pearce, kiedy weszła do biura magazynu Q, zastawionego dużymi stołami kreślarskimi.

Wszystkie projekty plakatów zostały wykonane przez artystów współpracujących

z magazynem *Q*. W ten sposób Cassandra oszczędzała czas i pieniądze, a także trzymała w tajemnicy szczegóły kampanii reklamowej. Jimmy pokazał Cassandrze projekty.

— Reklamy dla hotelarzy ukazały się w dziennikach handlowych i rubrykach podróży głównych gazet. Dotarliśmy również do wielu wewnętrznych publikacji korporacyjnych. Uwzględniliśmy każdą spółkę, mającą co najmniej kilkunastu przedstawicieli do spraw sprzedaży oraz wewnętrzny biuletyn.

— Na jak dużym terenie będziemy się reklamować? — spytała Cassandra, przyglądając się uważnie projektom.

— Nowy Jork, New Jersey, Massachusetts i Pensylwania.

Projekt, w większości czarno-biały, był imponujący. Pod prostym rysunkiem widniał napis:

KARTA UNITED STATES EXPRESS — BEZPIECZEŃSTWO, WIARYGODNOŚĆ,

AKCEPTACJA. POMAGAMY CI OSIĄGNĄĆ TWOJE CELE!

Poniżej wyjaśniano, jakie korzyści daje posiadanie karty i wymieniano listę przedsiębiorstw, które ją honorują. Na samym dole widniał odważny komentarz: „Karta United States Express — używaj jej!”

— Trafia prosto między oczy! — powiedziała z podnieceniem Cassandra. — Co jeszcze macie?

Jimmy przeczytał tekst reklamy radiowej i powiedział, jaki czas na antenie udało mu się kupić.

Cassandra zbladła, kiedy usłyszała cenę.

— Wiem, że to kupa pieniędzy — przyznał. — Warto jednak zapłacić. Chcesz przecież, żeby ludzie zaczęli mówić o USE. W tym celu musisz ich powiadomić o istnieniu karty.

Cassandra jeszcze raz spojrzała na rachunek, a potem go podpisała.

— Wiem. To po prostu majątek.

— Uśmiechnij się. Magazyn *Q* ma dla ciebie niespodziankę. — Jimmy wziął Cassandrę za łokieć i poprowadził ją do swojego biura. — Jak wygląda? — zapytał.

Czekający na nich fotograf uśmiechnął się.

— Tak jak zawsze: jak milion dolarów.

— Jimmy, co się dzieje?

— A jak sądzisz? Przeprowadzimy z tobą wywiad. Opublikujemy zdjęcie na okładce i trzystronicowy artykuł w wydaniu świątecznym.

Cassandra była wzruszona.

— Jimmy... Nie wiem, co powiedzieć... Pearce machnął ręką.

— Wszyscy tego chcemy, Cass. W ten sposób dziękujemy ci i życzymy szczęścia.

62.

Tak jak większość ludzi, Cassandra w dzieciństwie poznała na własnej skórze słusność przysłowia „Co za dużo, to niezdrowo” — zwykle po drugiej lub trzeciej dokładce ulubionego deseru. Kiedy zbliżały się jej trzydzieste urodziny, znów się przekonała, że to stare powiedzenie jest prawdziwe.

W lutym 1951 roku biuro „United States Express” na Dziewiątej Alei przypominało szpital wariatów. Nikt się nie spodziewał takiego nawału pracy po świątecznym weekendzie. Każdego dnia napływały setki rachunków. Restauratorzy i hotelarze domagali się większej liczby formularzy. Ciągłe dzwonili nowi kierownicy sprzedaży i mówili, że chcieliby otrzymać karty. Cassandra pracowała osiemnaście, a czasami dwadzieścia godzin na dobę, to jednak nie wystarczało. Płaciła pracownikom podwójne pensje, żeby pracowali w nadgodzinach i w weekendy. Mimo to cała operacja opóźniła się o kilka tygodni. Cassandra wiedziała, że powinna szybko ściągać pieniądze od klientów i natychmiast przekazywać je kontrahentom. Nie mogła sobie pozwolić na wywołanie niezadowolenia kupców.

Kolejnym nieprzewidzianym problemem był brak miejsca. Odnowiony bank stał się za ciasny. Cassandrę przerażała ilość papierkowej roboty. Każdy klient miał swoją teczkę. Istniały również teczki kupców, teczki wydatków, grube księgi przychodów, rachunki i ciągle zmieniające się salda bankowe. Wykorzystano każdy skrawek wolnego miejsca, to jednak było za mało. Podania od instytucji proponujących współpracę oraz od petentów ubiegających się o kartę załatwiano w biurze Cassandry. Personel nie protestował przeciwko pracy w nadgodzinach, gdyż wiązało się z tym dodatkowe wynagrodzenie, wszyscy narzekali jednak na warunki pracy. Jeśli sytuacja się pogorszy, może dojść do buntu.

W ostatnim tygodniu lutego Cassandra przeniosła całą produkcję do nowego budynku na południu Manhattanu. Burza śnieżna sprawiła jednak, że przeprowadzka trwała aż trzy dni. W rezultacie zniecierpliwieni kupcy musieli dłużej poczekać na dostawę formularzy.

Mimo to dzięki przeprowadzce w dziale rozliczeń zrobiło się luźniej. Przywieziono nowe biurka, krzesła i szafy. Cassandrze udało się nawet odzyskać swoje biuro.

— Wygląda na to, że poradziłaś sobie ze wszystkim — powiedział flegmatycznie Eric Gollant. Cassandra spojrzała na niego ze złością.

— Idzie po prostu świetnie.

— Jeśli mógłbym coś zaproponować — rzekł adwokat— to powinnaś zatrudnić kilku sprzedawców. Wciąż dzwonią do mnie ludzie, którym obiecałaś spotkanie, ale się nie zjawiaś.

— Ericu, czuję się jak strażnik w domu wariatów. Ludzie cały czas na mnie wrzeszczą. Każdy czegoś chce. Jeśli sądzisz, że potrzebuję sprzedawców, w porządku, zatrudnij ich. Najpierw mi jednak powiedz, z czego mam im zapłacić.

Pomimo ogromnego ruchu w interesie, wydatki Cassandry były o wiele większe od jej dochodów. Wynajęcie nowego budynku i przeniesienie produkcji formularzy kosztowało fortunę. Lista płac tak się rozrosła, że Cassandra mogła tylko spłacać zastawione mieszkanie i wydawać minimalną kwotę na życie. Rezerwy bankowe USE wciąż jednak spadały, niczym strzałka barometru zapowiadająca sztorm.

Erie odsunął stos dokumentów i spojrział Cassandrze prosto w oczy.

— Posłuchaj mnie. Stało się coś, czego nikt nie oczekiwał. Kiedy wprowadziłaś na rynek kartę USE, wywołałaś zupełnie niespodziewany efekt. Codziennie dzwoni do mnie przynajmniej trzydzieści spółek, żądając kart dla swoich pracowników. A jak u ciebie?

— Siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt telefonów — odparła.

— O to właśnie chodzi! — wykrzyknął z triumfem Erie. — Może przyczyniło się do tego twoje przemówienie, a może reklama. Bez względu na powody, masz teraz coś, o czym marzy każdy biznesmen: ustną reklamę. Karta stała się modna, wszyscy o mej mówią. Nieraz już widziałem w restauracji klientów płacących kartą. Zawsze jest tak samo: klient wyjmuje kartę i uśmiecha się z zadowoleniem, bo wszyscy mu się przyglądają. Przez następne dziesięć minut facet opowiada o karcie, jak gdyby to właśnie on ją wynalazł. Dzięki temu czuje się kimś ważnym. Cassandro, sądziłaś, że oferujesz ludziom narzędzie, usługę. Robisz jednak coś więcej. Dzięki tobie ludzie czują do siebie większy szacunek. Sprzedajesz im marzenie.

Cassandra nigdy nie widziała Erica tak podekscytowanego. Nagle ogarnął ją entuzjazm.

Zapomniała o zmęczeniu.

— W takim razie powinniśmy zatrudnić sprzedawców.

— Już czekają. Potrzebowałam tylko twojej zgody. Cassandra roześmiała się.

— Oczywiście. Ericu, mówiąc poważnie, czy stać mnie na to?

— Nie masz wyboru.

Po wyjściu Erica Gollanta Cassandra zamknęła drzwi i nie zwracała uwagi na telefony.

Zastanawiała się nad jego słowami. Podjęła już decyzję, ale wciąż nie była pewna, czy postępuje właściwie.

Do diabła, muszę wykorzystać okazję!

Zadzwoiła do Jimmy'ego Pearce'a i powiedziała, że pragnie się spotkać z artystami magazynu *Q*. Chce, żeby przygotowali drugą kampanię reklamową.

— Czyżby pierwsza się nie udała? — spytał Pearce.

— Ależ skąd. Była to znakomita reklama kawałka plastiku. Ja jednak zamierzam sprzedawać marzenia.

Rozwiązawszy chwilowo problem miejsca do pracy, Cassandra postanowiła usprawnić przepływ gotówki w USE.

— Wielu ludzi używa naszej karty, ale niewiele instytucji ją honoruje

— powiedziała sześciu nowo zatrudnionym sprzedawcom. — Skoro posiadacze karty mc za nią nie płacą, nasze zyski ograniczają się do prowizji od zawartych transakcji. Krótko mówiąc, mamy zbyt małą bazę.

Sprzedawcy proponowali różne pomysły, ale Cassandra odpowiedziała krótko:

— Nie. — Potem rozdała im kopię następnej reklamy, która ukaże się w czasie świąt wielkanocnych. — Pokażcie to wszystkim. Niech kupcy wiedzą, że w reklamie znajdą się nazwy zakładów, honorujących naszą kartę. Zrobimy wszystko, by posiadacze karty zostali ich klientami.

— Cassandro, ktoś mógłby pomyśleć, że w ten sposób wpisujesz pozostałe zakłady na czarną listę — ostrzegł Erie.

— Nie mogę czekać, aż klienci zmuszą swoje ulubione restauracje i hotele do przyjmowania kart

— odrzekła ostro Cassandra.

— Niech nam pani da do ręki jakiś atut, który moglibyśmy wykorzystać

— prosili sprzedawcy. Spojrzała na nich uważnie.

— Dobrze. Powiedzcie kupcom w zaufaniu, że w czerwcu Amerykanie wyjeżdżający na wakacje będą mogli płacić kartą w każdym hotelu „Hilтона”. Co, ich zdaniem, wybiorą klienci: miejsca, w których trzeba mieć gotówkę, czy też lokale, gdzie wystarczy położyć kartę na stół?—Cassandra patrzyła na oszołomionych współpracowników. — Poprosiliście mnie o zachętę, panowie, i otrzymaliście ją Teraz wasza kolej.

— Boże, Cassandro, czemu nie powiedziałaś mi o „Hiltonie”? Cassandra spojrzała na przyjaciela z poczuciem winy.

— Nie ma o czym mówić. Na razie.

— Jak to? Przecież właśnie stwierdziłaś...

— Ericu, musiałam im coś powiedzieć! To wspaniali młodzi ludzie i na pewno /nukomici sprzedawcy, ale muszą przecież mieć coś do sprzedania.

— Nawet kłamstwo?

— Proszę, nie zmuszaj mnie, bym czuła się jeszcze gorzej — błagała Cassandra. Nie mogłam im dać nic innego. Poza tym zamierzam spotkać się z dyrektorem Hiltona.

— A jeśli odmówi? Co pomyślą ci chłopcy, kiedy okaże się, że „Hilton” nie podpisał z tobą umowy?

— Będę wówczas w gorszej sytuacji niż oni. Przez chwilę milczeli, pogrążeni w myślach.

— Wiem, że musisz zaryzykować — rzekł w końcu księgowy. — Czy jednak trochę nie przesadziłaś?

— Skoro tak, to będę musiała za wszelką cenę zawrzeć umowę.

— Jak zamierzasz to zrobić? Cassandra uniosła ręce z udaną rozpaczą.

— Porozmawiam z ludźmi Kendalla, cóż by innego?

Erie Gollant nie chciał już o tym myśleć. Miał pewne podejrzenia, ale nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Ryzyko było zbyt duże. Nawet Cassandra nie próbowałaby czegoś takiego.

Zaraz po wyjściu Gollanta Cassandra podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Lionela Kendalla z Filadelfii. Kendallowie byli jedną z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin w branży hotelowej, jednakże każdy hotel Kendalla przyjmował tylko zapłatę w gotówce. Hotelarz był uprzejmy dla Cassandry, twierdził jednak, że nie ma zamiaru zmieniać polityki handlowej. Po półgodzinnej rozmowie Cassandra umówiła się z nim na spotkanie.

— Mam nadzieję, że podróż była przyjemna, panno McQueen — powiedział serdecznie Lionel Kendall, kiedy następnego dnia przybyła do Filadelfii. — Niestety, myślę, że nic nie wyjdzie z naszego interesu.

Kendall był wysokim, barczystym mężczyzną o gęstej, siwej czuprynie i staroświeckim wąsiku. Przypominałby świętego Mikołaja, gdyby nie bystre, uparte, błękitne oczy.

— Sądzę, że zawsze łatwiej jest powiedzieć „nie” niż „tak” — odrzekła Cassandra. Kendall zachichotał.

— No dobrze. Zamieniam się w słuch.

Cassandra pokazała Kendallowi broszurki, reklamy i długą listę klientów. Wyjaśniła, że hotele honorujące kartę przyciągną nowych klientów, którzy w dodatku będą wydawać więcej pieniędzy.

— Brzmi to świetnie — powiedział Kendall. — Prowadzę jednak rodzinną firmę, panno McQueen. Przedstawiona przez panią lista klientów jest imponująca, ja mógłbym jednak pokazać trzy razy dłuższą. Do diabła, mamy stałych klientów w całym kraju! Moi pracownicy znają tych ludzi i akceptują ich czeki bez zadawania pytań. Trudno o bardziej osobisty stosunek do klienta, prawda?

— Ma pan słuszość — przyznała Cassandra. Lionel Kendall wyszedł z biurka.

— Jestem przekonany, że stworzyła pani porządną firmę. Tyle tylko, że to nie dla mnie. Bez urazy?

— Bez urazy, panie Kendall. Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

— Cassandra zebrała dokumenty. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pójdę do mojego pokoju i odświeżę się trochę przed obiadem. W oczach Kendalla pojawił się lubieżny błysk.
— Czułbym się zaszczycony, mogąc pani towarzyszyć przy obiedzie.
— To bardzo miła propozycja — odparła ze słodyczą Cassandra. — Chętnie z niej skorzystam. Zaraz po powrocie do pokoju Cassandra rzuciła dokumenty na biurko i zadzwoniła do Jimmy'ego Pearce'a. W niecałe pięć minut opowiedziała mu o rozmowie z Kendallem, nie wspomniała jednak, że hotelarz stanowczo odrzucił jej ofertę.

— Dziś idę z nim na obiad — zakończyła.

— Świetnie, Cass. Jest jakaś szansa, że uda się wam zrobić zdjęcie?

— To zależy od ciebie. Może powinieneś zadzwonić do jakiegoś dziennikarza z filadelfijskiego *Enquirer*...

Obiad był udany, a Lionel Kendall okazał się interesującym towarzyszem. Najwyraźniej kochano go w rodzinnym mieście. W najlepszej filadelfijskiej restauracji zgotowano Kendallowi królewskie przyjęcie. Wielu ludzi zatrzymywało się przy stoliku i składało mu wyrazy szacunku. Na widok fotografa z lokalnej gazety hotelarz uśmiechnął się szeroko i objął Cassandrę.

— Na pewno nie zmienisz zdania? — spytała po raz ostatni Cassandra, kiedy Kendall odprowadzał ją do hotelu.

— Nie tym razem. Było mi jednak bardzo miło. Cassandro, mam nadzieję, że nie wyjeżdżasz z miasta zbyt rozczarowana.

— Lionelu, wcale nie jestem rozczarowana.

W następnym tygodniu w magazynie *Q* ukazała się wzmianka o „spotkaniu w interesach” pomiędzy Cassandrą McQueen a Lionelem Kendallem. W artykule nie pisano wyraźnie, co było przedmiotem dyskusji, jednakże zdjęcie uśmiechniętego Kendalla koło Cassandry mówiło samo za siebie.

Jeśli to nie wystarczy, nic nie pomoże — myślała Cassandra, patrząc na telefon swojej prywatnej linii. — Dzwon, do cholery! Dzwon.

Zadzwonił, ale dopiero po tygodniu. Przez ten czas nastrój Cassandry oscylował pomiędzy entuzjazmem a czarną rozpaczą.

— Dzwoni do pani pan Hilton — powiedziała Maddy, sekretarka Cassandry. Niewiele brakowało, a Cassandra udławiłaby się bułką.

— Proszę łączyć.

Conrad Hilton odezwał się od razu. Krążyła plotka, że ten człowiek nie lubi tracić czasu.

— Panno McQueen, oboje byśmy na tym skorzystali, gdyby zjawiła się pani w moim biurze w „Waldorfie” jutro o trzeciej po południu.

— Po co, panie Hilton?

— Myślę, że zna pani odpowiedź na to pytanie — odrzekł sucho Hilton.

— Nalegam, żeby nikomu pani nie opowiadała o naszym spotkaniu. Cenię wprawdzie magazyn *Q*, uważam jednak, że gazety nie powinny dowiedzieć się o pewnych sprawach, przynajmniej na razie.

— Trzecia mi odpowiada — odparła chłodno Cassandra. — Wezmę ze sobą mojego księgowego.

— Nic z tego, panno McQueen. W Teksasie wystarcza nam uścisk dłoni.

— Jesteśmy w Nowym Jorku, panie Hilton.

Zapadło milczenie i przez chwilę Cassandra sądziła, że posunęła się za daleko.

— Dobrze. Proszę zabrać ze sobą Gollanta. Podoba mi się jego styl. Czeka go dużo pracy. Do zobaczenia o trzeciej, panno McQueen.

Połączenie zostało przerwane.

— Ja również dziękuję, panie Hilton — powiedziała wesoło Cassandra do głuchej słuchawki.

— Nie wiem, jak to zrobiłaś...

Oszołomiony Erie Gollant szedł za Cassandrą wśród małych stolików w hotelu „Waldorf”. W słynnym lokalu panował tłok. Szef sali zaprowadził ich do stolika Conrada Hiltona, gdzie Cassandra zamówiła podwójny koniak i szybko wypila pół kieliszka. Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

— Jak to zrobiłaś? — spytał Erie.

Idąc na spotkanie, obawiał się najgorszego. Nie doszło jednak do kłótni. Ku zdumieniu Erica w niecałą godzinę Cassandra i Hilton zawarli porozumienie, na mocy którego każdy jego hotel nie tylko będzie przyjmował karty USE, ale również je rozreklamuje w swoich broszurach.

— Powiedz mi — nalegał. — Skąd wiedziałaś, że Hilton się zgodzi? Cassandra odetchnęła głęboko. Koniak ją uspokoił. Wyjęła z portmonetki plik kwitów USE.

— Wcale nie wiedziałam. Kiedy szłam na spotkanie z Kendalllem, byłam pewna, że nie zechce karty.

— Nie można było wybrać gorzej — przerwał Eric. — Kendall zawsze cieszył się reputacją uparciucha.

Cassandra pokręciła głową.

— Nieprawda. Chciał, żeby ludzie tak myśleli, ale w rzeczywistości pan Kendall jest wytrawnym biznesmenem.—Cassandra podsunęła Ericowi kwity.—Jego firma nie akceptuje karty, ale on sam jej używa. Spójrz tylko, gdzie z niej korzystał.

Erie nie wierzył własnym oczom. Przeglądał kwity, zauważając nazwy nowojorskich restauracji, w których Kendall posłużył się kartą USE.

— Zadałam sobie pytanie, dlaczego Kendall spędza w tym mieście tyle czasu. Z kim się spotyka i dlaczego? Potem przypomniałam sobie artykuł Jimmy'ego o Conradzie Hiltonie. Przedsiębiorstwo Hiltona ma bazę w Nowym Jorku. Ten facet

gra w monopol prawdziwymi hotelami. Firma Kendalla wpadła w stagnację. Istniała szansa, że Kendall jest gotów ją sprzedać.

— To bardzo ryzykowne przypuszczenie — powiedział Erie. Cassandrą uśmiechnęła się.

— Spróbowałam się upewnić. Zanim pojechałam do Filadelfii, odwiedziłam kilka restauracji, do których chodził Kendall. Powiedziałam kierownikom, że świetnie się u nich bawił i pyta, czy jego gość, pan Hilton, miał jakieś uwagi. Oczywiście, miał. Wiedziałam więc, że rozmawiali ze sobą, a może nawet dobili targu.

— Poszłaś zatem do Kendalla i starałaś się go namówić do przyjęcia karty, wiedząc, że się nie zgodzi. W rzeczywistości chodziło ci tylko o to, żeby widziano was razem. Artykuł Jimmy'ego i zdjęcie były przynętą dla Hiltona.

— Jeśli Hilton rzeczywiście chciał przejąć firmę Kendalla, to musiał interweniować. Gdyby hotele Kendalla zaczęły akceptować kartę, ich zyski by wzrosły. Hilton nie mógł do tego dopuścić.

— I dlatego do ciebie zadzwonił. Czy Cassandry błyszczały.

— Dlatego podpisał ze mną umowę — poprawiła.

— Nikt w to nie uwierzy — powiedział księgowy. Cassandrą schyliła się ku niemu.

— Nikt nigdy nie pozna szczegółów. Zastanów się, Ericu. Dzięki kwitom dowiedziałam się, jakie lokale odwiedza klient. Gdyby ta informacja się rozniosła, skutki byłyby katastrofalne. Ludzie doszliby do wniosku, że USE śledzi prywatne życie klientów.

Erie Gollant bawił się kieliszkiem.

— No dobrze — powiedział w końcu. — Właśnie odkryłaś, w jaki sposób możemy sprawdzać zdolność kredytową klientów. Musimy stworzyć własne biuro informacyjne i na bieżąco uzupełniać teczki personalne. Kiedy dowiemy się, gdzie klienci zwykle wydają pieniądze, natychmiast zauważymy każdą anomalię. Nie powinnaś zapominać o jednej ważnej rzeczy: liczba oszustów rośnie wraz z liczbą posiadaczy kart.

Cassandrą poczuła się nieswojo. Wiedziała, że propozycja Erica jest rozsądna i rozważna. Poznała jednak na własnej skórze, czym jest naruszenie prywatności drugiego człowieka i czuła się teraz jak podglądacz.

— Muszę wyjechać na pewien czas do Connecticut, żeby to przemyśleć — powiedziała.

— Oczywiście — rzekł Erie. Mrugnął do niej, a potem dodał: — Byłaś tylko w poniedziałek rano znalazła się z powrotem w biurze.

O ósmej rano 21 kwietnia Cassandrą przekroczyła próg działu rozliczeń USE, oczekując, że powitają ją odgłosy codziennej krzątaniny. Dawny bank był jednak pusty. Nie stukała żadna maszyna, nie dzwonił żaden telefon. Przez chwilę Cassandrą sądziła, że trafiła pod niewłaściwy adres.

— Niespodzianka!

Bez żadnej zapowiedzi pojawiły się nagle balony, konfetti i serpentyny. Wokół Cassandry zgromadzili się pracownicy. Podeszedł do niej Jimmy Pearce i niczym dyrygent z Carnegie Hall, dał sygnał do rozpoczęcia pieśni *Happy Birthday*.

Cassandra była tak wzruszona, że łzy stanęły jej w oczach. Kiedy wniesiono tort, musiała trzy razy głęboko odetchnąć, zanim zdmuchnęła świece. Później Erie Gollant w imieniu całego personelu wręczył jej szczerozłotą podobiznę karty „United States Express”.

— Nie wiem, jak wam dziękować — mówiła Cassandra. — Jesteście tacy wspaniali i...
Zabrakło jej słów.

— Masz dzisiaj wolne—oświadczył Erie. — Przez cały dzień nie chcemy cię tu widzieć. Idź na zakupy!

Zaimprovizowane przyjęcie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Cassandra wyszła z budynku i zastanawiała się, czy to wszystko nie było tylko snem. *A niech tam! Pójdę na zakupy!* Cassandra dawno już nie przechadzała się po Piątej Alei i nie oglądała wystaw. U Saksa i Bergdorfa Goodmana zauważyła nowe wiosenne kolekcje. Dwa najślynniejsze paryskie domy mody, Dior i Balenciaga, wprowadziły do swoich modeli chińskie motywy. Amerykańscy projektanci, jak Hattie Carnegie i Norman Norell, poszli za ich przykładem.

Cassandra pozwoliła nieść się tłumowi aż do domu towarowego Farradaya. Zwolniła kroku, wdychając zapach perfum i dotykając jedwabnych chust Hermesa. Manhattan ogarnęła najwyraźniej wiosenna gorączka robienia zakupów. Było jeszcze wcześniej, w sklepie tłoczyły się jednak kobiety, zmierzające do swoich ulubionych działów. Słychać było wesołe dzwonki rejestratorów kasowych.

Cassandra patrzyła, jak klientki kupują wszystko, od torebek do najnowszych kostiumów. Niektóre z nich przygotowywały się na określoną okazję — obiad, przyjęcie popołudniowe lub wieczorne, inne potrzebowały dodatków, jeszcze innym zakupy po prostu sprawiały przyjemność. *One wszystkie pragną się poczuć kimś niezwykłym. Wierzą, że dzięki zakupom staną się piękniejsze, bardziej godne pożądania. Wszystkie płacą gotówką.*

Cassandra zatrzymała się nagle, aż zaczęli na nią wpadać inni klienci.

— Mam to przed samym nosem — powiedziała głośno i zarumieniła się, kiedy zauważyła, że sprzedawczynie patrzą na nią ze zdziwieniem.

Ubrania, biżuteria, kwiaty, obiady. Najpierw jednak ubrania! Weszła na ruchome schody i wkrótce znalazła się w biurze na piątym piętrze. Podeszła do informacji dla klientów i powiedziała do przestraszonego urzędnika:

— Proszę mi podać numer telefonu pana Farradaya w Los Angeles.

Kiedy Cassandra przyjechała do Los Angeles, była tak podekscytowana perspektywą spotkania z Mortonem Farradayem, że nawet zapach morza i łagodny

wiatr znad Pacyfiku nie pomogły jej zasnąć. Następnego ranka przybyła o pół godziny za wcześnie na spotkanie z właścicielem sieci domów towarowych.

— Wiele się o pani mówi, panno McQueen — powiedział Farraday, kiedy siedzieli na tarasie jego bungalowu w Beverly Hills.—Świetnie poradziła pani sobie z Hiltonem.

— Doprawdy? — spytała niewinnie Cassandra. — Co ma pan na myśli? Na ogorzałej twarzy Farradaya pojawił się szeroki uśmiech.

— Bujać to my, ale nie nas, panno McQueen — powiedział przyjaźnie

— Dobrała się pani do Conrada. Nie wiem jak, ale udało się pani. — Nie zwrócił uwagi na jajka, które postawił przed nim kelner. — Teraz zamierza pani zrobić to samo ze mną.

— Nigdy bym się nie ośmieliła, panie Farraday — odrzekła Cassandra.

— Przyjechałam tu tylko po to, żeby opowiedzieć panu o kobietach.

Widlec Farradaya zatrzymał się w połowie drogi. Na Zachodnim Wybrzeżu krążyły legendy o jego romansach. Farraday nie chciał komentować publicznie swych miłosnych przygód, te plotki sprawiały mu jednak przyjemność.

— Chętnie posłucham—powiedział z sarkazmem.—Chciałbym się dowiedzieć, co przeoczyłem. Cassandra z zadowoleniem podchwyciła temat.

— Jakiprocentpańskichnowojorskichklientów stanowiąkobiety, panie Farraday?

— Prawie sto, jeśli się nie mylę.

— Płacą gotówką, czyż nie tak? Kupiec uśmiechnął się.

— Tylko gotówką.

Cassandra zignorowała jego kpiący ton. — Co pan sądzi o swoich klientkach panie Farraday?

— Co mam sądzić? Kocham je!

— Bo wydają dużo pieniędzy.

— Właśnie dlatego.

— Jaka jest pana opinia o kobietach robiących zakupy? Konkretniej, co pan myśli, kiedy pańska żona przychodzi do domu z dwiema lub trzema torbami zakupów?

— Raczej pięcioma lub sześcioma — mruknął Farraday. — Kiedy ma na coś ochotę, po prostu podchodzi i kupuje. Nie mam pojęcia, co ona sobie myśli, wydając pieniądze. Jeśli w ogóle myśli.

— Spojrzał podejrzliwie na Cassandrę. — Do czego pani zmierza?

— Czy uważa pan, że pańska żona jest pod tym względem wyjątkowa? — spytała Cassandra, ignorując pytanie.

— Nie — odrzekł ostrożnie Farraday. — Sądzę, że to typowe zachowanie.

— Co robi, jeśli widzi coś, czego pragnie, ale nie ma przy sobie gotówki, albo jeśli w sklepie odbywa się wyprzedaż, o której wcześniej nie słyszała? Co robi, jeśli jest smutna i musi kupić sobie coś miłego dla poprawienia nastroju?

Farraday roześmiał się.

— Proszę mi uwierzyć, mojej zonie to się nie zdarza. Wszyscy chętnie akceptują jej czeki.

- Niewiele jest jednak kobiet, których nazwisko rozpozna natychmiast każdy sprzedawca. Istnieją przecież miliony klientek, które nie są biedne, ale nie noszą w torebkach kilkuset dolarów. W takich sytuacjach muszą rezygnować z zakupów

— Cassandra zmierzała prosto do celu. — Czy nie sądzi pan, że od razu kupiłyby to, czego pragną, gdyby sklepy Farradaya honorowały kartę „United States Express”?

Z oczu Farradaya zniknęła dobroduszość.

— Czy nie smakuje panu śniadanie, sir? — spytał niepewnie kelner, patrząc na talerz.

— Straciłem apetyt—odrzekł Morton Farraday, nawet na niego nie spojrzawszy.

— Niech pan lepiej schłodzi butelkę szampana.

Cassandra wróciła do Nowego Jorku w triumfalnym nastroju. Potrzebowała całej siły woli, żeby nie zadzwonić do Erica Gollanta z hotelu w Beverly Hills i nie przekazać mu wspaniałej nowiny. Porozmawiała jednak z sekretarką Erica i powiedziała, że chciałyby się z nim spotkać na lunchu w „Plaza”.

— Co cię opętało, żeby tak po prostu lecieć do Kalifornii? — spytał księgowy, całując Cassandrę w policzek. — Musimy przejrzeć umowę, którą przysłali właśnie adwokaci Hiltona.

— Zajmiemy się tym zaraz po lunchu — przyrzekła Cassandra. — Najpierw jednak mnie wysłuchaj.

Cassandra opowiedziała o spotkaniu z Mortonem Farradayem i przypomniała Ericowi, że sklepy Farradaya to zaledwie część ogromnej sieci domów towarowych.

— Oczywiście, nie zdobędziemy wszystkich naraz. Kiedy jednak inni kupcy zobaczą, jak wzrosły zyski Farradaya, będą nas błagać o kartę.

Erie przyglądał się jej poważnie.

— Dzięki Bogu, że nie zawieramy umowy z wszystkimi. Cassandra nie wierzyła własnym uszom.

— Taki jest przecież nasz cel — protestowała. — Sam powiedziałeś, że kartę posiada wielu ludzi, ale mogą z niej korzystać w nielicznych miejscach.

— To prawda. Dałem jednak wyraźnie do zrozumienia, że chodzi mi o hotele, restauracje i nocne kluby. Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś, Cassandro?

— Widocznie nie — odrzekła chłodno.

Księgowy skrzywił się i powiedział łagodniejszym tonem:

— Skoncentrowaliśmy się na komiwojażerach i podróżujących biznesmenach z dwóch powodów. Po pierwsze, ci ludzie muszą wydawać pieniądze, żeby zarobić na życie. Po drugie, gdyby zalegali ze spłatami, zawsze możemy ściągnąć od ich przedsiębiorstw przynajmniej część długu. O to nam właśnie chodziło. Teraz jednak wprowadziłaś USE na zupełnie nowy teren. Sama powiedziałaś, że naszymi klientami zostaną kobiety. To prawda, że są one na ogół dosyć zamożne. Trzeba będzie jednak sprawdzić sytuację majątkową ich mężów. Musimy starannie zaprojektować nasze formularze. Kobieta powinna wiedzieć, że jeśli nie zapłaci, firma ściągnie pieniądze od jej męża. Co będzie, jeśli dojdzie do jakichś incydentów? Wiesz równie dobrze jak ja, że większość kobiet nie zwraca uwagi na wydatki. To mąż płaci rachunki. Co się stanie, jeśli mąż nie zechce zwrócić USE pieniędzy? Możemy go wprowadzić do tego zmusić, poniesiemy jednak dodatkowe koszty i stworzymy bardzo nieprzyjemną atmosferę.

Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, Erie starał się załagodzić sprawę.

— Miałaś znakomity pomysł, Cassandro. Wybrałaś jednak nie najlepszą chwilę. Cassandra uśmiechnęła się, pamiętając, że znajdują się w miejscu publicznym.

— Nie mogę się wycofać z umowy z Farradayem. Nigdy nie będziemy mieli drugiej takiej szansy.

— Wiem. W tej sytuacji trzeba będzie przeciągać negocjacje. Czy podałaś mu konkretną datę?

— Farraday chce, żeby wszystko: kwity, reklama, promocja, było gotowe przed Świętem Dziękczynienia. Sądzi, a ja się z nim zgadzam, że do świąt Bożego Narodzenia powinniśmy zauważyć rezultaty naszej współpracy.

Erie uśmiechnął się lekko.

— W takim razie musimy natychmiast zająć się nowymi klientami, zbadać ich sytuację majątkową i modlić się, żeby udało nam się zminimalizować ryzyko. Wydasz dużo pieniędzy, Cassandro. Nie masz wyboru: potrzebujesz pracowników, którzy zajmą się nowymi formularzami. Powinniśmy również zatrudnić dodatkowych detektywów. Wiesz równie dobrze jak ja, że tak duży personel nie zmieści się w dziale rozliczeń.

— Ile mamy pieniędzy? — spytała Cassandra.

— Interesy szły ostatnio tak dobrze, że nasza prowizja wystarczyła na pokrycie wszystkich wydatków. Poza tym USE dysponuje skąpą rezerwą dwustu tysięcy dolarów.

— W takim razie wykorzystamy ją — powiedziała spokojnie Cassandra.

Cassandra wynajęła dwa piętra w Empire State Building. Urzędnicy obsługujący zarówno kontrahentów, jak i posiadaczy kart mieli teraz do dyspozycji trzy razy większe biuro niż dawniej. W dziale rozliczeń zajmowano się obecnie tylko bieżącymi wpłatami.

Erie Gollant zatrudnił nowych detektywów, a Cassandra spędzała długie godziny z pracownikami działu reklamy. Jeden z zespołów miał opracować wspólną reklamę USE i „Hilona”, drugi zaś Farradaya. Było to zadanie szczególnie ważne: chodziło o to, żeby przekonać do karty USE klientów Farradaya. Cassandra wiele razy powtarzała pracownikom, że reklama Farradaya musi być doskonała i skuteczna.

— Wiem, że czeka was mozolna robota — powiedziała. — Pamiętajcie jednak, że jeśli odniesiemy sukces, przyjdą do nas inni.

— Wygląda na to, że bardzo wiele zależy od jednego domu towarowego zauważył jeden z kopistów.

Cassandra uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Zamierzam to zmienić.

Z manhattańskiej książki telefonicznej wyrwała strony z adresami jubilerów, kwiaciarzy i salonów piękności. Wiedziała, że każdego tygodnia klienci wydają setki tysięcy dolarów na różnego rodzaju dodatki, od kolorowych szkiełek do złotych i diamentowych bransoletek i kolczyków. Ważnym artykułem handlu były również kwiaty. Poza tym każda kobieta chętnie zapominała o kłopotach w salonie piękności.

Cassandra poprosiła swoich ludzi o stworzenie specjalnej reklamy, która ukaże się zarówno w miejskich gazetach, jak i ogólnokrajowych magazynach mody, takich jak *Vogue*. Do każdego przedsiębiorstwa wysłała list z załączoną broszurką reklamową. Tydzień później zamierzała wysłać sprzedawców, żeby dowiedzieli się, czy kogoś zainteresowała oferta. Zmieniła jednak zdanie.

— Dlaczego? — spytał Erie. — Twój pomysł jest znakomity. Chłopcy zajmą się resztą.

— O to właśnie chodzi: chłopcy. To przecież kobiety prowadzą większość małych sklepów jubilerskich, kwiaciarni i salonów piękności. Nasi chłopcy są dobrzy, ale nie mają odpowiedniego podejścia do kobiet. Siła w niczym tu nie pomoże. Kobiety trzeba ugłaskać i przekonać, że sprzedawany przez nas towar naprawdę się jej przyda.

— Nie podoba mi się kierunek, który przybrała ta rozmowa — powiedział ostrożnie Erie.

— Nie mamy wyboru. Musimy znaleźć kobiety, które potrafią handlować z innymi kobietami.

Cassandra szybko się przekonała, że nie jest to łatwe zadanie. W każdym biurze zatrudnienia mówiono jej, że sprzedawcy to prawie wyłącznie mężczyźni.

— Na pewno istnieją jakieś sprzedawczynie.

Cassandra słyszała o dwóch biznesmenach zatrudniających kobiety. Pierwszym z nich był David McConnell, były księgarz, który w roku 1886 założył firmę „Avon Products Company”. Jego perfumy i kosmetyki sprzedawała cała armia gospodyń domowych. Drugi przedsiębiorca, Earl Tupper, chemik z „DuPont”, zaprojektował plastikowe miski i kanistry. Założył firmę „Tupperware Home Parties”. Żony i matki sprzedawały jego produkty sąsiadom.

Cassandra nie miała czasu na zatrudnienie i szkolenie gospodyń domowych. Potrzebowała doświadczonych sprzedawczyń. W tej sytuacji musiała podkupić cudzych pracowników i modlić się, żeby nie została na tym przyłapana.

W biurach Farradaya wszyscy znali Cassandrę, zawsze jednak spotykała się wyłącznie z urzędnikami. Ekspedientki były więc zaskoczone, kiedy Cassandra zaprosiła je na lunch.

Wybrała sześć sprzedawczyń i zorganizowała dyskretne spotkanie w stołówce Metropolitan Museum.

— Przekonałam się—powiedziała—że jesteście najlepszymi sprzedawczyniami. Wiem, ile zarabiacie. Chciałabym, żebyście pracowały dla mnie. Pensja pozostanie

bez zmian, ale będziecie otrzymywać wyższą prowizję od każdej transakcji. Proszę tylko o to, żeby cała sprawa została między nami. Nie sędzę, aby panu Farradayowi spodobało się to, co robię.

— Panno McQueen — odrzekła śmiało rudowłosa kobieta. — Pan Farraday nie wie o naszym istnieniu. Gdybyśmy wszystkie jutro odeszły, nawet by nie mrugnął.

Tym gorzej dla pana Farradaya — pomyślała Cassandra.

Zanim nadszedł październik, wszystko jakimś cudem zaczęło się układać. Praca nad projektami Hiltona i Farradaya posuwała się do przodu. Nadeszło ponad piętnaście tysięcy podań, z czego zaakceptowano dwie trzecie. Pięćset nowych restauracji wyraziło chęć współpracy, a Słowiki Cassandry, jak przezwały się kobiety pracujące dawniej u Farradaya, sprzedały usługi USE czterystu sklepom jubilerskim, kwiaciarniom i salonom piękności.

Z okazji pierwszej rocznicy powstania USE Cassandra wydała kolację dla Erica Gollanta, Jimmy'ego Pearce'a i kilku innych osób, bez pomocy których nie zaszłaby tak daleko. W jadalni w blasku świec stała zastawa stołowa, a w srebrnych wiaderkach chłodził się szampan.

Wszystko jest prawie doskonale— pomyślała Cassandra. — Prawie, ale nie całkiem.

Patrzyła na światła Central Parku i zastanawiała się, gdzie jest Nicholas. Od czasu do czasu dostawała od niego listy z tak egzotycznych miejsc, jak Japonia i Singapur, Australia i Hongkong. Na Wall Street krążyły pogłoski, że Lockwood rozbił dużą szajkę europejskich fałszerzy i został zaproszony na posiedzenie mafii, której członkowie zapewnili go, że nie mają zamiaru podrabiać czeków podróŜnych „Globalu”. Nicholas stał się tarczą i mieczem imperium Stevena Talbota. Cassandra nigdy o nim nie zapomniała.

Dzwonek do drzwi przerwał Cassandrze marzenia. W progu stał Erie Gollant.

— Dla ciebie — powiedział księgowy, wręczając przyjaciółce piękną orchideę i całując ją w oba policzki.

— Śliczna, Eriku. Dziękuję.

Kiedy Cassandra poszła wstawić kwiaty do wazonu, Erie przyglądał się nakryciom w jadani.

Przypomniał sobie o dokumencie, który trzymał w kieszeni marynarki.

Jak mam jej powiedzieć, że jest splukana?

W 1952 roku doroczne przyjęcie odbywało się dopiero po raz drugi, a mimo to wszyscy uważali je za główne wydarzenie sezonu. Kobiety obwieszane klejnotami i mężczyźni w białych marynarkach przechadzali się po ścieżkach w świetle pochodni. Gromadzili się przy basenie o nieregularnym kształcie, na dnie którego lśniła różowo-błękitno-biała mozaika w kształcie orchidei. Na tarasie ustawiono okrągłe stoły. Nakrycia cieszyły oczy i zapowiadały wspaniałą ucztę.

Steven Talbot miał na sobie jedwabny garnitur z Hongkongu. Stał z boku i przyglądał się gościom z miną właściciela. Przyszli wszyscy, którzy liczyli się na Hawajach. Przybyli również dostojni goście — senator, kilku przemysłowców, gubernator Kalifornii. Steven starannie ich wybierał, aby nie urazić wrażliwości lokalnych mieszkańców. Odkrył, że Hawajczycy mają mentalność wyspiarzy: ważne są dla nich nie tylko pieniądze, ale również to, co się z nimi robi.

Steven pragnął uchodzić za hojnego i skromnego człowieka. Kupił szmat ziemi na Oahu i założył nową kwaterę główną, która stanie się centrum jego imperium nad Oceanem Spokojnym. Dał pracę lokalnym przedsiębiorcom i zespołom budowlanym, uczył Hawajczyków nowoczesnych metod biznesu, płacił dobrze, a jeśli jakiś pracownik chciał kupić dom albo wysłać dziecko do college'u, Steven mu pomagał. W przeciwieństwie do innych białych, których traktowano często jak rabusiów, Steven Talbot cieszył się sympatią i podziwem lokalnych mieszkańców.

Hawajczycy odpłacali mu się lojalnością za uczciwość i hojność.

Steven wmieszał się w tłum gości i cieszył się sukcesem. Zdołał zamienić Hawaje w bezpieczne schronienie, gdzie nikt nie wtrącał się w jego sprawy i nie zadawał żadnych pytań.

Ten cudowny zakątek świata zapewniał Stevenowi spokój, a przede wszystkim znajdował się z dala od banków i domów maklerskich, założonych przez jego poruczników. Te instytucje przyciągnęły w końcu grube ryby, co od samego

początku było celem Stevena. Jeden po drugim szefowie *zaibatsu* pukali do drzwi dyskretnych, potężnych banków, które wyrosły po cichu w całej Azji. Potrzebowali pieniędzy na odbudowę przedsiębiorstw.

Zgadziali się na wszystko, co proponował Steven. Pożyczki były lichwiarskie, ale banki nie chciały negocjować.

To głupcy — pomyślał Steven. — Nie mają pojęcia, że biorą pieniądze od człowieka, który kiedyś ich oszukał. Wierzą, że inwestują w swoją przyszłość. Nie zauważają, że moi ludzie przejmują jako zabezpieczenie tysiące akcji, które prędzej czy później staną się moją własnością.

W przeciwieństwie do większości Amerykanów, Brytyjczyków i Australijczyków, którzy pogardzali Japończykami, Steven nie miał takich uprzedzeń. Nie wątpił, że pewnego dnia Japończycy będą budować wszystko, od tankowców do gumowych masek na święto Halloween. Zachód nie będzie w stanie konkurować z ich fabrykami, pracującymi w zabójczym tempie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Steven zamierzał przejąć jak najwięcej japońskich fabryk, ciągle więc potrzebował gotówki.

Przez ostatnie dwa lata Steven pożyczył dużo pieniędzy od banków amerykańskich. Będą mu one nadal udzielać kredytu, gdyż przekaz pieniężny „Globalu” w dalszym ciągu przynosił rekordowe zyski. Jednakże żaden kontroler nie podejrzewał, że te ogromne kwoty znikają w sejfach kilkunastu banków kupujących dla Stevena japońskie spółki. „Global” stał się tylko kamuflażem. Pożerał zyski, nie żywiąc się nimi. Zdarzało się, że Steven drżał, myśląc o tym sekrecie.

Wystarczy najmniejszy błąd...

Steven odsunął od siebie tę myśl. Dopóki tylko on zna tajemnicę i nikomu nie ufa, nic złego się nie zdarzy. Kiedy dręczyły go wątpliwości, przypominał sobie ojca wkładającego lufę do ust i naciskającego spust palcem u nogi. Simon Talbot zginął, ponieważ okazał słabość, którą natychmiast wykorzystała żona.

Powinien wpakować tę kulę w Rose.

Uśmiechnął się do siebie.

— Jakiś żart? — spytał dyrektor Banku Północnoamerykańskiego.

— Zastanawiałem się tylko, jak się powodzi Cassandrze McQueen — odrzekł lekko Steven.

— Z tego, co słyszałem, tyle tylko brakuje jej do katastrofy — odrzekł bankier, pozostawiając jedynie malutką szparkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

— Czyżby? — spytał niedbale Steven.

Wiedział o tym dobrze. Nicholas Lockwood przekazał mu kwartalny raport o Cassandrze i USE, kiedy w zeszłym tygodniu przejeżdżał przez Honolulu.

— Musi pan mieć jakąś wtyczkę w jej firmie — powiedział Steven do Lockwooda, kiedy przeczytał dokument.

— Proszę nie pytać o nazwisko — odrzekł szef wydziału inspekcyjnego. — To prawdziwe dane. Nie musi się pan martwić o „United States Express”.

Słyszając teraz komentarz bankiera, Steven miał ochotę się z nim zgodzić. Byłoby cudem, gdyby spółka, w którą Cassandra zainwestowała ostatniego centa, przetrwała do końca roku. Pięć tysięcy mil dalej, w Singapurze, było właśnie popołudnie. Żar lał się z nieba i zastygał niczym drzemiący drapieźnik. Na Bugis Street leniwie przechadzali się transwestyci, chińscy kulisi odpoczywali przy rykszach, a w powietrzu unosił się zapach świątynnych kadzidel i opary opium z nielegalnych spelunek.

Biały mężczyzna w kapeluszu nasuniętym na oczy, siedząc przy oknie herbaciarni, nie przejmował się gorącem. Przypadkowy obserwator doszedłby do wniosku, że tak jak większość tutejszych mieszkańców, mężczyzna ucina sobie drzemkę. W rzeczywistości Nicholas Lockwood już od trzech godzin uważnie obserwował obskurny sklep po przeciwnej stronie ulicy.

Jakiś odległy łoskot przerwał ciszę. Nicholas podszedł do kontuaru i wrzucił kilka monet do metalowej miski koło liczydeł. Zanim dziesięcioletni chłopiec podał cenę herbaty i ryżowych ciastek, hałas stał się jeszcze głośniejszy. Kiedy opancerzona ciężarówka policyjna staranowała wejście sklepu, Nicholas podszedł do drzwi.

Na Bugis Street rozpełtało się piekło. prostytutki, handlarze i sklepikarze wybiegli na ulicę. Nicholas przecisnął się przez kordon singapurskiej policji otaczającej dom i szybko ominął roztrzaskane drzwi.

— Sprawdźcie tył domu! — krzyknął do ubranego po cywilnemu kapitana.

— Nikogo tam nie ma, sir — odrzekł policjant. — Wszyscy uciekli. Nicholas zaklął pod nosem.

Sala frontowa, w której leżały bele bawełny,

jedwabiu i madrasu, przypominała inne sklepy na Bugis Street. Zaplecze wyglądało jednak zupełnie inaczej. Przy jednej ze ścian stały trzy lśniące od smaru prasy drukarskie przytwierdzone do podłogi. Obok znajdowały się pojerriniki z tuszami, tuby do mieszania barwników i długi drewniany kontuar, na którym leżały imadła i metalowe wiórki.

— Wszyscy uciekli — powtórzył funkcjonariusz, uderzając się szpicrutą po bucie niczym prawdziwy brytyjski policjant.

— Widzę. Proszę powiedzieć ludziom, żeby zachowali ostrożność. Możliwe, że coś tu zostało.

Nicholas mówił to jednak bez przekonania. Ci fałszerze z pewnością nie różnią się od setek innych, których wytropił w wielu miastach pomiędzy Hongkongiem a Bangkokiem.

Od kiedy Steven Talbot wprowadził czeki podróżne na dalekowschodni rynek, potroili się obowiązki Nicholasa oraz zwiększyły się kłopoty. Nieraz starał się przekonać Stevena, że ekspansja firmy jest zbyt szybka. Nie starczało czasu na sprawdzenie wszystkich nowo zatrudnianych pracowników. Jeszcze więcej kłopotów sprawiali fałszerze, którzy uznali czeki podróżne za nowy, kuszący cel. Na szczęście byli to na ogół pokątni amatorzy. Nie mieli wystarczającego talentu, żeby odtworzyć farbę drukarską, wzór i papier niezbędne do wyrobu fałszyfikatów. Na rynek trafiały

falszywe czekie o tak niskiej jakości, że rozpoznawano je bez trudu w najgorszym nawet banku. Mimo to trzeba było dokładnie badać każdą sprawę. Obcy język i obyczaje utrudniały pracę Nicholasowi i jego detektywom. Lokalna policja chętnie z nimi współpracowała, a mimo to naloty na nielegalne drukarnie nie przynosiły spodziewanych rezultatów. Za każdym razem fałszerzom udawało się w porę wywieźć najcenniejsze skarby — matryce i papier ze znakiem wodnym. Przestępcy nie przejmowali się porzuconymi prasami, bo łatwo mogli kupić nowe. Nicholas podejrzewał, że łapówki dla wysokich funkcjonariuszy policji kosztowały fałszerzy więcej niż nowe maszyny.

Detektywi przeszukiwali sklep, a Nicholas dokładnie oglądał prasy. Wiedział z doświadczenia, że fałszerze zawsze usuwali z nich wszystkie kawałki papieru. Jakość papieru bowiem zdradziłaby im, czy fałszerz jest w stanie wykonać dobrą kopię. Nawet początkujący przestępcy rzadko pozostawiali taki ślad.

Z tego właśnie powodu policjantom nie chciało się babrać w farbie drukarskiej i brudzie. Nikt więc nie przyglądał się Nicholasowi, kiedy koniuszkami palców badał szczelinę pomiędzy dwoma gumowymi rołkami. Przekręcił je, wyjął pasek papieru i jak iluzjonista ukrył go w dłoni.

Trzy godziny później, kiedy okna sklepu zabito deskami, postawiono strażnika i sporządzono raport, Nicholas wszedł do „Tiger Bar” w hotelu „Raffles”. Wieści

o nieskutecznym nalocie doszły już do plantatorów, którzy siedzieli na wiklinowych krzesłach, delektując się popołudniowym ginem z tonikiem. Tylko turyści pijali singapurskie koktajle, z których słynął „Tiger Bar”.

— Nie masz szczęścia, stary! — zawołało kilku mężczyzn, kiedy Nicholas ich mijał. Cały Singapur plotkował już o nieudanej akcji.

Nicholas wzruszył ramionami i szedł dalej. Gdy tylko znalazł się w swoim pokoju, zamknął drzwi, zaciągnął żaluzje i wyjął kawałek papieru. Był to czek podróżny „Globalu” o wartości stu dolarów. Używając słabego rozpuszczalnika

i bawełnianej waty, Nicholas wytarł brud i smar. Kiedy podniósł dokument do światła, zapało mu dech w piersi. Atrament miał idealny odcień; bez zarzutu był również skomplikowany ornament — lwia głowa, ukryła w stylizowanym G. Pocierając czek pomiędzy palcami, odkrył, że fałszerzowi nie udało się jeszcze znaleźć odpowiedniego papieru. Jednakże ilu ludzi zwróciłoby na to uwagę? Była to jedyna wada tego znakomitego falsyfikatu.

Nicholas potarł skronie. Gdzieś w mieście, wśród tysięcy oszustów, złodziei i rabusiów, ukrywa się wielki artysta, przygotowujący po cichu atak na „Global Enterprises”. Nicholas był pewien, że fałszerz jeszcze nie uderzy. Ten człowiek doskonale wie, że jakość papieru nie jest idealna.

Zachowa cierpliwość i poświęć tyle czasu, ile trzeba na uzyskanie odpowiedniej struktury papieru.

Właśnie wtedy muszę go odnaleźć.

Nie zamierzał zawiadamiać władz. Powoli zaczął rozumieć, że właśnie odkrył, w jaki sposób Cassandra może raz na zawsze zniszczyć Stevena Talbota.

Niecałą milę od Bugis Street, nad rzeką Singapur, w najstarszej części chińskiej dzielnicy, gdzie wznosiły się dwupiętrowe domki o glinianych dachówkach, wysoki, szczupły biały mężczyzna stał w ogrodzie na dachu budynku i zasłaniał oczy przed blaskiem zachodzącego słońca.

— Już odkrył to miejsce — wymruczał stojący za nim stary Chińczyk. Miał zaledwie pięć i pół stopy wzrostu i skórę o barwie wyblakłej kości

słoniowej. Jego pomarszczone ciało przypominało korę siedemdziesięcioletniego mahoni. Brodę Chińczyka tworzyły dokładnie sześćdziesiąt trzy siwe nitki, a jego oczy były czyste jak u noworodka.

— Wiem — odrzekł Harry Taylor, wciąż patrząc na zachód. — Nic jednak nie znajdzie. Może sobie zatrzymać prasy.

Chińczyk o imieniu Ram wyjął z kieszeni czek podróży „Globalu” i zaczął go pocierać między palcami. Harry widział ten gest tysiące razy. Ram przyzwyczajał palce do tego dotyku. Kiedy osiągnie cel, będzie pewny, że się nie łudzi.

— Czy to właśnie ten człowiek cię szukał? — spytał Ram

— Tak.

— Przyjechał po ciebie?

— Nie sądzę. Zbyt wiele się zmieniło.

Harry Taylor zbliżał się już do sześćdziesiątki, ale wciąż był bardzo przystojny. Podawał się za Kanadyjczyka, właściciela małej firmy importowo-eksportowej. W mieście, w którym spotykało się kilkanaście kultur, ras i języków, był to idealny kamuflaż.

Sytuacja zmieniła się również pod innymi względami. Harry wiedział już, że jego prześladowca nazywa się Nicholas Lockwood, pracuje dla Stevena Talbota i jest bardzo dobry w swoim zawodzie. Wiedział także, że Lockwood nie przybył tu z powodu Harry'ego. Gdzieś po drodze przez Indie Harry'emu udało się zgubić pościg. Po przyjeździe do Singapuru wmieszał się w anonimowy tłum mieszkańców miasta.

— Nie — dodał. — Gdyby mnie szukał, znalazłby. Jest tak blisko, że nie mógłbym mu się wymknąć. — Odwrócił się do Rama. — Zawsze wiedzieliśmy, że nadejdzie ten dzień. Nie martw się, Ram. Lockwood odkrył jedynie groszową operację fałszerską, nie różniącą się od innych. Jutro lub pojutrze wyjedzie. Zobaczysz.

Obaj mężczyźni usłyszeli za sobą śmiech dziecka.

— Modłę się, żebyś miał rację, Harry — powiedział cicho Chińczyk.

— Ja również, Ram. W dniu, w którym cię spotkałem, przestałem uciekać przed Stevenem Talbotem.

Nie tylko przestałem uciekać — poprawił się Harry. — Postanowiłem wyjść mu naprzeciw.

Harry przyjechał wprawdzie do Singapuru z dużą sumą pieniędzy, szybko jednak odkrył, że jego możliwości są ograniczone. Nie odważył się szukać towarzystwa białych plantatorów, bo bał się, że będą mu zadawać zbyt wiele pytań. Nie chciał,

żeby pogłoski o nowym przybyszu doszły do uszu prześladowcy. Harry nie znał jednak języka chińskiego ani żadnego dialektu, którego używali azjatyccy sklepikarze. Prawie wszyscy mieszkańcy miasta rozumieli po angielsku, Harry wiedział jednak, że natrafiłby na ogromne przeszkody, gdyby chciał wznowić przestępczą działalność, z takim sukcesem prowadzoną w Marsylii.

Harry dużo podróżował i starał się kupować wszystkie anglojęzyczne gazety. Wstrząsnęła nim nagła i bezsensowna śmierć Rose. Długo pozostawał pod wpływem tej władczej, skomplikowanej kobiety, którą kiedyś kochał. Przez pewien czas zastanawiał się, czy teraz, po śmierci Rose, może przestać uciekać. Kiedy przeczytał, że Steven Talbot odebrał Cassandrze czeki podróżne, wiedział, że pościg jeszcze się nie skończył. Steven należał do ludzi, którzy nie cofają się przed niczym, żeby dostać to, czego chcą. A on chciał śmierci Harry'ego.

Harry miał się więc na baczności. Wynajął skromne mieszkanie i ukrył pieniądze w miejscach, do których mógł szybko dotrzeć. Dopiero wtedy zaczął się zastanawiać nad swoją przyszłością. Znalazł odpowiedź w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał.

Anglikańska katedra św. Andrzeja jest symbolem Singapuru i właśnie w jej ogrodach Harry Taylor wpadł na Rama, wytrącając mu z ręki paczkę, z której wysypał się wysokogatunkowy papier. Harry dotknął papieru i od razu się zorientował, że nie był on przeznaczony na damską papeterię. Kiedy Ram spojrzał Harry'emu w oczy, wiedział, że ten mężczyzna domyślił się wszystkiego.

Zamiast przeprosin Harry zaprosił Rama na herbatę. Przez chwilę uprawiali grzeczną szermierkę słowną, a potem Harry powiedział, że poszukuje pracy. Ram przyznał się, że jest drukarzem, i odrzekł, że przydałby mu się posłaniec.

— Na ulicy są setki dzieciaków, które mogłyby się tym zająć—zauważył Harry.

— Oczywiście, panie Taylor. Ja jednak potrzebuję uczciwego, budzącego zaufanie posłańca.

Nie o taką pracę chodziło Harry'emu, zainteresował go jednak ten stary Chińczyk o niezwykłym imieniu. Obudził się szósty zmysł Harry'ego, dzięki któremu udało mu się przeżyć tak długo.

Zgodził się podjąć pracę na okres próbny.

Po kilku miesiącach Harry znał miasto nie gorzej niż tutejsi mieszkańcy. Dostarczał przesyłki do najlepszych hoteli, a także do melin, gdzie zapuszczali się tylko śmiałkowie lub głupcy. Przesyłki odbierali zawsze milczący biali mężczyźni, którzy mogli być milionerami, marynarzami, przemytnikami albo wszystkim naraz. Paczki były małe, wielkości pozytywki. Harry miał ogromną ochotę otworzyć jedną z nich, nie umiał jednak poradzić sobie z woskową pieczęcią Rama. Dobrze za to wiedział, co przynosił z powrotem. Większość klientów nie pieczętowała kopert z pieniędzmi za dostawę.

Harry uzbroił się w cierpliwość. Zdążył już zaprzyjaźnić się z Ramem. Chińczyk pokazał mu swój sklep — skromny zakład, zaopatrujący innych kupców — nigdy jednak nie mówił, czym się naprawdę zajmuje. Pewnego dnia Harry wrócił do sklepu z posiniaczoną, zakrwawioną twarzą i złamaną ręką.

— Ten sukinsyn nie miał pieniędzy—rzekł. — Chciał jednak dostać paszport...

Nie dokończył zdania, bo zemdlał. Kiedy doszedł do siebie, przebywał w szpitalu prowadzonym przez dyskretnego chińskiego lekarza, a koło łóżka siedział Ram.

— Winien jestem panu przeprosiny—rzekł Chińczyk. — Nigdy przedtem się to nie zdarzyło.

Harry uśmiechnął się.

— Zawsze jest jakiś pierwszy raz.

Krok po kroku Ram odsłonił przed Harrym sekrety swoich interesów. Pod fasadą zwykłego sklepu ukrywała się pracownia wykwalifikowanego fałszerza, wyposażona w prasy, matryce, barwniki, tusze i papier. Chińczyk wytwarzał paszporty, karty stałego pobytu, książeczki marynarskie i metryki.

— Byłeś cierpliwy, Harry, i postępowałeś ze mną uczciwie—powiedział Ram.

— Mogłeś ukraść dużo pieniędzy, ale oparłeś się pokusie. Teraz jestem twoim dłużnikiem.

Powiedz, jak mam ci się odwdziżyć.

Harry dobrze się zastanowił. Kiedy wyszedł ze szpitala, wrócił do swego małego mieszkania i wyjął z kryjówki trochę pieniędzy.

— Byłbym zaszczycony, gdybym został twoim wspólnikiem — powiedział, wręczając gotówkę Ramowi.

— Ależ, Harry, nie znasz się przecież na kopiowaniu dokumentów — zaprotestował Ram.

Ram nigdy nie używał takich słów jak fałszowanie lub podrabianie, gdyż uważał je za obelżywe. Uznawał siebie za utalentowanego, a nawet genialnego fachowca, którego specjalnością nie jest jednak tworzenie, lecz reprodukcowanie.

— Nie, ale razem możemy bardzo dużo zarobić drukując pieniądze.

— Harry, jedynym pieniądzem, wartym odtworzenia, jest amerykański dolar. Nie znajdziemy tu jednak odpowiednich barwników i papieru.

— Nie mówiłem o zielonych — odrzekł cicho Harry. Sięgnął do kieszeni i wyjął czek podróżny „Globalu”.

Zanim ręka Harry'ego zrosła się, Ram dowiedział się wszystkiego o swym nowym partnerze.

Harry opowiedział Chińczykowi o najboleśniejszych przeżyciach, których do tej pory się wstydział.

— Czy naprawdę tak bardzo pragniesz odegrać się na tym Stevenie Talbocie?

— spytał Ram.

— On nie przestanie mnie ścigać — odrzekł Harry. — Tylko ja mogę zeznać, że zamordował Michelle. Jestem już za stary, żeby uciekać. Nigdy przedtem nie podjąłem walki ze Stevenem.

Powinien się wreszcie przekonać, że mnie na to stać.

Harry przerwał. Myślał o Michelle, o jej strasznej śmierci, a także o Cassandrze, dziecku, które trzymał jako zakładnika.

— Mam również dług do spłacenia — powiedział cicho.

Ram spojrział na niego w zamyśleniu. Dawno już zauważył, że Harry'ego coś gryzie. Trzymał teraz w palcach czek podróżny i pocierał go delikatnie.

— Ten dokument został zaprojektowany przez mistrza. Odtworzenie go zajmie dużo czasu, jeśli to w ogóle możliwe.

Harry uśmiechnął się.

— Nigdzie się nie wybieram.

— Owszem, wybierasz się, drogi Harry. Nie obraż się, ale niewiele możesz tu dla mnie zrobić. — Ram podniósł drobnokościste dłonie. — Niestety, nie umiem przekazać twoim ręką talentu, który posiadam. Potrzebujemy jednak informacji. Ty jesteś biały, możesz więc dotrzeć do miejsc, które są dla mnie zamknięte, i rozmawiać z ludźmi, którzy nie poświęciliby mi ani jednej minuty swego cennego czasu.

Ram przemawiał z godnością, ale nie potrafił ukryć bólu. Harry, utieldnier i outsider, doskonale go rozumiał. Ram był chrześcijaninem, a mimo to biali współwyznawcy odwracali się od niego. Przez następne kilka lat Harry jeździł z Singapuru do miejsc, o których nigdy przedtem nie słyszał. Nie był już posłańcem, lecz uczniem Rama, i starał się dowiedzieć jak najwięcej o sztuce fałszerskiej. Szybko odkrył, że jego umiejętności wyniesione z Marsylii to zaledwie dziecinną zabawą. Harry studiował botanikę i poznawał rośliny, z których soków można wytworzyć najlepsze barwniki. Ślęczał nad wzorami chemicznymi, niezbędnymi do produkcji tuszów, i dowiadywał się, jakie kwasy należy wykorzystać, aby nadać dokumentowi idealny kolon. Czytał książki o metalurgii i uczył się, jaką twardość i elastyczność musi mieć metal, z którego wytwarza się matryce. Zaczął doceniać wartość narzędzi fałszerskich.

— Każde narzędzie jest jedyne w swoim rodzaju — powiedział Ram. — Moje dłuto byłoby bezwartościowe w cudzych rękach. To tak jak z muzyką: nie ma dwóch skrzypków, którzy potrafiliby wydobyć ten sam dźwięk z tego samego instrumentu.

Kiedy Harry zrozumiał, jak skomplikowana jest praca fałszerza, wyjechał za granicę, by tam dokończyć edukacji. Podawał się za handlowca, który pracuje dla amerykańskiego wydawnictwa. W samym środku Birmy widział, jak z drzew rosnących jedynie w tym regionie wyrabia się najdroższy papier na świecie. Na Filipinach obserwował produkcję delikatnego papieru ryżowego. W Bombaju poznał sekrety szmat, które umieszczano pomiędzy gigantycznymi kamieniami młyńskimi, u potem ubijano drewnianymi młotkami, aż grubych nitok nie było widać gołym okiem.

Po powrocie do Singapuru Harry dowiedział się, że Ram odkrył składniki farby drukarskiej, której używano przy produkcji czeków podróźnych.

— Nie jest to nowy typ farby, której używa się obecnie przy drukowaniu pieniędzy — wyjaśnił Ram. — Dziwię się, gdyż znaczy to, że pan Talbot nie zna najnowszej technologii. Mamy szczęście.

— Co z ornamentem w tle? — spytał z zapalem Harry.

— Za trzy, może cztery miesiące skonstruuję matrycę. Jednakże — Ram podniósł ostrzegawczo palec — mam problem z papierem.

— Myślałem, że takiego samego papieru używa amerykańska mennica.

— Ten jest o wiele lepszy. Sztywny, twardy, ale giętki. Oto prawdziwe wyzwanie — wymruczał Harry.

Poradzili z tym sobie dopiero po roku. Jeszcze raz Harry spakował walizki i wyruszył w podróż po Dalekim Wschodzie, szukając papki drzewnej, która po odpowiedniej przeróbce spełniłaby wymagania Rama.

Raczej wymagania Rose — pomyślał Harry.

Podróże męczyły Harry'ego, a mimo to uśmiechał się, kiedy myślał o Rose. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego żaden fałszerz w Ameryce i w Europie nie potrafił podrobić czeku. Metoda produkcji papieru była klejnotem w koronie sekretów handlowych „Globalu”.

Każde osiągnięcie można jednak powtórzyć.

W małej tajlandzkiej wiosce koło granicy z Kambodżą Harry Taylor odkrył w końcu, że słowa te są prawdziwe.

Ich śmiech przypominał dźwięk dzwonek modlitewnych. Kobieta, która weszła do ogrodu, była o połowę młodsza od Harry'ego, wysoka jak na Chinę, szczupła, z owalną twarzą o harmonijnych rysach. Odgarnęła długie czarne włosy i uklękła, żeby podnieść dwuletnią córeczkę, której narodziny Harry uważał za największy cud swojego życia.

— Cześć, Harry — powiedziała cicho kobieta.

— Mary, kochanie...

Harry pocałował w policzek żonę, córkę Rama. Mała Rachel zachichotała, kiedy połaskotała ją broda ojca.

— Przygotowałam obiad.

— Za kilka minut, kochanie. Zachód słońca jest dziś tak piękny. Zostań z nami i popatrz.

— Wcale nie myślisz o zachodzie słońca — rzekła Mary. — Kiepski z ciebie kłamca, mój mężu. Zostawię was, żebyście mogli skończyć rozmowę. Dam wam jednak tylko pięć minut.

Harry'emu nigdy by nie przyszło do głowy, że po tych wszystkich latach uda mu się znaleźć towarzyszkę życia. Po powrocie Harry'ego z Tajlandii Ram zaprosił go do siebie i pokazał swój najcenniejszy skarb. Kiedy Harry poznał Mary, od razu się w niej zakochał. Prawdziwy cud polegał jednak na tym, że dziewczyna odwzajemniła tę miłość.

— Żałujesz teraz, że pokazałeś mi czek podróżny „Globalu” — powiedział Ram, upewniwszy się, że Mary nie może ich usłyszeć.

Harry odwrócił się do teścia. Zachodzące słońce zalało krwawą poświatą jedną stronę jego twarzy.

— Oddałbym wszystko, żeby tego uniknąć.

— Niewykluczone, że wciąż możesz. Harry pokręcił głową.

— Lockwood nie zrezygnuje. Steven Talbot mu nie pozwoli. Pewnego dnia mnie odnajdzie. Nie mogę do tego dopuścić.

64.

W Nowym Jorku wszyscy wiedzieli, że w ubiegłym roku firma „United States Express” radziła sobie jeszcze gorzej niż dwa lata temu. W pierwszych dwunastu miesiącach spółka straciła pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W drugim roku straty wyniosły trzy razy więcej.

— Tym razem jesteś naprawdę splukana—powiedział Cassandrze Erie Gollant. — Trzeba cudu, żeby USE nie zbankrutował.

Święta są jednak porą cudów i Cassandra nie traciła wiary w sukces. Istniało oczywiste rozwiązanie: mogła się udać do Pierwszego Banku Nowojorskiego, w którym USE posiadało konto, i zaciągnąć pożyczkę. Spółka dysponowała odpowiednim zabezpieczeniem. Cassandra nie chciała jednak, żeby jakkolwiek bank uzyskał dostęp do jej operacji. Wiedziała, że kilka banków uważnie obserwuje postępy USE i pomimo strat widzi potencjał karty płatniczej. Prędzej wezmą ją diabli, niż pozwoli bankom przejąć to, co zbudowała!

W tej sytuacji Cassandra mogła zrobić tylko jedno.

— Ile jest warte moje mieszkanie? — spytała Erica. Księgowy dokonał szybkich obliczeń.

— Po dwóch pożyczkach hipotecznych, na jego sprzedaży mogłabyś zarobić około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

— A obrazy mojej matki? Dzieła Picassa, które wiele lat temu kupiła w Paryżu? Erie zmarszczył brwi.

— Na takie pytanie umiałby odpowiedzieć tylko specjalista. Czytałem jednak, że na aukcji w „Christie's” tego rodzaju obrazy kosztowały od trzydziestu do czterdziestu tysięcy. Nie zamierzasz chyba się ich pozbyć?

Cassandra przypomniała sobie, jak poznała artystę w Saint Paul-de-Vence i przyniosła do domu niewielki portret dla matki. Obrazy były ostatnimi osobistymi rzeczami Michelle, które udało jej się zatrzymać. - Sprzedaj wszystko wraz z obrazami.

Eric Gollant nie wierzył własnym uszom. Apartament w Carlton Towers stał się dla Cassandry czymś więcej niż domem. Z tym miejscem wiązały się jej najlepsze wspomnienia. Erie podejrzewał, że pomogły one Cassandrze przetrwać najcięższe chwile w ostatnich dwóch latach. To samo dotyczyło obrazów.

— Nie chcesz przecież tego — powiedział delikatnie. Cassandra uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Oczywiście, że nie. Po prostu muszę. Siedemdziesiąt pięć tysięcy nie pokryje wprawdzie wszystkich moich długów, ale spłacę przynajmniej część wierzycieli.

Najczęściej byli to oczywiście restauratorzy i hotelarze. Tysiące ludzi korzystało obecnie z karty, a mimo to przepływ gotówki się zmniejszył. Współpracujące z USE firmy zwlekały z wysyłaniem kwitów, co znaczyło, że spółka musiała długo czekać na prowizję. Kontrahenci domagali się jednak natychmiastowej zapłaty. Codziennie przez wiele godzin Cassandra musiała wysłuchiwać ich skarg i gróźb, że wycofają się z programu.

— Nie rezygnują tylko dlatego, że zbyt wielu konkurentów honoruje kartę. Jeśli jednak paru z nich się wycofa, za nimi mogą pójść następni—powiedziała do Erica.

Wbrew jego radzie Cassandra postanowiła, że USE będzie wysłać pieniądze restauracjom i hotelom, zanim na koncie firmy znajdzie się cała opłata brutto. W rezultacie „United States Express” bez przerwy usiłował nadrobić zaległości. Księgowość zamieniła się w istny koszmar. Erie Gollant nie wątpił, że na karcie płatniczej można zarobić duże pieniądze. Czas działał jednak przeciw Cassandrze. Trzeba było poczekać, aż zyski z transakcji zawartych z Hiltonem, Farradayem i wszystkimi małymi zakładami pokryją koszty operacyjne. Kiedy to się stanie, skończą się zmartwienia Cassandry.

— Niczego nie sprzedasz— powiedział w końcu.— Kupię od ciebie mieszkanie i wynajmę ci je za dolara miesięcznie.

Cassandra zdziwiła się. Jej przyjaciel był zamożny, ale nie bogaty. Podobnie jak Cassandra, otrzymywał teraz minimalną pensję.

— Wiem, że nie możesz sobie na to pozwolić, Ericu.

— Wpłaciłem na fundusz powierniczy pieniądze na edukację wnuków. Przez najbliższe dziesięć lat i tak nie pójda do college'u.

— A jeśli przegram? — zapytała spokojnie Cassandra.

— To wstąpią na Uniwersytet Nowojorski, zamiast do Harvardu.

— Nie, będą studiować tam, gdzie zechcą. Dostaną pełne stypendium od „United States Express”. Przyrzekam ci to, Ericu.

Pieniądze ze „sprzedaży” apartamentu zniknęły równie szybko, jak przyszły, dały jednak Cassandrze chwilę oddechu. Tak przynajmniej sądziła. W 1953 roku USE zatrudnił na pełnym etacie trzydziestu detektywów, którymi dowodził były policjant z Nowego Jorku, Kevin Armstrong. Ten spokojny, flegmatyczny Irlandczyk miał za sobą znakomitą karierę i doktorat z prawa karnego. Jego umiejętności i kontakty sprawiały, że był bezcennym nabytkiem dla „United States Express”. Chciałbym pani kogoś przedstawić — oświadczył wchodząc bez zapowiedzi

do biura Cassandra. Jedną ręką przytrzymał niskiego, rzucającego ukradkowe spojrzenia mężczyznę, który stopami ledwo dotykał podłogi.

— Współpracownik? — spytała Cassandra.

— Kłopot.

Armstrong niezbyt delikatnie posadził mężczyznę na krześle. Sięgnął do kieszeni i położył przed Cassandrą kilka kart USE.

— Nie rozumiem...

Potem pojęła i serce w niej zamarło. Ze wszystkich kart usunięto numery. Cassandra spojrzała na złodzieja.

— Skąd pan to wziął, do cholery? Kim pan jest?

Mężczyzna zamrugał, ale nic nie powiedział. Cassandra spojrzała na Armstronga.

— To George McKenna, łotrzyk o rejestrze przestępstw równie długim, nie, znacznie dłuższym niż pani ramię. Dwa razy wpadł, ale za trzecim razem niemal dopisało mu szczęście.

Armstrong położył ciężką rękę na ramieniu złodzieja.

— Porozmawiasz z panią, George, czy mamy zacząć czytać książkę telefoniczną? Cassandra nie miała pojęcia, że Armstrong mówi o standardowej nowojorskiej procedurze: bito podejrzanego książką telefoniczną. Ciężka księga pozostawiała takie same siniaki jak upadek ze schodów. George McKenna słyszał o Armstrongu. Wiedział, że to nie żarty.

— To naprawdę łatwe — rzekł McKenna. — Najpierw kradnę kartę. Wie pani, wyciągam ją komuś z kieszeni. Potem powoli ją podgrzewam i używam katalizatora z żywicy poliestrowej, żeby pozbyć się napisu identyfikującego właściciela.

Cassandra była oszołomiona wiedzą złodzieja.

— Czy wie pan, o co mu chodzi? — spytała Armstronga. Szef bezpieczeństwa skinął ponuro głową.

— Potem prasuję kartę gorącym żelazkiem — mówił dalej McKenna. — Wie pani, żeby ją wyprostować. Odcinam brzytwą wszystkie wybrzuszenia, a później wstawiam nowe nazwisko i numer.

— Czy to naprawdę takie łatwe? — spytała Cassandra. George McKenna skinął z entuzjazmem głową.

— Tak, proszę pani.

— Ile kart pan przerobił?

— Kilkaset.

Cassandra spojrzała na kilka leżących przed nią kart.

— Gdzie reszta?

— Niszczę je po wykorzystaniu. Widzi pani, sekret polega na tym, żeby nigdy nie posługiwać się zbyt długo jedną kartą, bo wtedy nikt nie nabiera podejrzeń.

— Co pan robi z zakupionymi towarami? Odpowiedział na to Kevin Armstrong.

— George jest nie tylko złodziejem, ale i paserem. To, co kupił, a raczej ukradł, **Nprzedał** później za pół ceny.

George podskoczył, kiedy Cassandra uderzyła ręką w biurko.

— Zadam panu jeszcze jedno pytanie—powiedziała. — Czy zna pan kogoś, kto również uprawia ten proceder?

George McKenna szybko pokiwał głową.

Cassandra zamknęła oczy.

To nie może być prawda. Nie może!

— Cóż, to chyba wystarczy — powiedział Armstrong, podnosząc złodzieja za kark. — Czy mam sam go zabrać, czy woli pani, żeby moi chłopcy się nim zajęli?

— Ani jedno, ani drugie — odrzekła Cassandra zdumionemu detektywowi. — Niech mu pan zaproponuje pracę. Swój pozna swego, czyż to nie pana słowa, Kevinie?

Po tych nieprawdopodobnych rewelacjach McKenna Cassandra sprawdziła cały system bezpieczeństwa.

— Mamy kłopoty ze złodziejami — powiedziała Armstrongowi. — Czy ktoś mógłby podrobić kartę?

— Jeśli coś pani produkuje, innym ludziom też może się to udać — odrzekł filozoficznie Armstrong.

— Miałam nadzieję, że pan tego nie powie.

— Proszę posłuchać, panno McQueen. Do tej pory wszystko szło gładko. Ornament na karcie jest tak skomplikowany, że tylko ekspert mógłby go podrobić. Musiałby wiedzieć, jak wytworzyć plastik, z którego zrobiona jest karta. Potrzebowałby również specjalisty od sitodruku, żeby odtworzyć ornament. Ma pani świetnych pracowników. Dobrze ich pani traktuje, a oni odwzajemniają się lojalnością. Niech mi pani jednak uwierzy, że choć stale sprawdzamy nasze zapasy, każdy, kto ma dostęp do plastikowych kart, mógłby wynieść po cichu kilka z nich. Powinniśmy dokładnie kontrolować dział pocztowy.

— Dlaczego?

— Liczba pani klientów rośnie tak szybko, że trudno jest nadzorować wysyłanie kart. Chcę, żeby nowi pracownicy działu pocztowego zostali starannie sprawdzeni. Trzeba dopilnować, aby wszystkie karty, po zapakowaniu, trafiały do pocztowej ciężarówki. Niech pani tylko pomyśli: łatwo byłoby przecież wziąć lalka kopert i po prostu z nimi wyjść.

Cassandra nie miała ochoty zastanawiać się nad tym.

— Coś jeszcze?

— Powinna pani lepiej pilnować dokumentów — odrzekł Armstrong bez zmruczenia oka. — Zbyt wielu ludzi ma dostęp do poufnych informacji, takich jak nazwiska, adresy, numery telefonów i miejsca pracy klientów. Jeśli do tego kurnika dostanie się lis, może być jatka.

— Rozumiem, że pańskim zdaniem powinniśmy działać szybko.

— Im szybciej, tym lepiej. Trochę to będzie kosztowało, ale na dłuższą metę wiele pani zaoszczędzi.

Cassandra zastanowiła się przez chwilę. Nie rozmawiała z Armstrongiem

o swoich planach, bo nie była jeszcze pewna, czy je zrealizuje. Teraz jednak podjęła decyzję. — Spotkamy się jutro z pewnym człowiekiem — powiedziała. — Sądzę, że powinno to pana zainteresować.

Thomas J. Watson zajmował się programowaniem od 1924 roku. Dwadzieścia lat później firma IBM przy współpracy Harvardzkiej Szkoły Inżynieryjnej wyprodukowała pierwszy automatyczny kalkulator. Teraz spółka zamierzała wprowadzić na rynek drugą generację komputerów.

— Panno McQueen, za chwilę pokażę pani prototyp nowego IBM 702, naszego pierwszego komputera handlowego — powiedział z dumą kierownik działu sprzedaży. — Ta maszyna wykona każdy pani rozkaz: zarejestruje informacje o posiadaczach kart, uzupełni na bieżąco listę zawieranych transakcji, powiadomi o przekroczeniu konta bankowego i zaległych spłatach. Możemy ją tak zaprogramować, by pracowała lepiej, szybciej i dokładniej niż najlepszy urzędnik. — Czy potrafi złapać złodzieja? — zapytał sceptycznie Armstrong.

— Może nie tak, jak pan myśli — odrzekł chłodno sprzedawca. — Poinformuje jednak o każdej anomalii. Będziecie mogli zarejestrować w komputerze numer skradzionej karty. Jeśli złodziej posłuży się kartą, a właściciel sklepu poda wam jej numer, błyskawicznie ustalicie, że karta jest nieważna. Możecie wówczas poprosić sprzedawcę, żeby zatrzymał klienta, dopóki nie przyjadą wasi ludzie.

Armstrong schylił głowę i z większym szacunkiem popatrzył na lśniąca, nierdzewną stal.

— Proszę powiedzieć coś więcej.

Przedstawiciel IBM przez następną godzinę opisywał szczegółowo funkcje komputera.

— Co pan o tym sądzi, Kevinie?

— Jeśli to wszystko prawda, to trafiła pani w dziesiątkę — powiedział szef bezpieczeństwa.

— W takim razie dobiliśmy targu — rzekła Cassandra. — Niech wasi ludzie zjawią się tu w poniedziałek rano.

— Proszę mi uwierzyć, panno McQueen, nie będzie pani żałować.

Czasami nie sposób wytłumaczyć, dlaczego przedsiębiorstwo wychodzi nagle na czyste wody i zaczyna przynosić zyski. Ekonomiści proponują rozmaite teorie, analitycy od spraw finansowych mówią o trendach, bankierzy przeceniają własną bystrość i zdolność przewidywania. Kiedy dziennikarze zapytali Cassandrę, co jest przyczyną sukcesu „United States Express”, odpowiedziała:

— Pracowaliśmy ciężko, zaoferowaliśmy klientom odpowiedni towar we właściwym czasie i mieliśmy cholerne szczęście!

Amerykanie zakochali się w karcie płatniczej i nic nie mogło tego zmienić. Tysiące ludzi przysyłało formularze, zamieszczane w gazetach i magazynach. Wielu

klientów obiecywało, że będzie robić zakupy wyłącznie w sklepach honorujących kartę USE.

— W tym roku zarobisz pierwszy milion — powiedział Erie Gollant, strącając popiół z cygara.

— Uwierzę w to, kiedy zobaczę księgi — odparła sceptycznie Cassandra.

— Uwierzyć już teraz — rzekł księgowy, grożąc jej palcem. — Zamierzam przypomnieć ci o obietnicy dotyczącej stypendiów dla moich wnuków.

Kiedy Cassandra to usłyszała, wiedziała, że księgowy mówi prawdę. Milion dolarów. Czowała się tak, jak gdyby zdobyła wszystkie pieniądze świata. Tak jednak nie było. Musi zarobić o wiele więcej, jeśli pragnie zrealizować swoje plany.

— Skoro mamy okazję do świętowania, to czemu nie zaprosisz damy na obiad? — spytała chytrze.

— Mogłabyś być moją córką, więc czego spodziewasz się po takiej starej chabecie jak ja?

Powinnaś znaleźć sobie sympatycznego, młodego mężczyznę. Nie chciałbym, żebyś była równie samotna jak Rose.

Słowa Erica głęboko poruszyły Cassandrę. Ten człowiek kochał ją jak córkę i niepotrzebnie się martwił, gdyż nie zdradziła mu największego sekretu.

— Mam kogoś — powiedziała cicho. — Zawsze miałam. Erie rozpromienił się.

— Nic mi nie powiedziałeś! Kim jest ten szczęściarz? Cassandra zawahała się.

— Nicholas. To zawsze był Nicholas. Księgowy nie wierzył własnym uszom.

— Po tym, jak cię porzucił...

— On mnie nie porzucił, Ericu. Chcieliśmy, żeby wszyscy w to uwierzyli, a zwłaszcza Steven.

Najdelikatniej, jak potrafiła, opowiedziała Ericowi o planie, który ułożyła wspólnie z Nicholasem, by oszukać Stevena.

— Chodziło wam więc o to, żeby Steven zatrzymał Nicholasa — wymruczał Erie. — Miałeś w „Globalu” człowieka informującego cię o każdym ruchu Stevena.

— Musiałam wiedzieć, czy Steven nie zwróci się przeciwko mnie — powiedziała Cassandra.

— Nicholas przekonał Stevena, że nie jestem dla niego groźna. Nigdy by mu się to nie udało, gdyby Steven nie uwierzył, naprawdę nie uwierzył, w jego lojalność.

— Kiedy jeździłaś do Connecticut...

— Tylko tam mogłam się z nim spotykać — odrzekła Cassandra. — Bez Nicholasa nie dałabym sobie rady.

— Nie wiem, jak to wytrzymałaś. Pogodziłaś się z takim cierpieniem...

Erie pamiętał, że firma stała się dla Rose całym życiem i wszystko dla niej poświęcała.

Jest pewna różnica. Rose nigdy nie potrafiła uwierzyć, że ktoś zechce jej pomóc. Kiedy zrozumiała swój błąd, było już za późno...

— Przepraszam, że nic ci nie powiedziałam — rzekła Cassandra. — Tyle dla mnie zrobiłeś, że nie powinnam mieć przed tobą tajemnic.

Erie wzruszył ramionami.

— Gdybym wiedział, mógłbym postępować inaczej. Kiedy poznajemy jakiś sekret, trudno jest nam udawać, że nic się nie zmieniło. Teraz przekonamy się, czy jestem dobrym aktorem.

Cassandra poczuła ulgę.

— Czy to znaczy, że zabierzesz mnie na obiad?

— Możesz być tego pewna!

Erie Gollant rzadko mylił się co do liczb, tym razem jednak źle oszacował tegoroczne zyski spółki „United States Express”. Suma zbliżyła się ostatecznie do trzech milionów dolarów.

W 1954 roku spółka błyskawicznie się rozwijała. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy placówek handlowych w całym kraju akceptowało kartę USE. W komputerach zarejestrowano dwieście tysięcy klientów, a lista nazwisk ciągle się wydłużała. Dzięki umowie, zawartej przez Cassandrę ze związkiem hotelarzy, podwoiła się liczba hoteli honorujących kartę. Spółki wynajmujące samochody natychmiast poszły w ich ślady.

Cassandra potrzebowała coraz większej przestrzeni biurowej. Przeniosła swoje zakłady produkcyjne na Long Island i wynajmowała już pięć piętér w Empire State Building. To jednak nie wystarczało.

— Nie będziemy płacić czynszu ani dnia dłużej niż trzeba — denerwował się księgowy.

Zaczął rozglądać się po Wall Street, szukając odpowiedniego budynku. Na początku września 1954 roku przedstawił Cassandrze cztery propozycje.

— Czy coś jest nie tak z numerem pięć? — spytała Cassandra, zauważywszy, że ostatnia nazwa jest przekreślona.

— Spójrz na adres. Cassandra uśmiechnęła się.

— Tego właśnie chcę.

— Nie mówisz poważnie!

— Owszem, Eriku. Załatw to. Chcę, żebyśmy mieli za sobą papierkową robotę, kiedy wrócę z Connecticut.

Adwokat pokręcił głową. Nie powinien tak kusić Cassandry. Naturalnie, wybrała budynek naprzeciwko głównej siedziby „Globalu” na Lower Broadway.

65.

Upadek firmy następował tak powoli, że przez dwa lata nikt w „Globalu” niczego nie zauważył. Pierwszą niepokojącą wiadomość Steven otrzymał nie z Lower Broadway, lecz od poruczników, którzy przyjechali z dalekiego wschodu.

— Mamy za mało pieniędzy, panie Talbot — powiedział jeden z nich. — Oto cała sprawa. Na kontach nie widać zysków z czeków podróżnych. Nie muszę panu mówić, sir, jak delikatna jest nasza sytuacja. Tak wiele zainwestowaliśmy w przemysł japoński, że trudno nam utrzymać przepływ pieniędzy na dotychczasowym poziomie. Jeśli ta wiadomość się rozniesie, ludzie rzucają się na nasze banki.

Steven, który przyleciał z Hawajów do swej posiadłości na Long Island, był oszołomiony. Ostatnie cyfry wskazywały, że sprzedaż czeków podróżnych nigdy jeszcze nie szła tak dobrze. Kiedy wrócił do centrali „Globalu”, kazał sekretarce przynieść raporty dotyczące krajowej i zagranicznej sprzedaży czeków podróżnych. Wkrótce zauważył, że sprzedaż rzeczywiście się zwiększyła, ale jednocześnie wzrosły koszty. Reklama pochłaniała ogromne sumy, jednakże od wielu lat nie zorganizowano żadnej kampanii promocyjnej, opartej na nowym pomysle. W biurach mnożyły się kradzieże i drobne malwersacje. Kupowano nowy sprzęt, ale nie sprzedawano starego wyposażenia.

Obraz był jasny: ze względu na poważne błędy w zarządzaniu zmniejszało się zainteresowanie czekami podróżnymi.

— Sprowadźcie mi tych starych głupców, którzy mieli kierować działem czeków! — warknął do sekretarki.

Spodziewał się, że obaj wiceprezesi będą się przed nim płaszczyć. Mężczyźni zachowywali się jednak spokojnie i z godnością.

— Co wy, do diabła, wyrabiacie?! — spytał Steven, rzucając im raporty.

— Działamy zgodnie z pańską instrukcją — odparł jeden z nich. — Powiedział

pan, że jest pan zadowolony z obecnego stanu rzeczy i nie chce żadnych zmian. My posłuchaliśmy.

— Nie kazałem wam przecież kierować działem z baru waszego klubu! — krzyknął Steven. — Czy zdajecie sobie sprawę, co się dzieje?

— Może nie przypomina pan sobie tego, panie Talbot, ale informowaliśmy pana w listach o kłopotach działu — odrzekł drugi wiceprezes. Położył na biurku dokumenty. — Oto datowane i podpisane kopie. Jeśli te pisma nie dotarły do pana, to nie nasza wina.

Steven strącił papiery z biurka.

— Jesteście obaj...

— Zwolnieni, panie Talbot? Nie, dziękujemy. Wolimy złożyć rezygnacje. Położyli wymówienia na biurku i ruszyli ku wyjściu.

— Jeśli chce pan poznać przyczynę obecnych problemów — powiedział jeden z nich — to może tam znajdzie pan część odpowiedzi.

Steven spojrział w kierunku wskazanym przez wiceprezesa i po przeciwnej stronie ulicy dostrzegł duży błękitny neon w kształcie rycerza z mieczem i tarczą. Przez chwilę miał wrażenie, że symbol „United States Express” patrzy przez szybę prosto na niego.

— Do cholery, dlaczego mi nie powiedziałeś o planach tej dziwki? Twierdziłeś, że USE to groszowa operacja i nie przetrwa roku. Co mam teraz sądzić o twoich pieprzonych przepowiedniach, Lockwood?

Steven Talbot gotował się ze złości. Nicholas Lockwood widział żyły pulsujące pod bliznami na jego szyi.

— Wszyscy na Wall Street mówili to samo — przypomniał Lockwood. — Jestem tu szefem bezpieczeństwa, a nie kierownikiem działu finansowego. Dbam o to, żeby nikt nie podrabiał czeków. Na razie do tego nie doszło. Jeśli w związku z tym coś cię niepokoi, powiedz mi.

Steven zawahał się. Nie chciał zrazić do siebie Lockwooda.

— Co wiesz o USE? — zapytał. Nicholas wzruszył ramionami.

— Cassandra postawiła wszystko na jedną kartę i wygląda na to, że wygrała. Wbrew powszechnym oczekiwaniom nie zbankrutowała. Teraz jej firma jest na fali. Wszyscy kochają kartę płatniczą.

— Ona zagraża moim interesom! — krzyknął Steven. — Kradnie moich klientów. Trzeba coś z tym zrobić!

— USE nie złamał prawa. Nie naruszył żadnego patentu ani prawa autorskiego „Globalu”. Może twoi prawnicy coś wymyślą, ale mnie o to nie proś. Nic nie poradzę

- Nicholas przerwał. — Słyszałem jednak plotki, które chyba powinniśmy sprawdzić. Steven zmrużył oczy.

— O co chodzi?

— Kartę USE można sfalszować tak samo jak czek podróżny. Do tej pory

Cassandra miała szczęście. Nikt tego nie próbował, a jeśli tak, to bez powodzenia. Krążą jednak pogłoski, że Cassandra wypróbowuje nowy rodzaj karty, której nie da się podrobić.

— Co jeszcze? — spytał Steven.

— Specjaliści od komputerów wymyślili nową technologię: pas magnetyczny z tyłu karty. Będzie tam zakodowana informacja o kliencie, coś w rodzaju elektronicznych odcisków palców. USE tworzy u swoich kontrahentów specjalny system weryfikacji. Nie znam szczegółów, ale słyszałem, że chodzi o urządzenie wielkości pudełka do butów. Sprzedawca przepuści przez nie kartę, system „odczyta” magnetyczny pasek i natychmiast udzieli informacji, czy karta jest prawdziwa i czy klient ma prawo dokonywać zakupu. Jeśli to zadziała, a USE wdroży system na szeroką skalę, to płacenie za pomocą karty stanie się jeszcze łatwiejsze i o wiele bezpieczniejsze. Nicholas przerwał, czekając, aż Steven zrozumie wszyskurie konsekwencje tego projektu.

— USE przysporzył ci kłopotów, bo przekonał ludzi, że nie potrzebują czeków, aby podróżować i wydawać pieniądze — zakończył. — Jeśli Cassandra zrealizuje swój plan, to przyszłość czeku podróżnego nie rysuje się w różowych barwach.

Steven obrócił krzesło i patrzył prosto na rycerza USE.

— Dowiedz się wszystkiego o nowej karcie! — rozkazał. — Za tydzień oczekuję raportu.

Kiedy Nicholas wstał, Steven dodał:

— Bądź bardzo, bardzo ostrożny. Nikt nie może się dowiedzieć, że „Global” zadaje pytania. Jeśli wieść się rozniesie, dobioreę ci się do skóry.

Tak jak każdego dnia, Harry wrócił do domu w samą porę, by obserwować zachód słońca z ogrodu na dachu. Miał dziś szczególne powody do zadowolenia: pierwsza partia czeków podróżnych „Globalu” była gotowa. Zanim pocięto papier, Ram potarł palcami każdy arkusz. Wszystkie zdały ten ostatni test. Pod koniec tygodnia fałszywe czeki podróżne o wartości dziesięciu milionów dolarów będą czekały na transport. A to dopiero początek.

Wchodząc na dach, słyszał śmiech córki.

— Mary! Rachel!

Dostrzegł dziewczynkę siedzącą na ławce i machającą nogami. Na jej ładną, białą sukienkę padał czyjś cień.

— Rachel...

Harry przerwał. Kolana zaczęły mu drżeć. Obok Rachel siedział Nicholas Lockwood i pokazywał, jak powinna podnieść ogon papierowego kurczaka, tak aby wyglądało na to, że ptak coś dziobie.

— Cześć, Harry.

Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Napiął mięśnie, ale nie był w stanie się poruszyć.

— Proszę, nie rób jej krzywdy — wyszeptał. — Dam wszystko, czego chcesz, tylko nie rób jej krzywdy.

— Nikt nie zamierza jej skrzywdzić, Harry.

Harry odwrócił się i ujrzał Cassandrę, która stała przy doniczce z kwitnącym na czerwono kwiatem.

— Dalej, Rachel — powiedziała. — Pokaż tacie ptaka.

Dziecko zachichotało, złapało papierowego kurczaka i podbiegło do ojca, który wziął je na ręce. Harry kołysał córkę, a po jego policzkach spływały gorące łzy. Potem spojrzął na Cassandrę. Nie widział jednak pięknej, pewnej siebie trzydziestoczteroletniej kobiety, lecz przestraszoną, bezradną, piętnastoletnią dziewczynkę leżącą w wapiennej pieczarze.

Kiedy Cassandra zobaczyła Harry'ego, odgadła, o czym myśli: był przekonany, że teraz zapłaci za tragedię, do której się przyczynił. Przez chwilę tego właśnie chciała. Czekala przecież tyle lat. To nie o niego chodzi—powiedziała do siebie. —Przyjrzyj mu się. Ten człowiek już poniósł karę. Mogłabym się zemścić tylko w jeden sposób: zabierając mu żonę i dziecko...

Wiedziała jednak, że tego nie robi. Podeszła do Harry'ego, który cofnął się obejmując córkę.

— Nie chcemy cię skrzywdzić—powiedziała Cassandra.—Proszę, uwierz mi. Brzmiało to szczerze, ale kątem oka Harry dostrzegł Nicholasa Lockwooda, który przyglądał mu się w milczeniu. Usiłował zrozumieć, co się dzieje.

— Przecież wy... on pracuje dla Talbota. Tropił mnie przez wiele lat.

— Nicholas odnalazł cię dawno temu — powiedziała Cassandra. Podniosła poplamiony czek wartości stu dolarów. — Byłeś nieostrożny, Harry. Wtedy Nicholas poznał prawdę.

Harry Taylor zamknął oczy.

— Czego chcecie?

— Udało ci się sfalszować czek podróżny, prawda? Harry skinął głową.

— He masz papieru?

— Wystarczy na dziesięć milionów, może więcej. Cassandra otworzyła szerzej oczy.

— Czy rozprowadzałeś już jakieś czeki?

— Jeszcze nie. Oddam wszystko, jeśli o to wam chodzi. Tylko nie róbcie krzywdy mojej rodzinie.

— Nie zamierzam nikogo krzywdzić, Harry—powiedziała Cassandra.—Prawdę mówiąc, zamierzam ci pomóc. Oczekaj jednak trochę, zanim wprowadzisz na rynek fałszywe czeki.

Harry odprężył się.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz, Harry. Wkrótce.

W ciągu ostatnich lat japońska spółka „4780” przekształciła się z inwestycji wartej dwa tysiące dolarów w korporację budowlaną operującą milionami. Jej założyciel i prezes, Jiro Tokuyama, był tajemniczym człowiekiem. Był obecnie właścicielem wielu bloków mieszkalnych i biurowców, a mimo to mieszkał niczym pustelnik na poddaszu nowoczesnego budynku. Od zwykłych ludzi oddzielała go cała armia adwokatów, księgowych, sekretarek i asystentów. Nigdy nie udzielał wywiadów i ostro traktował intruzów. Wszyscy musieli się liczyć z jego potęgą.

O Tokuyamie krążyło wiele plotek, jednakże społeczeństwo japońskie ceniło prywatność i nikt nie śmiał mu się narzucać. Z tego względu Tokuyama mógł od czasu do czasu wymykać się z biura i okrężną drogą jechać na robotnicze przedmieście w pomocnym Tokio. Właśnie tam raz w tygodniu w skromnym, jednopokojowym mieszkaniu spotykał się z prawdziwą właścicielką korporacji „4780” — Yukiko Kamaguchi.

Tokuyama był ostrożny i lojalny. Rozumiał, że nikt nie powinien powiązać jego pani z firmą i dokładnie realizował instrukcje Yukiko. Mimo to zawodowy tropiciel łatwo poradził sobie z Tokuyamą.

Tokuyama popełnił błąd, rozglądając się tylko za japońskimi szpiegami.

— Witam, panie Tokuyama.

Magnat budowlany odwrócił się gwałtownie i ujrzał wysokiego Amerykanina w towarzystwie jasnowłosej kobiety.

— Czego pan chce? — zapytał szybko Tokuyama w języku japońskim.

— Jedziemy w to samo miejsce, co pan — odrzekł Nicholas. — Chcemy się spotkać z Yukiko Kamaguchi.

Tokuyama zamrugał powiekami, zdumiony biegłą japońszczyzną cudzoziemca. Przeraził się, kiedy usłyszał nazwisko swojej pani.

— Nie znam takiej osoby — powiedział sztywno. — Proszę przestać mnie śledzić.

— Nie musimy już pana śledzić — odparł Nicholas.

Podszedł do małego domu, przed którym zatrzymał się Tokuyama, i zapukał. Kiedy drzwi się otworzyły, powiedział:

— Dzień dobry, panno Kamaguchi.

— Nie przyjechaliście tutaj z błahych powodów — rzekła Yukiko Kamaguchi. — Jiro Tokuyama był bardzo dyskretny, a jednak przechytrzyliście go.

Cała czwórka siedziała na macie w pokoju, przedzielonym parawanem z ryżowego papieru.

Yukiko była zszokowana na widok Nicholasa Lockwooda. Miała teczki wszystkich wysokich urzędników „Globalu”, słyszała więc o Nicholasie. Na początku sądziła, że wysłał go Steven. Kiedy zobaczyła Cassandrę, strach zamienił się w ciekawość.

— Pan Tokuyama był bardzo ostrożny — rzekł Nicholas. — Po prostu nie spodziewał się, że jakiś cudzoziemiec odkryje jego sekret.

Yukiko spojrzała na Tokuyamę, który ze wstydu zwiesił głowę.

— Nie odwiedziliście mnie po to, żeby wymieniać grzeczności. O co wam chodzi?

— Stoi pani na czele korporacji „4780” — powiedział rzeczowo Nicholas. — Nikt o tym nie wie, gdyż po zdradzie Stevena Talbota liderzy *zaibatsu* zabronili pani wracać do Japonii.

— Czy zamierza mnie pan szantażować, panie Lockwood? Nie spodziewałabym się tego po panu.

— Chcemy parną o czymś poinformować, panno Kamaguchi. Pragniemy również otrzymać coś w zamian.

Yukiko zrozumiała, że nie ma wyboru i musi wysłuchać Lockwooda.

— Proszę, niech pan mówi dalej.

— Właścicielom *zaibatsu* udało się odbudować sporo fabryk. Czy wie pani, jak to zrobili?

Yukiko wzruszyła ramionami.

— Pożyczyli za granicą duże sumy. Poza tym niewiele wiem.

— Czy słyszała pani nazwy tych banków? — spytał Nicholas i wymienił sześć instytucji finansowych.

— Wszyscy o nich słyszeli. Jestem również świadoma, że to oni pożyczyci pieniądze szefom *zaibatsu*.

— Czy wie pani, kto jest ich prawdziwym właścicielem?

— Może pan mi to powie, panie Lockwood.

— Steven Talbot.

— Niemożliwe!

— Możliwe i prawdziwe — Nicholas wręczył jej dokumenty. — Niech pani sama zobaczy.

Yukiko sprawdzała dokładnie papierek po papierku.

— Steven Talbot finansował po cichu wszystkie gałęzie przemysłu japońskiego — powiedział Nicholas. — Szefowie *zaibatsu* sądzą, że robią interesy z bankami kierowanymi przez Azjatów.

Mylą się. Pożyczają pieniądze od człowieka, który kiedyś ich okradł. Wierzą, że w przyszłości spłacą długi. Znow się mylą. Kiedy Steven Talbot będzie miał ich w garści, stracą wszystko.

Steven przejmie kontrolę nad *zaibatsu*.

Yukiko nie posiadała się z radości, choć jej twarz tego nie zdradzała. Przyjemnie było wiedzieć, że ludzie, którzy ją wygnali, sami znaleźli się w tarapatkach! Otrzeźwiła ją jednak myśl, że Steven Talbot może być groźny także i dla niej.

— Nie musi być dla pani niebezpieczny — powiedział Nicholas, odgadując jej myśli.

— Dlaczego?

— W najbliższej przyszłości Stevena Talbota czekają kłopoty finansowe. Duże kłopoty. Już teraz brakuje mu gotówki, a wkrótce jego źródła całkiem wyschną. Będzie potrzebował pieniędzy, co zmusi go do sprzedania tajnych udziałów w *zaibatsu*. Myślę, że w tej sytuacji korporacja „4780” powinna wykupić te akcje. Może pani rządzić ludźmi, którzy pragnęli panią zniszczyć. Jeśli pani zechce, oni nigdy się o tym nie dowiedzą.

Oczy Yukiko zabłysły, miała się jednak na baczności.

— Powiedział pan, że żądacie czegoś w zamian.

— Zostawi pani w spokoju Stevena Talbota i „Global” — powiedziała Cassandra, odzywając się po raz pierwszy. — Firma należy do mnie i zamierzam ją odzyskać. Jeśli chodzi o Stevena, to mam z nim rachunki do wyrównania.

Yukiko spojrzała w zamyśleniu na Cassandrę. Dużo słyszała o tej kobiecie, która, podobnie jak ona, stworzyła od nowa własne imperium. Teraz widziała, że pogłoski były prawdziwe.

— Jak pani sobie życzy — odrzekła bezbarwnym tonem. — Jestem waszą dłużniczką. Muszę się wam odwdzięczyć.

Yukiko Kamaguchi mówiła szczerze. Była gotowa zrezygnować z osobistej zemsty na Stevenie Talbocie. Ta obietnica nie dotyczyła jednak przysięgi złożonej ojcu. Rachunek zostanie wyrównany nie w imieniu Yukiko, lecz w imieniu Hisahiko Kamaguchiego.

6

Dyrektor banku Barclay w Sydney właśnie wychodził na lunch, kiedy zatrzymał go główny kasjer.

— Myślę, że powinien pan na to spojrzeć, sir.

Zaprowadził zdziwionego dyrektora do swojego okienka i pokazał mu czek podróżny „Globalu” wartości stu dolarów. Dyrektor przyjrzał się uważnie dokumentowi i potarł go między palcami.

— Mam wrażenie, że wszystko jest w porządku — powiedział.

— Tak, proszę pana — odrzekł kasjer. — Numer się jednak nie zgadza.

— Kasjer wyjął arkusz kontrolny z numerami seryjnymi czeków podróżnych.

— Zgodnie z tym dokumentem mamy w depozycie czek o takim numerze.

— Najwyraźniej klient kupił u nas ten cholerny czek, a teraz ktoś inny chce go zrealizować.

— Tak właśnie sądziłem, sir. Poszedłem więc do skarbcza i sprawdziłem to. Kasjer pogrzebał w stosie czeków podróżnych i podniósł jeden z nich. Miał on identyczny numer jak czek w ręku kierownika.

— Albo „Global” przysłał nam wybrakowaną partię, albo...

— Jezu Chryste!

Dyrektor zerknął przez ramię kasjera.

— Czy osoba, która przyniosła ten czek, wciąż tu jest? — wyszeptał.

— To stara pani Tompkins, sir. Czeka na nas.

Dyrektor ujrzał szczupłą starszą kobietę, stałą klientkę, siedzącą pod eukaliptusem. Wyglądała na zakłopotaną.

— Niech pan nie wywołuje paniki, ale dowie się, skąd to wzięła — powiedział kierownik. — Na miłość boską, proszę nie pozwolić jej odejść.

Dyrektor wrócił do biura, starając się uspokoić nerwy. Kilka minut później w Nowym Jorku rozdzwoniły się telefony.

W najgorszych snach Steven Talbot nie wyobrażał sobie takiego koszmaru. Katastrofa zaskoczyła go i wyglądało na to, że nic jej nie może powstrzymać. Płynęła niczym ogromna fala ku swojemu celowi: centrali „Globalu” na Lower Broadway.

Wydział bezpieczeństwa „Globalu” uznał telefon z Sydney za drobny problem. Wysłano telegram z prośbą o pisemne potwierdzenie.

Wkrótce zadzwoniono jednak z Londynu, a potem z Aten i Los Angeles. Zaraz później rozdzwoniły się telefony z innych miast w kraju i za granicą. Steven Talbot kazał operatorom z centrali pozostać na stanowiskach. Do późnej nocy w biurze paliły się światła.

O świcie można było w przybliżeniu oszacować wielkość strat. W niecałe osiemnaście godzin księgowi „Globalu” obliczyli, że banki, poczty, hotele, linie lotnicze i inne instytucje przyjęły fałszywe czeki o wartości ponad miliona dolarów.

— Skąd wiadomo, że są fałszywe? — krzyczał Steven do księgowych. — Nie widzieliśmy żadnego z nich.

— To prawda, sir — przyznał główny księgowy. — Niewykluczone jednak, że o to właśnie chodziło fałszerzom. My czekamy, żeby obejrzeć fałszywe dokumenty, tymczasem oni zalewają nimi rynek. Najprawdopodobniej właśnie teraz sprzedają lub rozprowadzają podrobione czeki. Skoro prowadzimy politykę pokrywania wszystkich strat...

— Wiem, jaka jest nasza polityka — odrzekł Steven. — Chciałbym zobaczyć fałszywy czek!

— Ci ludzie na pewno nie byli tak głupi, żeby sprzedawać je na Manhattanie — powiedział nieśmiało księgowy. — Wątpię, czy znajdziemy jakiś czek pomiędzy Nowym Jorkiem a Zachodnim Wybrzeżem. Dowiemy się czegoś najwcześniej za kilka dni.

— Kilka dni? Co z czekiem, który wykryto w Los Angeles?

— Pracownicy banku wysłali go pocztą. Steven nie wierzył własnym uszom.

— Nadali go jednak kurierem! — krzyknął przez ramię księgowy, umykając z biura.

Następną godzinę Steven spędził przy telefonie, starając się odnaleźć Nicholasa Lockwooda. W dziale inspekcyjnym nie widziano go od ponad tygodnia. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechał. Steven był zszokowany. „Global” wpadł w tarapaty, a człowiek, na którego liczył, gdzieś zniknął. Steven wydzwaniał właśnie do zagranicznych biur, desperacko próbując znaleźć Lockwooda, kiedy wbiegła sekretarka.

— Dzwoni pan Lockwood, sir — powiedziała zdyszana. Steven nacisnął guzik i skrzywił się, słysząc trzaski.

— Lockwood, gdzie, do diabła, jesteś?

— W Singapurze...

Ledwo go było słyhać i Steven obawiał się, że połączenie urwie się lada chwila.

— Czy wiesz, co się dzieje?

— ... pracuję nad tym. Mam pewne...

Steven nie panował nad sobą.

— Zapomnij o Singapurze! Rusz tyłek i natychmiast wracaj! Rozumiesz?

— Złapię... samolot.

W słuchawce rozlegały się coraz głośniejsze trzaski, a po chwili nie było słyhać już nic oprócz ciągłego sygnału.

— Dzięki Bogu za kiepskie telefony.

Siedzieli w salonie w domu Harry'ego. Nicholas odwrócił się do Cassandry i Harry'ego Taylora.

— Jest przestraszony. Nieźle mu dopiekliliśmy. Na pewno wiesz, co masz zrobić? — spytał Cassandrę.

Cassandra skinęła głową.

— Harry?

— Wyjedziemy z miasta, kiedy tylko pozbędziemy się matryc i papieru

— Nie zostawajcie ani minuty dłużej niż potrzeba.

Nicholas ujął w obie dłonie twarz Cassandry i pocałował ją delikatnie w usta

— Bądź ostrożna — wyszeptał.

— Ty również—odpowiedziała. —To przecież ty tam wracasz. Jeśli Steven coś podejrzewa...

— Nic nie podejrzewa. Steven myśli, że tylko ja mogę opanować sytuację. Właśnie o to nam chodziło — wziął torbę. — Do zobaczenia.

Po wyjściu z domu Harry'ego Nicholas wmieszał się w tłum w chińskiej dzielnicy. Zatrzymał taksówkę i usiadł na tylnym siedzeniu, zanim ktokolwiek zaążył go wyprzedzić. Nie zauważył wysokiego Malaja w świetnie skrojonym garniturze, który obserwował go z przeciwnej strony ulicy.

Po dwóch dniach plotki o fałszywych czekach podróŜnych „Globalu” krąŜyły już w kaŜdej większej stolicy świata. Banki zawiesiły ich sprzedaŜ, a kupcy nie chcieli przyjmować czeków. W biurach „Globalu” tłoczyli się klienci, pragnący zwrócić nie zrealizowane чеки i otrzymać zwrot kosztów. „Global” rozpaczliwie potrzebował piemędzy.

Do biura na Lower Broadway przychodziło tylko klientów i kupców, że Steven Talbot poprosił o ochronę policyjną. Tylko pracownikom wolno było wchodzić do budynku, który przypominał teraz oblężony zamek.

W środku również panował nastrój oblężenia. Wyrzucano siłą dziennikarzy, którzy jakimś cudem prześlizgnęli się przez policyjny kordon. Gazety i radio podsycaly plotki, że „Global” traci kaŜdego dnia milion dolarów. W rzeczywistości straty były większe.

Zabarykadowany w biurze, Steven Talbot pracował jak opętany. Przyjmowanie klientów, nawet tych najważniejszych, musiał pozostawić pracownikom. Sam skoncentrował się na bankach. Kredytodawcy żądali zabezpieczeń. Znali jego prywatny numer telefonu, więc nie mógł ich spławić.

Starał się, żeby jego głos nie zdradzał zdenerwowania. Owszem, mają pewien

problem, przyznawał. Nie tak duży, jak twierdzą gazety, ale wystarczająco poważny. FBI, policje wszystkich krajów oraz siły bezpieczeństwa „Globalu” pracują nad tą sprawą. Najważniejsze jest to, powtarzał Steven, żeby wszyscy zachowali spokój. To normalne, że zwykli ludzie wpadają w panikę, ale bankierzy są przecież ulepieni z innej gliny. Steven przyrzekał, że za kilka dni sytuacja wróci do normy.

— Dobrze ci mówić, Stevenie — odrzekł kwaśno jeden z bankierów. — Nie wiesz jednak, ile ci dranie tego wydrukowali.

Steven roześmiał się w odpowiedzi, jednakże jego również dręczyło to pytanie. *Ile wydrukowali? Dziesięć milionów? Dwadzieścia? Trzydzieści? Tyle, żeby doprowadzić mnie do bankructwa?*

Wszystko zakończyło się równie szybko, jak się zaczęło. W pewnym momencie bankierzy odkryli, że nowe fałszyfikaty już się nie pojawiają. Uzbrojeni kurierzy przewoźni na Lower Broadway fałszywe czeki z całego świata.

Jeden z wysokich urzędników osobiście przywiózł kilka. Nie chciał odejść, dopóki nie spotka się ze Stevenem Talbotem.

— Dziękuję, że zgodził się pan poświęcić mi cenny czas—powiedział komisarz singapurskiej policji, kiedy wprowadzono go do gabinetu Stevena.

Steven rzucił okiem na policjanta i zauważył, że jego garnitur jest pognieciony, jak gdyby przespał całą drogę z Singapuru.

— Pana poczucie obowiązku jest godne pochwały — oświadczył Steven. — Naprawdę, nie musiał pan osobiście przywozić czeków. Jeden z moich ludzi je weźmie...

— To nie o czekach chciałem z panem porozmawiać, panie Talbot — odrzekł Malaj — ale o człowieku, który je wydrukował.

Komisarz stwierdził z zadowoleniem, że Steven poświęca mu teraz całą uwagę.

— Co pan ma na myśli?

— Mogę podać panu nazwisko i adres człowieka, który maczał palce w produkcji fałszywych czeków.

Steven położył dłonie na skórzanym blacie. Czyżby ten nędznik naprawdę coś wiedział?

— Szef mojego działu inspekcyjnego jest w drodze do Nowego Jorku—powiedział Steven. — On również ma dla mnie informacje.

Malaj uśmiechnął się uprzejmie. Upewnił się, że Lockwood nie znajdzie miejsca w żadnym samolocie. Zwłoka będzie kosztowała Nicholasa przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

— Może pan oczywiście czekać na pana Lockwooda—rzekł komisarz. — Może pan również zlecić mi schwytanie przestępcy.

Komisarz położył zdjęcie przed Stevenem. Fotografia była niewyraźna, zrobiona z dużej odległości, a mimo to Steven od razu wiedział, kogo przedstawiała.

Harry Taylor.

Serce Stevena biło mocno. Rose miała więc słuszność. Harry Taylor żyje! Nie uśmierciła go ani kula, ani bandyci, ani nawet sam czas.

Teraz jesteś mój — pomyślał Steven. — Skończyło się twoje szczęście.

— Komisarzu, gratuluję panu wspaniałej roboty — powiedział opanowanym głosem. — Tak jak mówiłem, inspektor Lockwood wraca już z Singapuru. Na pewno przywiezie mi tę samą informację.

Malaj był niewzruszony.

— Możliwe, panie Talbot. Szanuję zdolności pana Lockwooda, mam nad nim jednak pewną przewagę. Moi ludzie na przykład obserwują teraz pana Taylora. Szkoda by było, gdyby ich zgubił.

Ty cholerny szantażysto! — pomyślał Steven, uśmiechając się z wysiłkiem do komisarza. Steven nie wiedział, że Malaj mówi tylko połowę prawdy. Komisarz wiele razy widział Lockwooda w towarzystwie Taylora i nie wątpił, że ci ludzie pracują razem. Nie zamierzał jednak mówić o tym Talbotowi. Był bowiem pewny, że zarówno Lockwood, jak i Taylor hojnie zapłacą mu za milczenie. W ten sposób wydoi kilka krów naraz.

— Wspomniał pan, że ma pan prawo aresztować tego człowieka — powiedział Steven.

— Tak jest. Zdobycie dowodów będzie jednak kosztowało bardzo drogo.

— Ile?

— Sto tysięcy amerykańskich dolarów.

W tym momencie Steven zrozumiał, że skorumpowany Malaj mógłby naprawdę zasłużyć na te pieniądze.

— To wygórowana cena. Jeśli się na nią zgodzę, spodziewam się czegoś więcej niż zwykłego aresztowania przestępcy. Myślę, że wszyscy by na tym skorzystali, gdyby ten człowiek po prostu zniknął.

Podszedł do sejfu i wyjął stos pieniędzy.

— Połowa teraz, połowa kiedy przeczytam o tragicznym wypadku Harry'ego Taylora. Opisowi mają towarzyszyć bardzo przekonujące zdjęcia.

Malaj nie odrywał oczu od pieniędzy.

— Chińska dzielnica w Singapurze to bardzo niebezpieczne miejsce—wymruczał.

Dopiero po trzydziestu dziewięciu godzinach Nicholas Lockwood przyjechał do Nowego Jorku. Kiedy wszedł do biura, podbiegła do niego sekretarka.

— Mają go! Singapurska policja znalazła fałszerza! — Pomachała zdjęciem Harry'ego Taylora. — Pan Talbot chce się natychmiast zobaczyć z panem.

Nicholasowi zrobiło się słabo. Gdzieś po drodze popełnił straszny błąd. Musi natychmiast ostrzec Harry'ego.

— Lockwood! Nareszcie jesteś.

Nicholas odwrócił się gwałtownie, słysząc głos Stevena Talbota.

— Namierzyliśmy sukinsyna — mówił Talbot. Wziął zdjęcie od Lockwooda. — Czy wiedziałeś, że to on?

— Podejrzywałem, ale nie byłem pewny — odrzekł Lockwood. Wręczył Talbotowi kartkę. — Oto adres, do którego prowadziły tropy fałszerskiej operacji. Założę się, że mieszka tam Harry Taylor. Steven przeczytał i uśmiechnął się.

— Mieszkał. W czasie przeszłym. Byłeś jednak na właściwym tropie, Lockwood. Po wyjściu Talbota Nicholas poprosił telefonistkę, żeby połączyła go z numerem Harry'ego w Singapurze. Czekanie dłużyło się nieznośnie.

— Przykro mi, sir—powiedziała w końcu telefonistka.—Numer nie odpowiada.

Cassandra i Harry siedzieli w małej restauracji naprzeciwko domu Taylora, jedząc kraby, ostrygi i pieczone krewetki.

— Mary powinna się pospieszyć—wymruczał Harry, grzebiąc w swoim talerzu. Cassandra roześmiała się.

— Właśnie dlatego wyrzuciła cię z domu. Chciała się spokojnie spakować. Harry Taylor pociągnął solidny łyk piwa.

— Czy kiedykolwiek mi przebaczysz? — spytał, a jego słowa ledwo było słychać w ulicznym hałasie.

Cassandra odwróciła wzrok.

— To wydarzyło się dawno temu. Nie wiedziałeś przecież, że Steven zamierzał zamordować mnie i matkę. Nie wracajmy do tego, Harry. Mary i Rachel są cudowne. Kochacie się. Tylko to się liczy...

Wybuch, który rzucił Cassandrę na ziemię, był tak silny, że popękła jezdnia i chodnik. Cassandra słyszała krzyki ludzi. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła chmurę czarnego dymu i kurzu po przeciwnej stronie ulicy.

— Harry, nic ci...

Harry już się podniósł. Deptał po leżących ludziach, potraçał tych, którzy wstawali i biegł w kierunku ruin, które kiedyś były jego domem.

Harry brnął wśród kamieni i roztrzaskanego drewna. Ze wszystkich stron otaczały go płomienie, on jednak rzucił się do przodu. Cassandra wstała i ruszyła za nim. Przepchnęła się przez tłum i obiegła dom.

— Harry!

Jakimś cudem tył domu był nienaruszony, jak gdyby wybuch rozłupał budynek na pół. Cassandra wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Dostrzegła lalkę wystającą spod gruzu i zaczęła kopać.

— Za późno... za późno.

Harry stał nad Cassandrą, trzymając Rachel na rękach. Na jego twarzy osiadło tyle sadzy, że nie mogły jej zmyć nawet łzy.

— Mary, Ram... — zaczęła Cassandra.

— Nie żyją, wszyscy nie żyją.

Jak lunatyk Harry wyszedł na tylny dziedziniec i ostrożnie położył Rachel koło fontanny.
— Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia Steven mnie odnajdzie — powiedział Harry z niesamowitym spokojem. — Zmusi mnie, żebym zapłacił...

— Harry, musimy uciekać. Ktokolwiek to zrobił, chciał zabić również ciebie!

— Wiem.

Cassandra słyszała syreny wozów strażackich i karettek pogotowia.

— Harry, proszę!

Odwrócił się i znów ruszył ku rumowisku. Po chwili wyszedł, niosąc ciało Mary. Cassandra poczuła dławienie w gardle, patrząc na zakrwawione zwłoki. Wkrótce Harry wyniósł Rama.

— Harry, nie możemy tu zostać! — wyjąkała Cassandra, unosząc głowę i patrząc w jego kierunku. Jednakże Harry Taylor zniknął, tak samo jak szczęście i nadzieja w jego życiu.

67.

Trzydzieści trzy dni po odkryciu pierwszego fałszywego czeku, dwa tygodnie po ukazaniu się w prasie artykułu z informacją, że nieszczelny zbiornik z propanem wybuchł w chińskiej dzielnicy w Singapurze, zabijając młodą matkę, jej ojca i małą córeczkę, prezesi czterech największych amerykańskich banków spotkali się ze Stevenem Talbotem w jego rezydencji na Piątej Alei. Tak jak w każdą niedzielę, wszyscy finansisci udali się tego ranka do kościoła. Modlili się żarliwie, mając nadzieję, że Bóg ich wysłucha. W przeciwnym razie akcjonariusze dobiorą się im do skóry.

— Dobrze, panowie — powiedział prezes Banku Północnoamerykańskiego, Jason MacTavish. — Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy, przejdźmy więc do rzeczy. Stevenie, ludzie mówią, że fałszywe czeki kosztowały cię ponad dziesięć milionów dolarów. Później straciłeś dwa razy tyle, gdyż nikt nie chce kupować nowych czeków. Oceniamy, że nerwowi klienci zwrócili „Globalowi” papiery wartości pięciu milionów dolarów. Sądzymy, że będziesz musiał wydać sześć lub siedem milionów na reklamę, żeby odzyskać zaufanie klientów. Zanim dojdzie do przełomu, upłynie co najmniej dziewiędziesiąt dni. Według naszych obliczeń, będzie cię to kosztować następne czterdzieści milionów. Podsumowując, straciłeś osiemdziesiąt jeden milionów dolarów.

— Bankier podniósł głowę znad notatek. — Pożyczyłeś od nas sto milionów — zakończył cicho. Steven Talbot napił się kawy i długo trzymał filiżankę, zanim delikatnie odstawił ją na spodeczek.

— Jasonie — powiedział. — Zawsze umiałeś dodawać. Do czego zmierzasz?

— To chyba oczywiste, Stevenie — odrzekł bankier, ignorując kpinę. — Jesteś nam winien dużo pieniędzy. Chcielibyśmy je odzyskać. Jeszcze miesiąc temu twoja kasa była pełna i prowadziłeś solidny interes. Ty jednak ciągle pożyczaleś. Czas, żebyś nam powiedział, co zrobiłeś z naszymi pieniędzmi.

Zainwestowałem je — odrzekł Steven.

— W takim razie pokaż nam zabezpieczenie — zażądał inny bankier. Steven pokręcił głową i uśmiechnął się, ale kiedy się odezwał, jego głos był zimny jak lód.

— Nie muszę niczego pokazywać. Związałaście się ze mną i nie możecie się z tego wykręcić, nawet gdybyście chcieli. Sądzę zresztą, że wcale tego nie pragniecie. Gdyby akcjonariusze dowiedzieli się o tych pożyczkach, wykopaliby was na ulicę, a chłopcy z Rezerw Federalnych zamknęliby was w więzieniu.

— Nie możesz tak do nas mówić! — wykrzyknął dyrektor jednego z najstarszych amerykańskich banków. — Działaliśmy w dobrej wierze...

— Kierowała wami chciwość! — odparł Steven. — Sądziście, że niczym nie ryzykujecie. Wykorzystaliście okazję zrobienia łatwego interesu. Byliście przekonani, że spłacę pożyczkę i nikt się o tym nie dowie — przerwał. — Tak właśnie powinno być. Wciąż jest to możliwe — dodał.

Mężczyźni zapalili papierosy i fajki. W powietrzu unosiły się chmury błękitnego dymu.

— Najwyraźniej masz dla nas jakąś propozycję — powiedział Jason MacTavish.

— Wysłuchamy cię, niczego jednak nie obiecujemy.

— Bardzo dobrze — rzekł Steven. — Wszyscy wiecie, że firma „United States Express” przejęła część zysków z przekazów pieniężnych i czeków podróżnych. Nie przewidziałem tego niebezpieczeństwa i nie działałem wystarczająco szybko. Jednakże USE zagraża nie tylko „Globalowi”. Was również, panowie, niepokoją dochody Cassandry McQueen. Co jednak robicie? Nic. Obecnie nowojorski bank Franklin National ma w ręku najsilniejsze karty. W grze uczestniczy jednak zaledwie niecała setka banków. Cassandra tak was wyprzedziła, że prawie już jej nie widać na horyzoncie.

— Dlaczego sądzisz, że chcielibyśmy ją dogonić? — spytał MacTavish.

— Każdy z was zamierzał stworzyć własną kartę — odrzekł Steven.

— W niektórych bankach próbowano już nawet wprowadzić te plany w życie. Steven uśmiechnął się, widząc, jak bankierzy unikają swoich spojrzeń.

— Popełniliście jednak pewien błąd — mówił dalej. — Wasze karty są kartami płatniczymi: klient musi zapłacić należność po trzydziestu dniach, tak jak w USE. Chcecie naśladować konkurentów, a nie wprowadzać innowacje. Postanowiliście zainwestować miliony dolarów w nowe wydziały, sprzęt, personel i reklamę, a wszystko po to, żeby dogonić USE. Istnieje jednak inny sposób. Powinniście pomyśleć o karcie kredytowej, a nie płatniczej. Dajcie klientowi więcej niż miesiąc na uregulowanie rachunku. Do diabła, dajcie mu tyle czasu, ile zechce, ale każcie mu za to zapłacić! Niech pokryje, powiedzmy, dziesięć procent rachunku. Resztę zapłaci później. Policzycie mu za to pięć procent. Oto, panowie, co nazywam prawdziwym zyskiem.

Miny bankierów nie wyrażały już gniewu i rezygnacji. Steven wiedział, że prawie ich przekonał. Czekał cierpliwie, aż najbystrzejszy z nich zgłosi oczywiste zastrzeżenie.

— To bardzo interesujący pomysł, Stevenie — rzekł w końcu MacTavish.

— Jednakże nawet karta kredytowa doprowadzi do niezwykle trudnej wojny z „United States Express”.

— Niekoniecznie. — Steven podniósł słuchawkę i powiedział: — Niech przyłączy się do nas pan Lockwood.

Nicholas Lockwood mówił przez pół godziny. Jego wystąpienie było starannie przygotowane i trafiło do przekonania, choć nie korzystał z żadnych notatek.

— Oto podsumowanie. Nowa karta USE jest tak zaawansowana technicznie, że jeśli wprowadzicie tego rodzaju środek płatniczy na rynek, będziecie mogli konkurować z Cassandrą McQueen.

Lockwood czekał na pytania.

— Czy USE opatentował pas magnetyczny? — spytał MacTavish.

— Tak. Jednakże USE pracuje wyłącznie na komputerach IBM. Jeśli dobijecie targu z UNTVAC Remingtona Randa, to jego ludzie mogliby opracować nowy kod magnetyczny, nie naruszający praw patentowych.

— Co mielibyśmy powiedzieć firmie UNTVAC? — spytał MacTavish. — Jeśli poczekamy, aż USE zacznie rozprowadzać kartę, a później ją zbadamy i wprowadzimy, hm, niezbędne poprawki, to wciąż będziemy daleko w tyle. Mówiąc wprost, parne Lockwood, musimy jak najszybciej zdobyć plany nowej karty.

Nicholas spojrział na Stevena.

— Myślę, że nie powinniśmy wchodzić w szczegóły — rzekł Steven.

— Niewykluczone, że w przyszłości ludzie będą zadawać pytania. Lepiej, żebyście wszyscy mogli powiedzieć, że nie macie pojęcia, w jaki sposób te projekty wpadły w wasze ręce.

Bankierzy pokiwali głowami.

— Jeszcze jedno — dodał. — Po dostarczeniu planów oczekuję wprowadzenia moratorium na spłatę długów, które pozwoli „Globalowi” uporządkować swoje sprawy. Potem rozłożymy spłaty na okres, powiedzmy, pięciu lat. — Steven rozejrzał się. — Nie chciałbym więcej o tym słyszeć. Talbot i Lockwood wyszli z sali, pozwalając bankierom na dyskusję. Dziesięć minut później podszedł do nich prezes Banku Pómcnoamerykańskiego.

— W porządku, Talbot. Dobiliśmy targu. Jeśli jednak nie dostarczysz planów, dobierzemy ci się do skóry. Oczywiście, będzie to dla nas trudne, ale pamiętaj, że ciebie czeka wówczas jeszcze gorszy los.

Nad jeziorem w Connecticut widać było kolorowe korony drzew na tle błękitnego nieba.

Cassandra uwielbiała tę porę roku, kiedy przyroda piękniała po raz ostatni przed zimowym snem.

Nicholas Lockwood wszedł do chatki i usiadł obok niej. Delikatnie pogładził Cassandrę po policzku. Tak jak zawsze przeszedł ją przyjemny dreszcz.

— Nie udało mi się znaleźć Harry'ego — powiedział, biorąc ją za rękę.

— Przykro mi, Cass.

Cassandra zacisnęła usta i spojrzała przed siebie. Nieuchwytny Harry... Nicholas był świetnym fachowcem, ale przez wiele lat Harry ciągle wyprzedzał go o krok. Później, kiedy Nicholasowi udało się wreszcie go odnaleźć...

— Niech to diabli! — wykrzyknęła Cassandra. — Wytłumaczyłam Harry'emu, jak wiele od niego zależy. Wiedział, że jeśli opowie na policji o wydarzeniach w Paryżu, raz na zawsze zniszczy Stevena. — Odwróciła się do Nicholasa. — Byłam tam, kochanie. Widziałam, co się stało z Mary, Rachel i Ramem. Boże, wiem, przez co przeszedł Harry! Gdyby poczekał, dałabym mu Stevena... Nicholas nic nie odpowiedział. Doskonale rozumiał, co i dlaczego zrobił Harry. Rozpacz mogła zaślepić człowieka, czasami obdarzała go jednak niesamowitym sprytem, dzięki któremu umiał dokonać rzeczy na pozór niemożliwych. Nicholas wiedział, że prędzej czy później odnajdzie Harry'ego. To tylko kwestia czasu. Właśnie dlatego nie zaproponował, kiedy Cassandra powiedziała:

— Muszę iść dalej. Zrobiliśmy wszystko, żeby zastawić pułapkę na Stevena. Nie mogę stracić tej okazji, Nicholasie. Z Harrym czy bez niego, trzeba zaryzykować.

— Co mam zrobić?

Położyła obie ręce na jego dłoni.

— Dokładnie to, czego spodziewa się Steven.

Zakłady „United States Express”, w których produkowano karty, znajdowały się w Riverhead na Long Island. Trzypiętrowy budynek otaczało ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Strzegły go patrole z psami i najnowocześniejszy system alarmowy.

— Nie rozumiem, jak ten skurwysyn się tu dostał! — powiedział Kevin Armstrong przez zaciśnięte zęby. Spojrzał na Cassandrę i dodał pośpiesznie.

— Proszę wybaczyć mój język.

— Nie szkodzi — zapewniła go Cassandra.

Na podjeździe przed drzwiami frontowymi stały samochody policyjne. Cassandra patrzyła, jak detektywi wbiegają do środka.

— Musiał to zrobić ktoś z wewnątrz — powiedział szef bezpieczeństwa.

— Policjanci niczego nie znajdują. To była czysta robota, bardzo czysta.

— A może padliśmy ofiarą profesjonalnego włamywacza? — spytała Cassandra. Armstrong pokręcił głową.

— Sejf, w którym przechowywano kody magnetyczne, miał zamek czasowy. Złodziej mógł tylko rozpruć sejf... i to właśnie zrobił, za pomocą lancetu termicznego. Lancet termiczny, na miłość boską! Widziałem to narzędzie tylko w jednym miejscu: w szkole FBI w Quantico.

— Dlaczego pan sądzi, że zamieszani w to byli nasi pracownicy?

— Ktoś musiał przekazać złodziejom elektroniczny kod do drzwi towarowych

— odrzekł Armstrong. — lancet termiczny jest ciężkim urządzeniem. Trzeba czasu, żeby wyjąć go z ciężarówki i zanieść do budynku. Włamywacze z pewnością wiedzieli, gdzie i kiedy chodzą patrole. Gdy znaleźli się w środku, nie zeszli do

podziemia, gdzie trzymamy plastik i puste karty. Udali się prosto do cholernego biura i stopili mój sejf jak kostkę lodu.

Cassandra położyła rękę na ramieniu Armstronga. Nie chciała, żeby się obwiniał, jednakże złodzieje ukradli coś więcej niż plany pasków magnetycznych. Zabrali zawodową dumę Armstronga. Cassandra zadrżała, kiedy pomyślała, co się stanie, jeśli Armstrong ich złapie. *Nie będzie miał o mnie zbyt dobrej opinii, kiedy w końcu pozna prawdę.*

— Teraz zjawiała się jeszcze cholerna prasa! — jęknął.

Cassandra przygotowała się na to, by rzekome niepowodzenie przedstawić dziennikarzom jako prawdziwą katastrofę.

Kobieta w brunatnej sukni i źle dopasowanym płaszczu, która weszła do najmodniejszego tokijskiego sklepu z konfekcją, wydawała się zupełnie nieprawdopodobną klientką. Kiedy podeszła do kontuaru, sprzedawczyni zmarszczyła nos.

Już od dawna Yukiko mogła kupować najlepsze ubrania, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi. Tęskniła jednak za luksusem i z niecierpliwością czekała na dzień, kiedy wyjdzie z ukrycia. Ta chwila wreszcie nadeszła.

— Chciałabym kupić trochę ubrań — powiedziała cicho. Sprzedawczyni, która była jednocześnie kierowniczką, roześmiała się.

— Idź lepiej do sklepu z używanymi rzeczami.

Yukiko spojrzała na nią ostro. Bez słowa opuściła sklep i podeszła do budki telefonicznej, skąd wykonała jeden krótki telefon. Potem czekała.

Minęło kilka godzin. Yukiko uważnie obserwowała wejście do sklepu. Wkrótce podjechała limuzyna, z której wysiadło trzech mężczyzn. Wtedy wróciła. Kierowniczka machała rękami i krzyczała na Jiro Tokuyamę i dwóch adwokatów.

— Nie rozumiem. Co to ma znaczyć, że sklep został sprzedany?

— To znaczy, że został sprzedany—powiedziała beznamiętnie Yukiko.—A ty jesteś zwolniona. Zanim kierowniczka zdążyła odpowiedzieć, Yukiko zwróciła się do innej sprzedawczyni.

— Ubierz mnie!

Trzy godziny po włamaniu w Riverhead Nicholas Lockwood przywiózł skradzione plany do posiadłości Stevena na Long Island.

— Gratuluję — powiedział Steven. — Wszyscy o tobie mówią. Nicholas wręczył mu tekturowy pojemnik w kształcie tuby.

— Czy będę jeszcze potrzebny?

— Idź do domu, Lockwood. Zasłużyłeś dziś na swoją pensję.

Steven pobiegł do pokoju, w którym czekali na niego inżynierowie i technicy, specjaliści od komputerów i elektronicznej technologii i wręczył tubę głównemu inżynierowi, a potem odwrócił się do Jasona MacTavisha, który nalegał, by ekspertyzę przeprowadzili jego specjaliści.

— Może się napijemy?

Ledwie zdążyli umoczyć usta w drugim kieliszku szkockiej, kiedy inżynier wszedł do biblioteki.

— Czy to jakiś żart?

— O czym pan, do diabła, mówi? — spytał Steven, wstając z krzesła. Inżynier rzucił projekty na stół.

— Nie są warte papieru, na którym je wydrukowano. To schemat obwodów komputera IBM 702.

— Niemożliwe!

— Zamknij się, Stevenie — powiedział MacTavish. — Proszę dalej, doktorze Knight.

— Jeśli chodzi o pas magnetyczny — inżynier podniósł pasek czarnego filmu — to nie ma na nim nic. Żadnego kodu, żadnej informacji.

Steven cisnął o ścianę kryształowym kieliszkiem.

— Nic nie mów — ostrzegł MacTavish. — Nie chcę słyszeć ani słowa. Dałem ci szansę, Stevenie, a ty z niej nie skorzystałeś.

Bankier spojrzał twardo na inżyniera.

— Nie popełniliście żadnego błędu?

— Żadnego, sir.

— Bądź w moim biurze jutro o dziesiątej rano, Stevenie. Jeśli nie przyjdiesz, zażądam, by cię aresztowano.

Ani celnicy, ani urzędnicy biura imigracyjnego nie zwrócili uwagi na Harry'ego Taylora, wysiadającego z samolotu na lotnisku w Honolulu. Jego chuda, trupia twarz wyglądała tak samo jak twarze innych pasażerów po długim locie z Sydney. Harry podniósł torbę i ruszył ku wyjściu.

— Czy wie pan, gdzie mogę znaleźć czysty, tani hotel? — spytał taksówkarza.

— Pewnie, bracie — odrzekł Hawajczyk. — Zostaw to mnie.

Harry tak właśnie zrobił. Nie dbał o to, gdzie zamieszka, byle nie zadawano mu żadnych pytań.

Potrzebował spokoju i anonimowości.

Kiedy taksówka sunęła po dwupasmowej szosie, Harry dostrzegł w oddali światła Waikiki. Widok przypominał niektóre części Singapuru. Ta myśl obudziła inne wspomnienia. Harry zamknął oczy i wydawało mu się, że Ram, Mary i Rachel cicho go przyzywają.

Zanim technicy komputerowi spakowali ekwipunek, Steven pędził na Manhattan. Zadzwoił zarówno do mieszkania Lockwooda, jak i do jego biura, nikt jednak nie podnosił słuchawki.

Rozkazał ochroniarzowi „Globalu” zbudzić wszystkich ludzi i znaleźć Lockwooda.

— Boję się, że coś mu się stało. Miał się ze mną spotkać dziś wieczorem, ale nie przyszedł.

Oczekuję od was informacji, kiedy wrócę do biura.

Nikt jednak nic nie wiedział.

— On zniknął, sir — powiedział wicedyrektor. — Czy nie orientuje się pan, co się z nim dzieje?

— Nie.

— W takim razie sędzę, że należy zawiadomić policję.

— Żadnej policji! Płacę wam za odnalezienie go!

Po wyjściu funkcjonariusza Steven zgasił wszystkie światła, z wyjątkiem zielonej lampki na biurku. Nie wątpił, że Lockwood go zdradził, i wiedział, że nie zdarzyło się to po raz pierwszy. *Nigdy nie opuścił Cassandry. To był podstęp. Udawał tylko, że związał się ze mną. Cały czas pracował dla niej.*

Steven uderzył pięścią w biurko. Miał ochotę zniszczyć wszystko wokół siebie. Wzbierała w nim nienawiść. Wkrótce przyjdzie kolej na Lockwooda. Będzie musiał zapłacić. Skoro tak kochał Cassandrę, Steven wyznaczył już cenę.

Steven Talbot wysiadł z limuzyny przed Centrum Rockefellera i wjechał prywatną windą Banku Północnoamerykańskiego na czterdzieste szóste piętro. Sekretarz zaprowadził go do biura prezesa.

— Cześć, Steven — powiedział MacTavish obojętnym tonem. — Usiądź. Steven rozejrzył się po pokoju.

— Jesteśmy sami, jeśli o to ci chodzi — rzekł bankier. — Mam jednak prawo mówić w imieniu innych.

Steven nie odezwał się.

— Zbadaliśmy dokładnie twoją sytuację, Stevenie—rzekł MacTavish.—Miałeś słuszość: dokonałeś całkiem niezłych inwestycji. Plan opanowania japońskiego rynku był jednak obliczony na bardzo długą metę. Zabrakło ci czasu.

Na twarzy Stevena nie drgnął ani jeden mięsień, wiedział jednak, że zdradziły go oczy.

— Nikt nie miał pojęcia, że inwestujesz w japoński przemysł, prawda? Sam chciałeś zgarnąć wszystko. Zastanawiasz się teraz, jak się o tym dowiedzieliśmy. Cóż, przyjrzyj się dokładniej bystrym, młodym chłopakom, których zatrudniłeś.

— Nic wam nie przyjdzie z japońskich aktywów—powiedział w końcu Steven. — Nie odzyskacie pieniędzy.

MacTavish uśmiechnął się.

— Tak mogłoby się wydawać. Mylisz się jednak. Znaleźliśmy kupca, który chce nam zapłacić całe sto milionów. Oczywiście, to dla ciebie za mało, ale to inna sprawa. Zanim zaczniesz się kłócić, powiem ci, że przygotowaliśmy już umowę sprzedaży i czekamy tylko na twój podpis.

Podpiszesz, prawda, Stevenie? Jeśli nie, na zewnątrz czeka dwóch szeryfów federalnych. Nie chcesz chyba, żeby klienci zobaczyli, jak wyprowadzają w kajdankach szefa „Globalu”. Po zawarciu umowy możesz zapomnieć o robieniu interesów z nowojorskimi bankami. Żadna amerykańska instytucja finansowa nie pożyczyci ci ani centa.

MacTavish podsunął dokumenty Stevenowi.

— Po prostu podpisz się na ostatniej stronie. Steven długo patrzył na papier.

— Nie macie kupca. To blef.

— Będziesz tego żałował, Stevenie — ostrzegł MacTavish.

Wezwał sekretarkę, która wpuściła do środka elegancko ubranego dżentelmena o azjatyckich rysach twarzy.

— Panie Talbot, oto pan Jiro Tokuyama, który właśnie kupił japońskie aktywa. W głowie Stevena rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Nazwisko i twarz wydawały się znajome. Nagle przypomniał sobie wszystko.

— To tylko pieprzony ogrodnik! Ten drań pracował dla mnie! Nagle Steven zrozumiał prawdę. *Yukiko!*

Jiro Tokuyama podszedł szybko do Stevena. Bez słowa wręczył mu poranne wydanie *New York Timesa*. Na stronie poświęconej finansom zobaczył wielki, krzyczący nagłówek:

UNITED STATES EXPRESS ZAMIERZA PRZEJĄĆ AKTYWA GLOBALU

— Myślę, że i bez nas będziesz miał wiele powodów do zmartwienia — powiedział Jason MacTavish. — Podpisz i wynoś się do diabła.

Wracając na Lower Broadway, Steven Talbot wciąż myślał o Yukiko Kamaguchi. Zostawił ją bez grosza. Dowiedział się, że szefowie *zaibatsu* zabronili jej wracać do Japonii. Jak sobie poradziła? Jak zdołała zebrać tyle milionów, by wykraść jego japońskie aktywa?

Przede wszystkim, jak się o nich dowiedziała?

— Żadnych telefonów — warknął Steven do sekretarki, kiedy wrócił do biura.

— Pan Harry Taylor jest na linii — odrzekła szybko dziewczyna. — Dzwonił przez cały ranek i koniecznie chciał z panem rozmawiać. Mówił, że chodzi o Singapur...

— Odbiorę!

Zatrzasnął za sobą drzwi.

— Harry?

W słuchawce słychać było trzaski i przez chwilę sądził, że połączenie zostało przerwane. Potem usłyszał głos Harry'ego.

— Czekam na ciebie, Stevenie. Wiem, co zrobiłeś, i czekam na ciebie. Cobbler's Point.

Głos w słuchawce zamilkł. Steven cisnął telefonem o ścianę. Serce biło mu mocno. Nikt nie zagrażał Stevenowi bardziej niż Harry Taylor. Yukiko ukradła jego marzenia o przyszłym panowaniu nad japońską gospodarką. „Global” znalazł się na krawędzi bankructwa i potrzebował milionów. Jeśli jednak chce coś uratować, musi przeżyć. Tylko jedna osoba wie, co naprawdę wydarzyło się w katakumbach. Za pomocą kilku słów Taylor mógłby posłać go na szubienicę. Steven wiedział, że w takim wypadku Harry musiałby się przyznać do podrabiania czeków.

Ten człowiek nie dba o to, że zostanie aresztowany i pójdzie do więzienia. Zabrałem mu żonę i dziecko. Nie ma nic do stracenia. Skoro tak, to Harry Taylor musi umrzeć.

68.

Oświadczenie Cassandry, w którym firma „United States Express” wypowiedziała wojnę „Global Enterprises”, zaskoczyło społeczność finansistów. Na Wall Street, w bankach i w domach maklerskich krążyły różne plotki. Tak jak było do przewidzenia, rzecznik prasowy „Globalu” natychmiast zareagował.

— Pan Talbot zna się doskonale na tego rodzaju taktyce — powiedział dziennikarzom. — Znajdzie sposób, żeby powstrzymać konkurentów.

— Widziałeś to? — spytała Cassandra, pokazując Nicholasowi *Wall Street Journal*. — Steven nie może przez cały czas ukrywać się w Dunesragu. Prędzej czy później wyjdzie.

— Już wyszedł — odrzekł poważnie Nicholas.

— Wiem. Za godzinę udzieli wywiadu w radio.

— Dwie godziny temu Steven Talbot odleciał z lotniska Idlewild. Zmierza do Honolulu.

— Do Honolulu!

— Przykro mi, Cass. Powinienem dowiedzieć się o tym wcześniej. Jeden z moich ludzi pokpił sprawę. Nie zauważył, że Steven wychodzi z Dunesragu.

— Dlaczego jedzie do Honolulu, podczas gdy... — Cassandra spojrzała na Nicholasa. — Harry?

— Na pewno. Steven nie opuściłby teraz Nowego Jorku, gdyby nie była to sprawa życia lub śmierci.

Dopiero po wejściu na pokład samolotu Steven pozwolił podać do publicznej wiadomości cel swojej podróży. Idealnie wybrał właściwą chwilę. Na lotnisku w Honolulu czekali na niego reporterzy.

— Przybyłem na Hawaje — oświadczył — bo tu właśnie znajduje się mój dom i przyjaciele.

Uporałem się już z problemami w firmie. Nie ma powodu do niepokoju. Czeki podrózne są teraz równie wiarygodne, jak w dniu, w którym moja matka

wprowadziła je na rynek. Chciałbym zapewnić opinię publiczną, że za tym stoi cała potęga finansowa „Globalu”. Jeśli Cassandra McQueen w dalszym ciągu będzie próbowała podkopać moją pozycję, to w najbliższej przyszłości dowie się, jak ogromnymi środkami dysponuję. Prasa to podchwyciła. Idąc od samolotu do portu lotniczego, Steven odpowiadał na pytania dziennikarzy. Jego komentarze nie wносиły jednak niczego nowego. Myślał już o tym, jakie nagłówki pojawią się w jutrzejszych gazetach.

Dobrze Harry, przyjechałem. Spróbuj mnie dostać.

Na tarasie widokowym, gdzie zbierali się ludzie żegnający przyjaciół i krewnych, stała elegancko ubrana kobieta z Dalekiego Wschodu w towarzystwie dwóch milczących mężczyzn. Yukiko Kamaguchi patrzyła z podziwem, jak prasa je Stevenowi z ręki. Ten człowiek był oszustem najwyższej klasy, zabójcą i zdrajcą, udającym bohatera.

— Witamy w domu, Stevenie — powiedziała cicho Yukiko.

Harry Taylor wyszedł z hotelu dokładnie o godzinie piątej. Przeszedł przez ulicę i tak jak codziennie w ostatnim tygodniu zamierzał zjeść obiad w lokalu na rogu. Po drodze mijał kiosk z gazetami, do którego dostarczono już popołudniówki. Wzrok Harry'ego przyciągnął pewien nagłówek. Powoli schował pieniądze z powrotem do kieszeni.

— Nie dzisiaj, dziękuję — powiedział, uśmiechając się z wysiłkiem. Nawet nie spojrzał na restaurację. Wydawało mu się, że pistolet w kieszeni marynarki stał się nagle bardzo, bardzo ciężki.

Dziennikarze zgotowali Cassandrze zupełnie inne przyjęcie niż Stevenowi Talbotowi. Wszyscy byli do niej uprzedzeni.

— Panno McQueen, dlaczego ciągle prześladowuje pani pana Taibota?! — zawołał jeden z reporterów.

— Nikogo nie prześladowuję! — odpowiedziała z wysiłkiem.— „Global Enterprises” nic sobą nie reprezentuje. Steven Talbot systematycznie zagarniał zyski firmy i podważył jej wiarygodność. Chcę to zmienić.

— Pan Talbot twierdzi, że „Globalowi” nic nie grozi.

— Pan Talbot jest kłamcą!

Nicholas robił, co mógł, żeby utorować drogę Cassandrze. Dziennikarze szybko go rozpoznali.

— Od kiedy pan Lockwood dla pani pracuje, panno McQueen?

— On dla mnie nie pracuje!

— Cóż, był przedtem szefem bezpieczeństwa „Globalu”. Swego czasu tworzyliście niezłą parę. Czy mogłaby nam pani powiedzieć, kiedy go pani poprosiła, żeby wrócił?

Nicholas odwrócił się gwałtownie, gotów rzucić się na tego człowieka, ale Cassandra go powstrzymała.

— To pytanie nie zasługuje na odpowiedź! — ucieła.

— A może to zasługuje: Czy należy pani do kobiet, które gotowe są zrobić wszystko, żeby się zemścić?

— To wstrętne! — krzyknęła Cassandra. — Tylko Steven Talbot, i nikt inny, odpowiada za kłopoty firmy!

Nicholasowi udało się zaprowadzić Cassandrę do samochodu, wepchnąć ją do środka i zatrzasnąć drzwi.

— Jedziemy—rzucił do kierowcy. Odwrócił się do Cassandry. — Cała drzysz.

— Przytul mnie — wyszeptała Cassandra. — Proszę...

Milczeli przez całą drogę do hotelu. Nicholas sam załatwił wszystko w recepcji i zaprowadził Cassandrę do apartamentu.

— Popelniliśmy błąd, przyjeżdżając tutaj — powiedział otwarcie. — To terytorium Stevena. Mieszkańcy Hawajów są po jego stronie i żądają twojej głowy.

Wyszli razem na balkon. W dole rozciągały się błyszczące plaże Waikiki, a za nimi bezkresny ocean.

— Wszystko jedno — odparła Cassandra. — Tak czy inaczej wkrótce to się skończy.

— Nie musisz spotykać się ze Stevenem — rzekł szorstko Nicholas. — To niebezpieczny człowiek. Proszę, Cass, daj mi czas na znalezienie Harry'ego!

— Co się stanie, jeśli Steven cię wyprzedzi? — spytała łagodnie Cassandra. — Pomagam ci, mój drogi. Steven powinien myśleć o mnie, a nie o Harrym. Dzięki temu zyskasz na czasie. —

Cassandra dostrzegła niepokój Nicholasa. — Proszę, kochanie, to jedyny sposób.

— Dobrze — powiedział w końcu Nicholas. — Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Obiecuj, że nie zrobisz nic, dopóki nie zadzwonię.

— Obiecuję.

Jeszcze długo po wyjściu Nicholasa Cassandra myślała o Stevenie, aż nie mogła już tego znieść. Przypominała sobie ojca, matkę i Rose. W końcu podniosła słuchawkę.

— Wybacz mi, kochany — wyszeptała, czekając, aż centrala połączy ją z Cobbler's Point.

Albo Harry stał się nieostrożny, albo nie dbał już o to, czy ktoś go śledzi. Nicholas podejrzewał, że chodzi o to drugie.

Tak jak większość żołnierzy, Nicholas stacjonował w Honolulu, zanim wyruszył na Pacyfik. Znał miasto na tyle, żeby wiedzieć, gdzie szukać Harry'ego. Uciekinier będzie na pewno unikał skupisk turystów w pobliżu plaży. Ukryje się w miejscu, gdzie nikt nie zadaje pytań, a człowiek dysponujący gotówką może kupić broń. Nicholas rozpoczął poszukiwania od lombardów.

Poszczyściło mu się za czwartym razem. Właściciel schował do kieszeni dziesięć dolarów i przysiągł, że rozpozna zdjęcie Harry'ego.

Nicholas rozejrzał się po okolicy. Kelnerka w restauracji zapamiętała Harry'ego, gdyż dawał hojne napiwki. Nigdy wiele nie mówił, zawsze zamawiał to samo i czytał gazetę. Nicholas podziękował i mszył na poszukiwanie najbliższego stoiska z gazetami.

— Pewnie, że go pamiętam — rzekł sprzedawca. — Przychodził regularnie jak w zegarku.

— Przychodził?

— Nie widziałem go dzisiaj.

Nicholas wcisnął sprzedawcy dwudziestodolarowy banknot.

— Muszę go znaleźć — powiedział cicho. — To bardzo, bardzo ważne. Pieniądze zniknęły w kieszeni mężczyzny.

— Wychodził z tamtego hotelu. Myślę, że właśnie tam go pan znajdzie. Zanim skończył mówić, Nicholas już biegł.

Hotel był taki, jak się spodziewał: zakład trzeciej klasy dla żołnierzy i przyjezdnych.

— Nic nie wiem o tym facecie—powiedział recepcjonista, trzymając w zębach wykałaczkę.

— On tu mieszka — rzekł beznamiętnie Nicholas. — Proszę mi podać numer pokoju.

— Mieszkał. Zapłacił dziś po południu. Nie sądzę, żeby wrócił.

— Czy wie pan, dokąd się udał?

— Czy ja wyglądam na informację turystyczną?

Intuicja podpowiadała Lockwoodowi, dokąd zmierzał Harry. Nicholas nie był jednak pewien, czy Taylor dobrowolnie pojechał do Cobbler's Point. Modlił się, żeby go nie opuściło szczęście. Jeśli Steven dowiedział się, że Harry jest na wyspie i wytropił go...

Odsunął od siebie tę myśl. Wrzucił kilka monet do automatu i czekał na połączenie z apartamentem Cassandry.

— Przykro mi, sir. Nikt nie podnosi słuchawki.

— Ona musi tam być! — Nagle ogarnęła go panika.

— Recepcjonista mówi, że widział, jak panna McQueen pół godziny temu wychodziła z hotelu i...

Nicholas rzucił z przekleństwem słuchawkę i wybiegł na ulicę.

Cobbler's Point lśnił jak klejnot na tle czarnego nieba i morza. Jasne światło zalewało ścieżki i podjazdy. Dom otaczała poświata rozjaśniająca nocny mrok. Steven stał samotnie na tarasie przed salonem, a poły jego marynarki powiewały na wietrze. Kazał służącym iść do domu i przygotował się na wizytę Harry'ego. Zaskoczył go jednak telefon od Cassandry. Był zszokowany, kiedy usłyszał jej głos, ale szybko się uspokoił i zaprosił ją do Cobbler's Point na dzisiejszy wieczór. Samą. Wiedział, że jeśli zobaczy Lockwooda, nie oprze się pokusie i zabije go na miejscu. To zaś nie wyglądałoby na nieszczęśliwy wypadek.

Jeśli Harry wybierze tę chwilę, aby się do ruchu przyłączyć, w porządku. Steven poradzi sobie.

Kątem oka Steven dostrzegł cień padający na basen. Wsunął rękę do kieszeni i namacał kolbę pistoletu. Zaczął iść, przyglądając się zarośłom po przeciwnej stronie basenu. Był pewien, że ktoś się tam ukrywa.

Dochodził właśnie do końca basenu, kiedy dzwonek do drzwi przerwał ciszę nocy. Odwrócił się gwałtownie, ściskając w ręku pistolet. W tym momencie przeszły go zimne ostrza.

Cassandra zatrzymała się na podjeździe przy Cobbler's Point. Przez chwilę siedziała bez ruchu, zaciskając dłonie na kierownicy i zbierając siły. Intuicja podpowiadała jej, że powinna zawrócić. Odważnie wyszła jednak z samochodu i podeszła do drzwi. Kiedy nacisnęła guzik, zadzwieczał dzwonek. Czekwała, ale nikt się nie zjawił. Nacisnęła klamkę i drzwi się otworzyły.

— Steven?

Głos Cassandry słychać było w całym domu, nikt jednak nie odpowiadał. Szła ostrożnie naprzód, w kierunku salonu. *Co się z nim dzieje? Gdzie jest służba?*

Weszła na taras. Lampy wokół klombów rzucały na liście czerwone, błękitne i zielone światło. Przy basenie leżało coś jeszcze, jakiś długi cień, z którego wystawały dwa kije.

— Steven?

Cassandrze mocno biło serce. Słyszała rechotanie żab, granie świerszczy i cykad. Podeszła do basenu i zamarła. Leżał tam Steven Talbot. W jego piersi tkwiły dwa długie miecze.

Harry! Coś ty zrobił?

Powoli uklękła obok ciała, nie odrywając oczu od mieczy. Bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła rękojeści.

— Pomóż mi...

Krzyknęła, kiedy spróbował unieść głowę. Poruszył słabo dłonią, zostawiając krwawe ślady na brzegu basenu. Opanowała strach i uklękła przy nim.

— Stevenie, kto ci to zrobił?

Na jego ustach pojawiła się krew, a słowa zginęły w kaszlu.

Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Nie odważyła się wyciągnąć mieczy, gdyż obawiała się, że Steven się wykrwawi. Wstała, pobiegła do domu i chwyciła telefon, żeby zadzwonić. Nie było sygnału.

Muszę zostawić Stevena. Sprowadzę pomoc.

Ruszyła do wyjścia. Z przerażeniem myślała o pozostawieniu bezradnego Stevena. Potem przyszło jej do głowy, że być może morderca wciąż tu jest. A jeśli zobaczył Cassandrę i czeka teraz na okazję, żeby ją również zabić? Przestraszona rozejrzała się i otworzyła drzwi. Zaczerpnęła głębokiego oddechu i pobiegła do samochodu.

69.

Helikopter medyczny wylądował na trawniku Cobbler's Point. Nicholas Lockwood patrzył, jak dwaj pielęgniarze, którzy wynieśli na noszach Stevena Talbota, osłaniają pacjenta przed podmuchem śmigła. Jeden z pielęgniarzy pomógł lekarzowi umieścić rannego w helikopterze, a potem wszedł na pokład. Helikopter natychmiast odleciał.

Nicholas rozejrzał się. Na podjeździe stało sześć samochodów, w tym karetka pogotowia i wóz straży pożarnej. Czerwony blask migaczy padał raz po raz na białe ściany budynku. Nicholas widział przez okno, jak zespół specjalistów sądowych metodycznie szuka śladów i odcisków palców. Co kilka sekund błyskał flesz. Policyjny fotograf był zajęty.

— Czyżbyś się modlił?

Nicholas odwrócił się i ujrzał detektywa Charliego Kaneohe. Wysoki Hawajczyk w jaskrawej koszuli i słomkowym kapeluszu zapalił papierosa.

— Co mówią lekarze? — spytał Nicholas. Kaneohe wzruszył ramionami.

— Najpierw muszą wyciągnąć z niego te noże.

— To nie noże...

Nicholas przerwał. Powiedział już Kaneohe, że Stevena Talbota przeszły nie noże, lecz ceremonialne japońskie miecze.

— Gdzie jest teraz Cassandra? — spytał Nicholas.

Wiedział już, że patrol policyjny zatrzymał ją na Platinum Mile, kiedy odjeżdżała z Cobbler's Point. Kaneohe spojrzął na zegarek.

— Przypuszczam, że właśnie wpisuje się do akt jej nazwisko i pobiera odciski palców.

— O co jest oskarżona?

— O usiłowanie morderstwa.

— Wciąż myślisz, że ona to zrobiła — powiedział ze zdziwieniem Nicholas.

Wyobraził sobie Cassandrę: samotną, przerażoną, usiłującą zrozumieć niedorzeczną sytuację, w której się znalazła. — Chcę ją zobaczyć.

— Jesteś jej adwokatem?

— Nie, ale...

— Słuchaj, znasz reguły. Ma prawo zadzwonić i prawdopodobnie już to zrobiła. *Zadzwoniła do pustego pokoju.*

Nicholasowi zrobiło się słabo.

— Muszę iść.

— Tylko niezbyt daleko, panie Lockwood! — zawołał za nim Kaneohe.

— Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Spod kol wynajętego thunderbirda trysnęły kawałki muszli, kiedy Nicholas Lockwood skręcił ostro, aby uniknąć zderzenia z policyjnym samochodem. Zaraz za rogiem wjechał na autostradę prowadzącą do Honolulu. Dwadzieścia minut później zatrzymał się przed rządowym biurowcem, w którym mieściło się między innymi biuro imigracji i naturalizacji cudzoziemców. Nicholas pokazał legitymację służby bezpieczeństwa „Globalu”, a senny strażnik go przepuścił. Na trzecim piętrze odnalazł funkcjonariusza, który pełnił nocną służbę.

— Kto, do diabła, pana tu wpuścił? — spytał oficer.

— Ktoś próbował dzisiaj zabić pana Talbota — odrzekł chłodno Nicholas.

— Chcę zobaczyć karty imigracyjne wszystkich ludzi, którzy w ciągu ostatnich dwóch tygodni przyjechali do Honolulu.

Oficer patrzył na niego ze zdumieniem.

— Pana Talbota... Jezu! Ale widzi pan, nie wiem, czy powinienem...

— Pan Talbot jest w tej chwili na sali operacyjnej. Jeśli przeżyje, na pewno odwdzięczy się każdemu, kto pomoże ująć napastnika.

Oficer zawahał się.

— Powinienem zadzwonić na policję...

— Jasne — powiedział Nicholas, krzyżując ramiona. — Niech pan sobie nie przeszkadza. Mamy jednak nazwisko podejrzanego. Naturalnie, jeśli zdąży przez ten czas uciec z wyspy...

Nie musiał kończyć. Poskutkowało.

— Proszę za mną — powiedział funkcjonariusz.

W tym tygodniu ludzie przybywający na Hawaje wypełnili ponad tysiąc kart imigracyjnych. Nicholasa nie interesowało trzysta wojskowych formularzy, lecz pozostałe dokumenty. Miał szczęście: karty były ułożone w porządku alfabetycznym. Po dwóch minutach znalazł to, czego szukał.

Hotel „Halekulani” zbudowano na przełomie wieków. Był to na początku domek plażowy jednej z najbogatszych rodzin na Oahu. Dopiero później przekształcono go w hotel, który zdobył sławę jako „Dom bez klucza” z powieści Earla Derra Biggersa. „Halekulani” został wprawdzie rozbudowany, właściciele starali się jednak, żeby

zachował dawną atmosferę. Idąc przez pusty hol, Nicholas pomyślał, że w takim właśnie miejscu zamieszkałaby Yukiko Kamaguchi.

Nie mylił się. Recepcjonista potwierdził, że panna Kamaguchi zarejestrowała się w hotelu, ale kiedy zadzwonił do jej pokoju, nikt nie odpowiadał. Zarówno restauracja, jak i bar były zamknięte. Recepcjonista zaproponował, żeby Nicholas poszukał jej na werandzie, gdzie goście często wychylają ostatnią szklaneczkę przed snem. Nicholas podziękował i ruszył w kierunku plaży. Dostrzegł Yukiko przy stole koło dużego drzewa kiawe. Była sama.

Kiedy się do niej zbliżał, drogę zagrodziło mu dwóch Japończyków, wyglądających na profesjonalistów. Yukiko uniosła głowę i machnęła ręką.

— Panie Lockwood, co za miła niespodzianka!

Nicholas był oszołomiony zmianą, która zaszła w Yukiko. Pamiętał ją jako niepozorną kobietę z włosami w nieładzie, w zbyt luźnych ubraniach, które wisiały na niej jak na kołku. Teraz miał przed sobą piękną Japonkę, której owalna, jasna twarz kontrastowała z kruczoczarnymi włosami. Pod obcisłą różową sukienką z satynowym paskiem na biodrach widać było smukłe, zgrabne ciało.

— Czy mogę zaproponować panu filiżankę kawy? Nicholas podziwiał opanowanie Yukiko.

— Nie, dziękuję. Przykro mi zepsuć pani wieczór, panno Kamaguchi, ale obawiam się, że wykonała pani niezbyt dobrą robotę. Steven Talbot wciąż żyje.

Tylko ledwo dostrzegalne drgnięcie nozdrzy świadczyło o zdziwieniu Yukiko.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie Lockwood. Czy Steven jest ranny?

— Ktoś przebił Stevena dwoma ceremonialnymi mieczami do seppuku. Nie jestem ekspertem, ale sądzę, że po zbadaniu pochodzenia tych mieczy okaże się, że należały one kiedyś do Hisahiko Kamaguchiego. Ciekawe, jak wyjaśni to pani policji w Honolulu.

— Bardzo prosto, panie Lockwood. Te miecze zaginęły w czasie wojny. Od tego czasu nigdy ich nie widziałam. Jeśli rzeczywiście należały do mojego ojca, to zażądam, aby mi je zwrócono.

Opanowanie tej kobiety zdumiewało Lockwooda coraz bardziej. Nie obawiała się ani gróźb, ani zemsty.

— Dlaczego pani to zrobiła? Dostała pani przecież wszystko. Korporacja „4780” przejęła wszystkie japońskie aktywa Stevena. Ma pani duże udziały w każdym większym *zaibatsu*. Mimo to nie dotrzymała pani słowa.

— Nie rozumie pan, panie Lockwood. Zadowoliliam się odebraniem tego, co ukradł mi Steven. W tym sensie nie złamałam przyrzeczenia, złożonego panu i pannie McQueen. Steven zdradził jednak nie tylko mnie. Wykorzystał mojego ojca. Przekonał go, żeby ofiarował swoje życie za szefów *zaibatsu* w zamian za to, abym pewnego dnia mogła przywrócić dawną świetność zakładom „Kamaguchi”. Taka zdrada zasługiwała na karę.

— I spartaczyła pani robotę! Yukiko milczała.

— Po co zrzucać winę na Cassandrę? Nie miała nic wspólnego z tym, co wydarzyło się pomiędzy panią a Stevenem. Na miłość boską, ona pani pomogła!

— Panna McQueen miała pecha, gdyż przyjechała w nieodpowiedniej chwili. Może takie było jej przeznaczenie. Ona również chciała zniszczyć Stevena, panie Lockwood. Szukała zemsty za dawne krzywdy, które wyrządził Steven jej najbliższemu.

— Nie chciała go przecież zamordować!

— To tylko kwestia interpretacji zamierzeń, panie Lockwood. Tak czy inaczej, Steven jest już martwy.

Nicholas wiercił się na krześle. Wyglądało na to, że nie jest w stanie zagrozić tej kobiecie. Może tylko przekonać policję w Honolulu, żeby zatrzymała i przesłuchała Yukiko. Ona jednak powie policjantom jeszcze mniej niż jemu. W końcu adwokaci — najlepsi, jakich można kupić za pieniądze — zmuszą władze, żeby ją wypuściły.

— Cassandra jest niewinna. Wie pani o tym. Pozwoli pani, żeby cierpiała? Czy w ten sposób składa pani hołd pamięci ojca?

— Niewykluczone, że płaci za coś, co sama by chętnie zrobiła. Nie, panie Lockwood, nie kiwnę palcem, żeby pomóc Cassandrze. Nie zmusi mnie pan do tego — Yukiko przerwała i spojrzała Nicholasowi prosto w oczy. — Los Stevena Talbota nie leży już w moich rękach. Proszę również pamiętać, że zabicie mnie niczego nie zmieni.

— Niech mi pani uwierzy — powiedział Nicholas — że doszedłem do tego samego wniosku. Kiedy wrócił do hotelu, czekało na niego sześć wiadomości. Jedną z nich przysłała Cassandra. Nicholas zamknął oczy, wyobrażając sobie ponure i samotne miejsce, w którym przebywała. Pozostałe depesze nadeszły od Erica Gollanta. Na Wschodnim Wybrzeżu był już ranek, Nicholas zadzwonił więc do biura USE. Księgowy nie panował nad sobą.

— Do diabła, Nick, co się tam dzieje? Wszystkie dzienniki podają, że Cassandra próbowała zabić Stevena!

Nicholas szybko opowiedział, co przydarzyło się jemu i Cassandrze po przyjeździe na Hawaje.

— Oczywiście, ona wcale nie zamordowała Stevena — wyjaśnił. — Była jednak na miejscu przestępstwa i miała motyw. Potrzebuje najlepszego adwokata, jakiego możemy jej załatwić.

— Już się z kimś skontaktowałem — odrzekł Erie, podając Nicholasowi nazwisko. — Wkrótce zobaczy się z Cassandrą. — Przerwał na chwilę. — A co ty masz zamiar zrobić, Nick?

— Człowiek, który próbował zabić Stevena, wciąż jest na wolności. Policja już go nie szuka. Ja tak.

— Panno McQueen...

Cassandra drgnęła, czując dotknięcie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że pochyla się nad nią Hawajczyk o okrągłej twarzy. Nie słyszała jego kroków ani nawet szczęku drzwi celi.

— Kim pan jest? — spytała siadając.

— Detektyw Kaneohe. Czas, żebyśmy porozmawiali.

Chwiejnym krokiem Cassandra poszła za policjantką do łazienki. Przemylała twarz wodą i żałowała, że nie ma szczotki do zębów. Kiedy spojrzała w lustro, zdała sobie sprawę, że potrzebowałaby o wiele więcej. Później w asyście policjantki i detektywa zeszała na doi. Kaneohe otworzył drzwi do pokoju, w którym znajdował się drewniany stół i kilka krzeseł. Cassandra poczuła ssanie w żołądku na widok gorącej kawy.

— Mam nadzieję, że lubi pani czarną — rzekł Kaneohe. Cassandra umoczyła wargi.

— Jest dobra, dziękuję. — Spojrzała na detektywa. — Jak się ma Steven? Kaneohe wzruszył ramionami.

— Przeszedł operację. Nie sposób jeszcze stwierdzić, czy przeżyje.

— Pan naprawdę sądzi, że ja to zrobiłam? Kaneohe westchnął.

— Zacznijmy od początku, panno McQueen. Po co przyjechała pani na Hawaje?

— Mam prawo do adwokata, detektywie. *A Nicholas! Gdzie on jest?*

— Oczywiście, panno McQueen. Chciałbym jednak pani powiedzieć, co mamy. Znaleźliśmy odciski palców na rękojeściach mieczy. Założę się o moją pensję, że to pani je zostawiła.

Telefonista z centrali w pani hotelu zeznał, że tuż przed wyjściem dzwoniła pani do Cobbler's Point. Wiemy również, jak wszyscy w Honolulu, że istniało wiele nieporozumień pomiędzy parną a panem Talbotem. Już raz próbowała go pani zrujnować. Teraz znów zamierzała pani przejąć firmę Stevena Talbota. Może nie chciał jej sprzedać, a pani się to nie spodobało. Może doszła pani do wniosku, że gdyby pan Talbot zniknął...

— Dosyć!

Wydawało się, że stojący w drzwiach mężczyzna wypełnia sobą cały pokój. Z rozczochranymi włosami i zaspanymi oczami przypominał Cassandrze niedźwiedzia obudzonego z zimowego snu.

— Nazywam się Hartley Nathan — powiedział cicho adwokat. — Poproszono mnie, żebym panią reprezentował.

Cassandra od razu przypomniała sobie to nazwisko. Hartley Nathan z San Francisco był jednym z najlepszych amerykańskich adwokatów do spraw kryminalnych i miał za sobą znakomitą karierę zawodową.

— Słyszałem, że przeszedł pan na emeryturę — rzekł Kaneohe. Nathan ziewnął.

— Staram się trzymać lekę na pulsie, Charlie. Czy mógłbym teraz porozmawiać w cztery oczy z moją klientką?

Detektyw wzruszył ramionami.

— Wybrałeś fatalny moment na powrót.

— Kto pana przysłał? — spytała gorączkowo Cassandra, kiedy zostali sami.

— Eric Gollant. Ten facet umie przekonywać, nawet o pierwszej nad ranem.

Cassandra odetchnęła z ulgą.

— Proszę mi opowiedzieć, co się stało. Niech pani się nie spieszy i nie pomija żadnych szczegółów. Dobrze?

Wysłuchał uważnie opowieści Cassandry, przerywając tylko wtedy, gdy potrzebował dodatkowych wyjaśnień. Kiedy przeglądał notatki, wrócił Charlie Kaneohe i położył koło adwokata kartkę z odciskami palców.

— Pańska klientka zostawiła odciski na jednej z rękojeści. Kiedy otrzymam następne dobre wiadomości, zaraz je panu przyniosę.

— Traktuj mnie tak, jak gdybym już była skazana — powiedziała z goryczą Cassandra. Nathan uciszył ją.

— Steven Talbot ma tu ogromne wpływy. Kupił sobie powszechną życzliwość. Postaramy się, żeby rozprawa odbyła się w innym miejscu...

— Rozprawa?

Nathan pochylił się ku niej.

— Panno McQueen, oskarżono panią o usiłowanie zabójstwa. Prokuratura wie, że miała pani motyw i okazję. Była pani w Cobbler's Point wczorajszego wieczoru. Policja złapała panią, kiedy opuszczała pani miejsce przestępstwa. Na brom znaleziono odciski pani palców. Oczywiście, postaramy się zakwestionować wszystkie dowody. Dojdzie jednak do procesu.

— Ale ja tego nie zrobiłam! — krzyknęła Cassandra. — Dlaczego policja nie szuka prawdziwego zabójcy?

— Porozmawiam o tym z Kaneohe — przyrzekł Hartley Nathan. — Znajdę również Nicholasa Lockwooda i...

Nathan przerwał, kiedy Kaneohe wszedł do pokoju i przywołał adwokata. Cassandra patrzyła, jak obaj mężczyźni szepczą coś do siebie, a potem usłyszała, jak Nathan mówi:

— Powiedz jej. Detektyw zawahał się.

— Doszło do... do wypadku, panno McQueen. W biurze „United States Express” w Honolulu podłożono bombę.

Nicholas Lockwood nigdy nie przeoczał rzeczy oczywistych. Był wprawdzie pewien, że Harry Taylor nie pokaże się w żadnym miejscu, w którym wcześniej był, sprawdził jednak zarówno jego hotel, jak i restaurację. Potem pojechał do szpitala i wysłuchał, jak lekarze opisują prasie stan Stevena Talbota.

Uważnie przyglądał się wszystkim twarzom. Harry przyjechał na Hawaje, aby pomścić śmierć rodziny. Ktoś — Harry nie wiedział, że była to Yukiko Kamaguchi — odmówił mu tej satysfakcji. Nicholas nie wątpił, że Harry nie opuści Hawajów, dopóki nie załatwi wszystkiego do końca. Nie zamierzał mu przeszkadzać. Harry musi jednak spełnić swój zamiar w taki sposób, by odsunąć wszelkie podejrzenia od Cassandry.

Wtedy Nicholas go zauważył.

Białe lilie. Och, Harry, znasz się na rzeczy.

Nicholas patrzył, jak Harry wyjmuje kartę, płaci za kwiaty i stara się wyslizgnąć sklepu. Pozwolił mu dojść tylko do drzwi. — Cześć, Harry.

Dwa dni po napaści na Stevena Talbota, o wpół do szóstej rano, detektyw Charlie Kaneohe pozostawił za sobą uśpione przedmieście i jechał bulwarem North Vineyard ku administracyjnemu centrum Honolulu. Zawsze się dziwił, że większość turystów nie odwiedza kościoła Kawaihāo, zbudowanego wyłącznie z koralu z hawajskich raf, a także pałacu Iolani, jedynej siedziby królewskiej w Ameryce, w której mieszkał król David Kalakana z żoną, królową Kapiolani. Zdaniem Kaneohe właśnie w tej części miasta, z dala od blichtru Waikiki i zgiełku chińskiej dzielnicy, zachował się dawny duch Hawajów.

Za pałacem, obok kapitelu, znajdował się biały budynek—gmach sądu. Kaneohe wjechał na pusty parking i spojrzął w górę, na posągi wyrzeźbione z kamienia: Salomon, Mojżesz, król Kamehameha i ślepa Sprawiedliwość z wagą w ręku. Kaneohe nie wątpił, że gdyby te nieme i głuche istoty przemówiły, okazałyby Cassandrze McQueen więcej współczucia niż żywi ludzie. Gazety rzuciły na nią kalumnie. Demonstranci z transparentami oblegali gmach sądu, domagając się kary śmierci. W całym kraju dochodziło do aktów wandalizmu, wymierzonych przeciwko biurom „United States Express”. Po podłożeniu bomby w placówce USE w Honolulu Kaneohe zorganizował policyjną ochronę mienia i pracowników firmy. Kiedy to zrobił, do komisariatu zaczęły napływać anonimowe pogróżki.

Ciszę świtu przerwały ciężarówki wjeżdżające na parking. Charlie Kaneohe patrzył, jak jego ludzie wyładowują pomarańczowe kozły z napisem: DEPARTAMENT POLICJI W HONOLULU — PRZEJŚCIE WZBRONIONE. Przyjechała następna ciężarówka i detektywi dokładnie obejrżeli przepustki, które zostaną wydane dziennikarzom i publiczności. Na pewno setki widzów będzie chciało dostać się do sali sądowej. Kaneohe nie zamierzał niczego pozostawiać przypadkowi. Jego obowiązkiem było zebranie dowodów przeciwko Cassandrze, teraz zaś musiał ją chronić przed fanatykami i szaleńcami.

O siódmej, trzy godziny przed rozprawą, przyjechały samochody służby

bezpieczeństwa. Kaneohe osobiście przydzielił ludziom zadania. Kazał im zająć stanowiska w korytarzu prowadzącym do sali sądowej oraz przed dużymi mahoniowymi drzwiami. Dokładnie przeszukano wszystkie pokoje. Przez wysokie, owalne okna Kaneohe widział strzelców wyborowych, patrolujących dachy budynków po przeciwnej stronie ulicy.

Kilka minut przed dziewiątą zakończono przygotowania. Kaneohe nie był jednak zadowolony. Coś go niepokoiło. Na pozór sprawa była oczywista. Istniał motyw, okazja, odciski palców. Żaden świadek nie złożył niespodziewanych zeznań, chociaż Kaneohe ze wszystkich sił poszukiwał człowieka, który tej nocy widział lub słyszał coś w pobliżu Cobbler's Point.

Czego się czepiam? — zbeształ siebie Kaneohe.

Po prawie dwudziestu latach służby wierzył w swój szósty zmysł.

Charlie Kaneohe zadzwonił jeszcze raz do szpitala. Lekarz nie miał nic nowego do powiedzenia. Steven Talbot wciąż nie odzyskał przytomności i walczył ze śmiercią. Detektyw pilnujący Talbota powiedział, że magnetofon, automatycznie włączający się na dźwięk głosu, niczego nie zarejestrował.

Kaneohe odwiesił słuchawkę. Pomyślał, że na szczęście jest to dopiero przesłuchanie wstępne. Jeśli Steven Talbot przetrwa krytyczny okres, jeśli powie chociaż kilka słów, rozwieje jego wątpliwości!

Detektyw spojrział na zegarek. Czas przyprowadzić więźnia.

— Wyglądasz cudownie.

Cassandra spojrzała na Hartleya Nathana i zdobyła się na uśmiech. Miała na sobie granatowy kostium i różową bluzkę ze spinką w kształcie kamei. Hartley przyniósł wczoraj ubrania z hotelu, a wraz z nimi zabrał coś jeszcze cenniejszego—kartkę od Nicholasasa. Papier był teraz zmięty, gdyż czytała go wiele razy.

„Odwagi—napisał Nicholas. —Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze”.

Tylko tyle. Ani słowa o tym, czy Harry jeszcze żyje i czy udało się go odnaleźć. Żadnego wyjaśnienia, kto naprawdę próbował zabić Stevena.

Nie odważyłby się zapisać takiej informacji — pomyślała Cassandra.

— Czy on tu przyjdzie? — spytała.

Adwokat wzruszył ramionami. Spotkał się z Nicholasem Lockwoodem i rozumiał, jak ważny był dla Cassandry ten mężczyzna. Nicholas nie powiedział jednak, w jaki sposób zamierza udowodnić niewinność Cassandry. Jako urzędnik sądowy Nathan nie chciał o niczym wiedzieć.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi do bloku izolatek i wstał.

— Musimy iść — powiedział, wyciągając rękę do Cassandry. — Pamiętaj, nie licz na sympatię sędziego. Pukui należy do nielicznych Hawajczyków, którym udało się osiągnąć sukces w zdominowanym przez białych systemie sądowniczym. Chciałby przeprowadzić się do rezydencji gubernatora, kiedy tylko Hawaje otrzymają prawa stanowe. Prokurator Kawena to następny zapaleniec, który pragnie zostać prokuratorem okręgowym. Ten proces jest dla nich wielką szansą.

— Dziękuję za pogadankę — wymruczała Cassandra.

— Powinnaś wiedzieć, na czym stoisz. Mimo wszystko postaram się, żeby zwolniono cię za kaucją. Erie Gollant przysłał więcej pieniędzy, niż potrzebujemy, miło jednak wiedzieć, że cała kwota jest do naszej dyspozycji.

Nathan położył Cassandrze ręce na ramionach.

— Nie zostaniesz w tym miejscu ani dnia dłużej. Tymczasem pamiętaj, że wszyscy w domu trzymają za ciebie kciuki.

Cassandra pocieszała się tym, idąc z Nathanem do sali sądowej.

Kiedy tam weszła, szmer rozmów natychmiast ucichł. Starła się nie patrzeć na tłum.

Koncentrowała się na drobnych szczegółach: plamach na suficie, ogromnej, drewnianej tarczy plemiennej nad stołem sędziowskim. Zajmując miejsce na ławie oskarżonych, słyszała szelest kartek, na których artyści pracujący dla gazet rysowali jej portret. W końcu spojrzała na widzów. Wszyscy na nią patrzyli. Ich wzrok był obojętny i nie było w nim ani śladu współczucia.

— Proszę wstać! Sąd idzie! Rozprawie przewodniczy sędzia Samuel Pukui.

— Czy prokuratura jest gotowa? — spytał Pukui.

Daniel Kawena, ubrany w ciemnoniebieski garnitur, odpowiedział:

— Jesteśmy gotowi, wysoki sędzie.

— Obrona?

— Obrona jest gotowa, wysoki sędzie — rzekł spokojnie Hartley Nathan.

— Panno McQueen, została pani oskarżona o usiłowanie morderstwa Stevena Talbota. Czy przyznaje się pani do winy?

Cassandra zebrała wszystkie siły i spojrzała prosto na Pukui'ego.

— Nie, wysoki sędzie.

Yukiko Kamaguchi siedziała na tarasie w hotelu i słuchała szumu fal, uderzających o brzeg.

Siedzący obok niej Nicholas Lockwood spojrzał na zegarek.

— Proszę zadzwonić.

Yukiko ani drgnęła. Nicholas postawił telefon na stoliku obok niej.

— Niech pani zadzwoni — powiedział cicho. — Wtedy pozwolę pani odejść.

Dzięki hojnym datkom Stevena Talbota szpital Dobrego Samarytanina był najnowocześniejszym ośrodkiem medycznym Hawajów. Nie zapominali o tym chirurdzy, operując bogatego filantropa. Z sali operacyjnej przewieziono Stevena do prywatnego pokoju na pierwszym piętrze.

Opiekowały się nim trzy pielęgniarki, któraś z nich przez cały czas siedziała przy pacjencie. Przed drzwiami czekał detektyw, któremu przydzielono tylko jedno zadanie: gdyby Steven odzyskał przytomność, miał go przesłuchać. Przy łóżku czekał w pogotowiu magnetofon.

Harry Taylor wiedział o tym. Środki bezpieczeństwa byłyby jeszcze ostrzejsze, gdyby policja nie wierzyła, że główny podejrzany przebywa w areszcie. Nicholas Lockwood doszedł do wniosku, że przemawia to na ich korzyść.

Harry przebrał się za sanitariusza — miał na sobie białe spodnie i marynarę, a także białe buty na miękkich podeszwach. Stał na ścieżce wijącej się przez ogród. Widział przed sobą okno pokoju Stevena Talbota. Żaluzje były częściowo odsłonięte. Spojrzał na zegarek. Wkrótce nadejdzie odpowiednia chwila.

Drzwi pokoju otworzyły się i Harry usłyszał, jak detektyw mówi pielęgniarce, że jest do niej pilny telefon. Siostra rzuciła okiem na pacjenta, a potem wyszła. Tak jak przypuszczał Harry, detektyw nie usiadł na jej miejscu, lecz pozostał na zewnątrz. Niewątpliwie powiedziano mu, że upłynie jeszcze wiele godzin, zanim Steven Talbot odzyska przytomność.

Harry zabrał się do pracy. W ciągu kilku sekund wyjął okno wraz z aluminiową ramą. Zeszłego wieczoru wykręcił z niej wszystkie śruby. Wskoczył po cichu do pokoju i zbliżył się do nieruchomej postaci w łóżku.

Pielęgniarka zaczęła się niecierpliwic. Telefonistka powiedziała, że międzymiastowa rozmowa nagle została przerwana. Próbowała ponownie uzyskać połączenie, ale numer był zajęty.

Siostra spojrzała na zegar ścienny. Już zbyt długo przebywała z dala od pacjenta. Gdyby zobaczył ją jeden z lekarzy, miałyby kłopoty.

Yukiko Kamaguchi również patrzyła na zegarek. Kiedy duża wskazówka po raz trzeci minęła dwunastkę, odłożyła słuchawkę.

Harry ostrożnie wyjął poduszkę spod głowy Stevena Talbota. Bez słowa położył mu ją na twarzy i przycisnął z całej siły. Zdążył doliczyć do pięćdziesięciu, zanim Steven przestał oddychać.

Zirytowana pielęgniarka wracała do pokoju chorego.

— Wszystko w porządku? — spytał detektyw.

— Nie wiem. Rozłączyło nas.

Siostra weszła do pokoju i zaczęła robić na drutach. Nagle poczuła chłodny powiew. Kiedy się odwróciła, stwierdziła ze zdumieniem, że ktoś wyjął całe okno. Natychmiast podeszła do pacjenta. Ujrzawszy jego wytrzeszczone oczy, zaczęła krzyczeć.

Portierzy zanieśli bagaż do samochodu, czekającego przed gankiem. Jeden z asystentów zapłacił rachunek. Yukiko Kamaguchi pozwoliła Nicholasowi odprowadzić się przez korytarz. Kiedy otworzył drzwi samochodu, powiedział:

— Niech pani jedzie prosto na lotnisko i wsiądzie do samolotu. Proszę na nic nie czekać. Tu wkrótce rozpęta się piekło.

— Ale jeśli...

— On tam będzie! — powiedział ostro Nicholas. — Musi go pani tylko przewieźć do Singapuru. Potem sam się o siebie zatroszczy. Umówiliśmy się, że zadzwoni do mnie o wyznaczonej porze.

— Może pan być spokojny, panie Lockwood — odrzekła Yukiko. Nicholas spojrział jej prosto w oczy. Kiedy upewnił się, że wszystko zrozumiała, wszedł do samochodu i ruszył ku gmachowi sądu.

Kiedy Cassandra oświadczyła, że nie przyznaje się do winy, napięcie na sali wzrosło. Wielu widzów kręciło się. Kilku krzyknęło: „Wstyd!” Pukui głośno postukał młotkiem sędziowskim.

— Spokój! Oskarżona nie przyznaje się do winy. Jeśli chodzi o kaucję... Pukui skinął ręką na prokuratora.

— Ludzie uważają, że nie powinno się przyjąć kaucji — powiedział ostro Daniel Kawena.

— Panna McQueen jest oskarżona o poważne przestępstwo, które stanie się zbrodnią główną, jeśli pan Talbot umrze. Nic jej nie łączy z tutejszą społecznością. Posiada ogromny majątek, dzięki któremu będzie mogła zapłacić dowolnie wysoką kaucję i iimknąć wymiarowi sprawiedliwości. Z tego względu zgłaszam wniosek, aby zatrzymać ją w areszcie aż do dnia procesu.

— Panie Nathan?

— Wysoki sędzie, to prawda, że moja klientka jest bogata i obca na Hawajach. Jednakże panna McQueen, jako właścicielka firmy „United States Express”, zajmuje wysoką pozycję społeczną. Interesy, które prowadzi w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych, wymagają jej obecności. Niemądrze byłoby sądzić, że tak znana osoba mogłaby, lub chciałaby, uciec. Wnoszę zatem o zwolnienie mojej klientki za kaucją.

Na widowni rozległy się krzyki. Wołano: „Morderczyni!” „Kłamiesz!” — Strażnicy sądowi ustawili się pospiesznie między publicznością a oskarżoną.

Kiedy sędzia Pukui przywrócił porządek, spojrział na Nathana i zapytał:

— Czy obrona naprawdę wierzy, że sąd zwolni oskarżoną za kaucją?

— Jeśli jest to sprawiedliwy sąd, tak. Pukui poczerwieniał.

— Wniosek obrony zostaje odrzucony — powiedział ostro. — Więzień pozostanie w areszcie aż do procesu, który odbędzie się...

Zanim Pukui skończył, podbiegł do niego jakiś urzędnik. Sędzia rzucił okiem na kartkę i zbladł.

— Ogłaszam przerwę w rozprawie! — oświadczył drżącym głosem. — Więzień zostanie tutaj pod opieką policji. Proszę, aby obrońca i prokurator udali się ze mną.

Zanim sędzia zdążył wstać, w sali podniósł się gwar. Reporterzy i widzowie ruszyli ku Cassandrze. Policjantom ledwo udało się ich powstrzymać. Cassandra nie zwracała uwagi na pytania dziennikarzy i próbowała zrozumieć, co się dzieje. Wyglądało na to, że Hartley Nathan również jest zdziwiony. Nagle Cassandra dostrzegła w tłumie Nicholasa. Jego spokojne, beznamienne spojrzenie powiedziało Cassandrze wszystko, co chciała wiedzieć.

— Co to znaczy, że on nie żyje?! — wykrzyknął prokurator Daniel Kawena. — Gdzie była policja?

Sędzia Pukui upomniał go surowym spojrzeniem.

— Proszę pamiętać, gdzie się pan znajduje, sir. To pan odpowiadał za bezpieczeństwo Stevena Talbota. Najwyraźniej podjął pan niewystarczające środki ostrożności.

Kawena boleśnie odczuł ten zarzut, ale nie ustępował.

— Dojdę do tego — obiecał. — Jednakże śmierć pana Talbota niczego nie zmienia. — Odwrócił się do Hartieya Nathana. — Oskarżam teraz pańską klientkę o morderstwo pierwszego stopnia! Nathan uniósł brwi.

— Naprawdę, panie prokuratorze? Pan Talbot został zamordowany zaledwie trzydzieści minut temu. Moja klientka była wówczas w areszcie.

— Mogła mieć współników — odparł Kawena.

— Nie ma pan żadnych podstaw, żeby tak twierdzić — odrzekł spokojnie Nathan. — Nie potrafi pan udowodnić, że Cassandra McQueen uczestniczyła w spisku, którego celem było zabicie Stevena Talbota. Mamy do czynienia z morderstwem popełnionym przez nieznanego sprawcę lub sprawców. Niewątpliwie ci sami ludzie zaatakowali pana Talbota trzy dni temu. — Nathan odwrócił się do sędziego. — Z całym szacunkiem, wysoki sędzie, oskarżenie przeciwko mojej klientce jest bezpodstawne. Nie można przetrzymywać jej dłużej w charakterze podejrzanej.

— Owszem, można! — zagrział Kawena. — Mamy jej odciski palców na broni...

— Wie pan doskonale, że potrafię to wyjaśnić.

Zanim Nathan zdążył coś dodać, do pokoju wszedł detektyw Kaneohe.

— Przepraszam, wysoki sędzie, ale kilka minut temu posłaniec dostarczył przesyłkę zaadresowaną do pana.

Trzej mężczyźni patrzyli na paczkę wielkości bombonierki, owiniętą niezręcznie w szary papier.

— Saperzy musieli ją otworzyć, wysoki sędzie — przeprosił Kaneohe. — Trzeba było się zabezpieczyć. — Przerwał. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zostać.

Pukui zgodził się. Ostrożnie położył na biurku zawartość pudełka: kasetę do dyktafonu i kawałek szkła, zawinięty w plastikową torebkę.

— Najwyraźniej ktoś przesłał nam wiadomość — wymruczał Pukui. — Panowie? Obaj prawnicy pokręcili głowami.

— W takim razie posłuchajmy — Pukui włożył kasetę do dyktafonu.

Na początku słyhać było tylko szum. Później rozległ się spokojny męski głos.

„Panowie, nazywam się Harry Taylor. Ja i tylko ja usiłowałem zamordować Stevena Talbota. Kiedy pierwsza próba się nie powiodła, spróbowałem jeszcze raz. Znacie już rezultaty. Teraz zamierzam wyjaśnić, dlaczego...”

Harry nie ukrywał niczego. Opowiedział szczegółowo o porwaniu Cassandry, zdradzie Stevena w katakumbach, zamordowaniu Michelle McQueen i ucieczce, która zaprowadziła go do Singapuru. Przyznał, że to on wprowadził na rynek

falszywe czeki podróżne „Globalu”, aby zrujnować Stevena Talbota. Opowiedział, jak Steven to odkrył i kazał zamordować rodzinę Harry'ego. W końcu Harry dokładnie opisał plan zemsty. — „Jeśli wątpicie w moje słowa — zakończył Harry — musicie tylko porównać odciski palców na szkle, które wam posyłam, z odciskami na parapecie, framudze okiennej, nocnym stoliku i innych miejscach w pokoju Stevena Talbota”.

Dyktafon działał jeszcze przez kilka sekund, a potem automatycznie się wyłączył. Czterej mężczyźni milczeli. W końcu sędzia Pukui podniósł głowę i spojrział na prokuratora i detektywa. Charlie Kaneohe wreszcie zrozumiał, co podpowiadała mu intuicja.

Po godzinnej przerwie publiczność w sali sądowej zaczęła się niecierpliwic. Cassandra była zaskoczona. Hartley Nathan nie wrócił, a Nicholas zniknął. Nikt nie miał pojęcia o dramacie rozgrywającym się za zamkniętymi drzwiami.

Detektyw Kaneohe dostrzegł Nicholasa i zaprosił go do pokoju sędziowskiego. Zapytał, czy zna Harry'ego Taylora, a kiedy Nicholas potwierdził, puścił mu taśmę.

— Czy domyślasz się, gdzie on może być? — spytał Kaneohe. Nicholas wyjaśnił, że szukał Harry'ego od chwili, gdy przybył na wyspę.

— Cały czas go szukałem, a zwłaszcza po napaści na Stevena — dodał z naciskiem.

— Dlaczego nic pan nie powiedział? — spytał prokurator Kawena.

— Wszyscy byliście przekonani o winie Cassandry — odrzekł chłodno Nicholas. — Nie chcieliście wierzyć, że mógł to zrobić ktoś inny. Poza tym nie miałem dowodów przeciwko Harry'emu.

— Proszę go opisać — powiedział Charlie Kaneohe. — Na wszelki wypadek obstawimy lotnisko i porty.

Słyszac rezygnację w głosie detektywa, Nicholas zorientował się, że nie liczy on na sukces. Był profesjonalistą. Kiedy wysłuchał opowieści Nicholasa, wiedział, że taki człowiek jak Harry nie pozostawia niczego przypadkowi — zwłaszcza trasy ucieczki.

Tak właśnie jest — pomyślał Nicholas. Słyszał cichy warkot samolotu i zastanawiał się, czy Harry Taylor wraca na jego pokładzie do Singapuru.

Rozmowy ucichły, kiedy sędzia Pukui i pozostali prawnicy weszli do sali. Cassandra spojrziała ze strachem na Hartieya Nathana, który uśmiechnął się lekko. Pukui usiadł przy stole sędziowskim i rozejrzał się po sali.

— Właśnie poinformowano mnie, że pan Steven Talbot został zamordowany. Wszyscy cicho westchnęli.

Pukui podniósł głos.

— Skoro nie ma żadnych dowodów, że oskarżona wiedziała z góry o zbrodniczym spisku i uczestniczyła w nim, muszę oddalić zarzuty przeciwko niej. Panno McQueen, jest pani wolna. Cassandrze zadrżały kolana. Upadłaby, gdyby nie podtrzymały jej mocne ramiona.

— Nicholas! Objęła go.

— Powiedziałem ci przecież, że wszystko będzie dobrze—rzekł cicho. — Teraz możemy wrócić do domu.

Epilog

W pierwszym tygodniu września przyszły nagle chłody. W ciągu jednej nocy pożółkły drzewa w Central Parku. Nicholas i Cassandra szli w kierunku Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, a pod ich stopami szeleściły liście. Zatrzymali się w połowie drogi. Właścicielka kawiarni, przyzwyczajona do ich regularnych wizyt, przygotowała już kawę i powitała ich z uśmiechem, życząc dobrego dnia. Cassandra i Nicholas usiedli z filiżankami w rękach na ławeczce nad stawem. Zawsze przychodzili tu po spacerze. Był to miły początek dnia.

— Wciąż nie odnaleziono Harry'ego, prawda?

Cassandra bardzo często zadawała to pytanie, choć z góry znała odpowiedź.

— Nie.

Nicholas nie mógł jej powiedzieć nic więcej. Kiedy wrócili do Nowego Jorku, Kevin Armstrong

— szef służby bezpieczeństwa USE—poleciał do Honolulu, żeby nadzorować śledztwo.

Armstrong był bardzo dokładny, ale niewiele udało mu się ustalić. Przez ostatnie dwa tygodnie policja w Honolulu nie dowiedziała się niczego o Harrym. Dla Nicholas, który zdążył już odebrać umówiony telefon z Singapuru, nie było to niespodzianką. Harry zniknął na zawsze.

— Musisz o tym zapomnieć, Cass.

Cassandra odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów.

— Wiem, ale nie potrafię.

Hartley Nathan uparł się, żeby puszczono Cassandrze taśmę Harry'ego. Słuchając nagrania, Cassandra przypominała sobie tragedię w Singapurze, która nieodwołalnie skierowała Harry'ego na tę drogę. Nic nie czuła, kiedy myślała o Stevenie, pragnęła jednak jeszcze raz zobaczyć Harry'ego. Miała łzy w oczach, gdyż w jego słowach słyszała bezbrzeżny smutek. Wiedziała, jak bardzo musi być samotny.

Następnego dnia opublikowano fragmenty nagrania, aby do reszty oczyścić Cassandrę z zarzutów. Nicholas zabrał Cassandrę z Honolulu pierwszym samolotem, upewniwszy się, że dziennikarze nie będą jej ścigać.

W Nowym Jorku, wśród przyjaciół i współpracowników, Cassandra zaczęła dochodzić do siebie. Wszyscy jej współczuli i ostro krytykowali postępowanie hawajskich władz. W gazetach ukazywały się artykuły o Harrym Taylorze. Opisywano jego rolę w ostatnich wydarzeniach, które mogły kosztować Cassandré życie. Zainteresowanie całą sprawą doszło do szczytu, kiedy niecały tydzień później Cassandra otrzymała zaproszenie od zarządu „Global Enterprises”. Po śmierci Stevena Talbota zarząd miał prawo dokonać restrukturyzacji przedsiębiorstwa. Członkowie zarządu zgodzili się, że tylko sprzedaż może uratować spółkę. „Global” przypominał statek bez steru i tracił każdego dnia setki tysięcy dolarów. Firma potrzebowała inwestora z dużymi pieniędzmi, który znałby się na prowadzonych przez nią operacjach. Oczywistym kandydatem była Cassandra McQueen.

Cassandra długo zastanawiała się nad tą propozycją. Miała ochotę od razu ją odrzucić.

Niewątpliwie wielu ludzi uzna, że wykorzystuje śmierć Stevena Talbota.

— Nie powinnaś tak do tego podchodzić — powiedział jej Erie Gollant. — To zwykła decyzja handlowa. Banki chętnie by kupiły udziały w „Globalu”, ale niewiele wiedzą o tym przedsiębiorstwie. Czy myślisz, że ktoś oskarży bankierów o nieczułość? Nie, wszyscy powiedzą, że wykonali mądre posunięcie. Zrób to, Cass, zanim zarząd zmieni zdanie.

Kiedy poruszyła ten temat w rozmowie z Nicholasem, odrzekł tylko:

— Zawsze obchodził cię „Global”.

Następnego dnia złożyła ofertę, a zarząd natychmiast ją przyjął. Na konferencji prasowej wygłosiła krótkie oświadczenie.

— „Global Enterprises” zawdzięcza swój sukces pracy wielu ludzi. Mam wobec nich dług, który zamierzam spłacić.

Cassandra nie chciała odpowiadać na żadne pytania. Tak jak przewidywała, wielu dziennikarzy oskarżyło ją, że wykorzystuje śmierć Stevena Talbota.

— Oni się mylą — powiedziała cicho, pijąc kawę i patrząc na nianie, przechadzające się z wózkami.

Nicholas spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Kto?

— Przepraszam, po prostu głośno myślałam — rzekła Cassandra. — Przez cały czas pragnęłam, żeby Steven zapłacił za krzywdy wyrządzone matce, Monkowi, Rose... mnie. Kiedy jednak ujrzałam go tej nocy, jak leżał koło basenu z mieczami w piersi, nie widziałam potwora, lecz umierającego człowieka. Chciałam sprawiedliwości, Nicholasie, a nie morderstwa. Szkoda, że nie mogłam powiedzieć o tym Harry'emu.

— Harry'emu chodziło o to samo — przypomniał jej Nicholas.

A ty, kochanie? Co robiłeś, kiedy siedziałam w areszcie i zastanawiałam się, co się z tobą dzieje? Czy dotrzymałeś obietnicy i odnalazłeś Harry'ego?

Właśnie zamierzała zapytać o to Nicholas, ale nagle wydało jej się, że słyszy cichy głos Michelle i Rose.

Bez względu na to, co zrobił, chodziło mu o ciebie. Sam musi sobie z tym poradzić.

Powinnaś po prostu być przy nim i nie zadawać pytań. Nie musisz się już bać, Cassandro, gdyż Nicholas poświęcił się, aby cię uratować...

Cassandra wzięła Nicholasa pod rękę i razem wyszli z parku na Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. W pobliżu Szóstej Alei zobaczyła ogromny neon: błękitnego rycerza USE, patrzącego odważnie w przyszłość. Nie miała pojęcia, co ją czeka: jakie próby i zwycięstwa, sukcesy i klęski. Wiedziała jednak, że nie będzie musiała samotnie stawiać czoła losowi.

— Kocham cię, Nicholasie Lockwood — wyznała, głaszcząc go po policzku.

— Ja też cię kocham — wyszeptał.

Zapamiętali się w długim pocałunku, a przechodnie uśmiechali się na ich widok. Potem wzięli się za ręce i przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie czekał na nich błękitny rycerz.